



*Francuski
ogrodnik*

*Santa
Montefiore*

Świat Książki

Montefiore Santa

Francuski ogrodnik

Miranda i David przeprowadzają się z Londynu do pięknego domu na angielskiej prowincji. David uznał, że to podniesie jego prestiż. Ale Miranda nie lubi wsi, bo ciężko się chodzi w szpilkach po kocich łbach, David nadal pracuje w Londynie, więc w domu bywa tylko w weekendy, a dzieci nie dają się oderwać od telewizora.

Pewnego dnia w wiejskim sklepie Miranda dowiaduje się, że ogród wokół jej domu był za poprzednich właścicieli najpiękniejszym ogrodem w hrabstwie. Postanawia więc przywrócić mu dawny wygląd. Na tablicy w miejscowej kawiarni pozostawia ogłoszenie, że zatrudni ogrodnika.

I wtedy zjawia się pewien Francuz...

Prolog

Hartington House, lato 2004

Zmierzch już się czaił, kiedy dotarła do domku, mocno przyciskając do piersi tekturowe pudełko. Słońce wisiało nisko na niebie, malując obłoki różową farbą i upodobniając je do kłębków cukrowej waty, długie cienie kładły się na wilgotnej od rosy trawie. Powietrze słodko pachniało żyzną ziemią i rozwijającymi się kwiatami. Malutkie ważki kołysały się wśród traw, ich skrzydełka mieniły się w świetle. Dom był dziwny, symetryczny, z wysokim dachem, który jakby przygniatał znajdujące się pod nim ściany. Całkiem możliwe, że kiedyś pełnił rolę stodoły albo spichlerza, ponieważ stał na środku pola. Dachówki były brązowe i porośnięte mchem, komin lekko przechylony w lewo. Szczyt dachu trochę się zapadł, jakby zmęczył się własnym trwaniem. Pnące róże pieniały się nad drzwiami, z których zaczęła już odpadać farba. Dom sprawiał wrażenie w przykry sposób zapomnianego i opuszczonego, ukryty w niewielkim zagajniku u stóp ogrodu, tuż

nad rzeką. Trusty gołąb przygotowywał się do snu, gruchając leniwie przy kałuży, a dwie wiewiórki pomknęły w górę po pniu potężnego kasztana i przycupnęły w zagięciu gałęzi, obserwując ją podejrzliwymi czarnymi ślepkami.

Chwilę stała nieruchomo, przyglądając się spokojnym wodom rzeki Hart, powoli podążającym doliną w stronę morza. Pamiętała, jak łowiła ryby siatkami i rzucała patyki z małego kamiennego mostku. Nic się tu nie zmieniło. Krowy nadal muczały na łące nad rzeką, a dalekie terkotanie traktora dobiegało od drogi za żywopłotem. Zamrugła, otrząsnęła się ze wspomnień i wsunęła klucz do zamka.

Drzwi otworzyły się z bolesnym skrzypnięciem. Weszła do holu i od razu poczuła leciutki lecz trwały zapach kwiatów pomarańczy. Kiedy zajrzała do salonu, zagraconego niezliczonymi fotografiami, bibelotami i książkami, pomyślała sobie, że ktoś tu mieszka, jeśli dobrze wiedziała, agencja nie sprzedała jeszcze posiadłości, do której należał domek i która była na rynku już od ponad dziesięciu miesięcy.

- Halo! - zawołała. - Jest tu ktoś?

Cisza. Nerwowo ściągnęła brwi i zamknęła za sobą drzwi wejściowe. Pudełko postawiła na podłodze w holu. Powietrze w domu było ciepłe i trochę ciężkie, pachnące kurzem, dawnymi wspomnieniami i łzami. Ją także oczy piekły od łez.

Weszła do kuchni, gdzie na stole stały porcelanowe filiżanki i imbryczek, a krzesła były odsunięte. Pozostałości po podwieczorku dla dwojga... Położyła rękę na oparciu jednego z krzeseł, bo nagle zakreśliło jej się w głowie. Przez wszystkie lata, kiedy mieszkała w wielkim domu, ani razu nie zajrzała do tego domku. Drzwi zawsze były tu zamknięte, a ona nigdy nie czuła ciekawości. Sądząc po grubości warstwy kurzu, pokrywającej kuchenny stół, nikt inny także tu nie zaglądał.

Z góry dobiegł jakiś dźwięk, chyba ciche kroki, - Halo! - zawołała znowu, nagle przestraszona. - Czy ktoś tu jest?

Cisza. Wróciła do holu i podniosła pudełko. Gdy się wyprostowała, odkryła, że nie może oderwać oczu od podestu schodów, rozjaśnionego nieziemskim blaskiem. Jej lęk rozwiął się w jednej chwili, a w głębi serca rozległo się bezgłośnie wołanie.

Zaczęła powoli wspinać się po schodach na pięterko. Na górze, po lewej stronie, znajdował się pusty pokój. Postawiła tam pudełko i przystanęła w progu. Nie miała ochoty go zostawiać, ponieważ w środku było coś niezwykle cennego. Z niezmiernym trudem rozstawała się z tą rzeczą, wiedziała jednak, że właśnie tak powinna postąpić. Nawet jeżeli nikt go tu nigdy nie znajdzie, ona będzie miała pewność, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Nie podobało jej się, że ukrywa coś przed własną rodziną, ale tę tajemnicę musiała zabrać ze sobą do grobu; nawet jeśli jej sekret nikogo nie mógł już zranić, nadal był jak popiół z ogniska, które kiedyś płonęło z ogromną siłą.

Sypialnia po drugiej stronie podestu odwróciła jej uwagę od pudełka. Ten pokój miał znajomy zapach świeżo ściętej trawy i słodki aromat kwiatu pomarańczy, który poczuła już na dole. Usiadła na łóżku, w smudze słonecznego światła, przedostającej się do środka przez gruby kożuch pleśni, pokrywający plamami szyby w oknie. Ciepłe promienie padały na jej twarz, były bursztynowe, w kolorze żalu. Przymknęła powieki, wyczuwając czyjaś bliską obecność i wsłuchiwała się w ciszę. Oczy znowu paliły ją od łez, wiedziała jednak, że jeśli je otworzy, zmarnuje tę szczególną chwilę.

Nie odchodź, powiedziała bez słów. Nie zostawiaj mnie, proszę... Później wyprostowała się, czekając na odpowiedź.

JESIEN

I

ŻÓLTE LISTKI PŁACZĄCEJ WIERZBY JESIENIĄ

Hartington House, - Dorset październik 2005

Gus podkradł się do drzwi gabinetu matki i przyłożył ucho do szpary. Wciągnął do nosa znajomy zapach papierosów Marlboro Lites i poczuł, jak jego frustracją narasta. Słuchał jej niskiego, zachrypniętego głosu i wiedział, że rozmawia z jego nauczycielem, panem Marlowem. Z góry założył, i słusznie, że matka nie stoi po jego stronie. Gus stanowił problem, którego rozwikłaniem nikt nie miał ochoty się fatygować.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła matka. - Strasznie mi przykro, panie Marlow! Coś takiego! Nigdy więcej się to nie zdarzy, obiecuję! Ojciec Gusa przyjeżdża jutro wieczorem z Londynu, więc dopilnuję, żeby z nim porozmawiał... Ma pan słuszość, nic nie usprawiedliwia gryzienia innych dzieci... Zaraz go poszukam i odeślę z powrotem do szkoły! - Jej głos złagodniał, potem Gus usłyszał, jak odsunęła krzesło, i wstała. - Wiem, że czasami może być nieco agresywny, ale dopiero parę miesięcy temu przeprowadziliśmy się tu

z Londynu... To trudna sytuacja, Gus zostawił w mieście wszystkich swoich przyjaciół i kolegów, on ma siedem lat, na pewno pan rozumie... Uspokoi się i pogodzi z nowymi warunkami, proszę dać mu tylko trochę czasu, dobrze? Bardzo proszę... To w gruncie rzeczy całkiem dobry chłopak...

Gus nie czekał dłużej. Na palcach przebiegł przez korytarz i przez ogrodowe drzwi wy dostał się na taras. Trawnik przypominał ciemnozielony, mokry dywan, lśniący w bladym świetle poranka. Wziął głęboki oddech, zadrżał i wsunął ręce do kieszeni spodni, przyglądając się, jak mgła unosi się do góry. Kurtkę zostawił w szkole. Przełknął żal i ruszył w stronę tymiankowej alejki, po jej obu stronach kołysały się kudłate kulki. Szedł przed siebie, przygarbiony, z rozmachem kopiąc kamyki i szukając wzrokiem jakiegoś małego stworzenia, na którym mógłby wyładować swój gniew.

Na końcu tymiankowej alejki rozciągała się łąka, pełna owiec należących do sąsiada Jeremy'ego Fitzherberta. Wśród owiec pasł się osioł o wiecznie zmechaconej sierści i imieniu Charlie. Gus uwielbiał straszyć biedne zwierzę i często gonił go z kijem dookoła pastwiska tak długo, aż osioł zaczynał ochryple porykiwać. Teraz, gdy Gus wspiał się na płot, Charlie natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo i zastrzygł uszami. Zaraz potem zauważył małego chłopca, który zeskoczył właśnie z ogrodzenia na trawę. Oczy Charliego rozszerzyły się ze strachu. Zamarł bez ruchu, jego nozdrza rozdęły się szeroko, a serce przyśpieszyło gwałtownie i nierówno, zupełnie jak zardzewiały silnik.

Gusa ogarnęło miłe podniecenie. Zapomniał o tym, że ugryzł Adama Hudsona na boisku, że uciekł ze szkoły, zapomniał o gniewie w głosie matki i swoim obezwładniającym poczuciu osamotnienia. W tej chwili nie myślał o niczym poza nieszczęsnym osłem, na którego miał ochotę zapolować.

- Boisz się, co? - syknął, zbliżając się do przerażonego zwierzaka. - Ty tchórze!

Skoczył naprzód, z przyjemnością patrząc, jak Charlie cofa się niezgrabnie i truchta w kierunku lasu na skraju łąki, żałośnie rżąc ze strachu. Szkoda, że nie przyniosłem kija, pomyślał Gus. Zabawa jest jeszcze lepsza, kiedy uda się go uderzyć.

Kiedy wreszcie się znudził, zagłębił się między drzewa, zostawiając drżącego Charliego w kącie łąki, otoczonego owcami. Ziemia w lesie była gąbczasta, zasypana gałązkami i brunatnymi liśćmi, wśród których szukał pożywienia piękny bażant o lśniących piórach. Słońce słabo przeświecało przez listowie, wydobywając z mroku pajęczę sieci, rozpięte między gałęziami krzewów niczym strzępy koronki. Gus podniósł z ziemi patyk i zaczął zmiatać nim pajęczyny na ziemię, rozgniatając butami uciekające pająki. Krótka chwila przyjemności szybko uleciała i Gus został sam na sam z podświadomym przekonaniem, że nikomu nie jest potrzebny.

Miranda Claybourne odłożyła słuchawkę i utkwiała wzrok w rozpościerającym się za oknem sadzie. Ziemia usiana była jabłkami i ostatnimi w tym roku śliwkami. Wyczuła obecność syna za drzwiami, lecz teraz Gusa już nie było. Musiał wybrać sobie na wagary akurat Dzień Nieprzekraczalnego Terminu, pomyślała ze złością. Zdusiła papierosa w popielniczce, wmawiając sobie, że drobne potknięcie w walce z paleniem jest absolutnie naturalne i zrozumiałe; zaciągnęła się zresztą tylko trzy razy, a w zasadzie się nie liczyło. Nie miała czasu na szukanie Gusa, nie wiedziała nawet, gdzie zacząć, ponieważ posiadłość była duża i, co zauważyła z uczuciem przygnębienia, potwornie zarośnięta i wilgotna. Sama myśl o długiej wędrówce w kaloszach była po prostu nie do

zniesienia dla eleganckiej dziewczyny z miasta, przyzwyczajonej do pantofelków na wysokim obcasie firmy Jimmy Choo oraz gładkich, betonowych chodników. Na domiar złego właśnie dziś musiała dokończyć swoją comiesięczną kolumnę dla magazynu „Red”. Jak na razie, jedynym plusem życia na wsi okazało się to, że nie musiała się starannie czesać i malować przed odebraniem dzieci ze szkoły. Gus i jego pięcioletnia siostra Storm codziennie rano pokonywali na rowerach trasę od domu do bramy, gdzie zostawiali swoje pojazdy i wsiadali do szkolnego autobusu, który zatrzymywał się tam punktualnie o ósmej, żeby ich zabrać. W Londynie Miranda musiała wcześniej wstawać, żeby zadbać o swój wygląd przed spotkaniem z innymi mamusiami na wysokich obcasach i w ogromnych okularach przeciwsłonecznych od Gucciego, o zadbanych włosach, ufarbowanych i doskonale obciętych w słynnym salonie fryzjerskim Richarda Warda. W Hartington prawie nikt nie słyszał o Guccim czy Richardzie Wardzie, a w każdym razie tak uważała Miranda. Z początku wydawało się jej to trochę dziwne, lecz urocze, natomiast teraz już tylko dziwne, i to wcale nie trochę. Dowcipnie narzekała na te prowincjonalne dziwactwa w swojej kolumnie, która stanowiła kronikę jej starań o przyzwyczajenie się do życia na wsi, i zgrabnie obracała zniechęcenie w żart. Deszczowa, przygnębiająca pogoda, w niemożliwy do wyjaśnienia sposób bardziej deszczowa i bardziej przygnębiająca niż w Londynie oraz dziwne aspekty życia w Hartington tworzyły trudną do zniesienia całość. Miranda mogła już tylko śmiać się ze wszystkiego, co ją spotykało.

W przeciwieństwie do męża, wcale nie miała ochoty wyprowadzać się z Londynu. Na samą myśl o oddaleniu się od sklepów firmowych Harveya Nicholasa na odległość większą niż parę metrów, przesyconych zapachem cudownych perfum tegoż projektanta mody, zimny pot spływał jej po

plecach. Smętna konieczność jedzenia w lokalnym pubie, a nie w takich restauracjach jak Ivy czy Le Caprice, zupełnie wystarczyła, by Miranda do pewnego stopnia doceniła uroki własnej kuchni. Bardzo brakowało jej zajęć pilâtes w Notting Hill, lunchów w Wolseley, na które umawiała się z koleżankami i jakże przyjemnych zakupów w sklepie Ralpa Laurena. Nie mieli jednak wyboru. Gus został wyrzucony ze szkoły za agresywne zachowanie i przeniesienie go do spokojnej i cichej wiejskiej szkoły wydawało się rozsądnym rozwiązaniem. Musiał upłynąć jeszcze cały rok, zanim Gusa będzie można wysłać do szkoły z internatem, powierzając trudne dziecko kompetentnym opiekunom i wreszcie pozbywając się kłopotów. Mirandzie i Davidowi Claybourne jeden rok złego zachowania Gusa wydawał się co najmniej stuleciem.

Miranda nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Naprawdę nie miała czasu na zajmowanie się Gusem... Wyrzuciła papierosa z popielniczki do kosza na śmieci i przykryła go kilkoma zgniecionymi kartkami papieru, żeby jego widok nie przypominał jej o braku silnej woli. Szczerze żałowała, że nie zatrudniła opiekunki do dzieci, tylko uparła się, że sama da sobie ze wszystkim radę. Głównym problemem matki pracującej było poczucie winy, rzecz jasna. Wyrzuty sumienia szły ręką w rękę z uczuciem potwornego zmęczenia, ponieważ matka pracująca stara się zrobić wszystko sama i jeszcze wygospodarować trochę czasu dla siebie. David proponował, aby poszukała kucharki i ogrodnika, bo wtedy miałyby więcej czasu na pisanie. Życie na wsi nie przypominało życia w Londynie, gdzie można zamówić do domu sushi albo chińszczyznę od pana Winga; w Hartington Miranda musiała jechać samochodem do miasta, co wymagało wcześniejszego zaplanowania. Nie miała czasu, by się zastanawiać, co przygotować na śniadanie, obiad i kolację. Dobrze chociaż, że pan Tit, mleczarz, codziennie rano przywoził

gazety i mleko białą ciężarówką z tablicą rejestracyjną, na której widniał napis COW 1. Rozśmieszało to Mirandę nawet w czasie tej najbardziej ponurej godziny całego dnia, kiedy na dworze było ciemno i mokro, a ona nerwowo starała się przygotować dzieci do wyjścia do szkoły. Jeśli chodzi o ogród, to mieli tu prawdziwy ogród, nie patio z kilkoma roślinami w doniczkach, ale całą ogromną działkę. Niestety, na wsi niełatwo było znaleźć pomoc domową. Londyn pełen był cudzoziemców, którzy błagali o pracę, ale do Dorset nie dotarł chyba ani jeden obcokrajowiec. Wszystko to razem było naprawdę dziwne i denerwujące... Miranda nie czuła się tu jak u siebie. David zakochał się w domu od pierwszego wejrzenia, ponieważ cierpiał na pewien przerost ambicji i wizja wiejskiej rezydencji przemawiała do niego, natomiast Miranda zaakceptowała Hartington bez wielkiego przekonania i wciąż tęskniła za Notting Hill i miejskim asfaltem, nękana lekkimi wyrzutami sumienia, że nie docenia faktu posiadania dużego domu w iście sielankowym otoczeniu. Tylko że... Co właściwie można było robić na wsi, na miłość boską?

Jako niezależna dziennikarka, zawsze pracowała w napięciu i na ostatnią chwilę. Pieniądze, które zarabiała, nie były im potrzebne - David pracował w City i zarabiał więcej niż większość ludzi jest w stanie wydać przez całe życie, ale pisanie miała we krwi i nie mogłaby przestać pisać nawet gdyby chciała. Marzyła, że kiedyś napisze powieść, wspaniałą historię miłosną, coś w rodzaju *Anny Kareniny* albo *Przeminęło z wiatrem*, nie miała jednak jeszcze dobrego pomysłu. Na razie pisywała więc artykuły do czasopism i gazet, co zaspokajało jej potrzebę wyrażenia samej siebie i dawało istotny punkt zaczepienia w Londynie. Teraz zagłuszała pracą cichy głos rozpacz, który z uporem szeptał jej przykre słowa. Odkładała rozmaite sprawy z nadzieją, że same jakoś się załatwią albo znikną, że David przyzna,

iż przeprowadzka była fatalnym błędem i zabierze ich z powrotem tam, gdzie było ich miejsce. Życie na wsi nie odmieniło przecież Gusa. Jednak radość, jaką David czerpał z przebywania w Hartington, brała się głównie z tego, że w niedzielę wracał do Londynu i mógł do woli przechwalać się weekendem spędzonym w swojej wiejskiej posiadłości. Tymczasem Miranda skazana była na Hartington w świętek, piątek i sobotę...

Pomyślała o mężu, przystojnym i fascynującym Davidzie Claybourne. Zawsze opanowany, zawsze silny i sprawny, płynął przez życie bez najmniejszego wysiłku, zupełnie jakby każdą czynność i sytuację zdążył już przećwiczyć, i to nie raz, w jakimś poprzednim wcieleniu. Odkąd przeprowadziła się z dziećmi do Hartington, rzadko go widywała. Z początku przyjeżdżał do domu w czwartki i zostawał do niedzielnego wieczoru, ale teraz zjawiał się późnym wieczorem w piątek i wyjeżdżał w niedzielę zaraz po lunchu. Najczęściej był zmęczony i miał ochotę na weekend przed telewizorem, w którym leciały rozgrywki golfa. Gdyby nie znała go tak dobrze, już dawno zaczęłaby podejrzewać go o romans, ale David zanadto przejmował się opinią innych, żeby pozwolić sobie na skok w bok.

Wróciła do biurka i wybrała numer męża w firmie Goldman Sachs. Chciała podzielić się z nim troską o Gusa, to jasne, lecz pragnęła także po prostu usłyszeć jego głos.

- To ja, kochanie! - odezwała się, kiedy podniósł słuchawkę. .

- Co u was, skarbie? Wszystko w porządku?

Głos Davida wibrował energią i Miranda od razu poczuła się lepiej.

- Chodzi o Gusa - powiedziała. - Uciekł.

Z piersi Davida wyrwało się pełne zniecierpliwienia westchnienie.

- Znowu?!

Mirandzie zrobiła się przykro, że najwyraźniej zepsuła mu dzień.

- Musisz z nim wieczorem stanowczo porozmawiać - rzekła. - Ciebie powinien posłuchać.

- Przydałoby mu się porządne lanie!

- Wymierzanie kar cielesnych to przestępstwo. Nietrudno się domyślić, że tego rodzaju zasady prawne wymyślili ludzie, którzy nie mają dzieci.

- Rozmawiałaś z panem Marlowem?

- Tak. Nie jest szczególnie zadowolony. Boże, żeby tylko Gusa nie wyrzucili i z tej szkoły! - Mirandą zaczęła nerwowo bawić się ołówkiem.

- Nie wyrzucą go, na wsi ludzie są bardziej tolerancyjni. Poza tym Gus szybko wyrośnie z takich zachowań, zobaczysz! Na razie dopiero przyzwyczajają się do nowego otoczenia.

- Obyś miał rację...

- Jesteś przygnębiona, kochanie?

- Nie wiem, w co mam wsadzić ręce, i tyle! Muszę dziś skończyć kolumnę, a nie mogę spokojnie usiąść przy biurku, bo mam mnóstwo domowych zajęć. Teraz jeszcze Gus

fuciekł ze szkoły... Naprawdę nie mam czasu! Zaraz zacznę wrywać sobie włosy z głowy.

- Szkoda takich pięknych włosów! - zaśmiał się David. - Słuchaj, gdybyś zadała sobie trochę trudu i przyjęła kogoś do porńocy w domu, miałabyś więcej czasu na ważne rzeczy!

Nie potrafił zrozumieć zagubienia i dziwnej niepewności żony. Ostatnio jej zachowanie wydawało mu się kompletnie niezgodne z jej charakterem. Przez osiem miesięcy dowodziła ekipą budowlaną jak zaprawiony w walce oficer, ale teraz zupełnie straciła energię.

- Powinnaś była posłuchać mnie i poszukać opiekunki do dzieci - ciągnął. - Całkiem możliwe zresztą, że Jayne zgodziłaby się przenieść z nami do Dorset, gdybyśmy przedstawili

jej propozycję nie do odrzucenia... Marzyłaś, żeby zostać boginią domowego ogniska, ale to raczej trudne do zrealizowania, prawda? Głupio zrobiliśmy, pozwalając Jayne pożegnać się z nami. Ona jedna umiała okiełznać Gusa! Cóż, jesteś teraz panią na włościach, skarbie, więc postaraj się jakoś zorganizować, na miłość boską, bo inaczej oboje zwariujemy!

David najwidoczniej uważał, że problemy ich syna to sprawa żony.

- Wróci, kiedy zgłodnieje - odparła Miranda, urażona, że David znowu obarcza ją winą za domowe kłopoty. I wtedy odeślę go do szkoły!

Odłożyła słuchawkę i wróciła za biurko. Ponuro popatrzyła na ironiczny tytuł swojej kolumny: „Mój sen o życiu na wsi”.

Gus siedział pod drzewem. Burczało mu w brzuchu, chciał iść do domu, posiedzieć przy kominku w dużym pokoju i pooglądać *Władcę Pierścieni* na DVD. Miał też ogromną ochotę na wiejską zapiekankę Jayne i jabłka z płatkami owsianymi oraz sosem karmelowym. Szarpiący nim gniew powoli odpływał, przegnany wilgotnym wiatrem, który przenikał go aż do kości. Gus energicznie zacierał dłonie i ogrzewał je oddechem. Nawet gdyby dysponował odpowiednim słownictwem, co oczywiście nie miało miejsca, nie potrafiłby wyjaśnić swojego postępowania. Nie wiedział, dlaczego zatruty jest zniechęceniem i złością. Czuł się odrzucony, a kiedy atakował innych, było mu trochę lżej. Nagle wielka bańka urosła w jego żołądku, powędrowała w górę tchawicą i eksplodowała w gardle, przybierając postać głośnego, żalosego, niekontrolowanego szlochu. Własne łzy zaskoczyły go i przeraziły, nie był jednak w stanie nad nimi zapanować.

- Wszystko w porządku, chłopcze?

Gus odwrócił się, pośpiesznie tłumiąc płacz. Mężczyzna podszedł do niego tak cicho, że w ogóle nic nie słyszał. Za plecami przybysza dyszały dwa czarne owczarki.

- Jesteś synem Da vida Claybourne'a, prawda? - zapytał Jeremy Fitzherbert.

Gus kiwnął głową. Jeremy przedstawił mu się i jego szczupłą, ogorzałą 'twarz rozjaśnił uśmiech. Jeden z psów oparł się o nogawkę brązowych sztruksowych spodni Jeremy'ego, wetkniętych w zielone kalosze. Tweedowa czapka przykrywała rzędzące kasztanowe włosy mężczyzny, oczy miał małe, błyszczące i intensywnie niebieskie. Dłonią w rękawiczce poklepał psa po głowie; w drugiej trzymał długi kij, ten sam, którym Gus tak często droczył osła.

- Nie powinieneś być teraz w szkole? No, chodź, odprowadzę cię do domu!

Chłopiec niechętnie podniósł się z trawy. Jeden z psów skoczył ku niemu i Gus cofnął się nerwowo.

- Och, on tylko chce sobie poskakać! - zaśmiał się Jeremy. - Nie bój się, nie gryzie! Ten chudy nazywa się Pan Ben, a gruby to Wolfgang... - serdecznie poklepał Pana Bena.

Gus otarł twarz rękawem i ruszył za Jeremym ścieżką. Owce skupiły się w ciasną grupkę, gotowe zmienić miejsce na pastwisku. Osioł Charlie nadal tkwił w odległym rogu i czujnie obserwował nadchodzących.

- Charlie! - Jeremy wyjął z kieszeni marchewkę. - Chodź tutaj, staruszk!

Charlie ani drgnął.

- Co z nim? - wymamrotał Jeremy do siebie. Gus spuścił wzrok i wepchnął ręce do kieszeni.

- Ach, te osły - westchnął Jeremy, potrząsając głową. -Później wrócę i sprawdzę, czy wszystko z nim w porządku. To stare zwierzę, ma ponad dziewięćdziesiąt lat, wiesz?

- Naprawdę? - Gus ostrożnie zerknął spod ciemnej grzywki.

Jeremy zauważył w jego oczach jakiś twardy błysk i zmarszczył brwi. Nie wiedział, jak należy rozmawiać z osobą w wieku Gusa, więc bez słowa ruszył w górę tymiankowej alejki. Gus w milczeniu szedł z nim, zastanawiając się, jak by tu odzyskać kij, który trzymał w ręku mężczyzna.

Kiedy dotarli do końca alejki, Gus szybko przeszedł przez prowadzącą do ogrodu bramę i rzucił Jeremy'emu szybkie spojrzenie, bardziej zbywające niż pełne wdzięczności.

- Czy twoja mama jest w domu? - spytał Jeremy. - Chciałbym się z nią zobaczyć.

Gus zawahał się i przygryzł dolną wargę. Jeremy odniósł dziwne wrażenie, że chłopiec zbiera siły przed spotkaniem z matką.

- Maaaamooo! - zawołał w końcu.

Dłonie Mirandy zawisły nad klawiaturą laptopa. Zalała ją fala ulgi. Pośpiesznie zbiegła do holu, gdzie Gus niepewnie przestępował z nogi na nogę, z rękami w kieszeniach i buzią wysmarowaną błotem i łzami. Serce Mirandy ścisnęło się boleśnie.

- Kochanie, tak się martwiłam! Gdzie byłeś? - uklękła i próbowała zagarnąć syna w ramiona, lecz on nagle zeszywniał, jakby jej dotyk sprawiał mu przykrość. - Nie możesz tak po prostu znikać, to niebezpieczne.

Miranda dopiero teraz zauważyła stojącego w drzwiach Jeremy'ego.

- Och, przepraszam, nie widziałam pana... - podniosła się z kolan.

- Nazywam się Jeremy Fitzherbert, jestem waszym sąsiadem. - Mężczyzna zdjął rękawiczkę i uścisnął dłoń Mirandy. - Machaliśmy już do siebie z oddali, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Ach, tak, poznał pan tylko mojego męża, Davida. Ręka Jeremy'ego była szorstka i ciepła. Zwrócił uwagę na

zadbane paznokcie Mirandy i pierścionek z dużym szafirem i brylantem na trzecim palcu lewej dłoni. Pachniała limetką.

- Mam na imię Miranda - uśmiechnęła się. - Dziękuję, że przyprowadził go pan do domu! Niepokoiłam się, co się z nim dzieje.

- Był w lesie - rzekł Jeremy. - Nie grozi mu tam żadne niebezpieczeństwo, no, chyba żeby złapał się we wnyki na lisy.

- Wnyki na lisy? - Oczy Mirandy rozszerzył lęk. Jeremy wzruszył ramionami.

- Porywają mi kurczęta, a te najbardziej odważne czasami atakują nawet zabłąkane owce. Wydaje mi się jednak, że Gus jest za sprytny, aby wpaść w taką pułapkę.

Miranda odwróciła się, ale Gus zdążył już zniknąć.

- Jestem przyzwyczajona do miejskich parków i niewiele wiem o życiu na wsi - w jej głosie zabrzmiała nuta zdenerwowania. - Wszystko to jest dla mnie kompletnie nowe.

Jeremy ogarnął wzrokiem długie brązowe włosy, ściągnięte w koński ogon i jasnobłękitne oczy, lśniące trochę twardo, jak kryształ, podobnie jak oczy jej syna. Miał przed sobą piękną kobietę o wysokich, wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i mocnym podbródku, nieco za szczupłą jak na jego gust.

- Ma pan żonę, panie Fitzherbert?

- Proszę mówić mi po imieniu! - uśmiechnął się. - Nie, jestem biednym kawalerem, przypadkiem zasługującym na najwyższą litość. Każda znana mi kobieta o litościwym sercu stara się znaleźć mi narzeczoną, ale kto by tam dziś chciał zostać żoną farmera - w oczach Jeremy'ego lśniły iskierki poczucia humoru.

- O, jestem pewna, że jakaś dama czeka na ciebie, chociaż oboje nic jeszcze o tym nie wiecie! Masz mnóstwo czasu, nie pogania cię żaden biologiczny zegar, nic nie zmusza do zawarcia małżeństwa, zanim będziesz na to rzeczywiście gotowy! - Miranda rozciągnęła wargi w uśmiechu, nie chcąc sprawiać wrażenia niezadowolonej z życia. - Zapytałam cię o żonę tylko dlatego, że szukam kucharki i ogrodnika,

a kobieta wiedziałaby, jak się do tego zabrać. Nie znasz przypadkiem kogoś, kto szukałby takiej pracy? Ciągle brakuje mi czasu, jestem pisarką i po prostu nie mogę sobie pozwolić na przeczesywanie okolicy w poszukiwaniu pomocy.

Jeremy ze zrozumieniem pokiwał głową. Nie wątpił, że w Londynie Miranda miała całą armię Filpińczyków na usługi.

- Najlepiej byłoby powiesić ogłoszenie w cukierni Cate's Cake Shop w mieście. Cate ma dużą klientelę, więc wcześniej czy później znajdzie się ktoś odpowiedni. Może zaproponowałabyś jako mieszkanie ten domek nad rzeką? Jest pusty, prawda?

- Ten stos kamieni?! Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał tam zamieszkać! To ruina!

Jeremy się roześmiał.

- Ale ma swój urok i nie trzeba dużo pieniędzy, by przywrócić go do znośnego stanu! Jeżeli zaoferujesz domek, łatwiej znajdziesz kogoś do pracy na terenie posiadłości! Całkiem prawdopodobne, że będzie to ktoś przyjezdny, więc domek stanie się dodatkową zachętą!

- Pewnie masz rację.

- Popytam wśród sąsiadów, czy nie znają kogoś, kto by ci się przydał.

- Dziękuję! - Miranda uświadomiła sobie nagle, że Jeremy nadal stoi w drzwiach.

Wyglądał na zziębniętego, więc zaproponowała mu filiżankę kawy i natychmiast tego pożałowała. Na szczęście Jeremy odmówił.

- Muszę zajrzeć do Charliego - wyjaśnił.

- Do Charliego?

- To osioł, bardzo przyjacielskie zwierzę. Zostałem go dziś skulonego w rogu pastwiska, a to zupełnie do niego niepodobne. Mam nadzieję, że twojemu synowi nic nie jest, bo w lesie płakał. Mam konia, nazywa się Whisper i mały

mógłby na nim pojeździć, gdyby miał ochotę. W razie czego daj mi znać, jestem w książce telefonicznej.

- Dziękuję! - odparła.

Zamknęła drzwi za gościem i spojrzała na zegarek. Nie miała pojęcia, co mogłaby dać Gusowi na lunch.

Znalazła syna siedzącego na ławie w kuchni i zajętego grą bojem. Gdy weszła, zerknął na nią niechętnie.

- Posłuchaj, skarbie - zaczęła, starając się nadać głosowi zdecydowany ton. - Dlaczego ugryzłeś tego chłopca w szkole? Sądzisz, że uda ci się z kimś zaprzyjaźnić, jeżeli będziesz gryzł kolegów?

- Nie chcę się z nikim zaprzyjaźniać! - Gus nawet na chwilę nie oderwał wzroku od małego monitora.

- Ale dlaczego go ugryzłeś?

- To on zaczął!

- Nie obchodzi mnie, kto zaczął! Nie możesz terroryzować ludzi! Chcesz, żeby cię wyrzucili? Będziemy wtedy musieli wysłać cię wcześniej do szkoły z internatem.

- Nie! - odpowiedział Gus, szybko podnosząc głowę. W ogóle nie chciał iść do szkoły z internatem. - Każesz mi wrócić dzisiaj do szkoły?

- Nie - nie miała serca tak go ukarać. - Muszę pojechać do miasta i zostawić ogłoszenie w cukierni. Jeśli chcesz, możesz posiedzieć w domu. Zaraz wstawię do piecyka rybne kromki.

- Mogę obejrzeć *Władcę Pierścieni*? - Gus odrzucił nadąsaną minę jak niepotrzebną maskę.

- Jeżeli obiecasz mi, że nie będziesz prześladował innych dzieci.

- Obiecuję! - rzucił lekko, zeskakując z ławy. Miranda uściskała go mocno.

- Kocham cię! - powiedziała.

Te dwa słowa zawsze służyły jako rekompensata za brak czasu dla syna. Gus bez słowa pobiegł do dużego pokoju, w którym znajdował się telewizor z odtwarzaczem DVD, a Miranda poszła zadzwonić do szkoły i poinformować nauczyciela, że Gus już się znalazł, ale nie wróci na lekcje z powodu bólu brzucha. Chciała też poprosić, aby jakieś starsze dziecko doprowadziło Storm do szkolnego autobusu. Postanowiła, że wyśle Gusa, aby odebrał siostrę spod bramy - przynajmniej tyle mógł chyba zrobić.

Jeremy zagwizdał na psy i zawrócił na pastwisko. Charlie nadal stał w odległym rogu.

- No, chodźże, staruszkule! - zawołał Jeremy, zdejmując rękawicę i wyjmując marchewkę.

Lubił czuć dotyk aksamitnych nozdrzy Charliego. Minęła dłuższa chwila, nim osioł się zorientował, że Jeremy jest sam. Dopiero wtedy podrzucił łbem i pogalopował przez łąkę. Gdy dobiegł do Jeremy'ego, parsknął kilka razy, wtulił miękki pysk w jego dłoń i wziął marchewkę ostrożnie, aby nie ugryźć pana w palec. Jeremy potarł krótką sierść między oczami zwierzęcia i uśmiechnął się do niego.

- Co się z tobą dzieje, Charlie? - zapytał. - Dlaczego stałeś tam i stałeś, zupełnie jakbyś się bał podejść? Przecież nigdy nie odmawiasz marchewki...

Po paru minutach Jeremy ruszył w stronę lasu, a Charlie podążył za nim. Osiołek niczego nie pragnął bardziej, niż pójść z panem do stajni Manor Farm, gdzie mieszkał razem z koniem Whisperem, lecz Jeremy poklepał go po grzbiecie i zamknął furtkę, zostawiając Charliego na łasce okropnego małego chłopca, który ostatnio ciągle gonił go z kijem.

II

W NOCY DZIKIE WIATRY ŚWISZCZĄ WOKÓŁ DOMU JAK ROZBAWIONE DUCHY

Miranda dojechała do miasta wąską, krętą drogą. Harrington było urocza, staroświecką osadą, która w szesnastym wieku powstała nad rzeką Hart. Most w górnym biegu rzeki wzniesiono podobno specjalnie dla królowej Elżbiety I, aby jej powóz nie utknął w błocie, gdy postanowiła odwiedzić miejscowy zamek, dziś kompletną ruinę, do którego z drugiej strony miasta można było dotrzeć pieszo w ciągu pięciu minut. Mieszkańcy Harrington byli dumni ze swej tradycji i co roku w czerwcu świętowali odwiedziny wielkiej monarchini w mieście.

Na ulicy biegnącej środkiem z pewnym trudem mieścił się jeden samochód, a tłoczące się tu i ówdzie niewielkie sklepiki wydawały się czynić ją jeszcze węższą. Był tu salon fryzjerski u Troya, cukiernia Cate's Cake Shop, sklep z pamiątkami, antykwariat, delikatesy i księgarnia. Dalej ulica wychodziła na duży skwer ze stawem, po którym pływały kaczki i na boisko

do gry w krykieta. Z jednej strony skweru stał ratusz miejski, klasyczny budynek z piaskowca, z imponującymi kolumnami i wysokimi zielonymi odrzwiami oraz gospoda Duck and Dapple z charakterystycznymi belkowanymi sufitami i malutkimi okienkami z epoki Tudorów. Z drugiej strony znajdowała się szkoła podstawowa, gdzie mały Adam Hudson wciąż jeszcze czuł ból, jaki zadały mu zęby mieszkającego od niedawna w tej okolicy kolegi i gdzie pan Marlow mamrotał do siebie gniewne uwagi na temat bezczelności Gusa Claybour-ne'a. Nad skwerem dominował kościół pod wezwaniem św. Hildy i plebania; to tu wielebna Freda Beeley odprawiała nabożeństwa i przewodniczyła modlitewnym spotkaniom i to tu stary pułkownik Pike co tydzień narzekał i oburzał się, że proboszcz jest kobietą.

Od przeprowadzki do Hartington House Miranda wypuszczała się do miasta tylko wtedy, gdy koniecznie musiała coś kupić, na przykład prezent na urodziny teściowej albo puszkę duszonej fasolki. Ani razu nie zadała sobie trudu, aby porozmawiać z miejscowymi, chociaż ze sposobu, w jaki na nią patrzyli, jasno wynikało, że doskonale wiedzą, kim jest. Zamieszkała przecież w Hartington House, wielkiej posiadłości po drugiej stronie rzeki. Otoczony pagórkami i krętymi drogami dom ukryty był wśród drzew i odgradzony od miasta, które wydawało się wciąż tkwić korzeniami w przeszłości. W Londynie ludzie nie mieli w zwyczaju przystawać, aby pogawędzić na ulicy, a mieszkający w tym samym domu sąsiedzi przez całe lata nie zamieniali ze sobą ani słowa. Miranda aż kuliła się wewnątrz na samą myśl, że wszyscy mogliby wiedzieć o niej rozmaite rzeczy i oceniać ją, że mogłaby brać udział w proszonych drugich śniadaniach w miejskim ratuszu albo chodzić do kościoła i wymieniać uściski dłoni z ludźmi, których nie miała najmniejszej ochoty poznawać. Wystarczająco trudna była dla niej świadomość, że dzieci wcześniej czy później zaczną

przyrowadzać do domu kolegów ze szkoły, chociaż, sądząc po ostatnich wysiłkach Gusa, raczej nie należało liczyć na to, że chłopiec z łatwością nawiąże nowe kontakty. Ustawiając dzipa na parkingu za sklepem z upominkami, Miranda zadrżała, uświadomiwszy sobie, że - chcąc nie chcąc - będzie musiała porozmawiać z właścicielką cukierni. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, był aktywny udział w życiu towarzyskim miasta. Słowo „społeczność” budziło w niej głęboki wstręt, przywoływało wizje kobiet z prowincji, z chusteczkami na głowach, popijających razem herbatę i rozważających, jak zorganizować zbiórkę pieniędzy na nowy dach kościoła. Cóż, po prostu powieszę kartkę z ogłoszeniem, uśmiechnę się słodko i ucieknę, postanowiła.

Ca te Sharpe siedziała przy okrągłym stoliku i rozmawiała z Henriettą Moon, do której należał sklep z pamiątkami. Ciemne włosy Cate obcięte były na pazia i tworzyły ostrą, surową ramę dla szczupłej, bladej twarzy z oczami koloru gorzkiej czekolady i dla drobnych ust nad słabym podbródkiem.

- Nie powinnaś chyba pić czekolady, jeżeli starasz się zrzucić parę kilogramów, moja droga - odezwała się Cate, leniwie rozciągając samogłoski. - Gdybym ja miała przed sobą tak ostrą walkę z nadwagą jak ty, piłabym kawę, która przyspiesza przemianę materii.

Henrietta się uśmiechnęła, odwołując się do mechanizmu obronnego, jaki nauczyła się stosować w dzieciństwie. Potrząsnęła głową, aż długie kasztanowe włosy opadły jej na twarz i wzięła głęboki oddech.

- Dałam już sobie spokój z dietami - wyjaśniła.

Nie mówiła prawdy, ale łatwiej było udawać, że nie przejmuje się swoją tuszą.

- Życie jest za krótkie! - dorzuciła.

Cate macierzyńskim gestem położyła rękę na dłoni Henrietty, choć ta miała już trzydzieści osiem lat i była zaledwie o siedem lat młodsza od swojej mentorki.

- Wiesz, że mam dla ciebie największy szacunek, ale jeśli szybko czegoś nie zrobisz, będziesz żyła znacznie krócej niż powinnaś - oznajmiła Cate. - Jesteś ładna i gdybyś straciła z dziesięć kilo, miałabyś większą szansę znaleźć sobie jakiegoś faceta. Mówię to z przykrością, lecz mężczyźni nie czują pociągu do tęgich kobiet, uważają je za mało atrakcyjne. Mogę ci to powiedzieć, bo jestem twoją przyjaciółką i chyba nie wątpisz, że twoje dobro zawsze leży mi na sercu, prawda?

Henrietta bez słowa skinęła głową i przełknęła łyk czekolady.

- Nieduży dziś ruch, co? - zagadnęła po chwili Cate. Henrietta znowu przytaknęła.

- Na pewno nie jest ci łatwo! - zaśmiała się Cate. - Pracujesz przecież naprzeciwko cukierni!

Cate, która była właścicielką cukierni i zawsze miała idealną sylwetkę... Cate, która nosiła dopasowane krótkie spódniczki i obcisłe sweterki, której biały fartuszek z nazwą cukierni wyhaftowaną różową nicią dzień w dzień zachwycał czystością... Cate, której nie lubił nikt, nawet jej własny mąż... Cate gadała dalej, a oczy Henrietty zasnuła mgiełka.

Henriecie ślina napłynęła do ust, gdy tak patrzyła na wyłożone na kontuarze ciastka. Na zewnątrz panował nieprzyjemny ziąb i trochę słodczy na pewno zwiększyłyby odporność na chłód, lecz Cate siedziała między nią i ladą niczym Cerber, niwecząc wszelkie nadzieje na odrobinę słabości.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do cukierni weszła Miranda Claybourne. Cate i Henrietta natychmiast rozpoznały tę zarozumiałą mieszkankę Londynu, która niedawno wprowadziła się do Hartington House.

- Dzień dobry! - Miranda posłała obu kobietom uroczy uśmiech.

Zsunęła ciemne okulary od Chanel na czubek głowy i podeszła do kontuaru po podłodze z czarno-białych kafelków.

Wnętrze cukierni wydało jej się bardzo różowe - różowe ściany, różowe rolety, różowe koszyczki ze smakowicie wyglądającymi ciastkami, poustawiane w równe rzędy. Zorientowała się, że za ladą nikogo nie ma i odwróciła się do Cate i Henrietty.

- Wiecie może, gdzie się podziała? - zagadnęła.

- Chodzi pani o mnie - podniosła się z miejsca Cate. - Jestem Cate...

- Miranda Claybourne - odparła Miranda, wyciągając rękę. - Sprowadziłam się tu niedawno i szukam pomocy domowej. Jeremy Fitzherbert, nasz sąsiad, powiedział, że powinnam porozmawiać właśnie z panią. Najwyraźniej ta cukiernia to serce Hartington! - zaśmiała się.

Cate potraktowała uwagę Mirandy jako komplement i podała jej dłoń, wiotką jak wilgotną jak niewyrobione ciasto.

- Cóż, znam wszystkich w okolicy i w mojej cukierni jest zwykle pełno ludzi. Mam tu nawet tablicę ogłoszeniową - wskazała ścianę przy drzwiach, gdzie na sporej korkowej tablicy wisiało mnóstwo małych karteczek. - Mogę panią poczęstować kawą?

Miranda nie miała wielkiej ochoty na kawę, ale coś w sposobie bycia Cate sugerowało, że właścicielka cukierni mogłaby poczuć się urażona odmową.

- Chętnie się napiję - rzekła pośpiesznie.

Zdejmując płaszcz od Prądy i siadając przy okrągłym stoliku, przez chwilę myślała o Gusie, który został sam w domu. Cate postawiła przed nią różowe ciasteczko i filiżankę kawy. Henrietta zmierzyła poczęstunek łakomym wzrokiem.

- Świetny płaszcz! - oświadczyła Cate, siadając. - Ach, to jest Henrietta - dodała niedbale. - Jest właścicielką sklepu z pamiątkami.

- Już się poznałyśmy - powiedziała Henrietta, która bynajmniej nie oczekiwała, aby zapamiętała ją taka kobieta jak Miranda Claybourne. - Była pani w moim sklepie.

- A, tak... - Miranda przypomniała sobie pośpieszny zakup pachnącej świecy i papieru do notowania. - Rzeczywiście.

Henrietta spuściła wzrok. Nigdy w życiu nie widziała równie eleganckiej osoby.

- I jak? - zagadnęła Cate. - Jak wam się układa?

- Świetnie - odpowiedziała Miranda, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Nie miała nic szczególnie pozytywnego do powiedzenia, a nie chciała urazić swoich rozmówczyń.

- Jakiego rodzaju pomocy pani szuka? - zapytała Henrietta.

Miranda od razu zwróciła uwagę na jej piękną cerę, podobną do gładkiego kremu toffi. Henrietta musiała mieć pod czterdziestkę, ale na jej twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Miranda chciała zapytać, jakich kosmetyków używa, wołała jednak nie nawiązywać zbyt bliskich znajomości. Pociągnęła łyk kawy i mimo woli uniosła brwi. Kawa była po prostu znakomita - niepotrzebnie rozpaczała nad nieodwołalną utratą londyńskiej kawiarni Caffè Nero.

- Potrzebny mi ktoś do gotowania i sprzątanania, no i ogrodnik - wyjaśniła. - Ogród jest w fatalnym stanie.

- Wie pani, że ten ogród był kiedyś naprawdę zachwycający? - Henrietta popatrzyła na nią uważnie.

- Naprawdę? Nigdy bym nie uwierzyła.

- O, tak! - potwierdziła Cate. - Lightlyowie zakładali najpiękniejsze ogrody na świecie! Pewnie nie zna się pani zbyt dobrze na ogrodnictwie, mieszkała pani przecież w Londynie.

- Ava Lightly miała dobrą rękę do roślin - dodała pośpiesznie Henrietta.

Przestraszyła się, że Miranda mogła poczuć się urażona. Cate nie bardzo umiała rozmawiać z obcymi, była jak czujne zwierzę, które oznacza swoje terytorium mieszanką słodczy i zjadliwości.

- Wyjechała stąd dwa lata temu - ciągnęła. - Ogród szybko zarasta, jeśli nikt o niego nie dba.

- Ja raczej nie mam dobrej ręki do roślin. - Miranda zerknęła na swoje starannie wypolerowane paznokcie i skrzywiła się na myśl, że będzie musiała sama robić sobie manicure. - Tak czy inaczej, przygnębia mnie widok splątanych krzewów i zachwaszczonych trawników.

Henrietta głośno przełknęła ślinę, widząc, jak Miranda zagłębia zęby w ciastku.

- Sama pani je piecze? - Miranda z zaciekawieniem spojrzała na Cate.

Właścicielka cukierni kiwnęła głową i ułożyła wargi w tak wydatny dzióbek, że jej podbródek kompletnie zniknął.

- Nigdzie w Dorset nie znajdzie pani lepszej kawy ani ciastek - oznajmiła z dumą. - Mam nadzieję, że będzie pani u mnie częstym gościem. Kiedy ktoś raz spróbuje moich specjałów, zawsze będzie za nimi tęsknił.

- Teraz już doskonale wiem, dlaczego. - Miranda zupełnie nie rozumiała, jak ta chuda, wręcz koścista kobieta mogła piec takie pyszne ciastka i nie opychać się nimi.

- Ja też popytam, czy ktoś nie szuka pracy - zaproponowała Henrietta.

- Do mojego sklepu przychodzi mnóstwo klientów, Hartington przyciąga ludzi z całej okolicy, więc nigdy nie wiadomo.

Uśmiechnęła się do Mirandy, która mimo wszystko poczuła do niej sympatię. Henrietta miała miły, serdeczny i skromny uśmiech kobiety zupełnie nieświadomej własnej urody.

Drzwi otworzyły się znowu i do środka wpadł podmuch zimnego wiatru.

- No, proszę bardzo! - zawołał szeroko uśmiechnięty mężczyzna o gładkiej, przystojnej twarzy. - To tutaj ją trzymacie? Zaskakujesz mnie, Etto! Cate, twoja skrytość wcale mnie nie dziwi, po tobie spodziewam się wyłącznie najgorszego.

- To Troy - oświadczyła radośnie Henrietta. - Gdyby chciała pani ułożyć włosy albo zrobić sobie nową fryzurę, jego zakład fryzjerski jest po drugiej stronie ulicy. Chociaż oczywiście pani i tak ma idealną fryzurę.

Mężczyzna odwrócił się do Mirandy, kładąc dłonie na pasku dżinsów.

- Jest tu pani już od dość dawna i do tej pory nie zajrzała pani, żeby się przywitać? Czujemy się głęboko urażeni - lekko wydał wargi, a jego zaraźliwy uśmiech sprawił, że nastrój Mirandy od razu się poprawił. - Cate, miłości mojego życia, mam okropną ochotę na ciastko! Na dworze jest paskudnie zimno, a o dwunastej przychodzi znana nam wszystkim potworna staruszka na tę swoją niebieską płukanke!

- Jesteś bardzo nieuprzejmy! - zachichotała Henrietta. - Staruszka wcale nie jest potworna, a Troy tak naprawdę ma na imię Peter - wyjaśniła Mirandzie.

- Bardzo mi miło! - rzekł Troy, nie czekając na odpowiedź. - I ja też poproszę kawę... - Utkwił jasnoorzechowe oczy w Mirandzie, mierząc ją wzrokiem z bezwstydną śmiałością. - Jest pani najbardziej zachwycającą istotą, jaka od lat pojawiła się w Hartington. Ostatni raz widziałem coś równie pięknego w lasach za miastem - była to cudna lisica, oczywiście we własnym futrze. Widzę, że pani futerko pochodzi od Prądy, a te skórzane botki są po prostu świetne, najmodniejsze w tym sezonie - z aprobatą pociągnął nosem. - Na dodatek jest pani urocza i piękna! A jaki jest pani mąż? Bardzo przystojny?

Miranda o mały włos nie opluła kawą swojego zamszowego żakietu.

- Boże, co to za pytanie! - parsknęła śmiechem. - Piękno tkwi w oku patrzącego. Moim zdaniem jest przystojny!

- No i ma pani ogromną klasę - ciągnął Troy. - Uwielbiam osoby z klasą! Jeżeli ma pani szlachecki tytuł, ostrzygę panią za darmo!

- Nie mam tytułu, niestety. Jestem zupełnie zwyczajną panią Claybourne.

- Panią Claybourne z Hartington House jednakże, a to brzmi imponująco! Piękna i fascynująca, co za połączenie! Wystarczy, aby zawrócić w głowie gejowi!

- Miranda szuka pomocy domowej - poinformowała Henrietta. - Kucharki.

- Umiem gotować - oświadczył, nie odrywając wzroku od Mirandy.

- I ogrodnika!

Przygarbił się, udając przygnębienie.

- W tej dziedzinie jestem kompletnie beznadziejny! Każda roślina jakiej dotknę natychmiast usycha. Dobrze, że moja kotka nie jest zielona, bo też marnie by skończyła... Szkoda by było, gdyby przeze mnie zmarnował się ogród, który kiedyś zasługiwał na miano najpiękniejszego w całym hrabstwie Dorset!

Henrietta zauważyła, że Cate przestała się odzywać. Stała odwrócona do nich plecami i robiła kawę, raz tylko rzuciła Troyowi niepewne spojrzenie.

- Jak tam moja kawa, skarbie? - zagadnął.

- Już prawie gotowa - odpowiedziała Cate. Atmosfera nagle ostygła, jak zwykle dopasowując się do

nastroju Cate. Zachowali się nierozsądnie, tak długo ignorując gospodynię. Miranda wyczuła, co się dzieje i szybko zerknęła na zegarek.

- Boże, muszę już pędzić! Bardzo się cieszę, że mogłam was poznać.

- My także - odparła szczerze Henrietta. - Znajdziemy ogrodnika, proszę się nie martwić!

- Już pani idzie? - zdumiał się Troy. - Przecież dopiero się poznaliśmy, spędziłem w pani towarzystwie zaledwie dziesięć minut! Może to moja woda kolońska nie przypadła pani do gustu?

- Wręcz odwrotnie! - Miranda z rozbawieniem pokręciła głową. - Ten zapach idealnie do pana pasuje!

- Jest słodki, prawda?

- Ale przyjemnie słodki!

- Co za ulga! - Troy rzucił Mirandzie filuterny uśmiech. - Proszę przywieźć kiedyś pana Claybourne na strzyżenie, z radością go poznam.

I sugestywnie poruszył brwiami.

- Chyba nie powinnam ryzykować - powiedziała Miranda. - Mogłabym go później nie odzyskać.

Wstała i włożyła płaszcz. Obie kobiety obserwowały ją z zazdrością. Płaszcz był czarny, dopasowany, z szerokim futrzanym kołnierzem i linią ramion tak ostro podkreślona poduszkami, że Miranda prawie cięła nimi powietrze.

- Dziękuję za kawę i ciastko - uśmiechnęła się do Cate. - Naprawdę nigdzie nie piłam lepszej, nawet w Londynie!

Cate rozpogodziła się w jednej chwili.

- Mogę przyczepić to ogłoszenie na tablicy? - Miranda wyjęła kartkę z torebki.

- Oczywiście, wszyscy na pewno je przeczytają! - zawołała Cate.

Jej zapewnienie nie było potrzebne - ogłoszenie okazało się tak duże, że nikt nie miał szans go nie zauważyć.

- Nooooo - zamruczał Troy z zachwytem po wyjściu Mirandy. - Niezła laseczka! „Dziękuję za kawę i ciastko”! - powtórzył, naśladowując akcent gościa. - Coś cudownego!

- Z początku zachowywała się dość chłodno, ale pod koniec zrobiła się całkiem miła - odezwała się Henrietta. - Wydaje mi się jednak, że zupełnie nie wie, co o tobie myśleć, Troy! - dorzuciła żartobliwym tonem.

- Sympatyczna, ale chyba trochę nadęta, co? Typowa dama z Londynu, one zawsze uważają, że są lepsze od reszty

ludzi - zauważyła Cate, stawiając przed Troyem kawę i ciastko. - To jedna z tych, które przywykły mieć do dyspozycji cały sztab służących! Najwyraźniej nie bardzo potrafi sobie poradzić bez sprzątaczk, kucharki, ogrodnika i Bóg wie, kogo jeszcze. Wparowała tutaj niemal bez słowa, można by pomyśleć, że to poczta! Wprowadziła się do Hartington House już dwa miesiące temu, a dopiero teraz raczyła do nas zajrzeć. Hartington to dla niej zabita deskami dziura, pewnie ma nas za prymitywnych prowincjuszy! - prychnęła wzgardliwie. - Dosyć ładna, chociaż nic nadzwyczajnego.

- Moim zdaniem za surowo ją osądzasz - rzekł Troy, świadomy, że Cate rzadko ma coś miłego do powiedzenia o innych. - Bardzo uprzejmie podziękowała za kawę i wychwalała ją pod niebiosa!

- Dałam jej do myślenia, co? Nigdzie nie znajdzie lepszej kawy!

- Muszę wracać do sklepu - powiedziała Henrietta. - Zostawiłam Clare całkiem samą...

- Nie przejmuj się, twoja siostra świetnie sobie radzi! - oświadczyła Cate. - Nie macie przecież dużego ruchu... Weźmiesz ciastko?

- Ciastko? - powtórzyła Henrietta, całkowicie zbita z tropu. Zaledwie parę minut temu Cate krytykowała ją za łakomstwo.

- Dla Clare, głuptasie! - wyjaśniła Cate, wrzucając ciastko do papierowej torebki.

Henrietta wzięła ciastko i wyszła z uczuciem całkowitego upokorzenia.

Miranda znalazła Gusa przed kominkiem. Oglądał *Władcę Pierścieni* i zajadał się chipsami, popijając je coca-colą.

- Nie masz nic zadane? - spytała. Gus wzruszył ramionami.

- Zostawiłem plecak w szkole. Westchnęła.

- Nie zapomnij przynieść go w poniedziałek, bo znowu wpakujesz się w kłopoty! Wieczorem przyjeżdża ojciec, nie jest zachwycony twoimi dzisiejszymi wybrykami.

- Nie zrobiłem tego specjalnie! - Gus wepchnął sobie do ust garść chipsów. - To nie ja zacząłem.

- Nie mam ochoty cię słuchać, muszę wracać do pracy. Wyłącz film, kiedy przyjedzie twoja siostra, bo ona boi się tych ohydnych stworzeń.

- Orków - poprawił ją Gus.

- Wszystko jedno, jak się nazywają! Nie zapomnij wyłączyć!

- Ale mam... Wyłącz film!

Miranda wróciła za biurko. Wciąż jeszcze miała w ustach smak pysznego ciastka i mocnej, świetnej kawy. Ludzie, których właśnie poznała, doskonale nadawali się na urozmaicenie jej tekstów. Troy był cudownie barwny, a Henrietta zmysłowa, miła, łagodna i całkowicie zdominowana przez Cate, która mimo swoich magicznych zdolności kulinarnych niewątpliwie była toksyczną osobowością. Całkiem interesujące trio... Bardzo zależało jej na stworzeniu ciekawych postaci, które mogłyby co miesiąc pojawiać się w jej kolumnie. Później może rozwinięłyby odpowiednie wątki, napisała powieść, sprzedała prawa do sfilmowania jakiemuś producentowi i z satysfakcją by patrzyła, jak świat otwiera się przed nią niczym gigantyczna ostryga. Jej palce zaczęły szybko wystukiwać zdania na klawiaturze.

Po chwili usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi i lekkie kroki pięcioletniej córeczki.

- Kochanie! - zawołała, trochę zirytowana, że Storm wróciła do domu akurat w chwili, gdy ona wgryzała się w swoich bohaterów.

Storm stanęła w drzwiach. Jej oczy miały ponury wyraz, ciemne włosy były odgarnięte do tyłu, a policzki zaróżowione od chłodu.

- Miałaś dobry dzień w szkole?

- Nie - odparła dziewczynka. - Gus to bandyta. Miranda przestała pisać i spojrzała na córkę.

- Bandyta?

- Madeleine nie chce przyjść bawić się ze mną, bo boi się Gusa!

- Wiem - westchnęła Miranda. - Ugryzł dziś jakiegoś chłopca.

- Widziałam ślad, ugryzł go do krwi!

- Ten mały pewnie pokazywał to wszystkim jak wojenną ranę! - powiedziała Miranda z rozdrażnieniem.

Nie miała cienia wątpliwości, że matka chłopca zadzwoni do niej ze skargą.

- Gus wyrywa nogi pająkom!

- I dobrze, pająki są okropne!

- To stworzenia Boże... - w oczach Storm zalśniły łzy.

- Na miłość boską, z kim ty rozmawiałaś, skarbie? - zdziwiła się Miranda.

- Pani Roberts mówi, że każda istota jest wyjątkowa, a Gus wszystko niszczy i zabija!

- Chodź do mnie, kochanie - wzięła córkę w ramiona.

- Nie lubię Gusa.

- Nie ty jedna... Może pobawisz się trochę w swoim pokoju, co? Gus ogląda teraz *Władcę Pierścieni*.

Storm się cofnęła.

- Masz coś zadane? - zapytała Miranda.

- Tak.

- Przyjdę za minutkę i ci pomogę, dobrze? Dziewczynka wiedziała jednak, że „minutka” potrwa co

najmniej godzinę i ostatecznie będzie musiała odrobić lekcje sama. Jej mama zawsze była okropnie zajęta.

Storm długo siedziała w swoim różowym pokoju. Tapeta doskonale pasowała do firanek - były na niej różowe che-rubinki, tańczące wśród kwiatów. Nawet żarówki były różowe i napełniały pokój miękkim różowym światłem. Półki ugiwały się pod pluszowymi przytulankami i książeczkami. Storm miała śliczne puzderka na biżuterię, w których trzymała ozdoby i spinki do włosów, migotliwe motylki i bransoletki, miała różowe notesiki, w których bazgrała różowymi ołówkami, udając, że coś pisze oraz piękny domek z haftowanej różowej bawełny, pełny różowych poduszek, które z zapalem kolekcjonowała. Teraz właśnie tam poszukała schronienia. Czuła się smutna i osamotniona. Przycisnęła do piersi ulubioną różową poduszkę i wytarła łzy jej rogiem. Po co komu piękny pokój, skoro nie ma się przyjaciółek, przed którymi można by się nim pochwalić...

Miranda skończyła kolumnę i z westchnieniem ulgi wysiała ją e mailem. Zupełnie zapomniała o pracy domowej córeczki. Podniosła się z biurka i poszła do kuchni. Nalała sobie szklankę wody i wyjęła z lodówki marchewkę, żeby stłumić nikotynowy głód. Powinna przygotować podwieczorek dla dzieci, ale do głowy przychodziły jej tylko grzanki maczane w jajku, ponieważ Gus zjadł już paluszki rybne na lunch. Tępym wzrokiem wpatrywała się w puste wnętrze lodówki, kiedy zadzwonił telefon. Przytrzymała słuchawkę ramieniem i sięgnęła po pudełko z jajkami.

- Tak? - odezwała się, pewna, że usłyszy głos męża.

- Halo, tu Jeremy...

- Och, cześć!

- Szukasz ogrodnika, prawda?

- Tak! - od razu poczuła się trochę lepiej.

- Chyba znalazłem kogoś, kto mógłby ci się przydać. To pan Underwood, starszy i dość ekscentryczny człowiek, ale ogrodnik z powołania.

- Jak go znalazłeś?

- Pracował kiedyś na farmie.
- A teraz?
- Jest na emeryturze i pracuje w niepełnym wymiarze godzin, więc mógłby przychodzić do ciebie na dwa, trzy dni w tygodniu.
- Ile ma lat? Jeremy się zawahał.
- Sześćdziesiąt parę - odparł.
- Da sobie radę? Mamy tu sporo do zrobienia.
- Pozwól mu spróbować, to przyzwoity człowiek! Storm weszła do kuchni, ubrana w kompletny strój wróżki, razem z błyszczącą koroną, skrzydełkami oraz różdżką.
- Jestem głodna, mamo! - jęknęła.
Duże oczy dziewczynki były zaczerwienione od płaczu. Miranda zmarszczyła brwi, zawahała się.
- Dobrze, porozmawiam z nim! - zgodziła się pośpiesznie. - Mógłby przyjść jutro rano? Wiem, że to sobota, ale...
- Przyślę go!
- Dobrze. Dziękuję, Jeremy!
Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do córki.
- Zrobię ci grzanki w jajku, kochanie... Dobrze się czujesz?
- Grzanki w jajku?! - wykrzyknął Gus od progu. - Nienawidzę grzanek w jajku!
- Nie masz dziś prawa narzekać, mój drogi! Albo grzanki, albo spaghetti!
- Spaghetti! - zdecydował Gus. Storm zmarszczyła nos.
- Lubię grzanki w jajku.
- To nie restauracja, oboje dostaniecie spaghetti, i już! - Miranda czuła, że nie zniesie wybuchu złości Gusa, a Storm i tak nigdy długo nie narzekała.
Dziewczynka się nadaśała.
- Możesz wziąć tyle keczupu, ile zechcesz - ułagodziła ją matka. - Naprawdę nie mam dziś siły wyklócać się z wami!

Patrzyła, jak dzieci jedzą i z przyjemnością sączyły wino. Wieczorem w domu będzie David, powinna więc wziąć kąpiel i włożyć coś ładnego, przygotować dla niego cielecą wątróbkę z pieczonymi ziemniakami i sosem z czerwonego wina... Chciała zrobić na nim dobre wrażenie, zachęcić go, aby spędzał więcej czasu w domu. Była spragniona jego towarzystwa, sama potwornie nudziła się na wsi.

III

MGLISTE PORANKI, KTÓRE KRYJĄ W SOBIE OBIETNICĘ PIĘKNEGO DNIA

David Claybourne przyjechał do Hartington House o ósmej wieczorem. Gus, już w błękitnej flanelowej piżamie, czekał na niego w kuchni razem z matką, natomiast Storm spała w łóżeczku, tuląc do piersi ukochanego pluszowego króliczka i różową poduszkę, i śniła o nowych przyjaciółkach, które przyszły się z nią pobawić.

Kiedy Miranda usłyszała, że frontowe drzwi się otwierają, kazała Gusowi zaczekać w kuchni, a sama poszła porozmawiać z mężem. Stali w holu dość długo, szeptem wymieniając uwagi na temat chłopca. Gus, który wypił już swoją szklanekę mleka, teraz nerwowo kręcił się na ławie, z niepokojem czekając na rodziców. Ziewał szeroko i zaczął łyżką wydrapywać linie na sosnowym blacie.

Wreszcie Miranda i David z poważnymi minami weszli do kuchni. Ojciec nie przywitał się z Gusem. Przysunął sobie

krzesło i usiadł, matka podała mu kieliszek wina, a sobie naląła drugi.

- Mama mówi, że ugryzłeś dziś kolegę i uciekłeś ze szkoły!

Gus wpatrywał się w ojca szeroko otwartymi oczami i ze wszystkich sił starał się nie mrugać, aby nie okazywać słabości. Aragorn z *Władcy Pierścieni* nigdy nie okazywał słabości.

- Musisz natychmiast przestać się tak zachowywać, to nie do przyjęcia!

Chłopiec milczał.

- Za karę przez tydzień nie wolno ci oglądać telewizji! Gus otworzył usta w niemym proteście, był jednak zbyt oszołomiony, aby się odezwać.

- Doprowadzasz nas do ostateczności, uważaj! - ciągnął David. - Ostrzegam, jeśli dalej będziesz terroryzował inne dzieci i przeszkadzał na lekcjach, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko wcześniej wysłać cię do szkoły z internatem! Rozumiesz mnie?

Gus chwilę walczył z nieposłuszną łzą, która zawisała na rzęsach, ale w końcu poddał się i kiwnął głową.

- Masz coś na swoje usprawiedliwienie?

- To nie ja zacząłem - wyszeptał.

Łza spadła mu na policzek, więc pośpiesznie otarł ją rękawem.

- Nie chcę słuchać opowieści o tym, kto komu dokuczył na szkolnym boisku! - oświadczył David. - Mam dosyć! Zmiataj do łóżka!

Gus zsunął się z ławy i powoli minął rodziców, zmierzając do drzwi. Żadne nie wyciągnęło ręki, aby go pogłaskać czy poklepać po głowie, żadne nie schyliło się, żeby pocałować go na dobranoc. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, ostrożnie zamknął drzwi, a potem rzucił się na łóżko i stłumił gwałtowny szloch, wbijając zęby w poduszkę.

- Powinam chyba zajrzeć do niego - powiedziała niespokojnie Miranda. - To jeszcze małe dziecko.

- Nie, moja droga - odparł David zdecydowanym tonem. - Na tym właśnie polega problem, jesteś zbyt łagodna. Nie odesłałaś go z powrotem do szkoły, tylko pozwoliłaś przez całe popołudnie oglądać film na video. Nic dziwnego, że Gus nie uczy się na błędach! Co właściwie chciałabyś mu powiedzieć? Niech trochę popłacze sobie przed snem, nic mu nie będzie. I nie nauczy się, jak trzeba się zachowywać, jeżeli ciągle będziesz go rozpieszczać. Postaraj się być bardziej twarda, nie wolno nam pozwolić, aby Gus wyrósł na potwora. To nie fair wobec niego! Zapoznanie go z zasadami przebywania wśród ludzi to nasz obowiązek!

- Ale ja nie mam pojęcia, jak to zrobić - Miranda pociągnęła duży łyk wina i opadła na krzesło.

- Nie bądź śmieszna, to nie fizyka nuklearna! Zaczęłaś szukać pomocy do prac domowych?

- Tak! - Szybko się rozpogodziła. - Powiesiłam ogłoszenie w cukierni w mieście. Jak twierdzi nasz sąsiad, Jeremy Fitzherbert, jest to żywe serce Hartington. Jeremy przyśle tu zresztą kogoś jutro, na razie na rozmowę. To ogrodnik, nazywa się Underwood.

David z aprobatą skinął głową. Należał do ludzi, którzy lubią oglądać rezultaty działania innych.

- I jest już po sześćdziesiątce - dokończyła Miranda.

- Nigdy nie oceniam człowieka, dopóki go nie spotkam!

- Pewnie ma ogromne doświadczenie.

- A co z kucharką? A właśnie, coś tu bardzo przyjemnie pachnie...

- Cielęca wątróbka - uśmiechnęła się Miranda. - Twoje ulubione danie!

- Całkiem niewykluczone, że jednak przeistoczysz się w boginię ogniska domowego - dopił wino i wstał. - No, dobrze, wykapię się teraz...

Miranda chwilę patrzyła za mężem. Nie zapytał nawet, co się z nią dzieje czy jak się czuje, nie zwrócił też uwagi na kaszmirową suknię, którą miała na sobie. A przecież zadała sobie tyle trudu, umyła włosy i umalowała się... Pokręciła głową i zabrała się do przyrządzania sosu z czerwonego wina. Oczy piekły ją od cebuli. Nagle ogarnęło ją uczucie wielkiego znużenia. Ostatni rok porządnie dał jej się we znaki. Gusa wyrzucono ze szkoły tuż przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia i trzeba było znaleźć dla niego domowego nauczyciela na czas poszukiwań domu na prowincji i przeprowadzki. Musiała załatwić wszystko przed początkiem nowego roku szkolnego we wrześniu.

Z góry nadal dobiegał płacz Gusa.

- Cholera jasna! - zaklęła, krzywiąc się na widok skaleczonego nożem palca. - Nie mogę gotować tu kolacji, gdy dzieciak wypłakuje oczy w swoim pokoju!

Otworzyła jedną z szuflad, wyjęła plaster z wizerunkiem Spidermana, szybko opatrzyła rozcięcie i pobiegła na górę.

Gus szlochał głośno. Weszła do pachnącego nieświeżymi herbatnikami pokoju i usiadła na łóżku synka. Przestał płakać, kiedy tylko wyczuł jej obecność i uniosł głowę z poduszki. Popatrzyła na niego, nie bardzo wiedząc, co robić i położyła mu rękę na głowie, w miejscu, gdzie włosy były wilgotne od potu.

- Uspokój się, już po wszystkim! -r. szepnęła. - Tatuś już się na ciebie nie gniewa!

Gus dosłownie zachłysnął się płaczem.

- Kochanie, wszystko w porządku. Nie gniewamy się już na ciebie. No, weź się w garść!

Chłopiec dalej szlochał rozpaczliwie. Miranda chwyciła go pod pachy i posadziła sobie na kolanach, żeby móc go przytulić. Ukrył buzię w załamaniu jej szyi i barku, zupełnie jak przed laty, kiedy był malutki.

- O co chodzi, skarbie? - zapytała łagodnie.

- Nie wiem - odparł w końcu ochrypłym głosem, z trudem łapiąc oddech. - Nie chcę iść do szkoły z internatem!

Niewiele mogła zrobić. Tulila go, dopóki się nie uspokoił, a potem ułożyła w łóżku, pocałowała w czoło i zgasła lampę. Zasnął szybko, jego blada buzia nagle odzyskała całą dziecięcą słodycz i niewinność. Miranda wpatrywała się w niego długo, zadając sobie pytanie, dlaczego ma takie trudne dziecko. Ani na moment nie przyszło jej do głowy, że może to mieć coś wspólnego z nią samą.

Dayid wykapał się i włożył płócienne spodnie i niebieską koszulę od Ralpa Laurena. Był przystojny, miał lśniąco czarne włosy, opaloną skórę i ciemnoniebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami, które mniej męskiej twarzy mogłyby nadać zbyt kobiecego wygląd. Silny i muskularny, codziennie rano ćwiczył w siłowni, która znajdowała się pod jego biurem. Był też próżny. Ubierał się elegancko i starannie, używał drogiej wody kolońskiej i stale się martwił, że łysieje. Nie brakowało mu pewności siebie - zarobił duże pieniądze w City, ożenił się z piękną kobietą, kupił duży dom na wsi i niewielkie pied-a-terre w Kensington. Miał wszystko - idealną rodzinę w Dorset oraz idealną kochankę w Londynie. Dwa oddzielne życia, wszystko tak, jak powinno być. Uważał, że sięga tylko po to, co słusznie należy się każdemu mężczyźnie. Kochał żonę, nie kochał kochanki, ale przecież Miranda nie mogła oczekiwać, że będzie żył w celibacie przez cały długi tydzień, prawda? Było to zrozumiałe samo przez się. Miranda miała dom na wsi, a on przyjemny i niezobowiązujący seks w Londynie. Nikomu nie działa się krzywda, wszyscy byli zadowoleni.

Miranda skończyła dusić wątróbkę, nakryła stół na dwie osoby i usiadła, czekając na męża. Zapaliła świecę, ale wydało jej się to zbyt teatralne, więc zgasła ją i schowała. Wszystko to razem jest bardzo niesprawiedliwe, pomyślała. Gotuję, zmywam, sprzątam, piore, raz w tygodniu jeżdżę

do Sainsbury na zakupy, opiekuję się dziećmi i na dodatek pracuję zawodowo, a David ma tylko pracę i myśli tylko o sobie.

- Pieprzyć to wszystko! - mruknęła, nalewając sobie trzeci kieliszek wina. - I jeszcze zachowuje się tak, jakby w ogóle mnie nie widział!

David zszedł do kuchni w doskonałym nastroju. Nałożył sobie porcję wątróbki i usiadł.

- Tyle dziś sobie zadałaś trudu, kochanie! - zmierzył Mirandę pełnym uznania wzrokiem. - Mam bardzo piękną żonę.

Serce Mirandy podskoczyło jak płomyk w ognisku.

- Dziękuję! Opowiedz mi, co dzieje się w Londynie, żebym mogła choć trochę wrócić do normalnego życia.

- Jest tak samo, jak przed twoim wyjazdem, tylko zimniej - odparł.

Miranda przełknęła rozczarowanie i postanowiła nie poddawać się zniechęceniu.

- Z kim się widziałeś?

- Z tymi samymi ludźmi, co zwykle, oczywiście kiedy miałem czas. W tym tygodniu codziennie siedziałem w pracy do dziesiątej, jestem wykończony!

- A jak tam Blythe?

Miranda wpadła na dawną szkolną przyjaciółkę na zajęciach judo w Chelsea, na które wozili Gusa. Po latach znowu zbliżyły się do siebie, gdy Miranda wspierała Blythe podczas trudnego rozvodu.

- Ciągle próbuję się do niej dodzwonić, ale za każdym razem włącza się automatyczna sekretarka - dodała. - Widać tak to już jest, gdy człowiek wyprowadza się na wieś - wszyscy przyjaciele natychmiast o tobie zapominają.

- Blythe wcale o tobie nie zapomniła! Jest bardzo zajęta rozmowami z adwokatami i księgowymi, sama rozumiesz. Udzieliłem jej nawet pewnej rady - wyznał

pompatycznie David, unosząc widelec. - Powiedziałem jej, że powinna przeprowadzić rozwód w taki sposób, jakby zarządzała firmą, której najpoważniejszym klientem jest ona sama. Musi wynegocjować najlepsze warunki i nie oczekiwać, że prawnik wszystko za nią załatwi. Adwokat nie wie przecież, czego ona naprawdę chce i myśli wyłącznie o tym, ile pieniędzy może dla niej zdobyć i ile sam na tym zarobi. Może sobie być najlepszym specem od spraw rozwodowych w mieście, ale ona i tak musi powiedzieć mu, na czym jej szczególnie zależy. Poradziłem jej, żeby spisała listę żądań, bo albo dobije targu na własnych warunkach teraz, albo nigdy. Po zakończeniu formalności nie będzie już mogła poprosić o rzeczy, o których zapomniała. Jej mąż zgarnie całą pulę, a ona zostanie z niczym, żalując, że nie okazała się bardziej zapobiegliwa...

- I posłuchała cię?

- Tak sędzę! Problem polega na tym, że Blythe jest zbyt uczuciowa, zbyt emocjonalna i nie przywiązuje wagi do szczegółów. W tej chwili chce po prostu zakończyć małżeństwo i mieć to raz na zawsze za sobą. Uświadomiłem jej jednak, że pieniądze są ważne, jeżeli nie dla niej, to na pewno dla jej syna. Blythe wie, co jest dla niej dobre, a ja z przyjemnością jej pomogłem. Ten jej mąż nigdy mi się nie podobał, straszny z niego dupek!

- Szokujące, ilu naszych przyjaciół już się rozwiodło albo właśnie się rozwodzi - westchnęła. - Kiedy wreszcie uporządkujemy nasze tutejsze sprawy, trzeba będzie koniecznie zaprosić Blythe i Rafaela na weekend. Rafael to bardzo sympatyczny chłopiec, może wywarłby pozytywny wpływ na Gusa, kto wie... Spotkałyśmy się z Blythe po tylu latach niewidzenia, odkryłyśmy, że mieszkamy niedaleko siebie i właśnie wtedy przeprowadziłam się tutaj. Typowe, co? Chłopcy dopiero zaczęli się bliżej poznawać.

- Byle tylko Gus nie ugryzł Rafaela!

- Z czasem wszystko powinno się dobrze ułożyć, Gus na pewno przywyknie do nowego otoczenia i uspokoi się - lekko zmarszczyła brwi, świadoma, że problem z Gusem nie zniknie sam z siebie. - Nie sądzisz, że warto byłoby poradzić się specjalisty? - zapytała ostrożnie.

- Masz na myśli psychiatrę? - W jego głosie zabrzmiało oburzenie.

- Może dziecięcego psychologa...

- Po moim trupie! Nie pozwolę, żeby ktoś obcy wtrącał się w sprawy mojego syna i grzebał mu w psychice! Z Gusem wszystko jest w jak najlepszym porządku, szkoła z internatem szybko postawi go na nogi!

- Ale do szkoły z internatem pójdzie dopiero za rok, zresztą on wcale tego nie chce!

- To tylko taka faza, wyrosnie z tego. Musisz po prostu trzymać rękę na pulsie, kochanie, ciągle mieć go na oku! Ostatecznie to ty jesteś z nim przez cały tydzień, więc wszystko zależy od ciebie!

- Zaraz powiesz mi, żebym zajmowała się dziećmi w taki sposób, jakbym zarządzała firmą i że Gus jest moim najpoważniejszym klientem - zaśmiała się nienaturalnie.

- Nie, skarbie, to Gus jest firmą, a ja twoim najpoważniejszym klientem - sprostował zupełnie poważnie.

Po obejrzeniu telewizyjnych wiadomości poszli do sypialni. David siedział w łóżku i czytał „The Economist”, a Miranda, wstawiona i zmęczona, zwinęła się w kłębek, zasłaniając oczy od światła poduszką. Nie kochali się. David nie wykonał żadnego zachęcającego gestu, co Miranda, choć mocno urażona, że nie pożądał jej po tygodniu spędzonym oddzielnie, przyjęła jednak z pewną ulgą.

Następnego dnia rano Storm zajęła się zabawą w swoim pokoju, natomiast Gus, za karę pozbawiony telewizji, poszedł do lasu, żeby zastawiać pułapki na niczego nie podejrzewające nieszczęsne zwierzęta. David czytał gazetę przy

śniadaniu złożonym z jajek, bekonu i grzanek, przygotowanym przez Mirandę. Czekala ją teraz rozmowa z ogrodnikiem.

- Chcesz porozmawiać z nim razem ze mną? - zapytała. David, nie odrywając oczu od pierwszej strony „Telegraph”, odparł, że to jej działka.

- Ty jesteś ministrem spraw wewnętrznych - oświadczył.

- A ty kim jesteś? - zagadnęła, zirytowana brakiem zainteresowania z jego strony.

- Premierem - wyjaśnił. - Jeżeli potrzebujesz rady, chętnie ci jej udzielimy, ale całkowicie ufam twojej opinii.

Miranda wysłała męża do Hartington, aby spróbował kawy w cukierni Cate i poszła do swojego gabinetu. Miała dosyć zajmowania się wszystkim w pojedynkę. Przypomniła sobie armię robotników/budowlanych, malarzy, stolarzy i dekoratorów, których przywiozła tu, aby przeistoczyć Hartington House w dom swoich marzeń. David dał żonie wolną rękę - jej dobry gust był jednym z powodów, dla czego się z nią ożenił - i bez słowa sprzeciwu płacił rachunki. Oczekiwał, że ona, jako minister spraw wewnętrznych, rzecz jasna, stworzy dom dla niego oraz ich dzieci i ani razu nie przyszło mu do głowy, aby zstąpić ze swego wysokiego urzędu i przyjść jej z pomocą. Nagle Mirandę uderzyła myśl, że nie ma już ani jednej rzeczy, którą zajmowałiby się wspólnie. Nawet dzieci trafiły pod jej wyłączną jurysdykcję i podlegały jedynie ostatecznej ocenie wielkiego premiera i lalkarza, który trzymał w ręku wszystkie sznurki.

Zastanawiała się jeszcze nad sytuacją w swoim małżeństwie, kiedy w holu zadźwięczał dzwonek. Miranda wzięła głęboki oddech i pośpieszyła do drzwi. Modliła się w myśli, aby pan Underwood okazał się ogrodnikiem doskonałym i przy okazji poprosiła też Boga, by zesłał jej kucharkę i sprzątaczkę. Otworzyła drzwi i ujrzała stojącego na progu człowieczka, podobnego do gнома, w brązowej kurtce

i spodniach oraz tweedowej czapce na szopie gęstych, kręconych siwiejących włosów. Na jej widok przybysz szybko zdjął czapkę i przycisnął ją do piersi.

- Nazywam się Underwood, przyszedłem w sprawie pracy w ogrodzie - odezwał się, rozciągając słowa w typowy dla rdzennych mieszkańców Dorset sposób.

Miranda nie podała mu ręki, ponieważ odniosła wrażenie, że nie wiedziałaby, co z nią zrobić.

- Zapraszam do środka, panie Underwood - odparła, odsuwając się, aby zrobić mu miejsce w drzwiach.

Do holu razem z panem Underwoodem dostał się chłodny, wilgotny wiatr.

- Ależ dziś mokro! - Miranda zamknęła drzwi. - Nie znoszę mżawki!

- Globalne ocieplenie - oznajmił smętnie gość. - Jednego dnia gorąco jak w środku lata, następnego zimno jak na Syberii! Zupełnie nie wiadomo, czego można się spodziewać!

- Chodźmy do gabinetu...

Poszedł za nią, przyglądając się wykładanej kamiennymi płytami posadzce i pomalowanym na kremowy odcień ścianom. W dużym, pustym kominku powinien płonąć ogień, a ładny chodnik przed kominkiem wprost prosił się o parę śpiących psów... Kiedy dom należał do rodziny Lightly, w kominku zawsze wesoło trzaskały płomienie, a na dużym starym stole w holu stał piękny bukiet. Okrągły stół, który teraz zajął miejsce tamtego wyglądał dziwnie samotnie, zwieńczony tylko nieruchomą rzeźbą.

- Dopiero co się państwo wprowadzili, tak? - zapytał. Miranda zauważyła, że mówił wyraźnie i powoli, jak człowiek, któremu nigdy się nie śpieszy.

- Tak. Zna pan ten dom?

- Tak... Kiedyś był tu najpiękniejszy ogród w całym Dorset!

- Naprawdę? - uśmiechnęła się, wskazując mu fotel.

Pan Underwood od razu spostrzegł, że w gabinecie też nie rozpałała ognia, chociaż powietrze leciutko pachniało tu dymem, co było zachęcające.

- Pani Lightly była utalentowaną damą.

- Tak słyszałam...

- Powinna pani palić w kominkach. Przyniosę drewna, jeśli pani chce.

- Dziękuję. Widzi pan, potrzebujemy kogoś takiego!

Kiedy jednak pan Underwood wetknął sobie palec do nosa i zaczął nim dłubać, straciła nieco pewności, że właśnie on jest im potrzebny.

- Swędzi mnie w nosie - wyjaśnił, wpychając palec jeszcze głębiej.

- Rozumiem... Pracował pan dla Jeremy'ego Fitzherberta, tak?

Pan Underwood wyjął palec z nosa i wytarł go w kurtkę.

- Przepracowałem na farmie ponad czterdzieści lat. Orałem i siałem, ale od początku największą przyjemność sprawiała mi praca w ogrodzie. Widziała pani muchomory w lesie?

Oczy starszego mężczyzny lśniły jak rozłupane bryłki kwarcu. Miranda potrząsnęła głową.

- Muchomory?

- Tak, pewnie będzie ich całkiem sporo, bo jesień mamy wilgotną...

Wie pani, że sam grzyb to tylko owoc całej rośliny?

- Nie wiedziałam...

- Grzyby pojawiają się tylko wtedy, gdy roślina jest dość silna, aby wyprodukować nasiona!

- Naprawdę? - Miranda starała się nadać swemu głosowi nutę zaciekawienia.

- W lasach rośnie mnóstwo jadalnych muchomorów, ale większość ludzi nie ma o tym pojęcia i dlatego jedzą tylko pieczarki. Pani Underwood gotuje pyszną zupę z muchomorów. Wie, które nadają się do jedzenia, a które nie!

Miranda zwróciła uwagę na zaokrąglony brzuch pana Underwooda. Nie ulegało wątpliwości, że był doskonale odżywiony. Zmrużyła oczy.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to duża posiadłość.

- Pani Lightly zajmowała się tu wszystkim sama! - z szacunkiem pokiwał głową.

- Nie miała nikogo do pomocy?

- Tylko Hectora. Praca w ogrodzie była jej wielką pasją.

- Cóż, w ciągu ostatniego roku ogród trochę zdziczał. Czeka pana dużo pracy, nie jestem przekonana, czy ma pan dość siły, aby sobie z tym poradzić.

Pan Underwood rzucił jej pełne urazy spojrzenie.

- Czy mam dość siły?! - wykrzyknął z oburzeniem, szybkim ruchem ściągnął kurtkę i odsłaniając nagie ramiona, wystające spod krótkich rękawów koszuli. - Niech pani tylko popatrzy! Muskuły twarde jak kamień, jak gład!

- Nie trzeba, panie Underwood...

- Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, proszę pani! W głębi serca wciąż jestem młodym chłopakiem!

- Na pewno, na pewno... Pani Underwood ma szczęście, że jest pan taki energiczny! A właśnie, czy ona dobrze gotuje?

Pan Underwood pogłaskał się po brzuchu.

- Moja żonka? To dobra kobieta. Nikt nie potrafi gotować tak jak pani Underwood!

Miranda postanowiła zaryzykować. Desperacja popchnęła ją do impulsywnego działania.

- Szukamy kucharki...

Ogorzałą twarz pana Underwooda rozjaśnił uśmiech, jego okrągłe policzki poróżwiały.

- Więc nie musi pani dłużej szukać! Pani Underwood nakarmi was jak należy! Gotowała dla pani Lightly, gdy ta miała gości!

- I zna ten dom?

- Jasne, że zna!

- Myśli pan, że znajdzie dla nas czas? Mężczyzna energicznie pokiwał głową.

- Czasu jej nie brakuje. Nasze dzieci już podorastały i same mają dzieci!

Miranda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że sytuacja wymyka jej się spod kontroli.

- Chętnie spotkałabym się z panią Underwood - powiedziała zdecydowanym tonem. - Może mogłaby przyjść tu jutro i przygotować niedzielny lunch dla nas czworga. Natomiast, jeśli chodzi o pana, to... Cóż, bądźmy szczerzy - teren wokół domu jest potwornie zapuszczony, a pan ma pewne doświadczenie w pracy w ogrodzie. Może na początek zająłby się pan grabieniem liści i rąbaniem drewna na opał, a ja w tym czasie poszukałabym kogoś... - zawahała się, usiłując znaleźć określenie, które by go nie uraziło. - Kogoś, kto pracowałby razem z panem, ale także zaplanowałby ogród. Wydaje mi się, że przydadzą się tu dwie pary rąk, prawda?

Pan Underwood powoli skinął głową. Nie do końca rozumiał, o co chodzi z tym planowaniem ogrodu, ale uwielbiał rąbać drewno i rozpalać ogniska, a oczami wyobraźni widział już olbrzymie stosy liści.

- Zapłacę panu osiem funtów za godzinę. Zrobi pan tyle, ile pan zdoła.

- Doskonale, proszę pani! - wyraźnie się ucieszył. Miranda westchnęła.

- Może pan zacząć od poniedziałku. I proszę nie zapomnieć powiedzieć pani Underwood, żeby wpadła do nas jutro, oczywiście jeśli może! Najlepiej niech zadzwoni jeszcze dziś, żeby omówić szczegóły.

David wrócił z cukierni Ca te w wyśmienitym humorze. Wszedł do kuchni, gdzie Miranda piekła kurczaka i objął ją od tyłu, całując w kark pod zebranymi w węzeł włosami.

- Miałaś rację co do kawy, była mocna i dała mi niezłego kopa! No i poznałem uroczych ludzi! Nie mam pojęcia, dlaczego nie wybraliśmy się tam wcześniej, to takie interesujące miejsce.

- Podobało ci się? - odwróciła się twarzą do niego i oparła o kuchenkę.

- Pogawędziłem trochę z tubylcami i udzieliłem im paru solidnych biznesowych rad - uśmiechnął się łobuzersko.

- Och, chyba sobie żartujesz, co?

- Oczywiście! Uważasz mnie za nadętego dupka, skarbie?

- Skądże znowu.

- Pogadałem z Cate, której od razu wpadłem w oko i z pułkownikiem Pike, który opowiedział mi o swoich wojennych przeżyciach. Wszyscy świetnie wiedzieli, kim jestem. Naturalnie nie zapamiętałem wszystkich nazwisk, ale traktowali mnie z należyтым szacunkiem. Pozycja pana na włościach całkiem mi odpowiada... Powinienem spędzać tu więcej czasu! W Hartington człowiek czuje się tak, jakby czas zatrzymał się pięćdziesiąt lat temu. Szkoda, że nie wyprowadziliśmy się z Londynu znacznie wcześniej!

- Ta cała Cate jest przebiegła jak wąż! Uważaj na nią!

- Widziałem twoje ogłoszenie na tablicy! Bardzo przyjemne.

- Nie jest przyjemne, tylko praktyczne. Dzięki temu ogłoszeniu na pewno kogoś znajdziemy, przekonasz się!

- Miejmy nadzieję... Pani na włościach nie powinna kłaść sobie rączek pracą w ogrodzie i sprzątaniem domu. Chcę, żebyś miała dłonie gładkie i delikatne jak księżniczka!

- Całe szczęście, że pracuję przy komputerze, prawda?

- Jak przebiegło spotkanie z panem Underwoodem?

- Na razie pan Underwood musi nam wystarczyć, ale trzeba nadal szukać ogrodnika z prawdziwego zdarzenia. Pan Underwood nadaje się do drobnych prac, do grabienia liści, koszenia trawy, rąbania drewna na opał i tak dalej... Jutro

jego żona ugotuje nam lunch. Podobno gotowała dla poprzednich właścicieli.

- Jestem pod wrażeniem, kochanie! - David uniósł jej twarz ku sobie. -
Już myślałem, że nigdy nie ogarniesz tego bałaganu!

- Byłam bardzo zajęta... Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ciiiiii.... Nie zapominaj o swoim najpoważniejszym kliencie!

IV

DZIKA JABŁOŃ UGINA SIĘ POD OWOCAMI

Miranda obudziła się w środku nocy. David leżał na brzuchu, pogrążony w głębokim śnie. Chwilę przyglądała się, jak jego plecy wznoszą się i opadają w srebrzystym blasku księżyca, które przedostawało się do sypialni przez szparę między zasłonami. Kiedy tak spał obok niej, wyglądał jak obcy człowiek, daleki i obojętny. Czuła bijące od jego ciała ciepło, a jednak nie była w stanie nawiązać z nim kontaktu. Miała wrażenie, że łącząca ich silna więź pękła, zupełnie jakby dzielące ich na co dzień kilometry odgrodziły ich od siebie także i pod względem duchowym. Słuchała wiatru, pogwizdującego nad dachem i czuła ból samotności, ból, który zazwyczaj tłumila różnymi zajęciami. Po paru minutach wstała, włożyła szlafrok i poszła do garderoby. Zamknęła drzwi i zapaliła światło. Przed przeprowadzką nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zagospodaruje ten elegancki pokój, pełen mahoniowych półek i szaf, kojarzący się z modnym

butikiem. Teraz wiszące na drewnianych wieszakach sukienki i komplety, posegregowane według pór roku i okazji, wydawały jej się dziwnie niepotrzebne, zbędne. Zaśmiała się gorzko. Jakich okazji? Nie miała tu gdzie chodzić na przyjęcia, nie miała żadnych znajomych. Nawet jej londyńscy przyjaciele powoli zaczęli zapominać o jej istnieniu. Zaczęła wyjmować sukienki jedną po drugiej i przyglądać im się z uczuciem frustracji. Ten cudny komplet od Dolce z torebką od Celinę i pantoflami Jimmy'ego Choo miała na sobie na balu charytatywnym w Dorchester i na przyjęciu z okazji czterdziestych urodzin Davida. Wszyscy goście oglądali się za nimi. A ten garnitur firmy Tulah, z pięknie skrojonymi ramionami i długimi spodniami, nosiła do szpilek od Louboutina, z torebką Anyi Hindmarch. Wiele razy wkładała go na lunche z przyjaciółkami w Knightsbridge i posiedzenia Komitetu do Walki z Rakiem Piersi. Mała czarna od Prądy stanowiła podstawę garderoby każdej kobiety, która chlubi się jaką taką znajomością mody, teraz jednak wyglądała jak widmo przeszłości. Niżej piętrzyły się tekturowe pudełka, pełne eleganckich butów i prawie nieużywanych torebek. W Londynie Miranda zawsze czuła się piękna i fascynująca, i nigdy nie brakowało jej pewności siebie, ale tu, w Hartington, stopniowo zniknęła. Sama nie wiem już, kim jestem, pomyślała. Tracę swoją osobowość...

Z narastającym żalem otwierała pudełka z butami i oglądała je tak, jak doświadczony jubiler szacuje wartość brylantów. Miała zaledwie trzydzieści trzy lata, nie potrafiła jednak oprzeć się wrażeniu, że jej życie już się skończyło. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i nagle uświadomiła sobie, że wygląda staro. Gdzie podział się młodzieńczy blask, którego jeszcze niedawno zazdrościły jej inne kobiety? Pod oczami miała sinawe cienie, cerę bladą, poszarzałą. Muszę wziąć się w garść, pomyślała. Wyjść z domu, zacząć spotykać się z ludźmi, zaprosić przyjaciół na weekend. Nie

mogę sobie pozwolić na uzalanie się nad sobą, w ten sposób nie podtrzymam zainteresowania Davida! Przez głowę przemknęła jej myśl, że może warto byłoby zafundować sobie nowy zestaw rzeczy w sportowym stylu od Ralpa Laarena i na moment poczuła się lepiej, zaraz jednak przypomniała sobie, że nie ma z kim zostawić dzieci. Gdyby tylko mogła wyrwać się na jeden dzień do Londynu... Zakupy w eleganckich sklepach przy Bond Street od razu postałyby ją na nogi. Ludzie, którzy uważają, że pieniądze szczęścia nie dają, po prostu nie wiedzą, dokąd wybrać się na zakupy, przypomniała sobie z ironicznym uśmiechem. Zgasiła światło i wróciła do łóżka. David dalej spał spokojnie, zupełnie nieświadomy, że jego żona czuje się głęboko nieszczęśliwa.

Następnego dnia rano Gus wyszedł przed dom i zobaczył starego fiata, zaparkowanego na wysypanym żwirem podjeździe. Zmierzył samochód zaciekawionym spojrzeniem. Wóz był zardzewiały, zabłocony, jasnoszary lakier łuszczył się prawie wszędzie. Na tylnym siedzeniu dyszał spaniel. Chłopiec zapukał w szybę, a pies radośnie zamerdzał ogonem. Gdy Gus odsunął się, spaniel zaczął ujadać.

- Zamknij się, durny kundlu! - krzyknął Gus.

- Kogo nazywasz durnym kundlem? Mam nadzieję, że nie mojego Rangera!

Zaskoczony Gus odwrócił się i ujrzał stojącą na progu obcą kobietę z rękami opartymi na szerokich biodrach. Nieznajoma przyglądała mu się uważnie spod zmrużonych powiek.

- Więc to ty jesteś młody Gus - powoli pokiwała głową. Jej szczęka była wydatna i kanciasta jak łopata, i Gus od razu wyczuł, że z tą osobą lepiej nie zadzierać.

- Słyszałam, że nieźle gryziesz!

Gus zastanawiał się chwilę, kto jej o nim opowiedział. Kobieta spojrzała na jego zdziwioną twarz i trochę złagodniała.

- Chodź, wypuścimy Rangera, żeby trochę sobie pobiegał, bo inaczej całkiem zaparuje mi szyby od środka! - szybkim krokiem podeszła do samochodu. - Otwórz drzwi, chłopcze, na pewno nie są zamknięte!

Gus spełnił jej polecenie i Ranger wyskoczył ze zniszczonego fiata, z podnieceniem machając ogonem i entuzjastycznie witając się ze swoją panią.

- Kim pani jest? - zapytał Gus, przyglądając się, z jaką czułością poklepuje i głaska psa mocnymi, różowymi dłońmi.

- Nazywam się Underwood i zamierzam przygotować dziś dla ciebie lunch, chłopcze! Pieczony jagnięcy udziec, ziemniaki z mojego wazywnego ogrodu, fasolka, groszek i marchewka... Wydaje mi się, że chętnie zjadłbyś coś, co przydałoby trochę koloru twoim policzkom, co? Guś potarł policzki dłońmi.

- Chłopcy w twoim wieku powinni jeść warzywa, wiesz? No dalej Ranger, pobiegaj sobie trochę!

Pies usłuchał jej bez chwili wahania, podobnie jak wczesnął Gus, i popędził przez łąkę, która schodziła aż nad rzekę.

- Kiedyś rosło tu mnóstwo polnych kwiatów - kobieta z westchnieniem pokręciła głową. - Pani Lightly dostałaby zawału, gdyby zobaczyła, jak to teraz wygląda.

Gus wszedł za nią do domu, zostawiając Rangera samemu sobie. Aromat pieczenia przedostał się już z kuchni do holu i chłopcu zaburczało w brzuchu.

- Myślałam, że taka rodzina jak wasza, z dwojgiem niedużych dzieci, będzie o tej porze w kościele - powiedziała pani Underwood, idąc do kuchni. - Sama bym tam była, gdyby nie to, że musiałam przyjechać tutaj, chociaż nie jestem wielką wielbicielek wielbnej Beeley... Wolę, żeby Boga

reprezentował mężczyzna, i to mężczyzna godny szacunku! Ostatecznie Jezus nie był kobietą, prawda? Gdyby nią był, nikt nie zwróciłby na Niego najmniejszej uwagi,

Gus słuchał jej jednym uchem, zainteresowany głównie tym, co działo się w kuchni. Miranda siedziała na taborecie i czytała gazetę. Zapach lunchu ściągnął tu także i ją. Miała doskonały humor. Pani Underwood była dokładnie taka, jaka powinna być dobra kucharka - wysoka, tęga -i pełna entuzjazmu. Mirandzie przemknęła przez głowę myśl, że jej mąż jest od niej dużo niższy i drobniejszy, oczywiście nie licząc brzucha, ale przecież nie była to jej sprawa.

- Wypuściłam Rangera, żeby sobie pobiegał - oznajmiła pani Underwood, myjąc ręce nad zlewem. – Teraz siedzi już pewnie w rzece.

- Cudowny zapach, prawda, Gus? - zagadnęła Miranda. -Pani Underwood gotuje dziś dla nas lunch,- a pan Underwood będzie nam pomagał w ogrodzie.

- Pan Underwood nie jest pierwszej młodości, ale siły mu nie brak, Mirando! - powiedziała kucharka.

Miranda zauważyła, że pani Underwood ód początku zwraca się do niej po imieniu, podczas gdy ona mówi do niej per „pani”. Wydawało jej się to trochę niewłaściwe, ale nic nie mogła na to poradzić. Pani Underwood była osobą o bardzo zdecydowanym charakterze, a Miranda mogłaby być jej córką.

- Gdzie tata? - spytał Gus.

- W salonie. Nie przeszkadzaj mu, czyta gazetę.

- Mogę pooglądać *Władcę Pierścieni*?

- Nie, kochanie! Przecież wiesz, że tatuś zabronił ci przez tydzień oglądać telewizję! Może wyszedłbyś na dwór, co? Nie pada!

- Nie mam co robić!

- Nie masz co robić? - zdumiała się pani Underwood. -Na wsi?

- Gdzie jest Storm? - zapytał niechętnie Gus.

- W swoim pokoju.

Gus włożył ręce do kieszeni i wyszedł.

Pani Underwood w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie знаła Mirandy na tyle, aby mówić jej, jak powinna zająć się dziećmi. Dom otoczony był dużym ogrodem i naprawdę można było znaleźć w nim mnóstwo zajęć. Biedne londyńskie dzieciaki, pomyślała. Trzeba pokazać im, jak bawić się na wsi. Ich matka wróciła już do czytania gazety, więc raczej nie ona to zrobi.

Gus nie miał ochoty siedzieć w pokoju razem ze Storm. Jego siostrę w ogóle nie interesowały rzeczy, które lubił robić, a telewizji i tak nie mógł oglądać. Wyszedł znowu przed dom i zajął się kopaniem żwiru oraz rozglądaniem się za czymś, co mógłby zniszczyć. Znalazł na ziemi patyk, nie dość duży, aby maltretować nim osła, ale idealny do zabawy z psem, ruszył więc w stronę rzeki, szukając wzrokiem Rangera. Nigdy dotąd nie zaglądał do ogrodu z tej strony domu. Łąka nie robiła szczególnie korzystnego wrażenia i była kompletnie zarośnięta chwastami. Z drugiej strony można było znaleźć znacznie więcej ciekawych rzeczy - stado owiec, Charliego i las. Tak czy inaczej, Ranger pobiegł w tę stronę. Pani Underwood mówiła, że uwielbia rzekę.

Po paru chwilach Gus dotarł na brzeg. Rzeka miała najwyżej sześć metrów szerokości, a nad nią rozpięty był mostek z szarego kamienia. Przecinająca łąkę ścieżka prowadziła przez most na drugi brzeg, aż do małego domku wśród kasztanowców. Widać było, że nikt tam nie mieszka, bo okna były brudne i zakurzone. Uwagę Gusa odwrócił głośny plusk. Ranger wyłaził właśnie na brzeg i otrząsał czarno-białą sierść z wody.

- Ranger! - zawołał chłopiec z radością.

Spaniel skoczył ku niemu, energicznie merdając ogonem. Gus pozwolił mu obwąchać znaleziony patyk, a potem rzucił

go daleko przed siebie. Ranger, któremu aportowanie najwyraźniej nie było obce, pognał przez łąkę jak błyskawica. Gus serdecznie poklepał psa, gdy ten przyniósł mu kijek. Bawili się tak jeszcze co najmniej kwadrans.

Powodem zakończenia zabawy była ciekawość, jaką w chłopcu rozbudził widok opuszczonego domku. Mroczne okna i popękane ściany, na których powój rozpinał się powoli, niczym cierpliwa ośmiornica, na dobre przyciągnęły jego uwagę. Zostawił patyk na ziemi i podszedł bliżej. Drzwi domku były zamknięte, jasnoniebieska farba odpadała z nich całymi płatami. Chłopiec potarł szybę rękawem i zajrzał do środka. Ku jego zaskoczeniu, pokój był pełen mebli. Przed czarnym kominkiem, pustym i otwartym jak usta nieboszczyka, stała sofa i dwa fotele, na ścianach pokrytych żółtą papierową tapetą w pasjd wisały obrazy. Gdyby nie duża plama wilgoci w jednym rogu, można by pomyśleć, że domek jeszcze niedawno był zamieszkały. Obszedł go dookoła, próbując otworzyć któreś z okien, aż w końcu znalazł jedno z zepsutymi zawiasami. Wykorzystał szansę i ostrożnie wszedł do środka.

Serce biło mu mocno. Był tak bardzo podekscytowany swoim odkryciem, że zupełnie zapomniał, iż rodzice niesprawiedliwie ukarali go za bójkę, której wcale nie zaczął. Pokoje w domku były małe i ponure, i Gus szybko pożałował, że nie wziął ze sobą latarki. Na biurku w pokoju na dole leżały gazety, kosz na śmieci był pełny, na półkach pod ścianami stały książki, w kubelku przy kominku piętrzyły się szczapy. Wszystko wyglądało tak, jakby mieszkańcy domu pewnego dnia wyszli i już nie wrócili.

Gus obejrzał wszystkie pomieszczenia. W niewielkiej kuchni stał stół z surowego drewna, a na nim dwie filiżanki, imbryczek, dzbanuszek na mleko i pusty talerz. Domek przypominał dziwną świątynię i chociaż Gus był tylko małym chłopcem, od razu wyczuł, że chodzi po śladach czyjegoś

smutku. Wydawało mu się, że powietrze w domku jest wilgotne od łez.

Po pewnym czasie burczenie w brzuchu przypomniało mu o pieczonej jagnięcinie pani Underwood. Szybko wyskoczył przez okno i zawołał Rangera. Pies czekał na niego na dworze, leżał pod ścianą, dziwnie cichy i spokojny.

- Chodź, głupi kundlu, czas na lunch! - zawołał Gus. Ranger nawet nie drgnął. Chłopiec próbował skusić go

patykiem, ale spaniel popatrzył tylko na niego uważnie.

- Zostań tu sobie, jeśli chcesz - powiedział Gus. - Ja idę do domu!

Przeszedł przez mostek i był już prawie pod domem, kiedy pies dogonił go, biegnąc wśród wysokich traw.

- Gdzie byłeś? - zapytała Miranda, widząc spoconą buzię i błyszczące oczy syna.

- Nigdzie - odparł tajemniczo. Nie zamierzał dzielić się z nikim swoim odkryciem. - Chodziłem trochę po ogrodzie.

- Świetnie! Zawołaj siostrę na lunch, dobrze? Zjemy w jadalni!

Storm oglądała jakiś idiotyczny film dla dzieci w telewizji. Gus wściekłby się na nią, gdyby wcześniej nie znalazł fascynującego domku nad rzeką. Storm była pewna, że brat zacznie się złościć i bardzo się zdziwiła, kiedy nic nie powiedział. Niechętnie wyłączyła telewizor i poszła za nim do jadalni.

David spędził przedpołudnie na czytaniu gazety i oglądaniu rozgrywek golfa. Nie przyszło mu nawet do głowy, że żona z radością przyjąłaby jego towarzystwo. Oboje zdążyli już przywyknąć, że ciągle są osobno. Poza tym po pracowitym tygodniu potrzebował przecież trochę czasu dla siebie, prawda? Zapach pieczonej jagnięciny wypełnił cały dom, łącząc się z aromatem płonącego drewna, ponieważ pani Underwood uparła się, żeby rozpaścić ogień w kominku w holu. Poprzedniego dnia pan Underwood przyniósł

całe wiadro szczap z szopy obok warzywnego ogrodu. Wszystko wskazywało na to, że rodzina Lightly uwielbiała palić w kominkach, bo szopa pełna była drewna na opał. Idąc przez hol do jadalni, David był całkiem zadowolony, że został dumnym właścicielem najprawdziwszej wiejskiej rezydencji.

- Coś cudownie pachnie! - zawołał.

Jego rodzina czekała już przy stole w jadalni, a na blacie pod oknem stał półmisek z gotową do pokrojenia jagnięcą pieczeńią.

- Chyba znaleźliśmy kucharkę - zauważyła Miranda.

- Powiem ci, co o tym myślę, kiedy spróbuję mięsa. -Usiadł. - Powinniśmy częściej jadać w tym pokoju - dorzucił, ogarniając wzrokiem gustownie urządzonej przez żonę jadalnię.

Gdy pani Underwood weszła z tacą pełną warzyw, David zerwał się z miejsca, aby jej pomóc.

- Nie, nie, proszę pana, poradzę sobie! - zaprotestowała kucharka. - Pan Bóg nie po to stworzył mnie dużą i silną, żebym miała wyręczać się innymi!

Miranda zdziwiła się, słysząc, że pani Underwood zwraca się do jej męża per „pan”. Kucharka oparła tacę na rogu blatu i zdjęła z tacy warzywa, podane w zaskakującej dla Gusa ilości oraz wyborze.

- Ziemniaki z mojego własnego ogrodu, dlatego smakują tak, jak ziemniaki powinny smakować!

Poza ziemniakami była też fasolka, zielony groszek i marchewka, wszystko posypane natką pietruszki i polane masłem. Pani Underwood zaczęła kroić mięso, kruche i delikatnie różowe w środku. Davidowi ślinka napłynęła do ust.

Pierwszy kęs potwierdził oczekiwania Mirandy - pani Underwood niewątpliwie zapowiadała się jako wspaniały dodatek do rodziny.

- Chyba nigdy nie jadłem lepszej pieczeni - powiedział David, czując, jak jagnięcina dosłownie rozpływa się w ustach.

- Organiczna jagnięcina z Dorset - oznajmiła z dumą pani Underwood - W każdą sobotę rano można kupić dobre mięso na targu w Hartington!

- Naprawdę? - zainteresowała się Miranda.

- Dziwię się, że nic o tym nie wiecie! - kucharka postawiła sosjerkę na stole.

- Rzadko jeżdżę do miasta.

- Ale przecież to się zmieni! Kiedy już przywykniecie do nowego domu, poznacie lepiej Hartington i jego mieszkańców. Żeby stać się częścią miejscowej społeczności, najlepiej chodzić do kościoła. Lightlyowie zawsze siadali w pierwszej ławce i w całym mieście nie było nikogo, kto by ich nie znał!

Miranda skrzywiła się na myśl o odgrywaniu roli pani na włościach, lecz David najwyraźniej nie miał nic przeciwko sugestiom pani Underwood.

- Znakomity pomysł! - pokiwał głową. - Już czas bliżej poznać miejscowych!

—Tak? - Mirandą już wyobrażała sobie te okropne poranne kawy w towarzystwie przesiadujących w domu mamusi oraz spotkania, na plebanii i rozmowy na temat kolejności układania kwiatów w dekoracji w kościele.

- Kochanie, w Londynie nigdy nie chodziliśmy do kościoła!

- Więc powinniśmy wreszcie zacząć! Gus i Storm powinni odebrać jakieś religijne wykształcenie, to doskonale im zrobi, no i na pewno pomoże lepiej poczuć się w nowym miejscu.

Miranda zrozumiała, co David miał na myśli i zerknęła na Gusa, który właśnie opychał się warzywami, Gus, który nienawidził warzyw.

- No, zostawiam was samych! - pani Underwood ruszyła do drzwi. - Na deser podam pudding robiony na parze. Dajcie mi znać, kiedy już będziecie gotowi!

- Ma pani pracę! - zawołał za nią David.
- Wiem! - zaśmiała się kucharka. - Miło mi, że znowu tu jestem!
- Pani Underwood? - odezwała się Miranda. Starsza kobieta przystanęła w. progu.
- Tak, słucham?
- Jak ma pani na imię? , , Kucharka się wyprostowała.
- Proszę mówić do mnie „pani Underwood” - odparła krótko. -
Wszyscy tak się do mnie zwracają!
- Ach, tak - mruknęła Miranda, czując się trochę głupio.
- Zawołajcie, kiedy będziecie mieli ochotę na deser! - uśmiechnęła się pani Underwood. - Ulubionym deserem pana Lightly był biszkopt z sokiem owocowym.,.
- Po lunchu pełen satysfakcji wzrok Dâvida spoczął na żonie. Dobry, sycący posiłek zawsze wprawiał go w stan erotycznego podniecenia. Przeczesał włosy palcami i odchylił się do tyłu na krześle.
- Może chcielibyście obejrzeć jakiś film na video, dzieci? - zagadnął.
- Miranda ściągnęła brwi. Przecież David zabronił Gusowi oglądać telewizję.
- Mama i ja chętnie odpoczęlibyśmy trochę po lunchu. Grymas niezadowolenia na twarzy Mirandy szybko przerodził się w uśmiech. Gus zerwał się z krzesła.
- Ale koniecznie obejrzyjcie coś, co lubi Storm! - zawołała Miranda. David ujął żonę za rękę.
- Więc jak, pani Claybourne?
- Rzeczywiście, przyda nam się mała sjesta - odparła, ściskając jego dłoń z przyjemnym uczuciem porozumienia.

- Dobra robota, kochanie! Znalazłaś kucharkę i ogrodnika, w kominku w holu wesoło trzaska ogień, a dzieci są zadowolone! - David wstał i wyprowadził ją z jadalni.

- Pan Underwood raczej nie jest odpowiednim ogrodnikiem - wymamrotała, gdy przechodzili przez hol.

- Na razie musi nam wystarczyć. Umie przecież rozpalać w kominku oraz grabić i palić liście, prawda? Poza tym mamy jesień, więc nie będzie miał dużo do roboty.

- Wszyscy mówią, że kiedyś był tu jeden z najpiękniejszych ogrodów w całej Anglii! Zaczynam mieć wrażenie, że dopuszczamy się strasznego grzechu, nie dbając o niego jak należy!

- To tylko ogród, skarbie - David wciągnął ją do dużej sypialni na piętrze. - A teraz zajmijmy się naprawdę poważnymi sprawami, bo niedługo mifczę złapać pociąg do Londynu.

Gus i Storm siedzieli przed telewizorem i oglądali *Nianię McPhee*. Widzieli już ten film wiele razy, lecz w gruncie rzeczy był to jedyny, który oboje lubili. Storm zauważyła, że podczas lunchu Gus zachowywał się bardzo cicho, zupełnie jakby miał jakiś miły sekret, a teraz kręcił się na kanapie i co jakiś czas patrzył w okno. Po paru chwilach oznajmił, że ma dosyć telewizji i wychodzi na dwór.

- Ja też mogę? - zapytała, nie dlatego, żeby miała chęć bawić się z bratem, ale dlatego, że na odległość pachniał tajemnicą.

- Nie - odrzekł. - Wolę pobawić się sam!

- Nie jesteś miły! Wstęciuch z ciebie!

- A z ciebie mały dzieciak! - Gus podniósł się i wyszedł z pokoju.

Storm odczekała moment i podążyła za nim. Samochód pani Underwood zniknął, a wraz z nim Ranger. Gusa ogarnęło rozczarowanie. Pies był dobrym towarzyszem

zabaw, chyba najlepszym, jakiego mógłby sobie wymarzyć chłopiec, który lubi bawić się sam. Nie był taki głupi jak Charlie. Gus pobiegł przez łąkę do małego mostku. Chmury rozstały się i zaświeciło słońce, w jego promieniach fale na rzece migotały i lśniły. Powietrze przesycone było cudownym aromatem mokrej ziemi i liści, a ciepły wiatr przyjemnie owiewał policzki chłopca. Gus dotarł do swojej tajemniczej chatki i wszedł do środka przez okno.

Storm obserwowała go z oddali. Nigdy dotąd nie była w tej części ogrodu. Światło magicznie wydobywało z cienia krople deszczu, wiszące na liściach i źdźbłach trawy. Dziewczynka zobaczyła, jak jej brat znika w małym domku i chwilę stała nieruchomo, rozglądając się dookoła. Kamienny mostek bardzo się Storm spodobał, ponieważ od razu skojarzył jej się z *Kubusiem Puchatkiem*. Przechyliła się przez barierkę i spojrzała w dół. Wśród falujących wodorostów widać było drobne kamyki i spore głazy. Storm była ciekawa, czy w rzece są ryby i postanowiła poprosić mamę o siatkę, może spróbuje coś złowić. Po paru minutach przeniosła wzrok na domek. Gus siedział w środku już dosyć długo. Wiedziała, że byłby wściekły, gdyby się zorientował, że poszła za nim. Obgryzając paznokcie, nerwowo wpatrywała się w domek, trochę z lękiem, że Gus zaraz się pojawi, a trochę z nadzieją, że tak się stanie, ale brata nie było. Zaczęła zastanawiać się, co on tam robi i powoli ruszyła w kierunku kamiennej chatki.

Zajrzała do środka przez okno po lewej stronie frontowych drzwi, to samo, które Gus wcześniej przetarł rękawem i gwałtownie wstrzymała oddech. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tam mieszkał. Z coraz szybciej bijącym sercem podkraśla się do okna z drugiej strony wejścia i rozgarnęła długie pnącza. Przyszło jej do głowy, że właśnie tak mógł wyglądać domek Królowny Śnieżki albo Złotowłosej i wyobraziła sobie, że na pięterku śpi Siedem Krasnoludów lub Trzy Niedźwiedzie.

Nagle z za rogu wychynał Gus.

- Co tu robisz?! - zawołał. - To mój dom!

- Nieprawda! - zaprotestowała, cofając się od okna.

- Powiedziałem ci przecież, że chcę pobawić się sam!

- Ale ja nie mam się z kim bawić.

Gus nie chciał jej i jego niechęć była niczym policzek. W oczach dziewczynki zabłyśły łzy.

- I co z tego?! - zapytał drwiąco Gus.

- Chcę wejść do środka.

- Nie możesz!

- Dlaczego?

- Bo do tego domku mogą wchodzić tylko chłopcy, a poza tym nie znasz hasła!

- Co to jest hasło?

- O, proszę, nie rozumiesz nawet, co to znaczy!

- Jesteś niedobry!

- Więc poskarż się mamie!

Storm się rozplakała, lecz Gus nadal patrzył na nią obojętnie.

- Nie jesteś moim bratem! - zawołała. - Nienawidzę cię!

Odwróciła się na pięcie i pobiegła brzegiem rzeki, ignorując kamienny mostek, przez który powinna przejść na drugą stronę.

V

KAMIENNY MOSTEK O ZACHODZIE SŁOŃCA. BURSZTYNOWE ŚWIATŁO ROZJAŚNIA GŁADKĄ POWIERZCHNIĘ RZEKI

Gus patrzył za nią chwilę, a potem zawrócił do domku. Był wściekły, że Storm odkryła jego tajemnicę, lecz mimo wszystko niepokoiła go trochę świadomość, że siostra przeszła na drugą stronę rzeki przez mostek, zapuszczając się na kompletnie nieznaną terytorium. W Londynie matka nigdy nie spuszczała ich z oka. Jeżeli w parku na moment schowali się za krzakiem, natychmiast wołała ich głosem pełnym napięcia i lęku, tymczasem teraz Storm poszła gdzieś całkiem sama i Gus czuł się winny. Gdyby młodszej siostrze stało się coś złego, on ponosiłby za to odpowiedzialność. Niepokój nie dręczył go jednak zbyt długo, ponieważ od razu zajął się przeszukiwaniem piętterka, gdzie pod ostro ściętym dachem były dwie sypialnie i łazienka. Słońce wpadało do środka przez okna i oświetlało poruszone jego krokami drobiny kurzu, sprawiając, że lśniły jak płatki złota. Na pięttrze było cicho i ciepło, powietrze przesycone było czymś

niezwykłym, czarodziejskim i niespotykanym. Gus wszedł do pierwszego pokoju i wszystkie myśli o Storm zupełnie wyleciały mu z głowy.

W tym samym czasie Storm szła brzegiem rzeki, zanosząc się głośnym płaczem. Nienawidziła Gusa, nienawidziła wsi, swojej nowej szkoły i nowego domu. Z całego serca pragnęła wrócić do Londynu, do swojego dawnego pokoju, do dawnej szkoły, w której miała mnóstwo przyjaciół i do wszystkiego, co znała i lubiła. Po paru chwilach dotarła do ogrodzenia, za którym rozciągało się pastwisko, gdzie pasło się stado krów. Dziewczynce przyszło do głowy, że na łące może paść się także i byk, więc stanęła przy furtce i oparła głowę na zgiętych ramionach, czując, jak jej łzy wsiąkają w wełnianą kurtkę.

Nagle uświadomiła sobie, że ktoś jej się przygląda. Usłyszała, jak błoto mlaska pod kopytami krów i lśniące czarne zwierzęta zbliżyły się do niej ostrożnie. Gdyby była Gusem, próbowałyby je wystraszyć, była jednak zbyt zmęczona i nie wiedziała, czy krowy nie są dla niej zagrożeniem. Podniosła wzrok, ale nie śmiała się poruszyć. Krowy utworzyły półkole po drugiej stronie ogrodzenia. Niektóre przepychały się do przodu, a ich duże oczy błyszczały zaciekawieniem. Storm nie miała żadnych wątpliwości, że gdyby chciały, mogłyby bez trudu wyrwać furtkę z zawiasów.

- Wyciągnij rękę - odezwał się ktoś całkiem blisko.

Dziewczynka odwróciła głowę i ze zdziwieniem zobaczyła obcego mężczyznę, który także opierał się o płot. Wyciągnął rękę w kierunku krów i uśmiechnął się do Storm, a jego ogorzałą twarz pokryła sieć drobnych zmarszczek, głębszych i dłuższych wokół oczu. Był to uśmiech, od którego człowiekowi robi się miło i ciepło w środku, i Storm natychmiast poczuła się lepiej, zupełnie jakby ktoś zatkał wielką dziurę w jej sercu, przynajmniej na jakiś czas. Przypomniała sobie, że matka zabroniła jej rozmawiać z nieznajomymi, ale ten człowiek

był miły, całkiem niepodobny do okropnych ludzi, przed którymi często ją ostrzegano.

Powtórzyła gest mężczyzny i wyciągnęła rękę. Z początku krowy nie wykonały żadnego ruchu, patrzyły tylko na wyciągnięte dłonie, wypuszczając z nozdrzy gorące powietrze. Storm czekała cierpliwie, uspokojona obecnością drugiego człowieka. Zauważyła, że ręka mężczyzny jest szorstka, spracowana i sucha, porwana setkami linii niczym mapa drogowa. Wreszcie krowy zaczęły przesuwać się ku nim, najpierw bardzo powoli, potem z rosnącą pewnością siebie. Dziewczynka zadrżała, kiedy jedna wyciągnęła szyję i zbliżyła wilgotny nos do jej palców.

- Nie bój się... - powiedział mężczyzna z dziwnym, zabawnym akcentem. - To krowy rasy Aberdeen Angus, bardzo łagodne stworzenia. Boją się ciebie dużo bardziej niż ty ich - przysunął swoją dłoń i krowa dmuchnęła ciepłym oddechem na rękę ich obojga. - Widzisz, polubiła cię...

Wierzchem palców pogłaskał po nosie zwierzę, które od razu wysunęło język i polizało dłoń Storm.

- Ma strasznie szorstki język! - zachichotała dziewczynka.

- Żeby mogła chwycić nim trawę - wyjaśnił. - Gdyby miała gładki język, trawa by się ześlizgiwała...

Reszta stada uznała, że dwie ludzkie istoty zachowują się przyjaźnie i zwierzęta ławą ruszyły naprzód, domagając się pieszczot.

- Mamy nowych przyjaciół! - roześmiał się mężczyzna.

Był zdziwiony, że dziecko rozbudziło w jego sercu uczucie zadowolenia. Zaledwie chwilę wcześniej siedział na brzegu rzeki z twarzą ukrytą w dłoniach, bardziej nieszczęśliwy i udręczony niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu sześciu lat.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Storm.

- Niezwykle imię! Ja nazywam się Jean-Paul...

Popatrzył na jej zaczerwienioną buzię, brudną tam, gdzie palcami rozmazała łzy i ze współczuciem pomyślał, że taka mała dziewczynka nie powinna sama chodzić po polach.

- Mieszkasz gdzieś tutaj?

- W Hartington House odparła, powtarzając nazwę, którą wbiła jej do głowy matka.

Jean-Paul pobladł. Na moment zabrakło mu słów.

- Hartington House jest po drugiej stronie rzeki - dodała Storm.

Jean-Paul doskonale o tym wiedział. Podniósł wzrok, jakby ponad czubkami drzew mógł zobaczyć otoczony zaniedbanym ogrodem dom.

- Chyba powinienem odprowadzić cię do domu - zasugerował łagodnie.

Storm kiwnęła głową, nie kryjąc rozczarowania. Nie chciała wracać, wolała zostać tutaj, wśród krów. Jean-Paul wyczuł jej nastrój..

- Możesz tu wrócić - rzekł. - Krowy zawsze ucieszą się na twój widok, bo teraz już cię znają!

- Mój brat nie chce się ze mną bawić - wyznała dziewczynka. - Jest okropny!

- Masz jeszcze jakieś rodzeństwo? Ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie, tylko Gusa.

- Od jak dawna tu mieszkacie?

- Niedługo. Przedtem mieszkaliśmy w Londynie.

- Założę się, że w Londynie nie miałaś takiego dużego ogrodu, co? - uśmiechnął się lekko.

- W ogóle nie mieliśmy ogrodu, ale w pobliżu był park. Wzruszył ramionami.

- Ogród to magiczne miejsce, a park raczej nie! Ogrody pełne są tajemniczych zakątków.

- Gus ma domek, ale to tajemnica - zwierzyła mu się Storm.

- Powinnaś poprosić waszego tatę, żeby zbudował ci twój własny domek.

- Tata jest zajęty - spuściła oczy i jej rzęsy prawie musnęły policzki.

- Więc możesz sama urządzić sobie domek w pustym drzewie!

- W pustym drzewie?

- W pustym drzewie w dzikim ogrodzie. Dziewczynka najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mówił.

- Chodź, pokażę ci!

Gdy zbliżyli się do kamiennego mostku, Jean-Paul spojrzął na domek i jego twarz poszarzała.

- To domek Gusa! - pokazała palcem Storm.

Jean-Paul milczał. Serce znowu pękało mu z bólu. Odeszła... Po co tu wrócił? Czego się spodziewał? Powinien był pozwolić, aby czas zatarł wspomnienia, tak jak pnącza zarosły ściany domku. Trzeba było iść dalej i nie oglądać się za siebie, ale przecież kochał ją całym sercem. Gdyby zdławił tę miłość, z całą pewnością sam umarłby razem z nią.

- Chodźmy, Storm! Pokażę ci puste-drzewo.

Wszedł na mostek, nie patrząc już w stronę domku. Dziki ogród, dawniej pełny fioletowych i niebieskich kamasji i jaskrów, pierwiosnków i pierzastych mleczy, był teraz zupełnie zapuszczony. Nieskoszona na zimę trawa rosła wysoko i gęsto. Kiedyś bardzo lubił przechodzić tędy w łagodne wiosenne wieczory, zmierzając do domku, lecz teraz ogród wydawał się drzemać, uśpiony pragnieniem dawno zapomnianej miłości.

- Widzisz tamto drzewo? - zapytał głosem ochryłym ze wzruszenia, wskazując potężny dąb, wznoszący się najwyżej ze wszystkich drzew. - Jest pusty.

- Co to znaczy?

- Jest pusty w środku, spróchniały, podobny do skorupy. Można tam wejść i urządzić sobie domek - wziął głęboki oddech. - Nie byłabyś pierwsza - dodał cicho.

Storm zerknęła na niego z zaciekawieniem, lecz on odwrócił się i ruszył w stronę Hartington House.

- Nie powinniśmy przypadkiem dać znać twojej mamie, że wróciłaś?

- Mama jest zajęta - oświadczyła Storm.

Jean-Paul ściągnął brwi, przeczesał palcami ciemne włosy, teraz siwiejące już na skroniach i obrzucił dziewczynkę uważnym spojrzeniem.

- Na pewno nie jest aż tak zajęta, aby nie zauważyć, że nie ma cię w domu! Ile masz lat?

- Prawie sześć - odparła z dumą.

- Ach, więc jesteś całkiem dorosła. Ale nawet dorośli wolą wiedzieć, gdzie są ich bliscy! Lepiej powiedzmy, że już wróciłaś, tak na wszelki wypadek, dobrze?

W ostatniej chwili powstrzymał się, aby nie wziąć jej za rękę. Ileż to razy spacerował po tym ogrodzie, trzymając za ręce małe dzieci, opowiadając im o czarodziejskich tajemnicach przyrody. Wiedział jednak, że ta dziewczynka nie zareagowałaby tak jak tamte dzieci, włożył więc rękę do kieszeni kurtki i ruszył dalej.

Wszystko było tak, jak zapamiętał - ściany z jasnoszarego kamienia i spadzisty dach, smukłe kominy, w których mieszkały słodko gruchające synogarlice, na poddaszu trzy okna z kwadratowymi szybami, przez które wyglądały dzieci... Symetryczna harmonia budynku i łagodny sposób, w jaki wtapiał się w otaczające go drzewa i krzewy sprawiały wrażenie, jakby dom został stworzony razem z elementami krajobrazu i starzał się razem z nimi.

Zadzwoił do drzwi. Storm stała obok niego, czekając na pojawienie się matki. Wcześniej nie przyszło jej nawet do głowy, że matka mogłaby się o nią niepokoić - była

przekonana, że śpi. Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stała Miranda w brązowym welurowym dresie, z włosami ściągniętymi w koński ogon i promiennie zarumienionymi policzkami. Spojrzała ha nieznajomego mężczyznę, potem na Storm i nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Wszystko w porządku, kochanie? - przykucnęła szybko, aby z bliska popatrzeć w umorusaną, zapłakaną buzię dziewczynki. - CS się stało? - przeniosła wzrok na obcego.

- Znalazłem ją nad rzeką, była sama...

Miranda od razu zwróciła uwagę na francuski akcent przybysza. Nie mogła też nie zauważyć, jak bardzo był atrakcyjny.

- Jestem Jean-Paul.

- Proszę wejść! - powiedziała. - Bardzo dziękuję, że ją pan przyprowadził!

- Nie chcę sprawiać pani kłopotu.

- Skądże znowu! Proszę, chciałabym panu podziękować! - Szczerze żałowała, że nie zadbała o swój wygląd. Prawie nigdy nie pokazywała się ludziom bez makijażu, poza tym była pewna, że spodnie od dresu mają plamę na udzie. - Nie mam pojęcia, co Storm robiła nad rzeką... Boże, moje dzieci zaczynają zachowywać się jak małe dzikusy! Dwa dni temu nasz sąsiad Jeremy Fitzherbert przyprowadził Gusa z lasu! Oboje są przyzwyczajeni do londyńskich parków i miejskich ogródków.

Jean-Paul poszedł za Mirandą korytarzem do kuchni. Wewnątrz dom był teraz zupełnie inny, Jean-Paul wyczuł też ogromną zmianę wibracji i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mimo płonącego w kominku ognia temperaturę w holu obniżał chłodny przeciąg. Storm podskakiwała wesoło u boku swego nowego przyjaciela.

- Myślałam, że oglądasz film na wideo - odezwała się Miranda do Storm, wydając dwie filiżanki z pomalowanego

kremową farbą kredensu i stawiając je na czarnym granitowym blacie.

- Herbata czy kawa, Jean-Paul?

- Poproszę kawę - odparł, siadając na taborecie.

- Widzieliśmy krowy - oznajmiła Storm. - Jedna polizała mnie po ręce!

Z pełnym dumy uśmiechem pokazała matce prawą dłoń.

- Boże, co za okropieństwo! Lepiej od razu umyj ręce! Mam nadzieję, że nie wkładałaś palców do ust - popchnęła Storm w stronę zlewozmywaka, puściła wodę i podniosła dziewczynkę.

Storm chwyciła mydło i podetknęła ręce pod strumień wody.

- Krowa ma szorstki język, żeby łatwiej jeść trawę - ciągnęła mała.

- Tak jest, porządnieje wyszoruj! - poleciła Miranda, bardziej zainteresowana zniszczeniem bakterii i zarazków niż naturą krowiego języka.

Po zakończeniu zabiegów higienicznych postawiła córkę na ziemi i zabrała się do robienia kawy. Zauważyła, że na twarzy Jean-Paula malował się wyraz zamyślenia. Jego zmysłowe, nieco krzywe wargi ułożyły się w lekki uśmiech, oczy miał ciepłe, brązowe jak toffi i głęboko osadzone, otoczone długimi ciemnymi rzęsami. Najbardziej uderzył ją jednak nie tyle dość niezwykły kolor jego oczu, ile ich wyraz, pełen współczucia i głębokiego zrozumienia dla świata.

- Niedawno się tu przeprowadziliśmy - powiedziała, wsypując zmieloną kawę do ekspresu. - I dopiero przystosowujemy się do nowych warunków.

- Każda zmiana wymaga czasu, ale dobrze, że trafiliście w takie piękne miejsce. Będziecie tu bardzo szczęśliwi.

Słowa Jean-Paula zabrzmiały jak proroctwo.

- Co sprowadza Francuza do Hartington? - zagadnęła Miranda.

- Dobre pytanie! Tak naprawdę sam nie wiem.

Nie wygląda pan na turystę.

- I nie jestem nim.

Storm przysunęła sobie taboret bliżej gościa i usiadła.

- Jean-Paul zbuduje mi domek na drzewie - powiedziała z uśmiechem.

- Było jej smutno, że nie ma sekretnego domku tak jak jej brat - wyjaśnił Jean-Paul.

- Gus nie chce się z nią bawić, na tym polega problem. Skończył już osiem lat i Storm jest dla niego za mała. Ma pan dzieci?

- Nie, nigdy się nie ożeniłem.

Szkoda, taki atrakcyjny facet, pomyślała Miranda.

- W przyszłym roku Gus idzie do szkoły z internatem -dorzuciła.

- Do szkoły z internatem? Przecież to jeszcze małe dziecko!

- Jeżeli komuś potrzebna jest szkoła z internatem, to właśnie Gusowi, proszę mi wierzyć! - roześmiała się, otworzyła lodówkę i wyjęła karton mleka. - Poza tym, ja pracuję.... Im szybciej wyśle się tych dwoje do szkół z internatem, tym lepiej!

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem dziennikarką, a właściwie to niespełnioną pisarką. Lubię powtarzać sobie, że kiedy dzieci wyjadą do szkół, będę miała czas, żeby napisać książkę.

Jean-Paul popatrzył na Storm.

- Mała też pojedzie?

- Kiedy skończy osiem i pół lat. Ciebie będę miała w domu troszkę dłużej, prawda, skarbie? - Miranda uśmiechnęła się do córeczki, lecz ta widziała tylko przystojnego Francuza. - A czym pan się zajmuje? - Napelniła filiżankę kawą i podała mu ją.

Zawahał się przez chwilę, potem pociągnął łyk kawy i spojrzał na Mirandę.

- Ogrodem - odpowiedział spokojnie.

Miranda drgnęła, zaskoczona zbiegiem okoliczności.

- Jest pan ogrodnikiem? Uśmiechnął się nieco drwiąco.

- Tak, czemu nie? - Wzruszył ramionami w charakterystyczny dla Francuzów sposób, unosząc ramiona i lekko rozkładając dłonie. - Zajmuję się ogrodem.

- Przepraszam, że tak się dopytuję, ale dość rozpaczliwie szukam kogoś do pracy w naszym ogrodzie! Wszyscy sąsiedzi powtarzają mi, że poprzedni właściciele domu byli znakomitymi ogrodnikami i że mieli tu najpiękniejszy ogród w całej Anglii, więc teraz mam poczucie winy, że o niego nie dbam! Zupełnie jakby była to wielka zbrodnia czy coś w tym rodzaju!

Jean-Paul utkwiał wzrok¹ w filizance.

- Znaliście ludzi, którzy mieszkali tu przed wami? Miranda potrząsnęła głową.

- Nie. To byli jacyś starsi państwo, w każdym razie tak mi się wydaje. Nazywali się chyba Lightly, czy jakoś tak... Wyprowadzili się stąd.

- Rozumiem.

- Nie jest pan... chodzi mi o to, że może byłby pan zainteresowany... Nie chciałby pan przypadkiem...

- Ożywię ten ogród - powiedział Jean-Paul. Twarz Mirandy rozjaśnił uśmiech.

- Mój mąż pomyśli, że kompletnie zwariowałam! Przecież ja nawet pana nie znam...

Nie mogła wiedzieć, dlaczego nagle zaoferował jej pomoc. Nie był to cudowny zbieg okoliczności, ale złożona ponad dwadzieścia lat wcześniej obietnica.

- Posiadam odpowiednie kwalifikacje, a nawet więcej, proszę mi zaufać - rzekł. - To nie jest zwyczajny ogród!

- Nad rzeką mamy mały domek, który, co prawda, wymaga napraw i pewnie remontu, ale to nie powinno potrwać

długo. Będziemy bardzo zadowoleni, jeżeli zechce pan tam zamieszkać, oczywiście bez żadnych opłat. Jean-Paul odwrócił się do Storm.

- Domek Gusa, tak?

- Jest bardzo brudny! - pisnęła Storm. - W środku wszystko jest zakurzone, zaglądałam przez okno.

- Wysprzątamy go, naturalnie - włączyła się Miranda. - To urocze miejsce, latem pewnie wręcz idylliczne.

- Dla mnie wystarczające. - Jean-Paul wstał i podszedł do okna. - Szkoda byłoby zostawić je na łasce losu - dodał poważnie. - Włożono w nie przecież tyle pracy.

I tyle miłości, pomyślał. Dopił kawę.

- Muszę już iść - powiedział. - Mam parę spraw do załatwienia we Francji. Wrócę pod koniec miesiąca i dam pani rok...

- Och, świetnie, będziemy mieli dość czasu, żeby przygotować domek!

- Nie powiedziała mi pani jeszcze, jak się pani nazywa. - Jean-Paul był już w korytarzu.

- Miranda Claybourne.

- Proszę panią o jedną rzecz. - Jego spojrzenie było tak intensywne, że Mirandzie żołądek skurczył się ze zdenerwowania.

- Tak?

- Żeby przyjęła pani moje rady i nie wątpiła w moją szczerłość. Obiecuję, że będzie pani więcej niż zadowolona.

- Oczywiście - znowu się zarumieniła, porażona charyzmą Francuza.

- Na razie nie ufa mi pani, ale to się zmieni. - Jean-Paul odwrócił się do Storm, która wyszła za nimi do holu. - W tym ogrodzie mieszka magia - powiedział, przykucając, aby jego twarz znalazła się na poziomie jej buzi.

- Magia? - powtórzyła dziewczynka bez tchu, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami.

- Magia - odszepnął. - I tylko ja wiem, jak się nią posłużyć!

- Mogę ci pomóc? - wyszeptała.

- Bez ciebie na pewno sobie nie poradzę! - uśmiechnął się. Miranda wstrzymała oddech na widok tego uśmiechu,

który w jednej sekundzie przeistoczył całą twarz Jean-Paula, nadając jej wyraz łobuzerskiej bez troski.

- Zobaczysz, co stanie się z ogrodem, kiedy o niego zadamy! Im więcej miłości w niego włożymy, tym więcej nam jej odda.

- Mamo, mam, chcę pomóc Jean-Paulowi znaleźć magię! Miranda roześmiała się głośno.

- Ja też chcę pomóc znaleźć magię - powiedziała, ściskając jego rękę na pożegnanie.

Podniósł jej dłoń do ust, a jej żołądek znowu się skurczył, tym razem z podniecenia. Długo wpatrywała się w ciemność za odchodzącym Francuzem. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą przeprowadziła najdziwniejszą rozmowę w sprawie pracy, jaką można było sobie wyobrazić. Przecież nie omówili nawet kwestii jego pensji... Przygryzła dolną wargę, podekscytowana, ale i dziwnie zaniepokojona. To nie ona znalazła Jean-Paula, lecz on ją.

Lekkim krokiem wróciła do kuchni, żeby przygotować podwieczorek dla dzieci.

- Jest taki miły! - Storm radośnie podskakiwała za jej plecami.

- Tak. - Miranda sięgnęła po pustą filiżankę po kawie. - Bardzo miły. Tylko że Bóg jeden wie, jak ja to powiem waszemu ojcu. Nie mam pojęcia, skąd wziął się ten człowiek, nie poprosiłam go o żadne referencje. Równie dobrze mógłby być... - pokręciła głową. - Nie, mam dobry instynkt! To uczciwy facet. Przyprowadził cię przecież do domu, prawda?

Bałam się krów - powiedziała Storm. Naprawdę, kochanie? I to dlatego płakałaś?

- Nauczył mnie, jak podsuwać im rękę.
- Gdzie go znalazłaś?
- Nad rzeką.
- Co tam robił? - Wstawiła filiżanki do zmywarki.
- Nie wiem.
- A co ty tam robiłaś? - spojrzała na córkę z uśmiechem.
- Gus nie chciał się ze mną bawić.
- Nie wolno ci biegać samej po okolicy!
- Kiedy znowu zobaczę Jean-Paula?
- Jean-Paul będzie naszym ogrodnikiem. - Lekko ściągnęła brwi. -
Musimy wysprzątać ten mały domek. Dlaczego on powiedział, że to domek Gusa?
- Bo Gus mówi, że domek należy do niego.
- Ach, więc to tam ostatnio uciekał.
- Gus nie chce się ze mną bawić!
- To dlatego, że jesteś młodsza od niego, no i jesteś dziewczynką. Mali chłopcy nie lubią bawić się z dziewczynkami.
- Z chłopcami Gus też się nie bawi!
- Ale powinien...
- Nikt go nie lubi!
- Miranda wyjęła bochenek chleba z pojemnika na pieczywo.
- Zrobię kanapki na podwieczorek - powiedziała, ignorując uwagę Storm.
- Nie lubiła myśleć o tym, że inne dzieci nie lubią Gusa, nie tylko dlatego, że bardzo ją to bolało, ale i z tego powodu, że podkreślało to trudny charakter syna. Miranda wiedziała, że z Gusem będą poważne problemy, lecz bała się tej sytuacji i najchętniej wyrzuciłaby ją ze świadomości.
- W tym momencie do kuchni wpadł Gus. Na widok siostry, całej i zdrowej, poczuł ulgę.
- Mama wysprząta domek! - oznajmiła triumfalnie Storm.
- Jaki domek? - Gus rzucił siostrze wściekłe spojrzenie.

- Twój domek - wyjaśniła Storm.
- Ten mały domek nad rzeką - odezwała się Miranda. -Musimy porządnie go wysprzątać, bo niedługo zamieszka tam nowy ogrodnik.
- To mój przyjaciel! - dorzuciła Storm.
- Jaki znowu ogrodnik? - spytał Gus z uczuciem, że matka i siostra stawiają go pod ścianą.
- One obie wiedziały, o kogo chodzi, tylko on nie...
- Bardzo miły Francuz, który zajmie się naszym ogrodem. Będzie mieszkał w domku nad rzeką.
- Ale to mój domek, ja go odkryłem! - zaprotestował Gus.
- Będziesz musiał znaleźć sobie inne miejsce - oświadczyła Miranda.
- Storm wykrzywiła się do brata, myśląc o pustym drzewie, swoim własnym miejscu, którym bynajmniej nie zamierzała się dzielić z Gusem.
- Wieczorem Miranda zadzwoniła do Davida na komórkę, żeby powiedzieć mu o Jean-Paulu. Zdziwiła się nieco, gdy mąż natychmiast przyjął jej decyzję do wiadomości. Rozmawiał z nią krótko i sprawiał wrażenie roztargnionego, co wcale jej nie przeszkadzało. Pomyślała, że gdyby przekazała mu nowinę kiedy indziej, mógłby się nią bardziej zainteresować.
- David z westchnieniem odwrócił się do kochanki.
- Dzwoniła Miranda - rzekł, rzucając aparat na łóżko. -Znalazła ogrodnika.
- Blythe delikatnie zabębniła palcami o jego pierś.
- Pamiętaj o *Lady Chatterley*! - zachichotała. - Uważaj, mój drogi, uważaj!
- Nie wydaje mi się, aby moja żona miała takie skłonności!
- Och, moim zdaniem, każda z nas ma w sobie trochę z lady Chatterley...
- Miranda jest zbyt wielką snobką - mruknął David.
- A widziałeś go?

- Nie sędzę, żeby stanowił konkurencję dla mnie! Ostatecznie to tylko ogrodnik, na miłość boską!

- Niewykluczone, że Miranda lubi szorstkich facetów.

- Miranda? - zdumiał się.

- Tylko żartowałam! - Blythe pocałowała go. - Ach, mój Romeo, naprawdę cię rozgrzałam, prawda?

- Zaraz wymierzę ci za to odpowiednią karę!

Ułożył się na niej i rozsunał jej nogi kolanami. Po lunchu zaznał przyjemności z żoną, a teraz delectował się kochanką. Im częściej uprawiał seks, tym bardziej go pragnął, tak to już z nim było. Przywarł ustami do jej warg i wcisnął między nie język, także i po to, aby ją uciszyć. Leżała pod nim jak rozgwiazda, otwarta na niego, a on mógł brać ją tak, jak miał ochotę. Mąż Blythe nigdy nie zachowywał się w tak zdecydowany sposób. David, podniecony myślą o dwóch kobietach w swoim życiu, obu pięknych i kuszących, triumfalnie wszedł w Blythe, już drugi raz w ciągu tego wieczoru. Był królem świata.

VI

NASZ DOMEK LATEM, KIEDY LEKKI WIATR NIESIE SŁODKI ZAPACH KAPRYFOLIUM

Jak na poniedziałkowy ranek, w kawiarni Cate panował duży ruch. Pułkownik Pike siedział w kącie przy oknie, pogrążony w lekturze „The Times”, filiżanka parującej kawy stała obok talerzyka z gorącym owsianym ciastkiem z masłem. Jego wąsy drgały co jakiś czas, gdy natknął się w gazecie na wiadomość, która wydawała mu się oburzająca; zapalczywie mamrotał też wtedy pod nosem. Wielebna Freda Beeley popijała herbatę w towarzystwie dwóch członków kościelnego chóru, Jacka Tintona i Malcolma Shawditcha, i omawiała z nimi plany na Boże Narodzenie oraz repertuar koncertu kolęd, z którego dochód miał zostać przeznaczony na naprawę wieży. Przy sąsiednim stoliku dwie starsze panie obgadywały swoją przyjaciółkę Joan Halesham, która po sześćdziesięciu dwóch latach małżeństwa zostawiła męża dla ukochanego z liceum.

- Sześćdziesiąt dwa lata małżeństwa! - zdumiewała się

Dorothy Dipwood. - Czy jest sens wymieniać jednego starucha na drugiego? Po osiemdziesiątce wszyscy oni są przecież tacy sami, prawda? Szczególnie jeśli ktoś jest tak ślepy jak Joan!

William van den Bos, kolekcjoner przedmiotów oraz publikacji związanych z Napoleonem i właściciel księgarni, siedział przy stoliku najbliższej gabloty z ciastkami i zjadał duży kawałek cytrynowego ciasta, rozmawiając przez telefon z człowiekiem, który skontaktował się z nim i oświadczył, że ma do sprzedaży nocnik Cesarza.

- Jestem bardzo zainteresowany - mówił William, elegancki i świeży w tweedowym garniturze z kamizelką, ze złotym zegarkiem na rękę i monoklem w kieszonce marynarki. - Muszę jednak mieć całkowitą pewność, że to oryginalna rzecz. W zeszłym miesiącu trzech różnych kolekcjonerów usiłowało sprzedać mi trzy penisy, wyobraża pan sobie? Nigdy nie dość ostrożności, słowo daję!

Henrietta nie otworzyła jeszcze swojego sklepu z pamiątkami i siedziała obok Troya, u którego pierwsza klientka odwołała wizytę.

- Zawsze mi to robi! - skarżył się fryzjer. - A prosiła mnie, żebym przyszedł pół godziny wcześniej! Suka!

Najbardziej interesował ich jednak atrakcyjny Francuz, który poprzedniego dnia zjawił się w cukierni, całkiem sam.

- Prawie się nie odzywał - powiedziała Cate, przysiadając z gracją przy stoliku Henrietty i Troya. - Ale gdy się odezwał, mówił z tak seksownym francuskim akcentem, że mało brakowało, a zapomniałabym, że jestem mężatką i zadeklarowałabym gotowość, aby natychmiast z nim uciec.

- Przypadkiem widziałem, jak tu wchodził - pokiwał głową Troy. - Szedłem właśnie na lunch, ale przypomniałem sobie, że nie nakarmiłem Cindy. Gdybym nie wrócił do mojej kocicy, przegapiłbym ten cudowny widok - westchnął melodramatycznie. - Ciekawe, czy było to zrządzenie

losu. W Hartington niewielu jest tak atrakcyjnych mężczyzn, to przecież nie Riwiera, prawda? Zacząłem się ślinić, gdy go zobaczyłem, dosłownie!

- Więc jaki był? - zapytała Henrietta.

- Zachwycający - odparła Cate.

- Homo? - dopytywał się z nadzieją Troy.

- Wolny? - zaśmiała się Henrietta.

- Francuzi lubią chude kobiety - powiedziała z fałszywym współczuciem Cate, marszcząc piegowaty nos.

Henrietta spokojnie przełknęła następny kęs brioszki.

- I zdecydowanie nie był pedałem - dorzuciła Cate. -Bardzo mi przykro, moi drodzy!

- Czy miał na twarzy ten typowy, zadowolony z życia wyraz szczęśliwego w małżeństwie faceta? - odezwał się lodowatym tonem Troy.

Cate zignorowała ten przytyk. Troy zawsze stawał po stronie Henrietty.

- Nie, wyglądał raczej na wolnego - odpowiedziała, unosząc podbródek. - Ale nie uśmiechał się, był poważny i chyba smutny. Podałam mu kawę i wtedy trochę się rozpogodził. Wiecie przecież, jaką robię kawę! Założę się, że to turysta. Pytał o Hartington House, chciał wiedzieć, kto tam teraz mieszka. Myślał chyba, że ogród koło domu jest otwarty i można go zwiedzać. Kiedy mu powiedziałam, że wszystko zarosło chwastami, a posiadłość kupiła bogata rodzina z Londynu, był bardzo rozczarowany. Zrobiło mi się go żal...

- Poradziłaś mu, żeby zwiedził zamek? - Troy zniżył głos i konspiracyjnie pochylił się nad stołem. - Widok Jacka i Mary Tintonów w kostiumach od razu poprawiłby mu humor! Można pęknąć ze śmiechu, kiedy się na nich patrzy!

- Jak to, w kostiumach? - Henrietta zerknęła na Jacka Tintona, który w dżinsach i sztruksowej marynarce wyglądał jak całkiem przeciętny pięćdziesięciolatek.

- Postanowili przebierać się w kostiumy i odgrywać rolę postaci z epoki elżbietańskiej, wszystko ze względu na turystów, rzecz jasna! Jeżeli ktoś chce się z nimi sfotografować, płaci jednego funta... Jeden funt za zdjęcie z tą dwójką buraków, wyobrażacie sobie?! Od zwiedzających zamek biorą pięć funtów za godzinę, przecież to majątek! Jeżeli chcecie się pośmiać, idźcie tam w sobotę albo niedzielę i popatrzcie, jak Jack i Mary pływają w ciuchach z epoki, to lepsze niż pantomima!

- Z pewnością lepsze niż sam zamek - rzuciła kwaśno Cate. - Nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek chce płacić za oglądanie tej kupy gruzów, którą jakoby kiedyś odwiedziła królowa Elżbieta I, chociaż to bardzo, ale to bardzo wątpliwe!

- Uch! - wykrzyknął pułkownik, gniewnie składając gazetę i wstając od stolika. - Nie ma co, świat schodzi na psy!

Wielebna oraz jej dwie towarzyszki przerwały rozmowę i popatrzyły na niego ze zdziwieniem.

- Brudne szpitale, zanieczyszczone powietrze, przepracowani, marnie opłacani, marnie wykształceni ludzie, wszędzie bandyci, którzy nie mówią, tylko rzucają mięsem, wszędzie graffiti, walki gangów, dziewczuchy z gołymi pępkami, modelki chude jak wieszaki albo tłuste baby, bieda, terroryzm, wojny, morderstwa, porwania, gwałty - pułkownik prychnął z wściekłością. - Świat schodzi na psy, co tam, już dawno zszedł na psy, słowo daję! Całe szczęście, że niewiele mi już życia zostało, bo wszystko to razem jest zwyczajnie nie do zniesienia!

Sztywnym krokiem ruszył do drzwi. Tylko dwie starsze panie nadal rozmawiały spokojnie, jakby pułkownika w ogóle nie było w cukierni. Staruszek rzucił parę monet na ladę i wyszedł, wpuszczając do środka podmuch zimnego, wilgotnego wiatru.

- Ach, więc to dlatego po nabożeństwie praktycznie nie wychodzi z kościoła! - zaśmiała się pogodnie wielebna

Beeley. - Uważa, że w jego wieku nie oplaca się już wracać do domu!
Cate wrzuciła monety do szuflady kasy i wróciła na swoje krzesło, wyglądając biały fartuszek.

- Ciekawe, czy jeszcze tu wróci - westchnęła Henrietta. W Hartington naprawdę nie było zbyt wielu atrakcyjnych mężczyzn...

- Przychodzi codziennie rano! Zawsze siada przy tym samym stoliku i narzeka na te same rzeczy! - Cate z niezadowoleniem pokręciła głową. - Ludzie o negatywnym nastawieniu do świata są potwornie męczący!

- Ale ja mówię o tym Francuzie. Myślisz, że wróci?

- Któż to może wiedzieć. Moim zdaniem, był tu tylko przejazdem. Tak czy inaczej, po prostu cudo, nie facet! Miał najpiękniejsze orzechowe oczy, -jaki kiedykolwiek widziałam, a kiedy wychodził, obrzucił mnie takim spojrzeniem, że -Cate zawsze musiała skupić uwagę rozmówców na sobie... że poczułam się tak, jakby chciał zaprosić mnie do sypialni.

- W jakim był wieku?

- Tuż po pięćdziesiątce - odparła Cate. - Cóż, może jednak wróci - znacząco pokiwała głową. - Taki mężczyzna na pewno lubi dobrą kawę.

Wszyscy odwrócili się, gdy drzwi znowu się otworzyły.

- A nie mówiłam? - odezwała się triumfalnym tonem Cate. - Zawsze wracają!

Podniosła się i przywitała Mirandę tak, jakby znały się od niepamiętnych czasów.

- Co mogę podać?

- Kawę z gorącym mlekiem w dzbanuszkach - powiedziała Miranda.

Podeszła do korkowej tablicy i zerwała z niej swoją kartkę z ogłoszeniem.

- Znalazła pani kogoś? - zagadnęła Cate.

- Tak - uśmiechnęła się ostrożnie Miranda. - Znalazłam.

- Kucharkę i ogrodnika? - zdziwił się Troy. - Szybko!

- Nie w tym mieście! - roześmiała się Cate. - Wszyscy przychodzą do mojej cukierni!

Miranda nie miała serca powiedzieć jej, że ani pani Underwood, ani Jean-Paul nie widzieli tablicy z ogłoszeniami.

Uprzejmie, lecz nieco chłodno przywitała się z Troyem i Henriettą - nie miała najmniejszego zamiaru zachęcać ich do rozmowy - i usadowiła się pod oknem obok stolika wielebnej Beeley. Ledwo zdążyła usiąść, a już wielebna przechyliła się ku niej, wypełniając przestrzeń między krzesłami obfitym biustem. Okulary na łańcuszku zawisły w powietrzu niczym bezbronny alpinista.

- Dzień dobry! - przemówiła soczystym głosem. - Jestem proboszczem tutejszej parafii, Freda Beeley... Niedawno się tu pani przeprowadziła, prawda?

- Tak. Miranda zrozumiała, że była naiwna, gdy liczyła na to, że uda się jej spokojnie wypić kawę w cukierni Cate.

- Jako proboszcz parafii Hartington chciałabym serdecznie powitać panią w naszym miasteczku! Będę zachwycona, jeżeli z potrzeby serca zechce pani wziąć udział w naszych nabożeństwach. Może otrzymała już pani naszą parafialną gazetkę, w której znajduje się rozkład nabożeństw oraz lista specjalnych uroczystości i wydarzeń? Mam szczerą nadzieję, że zobaczę panią w kościele.

- Dziękuję - uśmiechnęła się sztywno Miranda.

Zastanawiała się, czy nie powinna powiedzieć, że jest Żydówką, bo przyznanie się do agnostycyzmu na pewno nie osłabiłoby zapachu wielebnej Beeley.

- Cała przyjemność po mojej stronie! Państwo Lightly byli bardzo religijni, przyjeżdżali do kościoła w każdą niedzielę. Kościół naprawdę wyglądał wspaniale, kiedy pani Lightly układała kwiaty. Miała czarodziejskie dłonie, a jej ogród był najpiękniejszy.

- Tak, słyszałam o tym - przerwała jej szybko Miranda.

Miała już dosyć słuchania o przepięknym ogrodzie państwa Lightly. Gdyby nie nagłe i zupełnie nieoczekiwane pojawienie się Jean-Paula, chyba nie oparłaby się pokusie i powiedziała tym wszystkim ludziom, żeby wreszcie się zamknęli, ale teraz była całkiem zadowolona i spokojna, zupełnie jakby miała jakiś cudowny sekret.

- Skoro mieli najpiękniejszy ogród w całej Anglii, to dlaczego się wyprowadzili? - zapytała.

- Myślę, że nie chcieli siedzieć sami w tym wielkim domu. Dzieci dorosły i wyjechały, no, z wyjątkiem najmłodszej, która odziedziczyła po matce dobrą rękę do roślin. Poza tym Phillip zaczął chorować, więc - wielebna westchnęła i ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Phillip?

- Pan Lightly. Jest dużo starszy od żony i jakiś czas temu miał zawał. - Freda Beeley wyszeptała tę informację tak tajemniczo, jakby to był ściśle strzeżony sekret. - Pani Lightly sama się nim opiekuje, to dobra kobieta.

- Dokąd się przeprowadzili?

- Nie wiem. Wyjechali niepostrzeżenie, nie chcieli robić wokół siebie szumu. - Wielebna opuściła powieki, częściowo zakrywając wyłupiaste brązowe oczy. - To ludzie godni najwyższego szacunku, godny przykład dla nas wszystkich.

Cate przyniosła Mirandzie kawę.

- W sobotę poznałam pani męża - oznajmiła, obserwując, jak Miranda wlewa gorące mleko do filiżanki.

- Smakowała mu pani kawa.

- Oczywiście! Bardzo miły człowiek, rozmawiał ze wszystkimi, zawarł mnóstwo nowych znajomości. Po prostu czarujący!

Miranda zamarła, pewna, że Cate dorzuci zaraz: „w przeciwieństwie do pani”, ale nic takiego się nie stało. Cate zamilkła na chwilę, czekając, aż Miranda podejmie rozmowę, a potem, nie kryjąc rozczarowania, oddaliła się z cichym

prychnięciem. Miranda nie zamierzała jednak przejmować się tym, że być może uraziła właścicielkę cukierni; nie miała najmniejszej ochoty, aby wszyscy obecni słuchali jej odpowiedzi na wścibskie pytania Cate.

Wróciła myślami do dzieci. Miała nadzieję, że Gus zachowa się w szkole jak należy. Storm była rano w wyśmienitym nastroju i bez przerwy szczebiotała o czarach w ogrodzie, jakie pokaże jej Jean-Paul. Miranda podsłuchiwała, jak mała opowiadała poduszkom w swoim domku o niezwykłym przyjacielu, którego spotkała nad rzeką. Dziwiło ją trochę, że Jean-Paul wywarł na małej tak wielkie wrażenie. Storm mówiła tylko o nim, o magii, jakimś tam drzewie i krowach, do których zamierzała znowu się wybrać.

- Teraz już mnie znają - wyjaśniła matce. - Jean-Paul powiedział, że na pewno mnie nie zapomną!

Miranda przypomniała sobie łagodny wyraz oczu Jean-Paula i głębokie zmarszczki, wyryte w ogorzałej skórze. Uśmiech rozjaśniał jego twarz jak pogodny świt. Szczerze mówiąc, Francuz wcale nie wyglądał jak ogrodnik. Typowym ogrodnikiem mógł być pan Underwood, Jean-Paul wyglądał jak gwiazdor filmowy.

Zapłaciła za kawę i sprężystym krokiem wyszła na skąpaną w słońcu ulicę. Wyjęła z torby ciemne okulary od Chanel i ruszyła w stronę parkingu. Powietrze było rześkie, cienie granatowe po nocnym deszczu. Miranda nie wiedziała, co tak nagle dodało jej energii, kawa, czy świadomość, że Jean-Paul wróci do Hartington House pod koniec miesiąca.

- Nawet nie podziękowała! - wykrzyknęła z oburzeniem Cate po jej wyjściu.

Troy zerknął na Henriette i zmarszczył brwi.

- Za kawę? - spytał.

- Nie, za to, że znalazłam jej ogrodnika i kucharkę!

- Przecież nie wiesz, czy rzeczywiście znalazła ich dzięki tobie! - Troy lekko wzruszył ramionami.

Henrietta rzuciła mu pełne podziwu spojrzenie - sama nigdy nie ośmieliłaby się odezwać w taki sposób do Cate. Cate zawsze miała rację i wszystko wiedziała.

- Oczywiście, że dzięki mnie! Dzięki ogłoszeniu na mojej tablicy! Co za nieuprzejma kobieta! - Cate z irytacją sprzątnęła filiżankę i dzbanuszek ze stolika Mirandy. - Mówiłam wam, że to nadęta snobka! Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego taki uroczy facet ożenił się z tą babą! - Przechyliła się nad Troyem w kierunku Henrietty. - Francuz Francuzem, skarbie, ale mąż Mirandy też jest bardzo atrakcyjny, a jeśli ona nadal będzie obnosić się z taką wyniosłą miną, to wkrótce się z nią rozwiedzie! Zrzuc parę kilo i będzie twój!

Troy położył rękę na dłoni przyjaciółki i zaczekał, aż Cate zniknie w niewielkiej kuchni za ladą.

- Nie słuchaj jej, Etta! Znowu ma zły humor! Uwielbiam cię taką, jaka jesteś, naprawdę! Gdybym był hetero, ożeniłbym się z tobą w mgnieniu oka!

- Dziękuję - w oczach Henrietty zabłyśły łzy wdzięczności.

- Wyobraź sobie, jakie siniaki musi mieć nieszczęsny Nigel, który co wieczór musi kłaść się na tej desce! Ty jesteś cudowna, taka miękka i ciepła! Zero ryzyka, żadnych siniaków!

Henrietta zarumieniła się, wyraźnie zażenowana.

- Facet, który cię znajdzie, będzie prawdziwym szczęściarzem - zakończył z zapalem Troy.

- Nie sądzę, żeby udało mi się kogoś znaleźć - chlipnęła smętnie Henrietta. - Jestem gruba i nudna.

- Gruba i nudna! - wykrzyknął Troy. - Jak możesz tak mówić! Nie jesteś ani gruba, ani nudna, jesteś śliczna i słodka! Nie powinnaś pozwolić, żeby Cate tak cię traktowała! - Znowu poklepał Henriettę po ręce. - No, lepiej chodźmy stąd, zanim wróci ta stara jadowita żmija z owłosioną twarzą!

Henrietta spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie zauważyłaś? Ma głębkę kudłatą jak brzuch mojej kocicy! I na pewno rzyga po każdym posiłku! Nie sądzisz chyba, że jest taka chuda sama z siebie, co? Ta kobieta ma więcej problemów niż ty kompleksów!

- W takim razie faktycznie musi mieć ich całkiem sporo.

- Całe tony, skarbie, całe tony! Zajrzyj do mnie o piątej, co ty na to? Ułożę ci włosy! Nic tak nie poprawia humoru jak świeża fryzura!

- Ale ja nawet nie mam dokąd się wybrać.

- Owszem, masz! Zjesz dziś ze mną kolację!

- Dziękuję, Troy - Henrietta pocałowała go w policzek. -Dobry z ciebie przyjaciel, naprawdę.

- Przyjaciele są po to, żeby sobie pomagać. Pamiętaj, nie tylko ty szukasz faceta! Jesteśmy w tym razem i na szczęście nie rywalizujemy ze sobą, bo na pewno przegrałbym z taką ślicznotką jak ty!

Miranda szła ścieżką w stronę rzeki. Słońce lśniło na żdźbłach trawy i chwastach, budząc błyski w kroplach deszczu, który spadł w nocy i przeistaczając je w po mistrzowsku oszlifowane brylanty. Wczesnym rankiem zerwał się ostry, porywisty wiatr, lecz pomarańczowe i brunatne liście nadal trzymały się gałęzi, jeszcze niegotowe rozstać się z iluzją lata. Dwie wiewiórki bawiły się na górującym od tej strony nad domem dębnie o potężnym pniu. Ścieżka była wydeptana przez sarny i jelenie oraz ciekawskie dzieci Mirandy, biegła więc głęboko samym środkiem łąki. Miranda była tu już wcześniej, lecz nigdy dotąd to miejsce nie wydało jej się tak pełne uroku jak tego dnia. Może stało się tak za sprawą słońca, może błękitnego nieba, a może poczucia przynależności do Hartington, które dopiero teraz wydało jej się czymś rzeczywistym.

Stała chwilę na kamiennym mostku, wpatrując się w przejrzystą wodę. Widziała wodorosty, kamienie i ryby, które tu i ówdzie przemykały między pasmami słonecznego blasku. Wyobraziła sobie, jak jej dzieci bawią się tu, wrzucając patyki do wody, a potem przeniosła wzrok na tajemniczy domek Gusa. Wcześniej jakoś nie miała okazji dokładnie go obejrzeć. Agent, który sprzedał im posiadłość, wspomniał tylko przelotnie o wymagającym remoncie domku i Miranda natychmiast o nim zapomniała.

Domek stał wśród niewielkiej kępy kasztanów, wyraźnie zaniedbany. Nie było tu żadnego podjazdu, tylko dróżka, która kiedyś prowadziła prosto z dużego domu, a teraz niemal zarosła trawą. Odosobnione miejsce otaczała romantyczna aura, było tajemniczą kryjówką, zakątkiem, który czas pozostawił na łasce losu.

Miranda przekręciła klucz w zardzewiałym zamku, który otworzył się ze skrzypliwym jękiem, podobnym do ziewnięcia nagle wyrwanego ze snu starca. Hol wyłożono płytami z ciemnego kamienia, schody były wąskie, z małą platformą na półpiętrze. Miranda weszła do salonu. Pokój był całkowicie umeblowany, ale powietrze pachniało wilgocią. Już dawno nikt nie palił tu w kominku. Zasłaniające ściany półki pełne były stojących w równych rzędach książek. Miranda przesunęła dłoń po papierowych grzbietach. Domek nie był chyba aż tak zaniedbany jak przypuszczała, bo na książkach nie było grubej warstwy kurzu. Zgromadzony przez kogoś księgozbiór składał się z dzieł klasycznych i najzupełniej współczesnych, od Dickensa po Sebastiana Faulksa. Ku swemu zdziwieniu Miranda znalazła tu nawet całą półkę francuskich powieści.

Ogarnęła pokój wzrokiem. Pusty kamienny kominek obramowany był drewnianą listwą z parapetem, starą i pięknie rzeźbioną, jasnożółtą tapetę w pasy przyciemnił dym. Zauważyła ciemną plamę wilgoci w jednym rogu. Dywan

był poprzecierany i poplamiony - trzeba by go wymienić, podobnie jak pogryziony przez mole chodnik.

Wnętrze domku nie wymagało jednak wielkich zabiegów. Sofa była cała, w zupełnie przyzwoitym stanie, fotele także. Podeszła do pięknej starej komody z orzechowego drewna i wysunęła szuflady. Pomyślała, że dom wcale nie sprawia wrażenia całkowicie opuszczonego i niezamieszkałego. Gdyby nie było tu tyle kurzu, z przyjemnością zwinęłaby się w kłębek na sofie i pograżyła w lekturze. Z wesoło trzaskającym ogniem i kieliszkiem wina byłoby tu zapewne dużo przytulniej niż w jej, dużo bardziej oficjalnym salonie...

Zajrzała do kuchni. Naczyń było pod dostatkiem, przydałby się tylko nowy kran i być może zlew. Od razu zwróciła uwagę na nakryty dla dwóch osób stół. Dziwne, że filiżanki i talerze nadal tu stały, zupełnie jakby mieszkańcy domku zostali uprowadzeni w czasie podwieczorku... Nie sprzątnęła ze stołu, powstrzymała się w ostatniej chwili. Postanowiła, że wróci tu uzbrojona w gumowe rękawiczki i sama się wszystkim zajmie. Dzieci mogłyby jej pomóc, potraktowałyby to jako rozrywkę...

Kiedy wchodziła na górę, deski skrzypiały pod jej stopami. Na pięterku znajdowały się dwie sypialnie i łazienka, bardzo staroświecka i do kompletnego remontu. Emalia odpadała płatami z metalowej wanny, kurki były poplamione rdzą. Jeden pokój był zupełnie pusty, na środku stało tylko tekturowe pudełko, może zapomniane przez wyprowadzających się mieszkańców. Zanim zdążyła zajrzeć do środka, przestraszył ją głośny trzask z sąsiedniej sypialni. Serce podskoczyło jej aż do gardła, uspokoiła się jednak szybko, pewna, że poza nią w domku nikogo nie ma.

Przez głowę przemknęła jej jednak myśl, że może znowu zakradł się tu Gus. Zdenerwowana otworzyła drzwi do drugiego pokoju i wtedy psotna wiewiórka wyskoczyła przez

okno, niezamknięte przez kogoś wyjątkowo beztroskiego, najpewniej Gusa. Miranda położyła dłoń na mocno bijącym sercu i wzięła głęboki oddech, czując ulgę, że nie zastała w środku jakiegoś intruza albo, co gorsza, ducha. Rozejrzała się. W pokoju było duże metalowe łóżko, pościelone, przykryte pikowaną narzutą z jasnozielonego kwiecistego materiału, dwa nocne stoliki z wysokimi lampkami o abażurach z żółtawymi zaciekami, obity wypłowiałą tkaniną kufer w nogach łóżka, komoda z wiśniowego drewna z lustrem w ramie z epoki królowej Anny oraz ładnie pomalowana sosnowa szafa na ubrania pod ścianą. Po obu stronach okna wisiały zasłony z jasnego lnu, z podartymi, spłowiałymi podszewkami. Dywan był brudny, lecz cały. Miranda zastanawiała się, dlaczego państwo Lightly nie zabrali mebli ze sobą, zaraz jednak pomyślała, że pewnie przeprowadzili się do mieszkania lub znacznie mniejszego domu i najzwyczajniej w świecie nie mieli dość miejsca. Otworzyła okno na całą szerokość i wyjrzała na zewnątrz. Widziała stąd rzekę i łąkę, na której pasły się krowy - krowy, które znały Storm. Uśmiechnęła się, poruszona i pogodnie nastrojona dziwną, magiczną aurą tego pokoju oraz pięknem krajobrazu.

Przypomniała sobie o stojącym w sąsiednim pokoju pudle, zamknęła okno, aby uniemożliwić powrót rozdokazywanej wiewiórcy i przeszła na drugą stronę korytarzyka. W pudełku była tylko jedna rzecz - notatnik w jasnozielonej oprawie, gruby od zasuszonych między kartkami kwiatów i liści. Na tytułowej stronie dużymi, zdobnymi w zawijasy literami ktoś starannie wypisał słowa: „Tęcze i Róże”. Miranda uklękła na podłodze i zaczęła przeglądać zeszyt. Powklejano w nim wycięte z gazet i czasopism wiersze, wspomnienia, frazy i eseje. Najwyraźniej właściciel notatnika zostawił go tu przez przypadek, pewnie o nim zapomniał... Miranda nie miała jednak żadnych wątpliwości, że

zebrane wycinki nie były przeznaczone dla obcych oczu. Charakter pisma był zdecydowanie kobiecy, papier pachniał przyjemnie, jak świeżo skoszona trawa.

Usadowiła się pod ścianą i spojrzała na pierwszą stronę. Widniały na niej tylko cztery zdania, ociążałe od smutku:

Minęły dwadzieścia cztery lata. Starzeję się, kochając Cię i pewnego dnia umrę, przepelniona miłością do Ciebie. Na razie żyję wspomnieniami o Tobie i naszym domku. Tylko to mi pozostało...

VII

KAŻDA TĘCZA, KTÓRĄ WIDZĘ, PRZYPOMINA MI O TOBIE

Hartington House, październik 1979

Głos Avy Lightly wyraźnie dobiegał z odległego krańca obsianej ziołami grządki. Prawie niewidoczna zza uschniętych łubinów i dużego krzewu kaliny, który pracownicy przycinała, podśpiewywała z entuzjazmem, wdychając świeże powietrze poranka i co jakiś czas zerkając na bawiące się na trawie psy. Miała na sobie fioletowe ogrodniczki i koszulkę z krótkim rękawem, długie jasne włosy upięła na czubku głowy, wtykając ołówek w ciężki węzeł. Jej dłonie były szorstkie od pracy w ogrodzie, paznokcie krótkie i połamane, lecz policzki promieniały zdrowiem, a jasnozielone oczy lśniły jak skapana w wiosennym deszczu łąka. Najlepiej czuła się zawsze na dworze, niezależnie od pogody, i nigdy nie marzła, chociaż była smukła jak brzoźka i nie miała na sobie ani grama tłuszczu. Często widywano ją z odsłoniętymi ramionami nawet w środku zimy, kiedy wszyscy inni wkładali rękawiczki, czapki i ciepłe kurtki. Mimo skończonych

trzydziestu siedmiu lat zachowała promienny blask młodości, zrodzony z wewnętrznego zadowolenia, które przeświecało przez skórę tak wyraźnie, jakby jej serce było miniaturką słońca. Twarz Avy była raczej atrakcyjna niż klasycznie piękna, ponieważ rysy miała zdecydowanie nieregularne - nos trochę za długi i zupełnie prosty, usta duże i zmysłowe, niepasujące do tak drobnej twarzy. Jednak chociaż poszczególne elementy jej twarzy nie były piękne, urody i uroku dodawała im szczególna wrażliwość i pogoda ducha. Ekscentryczna natura Avy czyniła ją fascynującą. Nikt nie kochał jej bardziej niż mąż Phillip Lightly oraz trójka ich małych dzieci, Archie, Angus i Poppy.

- Hej, Krzaczku! - zawołał mąż Avy, zmierzając ku niej przez trawnik.

Bernie, kudłaty bernardyn, oraz Tarquin, młody labrador, przestały przewracać się w trawie i pognały do Phillipa; wpadły na niego z impetem i prawie zwały go z nóg. Phillip poklepał je z czułością i przegonił krótkim, niedbałym gestem. Był piętnaście lat starszy od żony, bardzo wysoki, szeroki w ramionach i zawsze wyprostowany. Miał łagodną, przystojną twarz z długim nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi i mocną linią szczęki. Większość czasu spędzał w gabinecie, pisząc historię produkcji wina, albo zagranicą, odwiedzając winnice. W przeciwieństwie do wielu pisarzy, nie zdradzał jednak upodobania do samotności. Lubił polowania, kolacje i przyjęcia, ciągnące się do wczesnych godzin rannych, dyskusje o historii i polityce przy porto i cygarze. W niedzielę po nabożeństwie z przyjemnością rozmawiał z mieszkańcami Hartington i zawsze zapraszał wszystkich na doroczne letnie przyjęcie winno-serowe. Był pogodny i powszechnie lubiany za ironiczne, typowo angielskie poczucie humoru, często manifestujące się opowiadaniem dowcipów, których puenty zwykle umykały słuchaczom. Ava zawsze się z nich śmiała, chociaż słyszała wszystkie po

wiele, razy. Z okrągłymi okularami opartymi na arystokratycznym nosie, szlachetnymi rysami i wysokim czołem, Philip Lightly wyglądał niezwykle dystyngowanie, kiedy zdecydowanym krokiem zmierzał w stronę rabatki z ziołami. Przystanął na chwilę, z przyjemnością wsłuchując się w melodyjny śpiew żony, a potem zawołał ją znowu, posługując się przydomkiem, który nadał jej na początku narzeczeństwa. .

- Krzaczku, kochanie!

- Och, dzień dobry! -Ava wyjrzała zza krzewów.

We włosach miała liście, na policzku smugę błota. Szybkim ruchem wytarła nos wierzchem dłoni.

- Nie zapomniałaś chyba o Jean-Paulu, co?

Zaskoczenie, jakie odmalowało się na twarzy Avy, stanowiło oczywisty dowód, że tak właśnie się stało. Phillip uśmiechnął się wyrozumiale. Jego żona słynęła z roztargnienia; jej myśli znacznie częściej krążyły wokół drzew i kwiatów z ukochanego ogrodu niż codziennego życia.

- No, właśnie. - Phillip z westchnieniem spojrział na zegarek. - Za pół godziny będzie na stacji!

- O, Boże, zupełnie Zapomniałam! I nie sprzątnęłam domku!

- To młody chłopak i na pewno chętnie prześpi się w śpiworze - powiedział Phillip, zakładając ramiona na piersi, ponieważ było mu zimno. Miał na sobie kaszmirowy sweter i szalik, ale drżał na całym ciele.

- Słuchaj, odbiorę go z dworca, ale później oddam w twoje ręce, Krzaczku!

- Dziękuję! - Ava zarzuciła mu ręce na szyję.

Phillip cofnął się, widząc, że cała jest ubłocona i oblepiona suchymi liśćmi, lecz jej entuzjazm przewyciężył jego opór. Objął ją mocno i przytulił, unosząc nad ziemię i wdychając zapach wilgotnej trawy, uwięziony w jej włosach.

- Kochany jesteś! - zaśmiała się, przywierając wargami do jego szyi.

- A ty jesteś potwornie zimna! Najchętniej owinałbym cię w koc i napoił gorącą czekoladą!

- I to wszystko?

- Na razie tak! Muszę przecież jechać po twojego czeladnika!

- Czy to aby na pewno dobry pomysł? - Odsunęła się od niego na odległość wyciągniętych rąk. - Wiesz, że lubię sama zajmować się ogrodem, a Héctor pomaga mi z plewieniem i koszeniem trawy, jeżeli tego potrzebuję. Nie znoszę, kiedy ktoś patrzy mi na ręce. Héctor i ja naprawdę doskonale radzimy sobie sami.

- Przecież rozmawialiśmy już o tym, zresztą, teraz, jest za późno, aby się wycofać. Robimy jego ojcu wielką uprzejmość, ale to rzecz zupełnie normalna u absolwentów Eton - wszyscy pomagamy sobie nawzajem. Henri zrobił dla mnie naprawdę dużo, a teraz ja chętnie mu się odwdzięczę. Dzięki niemu wszędzie we Francji drzwi stawały przede mną otworem.

- No, dobrze - zgodziła się Ava z westchnieniem. - Ale ja nie wiem nawet, czego? on się spodziewa.

- Jesteś, bardzo utalentowana, Krzaczk, i Jeán-Paul na pewno dużo się od ciebie nauczy. Skoro ma odziedziczyć chateau, powinien coś wiedzieć o zarządzaniu posiadłością.

- Nie może wynająć ludzi, którzy zajmą się tym za niego?"

- Nie w tym rzecz! Henri chce, żeby chłopak wyjechał z miasta i posiedział trochę na wsi. W Paryżu robił, co mu się tylko podobało.

- Więc to playboy?

- Henri nie zna nikogo innego, kogo mógłby poprosić o pomoc, a boi się, że Jean-Paul pogubi się w życiu. Chciałby zainspirować go do działania, do wzięcia na siebie odpowiedzialności za majątek. Pewnego dnia chłopak otrzyma w spadku chateau i winnicę, to poważna sprawa.

- Dziwne, że pozwala, aby ojciec wysyłał go w jakieś nieznane miejsce. Przecież nie jest już dzieckiem!

- Nie, ale to jego ojciec ma pieniądze.

- Czy to takie ważne? - Ava lekko uniosła brwi. - Dlaczego nie ucieknie i nie zajmie się tym, czym chce?

- Les Lucioles to coś więcej niż przeciętna francuska posiadłość z zamkiem! To wspaniały majątek i każdy normalny młody człowiek zrobiłby wszystko, aby go nie stracić!

- Skoro tak mówisz - w głosie Avy nie było entuzjazmu.

- Poza tym, chłopcy będą zadowoleni, że ktoś młody wreszcie wyszaleje się z nimi za wszystkie czasy. Ja jestem starym ojcem, niestety...

- Dzięki mnie wciąż jesteś młody! - zaprotestowała.

- To prawda! - zaśmiał się. - Jednak nie biegam i nie bawię się z nimi od rana do wieczora, no i nie mówię po francusku! Dzieciom przyda się trochę nauki w domu!

Ava uśmiechnęła się niepewnie. Sama płynnie mówiła po francusku, ponieważ w wieku szesnastu lat wyjechała do szkoły w Szwajcarii.

- Będę miała teraz wyrzuty sumienia, że nie mówiłam do nich po francusku od chwili, kiedy przyszli na świat! - mruknęła.

- Nigdy tego od ciebie nie oczekiwałem, Krzaczku! Oczekuję tylko, że codziennie rano wstaniesz z łóżka, reszta to niespodzianka!

Żartobliwie trzepnęła go w ramię.

- Ty bestio!

- Dawno mnie już tak nie nazywałaś - pocałował ją w czoło.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz! - Ava oddała pocałunek, wywołując szeroki, pełen czułości uśmiech na jego twarzy.

Przyglądała się, jak wracał przez trawnik do domu, trochę przygarbiony z zimna, luźnym, nierównym krokiem. Nagle jej wzrok spoczął na parze gołębi, które przysiadły na rynnie tuż pod pochyłym dachem, tłuste i zadowolone.

Pomyślała, że czuje się tak jak one. Szczęście jej sprzyjało i miała wszystko, czego mogłaby pragnąć - kochającego męża, troje udanych dzieci, najpiękniejszy dom w całej Anglii i swój ukochany ogród. Ptaki siedziały na dachu, podobne do lukrowych figurek na smakowitym torcie.

Rozejrzała się po ogrodzie. Jesienna przemiana dopiero się zaczynała. Ava bardzo lubiła ten moment. Wielka zielona przestrzeń napełniała ją spokojem. Drzewa stały jeszcze w pełnej krasie, lecz brzegi liści powoli brązowiały, a niektóre przybrały już piękny złocisty kolor. Ptaki wciąż śpiewały wśród gałęzi, od czasu do czasu słysząc było charakterystyczne pokasztywanie bażanta i niskie gruchanie gołębi. Ava uwielbiała jaskółki, które wiosną zakładały gniazda pod samym dachem, a wiele lat temu zasadziła w pobliżu domu dużo krzewów, aby inne ptaki także zadomowiły się w ogrodzie. Zimą dbała, aby pnące rośliny oplatały topole i kasztanowce, ponieważ zimujące w Anglii ptaki mogły znaleźć w nich schronienie przed zimmem i drapieżnikami, nauczyła też dzieci, żeby dbały o jej skrzydlatych podopiecznych. W lecie Poppy puszczała łódki na stawiku, z którego piły ptaki, lecz zimą wykładała dla nich karmę i powoli je oswajała. Niektóre jadły nawet ziarno i okruchy z jej ręki, kiedy w pobliżu nie było Berniego ani Tarquina.

Ava nadal pracowała w ogrodzie, gdy godzinę później Phillip wrócił ze stacji z Jean-Paulem. Bernie i Tarquin runęły błyskawicznie w stronę samochodu, ujadając donośnie. Ava podniosła się z ziemi i otarła pot z czoła. Warkot silnika umilkł. Usłyszała trzask drzwiczek i zaraz potem głos męża, który witał się z psami tak, jakby były ludźmi. Pośpiesznie przeszła przez furtkę w żywopłocie z iglastych krzewów, odgradzającym ogród od domu.

Phillip otwierał właśnie bagażnik starego mercedesa. Psy natychmiast wskoczyły do środka, a Jean-Paul patrzył ze zdziwieniem, jak zabłocone psie łapy zostawiają ślady na jego

skórzanej walizce. Phillip nawet nie próbował przepędzić ulubieńców, zaśmiał się tylko, nie zwracając najmniejszej uwagi na niepewny wyraz twarzy gościa. Ava z daleka obserwowała przybysza. Nie ulegało wątpliwości, że był najprzystojniejszym młodym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Dzień dobry, jestem Ava - wytarła dłoń o spodnie, zanim podała ją Jean-Paulowi.

Ku jej zaskoczeniu podniósł ją do ust i pochylił się w dwornym ukłonie.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Oczy miał ciepłe i łagodne jak brązowy zamsz, spojrzenie przenikliwe. Odezwałaby się do niego po francusku, gdyby nie mówił tak dobrze po angielsku, chociaż oczywiście z wyraźnym akcentem, romantycznym i zmysłowym. Poczula dziwny trzepot w żołądku.

- Miałeś przyjemny lot? - zapytała, nagle świadoma swego mocno niedbałego wyglądu.

- Przyleciałem do Londynu parę dni temu - odparł, patrząc na dom. - Przed przyjazdem tutaj chciałem nacieszyć się kontaktem z kulturą.

Włożył ręce do kieszeni i przygarbił się trochę. Phillip wniósł jego walizkę do domu.

- Wejdźmy do środka, pewnie chętnie się czegoś napijesz. - Ava ruszyła za mężem na ganek. - Będziesz musiał mieszkać jakiś tydzień w domu, razem z nami, a ja w tym czasie przygotuję dla ciebie domek nad rzeką. Przepraszam, ale czasami trudno jest mi się zorganizować.

- Niemożliwe, kochanie! - W głosie Phillipa zabrzmiała nuta sarkazmu. - Moja żona to ideał sprawności i dobrej organizacji! Prowadzi dom pewną ręką, jak kapitan statku! Ja jestem tylko zwyczajnym majtkiem, pełnym podziwu dla jej dyscypliny!

Ava wymownie przewróciła oczami.

Jean-Paul wcale nie był taki, jak się spodziewała. Po pierwsze, w ogóle nie wyglądał na ogrodnika. Był elegancko ubrany w miękką tweedową marynarkę, błękitną koszulę i starannie wyprasowane dżinsy, na szyi miał kaszmirowy szalik w spranych, pastelowych kolorach. Włosy gęste, barwy kasztanów, uczesane były tak, by sprawiały wrażenie niedbale odrzuconych do tyłu. Jego nos był długi i wąski, wargi asymetryczne i wrażliwe, dłonie idealnie czyste, z krótkimi, zadbanymi paznokciami, w niczym nie przypominające rąk człowieka przywykłego do kopania w ziemi. Na nogach miał brązowe mokasyny od Gucciego. Ava pomyślała, że jeśli nie przywiózł ze sobą innych butów, przeznaczonych do pracy w ogrodzie, w ciągu paru dni kompletnie zniszczy te eleganckie cudeńka.

Mężczyźni usiedli na taboretach w kuchni, natomiast Ava zajęła się przygotowaniem lunchu. Pory i inne warzywa pochodziły z domowego ogrodu, świeże pstrągi kupiła poprzedniego dnia w sklepie rybnym w miasteczku. Hodowała przeznaczone do kulinarnych celów zioła w starym drewnianym korycie, ustawionym pod ścianą i wczesnym rankiem zrobiła masło z bazylią oraz humus z dużej fasoli do pieczonego w domu chleba z rozmarynem. Uwielbiała zapachy zdrowych potraw i z wielką satysfakcją obserwowała, jak dzieci rosną i rozwijają się na jej kuchni.

W czasie pierwszego spotkania z Avą nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że ma do czynienia z osobą nieśmiałą. Zawsze starała się wtedy rozładować atmosferę, opowiadając zabawne historyjki i anegdoty, lecz później szukała samotności w ukochanym ogrodzie, znużona intensywnością kontaktu z innymi. Phillip wiedział, że żona rozśmiesza i bawi gości, starając się ukryć swoją nieśmiałość, i między innymi za to tak bardzo ją kochał. Zawsze ze wzruszeniem obserwował jej wysiłki i doceniał je tym bardziej,

że doskonale wiedział, co dzieje się z Avą, gdy kurtyna wreszcie opadnie. Tylko jemu wolno było wejść za scenę i ten przywilej wydawał mu się naprawdę wyjątkowym darem. Teraz Ava zaczęła swobodnie gawędzić z Jean-Paulem, który patrzył na nią z nieco aroganckim wyrazem na przystojnej twarzy o szlachetnych rysach, zupełnie jakby miał przed sobą ekscentryczną i wymagającą wyrozumiałości kuzynkę. Uśmiechał się uprzejmie, lecz jego oczy były chłodne. Słuchał opowieści Avy i przyglądał się, jak gotuje, ale jego spojrzenie ożywiło się dopiero na widok apetycznych dań, które przed nim postawiła. Podobnie jak wszyscy mężczyźni, budził się z zamyślenia, gdy częstowano go obfitym posiłkiem.

- Słyszałam, że twoja rodzina ma piękny ogród we Francji. - Ava podsunęła gościowi półmisek z parującymi warzywami.

- Tak - odparł, biorąc łyżkę i nakładając sobie na talerz marchewkę. - Moja matka uwielbia ogrody, zwłaszcza te w angielskim stylu. Mamy chateau pod Bordeaux, to bardzo stara posiadłość. Ogromnie podoba mi się sposób, w jaki mama odmieniła ogród. Pewnego dnia sam stworzę równie piękny.

- A czego masz nadzieję się tu nauczyć? Wzruszył ramionami.

- Papa mówi, że ma pani najwspanialszy ogród, jaki widział...

- Żałuję, że go nie poznałam! Przyjechał tu kiedyś, jakieś osiem lat temu, ale akurat wtedy byłam u mojej matki. Bardzo chętnie oprowadziłabym go po ogrodzie osobiście. Jestem zaskoczona, że Phillip pokazał mu coś poza swoją piwnicą z winami.

- Kochanie, nie ma nic przyjemniejszego nad spacer po twoim ogrodzie wiosną, z kieliszkiem dobrze schłodzonego białego wina! - zaśmiał się Phillip.

- Zdaniem mojego ojca jest pani bardzo utalentowana -dodał Jean-Paul.

Ava poczuła zadowolenie, choć jednocześnie wewnętrzny głos podpowiadał jej, że przybycie gościa zapowiada same kłopoty. Był tak atrakcyjny, że nie bardzo wyobrażała sobie, aby mogli spokojnie pracować razem.

- Zostawiłeś dziewczynę w Paryżu? - zapytał z uśmiechem Phillip.

Jean-Paul znacząco uniósł jedną brew.

- Nawet kilka - odparł.

- O, mój Boże! - Ava skrzywiła się, mimo woli oburzona jego arogancją. - Mam nadzieję, że żadna nie złamała ci serca!

- Nigdy nie cierpiałem z powodu miłości.

- Na razie! Masz jeszcze mnóstwo czasu na takie cierpienia, jesteś młody!

Francuz skinął głową.

- Serce mi pęknie, kiedy umrze moja matka, a to przecież nieuniknione.

Ava spojrzała na niego niepewnie. Była to dziwna uwaga jak na kogoś w tym wieku.

- Rozumiem, że jesteście sobie bardzo bliscy.

- Oczywiście, jestem przecież jedynakiem, zepsutym i rozpieszczonym! A poważnie - moja matka jest niezwykłą kobietą, podziwiam ją całym sercem.

- Mogę tylko mieć nadzieję, że nasi synowie powiedzą to samo, kiedy dorosną - powiedziała Ava, chociaż w głębi serca wcale nie była pewna, czy rzeczywiście by tego chciała.

- Macie trójkę dzieci, prawda?

- Dwóch chłopców i dziewczynkę. Poznasz ich trochę później, kiedy wrócą ze szkoły.

- Chyba miło jest mieć rodzeństwo...

- Nasze dzieci są wyraźnie zadowolone z takiego stanu rzeczy, chociaż naturalnie często się kłócą. Nikt nie lubi się dzielić, prawda?

- Tak... Ja nigdy nie musiałem niczym się dzielić.

- Doskonale mówisz po angielsku - uśmiechnęła się Ava. - Gdzie tak dobrze nauczyłeś się języka?

- Miałem w domu angielską nianię.

- Angielską nianię? Coś takiego! Tyranizowała cię?

- Jak się nazywała? - wtrącił się Phillip.

Na twarzy Jean-Paula pojawił się absolutnie uroczy uśmiech.

- Niania - odparł wesoło.

- Niania? - znowu powtórzyła Ava, rozbrojona jego poczuciem humoru.

- Nie wiem, jak się naprawdę nazywała, dla mnie była po prostu Nianią - wyznał nieśmiało. - Wróciła do Anglii, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat!

Później, kiedy Jean-Paul rozpakowywał rzeczy w pokoju na poddaszu, Ava zajrzała do gabinetu Phillipa.

- Nic z tego nie będzie! - oświadczyła. - Gołym okiem widać, że ten facet nie przepracował ani jednego dnia w życiu! Może sobie marzyć o założeniu ogrodu w angielskim stylu, ale daję głowę, że nie uklęknie w błocie! Co właściwie przyszło do głowy jego ojcu, że go tu przysłał? Gdyby chodziło o osiemnastolatka świeżo po szkole, zrozumiałabym, ale ten tu jest dobrze po dwudziestu! Czy on naprawdę nie ma własnego zdania i nie wie, co chce robić? Czym ja go zajmę przez rok? Zanudzi się tu na śmierć! Jakoś nie wyobrażam go sobie, podrywającego dziewczyny w gospodzie Duck and Dapple... Hartington to małe miasto, Jean-Paul powinien spędzać czas w Londynie, z innymi młodymi ludźmi, nie ze mną i z dziećmi! Przecież to katastrofa!

Phillip uśmiechnął się i położył rękę na jej ramieniu.

- Nie martw się na zapas, Krzaczku, wszystko się ułoży! Trochę ciężkiej pracy dobrze mu zrobi, a ty będziesz miała

dodatkową parę rąk do pracy i wreszcie stworzysz ten swój wymarzony wspaniały ogród, łąkę obsianą polnymi kwiatami, sad i wiejski ogródek, o którym ciągle opowiadasz. Zagoń Jean-Paula do roboty, zrealizuj swoje marzenia!

- Jean-Paula widzę raczej na jachcie w Saint Tropez niż tu, w Hartington, z kosiarką do trawy!

- Daj mu szansę.

- Ale jak on będzie się czuł w domku nad rzeką?

- Będzie całkiem zadowolony, przestań się martwić!

- Jest zupełnie inny niż myślałam.

- Czego się spodziewałaś?

Ava odwróciła się i podeszła do okna. Na niebie gromadziły się szare chmury.

- Nie wiem! - westchnęła. - Kogoś z mniejszą ogładą, z szorstkimi dłońmi i brudnymi paznokciami, takimi jak moje. W gumowcach i poplamionych trawą spodniach! Na pewno nie takiego miastowego elegancika w kaszmirowych ciuchach i mokasynach od Gucciego, na miłość boską! - Pokręciła głową, wyraźnie zniechęcona. - Dobrze będzie, jeśli wytrzyma tu tydzień!

Phillip zaśmiał się cicho.

- Myślę, że zarazisz go swoim entuzjazmem i zostanie na zawsze.

- Nie daj Boże! Tak czy inaczej, ja na pewno nie wytrzymam dłużej niż tydzień!

Ava przyjechała po dzieci do szkoły o 15.30. Zaparkowała żółty samochód na placu i wysiadła. Z nieba właśnie zaczynała sączyć się zimna mżawka. Od razu dostrzegła Toddy Finton, która stała pod szkolną bramą ze swoją tchórzofretką, Mr Frisbym, jak zwykle posłusznie siedzącym na jej ramieniu. Toddy miała chłopców bliźniaków w tej samej klasie, do której chodził Angus Lightly.

- Cześć, Avo! - zawołała radośnie.

Jej policzki były jeszcze zdrowo zarumienione po porannej jeździe konnej.

- Cześć, Toddy! Jak tam Mr Frisby? - Ava pogłaskała pod brodą tchórzofretkę, która sennie uniosła głowę.

- Jest trochę zaspany, to pewnie przez pogodę.

- Jasne, że tak! W takie dni Tarquin zawsze zwija się w kłębek przy piecu w kuchni, natomiast Bernie układa się na ganku i delektuje zimnem, trochę jak ja.

- Mogę przysłać do was chłopców w ten weekend? - spytała Toddy. - Podobno założyli obóz w pustym drzewie.

Ava uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Tak, w pniu dębu! To idealne miejsce na obóz, rzeczywiście. Zamierzam obsiać łąkę wokół dębu polnymi kwiatami, fiołkami, mleczeniami, bratkami, czerwonymi i białymi makami. Mam teraz kogoś do pomocy, młodego człowieka z Francji.

Toddy uniosła brwi.

- Zachwycająco przystojny?

- Tak, ale zdecydowanie za młody i arogancki jak na mój gust. Myślę, że szybko się znudzi i wyjedzie do domu, lecz na razie mogę go trochę wykorzystać!

- Zawsze chciałaś mieć dodatkową parę rąk do pomocy w ogrodzie.

- Ale nie parę takich gładkich, zadbanych i kompletnie nieprzywykłych do pracy rąk!

- Strasznie podoba mi się pomysł z tą łąką - oświadczyła Toddy. - Wiosną będziesz miała przepiękny widok z okna sypialni!

- I o to mi właśnie chodzi!

Toddy zdjęła tchórzofretkę z ramienia i przytuliła ją jak małe dziecko. Chciała mieć więcej dzieci i Mr Frisby był dzieckiem, którego nie mogła urodzić. Z czułością pogłaskała zwierzę po brzuszku i pocałowała je w mały nosek.

- Przywieź chłopców jutro - zaproponowała Ava i w zamyśleniu zmrużyła oczy. - Szczerze mówiąc, mogłabyś coś dla mnie zrobić.

- Co takiego?

- Zabrać Jean-Paula na przejażdżkę konną.

- Dobrze jeździ?

- Na pewno! Wygląda na faceta, który dokłada wszelkich starań, żeby być dobrym we wszystkim, co robi!

- Ach, rozumiem - pokiwała głową Toddy.

- W tym czasie ja wedrę się do domku, żeby tam posprzątać. Zupełnie zapomniałam o przyjeździe Jean-Paula i panuje tam straszny bałagan. Możecie przyjechać na lunch, co ty na to? Wasze towarzystwo sprawi mi ogromną radość, bo nie mam zielonego pojęcia, o czym rozmawiać z naszym gościem, a Phillip umiarkowanie mi pomaga. Wydaje mi się, że Jean-Paul nie bardzo rozumie jego poczucie humoru.

- Nie on jeden! - uśmiechnęła się Toddy.

- Tak czy inaczej, naprawdę brakuje mi słów przy stole.

- Tobie? - Toddy udała zdziwienie.

- Nie żartuj sobie, moja droga! W obecności Jean-Paula czuję się jak tępa stara ciotka ze wsi!

- Śmieszna jesteś! Oczywiście z przyjemnością przyjadę i obejrzę sobie tego twojego Francuza. Może dałoby się go poznać z jedną z moich kuzynek, co? Wszystkie są bardzo ładne i młode, najstarsza ma dwadzieścia sześć lat.

- Świetny pomysł, chłopak miałby jakąś rozrywkę! -ucieszyła się Ava.

- Mam wrażenie, że uważa się za ogiera.

- Typowy Francuz!

Ava przypomniała sobie, jak Jean-Paul pochylił się nad jej dłonią, ani na chwilę nie spuszczać z jej twarzy spojrzenia łagodnych brązowych oczu.

- Tak, Francuzi bywają czarujący, masz rację - przyznała ironicznie. - Czarujący, ale i arogancy! Ten nie wytrzyma tu nawet dwóch tygodni, słowo daję!

VIII

GDAKANIE BAŻANTA, GRUCHANIE GOŁĘBI, RZEŚKIE SŁONECZNE PAŹDZIERNIKOWE DNI

Archie, Angus i Poppy w milczeniu wpatrywali się w nieznanego, całkowicie onieśmieleni. Ośmioletni Archie był wysoki jak ojciec i miał prosty nos oraz zielone oczy matki. Solidną sylwetkę rugbisty sześćioletniego Angusa, zdobiły ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy, szeroki, zaraźliwy uśmiech i kremowa piegowata cera. Obaj chłopcy byli przystojni i atrakcyjni w niekonwencjonalny sposób, podobnie jak ich matka. Poszczególne rysy, raczej niepasujące do siebie w jej twarzy, doskonale harmonizowały się u chłopców. Poppy miała dopiero cztery lata, ale każdemu mogła zaimponować silną osobowością i zdecydowanymi opiniami na dowolny temat. Zawsze mówiła dokładnie to, co myślała. Długie ciemne włosy, niebieskie oczy i odziedziczone po ojcu klasyczne rysy czyniły z niej piękność, jaką jej matka nigdy nie była. Poppy jednak bardzo przypominała matkę, ponieważ uwielbiała faunę i florę i nigdy nie odczuwała zimna. Wiele

osób twierdziło, że odziedziczyła najlepsze cechy swoich rodziców.

- Jean-Paul zamieszka z nami na jakiś czas - wyjaśniła Ava. - Pomoże mi zaprojektować najpiękniejszy ogród w Anglii!

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że najzwyczajniej w świecie kłamie. Nie wierzyła, by Jean-Paul był w stanie zaprojektować grządkę pod kapustę, a co dopiero ogród. Archie uparcie wpatrywał się w swoje stopy, Angus z trudem stłumił chichot.

- Dziwnie mówisz - odezwała się wreszcie Poppy.

- Jestem z Francji - odparł Jean-Paul.

- Będziesz się z nami bawił? - spytała dziewczynka. Jean-Paul wzruszył ramionami.

- Nie wiem... W co lubicie się bawić?

Chłopcy z przerażeniem popatrzyli na siostrę. W żadnym razie nie chcieli, aby do ich gier i zabaw wtrącał się jakiś dorosły.

- Ja lubię sadzić warzywa - oznajmiła Poppy.

- Ja też! - uśmiechnął się Jean-Paul.

- Mam takiego wielkiego kabaczka! - wykrzyknęła dziewczynka, szeroko rozkładając ręce. - Nazywa się Monty i leży teraz w łóżku, bo się przeziębził!

Jean-Paul rzucił Avie niepewne spojrzenie.

- Monty uniknął garnka, zaprzyjaźniając się z Poppy - wyjaśniła. - Jeżeli jest grzeczny, Poppy zabiera go na spacer w wózku, a w piątki pozwala mu oglądać telewizję.

Wesoły uśmiech, jaki rozjaśnił twarz młodego Francuza zupełnie podbił serca dzieci. Poppy pobiegła po Mont/ego, a onieśmienie chłopców kompletnie zniknęło pod wpływem uroku Francuza. Avę nagle ogarnęło zdziwienie, że Jean-Paul posługuje się nim z taką łatwością i w jednej chwili potrafi zmienić oblicze z aroganckiego na przyjazne i pogodne.

Poppy wróciła z rzeczywiście ogromnym ciemnozielonym kabaczkim. Ava doszła do wniosku, że jednak nie powinna powtarzać żartobliwej uwagi, którą wypowiedział jej mąż, gdy dowiedział się, że jego córka sypia z kabaczkim. „Cóż, w dorosłym życiu czeka ją poważne rozczarowanie...”, rzucił wtedy Phillip z szelmowskim uśmiechem.

Jean-Paul wziął od Poppy Monty'ego i zważył go w dłoni.

- Trochę ciężki jak na niemowlę - oświadczył.

- Przecież to nie niemowlę! - oburzyła się mała. - To kabaczek!

- Ależ oczywiście, młody kabaczek... - Jean-Paul sprawiał wrażenie odrobinę zbitego z tropu.

Poppy wzięła Monty'ego w ramiona i przytuliła go.

- Jest nieśmiały, a ty go przestraszyłeś - powiedziała oskarżycielsko.

- Może pokażemy Jean-Paulowi ogród? - zaproponowała pośpiesznie Ava. - Możecie zaprowadzić go do swojego pustego drzewa - zwróciła się do chłopców.

Angus wyglądał na bardzo zadowolonego, natomiast Archie skrzywił się lekko. Nadal nie był przekonany, czy chce, aby dorośli, na dodatek obcy dorośli, oglądali ich obóz.

- Chodź, Angus! - zawołał i wybiegł z pokoju, zanim dorośli zdążyli cokolwiek powiedzieć.

- Mają mnóstwo energii - zauważył Jean-Paul, zaplatając ręce na piersi.

- Może włożysz jakieś kalosze i kurtkę, co? W ogrodzie jest bardzo mokro, bo ostatnio sporo padało!

Po chwili Jean-Paul wrócił, niosąc skórzane buty nad kostkę i lekki kożuszek.

- Chyba nie chcesz pracować w tym w ogrodzie? - zdziwiła się Ava.

- Ależ tak!

- I zniszczysz takie porządne rzeczy? Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Zawsze mogę przecież kupić nowe.

- No, nie! Idź do garderoby i zobacz, czy nie ma tam gumowców, które by na ciebie pasowały! Nie ma sensu niszczyć porządnych butów bez potrzeby... A ten kozuch jest naprawdę piękny... Nie przywiozłeś jakiejś gorszej kurtki?

- Nie.

Ava z westchnieniem ugryzła się w język. Była pewna, że mąż nie będzie jej wdzięczny, jeżeli Jean-Paul wyjedzie, nie spędziwszy u nich nawet jednego dnia, wzięła więc głęboki oddech, zmusiła się do cierpliwości i oświadczyła, że w takim razie pojedą do miasta, żeby kupić przynajmniej buty.

- Powiedz mi coś, Jean-Paul... - zaczęła, przekonana, że nie jest to najlepszy moment, ale nie mogła się powstrzymać - masz duże doświadczenie, jeśli chodzi o pracę w ogrodzie?

Jean-Paul z uśmiechem potrząsnął głową. Irytacja Avy rozwiała się w jednej chwili, przegnana jego nieprawdopodobnym urokiem osobistym.

- Nie mam żadnego doświadczenia.

- Naprawdę żadnego? - Ava szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Od najwcześniejszego dzieciństwa obserwowałem matkę przy pracy w ogrodzie, ale praktycznego doświadczenia mam naprawdę niewiele...

- Chcesz się czegoś nauczyć?

- Oczywiście! Ogrody w Les Lucioles to część mojego dziedzictwa!

- Nie mam czasu dla kogoś, kto nie chce tu być - mruknęła Ava.

- Rok ma cztery pory, teraz jest jesień... Wyjadę pod koniec lata, zabierając ze sobą wszystko, czego mnie nauczysz. Będę bardzo bogaty w wiedzę i doświadczenie.

- A ja będę miała do dyspozycji dodatkową parę rąk - przyznała Ava, zastanawiając się, kto więcej zyska na tym dziwnym układzie.

- Otóż to! - Twarz Jean-Paula znowu rozjaśnił zaraźliwy uśmiech. - I mam nadzieję, że tobie także zostawię coś wyjątkowego.

Wyszli na taras. Zrobiony z ciemnych kamiennych płyt i drobniejszych kamieni, otoczony wielkimi donicami z roślinami i krzaczkami przywrotnika, sięgał aż do wykładanej kamieniem dróżki, obsadzonej tymiankiem i kulistymi tujami, teraz skłębionymi i zrudziałymi niczym zaniedbana psia sierść. Kamienie były ciemne i błyszczące od rosy, trawa lśniła w pomarańczoworóżowym świetle późnego popołudnia. Na końcu tymiankowej dróżki, za starym domkiem dla ptaków, w którym rezydowała rodzina gołębi, widać było pastwisko i las, w którym buki i leszczyna zaczynały już gubić żółtobrunatne liście. Powietrze przesycone było zapachem dymu, ponieważ Hector napalił w kominku w holu, a ostry wiatr od morza, znajdującego się w odległości kilkunastu kilometrów na południe od Hartington, wyrywał szare kłęby z komina. Jean-Paul wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się dookoła.

- Bardzo tu pięknie - odezwał się cicho.

- Dziękuję - odparła Ava. - Lubię to miejsce.

W mlecznym wieczornym świetle krajobraz zyskał nostalgiczną urodę. Lato już się skończyło, liście umierały, dni robiły się coraz krótsze, powietrze coraz chłodniejsze i bardziej wilgotne. Niebo pocięte było złocistymi i szkarłatnymi pasmami, które ciemniały w miarę jak słońce opadało coraz niżej i niżej. Ava kochała jesień bardziej niż lato właśnie dlatego, że ta pora roku miała w sobie tyle smutku. Jesień zawsze wydawała jej się dziwnie krucha i ulotna, zupełnie jak starość widziana z perspektywy młodości.

Poppy szła za nimi dróżką, zagadując do Monty'ego z takim ożywieniem i czułością, jakby naprawdę był dzieckiem. Przeskakiwała rośliny, ubrana tylko w krótką spódniczkę,

kalosze i cienką koszulową bluzeczkę, z włosami ściągniętymi w koński ogon. Drzemiące w gabinecie Phillipa psy usłyszały głosy dzieci i wybiegły do nich, z zapalem węsząc w trawie i obsikując iglaste krzewy. Ava ze zdziwieniem zauważyła, że Jean-Paul nie odrywa wzroku od domku dla ptaków. Był to okrągły kamienny budynek, pomalowany na biało, z ładnym drewnianym dachem, spiczastym niczym chiński kapelusz. Stary i zaniedbany, tchnął takim samym smutkiem jak jesienny wieczór.

- Teraz mieszkają tam gołębie - powiedziała. - Nigdy nie mieliśmy pomysłu, co jeszcze można by z nim zrobić.

- Nie powinniście nic w nim zmieniać - rzekł Francuz, pieścotliwie kładąc dłoń na białej ścianie. - Jest absolutnie uroczy.

- Klony, które rosną wokół niego, w listopadzie przybiorą przepiękny czerwony kolor. Teraz liście dopiero zaczynają zmieniać barwę, widzisz? - zerwała liść i podała go Jean-Paulowi.

Skręcili w lewo i minęli kępę wysokich modrzewi o miękkich igłach koloru masła. Trawnik otaczał długi murek, pod którym Ava posadziła pierzaste krzaczki.

- Przycinałam je dzisiaj, żeby lepiej zabezpieczyć przed zimą - powiedziała.

- Mnóstwo pracy, co? - zagadnął.

- Mnóstwo...

Poppy bardzo chciała pokazać Jean-Paulowi warzywnik, ukryty za pięknym starym murem, przy którym latem kwitły róże, jaśmin i kapryfolium. Furtka w murze trudno się otwierała. Poppy pchała ją z całej siły, więc Jean-Paul pośpieszył z pomocą.

- Czy to twoja ulubiona część ogrodu? - spytał.

- Monty najbardziej ją lubi, bo mieszkają tu wszyscy jego przyjaciele!

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ich poznam.

- Możliwe, że wyjechali. Mama mówi, że trzeba będzie czekać na nich aż do przyszłego roku. Wiosną zawsze wracają...

- Wobec tego będę musiał zaczekać do wiosny! Mam nadzieję, że Monty nie smuci się z powodu ich wyjazdu.

- Och, nie - wyszeptała Poppy takim tonem, jakby powierzała mu największy sekret. - Przecież Monty to tylko kabaczek.

Furtka otworzyła się ze skrzypnięciem i weszli do dużego kwadratowego ogrodu, podzielonego na grządki, pociętego ścieżkami i rabatkami. Rosło tu mnóstwo warzyw, ? po murze pięły się resztki umierającego klemati-su, róż, wistarii i kapryfolium. Ziemia pokryta była gałązkami ciemiernika czarnego i żółtego starca. Psy wpadły do ogrodu, przeciskając się między nogami Avy a słupkiem furtki.

Ava nie wiedziała, co myśleć o Jean-Paulu. Z jednej strony był arogancki i wyniosły, z drugiej, doskonale porozumiewał się z Poppy i wyraźnie lubił psy, a kiedy się uśmiechał, można było odnieść wrażenie, że dumny, mało sympatyczny Jean-Paul to tylko iluzja. Nie zachwycał się ogrodem, ale był poruszony grą wieczornego światła na ścianach domku dla ptaków oraz melancholijnymi odcieniami jesieni. Avie wydawało się też, że perspektywa spędzenia prawie roku na pracy w ogrodzie nie podoba mu się w tym samym stopniu, co jej myśl o konieczności dzielenia się z nim swoim doświadczeniem. Oboje nieco nerwowo mierzyli się wzrokiem, z niepokojem rozważając możliwość długiej współpracy. Ava nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w układance, jaką stanowi Jean-Paul, brakuje ważnego fragmentu. Henri nie był zupełnie szczerzy wobec Phillipa i Ava miała o to żal do przyjaciela męża. Po co wysyłać do Dorset młodego człowieka, który, najwyraźniej nie ma na to najmniejszej ochoty?

- Mamy tu niezłe zbiory - powiedziała, przyglądając się, jak jej córka skacze po ścieżce do grządki, na której latem rosły kabaczki.

Lekko dotknęła ramienia gościa i poprowadziła go pod gałęziami jabłoni, których dojrzałe czerwone owoce zaścielały ziemię. Jean-Paul schylił się, podniósł jabłko i ugryzł duży kęs.

- Słodkie - rzekł i znowu się schylił, szukając owocu dla niej.

- Najlepsze są te ponadgryzane przez owady - rzekła Ava. - One zawsze potrafią znaleźć najsmaczniejsze owoce...

- Mam nadzieję, że nie ugryzłem jakiejś osy!

- Gdybyś to zrobił, natychmiast odpłaciłaby ci pięknym za nadobne, zresztą teraz nie ma ich już wiele... Hector jest prawdziwym mistrzem w znajdowaniu gniazd i niszczeniu ich!

Wzięła jabłko z ręki Jean-Paula i wbiła w nie zęby, delektując się soczystym mięszem. Kiedy Poppy podbiegła do nich, wybrał owoc i dla niej. Dziewczynka polizała gładką skórę jabłka, jakby był to lizak.

- Pyszne! - zawołała i odbiegła w drugi koniec warzywnego ogrodu.

Po chwili zawrócili w kierunku domu. Rosnący pośrodku łąki stary dąb przypominał galeon na morzu traw.

- To właśnie tutaj chcę posiać polne kwiaty - powiedziała Ava, oczami wyobraźni już widząc całą gamę wiosennych kolorów. - Dalej jest rzeka Hart i twój domek...

- Mogę go zobaczyć?

- Wolałabym nie pokazywać, dopóki w nim nie posprzątam, bo trochę mi wstyd tego bałaganu.

Popatrzył na nią oczami, w których lśniło rozbawienie.

- Dlaczego miałaby pani się wstydzić? Jestem tylko ogrodnikiem.

Mimo woli odwzajemniła uśmiech, ale odparła sucho.

- Jeszcze nie jesteś ogrodnikiem. Nigdy w życiu nie widziałam ogrodnika w kaszmirowym szaliku...

- Nie wolno sądzić ludzi po wyglądzie! - Jean-Paul przeniósł wzrok na drzewo, z jego pękniętego pnia wyglądały dwie różowe buzie. - Ach, to jest puste drzewo! - rzekł, idąc w stronę dębu przez wysoką trawę. - Naprawdę magiczne!

Ava lekko ściągnęła brwi. Francuz miał w sobie coś dziwnego, ale nie bardzo potrafiła określić, co to takiego...

Na widok zbliżających się dorosłych Archie i Angus zniknęli w głębi ogromnej dziupli. Poppy pobiegła przodem, wołając do chłopców, aby wpuścili ją do środka, i płosząc przepiórki.

- Już idą, już idą! - wołała.

Wgramoliła się do dziupli, a chłopcy patrzyli z mrocznego wnętrza na Avę i Jean-Paula, który poklepał pień tak serdecznie, jakby miał do czynienia z miłym zwierzęciem.

- Piękny stary dąb! - powiedział.

- Uwielbiam go! - zaśmiała się Ava. - To mój stary przyjaciel! Wyobraź sobie tylko, ile widziało to drzewo w ciągu swego istnienia!

- Najprawdopodobniej rosło tu już, kiedy wybudowano dom.

- Na pewno!

- Co zrobiliby ludzie, gdyby zabrakło drzew? - Jean-Paul cofnął się o parę kroków, żeby ogarnąć wzrokiem także i koronę dębu. - Gdyby nie było drzew, nie byłoby drewna na opał! Gdyby nie można było rozpalić i podtrzymać ognia, nie dałoby się kuć metalu! Nie byłoby epoki brązu ani żelaza... Nie byłoby statków, nie byłoby zamorskich podróży... Nie byłoby imperiów, może nie powstałaby żadna cywilizacja.

- I nadal mieszkalibyśmy w jaskiniach - uśmiechnęła się Ava.

- Twoje dzieci na pewno świetnie by sobie poradziły! - zaśmiał się, niepostrzeżenie przechodząc na „ty”.

Ava nie zaprotestowała.

A on pochylił się i zajrzał do dziupli, gdzie cała trójka siedziała z minami groźnych piratów.

- Znajdzie się tu dla mnie miejsce? - zapytał.

- Nie, idź sobie! - wrzasnęli, piszcząc z radości. - Pomocy! Pomocy, to kapitan Hak!

Ava zaprowadziła Jean-Paula do sadu, gdzie rosły śliwy, jabłonie, grusze i drzewa brzoskwińowe. Była to najprawdziwsza sala bankietowa dla os i pszczół. Wiszące nisko na niebie słońce wyglądało jak gorejąca ogniem bryła bursztynu, pomarańczowe promienie przenikały między liśćmi, rzucając długie cienie na trawę. Z dachu domu obserwował ich gołąb o piórach wyłożonych słonecznym blaskiem, a wśród gałęzi bawiła się szara wiewiórka. Trawa lśniła od rosy, powietrze było wilgotne i chłodne. W milczeniu szli między drzewami, zasłuchani w ciche szepty przyrody.

- Najbardziej lubię wieczory i poranki - powiedział Jean-Paul, znowu poważny. - To szczególnie ulotne chwile, które w pełni docenia się wtedy, gdy już przeminą - lekko strzelił palcami.

- Chodź, pokażę ci, gdzie chcę założyć nowy, wyjątkowy ogród! Będzie tam obfitość róż, dzwonek i stokrotek, a wiosną tulipanów i żonkili! Chciałabym stworzyć magiczne miejsce, pełne barw i zapachów, gdzie będę mogła spędzać czas w spokoju i ciszy, wśród ogromnego bogactwa kwiatów.

Skinął głową, zupełnie jakby wiedział, o czym Ava mówi i miał dość wiedzy oraz doświadczenia, aby posłużyć jej radą.

Dotarli do brzegu trawnika, z dwóch stron zamkniętego iglastym żywopłotem. Na środku stał samotny górski jesion. Długą chwilę patrzyli, jak słońce przeciska się między gałęziami rosnących dalej pożółkłych modrzewi, żywym ogniem rozpalając szczyt dachu domku dla ptaków.

- Panuje tu przyjazna atmosfera - rzekł Jean-Paul.

- To prawda - przytaknęła. - Od dawna chciałam tu coś zrobić. Dzieci zawsze bawią się z drugiej strony domu albo na trawniku przy żywopłocie, a to miejsce jest trochę ukryte, jak sekret...

- Więc teraz powstanie tu tajemniczy ogród!

- Mam nadzieję. Ogród-niespodzianka! No, chodźmy! Czas na podwieczorek, nie sądzisz? Dzieci są już pewnie głodne!

Późnym wieczorem Ava leżała w łóżku z książką w ręku, lecz chociaż jej oczy przemykały po stronach *Zaczarowanego kwietnia*, myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Phillip leżał obok niej, z okularami do czytania na czubku nosa. Zawsze czytał co najmniej cztery książki równocześnie i rozkładał je w różnych miejscach domu, aby nigdy nie narzekać na brak lektury.

- Kochanie, nie mogę rozszyfrować Jean-Paula - zaczęła, opierając powieść, o kolana.

- Co tu jest do rozszyfrowania? - Phillip nie oderwał oczu od swojej książki.

- Nie wiem, ale w tej całej sytuacji coś jest nie tak. Kojarzy mi się to z układanką, w której brakuje jednego elementu.

- Nie rozumiem...

- Dziś po południu oprowadzałam go po ogrodzie. Z jednej strony nie zdradzał zainteresowania roślinami, czyli nie zachowywał się jak ogrodnik, lecz z drugiej był wyraźnie poruszony pięknem ogrodu. Szczególnie przypadł mu do gustu stary domek dla ptaków i dąb. Bardzo go zaciekały...

- I co wydaje ci się tu nie w porządku? - westchnął Phillip, starając się zachować cierpliwość.

- Po prostu nie wiem, jakie Jean-Paul ma motywacje.

- Znasz go dopiero jeden dzień, na miłość boską!

- Och, lepiej wracaj do swojej książki! Naprawdę nie rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Nie rozumiem, rzeczywiście... Nie interesują go rośliny, ale ogród budzi w nim zachwyty! Powiedziałbym, że to punkt dla niego, może nie?

Ava sięgnęła po książkę.

- Nie przejmuj się, kochany, próbuję tylko znaleźć ten brakujący element układanki! Czytaj dalej!

Phillip uśmiechnął się i wrócił do lektury.

- Ostatecznie to ja mam z nim pracować i wynajdywać mu zajęcia! Bardzo się cieszę, że masz okazję odwdzińczyć się Henriemu za pomoc w twoich badaniach, ale to na mnie spada cała odpowiedzialność, a dla mnie Henri nic nie zrobił! - Ava zerknęła na Phillipa, lecz jego twarz pozostała obojętna. - Och, dobrze, zaraz się zamknę! Przypomnisz sobie moje zastrzeżenia, kiedy sielanka nagle się skończy i Henri zamknie przed tobą te same drzwi, które wcześniej otworzył!

IX

SŁODKI AROMAT DOJRZAŁYCH JABŁEK. OSTATNIE ŚLIWKI

Toddy dotrzymała słowa i następnego dnia rano zabrała Jean-Paula na konną przejażdżkę, zostawiając bliźniaków z Archiem, Angusem i Poppy, pochłoniętych zabawą pod pustym drzewem. Mr Frisby spał na ganku, zawinięty w stary sweter, a Phillip na cały weekend wyjechał na polowanie do Gloucestershire, zabierając ze sobą Tarquina. Ava została sama z Berniem i dziećmi, jak zwykle zdumiona, że ktoś może traktować zabijanie jak sport.

Wykorzystała tę okazję, by wysprzątać domek nad rzeką. Ostatnim jego mieszkańcem był nieżonaty brat Phillipa, który przyjeżdżał do Hartington na weekendy, lecz gdy ten w końcu ożenił się i kupił sobie posiadłość w pobliżu Sherborne, Phillip próbował wynająć domek. Zainstalował nowe urządzenia kuchenne i odmalował całość, ale ponieważ domek nie miał drogi dojazdowej, chętnych nie było. Ewentualny dzierżawca musiałby parkować samochód pod ich

domem i pieszo docierać na miejsce przez łąkę i mostek, co stanowiło sporą niewygodę dla obu stron. W rezultacie aż do tej pory nie zgłosił się nikt, kto byłby odpowiednim rezydentem.

Mimo tego Ava zawsze lubiła domek, położony w bardzo malowniczym miejscu, pomiędzy dużymi kasztanowcami. Budynek był symetryczny, z dużym, porośniętym mchem dachem oraz małymi okienkami, i wyglądał trochę jak domek z bajki. Wyczuwała panującą wokół romantyczną aurę i cieszyła się widokiem różowych i białych róż, które latem pięły się po ścianach i tworzyły niewielki baldachim nad frontowymi drzwiami. Na zewnątrz płynęła rzeka spokojnie pod kamiennym mostkiem, zmierzając w kierunku morza.

Położyła świeżą pościel na metalowym łóżku i zrzuciła narzutę na podłogę, żeby zabrać ją do domu i uprać. Odkurzyła dywany i nawoskowała meble, wyszorowała podłogę w kuchni i holu, a potem otworzyła szeroko okna, aby jesień napełniła pokoje cudownym zapachem wilgotnej trawy. Zadowolona z wykonanej pracy, przystanąła na chwilę, pragnąc nacieszyć się efektami swoich wysiłków. Pomyślała, że wystarczy rozpalony w kominku ogień, dobra książka oraz klasyczna muzyka i już będzie tu jak w prawdziwym domu. Uśmiechnęła się z przyjemnością, wzięła zakurzoną narzutę i wyszła.

Toddy wróciła z Jean-Paulem akurat na lunch. Dzieci całe przedpołudnie bawiły się koło dębu i w jego pniu, i teraz wpadły do holu zdrowo zarumienione, tupiąc zabłoconymi kaloszami. Jean-Paul poszedł na górę, żeby się przebrać, a Toddy grzebała w bagażniku swego land-rovera, szukając kapci. Mr Frisby obudził się i przemknął po żwirze, aby zająć zwykłą pozycję wokół szyi swojej pani, podobny do pięknego kołnierza z białego futra. Toddy parsknęła śmiechem, kiedy leciutko chwycił ją zębami za płatek ucha.

- Tęskniłeś za mną? - zapytała, głaszcząc go czule.

Ava upiekła dwa kurczaki. Stała przy kuchence, przygotowując sos, podczas gdy dzieci przepychały się do zlewu, żeby umyć ręce. Toddy weszła do kuchni i naląła sobie szklanekę soku jabłkowego z lodówki. Jej czarne włosy były krótkie i trochę potargane, ponieważ dopiero co zdjęła z głowy dżokejkę, policzki zaróżowione od wiatru, a oczy błyszczące po poranku w towarzystwie Jean-Paula. Wypiła sok i stanęła obok Avy.

- Niezłe z niego ciacho! - szepnęła z uśmiechem. - I świetnie wygląda w siodle! Przypomina mi pewnego gracza polo, z którym romansowałam w Argentynie, zanim wyszłam za męża! Miło byłoby wytarzać się z nim w sianie.

- Stop, dosyć! - zaśmiała się cicho Ava. - Jest wystarczająco zarozumiała, jego ego pękłoby jak za mocno nadmuchany balonik, gdyby jeszcze zainteresowała się nim taka kobieta jak ty! Zresztą pewnie i tak już się domyślił, że masz go na oku...

- Zawsze można się poprzyglądać, nie trzeba od razu kupować, a ja nie mam takiego zamiaru. - Toddy oparła się o kuchenkę, żeby ogrzać zmarzniętą pupę. - Ale mimo wszystko chętnie bym go wypróbowała.

- Lepiej przedstaw go jednej ze swoich kuzynek!

- Niezły pomysł, bo nieszczęsny facet zanudzi się w Harrington na śmierć!

- Może przecież wyjeżdżać na weekendy do Londynu - powiedziała Ava. - Pochodzi trochę po King's Road, pójdzie na Feathers Ball w Hammersmith Palais, chyba że teraz młodzi ludzie mają inne rozrywki.

- Jest już trochę za stary na Feathers Ball!

- Więc niech się wybierze do klubu Tramp albo Annabel's... Nie wiem, gdzie jeszcze mógłby spędzić czas, ponieważ nie lubię Londynu.

- Nie wygląda na ogrodnika, prawda? - Toddy lekko uniosła brwi.

- Ach, więc już rozumiesz, o co mi chodziło! Jest zbyt elegancki i czyściutki!

- Nie mam zaufania do eleganckich i czyściutkich facetów. Miałam kiedyś Hiszpana, który starannie składał ciuchy na krzesło, zanim poszedł ze mną do łóżka. Składał je profesjonalnie, jak sprzedawca z markowego salonu mody, ale nim skończył, ja miałam już znacznie mniej zapału.

- Dziwnych wybierasz sobie facetów, moja droga!

- Tak czy inaczej, lepiej, żeby Jean-Paul okazał się potwornym bałaganiarzem! - rozśmiała się Toddy. - Inaczej szybko przestanę się nim interesować!

W tej chwili w progu kuchni stanął Jean-Paul. Przebrał się w dżinsy i mokasyny, jasnoniebieską koszulę wsunął pod piękny skórzany kowbojski pas. Toddy rzuciła Avie wymowne spojrzenie, które ta wolała zignorować.

- No, dzieci, siadajcie do stołu, lunch gotowy! Dzieci pośpiesznie zajęły miejsca.

- Jean-Paul, zrób sobie drinka! Skoro masz spędzić u nas trochę czasu, powinieneś jak najszybciej się dowiedzieć, gdzie są alkohole i inne takie rzeczy... Wszystko do drinków znajdziesz w lodówce albo w spiżarni - wskazała drzwi obok okna. - Szklanki i kieliszki są tu, w kredensie! Miło spędziłeś ranek?

- Fantastycznie! - zawołał. - Wjechaliśmy na wysokie wzgórze, z którego widać było morze!

- Galopowaliśmy po wyżynie Planchetta - wyjaśniła Toddy, odstawiając szklankę i zabierając się do pomocy przy podawaniu jedzenia. - Big Red był zachwycony.

- To silny koń - zauważył Jean-Paul. - Musiałem mocno go wstrzymywać, żeby nie poniósł!

- Wiedziałam, że sobie z nim poradzisz - pokiwała głową Toddy. - Wcale się nie niepokoiałam!

- A ja trochę tak! - przyznał się z uśmiechem Francuz.

Obie kobiety znieruchomiały na moment, z łyżkami w powietrzu, rozbrojone jego urokiem. Ava pośpiesznie wetknęła łyżkę we wzgórek parującego zielonego groszku.

Bernie rozkołysanym krokiem wszedł do kuchni, zdyszany po pogoni za bażantem. Z pyska ciekła mu ślina. Podszedł prosto do Jean-Paula i trącił go mokrym nosem. Ava chwyciła ścierkę, którą zawsze wieszała przy kuchence i wytarła zaśliniony psi pysk. Spodziewała się, że Jean-Paul odsunie się z obrzydzeniem na widok ociekających śliną dźwięseł i języka, ale nie zrobił tego. Schylił się i obiema dłońmi lekko wytargał Berniego za uszy, patrząc mu prosto w oczy. Bernie, nieprzyzwyczajony, by ludzie wpatrywali się w niego tak intensywnie, niepewnie spuścił łeb. Jean-Paul wyjął ścierkę z ręki Avy i bez słowa sam wytarł pysk Berniego. Ava nie śmiała spojrzeć na Toddy, czuła jednak, że jej przyjaciółka obserwuje gościa zza blatu, wspominając argentyńskiego gracza polo.

Jean-Paul rozdał talerze, podał dzieciom keczup oraz sos i zajął się krojeniem drugiego kurczaka. Dzieci siedziały spokojnie, zjadając z apetytem.

- Masz niezwykle talenty, Jean-Paul! - Toddy wzięła talerz i nałożyła sobie kilka kawałków mięsa. - Gdybyś kiedyś znudził się życiem w Hartington House, zawsze możesz przyjechać i pomóc nam w Bucksley Farm!

- Hartington House to typowa angielska posiadłość - uśmiechnął się do Avy. - Nie wydaje mi się, żebym miał się tu nudzić!

- Wysprzątałam domek nad rzeką. - Ava wreszcie usiadła przy stole.

- Doskonale! - ucieszył się.

- Zaprowadzę cię tam dziś po południu. Odzyskasz całkowitą wolność i niezależność, będziesz mógł robić, co tylko zechcesz.

- Jesteś bardzo hojna...

- Nie dziękuj, dopóki nie zobaczysz swojego nowego mieszkania! Ostrzegam, że jest mało wyrafinowane, w typowym wiejskim stylu.

- Nie mam nic przeciwko wiejskiemu stylowi!

- Bardzo się cieszę - uśmiechnęła się Ava.

- Na dodatek będziesz mógł jeździć ze mną konno, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota - wtrąciła podstępnie Toddy.

Ava rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Mam kilka kuzynek w twoim wieku, które mieszkają niedaleko stąd - dorzuciła szybko Toddy. - Wyjątkowo ładne dziewczyny. Może wolałbyś pojeździć z nimi...

- Mogę wybierać i przebierać - odparł Jean-Paul, przetykając kęs kurczaka. - Ava jest doskonałą kucharką! - Z uznaniem pokiwał głową. - Wszystkie twoje dania są po prostu wyśmienite. Chyba jednak nie mam ochoty przeprowadzać się do domku nad rzeką!

Ava roześmiała się głośno, nie kryjąc zadowolenia.

- Możesz jadać lunch i kolację z nami, kiedy tylko zechcesz. - Mocno wątpiła jednak, aby Jean-Paul często korzystał z ich gościnności, gdy już przywyknie do nowego mieszkania.

Po lunchu wszyscy razem poszli przez poje nad rzekę, żeby pokazać Jean-Paulowi jego domek. Dzieci opuściły swój obóz i zaczęły bawić się na mostku, rzucając gałązki do wody. W powietrzu czuło się wilgoć, niebo na horyzoncie zasnuły szare chmury, napływające od morza. Zanosilo się na deszcz.

- Nie przyniosłam ci drewna do kominka, ale w szopie przy domu jest pełno szczap - odezwała się Ava. - Bierz, ile chcesz, możesz załadować je na taczkę i przewieźć tutaj, a jeśli zaczekasz do poniedziałku, Hector ci pomoże.

- Sam się tym zajmę, nie martw się.

- Zaraz będzie lało - powiedziała Toddy, myśląc o swoich koniach, które zostały na łące.

- Dzisiaj przenocuj chyba jeszcze u nas i przenieś swoje rzeczy jutro - poradziła Jean-Paulowi Ava. - Lodówka jest zupełnie pusta, więc lepiej zjedz kolację ze mną. W poniedziałek możesz wziąć mój samochód i zrobić zakupy w mieście. Fred, mleczarz, przywozi nam w tygodniu sery, mleko, masło i gazety, piekarz Ned trzy dni w tygodniu dowozi chleb i bułki. Mam otwarty rachunek u nich obu, zamawiaj wszystko, czego będziesz potrzebował.

Na widok domku twarz Jean-Paula rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Urocze miejsce! - powiedział, podchodząc do drzwi. - Na pewno będę tu bardzo szczęśliwy!

Toddy trąciła Awę łokciem.

- Wygląda na to, że nie zamierza wracać do Francji - mruknęła, tłumiąc śmiech.

- Ani zamieszkać z tobą! - odszepnęła Ava. - Jak pech, to pech!

Z nieba spadły pierwsze krople deszczu. Ava sięgnęła do kieszeni po klucz.

- Zamek jest stary i zardzewiały, ale działa!

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i weszli do środka. Dzieci zostały na dworze, obserwując, jakie wzory wybijają krople na powierzchni rzeki.

Powietrze w domku było ciepłe, pachnące woskową pastą do mebli i podłóg oraz środkiem do mycia posadzki,

o sosnowym aromacie. Ava zostawiła na górze otwarte okna

i teraz wiatr wdarł się do domu, docierając na parter. Zdjęli buty. Ava pobiegła na piętro pozamykać okna, a Jean-Paul i Toddy weszli do salonu. Bernie ułożył się przed drzwiami, nie spuszczać wzroku z dzieci.

Ava widziała z góry, jak cała piątka bawi się na mostku. Archie i bliźniaki biegali w tę i z powrotem, Poppy i Angus

pokazywali sobie nawzajem coś w wodzie. Nagle niebo rozwarło się, uwalniając całe potoki deszczu. Dzieci zapiszczały jak wystraszone myszy i popędziły w stronę pustego dębu. Nagle, w samym środku ulewy, chmury rozstały się i zaswieciło słońce, malując na niebie przepiękną tęczę. Cudowny widok napełnił serce Avy ogromną radością i pragnieniem podzielenia się tym uczuciem z innymi. Szybko zbiegła na dół.

- Chodźcie na dwór, szybko! - zawołała drżącym z podniecenia głosem.

Toddy i Jean-Paul wyjrżeli z pokoju.

- Co się stało? - zapytała niespokojnie Toddy. Natychmiast wyobraziła sobie, że jej dzieci topią się w rzece.

- Tęcza! - Ava otworzyła drzwi. - Musicie ją zobaczyć! Włożyła kalosze i wypadła na zewnątrz. Bernie zerwał się na równe nogi, zarażony jej radosną ekscytacją.

Ava czuła krople deszczu spływające jej po szyi, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nigdy dotąd nie widziała tęczy tak wyraźnie, ze wszystkimi kolorami, nawet delikatnym, ulotnym różem, który zawsze znajduje się między zielonym i turkusowym, tak rozmyty i przejrzysty, że prawie niewidoczny.

Zerknęła na Jean-Paula i pochwyciła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się, maskując niepewność, którą nagle poczuła. Założyła ramiona na piersi i zadrżała w swojej bluzce z krótkim rękawem, choć przecież nigdy nie było jej zimno.

- Och, rzeczywiście wspaniała! - wykrzyknęła Toddy, ciaśniej otulając się kurtką. - Możemy już wrócić do środka?

- Oczywiście! I zabierz ze sobą Jean-Paula! - powiedziała Ava. - Ja zostanę na dworze, dopóki tęcza nie zniknie.

Toddy pośpiesznie wróciła do domku i Jean-Paul nie miał innego wyjścia, jak tylko jej towarzyszyć.

Ava stała na mostku w lekkiej mżawce, zadowolona, że może być sama. Ucieszyłaby się, gdyby Toddy pojechała już

do domu, a Jean-Paul zniknął bez śladu. Pomyślała, że im szybciej on przeprowadzi się do domku, tym lepiej. Nie czuła się swobodnie, mając cały czas w domu kogoś obcego. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że utkwiała w pułapce i nie może normalnie oddychać. Tu, na mostku, sam na sam z przyrodą, było jej znacznie lepiej. Słyszała cichy szmer strumienia i szelest wiatru wśród liści. Mogła do woli cieszyć się ciszą.

Tęcza w końcu zbladła, a chmury opadły na słońce niczym kurtyna. Ava znowu musiała zmobilizować energię. Toddy i Jean-Paul wyszli na ganek, odwróciła się więc do nich z uśmiechem.

- Chyba przyda nam się filiżanka gorącej herbaty, co ty na to, Avo? - zagadnęła Toddy, ruszając w kierunku domu.

- Ciekawe, gdzie schowały się dzieci - mruknęła Ava.

- Na pewno przemokły do suchej nitki - rzekła Toddy. - Dobrze byłoby zafundować im ciepłą kąpiel!

- Moim zdaniem ukryły się w dębie i wcale nie przemokły! Szybko się okazało, że Ava rację. Na widok zbliżających

się dorosłych dzieci wyjrzały z dziupli i zaczęły radośnie pokrzykiwać.

- Boże, ścisnęły się tam jak sardynki w puszcze! - zawołała Toddy. - Czy aby na pewno wszyscy żyją?

Poppy wyślizgnęła się z kryjówki i podbiegła do matki.

- Widziałaś tęczę? - zapytała z podnieceniem. - Była olbrzymia!

Ava chwyciła jej rączkę. Była zimna i mokra.

- Widziałaś różowy pas? - spytała.

- Tak! - Poppy szybko wymieniła wszystkie kolory tęczy. - Różowy i zielony pasują do siebie, prawda, mamusiu?

- Masz rację, kochanie! Różowy i zielony pasują do siebie, to moje ulubione kolory. - Ava odwróciła się do Jean-Paula. - Następnym razem koniecznie szukaj wzrokiem rózu! Zawsze jest w tęczy, ale trzeba go uważnie wypatrywać!

- Tak jak piękna - odparł. - Piękno jest we wszystkim, trzeba go tylko poszukać.

- To raczej dyskusyjna teza - wtrąciła Toddy. - Codziennie rano wypatruję piękna w lustrze, ale jakoś nigdy go nie widzę.

- Za to twoje dzieci widzą je pewnie za każdym razem, gdy na ciebie patrzą - powiedział Jean-Paul.

Toddy z zażenowaniem spuściła wzrok.

- Piękno, które masz w sobie, jest dla ciebie niedostrzegalne - dodał Francuz.

Ava szła obok Poppy, trzymając córkę za rękę. Była przekonana, że Jean-Paul już dawno docenił piękno, które codziennie widział w lustrze.

Wieczorem nakryła stół w kuchni dla dwóch osób i zajęła się przygotowywaniem lasagne. Widok dwóch talerzy budził w niej nieokreślony niepokój, czuła się trochę tak, jakby właśnie umówiła się na pierwszą randkę. Już wiele lat nie siadała do stołu z nieznanym mężczyzną. Wolałaby zjeść kolację sama, tak byłoby lepiej. Gdyby Jean-Paul był brzydki, przeciętny lub po prostu nieatrakcyjny, nie miałoby to najmniejszego znaczenia, nie mogła jednak zamknąć oczu na fakt, że był przystojny, więcej, przystojny i niebezpieczny. Żołądek ścisnął jej się ze zdenerwowania. O czym miała z nim rozmawiać, na miłość boską? Postanowiła nie podawać deseru. W ten sposób kolacja będzie krótka i zaraz po zjedzeniu zostawi go w salonie przed telewizorem, a sama pójdzie spać. Zastanawiała się nawet, czy nie poprosić Archiego, żeby zjadł z nimi, ale doszła do wniosku, że wyglądałoby to co najmniej dziwnie. Nie chciała zachowywać się jak niedoświadczona dwudziestolatka... Była przecież mężatką i matką, i miała już trzydzieści siedem lat! W końcu ustawiła talerze i półmiski na tacach, i postanowiła, że zjedzą w salonie, przed telewizorem.

Ku jej zaskoczeniu, Jean-Paul poszedł do siebie zaraz po kolacji. Powiedział, że jest zmęczony i podziękował za cudowny dzień.

- Już dużo się nauczyłem! - rzekł z uśmiechem, który sprawił, że pożałowała nieco chłodnego obejścia z gościem. - Dowiedziałem się, że warto jest szukać różowego koloru i kiedy następnym razem zobaczę tęczę, będę go uważnie wypatrywał.

Potem ujął dłoń Avy i podniósł ją do ust w taki sam oficjalny sposób, jak poprzedniego dnia, kiedy zobaczył ją pierwszy raz.

*SMAK CIEPŁEGO WINA, ZAPACH WYPALANYCH PÓL, OSTATNIE PROMIENIE
LETNIEGO SŁOŃCA*

Następnego dnia Ava pojechała z dziećmi do kościoła, a Jean-Paul zajął się przeprowadzką. Nie widziała go aż do wieczora. Ukrył się na drugim brzegu rzeki i nie dawał znaku życia, pożyczył jednak jej morrisa, żeby wybrać się do miasta. Powiedział, że chce się trochę rozejrzeć i zwiedzić okolice. Pomyślała, że pewnie nie będzie zachwycony. Jakie wrażenie mogły zrobić okolice Hartington na młodym człowieku, który przyjechał prosto z Paryża?

Nie miała czasu tęsknić za Phillipem, zdążyła już zresztą przywyknąć do jego długich nieobecności. W starych dzinsach i koszulowej bluzce, z ołówkiem wetkniętym w upięte na czubku głowy włosy, pracowała w ogrodzie, podczas gdy dzieci bawiły się na trawie. Był ciepły październikowy dzień. Nietypowo ciepły. Słońce grzało jak w czerwcu temperatura podniosła się do dwudziestu stopni. Poppy rozebrała się i biegała w samych majteczkach.

Chłopcy wyciągnęli z szopy poduszki, które w lecie leżały na tarasie i zbudowali z nich na trawniku zamek. Potem wciąż od nowa burzyli go, z zapalem skacząc na poduszki, i znów odbudowywali. Ava pracowała z sekatorem z ręką, zadowolona jak pszczoła w lipcu, podśpiewując pod nosem.

Bernie leżał pod jabłonią i spał mocno, najzupełniej obojętny na rozlegające się co jakiś czas wybuchy śmiechu. Obudził się dopiero parę minut przed przyjazdem Phillipa, postawił uszy na sztorc, usiadł, pogalopował przez trawnik do wyciętej w żywopłocie zwieńczonej łukiem bramki i wypadł przed dom. Dzieci pobiegły za nim, a na końcu szła Avę z rydlem w dłoni.

Zanim dotarła na miejsce, Phillip trzymał już Poppy na rękach, poklepywał Berniego po łbie i słuchał chłopców, którzy gadali jeden przez drugiego. Kiedy podniósł głowę, zobaczył stojącą w bramce roześmianą żonę.

- Halo, Krzaczku!

- Halo, skarbie! - rzuciła mu kokieterijne spojrzenie spod rzęs.

- Przywiozłem parę bażantów.

- Wspaniale! Jean-Paul przeniósł się do domku.

- Więc zaproś go na kolację! Im więcej osób przy stole, tym weselej!

Avę ogarnęło rozczarowanie. Liczyła, że zjedzą kolację tylko we dwoje.

- Nie widziałam go cały dzień - odparła. - Chyba powinniśmy zostawić go w spokoju.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy na łące pojawił się Jean-Paul w nowiuteńkich gumowcach.

- Jean-Paul! - ucieszył się serdecznie Phillip. - Podobno przeprowadziłeś się do chateau!

Jean-Paul uśmiechnął się szeroko.

- Musiałem kupić gumowce, żeby tam dotrzeć - powiedział. - W tym małym sklepie obok kościoła mają po prostu wszystko.

Ava przygryzła wargę. Wiedziała, że Phillip zaraz zaprosi Jean-Paula na kolację, a ten nie odmówi.

- Masz może ochotę zjeść z nami kolację? - zapytał Phillip. - Przywiozłem bażanty z polowania, Ava umie je doskonale przyrządzić!

Poppy uwolniła się z ramion ojca i pobiegła za braćmi na trawnik.

- Właściwie moglibyśmy zjeść na dworze - dorzucił Phillip.

- Bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia - odparł Jean-Paul.

Ava ugryzła się w język. Rozzłoszczona brakiem wrażliwości ze strony męża, odwróciła się na pięcie i poszła za dziećmi, zostawiając Jean-Paula i Phillipa pograżonych w przyjacielskiej pogawędce.

Wieczorem Phillip zatrzymał ją, kiedy wchodziła do łazienki, żeby napuścić wody do wanny.

- Co się stało, Krzaczku? Cały wieczór byłaś okropnie nadąsana.

- Wszystko w porządku - wzruszyła ramionami. Podszedł do niej.

- Prawie nie odzywałaś się w czasie kolacji!

- Po prostu jestem zmęczona, cały weekend przyjmowałam gości.

Wlała odrobinę olejku do wody, łazienkę wypełnił zapach gardenii.

- Masz na myśli Jean-Paula?

- Wczoraj przyjechała Toddy z chłopcami! Myślałam, że będzie miło, jeśli zjemy kolację razem, tylko we dwoje, nie

miałam ochoty na dodatkowe towarzystwo. Mam dosyć zabawiania gości, chcę odpocząć. Phillip objął ją od tyłu.

- Przepraszam - powiedział, wtulając nos i usta w jej kark tuż pod linią włosów. - Nie pomyślałem.

- Może następnym razem - westchnęła.

Odwrócił ją twarzą do siebie i założył pasmo włosów za jej ucho.

- Jest kłopotliwym gościem? - zapytał.

- Jean-Paul? Nie, jest bardzo miły. Najlepiej, gdy siedzi w swoim domku i nic ode mnie nie chce.

- Robisz dla mnie wielką rzecz, przyjmując go tutaj - powiedział poważnie Phillip. - Naprawdę to doceniam. Henri będzie nam bardzo wdzięczny.

- Wiem! Wdzięczny i gotowy dalej ci pomagać. Powinieneś jednak jakoś wynagrodzić mi ten wysiłek.

- Wynagrodzę ci w naturze, w roślinach! - roześmiał się.

- Pokazałam Jean-Paulowi miejsce, gdzie chcę założyć wiejski ogród. Bardzo go to zainteresowało.

- Naprawdę? - Phillip nie był pewny, czy Ava z niego nie żartuje.

- Tak, zapalił się do tego pomysłu! Gdyby miał pióro i zeszyt, zrobiłby notatki!

- To świetnie!

Spojrzała na niego pytająco.

- Jean-Paul nie ma zielonego pojęcia o ogrodnictwie, kochanie - powiedziała. - Będę musiała ciągnąć go wszędzie za sobą niczym niepotrzebny bagaż.

- Surowo go oceniasz. Zapędź go do czarnej roboty, w ten sposób chociaż trochę skorzystasz na jego obecności. Niech kopie ziemię i sprząta.

- Właśnie tak zrobię. Nie spodoba mu się to i wyjedzie stąd, a ty usłyszysz odgłos zatraskujących się przed tobą drzwi, jak Francja długa i szeroka! - roześmiała się.

- Och, wreszcie masz lepszy humor!

- Powinieneś lepiej mnie traktować, bo inaczej ciągle będę nadszana, tak jak przy kolacji.

- Postaram się. Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia, brakowało im ciebie!

Zignorowała jego słowa i zanurzyła się w kąpiel, czując jak rozdrażnienie wreszcie ją opuszcza.

Następnego dnia Ava przedstawiła Jean-Paula Hectorowi. Z pewną ulgą zauważyła, że gość ma na sobie zupełnie odpowiedni strój - sprane dżinsy i flanelową koszulę w stonowanych kolorach, a na nogach nowe gumowce. Kiedy podwinął rękawy, odsłonił opalone, owłosione ramiona.

Hector, który miał sześćdziesiąt parę lat, ubrany był w swoją nieodłączną tweedową kamizelkę i czapkę. Jego twarz przypominała korę starego drzewa, lecz oczy błyszczały jak świeżo wybite monety. Mówił z wyraźnym akcentem z Dorset, nadając literze „r” nieco gardłową wymowę.

- Przyda mi się trochę pomocy w ogrodzie - oznajmił bez uśmiechu, jak zwykle. - Zwłaszcza że liście opadają szybciej niż mogę je zgrabić.

Jean-Paul z nieskrywanym rozczarowaniem wziął grabie, które wręczył mu Hector i zabrał się do uprzątnięcia liści. Z wyrazu jego twarzy Ava bez trudu wyczytała, że spodziewał się otrzymać bardziej interesujące zajęcie i chociaż była zadowolona, że może sama popracować w ogrodzie, poczuła niejasne wyrzuty sumienia. Z pewnym rozbawieniem przyglądała się z daleka, jak Hector i Jean-Paul usiłują podtrzymać rozmowę. Naprawdę nie wyobrażała sobie, aby mieli jakiegokolwiek wspólne tematy. Zakrawałoby zresztą na cud, gdyby Jean-Paul zrozumiał choć połowę tego, co mówił Hector.

Jean-Paul spędził cały dzień, uprzątając teren wokół domu. Grabił liście, kosił trawę starą kosiarką, ściał uschniętą

gruszę i usunął mnóstwo resztek obfitych plonów tego lata. Zrobił sobie tylko krótką przerwę na zjedzenie kanapek, które sam zrobił i wypicie puszki piwa z lodówki Avy. Po południu wyglądał na wykończonego.

- Myślę, że w tym tygodniu powinieneś popracować z Hectorem - oświadczyła Ava. - W ten sposób lepiej poznasz całą posiadłość.

Jean-Paul nawet się nie uśmiechnął. Twarz miał zachmurzoną, ale nie narzekał.

- *Bon!* - rzucił krótko. - Jeśli tak chcesz.

- Tak będzie dobrze - odparła. - Praca w ogrodzie nie zawsze jest twórcza!

- Właśnie widzę.

- Wyrobisz sobie mięśnie!

- Mięśnie mam już wyrobione! - Prawie wypluł te słowa, gniewnie patrząc na nią spod rzęs. - Idę rozpaścić ognisko! Jeżeli dzieci wróciły do domu, to może miałyby ochotę mi pomóc.

- Jadę je odebrać ze szkoły. Na pewno z radością ci pomogą.

- Dobrze, poczekam!

- Zrób sobie herbatę w kuchni - zaproponowała. - Cały dzień ciężko pracowałeś, odpocznij trochę!

Potrząsnął głową.

- Nie. Muszę jeszcze przewieźć parę taczek liści do ogniska.

- Przyślę ci dzieci z piankami.

- Z piankami? - zdziwił się.

- Nie wiesz, co to takiego?

- Nie.

- W takim razie będziesz miał niespodziankę! Oszaleją z radości, że mogą ci coś pokazać!

Twarz Jean-Paula złagodniała. Uśmiechnęła się do niego, ale nie zareagował.

Pojechała do szkoły, zastanawiając się nad swoim postępowaniem i usprawiedliwiając się sama przed sobą, że kazała Jean-Paulowi pracować z Hectorem. Przecież Francuz nie przyjechał tutaj na wakacje. Czego właściwie się spodziewał? Dobrze chociaż, że trafił na ładną pogodę. Skoro był tak ponury mimo słońca, to ciekawe, jak będzie się zachowywał w deszczowe i śnieżne dni. Pocieszyła się, że Jean-Paul na pewno szybko wyjedzie z powrotem do Francji. Nie ma mowy, żeby wytrzymał w Hartingtoh do zimy. Ona się nigdy nie dowie, jak zareagowałby na śnieg, a on nigdy nie zobaczy, jak piękny jest jej ogród w lecie.

Dzieci były zachwycone, że mogą pokazać Jean-Paulowi, jak piecze się pianki. Poppy machała matce przed oczami rysunkiem przedstawiającym słońce.

- Kochanie, widzisz przecież, że teraz prowadzę! - zaprotestowała Ava. - W tej chwili nic mnie nie obchodzi, czy jesteś utalentowana jak Gauguin lub Matisse! Poczekaj, aż cali i zdrowi dotrzemy do domu, dobrze?

Chłopcy z zapalem porównywali naklejki, które wymienili na boisku.

- Robert powiedział, że możemy napisać do Asterixa i dostaniemy całe pudło naklejek! - oznajmił Angus.

- Całe pudełko? - zapytał z zapartym tchem Archie, patrząc na swoją garść tygrysów Esso.

Ava przysłuchiwała się im z rozbawieniem. W tym tygodniu naklejki, w przyszłym kapsle, w następnym jeszcze coś innego.

Od razu po powrocie do domu wszyscy troje pobiegli do ogrodu warzywnego, gdzie Hector i Jean-Paul stali obok ogromnej góry liści i tekturowych pudełek. Niebo zachmurzyło się i zrobiło się dużo chłodniej. Ava przyszła za dziećmi, niosąc dużą torbę z piankami.

- Ja chcę mu pokazać! - pisnęła Poppy, podbiegając do matki. - Proszę, proszę, ja!

Ava otworzyła opakowanie i podała córeczce różową piankę oraz patyk.

- Dobrze, ale pozwól, że ci pomogę! - powiedziała, biorąc ją za rękę.

Jean-Paul wyglądał już nieco lepiej i chyba odzyskał dobry nastrój. Z lekkim uśmiechem przyglądał się, jak chłopcy biorą sobie po garści pianek i podają mu kilka.

- Musisz nadziać piankę na patyk - poinstruował go z powagą Archie.

- Inaczej poparzyłbyś sobie palce.

- Dziękuję! - odparł Jean-Paul. - Nie chciałbym poparzyć sobie palców, rzecz jasna.

- Ja raz mocno się sparzyłem - poinformował Angus. - Ale mama przykleiła mi plaster i prawie wcale nie bolało!

- Wasza mama jest bardzo mądra - zauważył Jean-Paul.

- Patrz, jak to się robi! - Poppy wetknęła piankę między płomień. - Widzisz?! - zawołała w podnieceniu.

Stała zupełnie bez ruchu, jakby na końcu patyka trzymała nie słodką piankę, lecz jadowitego węża.

- No, teraz możesz już zdjąć - powiedziała Ava.

- Podmuchaj, mamusiu!

Ava kilka razy dmuchnęła na piankę, która stopiła się w kleistą kulkę.

- Mogę ją teraz zjeść? - spytała Poppy.

Ava przytknęła piankę do warg i podała ją córeczce. Poppy ściągnęła słodką kulkę z patyka i włożyła sobie do ust, uśmiechając się szeroko.

- Pyszna!

- Spróbuj - poradziła Ava Jean-Paulowi. - Potraktuj to jako specjalną inicjację! Jeżeli zdasz ten egzamin, możesz zostać członkiem naszego klubu. Przyjmujemy go, prawda, Hectorze?

Hector kiwnął głową i oparł się na widłach, z widocznym zadowoleniem obserwując dzieci.

Jean-Paul trzymał swoją piankę nad ogniem, a chłopcy wykrzykiwali rozmaite wskazówki. Francuz spełniał ich polecenia i zadawał pytania, które jeszcze bardziej rozdmuchiwały ich poczucie ważności. Ava zauważyła, że Jean-Paul ma świetne podejście do dzieci, które uwielbiają przebywać w jego towarzystwie. Dotyczyło to zwłaszcza chłopców - był w ich oczach kimś, przed kim mogli się popisywać. Najwyraźniej posiadał cechy, które ich zdaniem były szczególnie atrakcyjne.

Rytuał pieczenia pianek zgromadził wszystkich wokół ogniska. Słońce zniknęło już za murem ogrodu, zapalając na szczytach drzew smugi złocistego blasku. Niebo pociemniało, powietrze stało się bardziej wilgotne, zerwał się zimny wiatr, ale im było gorąco. Góra liści i pudeł przeistoczyła się w małą kupkę żaru, lśniąca jak płynna miedź. Zjedli wszystkie pianki.

Później Jean-Paul zaproponował zabawę.

- Skoro wy macie przyjąć mnie do swojego klubu, ja także powinienem przyjąć was do mojego - oświadczył poważnie.

Ava patrzyła ze zdumieniem, jak młody Francuz rusza do tańca wokół ogniska, wydając indiańskie okrzyki. Rozpięta koszula powiewała, odsłaniając połyskującą w świetle płomieni nagą skórę. Jean-Paul rytmicznie przytupywał i podskakiwał. Dzieci szybko przyłączyły się do niego, naśladowując jego ruchy. Ich małe postacie rzucały dziwaczne cienie na ogrodowy mur. Ava płakała ze śmiechu i nawet Hector uśmiechnął się kilka razy, obnażając żółte zęby i czarne dziury w dziąsłach. Zachwycona radosną zabawą dzieci, Ava klaskała w dłonie i żałowała, że nie ma bębna, na którym mogłaby wybijać rytm.

Wieczorem zrobiło się jej trochę przykro, że Jean-Paul nie przyszedł na kolację. Przy ognisku w ogrodzie poznała zupełnie nieoczekiwany aspekt jego osobowości. Rozstali się

zaraz po indiańskich tańcach, ona odeszła z dziećmi, on samotnie. Myślała o nim, wyobrażała sobie, jak w domku je kolację przed telewizorem, a potem idzie spać. Zastanawiała się, czy czuje się samotny i postanowiła, że będzie pożyczać mu samochód, ilekroć zechce wybrać się do miasta. I przypomniał Toddy, żeby przedstawiła go swoim kuzynkom. Na pewno towarzystwo dziewcząt w jego wieku sprawi mu przyjemność.

- Jak dzisiaj sprawował się Jean-Paul? - zagadnął Phillip przy kolacji.

Ava przygotowała swoje specjalne danie - przepiórki duszone w sosie z żytniego chleba. Sparzyła fioletową kapustę i doprawiła ją odrobiną octu z imbirem, podała też gotowaną marchewkę z miodem. Postawiła na stole zapaloną świecę i zgasiła lampy. Phillip otworzył butelkę bordo i napełnił dwa kieliszki.

- Pomagał -ci w ogrodzie, kochanie? - spytał. Ava uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak, całkiem przyjemnie się z nim pracowało. Po południu piekliśmy pianki nad ogniskiem, a Jean-Paul i dzieci tańczyli jak Indianie!

- Ale Hector chyba nie przyłączył się do tego szaleństwa, co? Mogłoby mu zaszkodzić na serce!

- Hector nie tańczył, skądże znowu! Jean-Paul prowadził dzieci dookoła ogniska. Było to dosyć zabawne. Poppy podskakiwała jak wróbelek, a chłopcom się wydawało, że tańczą prawdziwy indiański taniec! Wyrzucali nogi wysoko w górę i wykonywali prześmieszne piruety! Nic dziwnego, że na górze panuje teraz taki spokój - muszą być po prostu wykończeni.

- Więc Jean-Paul rzeczywiście ci się przydał?

- Cały dzień pomagał Hectorowi, prawie go nie widziałam. Z początku był chyba wściekły, że musi grabić liście, ale trudno, praca w ogrodzie to nie tylko sadzenie róż!

- Przyzwyczaj się! - Phillip uśmiechnął się wyrozumiale. - A wiosną będzie zbierał owoce swoich wysiłków.

- Jeżeli jeszcze tu będzie.

W ciągu następnych paru dni rzadko widywała Jean-Paula. Pracował z Hectorem, natomiast ona zajmowała się roślinami. Raz zaprosiła go na kolację, ale odmówił, twierdząc, że umówił się w pubie. Nie śmiała zapytać, z kim, zresztą nie była to przecież jej sprawa. Chodziła po ogrodzie, zastanawiając się, jak rozplanować wiejski ogródek, próbowała go sobie wyobrazić, lecz natchnienie nie przychodziło. Może projekt był zbyt ambitny, może powinna skoncentrować się na łące wokół dębu z wielką dziuplą? W środę, kiedy trzeci raz odrzucił jej zaproszenie na kolację, uświadomiła sobie, że zachowuje się niesprawiedliwie. Jean-Paul przyjechał jej pomóc, nie powinna więc skazywać go na całodzienną pracę z Hectorem. Nie dotrzymywała umowy, a przecież Jean-Paul dowiódł, że jest gotowy bardzo ciężko pracować.

Był wieczór. Słońce już zaszło, na granatowym, usianym gwiazdami niebie wisiał zamglony księżyc. Ava szła przez pole ku rzece. Nie zamierzała przeproszać Jean-Paula, chciała jednak poprosić go o radę w sprawie wiejskiego ogrodu. Może on będzie miał jakiś pomysł. Powinna zapytać, bo przecież najzwyczajniej w świecie nie dała mu szansy.

Mostek srebrzył się w blasku księżyca, spinając brzegi cicho szemrzącej rzeki. Noc wzbudziła zachwyt w Avie, która czuła się jak owinięta w miękki aksamit. Szła sprężystym krokiem, nagle w znacznie lepszym nastroju niż w dzień. W domku paliły się światła, zapach dymu przesycił wilgotne powietrze i przywoływał nostalgiczne wspomnienia. Przystanęła na chwilę, patrząc na oświetlony domek i podziwiając jego prostą urodę, a potem zapukała do drzwi.

Na jej widok Jean-Paul pobladł ze zdumienia. Ava miała na sobie ukochane fioletowe ogrodniczki i koszulkę

z krótkim rękawem, lecz mimo to wydawała się nie odczuwać zimna. Jean-Paul zadrżał, gdy do holu wdarł się chłodny wiatr.

- Proszę bardzo - powiedział, odsuwając się na bok. Zdjęła buty i weszła do saloniku. W kominku płonął

ogień, na stoliku do kawy dostrzegła pudło z farbami i kubek z brudną wodą. Z głośnika magnetofonu dobiegał utwór Jean-Michela Jarre'a. Avie nie przyszło wcześniej do głowy, że Jean-Paul umie malować.

Nie zaproponował jej nic do picia; stał w progu, czekając, aż pierwsza się odezwie. Powoli podeszła do kominka.

- Przyszłam zapytać cię o radę - powiedziała, nagle dziwnie onieśmielona.

Zorientowała się, że przed chwilą brał kąpiel, bo włosy miał jeszcze mokre. Niebieska koszula z podwiniętymi rękawami luźno opadała na lewisy.

- O radę? - uniósł brwi. - Dlaczego miałabyś pytać mnie o radę? Najwyraźniej uważasz, że nie mam nic ciekawego do zaoferowania.

- Nieprawda! - zaproponowała.

- Dajże spokój! - zawołał, wchodząc do pokoju i siadając na kanapie. Założył ręce za głowę i wyciągnął nogi daleko przed siebie. - Kazałaś mi pracować z Hectorem! Skąd możesz wiedzieć, co potrafię, a czego nie potrafię?

- Nie mogę - przyznała. - Bądźmy ze sobą szczerzy, dobrze? Twój przyjazd tutaj nie był moim pomysłem, lecz Phil-lipa. Nie chciałam, żebyś tu był, nie potrzebowałam pomocy, bo doskonale radzę sobie sama.

- Więc dlaczego ni stąd, ni z owąd prosisz mnie o radę?

- Bo nie mogę poradzić sobie z pewnym planem i przyszło mi do głowy, że mógłbyś mi pomóc! Sam powiedziałeś, że nie należy osądzać ludzi, ale ja cię oceniłam i mam nadzieję, że popełniłam błąd.

- Jak mogę ci pomóc?

- W projektowaniu wiejskiego ogródka.

- Ach, o to chodzi - pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i w zamyśleniu potarł podbródek.

Odetchnęła z ulgą. Jej biała flaga została dostrzeżona i zaakceptowana.

- Chodzi ci o projekt wiejskiego ogródka - powtórzył.

- Tak. Próbowałam sama coś zaplanować, ale nie mogę go sobie wyobrazić.

- Tak się składa, że trochę myślałem na ten temat.

- Naprawdę? - zdziwiła się.

Przechylił się nad oparciem kanapy i wyjął duży blok rysunkowy.

- Nie wiedziałam, że malujesz.

- Namalowałem coś dla ciebie.

Oparł blok o jej kolana. Patrzyła bez słowa, oszołomiona i zachwycona. Miała przed sobą, namalowany intensywnymi kolorami i pewnymi pociągnięciami pędzla, swój wiejski ogródek. Przecinała go ścieżka wśród traw, z obu stron otoczona kwiatami i krzewami, lśniącymi w promieniach letniego słońca. Na środku stał górski jesion, a obramowaniem dla jego pnia była pomalowana na ciepły szary kolor metalowa ławeczka. Ogród wyglądał przepięknie. Pomyślała, że sama nie potrafiłaby wyobrazić sobie piękniejszego.

*MELANCHOLIJNY KRZYK SAMOTNEJ MEWY, UNOSZONEJ WIATREM**Hartington, 2005*

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ja i MF jesteśmy do siebie dosyć podobni. Oboje mieliśmy artystyczne dusze i pragnęliśmy stworzyć coś pięknego.

Miranda otarła wierzchem dłoni załzawione oczy. Złożony na pół i przyklejony do kartki szkic wiejskiego ogródka wciąż zachwycał intensywnymi, przepięknymi barwami. Przesunęła palcami po papierze, po różowych różach i białych liliach, i wyobraziła sobie świt miłości. Przez chwilę czuła pustkę w sercu i ogarnął ją smutek, uczucie to jednak zniknęło, zanim pozwoliła sobie je zanalizować. Pomyślała, że jeśli wypełni swoje dni pracą i codziennymi domowymi zajęciami, ból nie będzie ją dręczył, chociaż zabiegi te przypominały zatykanie dziury papierem. Skupiła całą uwagę na obrazku. Ta ławka wciąż otaczała pień jesionu. Zastanawiała się, czy siadywali tam razem, projektując ogród i próbując

zapanować nad uczuciem, które rosło wraz z każdą zasianą rośliną. Nagle ogarnęła ją radość. Może Jean-Paulowi uda się ożywić ogród, na nowo tchnąć w niego życie.

Chociaż w notatniku nie było żadnych imion, Miranda nie miała wątpliwości, że należał on do pani Lightly. Z zapisków niewiele można było wywnioskować na temat wyglądu „MF”, znajdował się tu jednak dość szczegółowy opis jego charakteru. Był to twórczy, choć sfrustrowany młody człowiek, w jednej chwili uśmiechnięty i pogodny, w następnej zniechęcony i ponury. Miranda zastanawiała się, dlaczego pani Lightly zostawiła notatnik w domku. Musiał mieć dla niej ogromne znaczenie, więc raczej na pewno nie mogła o nim tak po prostu zapomnieć. Może uważała, że historię, którą przeżyła, lepiej będzie zostawić przeszłości. Miranda wyobraziła sobie siwowłosą staruszkę, śmiejącą się ze swej absurdalnej, dziewczęcej fascynacji - tak, taka osoba mogłaby celowo zostawić notatnik w domku.

Nie była to klasyczna historia miłosna z początkiem, rozwinięciem i końcem, ale cała seria wspomnień. Miranda miała ochotę zanurzyć się w nich spokojnie. Przerzucała kartki, zatrzymując się na chwilę, aby popatrzeć na zasuszone liście i kwiaty oraz zdania, zapisane obok nich ładnym, nieco ozdobnym charakterem pisma pani Lightly. Wiedziała, że powinna przygotować domek dla Jean-Paula, że nie ma czasu roztkliwiać się nad czymś romanssem, ale notatki bez reszty przykuły jej uwagę. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w stu stronach zamknięty został cały świat, fascynujący i wzruszający. Czowała, że jeżeli pozwoli sobie czytać dalej, zupełnie się w nim zatraci. Niechętnie zamknęła notatnik. Miała dziś tyle do zrobienia. W południe przyjdzie pani Underwood, z którą trzeba omówić warunki zatrudnienia, pan Underwood nie poradzi sobie bez wyraźnych wskazówek oraz instrukcji. Musiała się też dowiedzieć, gdzie znajduje się lokalna firma budowlana, nie

wspominając już o domowych zajęciach, którym powinna poświęcić trochę czasu, zanim znajdzie sprzątaczkę. Wsunęła notatnik pod pachę i rześkim, lekkim krokiem opuściła domek nad rzeką.

Już z daleka zobaczyła stojący na żwirowanym podjeździe samochód pani Underwood. Ranger obsikiwał właśnie jedną z opon, a pani Underwood czekała na progu, z założonymi na obfitym biuście ramionami i zamyśloną twarzą.

- Halo! - zawołała Miranda, przyspieszając kroku. - Bardzo przepraszam, ale coś mnie zatrzymało! Muszę wysprzątać domek na przyjazd ogrodnika - nagle przypomniała sobie, że mąż pani Underwood pracuje u niej jako ogrodnik. - Orodnika, który zaprojektuje nam teren wokół domu - wyjaśniła szybko.

Pani Underwood skinęła głową.

- Nie widziałam jeszcze pana Underwooda, pewnie jest w ogrodzie, prawda? - dorzuciła Miranda.

- O, tak, pewnie zabrał się już do pracy. Trudno zgadnąć, co tam akurat robi.

Gdy Miranda otworzyła drzwi kluczem, z piersi pani Underwood wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Znak czasu - mruknęła. - Dawniej ludzie nie zamykali drzwi! Można było swobodnie wejść do domu sąsiada, nie tak jak teraz!

- Cóż, dawniej ludzie nie mieli mikrofalowych kuchenek, komputerów, komórek i telewizji satelitarnej, prawda? Nie wszystko zmieniło się więc na gorsze.

Pani Underwood rzuciła jej pełne oburzenia spojrzenie.

- I po co komu te śmieci, co? Nie oszczędzamy dzięki nim czasu, wręcz przeciwnie! Dziś wszyscy biegają jak kury bez głowy, a dawniej każdy miał czas na pogawędkę!

Miranda uznała, że lepiej będzie nie dyskutować. Ludzie tacy jak pani Underwood kurczowo trzymali się przeszłości i bez przerwy narzekali na złe czasy.

Schowała notatnik w swoim gabinecie i zabrała panią Underwood do kuchni, żeby uzgodnić z nią godziny pracy oraz pensję. Zauważyła, że pod jej nieobecność pan Underwood napełnił metalowe kosze szczapami i rozpałił ogień w kominkach. Powietrze pachniało teraz palącym się drewnem.

- Pani Lightly zawsze paliła w kominkach - powiedziała z dumą pani Underwood. - Nie żeby jej samej było zimno, o, nie, ona nawet zimą chodziła w bluzkach z krótkim rękawem i nigdy nie widziałam, żeby dygotała.

Miranda spojrzała na nią z zaciekawieniem. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, która była autorką znalezionych przez nią notatek.

- Może napijemy się herbaty? - zaproponowała, wyciągając taborety spod stołu. - Jaką mam zaparzyć? Earl Greya?

- Ja to zrobię, Mirando!

- Niechże pani siada, bardzo proszę.

- Nie, ja zajmę się herbatą! Nie mogę siedzieć jak jakaś idiotka i czekać, aż moja pracodawczyni poda mi filiżankę, to byłoby nie w porządku! - Pani Underwood wzięła czajnik i podstawiła go pod kran. - Poza tym, muszę lepiej poznać kuchnię. Dużo się tu zmieniło od czasów pani Lightly!

Miranda usiadła.

- Jaka była pani Lightly? - zapytała. - Wszyscy dużo mówią o jej pięknym ogrodzie, ale nic o niej samej!

Pani Underwood się zawahała.

- Była jedyna w swoim rodzaju. Pan Bóg na pewno zniszczył formę, w której ją ulepił! Pan Lightly był typowym Anglikiem, wysokim, szczupłym, z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Wszyscy go lubili, pewnie i dlatego, że zawsze miał czas na rozmowę. Pani Lightly była ekscentryczką. W jednej chwili żywa jak iskierka, opowiadała zabawne historyjki i zabawiała gości, w następnej milkła, znajdowała sobie jakąś wymówkę i wychodziła. Zawsze było widać, kiedy ma dosyć towarzystwa. Ci, którzy nie umieli wyczuć jej

nastroju, po prostu zostawali sami. Wychodziła do ogrodu, siadała na swojej ukochanej ławce i delektowała się ciszą. Najbardziej lubiła samotność, chociaż oczywiście bardzo kochała dzieci i męża. Innych lubiła i tolerowała, nie była jednak tak towarzyską osobą jak pan Lightly. Pan Lightly uwielbiał gości, a ona... Ktoś, kto jej nie znał, nigdy by nie pomyślał, że nie lubiła przyjęć, ale tak właśnie było. Wolała mieć dom tylko dla siebie.

- Jak wyglądała?

Pani Underwood włączyła czajnik i wyjęła dwie filiżanki z kredensu.

- Nie była tak piękna jak ty, Mirando. Ja nazwałabym ją przystojną, nie myśl jednak, że miała urodę w męskim stylu. Jej twarz była pełna życia, miła i wrażliwa. Im bliżej się ją poznawało, tym bardziej zyskiwała na urodzie. Są tacy ludzie, prawda? Nie była próżna, nie malowała się i nie biegła do fryzjera. Włosy miała długie, kręcone, upinała je na czubku głowy i mocowała węzeł, wtykając weń ołówek, którego później szukała - starsza kobieta zaśmiała się cicho. -Była roztargniona. W domu pełno było drobiazgów, których nigdy nie odstawiała na miejsce. Miała cudowne poczucie humoru. We wszystkim potrafiła znaleźć coś zabawnego, nawet w smutnych wydarzeniach, chociaż pewnie choroba pana Lightly nie wydawała jej się zabawna. Kiedy zachorował, przestali przyjmować gości i spotykać się ze znajomymi. Pani Lightly sama opiekowała się mężem - pani Underwood potrząsnęła głową i wrzuciła dwie torebki z herbatą do imbryczka. - Ach, ta miłość, co? Gdyby mój stary zachorował, też sama bym przy nim wszystko robiła. Mężowie doprowadzają nas do szału, ale i tak ich kochamy. Nie potrafiłybyśmy bez nich żyć!

Miranda instynktownie wyczuła, że nie powinna mówić pani Underwood o notatniku. O tajemniczej miłości pani Lightly nie wiedział pewnie nikt poza jej ukochanym.

- A ten domek nad rzeką? - zagadnęła ostrożnie. - Kto tam mieszkał?

- Och, nie wiem! To ruina, od lat nikt tam nie zaglądał!

- Jest uroczy.

- Brat pana Lightly spędzał tam weekendy, ale było to bardzo dawno temu. Wydaje mi się, że później, kiedy przestał tu przyjeżdżać, pan Lightly próbował wynająć domek, nie było jednak chętnych, głównie ze względu na niefortunne położenie.

- Zawsze pani dla nich gotowała?

- Nie, z początku mieli inną kucharkę, starą panią Mar-ley, która słynęła z czekoladowo-orzechowego ciasta. Nie można jednak jeść tylko czekoladowo-orzechowego ciasta, prawda? Kiedy pani Marley poszła na emeryturę, zaczęłam przychodzić do nich w weekendy, bo wtedy przyjeżdżało do nich mnóstwo różnych pisarzy i innych literatów z Londynu. Po kolacji zawsze układali szarady, słyszałam, jak ryczeli ze śmiechu. Pan Lightly był sławnym pisarzem, raz widziałam jego nazwisko w gazecie! Dostawał rozmaite nagrody, ale był bardzo skromnym człowiekiem.

- O czym pisał?

- O winie. Dużo czasu spędzał we Francji, przeprowadzał badania na ten temat. Podróżował po winnicach i zostawiał Awę samą w domu, czasami na całe tygodnie. Mieli niezłą piwnicę, mówię ci, Mirando, pełną butelek równie starych jak ja!

- Ach, to stąd te francuskie książki w domku nad rzeką.

- Pan Lightly kochał książki, miał ich setki w gabinecie. Leżały stosami na podłodze i stołach, dosłownie wylewały się do holu. Gabinet miał tam, gdzie masz ty. Cieszę się, że na półkach znowu stoją książki.

- Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż puste półki na książki - powiedziała Miranda.

- Pan Phillip nie miał tu dość miejsca, może dlatego korzystał też z domku. Ja przeczytałam tylko jedną książkę w życiu.

- Naprawdę? Jaka?

- *Tajemniczy ogród*. Dała mi ją pani Lightly. Czytałam ją parę tygodni, strasznie wolno, co? Cóż, wolę żyć niż czytać. Kiedy nie gotuję i nie pracuję w swoim warzywniaku, zawsze sięgam po igłę. A gdy pan Underwood ogląda telewizję, siadam przy kominku, opieram nogi na krześle i haftuję. Tak najlepiej odpoczywam - pan Underwood w swoim fotelu, ja w swoim, nogi do góry i oglądamy telewizję. Och, czasami pokazują takie wspaniałe filmy i programy, że naprawdę dziwię się, że ludzie wychodzą z domu.

Wypiły herbatę, uzgodniły godziny i warunki pracy, i Miranda wręczyła pani Underwood klucz do domu.

- Bardzo mi to wszystko pasuje - oświadczyła pani Underwood, odstawiając filiżankę na blat. - Jeżeli potrzebujesz jeszcze sprzątaczkę, to znam kobietę, która by się nadawała. Nazywa się Fatima, to muzułmanka. Matka tego Jemala, który ma sklep w mieście. Szuka zajęcia, bo jej wnuczka wyjechała na studia. To uczciwa kobieta i bardzo pracowita. Jemal też nie stroni od pracy, jeżeli potrzeba, otworzy sklep i w niedzielę.

- Jak mogę się z nią skontaktować?

- Będę się z nią widziała dziś po południu. Muszę podjechać po keczup, ponieważ w niedzielę przyjeżdżają moje wnuki, a mały Kevin nic nie zje, dopóki nie poleje się tego keczupem, aż żal patrzeć! Dam Fatimie twój numer i powiem, żeby do ciebie zadzwoniła.

- Bardzo dziękuję! A przy okazji, kto w okolicy zajmuje się robotami budowlanymi? Muszę przygotować domek i sama na pewno nie zrobię wszystkiego, co trzeba.

- Derek Heath oraz jego synowie Nick i Steve. Jeżeli chcesz mieć domek gotowy przed Bożym Narodzeniem,

lepiej od razu do nich zadzwoń. Zawsze są obłożeni robotą i trudno im znaleźć wolny termin!

- Można na nich polegać?

- Ależ oczywiście, lepszych speców ze świecą szukać! Wszyscy ci zmyślni budowlańcy z Londynu nie mogą się równać z Derekiem i jego chłopcami, wierz mi! Na dodatek biorą o połowę mniej niż tamci! To uczeni, pracownicy chłopcy, wszystko zrobią jak należy. - Pani Underwood uśmiechnęła się filuternie i mrugnęła do Mirandy. - No i miło na nich popatrzeć. Gdyby nie pan Underwood, może zastawiłabym sidła na Dereka, kto wie. Tak czy inaczej, z przyjemnością zaniosę im herbatę, kiedy będą tu pracowali! - Zapisała na kartce numer telefonu. - Powiedz im, że to pilna robota, na pewno coś wymyślą! Dobrze znają ten domek, nie raz robili tam coś dla pani Lightly, zresztą tutaj także.

Kiedy pani Underwood odjechała, Miranda zadzwoniła na komórkę Dereka Heatha. Ku jej zdziwieniu powiedział, że może zacząć za tydzień, ponieważ zlecenie, które otrzymał wcześniej, zostało odwołane.

- Ma pani szczęście! - oświadczył, rozciągając sylaby w typowy dla miejscowych sposób. - A może to zrządzenie losu, nie wiadomo! Sam nie wierzę w takie rzeczy, ale moja żona tak. Powiedziałyby, że tak miało być!

Miranda odłożyła słuchawkę i pomyślała o Jean-Paulu. Czy jego pojawienie się także było zrządzeniem losu?

O piątej Henrietta zostawiła sklep pod opieką Clare i pobiegła na drugą stronę ulicy, do salonu fryzjerskiego Troya. Cały dzień była przygnębiona. Zjadliwe uwagi Cate dały jej się we znaki, zwłaszcza że poczucie humoru nie zawsze c hroniło ją przed nimi.

- Cate lepiej się czuje, kiedy ci dogryzie - powiedział Troy, podsuwając Henriecie fotel. - Zrobię ci warstwowe

modelowanie, co ty na to? Dzięki temu włosy staną się puszyste, uniosą się trochę, skarbie! Od razu poczujesz się lepiej, zobaczysz! Cate to biedna stara krowa, mówię ci... Podobno szczęśliwi ludzie są dla wszystkich mili, a nieszczęśliwi dokuczają innym na rozmaite sposoby... Cate jest najwyraźniej nieszczęśliwa, i tyle! Może sobie robić najlepszą kawę w całym Dorset, ale serce ma gorzkie jak najczarniejsza czekolada.

- Źle się czuję w swoim ciele, Troy! - Henrietta zaśmiała się słabo. - Wolałabym, żeby było go choć trochę mniej.

- Kobiety żyją dziś w potwornym stresie! - Troy z dezaprobatą pokręcił głową. - Wszyscy wmawiają im, że powinny być chude, ale przecież to nie jest gwarancja szczęścia!

- Szczupła sylwetka bywa jednak gwarancją małżeństwa.

- Niekoniecznie! Na świecie nie brak mężczyzn, którzy lubią pulchne kobiety. Zresztą ty wcale nie jesteś gruba, gruba jest wielebna Beeley.

- Wielebna Beeley ma też metr pięćdziesiąt w kapeluszu!

- Jest gnomem, kochanie, i właśnie dlatego nikt się z nią nie ożenił! Kto chciałby mieć gнома za żonę, pytam.

- Może inny gnom?

- A widziałaś jakieś ostatnio? Skarbie, masz doskonały wzrost i cudowne, kuszące kształty! Powinnaś je podkreślać, a nie ukrywać pod ubraniami za dużymi o co najmniej cztery rozmiary! No, zaraz uczeszę cię tak, że wszyscy padną na kolana!

- Po co? W Hartington nie ma żadnych wolnych mężczyzn!

- Założę się, że ktoś jednak się znajdzie.

- Ty? - zapytała Henrietta.

- Ach, dobrze by było - westchnął Troy. - Ale ja unieszczęśliwiłbym cię jeszcze bardziej, skarbie! Potrzebny ci mężczyzna, który będzie cię kochał i pieścił, nie taki, który

postawi cię na piedestale i będzie podziwiał, a później zacznie robić słodkie oczy do listonosza.

- Chyba nie do naszego Tony'ego, co? - uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Niekoniecznie do niego, to był tylko przykład. Tak czy inaczej, w Hartington na pewno jest ktoś wart twojej uwagi. Przecież tak to zwykle bywa w romantycznych powieściach, prawda? Bohaterka zawsze wychodzi za faceta z sąsiedztwa, którego wcześniej w ogóle nie zauważała.

- Znam wszystkich facetów w okolicy. Może małżeństwo nie jest mi przeznaczone. Może mam tylko zazdrościć innym kobietom, które spacerują z dziećmi, a w domu mają lodówki oblepione planami lekcji i rysunkami swoich pociech. Byłabym dobrą żoną, wiesz? Przygotowywałabym dla niego pyszne kolacje, puszczałabym gorącą wodę do wanny, masowałabym mu stopy po męczącym dniu w pracy, zorganizowałabym życie jak wzorowa sekretarka. Rodziłabym dzieci i dbała, żeby był szczęśliwy. Jednak wszystkie te dobre rzeczy, którymi mogłabym obdarzyć mężczyznę, powoli obracają się w kwas! Jeżeli szybko kogoś sobie nie znajdę, stanę się kwaśna jak ocet i nikomu już się nie przydam!

- Bzdury gadasz, Etta! Masz jeszcze mnóstwo czasu!

- Ale ja nie chcę być starą matką! - Henrietta objęła brzuch obiema rękami. - Chcę mieć dzieci teraz, dopóki jestem dość młoda, aby startować w wyścigu mamusi!

- Zawsze będziesz dość młoda, żeby zorganizować piknik dla swoich dzieci!

- Tylko że organizowanie pikniku, gdy człowiek ma ostry artretyzm i musi chodzić o kulach, to żadna rozrywka. - I lenrietta ze łzami w oczach patrzyła, jak pasma jej włosów opadają na podłogę niczym ptasie pióra.

- Na pewno wyjdiesz za męża, zobaczysz, a wtedy ja będę więcej niż trochę zazdrosny! - Troy utkwiał wzrok w lustrze

i zaczekał, aż Henrietta się uśmiechnie. - Bóg stworzył mnie gejem po to, aby mnie dręczyć.

- Stworzył cię przystojnym facetem, żeby mnie dręczyć!
-zachichotała.

- Dobrze chociaż, że potrafimy się z tego śmiać! Dzięki temu łatwiej nam jest znieść swój los!

- No, może odrobinę łatwiej. Wcześniej czy później każdy przeżywa takie chwile, kiedy śmiech już nie wystarcza!

Popatrzyli na siebie w lustrze, rozdzieleni wszystkim, co nie pozwalało im być razem, nagle zupełnie poważni. Troy schylił się i pocałował Henriettę w odsłoniętą szyję.

- Nie zapominaj, że mimo wszystko cię kocham - powiedział, marszcząc brwi.

- Wiem! Ja też cię kocham, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Gdyby nie ty, czułabym się tu jak w piekle.

W następnym tygodniu Derek Heath zaczął prace w domku nad rzeką razem ze swymi dwoma synami. Ustawili na parapecie stare radio, pokryte wieloma warstwami farby i zabrali się do wymiany kuchenki oraz innych urządzeń, a także kafelków podłogi, słuchając przeboju *We Will Rock You* zespołu Queen. Starszy brat Dereka Arthur, już na emeryturze, zgodził się im pomóc. Ubrany w nieskazitelnie biały kombinezon naprawił przeciekającą rurę w kącie saloniku i położył świeżą tapetę. Pani Underwood przynosiła im herbatę oraz ciasteczka i ucinała sobie z nimi bardzo długie pogawędki. Pan Underwood często przyłączał się do niej, wynajdując rozmaite zajęcia nad rzeką, aby jakoś usprawiedliwić swoją obecność. Storm i Gus natychmiast po powrocie ze szkoły porzucali rowery na podjeździe i biegli do domku, żeby popatrzeć. Derek serdecznie poklepywał ich po plecach, wspominając własnych chłopców w tym wieku i głośno rozmyślając nad zjawiskiem upływu czasu.

Zlecał Gusowi drobne zadania, a Storm pomagała nalewać herbatę i częstowała wszystkich okrągłymi herbatnikami. Miranda zaglądała czasami do domku i obserwowała jak Derek i jego chłopcy obdzierają wnętrze ze wspomnień pani Lightly. Czuła żal, bo przecież był to „ich” domek. Wstydziła się swego lekceważącego traktowania przeszłości poprzedniej właścicielki.

Fatima przyjechała na rozmowę w sprawie pracy. Miała dużą twarz o brązowej skórze i małe brązowe oczka, głowę przykrywała chustką. Jej wargi były wydatne; w uśmiechu odsłaniała spore, czarne dziury po zębach. Była niska i krepą, okrągła jak słoiczek na miód. Nosila białe skarpetki i sandały. Zanim Miranda zdążyła wyjaśnić, jakie ma wymagania, Fatima uciszyła ją szerokim gestem.

- Wiem, jak bogaci ludzie lubią mieć wysprzątane w domach - oświadczyła z gardłowym marokańskim akcentem. - Nie będzie pani rozczarowana! Fatima wysprząta, aż wszystko będzie lśniło! - Posłała Mirandzie uśmiech, błyskając złotym zębem. - Fatima wszystko wie!

Miranda nie miała innego wyjścia, jak tylko zatrudnić Marokankę.

- Podjęła pani dobrą decyzję - oznajmiła uroczyście Fatima. - Nie pożałuje pani!

Miranda wróciła za biurko, aby skończyć dla magazynu „Eve” artykuł o rozkoszach pracy na własny rachunek, zastanawiając się, jak inne matki radzą sobie z wykonywaniem wszystkich zajęć na czas.

David przyjechał w piątek wieczorem, wykończony i w fatalnym humorze. Jednak rybna zapiekanka, którą pani Underwood zostawiła na kolację poprawiła mu nastrój tak szybko, że kiedy zabrał się do ciasta z jabłkami i czarnymi jagodami, był już prawie wesoły.

- Kochanie, jest całkiem niezłe! - oznajmił, ujmując dłoń Mirandy.

- Tak mi się wydaje - przytaknęła. - Zupełnie jak w domu.

- Ogień płonie w kominku, kolacja była pyszna, Gus przez cały tydzień nie wagarował - odchylił się do tyłu i przeciągnął. - Życie jest piękne!

Z satysfakcją poklepał się po brzuchu.

- Teraz wezmę kąpiel i włączę telewizję - dodał. - Zobaczę, czy jest coś ciekawego!

Zostawił Mirandę samą, z mieszanką dumy, niechęci i rozdrażnienia. Życie było piękne i w domu wszystko układało się jak należy, ale David nawet nie zapytał o nią i o dzieci. Założył z góry, że Gus dobrze się sprawuje, ponieważ ona nie poskarżyła się na syna. Miranda dopiła wino i spojrzała na pozostawione na stole naczynia, lecz zanim zdążyła uzalić się nad sobą, przypomniała sobie o czekającym w jej gabinecie notatniku. Sama myśl o nim sprawiła, że po plecach przebiegł jej dreszcz podniecenia. Postanowiła, że nie powie o nim Davidowi. Będzie miała swój sekret -ta świadomość napełniła ją poczuciem wyższości. Wreszcie miała nad czymś kontrolę. Teraz załaduje zmywarę i posprząta po kolacji, obejrzy z Davidem telewizję i pójdzie z nim do łóżka, lecz w niedzielę wieczorem, po jego wyjeździe, zwinie się w kłębek na kanapie, otworzy notatnik i będzie spokojnie delectować się opowieścią o wielkiej miłości innych ludzi.

RÓŻOWY BLASK ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA ROZPALA NIEBO

Pod koniec października domek był gotowy i Jean-Paul wrócił do Hartington. Miranda obudziła się w doskonałym nastroju. Długo się zastanawiała, co włożyć i wreszcie zdecydowała się na obcisłe, wetknięte w wysokie buty dżinsy firmy Rock&Republic, białą bluzkę koszulową z salonu Anne Fontaine oraz ekstrawagancką wodę toaletową Jo Malone o zapachu limetki, bazylii i mandarynki. Starannie umyła i wysuszyła suszarką włosy, zostawiając je opadające lśniąco falą na plecy. Oczywiście wcale nie chciała wyglądać tak, jakby bardzo się starała. Jean-Paul był ostatecznie tylko ogrodnikiem, prawda?

Zjawił się późnym popołudniem. Gus i Storm, którzy mieli właśnie tygodniową przerwę w połowie semestru, bawili się na mostku, czekając na tajemniczego Francuza. Gus udawał, że wcale go to wszystko nie interesuje i z nieco sztucznym zapałem rzucał patyki do wody, lecz w gruncie

rzeczy był bardzo zaciekawiony i trochę zły, że Storm poznała ogrodnika przed nim.

Miranda otworzyła drzwi i serce stanęło jej na moment; Jean-Paul był jeszcze przystojniejszy niż pamiętała, ubrany tego dnia w kożuszek, sprane lewisy i filcowy kapelusz. Wszedł do holu i zdjął kapelusz. Siwiejące włosy były potargane, więc przygładził je dłonią, rozglądając się dookoła i szukając wzrokiem duchów przeszłości.

- Dzieci czekają na pana w domku - powiedziała. - Lodówka jest pełna, więc możemy napić się tam herbaty.

- Dobrze, w takim razie chodźmy!

Wyszła za nim na podjazd. Niebo przybrało granatowy kolor, lecz tuż nad linią drzew widać jeszcze było różowo-złociste smugi. Powietrze było wilgotne, ziemia mokra po ulewie, która rano przeszła nad Hartington. Brunatne i czerwone liście leżały na trawie, od czasu do czasu unoszone przez wiatr, a dwie szare wiewiórki goniły się wśród gałęzi dębu. Jean-Paul popatrzył na nie i przez chwilę był niemal pewny, że widzi trzy buzie, wyglądające z dziupli jak Indianie z tipi. Zawahał się, prawie słysząc wybuch dziecinnego śmiechu, tylko trochę zagłuszony nerwową gadaniną Mirandy. Zmrużył oczy i wyteżył słuch, ale wiatr uciszył śmiech, a zmrok pochłonął trzy dziecięce twarze. To tylko wieczorne światło przywoływało dawne wspomnienia. Wielki dąb był ciemny, pusty i milczący.

Dotarli ścieżką do mostku, na którym czekali Storm i Gus. Na widok Jean-Paula dziewczynka poderwała się do biegu, pragnąc popisać się przed bratem.

- Mamo, mamó! - zawołała. - Będę robić czary w ogrodzie!

Twarz Jean-Paula rozjaśnił serdeczny uśmiech. Widok dzieci nadał wszystkiemu właściwą perspektywę.

- Wysprzątaaliśmy domek - oznajmiła z dumą Storm, skacząc obok Jean-Paula jak mały kangurek.

Gus został na mostku, przyglądając się ostrożnie przybyszowi spod zasłony ciemnych włosów. Jean-Paul był przecież przyjacielem Storm.

Jean-Paul wyczuł podejrzliwość Gusa tak wyraźnie, jakby chłopca otaczał obłok dymu. Przyjaźnie skinął mu głową i minął bez słowa. Uznał, że nie powinien narzucać małemu swego towarzystwa, wiedział, że Gus sam przyjdzie do niego, kiedy będzie gotowy zawrzeć znajomość. Miranda otworzyła drzwi tym samym zardzewiałym kluczem, którego w innym życiu użyła Ava. Wtedy oboje byli młodzi i nie mieli pojęcia, iż połączy ich miłość tak silna, iż mimo upływu lat bezustannie przenikać będzie serce Jean-Paula czułością i bólem. Dom był ten sam, ogrody także mimo zaniedbania pozostały te same, domek nad rzeką wyglądał tak samo jak dawniej, lecz to Ava była tchnieniem, które ożywiało ten świat. Bez niej Hartington było martwe.

Wszedł do środka. Domek pachniał świeżą farbą, pastą do podłóg i... Tak, w powietrzu unosił się również aromat kwiatu pomarańczy... Jean-Paul miał świadomość, że Miranda spodziewa się jakiejś reakcji z jego strony, ale on chciał tylko zostać sam, żeby wrócić do chwil, które przeżył tu razem z Avą. Do popołudnia, kiedy kochali się na sofie przed kominkiem, do poranków, gdy na parę skradzionych minut wślizgiwali się pod kołdrę i do tego straszego dnia, kiedy to siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, wiedząc, że to koniec, że wszystko skończyło się w sposób równie nieunikniony jak piękne lato.

Zdjął kurtkę i wszedł do kuchni, gdzie Miranda nastawiła już wodę na herbatę. Storm otworzyła paczkę ciasteczek z otrębami i nawet Gus wślizgnął się do domu, uciekając od mrocznych cieni. Jean-Paul ogarnął kuchnię wzrokiem i zobaczył, że wszystko tu się zmieniło. Miranda kazała założyć nowy zlewozmywak, położyć szare płytki na podłodze w miejsce drewnianych desek, kupiła nową

lodówkę i zgrabną czarną kuchenkę. Patrzyła teraz na niego niespokojnie.

- Podoba się tu panu?

Storm podsunęła mu pudełko ciasteczek, wyrrywając go z objęć przeszłości. Nieśmiały uśmiech dziewczynki na moment ukoił ból pękniętego serca.

- Bardzo - odparł.

Miranda odetchnęła z ulgą, mięśnie jej ramion wyraźnie się rozluźniły.

- Cieszę się! - odparła, wyjmując filiżanki z szafki. - Zrobiłam panu duże zakupy! Nie miałam pojęcia, na co mógłby pan mieć ochotę, więc kupiłam po trochu wszystkiego. Gdyby pan chciał wyskoczyć do miasta, może pan pożyczyć mój samochód. Sainsbury znajduje się kilkanaście kilometrów stąd, z drugiej strony zamku. Och, muszę wybrać się z dziećmi do zamku, do tej pory nie miałam czasu.

Jean-Paul przypomniał sobie, że już wcześniej używała tej wymówki. Brak czasu, zawsze brak czasu... Zerknął na stojącego w kącie Gusa i w ułamku sekundy dotarła do niego fala wielkiej samotności chłopca; poczucie osamotnienia dosłownie wylewało się z porów jego skóry.

- Pokażesz mi, gdzie mam spać? - zwrócił się do Gusa. Chłopiec wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni.

- Ja panu pokażę! - zawołała Storm, wybiegając za bratem.

- Przecież ty dałaś mu już ciastko! - zaprotestował gniewnie Gus i złapał siostrę za bluzkę.

- Powierzę wam pewien sekret - odezwał się spokojnie Jean-Paul.

Oboje odwrócili się do niego. Oczy mieli rozszerzone ciekawością.

- Chodźmy na górę! - wyminął ich w korytarzyku. W sypialni otworzył okno na całą szerokość.

- Może nie wiedzieliście o tym, ale jest rodzina wiewiórek, która uważa ten dom za swoją własność - rzekł.

- Wiem - Gus usiadł na łóżku. - Widziałem je!
- Naprawdę?
- To był mój tajemniczy obóz - wyjaśnił niechętnie chłopiec.
- Stać cię na coś lepszego - uśmiechnął się Jean-Paul. - Co powiesz na domek na drzewie?
- Domek na drzewie? - powtórzył chłopiec bez przekonania.
- Domek zbudowany wśród gałęzi, niewidoczny latem, kiedy zasłonią go liście. Dwupoziomowy, z parterem i piętem.
- Nie ma tutaj czegoś takiego!
- Jeszcze nie, ale my go zbudujemy.
- Potrafi pan zbudować taki domek?
- Sam nie, ty i Storm mi pomożecie.
- Mama mówi, że jest pan ogrodnikiem.
- Czy drzewo nie jest przypadkiem częścią ogrodu?
- Puste drzewo, tak? - odezwała się Storm. - Ale to miał być mój domek!

Jean-Paul potrząsnął głową i usiadł na łóżku obok Gusa.

- Chodź tutaj, Storm! - przywołał małą ruchem ręki. Podeszła bliżej i stanęła przed nim, buntowniczo wydymając dolną wargę.
- Pamiętasz, jak powiedziałem ci o magii w ogrodzie?
- Tak.
- Magia działa tylko wtedy, gdy wszyscy ze sobą współpracujemy, rozumiesz?

Storm zmarszczyła brwi, Gus przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

- Po co bawić się osobno, w przeciwnych krańcach ogrodu? W pojedynkę naprawdę niewiele możemy zrobić! A wyobrażacie sobie, jakie niewiarygodne rzeczy moglibyśmy stworzyć razem?
- Możemy wybudować domek na drzewie już jutro? - zapytała Storm.

- Dlaczego nie? - odparł Jean-Paul.

Tchniemy nowe życie w ten ogród i wokół starego dębu znowu słysząc będzie dziecięcy śmiech. Nie ożywię naszej miłości, ale mogę powołać do życia nową. Właśnie tak będę ją wspominał.

Na dole Miranda zaparzyła herbatę, zaniósła tacę z dzbankiem i filiżankami do salonu, i rozpałała ogień w kominku. Miała nie lada satysfakcję, bo domek był przytulny i czysty. Dywan wymieniono, ściany pokryto nową tapetą, przy oknach zawisły nowe zasłony, opadające na podłogę łagodnymi fałdami. Zostawiła wszystkie książki i bibeloty. Jean-Paul i tak nie wiedział, że dawniej należały do Phillipa Lightly.

Miała nadzieję, że dzieci mu nie przeszkadzają. Jak na człowieka, który sam nie miał dzieci, okazywał Gusowi i Storm mnóstwo cierpliwości i serca. Zastanawiała się, dlaczego taki przystojny mężczyzna nigdy się nie ożenił. Może w grę wchodziła jakaś tragedia. Sprawiał wrażenie kogoś, kto już dawno przywykł do samotnego życia.

Po chwili wszyscy zeszli na dół. Francuz usiadł przy kominku, w fotelu, który Miranda kazała obić nowym zielonym materiałem. Podała mu filiżankę z herbatą i usiadła naprzeciwko. Kiedy była zdenerwowana, często stawała się gadatliwa i teraz bardzo starała się powstrzymać potok słów. Ostatecznie to tylko ogrodnik, powtarzała sobie.

- Dzieci mają w tym tygodniu ferie - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie będą panu przeszkadzać.

- Jean-Paul zbuduje nam domek na drzewie. - Gus usiłował zapanować nad podnieceniem, ponieważ przyzwyczał się już do tego, że ojciec składał mu obietnice, których później nie dotrzymywał. - Oczywiście, jeżeli nie będzie zbyt zajęty - dorzucił.

Jean-Paul popatrzył na niego uważnie. Słowo „zajęty” niepokoiło go tak samo, jak wcześniej użyty przez Mirandę zwrot „brak czasu”.

- Wasz domek na drzewie to pierwsza pozycja na mojej liście ważnych spraw do załatwienia - rzekł poważnie. - Co to za ogród bez domku na drzewie? Co to za ogród bez magii? Musimy zbudować domek na drzewie, bo inaczej czary nie zaczną działać.

Storm zachichotała. Gus wpatrywał się w Jean-Paula, nie bardzo wiedząc, co o nim sądzić. Nigdy dotąd nie zetknął się z dorosłym, który stawiałby na pierwszym miejscu jego pragnienia. Jean-Paul odwrócił się do Mirandy.

- Jutro przejdę się po ogrodzie i sprawdzę, co da się jeszcze uratować, co trzeba przyciąć, a co przesadzić i zasadzić na nowo. Już teraz wiem, że niektóre rośliny na łące trzeba będzie rozsadzić, żeby na wiosnę zakwitły!

- Proszę robić wszystko, co uzna pan za potrzebne. - Wcale nie zależało jej na poznaniu szczegółowego planu działania nowego ogrodnika, chciała tylko, aby sprawnie wykonał powierzone mu zadanie.

- Jest tu ogród warzywny? - zapytał, mrugnięciem powiek przeganiając obraz Archiego, Angusa oraz Poppy, tańczących wokół ogniska tamtego wieczoru po pieczeniu pianek.

- Tak, potwornie zarośnięty. Spojrzał na dzieci.

- Może mielibyście ochotę pomóc mi założyć wiosną warzywnik?

- Ja bym miała ochotę, ja! - zgłosiła się natychmiast Storm. - Co będziemy sadzić?

Jean-Paul w zamyśleniu potarł podbródek.

- Kabaczki, cukinie, dynie, rabarbar, maliny, truskawki, ziemniaki, marchewkę.

- Chce pan to wszystko zasadzić? - zdziwił się Gus.

- Oczywiście, z waszą pomocą. Ostatecznie to wy będziecie jedli te warzywa i owoce!

Chłopiec skrzywił się lekko.

- Nie znoszę rabarbaru!

- Nasz rabarbar na pewno będzie ci smakował.

- To wspaniały pomysł! - ucieszyła się Miranda. - Jutro pozna pan panią Underwood, która dla nas gotuje! Pani Underwood uwielbia świeże warzywa! W soboty w mieście jest targ, ale jeszcze tam nie byłam, wstyd się przyznać. Nie miałam ani chwili.

- W takim razie sprzedamy to, czego nie zjemy! - zapalił się Gus.

- A ty dostaniesz procent od zysku. - Jean-Paul popatrzył pytająco na Mirandę.

Skinęła głową. Widziała, że Gus coraz cieplej odnosi się do przybysza, trochę wbrew samemu sobie. Gus był niezależnym dzieckiem i w przeciwieństwie do siostry nie potrzebował ciągłej uwagi, w każdym razie takie sprawiał wrażenie. Miranda składała to na karb nowej fazy w jego życiu -Gus dopiero zaczynał rozwijać skrzydła. Nigdy nie należał do tych dzieci, które bez przerwy szukają towarzystwa rodziców. Teraz obserwowała, jak ocenia Jean-Paula z mieszanką zaciekawienia i podziwu. Francuz miał w sobie coś, czym podbijał serca dzieci, był trochę jak postać z bajki, uzbrojona w magiczny flet.

Dopili herbatę i Miranda uznała, że nie powinni zajmować więcej czasu nowemu ogrodnikowi.

- Na pewno chce się pan rozpakować i rozejrzeć po domku - powiedziała, wstając. - Do zobaczenia jutro.

- Obejrzę ogród i dam pani znać, co będzie mi potrzebne! A potem zajmiemy się swoimi sprawami, prawda? -uśmiechnął się do dzieci.

- Naszym domkiem na drzewie! - zawołała radośnie Storm.

Gus milczał. W jego głowie kotłowały się sprzeczne myśli. Wyszedł za matką na dwór, gdzie jasny księżyc powlekał rzekę srebrem. Pragnął poddać się przyjemnemu

podnieceniu, ale za bardzo się bał. Jego nadzieje zbyt wiele razy obracały się w gruzy, rozczarowanie było dla chłopca chlebem powszednim.

Jean-Paul stał w progu, patrząc za odchodzącymi i wspominając Ave, stojącą na mostku i wpatrzoną w tęczę. We Francji szukał różowego pasma w każdej tęczy, zupełnie jakby był to dzban życiodajnej wody, ale nigdy go nie znalazł. Lata mijały, tęcze pojawiały się na niebie i znikwały, lecz różowy fragment wciąż mu umykał. Zastanawiał się, czy ten szczególny róż rzeczywiście istniał, ukryty między zielenią i błękitem, czy też może był to tylko wytwór żywej imaginacji Avy.

Gdzie ona teraz jest? Bał się pytać. Nie sądził, aby miał siłę żyć dalej, jeśli przestała go kochać. Istniały także inne możliwości, aż zbyt liczne i zbyt okropne, aby się nad nimi zastanawiać. Nie był na to gotowy. Czas przyćmił wyraźne barwy wspomnień, które zachował, lata skradły intensywność uczucia, którym kiedyś ją darzył. Wrócił po nią, ale zniknęła. Może to był znak. Gdyby nadal go kochała, czekałaby na niego. Dbałaby, aby utrzymać ich ogród przy życiu, nie dopuściłaby, aby usechł i zmarniał, zapuszczony przez obcych. I nie było sensu jej szukać, bo najwyraźniej wcale nie zależało jej, żeby ją znalazł. Na pewno tylko powtórzyłaby słowa, które powiedziała mu w tej kuchni przed dwudziestu sześciu laty. Nie chciał ich znowu usłyszeć.

Wrócił do saloniku i zaczął powoli przechodzić od jednego sprzętu do drugiego, biorąc pamiątki do ręki i oglądając je. Dla niewtajemniczonych te przedmioty nie miały najmniejszego znaczenia; dla niego były to symbole miłości, jakie Ava ofiarowała mu w ciągu roku, który tu spędził. Emaliowane pudełeczko w kształcie bukietu kwiatów, porcelanowa żaba, metalowe serduszko z zasuszonym pączkiem różanym w środku, osiem drewnianych jabłek, drzewko z kryształ. Wtedy zostawił je z nadzieją,

że Ava zmieni zdanie, ale tak się nie stało i pamiątki pozostały na miejscu. Był zdziwiony i uradowany, że je widzi, razem ze wszystkimi swoimi książkami, porządnie poustawianymi na półkach. Przez chwilę myślał, że zachowała je jako część wspomnień o nim, lecz szybko z ogromnym smutkiem zrozumiał, że po prostu zostawiła je tutaj razem ze wspomnieniami, tylko po to, aby umarły jak kwiaty w jej ogrodzie.

ŚWIATŁO PORANKA PRZEDOSTAJE SIĘ MIĘDZY LIŚĆMI KASZTANOWCÓW

Gdy Jean-Paul się obudził, musiała minąć dłuższa chwila, nim zorientował się, gdzie jest. Otworzył oczy, ujrzał znajomy sufit i usłyszał zapowiadający świt świergot ptaków wśród gałęzi kasztanowych drzew. Przez szparę w zasłonach widział niebo, powoli przybierające jasny odcień szarości. Leżał spokojnie, pogrążony we wspomnieniach. Wspomnienia te były tak silne, że prawie czuł zapach wilgotnej trawy w jej włosach, dotyk miękkiej skóry i gładkiego policzka pod palcami, ciepło smukłego ciała i warg, które całował. Po chwili wspomnienia zbladły, ostygły. Ich domek nadal istniał, ale jej miłość już go nie ogrzewała.

Dlaczego przyjechał? Co miał nadzieję osiągnąć? Czy nie lepiej by było wrócić do chateau? Usiadł i potarł oczy. Jak mógłby wrócić teraz do domu, bez niej? Całe jego życie było powolną wędrówką do tego punktu. Marzył o nim, planował, wyobrażał go sobie. Nie zastanawiał się, co będzie

później. Podniósł się z łóżka i poszedł do łazienki. Z lustra patrzyła na niego pełna smutku twarz o zaczerwienionych oczach i sinych cieniach pod nimi. Wyglądał staro. *O, Boże, jeśli nic dobrego mnie tu nie czeka, nie dam rady żyć dalej. Nie dam rady żyć w nicości...*

Ubrał się, zrobił sobie filiżankę mocnej kawy i wyszedł. Chciał znaleźć się w ogrodzie, rozejrzeć się, odszukać ją pod liśćmi i sprawić, by znowu zakwitła. Ranek był chłodny, rześki. Z ust Jean-Paula wydobywały się małe obłoczki pary. Wiatr niósł słodki zapach wilgotnej ziemi, a wiewiórki, psotne i sprytne, chwilę obserwowały go, gdy przechodził przez mostek, by zaraz potem pognać do okna jego sypialni, tylko po to, by odkryć, że jednak je przechytrzył.

Przystanął na środku pola, które kiedyś było częścią ogrodu Avy. Dąb górował nad nim niczym forteca. Pomyślał, że zbuduje domek dla dzieci Mirandy, a one będą bawiły się w nim tak samo jak dawniej Archie, Angus i Poppy. Przykucnął i przesunął dłońmi po mokrych chwastach, które bujnie się tu rozrosły. Będzie musiał zacząć od nowa. Skosić całą łąkę i zasadzić kwiaty, aby w marcu ziemia oszołomiła wszystkich widokiem przepięknych krokusów, pierwiosnków, żonkili i jaskrów. Ava uwielbiała patrzeć na kwiaty, kiedy rano rozsuwała zasłony w oknie swego pokoju. Jean-Paul spojrzął w stronę domu. Wciąż nie był w stanie do końca przyjąć do wiadomości faktu, że posiadłość przeszła w ręce innej rodziny, że obcy mieszkali w pokojach, które kiedyś należały do Avy i Phillipa. Miranda zmieniła cały wystrój domu, wypatroszyła nawet kuchnię i napełniła ją nowoczesnymi gadżetami. Dom robił teraz dużo bardziej imponujące wrażenie niż w latach, gdy był własnością Avy, brakowało mu jednak duszy. Teraz był to piękny dom na pokaz, martwy dom.

Ruszył po żwirze do łukowatej bramki w żywopłocie. Teraz znajdowała się tam elegancka czarna furtka o idealnie

naoliwionych zawiasach. Otoczony murem warzywny ogród był zaniedbany i zachwaszczony, dokładnie tak, jak się spodziewał. Stary ceglany mur wciąż stał, lecz na grządkach i rabatach leżały martwe kwiaty i krzewy, a pnące róże smętnie opadały na ziemię. Niewielkie iglaste krzaki między grządkami warzyw wymagały natychmiastowego przycięcia. Jean-Paul ogarnął warzywniak uważnym wzrokiem i uznał, że nie trzeba dużo czasu, aby uporządkować go i ożywić. Na wiosnę powinni mieć świeże warzywa. Z radością popatrzył na jabłonie, których gnijące owoce pokrywały ziemię. Schylił się i poszukał dobrego jabłka, wytarł je i wbił zęby w jędrny miąższ. Poczł znajomy smak i uśmiechnął się, wdzięczny przyrodzie, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Przeszedł się wykładanymi kamieniem ścieżkami. Z przyjemnością dostrzegł łuk z grubego drutu, wciąż w dobrym stanie, choć tego lata nie zakwitły na nim słodko pachnące groszki. Postanowił, że puści po łuku fasolkę oraz ulubione różowe i białe groszki Avy, żeby dzieci mogły je zrywać, tak jak kiedyś robiła to Poppy. W jednej ze starych szklarni znalazł skrzynkę z narzędziami Hectora, ogrodowe rękawice Avy, a pod stołem, na którym stały puste doniczki i leżały torebki z nasionami - łopaty i grabie. Uporządkowanie ogrodu stanowiło spore wyzwanie, ale wiedział, że sobie poradzi. Chciał zrobić to specjalnie dla niej.

Obramowanie grządek było równie zarośnięte i zaniedbane jak cały ogród, lecz daleko pod murem Jean-Paul znalazł taczki pełne suchych gałązek, co wyraźnie wskazywało, że ktoś zaczął już plewić. Nie podejrzewał, aby tym kimś była Miranda. Ona miała dłonie kobiety, która nigdy w życiu nie kopała w ziemi, czyste i wypielegnowane jak dawno temu jego własne. Zerknął na swoje paznokcie, krótkie i nierówne, na ręce szorstkie i pomarszczone jak kora drzewa.

Teraz nikomu nie przyszłoby do głowy, że kiedyś był przejętym własnym wyglądem, próżnym człowiekiem. Zrzucił tę skórę tutaj, w tym ogrodzie.

W końcu zobaczył z daleka domek dla ptaków. Jak często go malował. W różnym świetle zmierzchu, w bladym, płynnym świetle poranka i srebrzystym blasku księżyca w pełni.

Ava była zaskoczona odkryciem, że on potrafi malować. Nie przypuszczała, że ma artystyczne zdolności. Spisała go na straty jako płytkiego, zepsutego młodego mężczyznę, który bez celu żegluję przez życie, bez trosk i głębszych refleksji. Jednak on wcale nie żył bez celu; jego pragnienia zostały zepchnięte na margines przez ojca, który starał się go zdominować i poddać kontroli. W Hartington mógł je uwolnić. Mógł malować bez poczucia winy, tworzyć i cieszyć się podziwem, jej podziwem. *Tyle mi dałaś, Avo...*

Parę minut później znalazły go dzieci. Gus był przygotowany na rozczarowanie, nadąsany i ponury, grzywka zasłaniała błysk nadziei w jego oczach, a wszystko po to, aby uniknąć upokorzenia. Storm radośnie biegła przodem, zbyt mała jeszcze, aby boleśnie odczuć brak zainteresowania ze strony rodziców. Jean-Paul przywitał ich z uśmiechem. Ich obecność w ogrodzie przegnała jego smutek jak słońce przegania chmury.

- Cieszę się, że jesteście! - powiedział, opierając ręce na biodrach. - Już myślałem, że będę musiał zacząć bez was! Jesteście gotowi? Mamy mnóstwo pracy!

Zaprowadził ich do szklarni, skąd wzięli wybrane przez niego narzędzia i ruszyli do pustego drzewa.

- Jest zupełnie puste! - wykrzyknęła Storm, włącząc do środka i wystawiając głowę na zewnątrz.

Jej brat natychmiast zapomniał o złym humorze i też wszedł do dziupli, nie mniej podekscytowany niż dziewczynka.

- Ta dziupla jest wielka jak pokój! - oznajmił, patrząc na pusty pień, stanowiący doskonałe miejsce do zabawy. - Powinniśmy znaleźć coś, żeby wyłożyć to wewnątrz, najlepiej coś miękkiego!

- Na przykład siano - zaproponowała Storm.

- Tak, na przykład siano - Gus wyjrzał z dziupli. - Jean-Paul, gdzie można znaleźć siano, żeby wysypać nim podłogę?

- O tej porze roku siana nie ma, ale równie dobre będą trociny i drzazgi. Potrzebujemy też drewna na domek i drabinę. Chodźcie ze mną!

Załadowali wszystkie potrzebne rzeczy na wózek i przyciągnęli go pod drzewo. Jean-Paul zostawił dzieci w dziupli i jeszcze raz wrócił po drabinę, którą Ava zawsze trzymała w szklarni. Kiedy znowu dotarł na łąkę, zastał tam Mirandę, która wyszła ze swego gabinetu, aby posłuchać o planach dzieci. Nigdy nie widziała ich tak ożywionych. Nawet *Władca Pierścieni* nie był w stanie wywołać tak szerokiego uśmiechu na twarzy syna. Na widok Jean-Paula włożyła ręce do kieszeni kurtki i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Poczul cytrusowy zapach jej perfum i pomyślał, że byłaby całkiem ładna, gdyby nie wyraz napięcia i niepewności, typowy dla spragnionej uczucia kobiety.

- Widzę, że już pan dużo zrobił! - powiedziała, ciasniej otulając się kożuchową kurtką.

Jean-Paul mimo woli spojrzął na jej stopy, a ona podążyła za jego wzrokiem i roześmiała się.

- Można zabrać dziewczynę z Londynu, ale nie da się odebrać dziewczynie związanych z Londynem nawyków! - oświadczyła żartobliwie, świadoma, że jej odkryte pantofelki na wysokich obcasach śmiesznie wyglądają na wsi.

- Jeżeli mają pomóc mi w ogrodzie, muszę przekupić ich domkiem na drzewie - powiedział Jean-Paul. - Będą stąd widzieli wieżę kościoła w Hartington. Obejrzałem już ogród

i widzę, że roboty jest sporo. Kto zabrał się za plewienie w ogrodzie warzywnym?

- Och, to pan Underwood! Niedawno go zatrudniłam, grabi liście, uprzęta śmieci, i tak dalej. - Miranda sama nie wiedziała, co jeszcze robi pan Underwood. - Jest tu gdzieś w pobliżu.

- Może mi pomóc. Przyda się jeszcze jedna para rąk, to pewne! Trzeba poprzycinać rośliny, poprzესadzać niektóre, zasadzić nowe. Czy w okolicy jest sklep ogrodniczy i szkółka?

- Tak, obok klubu golfowego, w bardzo widocznym miejscu! Podobno całkiem dobry. Proszę wziąć mój samochód!

Jean-Paul oparł drabinę o drzewo i wspiął się na nią ze zwojem drutu i deską pod pachą. Mimo zimna pracował w koszuli z krótkim rękawem i dżinsach. Był wąski w biodrach i sprawny, przechodził z gałęzi na gałąź tak, jakby drzewa były jego środowiskiem naturalnym.

- Podaj mi młotek, Gus! - polecił, wyjmując gwóźdź z kieszeni na piersi i wtykając go między wargi.

Gus wygramolił się z dziupli, wszedł na drabinę i podał młotek.

- Dobrze. Teraz wejdź wyżej i przytrzymaj tę deskę! Gus zerknął na matkę. Stała z zadartą głową i patrzyła

na niego, nagle skupiona i poważna. Zachęcony wyrazem jej twarzy i zaufaniem, jakie okazywał mu Jean-Paul, Gus bardzo chętnie wykonywał wszystkie polecenia. Jean-Paul traktował go nie jak małego chłopca, ale kogoś równego sobie, nie mniej zdolnego do pracy niż dorosły mężczyzna. Gus biegał po drabinie z narzędziami i drutem, podawał drobne deski i patyki. Uważnie obserwował, jak Francuz buduje platformę wokół gałęzi dębu. Kiedy podłoga domku była już gotowa, Jean-Paul skonstruował ściany, zostawiając otwory na dwa okna i drzwi. Zrobił prawdziwy dach z dwóch kawałów sklejki, które znalazł w szopie oraz

z solidnej belki. Drzwi wyciął z pleców starej szafy, która kiedyś należała do Poppy - pasowały znakomicie, a Gusowi bynajmniej nie przeszkadzało, że są różowe. Phillip nie miał zwyczaju niczego wyrzucać i w szopie za stodołą przechowywał najdziwniejszy zbiór różności, od karni-szów po stary piec na drewno. Miranda była zdziwiona, że Jean-Paul znalazł szopę, ponieważ sama nie miała pojęcia o jej istnieniu.

Spojrzała na zegarek, pomyślała, że powinna zabrać się do pisania, ale widok pracującego Jean-Paula całkowicie przykuł jej uwagę. Postanowiła, że usiądzie do komputera, kiedy dzieci pójdą spać i wtedy odpowie na wszystkie e-maile dotyczące jej artykułów oraz zmian w tych, które już wysłała do redakcji. W tej chwili nie mogła oderwać oczu od Francuza, który w tak niezwykły sposób zabawiał dzieci.

- Zostawimy tu drabinę do czasu, aż zrobimy schodki - powiedział Jean-Paul do Gusa. - Potrzebne nam będą odpowiednie kawałki drewna. Możesz pojechać ze mną i pomóc je wybrać. W okolicy na pewno jest jakiś tartak.

- Pan Fitzherbert będzie wiedział, gdzie jest tartak - podsunął Gus. - To nasz sąsiad!

- Zaraz go zapytamy - Jean-Paul zszedł z drabiny. Gus został na gałęzi, patrząc ponad czubkami drzew na

wznoszącą się wysoko w niebo wieżę kościoła Św. Hildy.

- Patrzcie, to pan Underwood! - zawołał nagle, machając ręką. - Panie Underwood, jestem na drzewie!

Pan Underwood podszedł bliżej, żeby dokładniej przyjrzeć się domkowi.

- Prawdziwy pałac! - zachwycił się, zdejmując czapkę w wyrazie uznania.

- To jest Jean-Paul, projektant ogrodów - powiedziała Miranda z nadzieją, że Jean-Paul wykaże się zdrowym rozsądkiem i nie będzie prostował jej słów.

- Miło mi poznać - rzekł pan Underwood. - Trochę tu już wysprzątałem - dodał z dumą. - W ogrodzie jest dużo pracy, dobrze, że teraz będzie nas dwóch!

Jean-Paul spojrział na starszego mężczyznę i od razu zrozumiał jego potrzebę bycia użytecznym.

- Cieszę się, że będę mógł pomóc - uśmiechnął się. Pan Underwood wypiął pierś i kiwnął głową.

- Możemy liczyć na jeszcze dwoje pomocników - dodał Jean-Paul, mrugając porozumiewawczo. - Gusa i Storm.

Underwood znowu skinął głową i rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Mogliby poszukać królików - oświadczył. - Wezmę chyba wiatrówkę i postrzelam do tych małych drani! Najlepiej nadają się do garnka, i tyle!

Jean-Paul przypomniał sobie, jak razem z Avą i jej dziećmi podglądali o zmroku króliki. Poppy zostawiała im marchewkę w miseczkach i cieszyła się, kiedy rano miski były puste.

- Zabezpieczymy warzywnik tak, żeby nie mogły się do niego dostać. Osobiście wolałbym zaprzyjaźnić się z nimi niż traktować je jako danie na obiad! - zaśmiał się.

- Chciałabym oswoić sobie jednego - wyznała Storm. Jean-Paul poklepał ją po głowie.

- Niedługo będziesz dzieliła się z nimi swoim domkiem w drzewie - powiedział. - Z nimi i z wiewiórkami!

Miranda niechętnie wróciła do gabinetu, usiadła przy biurku i włączyła komputer. Po chwili była już całkowicie zaabsorbowana odpowiedziami na e-maile i pracą nad artykułem. Jej palce szybko biegały po klawiszach.

Po południu Jean-Paul zabrał Gusa i Storm na zakupy do centrum ogrodniczego. Gus pomagał mu napełniać koszyk i razem ze Storm wybierał nasiona warzyw, zdejmując

torebki ze stojaka z takim entuzjazmem, jakby były to słodycze. Jean-Paul postanowił, że nasiona, których tu nie dostanie, każe sobie przysłać z Les Lucioles.

W drodze powrotnej zatrzymali się na farmie Jeremy'ego Fitzherberta. Jean-Paul doskonale ją pamiętał. Kiedyś farmę prowadził ojciec Jeremy'ego, łan; Jeremy był wtedy młodym, dwudziestoparoletnim człowiekiem, który pomagał ojcu w czasie żniw, ustawiając kopce siana i obsługując suszarkę. Jean-Paul mocno wątpił, aby Jeremy go pamiętał, zwłaszcza że nigdy nie zostali sobie przedstawieni.

Jeremy⁷ego zastali w warsztacie z zarządcą farmy, zajętych rozmową o konieczności zakupu nowego traktora, ponieważ stary ledwo już działał. Na widok stojących w drzwiach dzieci Jeremy przerwał dyskusję i podszedł do nich. Jego pies, Mr Ben, podbiegł do Gusa i uważnie obwąchał pachnące Rangerem buty, z wielkim podekscytowaniem machając ogonem.

- Cześć! - zawołał Jeremy.

- Nazywam się Jean-Paul, pracuję dla Mirandy Claybourne.

- Ach, tak. - Jeremy skinął głową. - A tych dwoje panu pomaga, prawda?

- Tak, bez nich bym sobie nie poradził - odparł Jean-Paul.

Jeremy rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie, ujęty serdecznym uśmiechem Francuza.

- Co mogę dla was zrobić?

- Potrzebuję trochę drewna, żeby zrobić schodki do domku na drzewie. Pomyślałem, że może pan wie, gdzie można by kupić parę desek.

- Kupić? Dobry Boże, nie musicie ich kupować! Mam pełną szopę drewna, bo stale ścinamy jakieś drzewa. Chodźcie, zaraz wam pokażę.

Dwaj mężczyźni, dzieci i pies ruszyli przez dziedziniec. Na farmie niewiele się zmieniło. Suszarka była ta sama,

obsypana żdźbłami zboża i siana, zielona farba nadal odpadała płatami z szopy i stodoły, zardzewiałe metalowe dachy pokrywała gruba warstwa mchu i liści. Jean-Paul pamiętał, jak latem przyprowadzał tu razem z Avą dzieci, aby pobawiły się na wielkich kopach zboża, łan nie miał nic przeciwko temu, że robiły trochę bałaganu i po ich odejściu cierpliwie zamiętał podwórko. Nie było chyba takiej rzeczy, której nie zrobiłby dla Avy Lightly.

Szopa Jeremy'ego pełna była desek, belek i zwiniętego w bele siana.

- Jak widzicie, drewna jest tu więcej niż trzeba - powiedział Jeremy.

- Jeżeli moglibyśmy trochę wziąć, byłibyśmy bardzo wdzięczni!

- To wy robicie mi uprzejmość - Jeremy popatrzył na Jean-Paula, który jego zdaniem zdecydowanie nie pasował do Hartington. - Jak się panu u nas podoba?

- Przyjechałem dopiero wczoraj.

- Ach, tak. - Jeremy chwilę się zastanawiał, do jakiej pracy Miranda wynajęła Francuza. - Mili ludzie ci Claybour-ne'owie - dodał.

- Bardzo mili - Jean-Paul potarł podbródek.

Nagle poczuł nieodpartą potrzebę, aby zapytać o Avę.

- Znał pan poprzednich właścicieli Hartington House? - spytał, starając się opanować lekkie drżenie głosu.

- Tak. Ava Lightly była wspaniałą ogrodniczką. A pan ich zna?

Jean-Paul potrząsnął głową.

- Teraz ja mam zająć się tym ogrodem - rzekł. Jeremy uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- No, tak, bierze pan na siebie dużą odpowiedzialność!

- Wiem - Jean-Paul skrzywił się lekko, jakby sama myśl o zamierzonym projekcie przekraczała jego możliwości. - Wie pan może, dlaczego państwo Lightly wyprowadzili się stąd?

- Phillip miał udar i chyba utrzymanie tak dużego domu stało się dla nich zbyt męczące.

- Gdzie się przenieśli?

- Nie mam pojęcia. Przez kilka ostatnich lat nie utrzymywali prawie żadnych kontaktów towarzyskich i wyjechali zupełnie niepostrzeżenie. Szkoda, bo najbliżsi sąsiedzi i ludzie z miasta chętnie urządzili by dla nich uroczyste pożegnanie. Oboje byli tu bardzo lubiani i szanowani - Jeremy zawahał się na chwilę. - Także i za to, że tak bardzo się kochali.

Jean-Paul odwrócił się, udając, że szuka wzrokiem dzieci. Nie chciał, aby Jeremy zauważył, jaki ból sprawiły mu jego ostatnie słowa. Zaciśnął zęby i spróbował wziąć się w garść, ale gardło ścisnęło mu się z żalu. Schylił się i poklepał psa, który natychmiast wtulił mokry nos w jego dłoń. Jeremy nie spostrzegł żadnej zmiany w zachowaniu rozmówcy. Jean-Paul na moment oparł czoło o łeb Mr Bena, grając na zwłokę.

- Piękne zwierzę - odezwał się.

- I wyjątkowe! - zaśmiał się Jeremy. - Cieszę się, że go mam, zwłaszcza że Wolfgang trochę się już starzeje i większą część dnia po prostu przesypia!

Jean-Paul zawołał dzieci i umówił się, że wróci po drewno później, z odpowiednim środkiem transportu.

- Miło mi było pana poznać - rzekł Jeremy. - Chętnie zajrzałbym do Hartington House i popatrzył, co pan tam robi. Kiedyś ten ogród był naprawdę imponujący!

- Proszę bardzo, kiedy pan zechce - odparł Francuz.

- Gdyby potrzebował pan pomocy, z przyjemnością podeślę panu paru ludzi!

- Czy te krowy nad rzeką należą do pana? - zapytał Jean-Paul.

- Tak, to rasa Aberdeen Angus.

- Nowe przyjaciółki Storm - Jean-Paul zerknął na dziewczynkę. - Nie zapomniałaś chyba o nich, co?

- Nie! - odpowiedziała. - Mają szorstkie języki i są miłe!

- Mam też konie - powiedział Jeremy. - Mówiłem już Mirandzie, ale gdyby pan chciał pojechać z dziećmi, proszę dać mi znać. Whisper jest wyjątkowo łagodny i cierpliwy.

- Bardzo dobry pomysł - zauważył Jean-Paul.

- Cieszę się! - Jeremy patrzył, jak wsiadają do dżipa Mirandy. - W takim razie mam nadzieję, że będę was częściej widywał!

Pomachał im na pożegnanie, gdy odjeżdżali.

Pomyślał, że Jean-Paul ma w sobie coś intrygującego. Nie wyglądał na ogrodnika, przede wszystkim był chyba zbyt przystojny. Jeremy pokręcił głową i uśmiechnął się. Był pewny, że pojawienie się Jean-Paula w Hartington wywoła wielkie poruszenie.

ZIMA

Hartington House, 1979

I tak zaczęliśmy pracę nad naszym wspólnym projektem. Kochany Phillip był równie zadowolony jak ja; Henri powinien się ucieszyć, że jego syn wreszcie czymś się zajął i zadbać, żeby Phillipa wszędzie przyjmowano z otwartymi ramionami, jak Francja długa i szeroka. Phillip wrócił więc do swego gabinetu i prowadzonych badań, a my mieliśmy stworzyć nasz ogród. Nie pokazałam Phillipowi szkicu. Był zbyt osobisty, wypływający z najskrytszych potrzeb MF i czułam, że nie powinnam dzielić się z nikim jego wizją. Namalował ogród dla mnie; byłam zaskoczona i wzruszona, że zadał sobie tyle trudu, aby zrozumieć, o co mi chodzi. Do tej pory mnie miałam żadnych tajemnic przed Phillipem. To był pierwszy z wielu sekretów, które miały wślizgnąć się w nasze małżeństwo niczym pnącza trującego powoju.

Ava i Jean-Paul zajęli się okopywaniem grządek zgodnie ze szkicem. Wytyczyli ścieżkę patykami, aby wiała się jak strumyk, dość szeroką, by dwie osoby mogły wygodnie zmieścić się na niej obok siebie. Brzegi grządek miały zostać wyłożone kamieniami. Hector pomagał im, jak zwykle spokojny i skupiony, a Ian Fitzherbert pozwolił wywieźć niepotrzebną ziemię swoim małym ciągnikiem:

Dzień był słoneczny, niebo błękitne, bezchmurne. Pracowali w krótkich rękawach, Ava w swoich fioletowych ogrodniczkach, z długopisem wetkniętym, we włosy, Jean-Paul w luźnych dżinsach i koszuli, chociaż powietrze było dość ostre. Harowali qdvrana; śmiejąc się i gawędząc jak starzy przyjaciele.

Na lunch zjedli kanapki; nie chcąc niepotrzebnie przerywać pracy. Gdy Hector poszedł po swoje pudełko śniadaniowe do szklarni, na chwilę usiedli na zwiniętym chodniku, aby odetchnąć: Ava nie spodziewała się, że towarzystwo Jean-Paula sprawi jej najprawdziwszą przyjemność. Wcześniej nie najlepiej znosiła jego obecność w ogrodzie i była podejrzliwie nastawiona do jego wyglądu, zupełnie jakby uroda czyniła go mniej poważnym i godnym zaufania. Myliła się.

- Jak to możliwe, że twój ojciec nie akceptuje tego, że malujesz? - spytała, wbijając zęby w kanapkę z indykiem.

Jean-Paul wzruszył ramionami.

- Ojciec chce, żebym był dokładnie taki jak on. Jestem jedynym synem, jedynym dzieckiem, a on jest ambitnym, autorytarnym człowiekiem. Nigdy go nie lubiłem.

- To smutne. Nie lubić własnego ojca.

- Przywykłem do tego!

- Powinien być dumny, że tak pięknie malujesz.

- Nie jest dumny! Poza tym i tak nie maluję dość dobrze - z rezygnacją potrząsnął głową. - Robię to dla siebie, nigdy nie będę dość dobry, aby zająć się malarstwem zawodowo.

- Dlaczego?

Rzucił jej swój pełen uroku uśmiech i przez chwilę patrzył na nią z czułością,

- Jestem realistą, Ave;, nie mieszkam w świecie marzeń. Po prostu wiem, że nie mam dość dużego, talentu i ojciec także to wie.

- To, że nie zarabiasz. W ten sposób pieniędzy, nie oznacza, że nie warto tego robić!

- Wiem o tym.

- Więc czego Właściwie spodziewa się po tobie ojciec?

- Że będę zarządzał winnicą, produkował dobre wino, kontynuował rodzinną tradycję, no i, że przedłużę ród. Że odziedziczę chateau i spłodzę syna, któremu przekażę to wszystko, tak jak; mój; ojciec mnie.

- Nie mógłbys mu powiedziec, żeby się odczepił? Nie jesteś dzieckiem!

Jean-Paul odłożył kanapkę. Przez jego twarz przemknął nagle wyraz głębokiej troski:

- Nie chcę zranić matki - spojrzał Avie prosto w oczy. - Jestem wszystkim, co ma. Jej małżeństwo to fikcja, bo ojciec ma w Paryżu kochankę. *Maman* mieszka w Bordeaux, Les Lucioles to jej tały świat. Gdyby ojciec mnie wydziedziczył, pękłoby jej serce.

- Nie rozumiem. Robisz to, czego on chce dla chateau?

- Nie chodzi tylko o chateau, Les Lucioles to wyjątkowe miejsce. Może pewnego dnia zobaczysz je i wtedy zrozumiesz. Jest dla mnie równie ważne i magiczne jak Harrington House dla ciebie.

- W takim razie rzeczywiście musi być pełne magii!

- Zgodziłem się przyjechać tutaj, bo *Maman* mnie o to prosiła. To nie kwestia chateau, myślę o mojej matce i staram się robić to, co powinienem. *Maman* kocha swój dom, włożyła w niego serce. Uczuciem, którym powinna darzyć ojca, darzy mnie i Les Lucioles.

- Znalazłeś się w samym środku czegoś, co cię przytłacza, czegoś większego od ciebie.

- Tak.

- Niektórzy ludzie strasznie komplikują sobie życie!

- Nie wydaje mi się, aby robili to celowo.

- Może i nie - westchnęła Ava. - Jestem tym bardziej wdzięczna Bogu za moje proste, nieskomplikowane życie. Może nie jest fascynujące, ale jest pełne spokoju. Byłabym skłonna wiele poświęcić dla spokoju.

- Ty i Phillip możecie uważać się za szczęściarzy! Wasze małżeństwo jest udane!

- Wiem - powiedziała z czułością. - Phillip to dobry człowiek!

Uśmiechnęli się do siebie. Ava zdała sobie nagle sprawę, że więź porozumienia, jaka połączyła ją z Jean-Paulem jest naprawdę silna.

Po południu, kiedy dzieci wróciły ze szkoły, poszły popatrzeć, jak ich matka pracuje w ogrodzie. Phillip wyprowadził psy na spacer, ubrany w zieloną nieprzemakalną kurtkę firmy Barbour, i kalosze. Bernie i Tarquin tarzały się z radości na trawie, głośno ujadając.

- Pamiętaj, że na ten weekend przyjeżdżają twoi rodzice, Krzaczk - przypomniał Phillip żonie, oddalając się w kierunku domku dla ptaków.

- Phillip uważa, że nie mam pamięci do niczego poza rośr linami - wyjaśniła Ava ze śmiechem Jean-Paulowi. - Jego zdaniem, mieszkam nie na Ziemi, ale na jakiejś innej, własnej planecie!

- .Chciałbym zamieszkać na twojej planecie - rzekł Francuz, pociągając łyk piwa.

- Nie sędzę, żeby ci się lam podobało! To dość samotna planeta.

- Też lubię być sam!

- Doskonale, nie muszę się więc już martwić, czy nie czujesz się osamotniony w domku! Miałam już nawet zaprosić wszystkie kuzynki Toddy, żebyś miał towarzystwo!

- Istnieje różnica między samotnością a osamotnieniem! -uśmiechnął się. - Lubię być sam, ale nie lubię czuć się osamotniony, więc jeżeli są ładne, z przyjemnością je poznam!

Wstał i ze śmiechem wyciągnął do niej rękę, pomagając podnieść się z trawy.

- W porządku, panie Francuzie! - prychnęła Ava. - Zadzwoń do Toddy, ale nie wiń mnie, jeśli okażą się brzydkie jak noc! Wiem, że Francuzi są bardzo wybredni, jeżeli chodzi o kobiety!

- Może, natomiast Anglicy mają coś, czego brakuje Francuzom.

- Co takiego?

- Poczucie humoru!

Ava roześmiała się serdecznie.

- Jak to dobrze, że nie wszystko sprowadza się do manicure oraz jedwabnej bielizny!

- Z drugiej strony, wyobraź sobie potęgę takiej mieszanki - jedwabna bielizna i poczucie humoru. Kobieta, która miałaby jedno i drugie byłaby prawdziwym skarbem, prawda?

- Nie powiem, żebym się nad tym zastanawiała! A teraz wracaj do ogrodu, ale już! Zachowaj swoje kosmate myśli na chwile samotności w domku!

Archie, Angus i Poppy pomogli załadować na wózek arkusze trawy, które Ava i Jean-Paul pocięli łopatami, zwijając je niczym długie chodniki. Kiedy dzieci się znudziły, zaczęły szukać robaków w świeżo odsłoniętej ziemi, pokrzykując radośnie na widok dorodnej dżdżownicy albo stonogi. Ava nauczyła ich kochać wszystkie stworzenia, wyjaśniając cel ich obecności w ogrodzie i sposób życia, dlatego cała trójka

szanowała insekty jako żywe stworzenia, nie zabawki, z którymi można robić, co się komu podoba.

- Popatrz, mamó! - zawołał Archie, kładąc pędraka na liściu i biegnąc do matki. - To jest dopiero tłusty robak!

- Wspaniały! - zgodziła się Ava. - Znajdź dla niego jakieś przyjemne miejsce, skarbie! Najlepiej takie, w którym bez większego trudu dostrzeże go biedny wygłodniały gołąb!

Archie pokazał swoją zdobycz rodzeństwu i spełnił polecenie matki. Angus wspiął się na ciągnik i wydawał warczące odgłosy, kręcąc kierownicą, natomiast Poppy udawała, że zwoje trawy to szwajcarskie bułeczki, które trzeba zawieźć do cukierni. Ogród rozbrzmiewał wesołym śmiechem. Dla mieszkańców Hartington House był to zwyczajny dzień, lecz dla Jean-Paula nowy, ekscytujący świat. Sam nigdy nie miał zżytej, kochającej się rodziny.

Wieczorem Ava zaprosiła Jean-Paula na kolację. Wykąpali się i zmienili zabłocone ubrania, a potem usiedli w salonie przy kominku. Dzieci były już w łózkach, zmęczone i senne po tak dużej dawce świeżego powietrza. Phillip przeczytał im kilka rozdziałów *Aksamitnego króliczka*, zszedł na dół w kapciach i bonzurce, i otworzył butelkę wina.

- Wasz ogród zaczyna przybierać konkretny kształt - oświadczył, wnosząc do salonu tacę z kieliszkami.

Ava siedziała na sofie, z włosami związanymi w luźny koński ogon i opadającymi drobnymi pasmami na twarz i szyję. Miała na sobie długą marokańską suknię, szerokie spodnie i naszywane cekinami szkarłatne pantofle. Jej policzki promieniały po całodziennej pracy na chłodzie, a oczy lśniły radością. Miała za sobą wspaniały dzień.

- Teraz zajmujemy się sadzeniem roślin! - uśmiechnęła się do Jean-Paula. - Nagrodę odbierzemy wiosną, bo ogród na pewno będzie wyglądał jak marzenie!

Jean-Paul wyciągnął się wygodnie w fotelu, włosy miał jeszcze wilgotne i trochę nastroszone po kąpieli.

- Nigdy nie przypuszczałem, że zakładanie ogrodu może być taką świetną zabawą - przyznał.

- A to dopiero początek! Kopanie jest nudne, prawdziwa radość to sadzenie! Potem już tylko patrzysz, jak ogród rośnie, co przypomina lukrowanie tortu.

- Co zamierzacie zasadzić? - spytał Phillip, podając obojgu kieliszki z winem i siadając w drugim fotelu.

- Mam tu szkic! - Ava wyjęła z kieszeni krzywo złożoną kartkę. - Chcę uzyskać efekt eksplozji koloru, więc wszędzie będzie pełno krzewów i innych roślin - spojrzała na Jean-Paula, myśląc o jego projekcie. - Chcę tam mieć budlej-nik, rozmaite rodzaje geranium, róże, prymule, dzwonki, lawendę, ostróżki, łubin, stokrotki! Boże, ależ jestem rozpustna!

- Brzmi to zachwycająco i chaotycznie, czyli jak najbardziej w twoim stylu, Krzaczku - zaśmiał się łagodnie Phillip.

- Może jest to zbyt ambitny projekt, ale myślę, że mimo wszystko nam się uda. Jean-Paul i Hector są gotowi harować jak niewolnicy!

- Czasami do czegoś się przydaje! - uśmiechnął się Jean-Paul.

- Zrobiłeś się okropnie pracowity! - oświadczyła Ava. - Kiedy odeślemy cię do Francji, będziesz bardziej Anglikiem niż Francuzem!

- Wypijmy za to! - ucieszył się Phillip.

- Mamusiu - Poppy stanęła w progu ubrana w białą nocną koszulkę, trzymając zawiniętego w koc kabaczka. - Monty nie może zasnąć!

- Fatalnie! - Phillip od razu wczuł się w sytuację. - Próbowalaś go trochę kołysać?

Tak, ale on ciągle się budzi. I przy okazji budzi mnie!

Chodź tutaj! - Ava wyciągnęła ramiona do córeczki. - Wydaje mi się, że to ciebie trzeba przytulić i ukołysać, skarbie. Monty jest niegrzeczny i trochę ci dokucza, co?

Poppy kiwnęła głową. Ani przez chwilę nie wątpiła, że zostanie powitana z miłością, niezależnie od późnej pory.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała, przytulając się do matki.

Ava wzięła małą na kolana, objęła ją i pocałowała w skroń.

- Tato, czy Monty ożyje, jeśli będę go kochała tak jak ten mały chłopczyk kochał aksamitnego króliczka? - zapytała Poppy.

- Ach - Phillip zmarszczył brwi. - Nie jestem pewny, czy czary z pokoju dziecinnego działają także na warzywa. To chyba pytanie do warzywnej wróżki!

- Bardzo chcę, żeby ożył! - westchnęła Poppy.

- Jeśli rzeczywiście bardzo tego pragniesz, to tak się stanie - odezwała się Ava. - Będzie tym, czym zechcesz, musisz tylko posłużyć się wyobraźnią!

- Ale ja chcę, żeby wszyscy widzieli, że Monty jest prawdziwy.

- Widzimy to! - wtrącił Jean-Paul, pochylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach. - Moim zdaniem, Monty jest jak najbardziej prawdziwy, bo przecież zostałem mu przedstawiony!

Poppy zasłoniła uśmiechnięte usta kocem, udając, że jest okropnie śpiąca.

- No, widzisz? - Ava znowu pocałowała córeczkę.

- Jednak teraz powinnaś już zabrać Monty ego do łóżka - rzekł Phillip.

- Jeżeli się nie wyśpi, rano będzie narzekał i kaprysił.

Ava postawiła Poppy na podłogę, wstała i wyprowadziła ją z salonu. Dziewczynka pochwyciła jeszcze spojrzenie Jean-Paula i posłała mu nieśmiały uśmiech.

Resztę tygodnia zajęło im sadzenie kwiatów i krzewów. Wszyscy wykonywali plan Avy, stawiając każdą sadzonkę

w doniczce na właściwym miejscu i dopiero wtedy przesadzając ją do ziemi. Jean-Paul słuchał uważnie, gdy Ava wyjaśniała mu przyczyny takiego, a nie innego usytuowania roślin i cierpliwie uczyła go ich nazw. Wieczorami podlewali powstający ogród razem, razem z dziećmi, które miały własne małe konewki. Tuż przed weekendem skończyli. Właśnie wtedy, jak za sprawą czarów, niebo zawlokło się szarymi chmurami, i zaczęło padać. Dzieci biegały po ścieżkach z otwartymi ustami, łapiąc krople deszczu na wysunięte języki, a Jean-Paul i Ava śmiali się, zaskoczeni i uradowani tym niezwykłym zbiegiem okoliczności. Hector odstawił ciągnik na farmę Iana Fitzherberta, kręcąc głową nad dziwactwami swoich pracodawców.

Ava poprosiła Toddy, aby przywiozła swoje kuzynki na niedzielny lunch i przedstawiła je Jean-Paulowi. Toddy bardzo się ucieszyła i zapewniła, że będzie miał co najmniej dwie, a może nawet trzy atrakcyjne dziewczyny do wyboru.

- Są naprawdę ładne - powiedziała. - Szczególnie Lizzie! Hoże, gdybym była o dziesięć lat młodsza, sama zaczęłabym robić słodkie oczy do Jean-Paula!

Rodzice Avy, Donald i Verity, przyjechali w piątek wieczorem ze swoim psem Heinzem, małym, podobnym do kiełbaski kundelkiem o rudej sierści, którego piskliwe ujadali i- oraz krótkie, wiecznie podskakujące nóżki budziły w Berti iem prawie taki sam lęk, jak widok tchórzofretki Toddy.

Verity była podobna do córki - atrakcyjna, o łagodnych zielonych oczach i solidnej budowie. Podobnie jak Ava nigdy nie odczuwała zimna, lecz na szczęście córka odziedziczyła jej twardy, zdecydowany i dominujący charakter w mocno złagodzonej postaci. Szpakowate włosy upinała im głowie w przypominający pszczeli ul wielki kok, co zupełnie nie pasowało do niewysokiej postaci, ale nikt, nawet jej córka, nie miał odwagi powiedzieć, że znacznie lepiej wyglądałaby w innej, modniejszej fryzurze. Mąż Verity już

dawno przestał zwracać na to uwagę; podobnie jak wszyscy, nie mógł ignorować jedynie osobowości żony. Verity zawsze mówiła to, co myślała, jak to starsi ludzie, i zawsze wiedziała wszystko najlepiej, jak to babcie. Kochała jednak wnuki całym sercem, przywoziła im prezenty i opowiadała historie, które sama wymyślała, trzymając w napięciu małych słuchaczy umiejętnym i barwnym szkicowaniem sytuacji oraz postaci, między innymi również ich zabawek, ożywionych w cudowny sposób.

- Słyszeliście, że Daisy Hopeton zostawiła męża z czwórką dzieci i uciekła z kochankiem z Afryki Południowej, który ma winnicę w Konstancji? - zagadnęła Verity przy kolacji.

Wyraz oszołomienia i niedowierzania, jaki pojawił się na twarzy Avy, sprawił jej sporą satysfakcję.

- Tak, tak - ciągnęła, potrząsając wielkim kokiem. - Coś okropnego! Biedny Michael zupełnie nie wie, co robić! Będzie musiał sam wychować czworo dzieci, a przecież Olivier jest dopiero w wieku Archiego!

- Naprawdę straszne! - zawołała Ava, która jako dziecko przyjaźniła się z Daisy. - Jak to możliwe, że kobieta porzuca czworo dzieci?

- Właśnie! - przytaknął Phillip. - Oburzające!

- Oburzające - powtórzył Donald.

Przez całą drogę z Hampshire słuchał rozważań żony na temat charakteru i upadku Daisy Hopeton i był już szczerze znudzony. Ucieczka Daisy do żywego rozпалиła Verity, która przed wyjazdem obdzwoniła wszystkie swoje przyjaciółki i znajome, dzieląc się z nimi okropną wiadomością.

- Dowiedziałam się o tym od jej własnej matki - poinformowała Verity Phillipa, który chciał wiedzieć, skąd ta straszna nowina. - Biedaczka jest załamana, zresztą nietrudno to sobie wyobrazić! Nikt nie spodziewa się czegoś takiego po własnym dziecku! Uciekła, i to z jakimś facetem z Afryki Południowej, na drugi koniec świata! Nie jestem

w stanie pojąć, dlaczego nie zabrała ze sobą dzieci! Jaka kobieta porzuca swoje dzieci, pytam? To po prostu nie do pomyślenia!

- Musiała być strasznie nieszczęśliwa - powiedziała Ava, starając się znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Daisy.

- Bzdura, kochanie! Trzeba zacisnąć zęby i żyć, nie wolno oczekiwać, że człowiek będzie zawsze szczęśliwy! Na tym polega problem z waszym pokoleniem. Nie przeżyliście wojny, i tyle! Spodziewacie się, że w życiu spotka was tylko radość, zupełnie jakby było to wasze święte, niepodważalne prawo! Tymczasem szczęście wcale wam nie przysługuje, to bonus, dodatek do życia! Daisy jest matką i ma obowiązek wychować swoje dzieci! Biedactwa będą musiały żyć ze świadomością, że zostały porzucone, i to przez matkę! Wyobraźcie sobie tylko, co to za straszna rana! Biedactwa, słowo daję! Serce mi krwawi, kiedy o nich myślę, naprawdę krwawi - powtórzyła z naciskiem. - Kochanie, przepyszna zupa! Co w niej jest?

- Pasternak i imbir - odparła Ava, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia. - Bardzo się cieszę, że ci smakuje, mamo.

- Może Daisy nie wpakowałyby się w takie tarapaty, gdybyście dalej się przyjaźniły - dodała Verity. - Stanowiłabyś dla niej dobry przykład! Wielka szkoda!

Donald zerknął na Phillipa i znacząco przewrócił oczami.

Następnego dnia Ava oprowadziła matkę po ogrodzie. Jean-Paul przyszedł do pracy, chociaż była sobota.

- Chcę podlać te rośliny - wyjaśnił. - A dzieci miały ochotę rozpalic ognisko.

- Jestem matką Avy - oznajmiła Verity.

Nie przyszło jej do głowy, żeby podać Jean-Paulowi rękę, był przecież tylko zwyczajnym ogrodnikiem, więc kiedy ujął

jej dłoń i podniósł do ust, nie wiedziała, czy powinna poczuć się oburzona, czy zadowolona.

- Nie brak tu panu pracy opowiedziała, próbując ukryć zakłopotanie.

- Nie lubię bezczynności.

- W ogrodzie zawsze jest coś do zrobienia, prawda?

- Gdzie są dzieci? - zapytała Ava.

- W dziupli, bawią się w piratów. - Jean-Paul przeczesał palcami włosy, zostawiając je miejscami zbite w gęste, lśniące kępki.

- Mają mojego Heinza? - zaniepokoiła się Verity.

- Tak jest, *madame!* Wydaje mi się, że gra rolę rekina.

- A jakie role grają Bernie i Tarquin? - uśmiechnęła się Ava.

- Potworów morskich.

- Skąd pan przyjechał? - zagadnęła Verity.

- Z Bordeaux.

- To prawdziwe gniazdo ogrodników, prawda?

- Istotnie.

Verity ściągnęła brwi, niepewna, w jakim miejscu ludzkiego łańcucha pokarmowego należałoby go umieścić.

- Czym zajmują się pańscy rodzice? Kąciki ust Jean-Paula zadrgały z rozbawienia.

- Pracują w przemyśle stalowo-zbrojeniowym - oświadczył.

- Naprawdę? - Informacja ta nie zrobiła na Verity wielkiego wrażenia.

- Tak, moja matka instaluje urządzenia kuchenne, a ojciec rozbija zamki!

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i odszedł, pozostawiając Verity z otwartymi ustami.

- Dobry Boże, co za nieuprzejmy człowiek! - Matka Avey patrzyła za nim chwilę ze zdumieniem. - Słyszałaś, co powiedział? Jego ojciec rozbija zamki! Mam nadzieję, że to nie jest twój ogrodnik!

odrywałeś wzroku od jej sweterka, przejąłeś się, że dziewczyna chce, aby ktoś „rozpalił jej ogień” i uznałeś, że to hasło skierowane jest do ciebie, tymczasem ja nie mam cienia wątpliwości, że Lizzie wystroiła się tak dla tego Francuza! Sądząc po jego wyglądzie; nie będzie miał żadnych problemów z „rozpaleniem jej ognia” - słowo daję!

*ZIMNE, RZEŚKIE ZIMOWE PORANKI. ZAPACH PALĄCYCH SIĘ LIŚCI.
OBŁOCZKI NASZEGO ODDECHU, UNOSZĄCE SIĘ W POWIETRZE*

Ava przyglądała się, jak dwie dziewczyny flirtują i chichoczą z Jean-Paulem. Stał oparty na widłach, w koszuli niedbale wetkniętej za pasek dżinsów, których krój podkreślał jego smukłe biodra i długie nogi. Podwinął rękawy, odsłaniając opalone przedramiona i dłonie już szorstkie od pracy w ogrodzie. Patrzył na nie arogancko, lekko uśmiechnięty i wyraźnie zadowolony z uwagi, jaką mu poświęcały. Ava stała obok Toddy i udawała, że obserwuje dzieci, robiła to jednak w taki sposób, aby widzieć go kątem oka. Lizzię i Samantha nachylały się ku niemu i język ich ciał nie pozostawiał wątpliwości, że uważają go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Ava była zafascynowana tym zalotnym tańcem, który przywodził jej na myśl pierwsze spotkanie z Phillipem. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że było to bardzo dawno temu. W obecności tykli dwóch młodych istot czuła się stara i niezgrabna, trochę jak kuropatwa obok rajskich ptaków.

- Myślisz o tym samym co ja? - odezwała się Toddy, pozwalając Mr Frisby'emu zeskoczyć ze swego ramienia prosto na warzywną grządkę.

- Mocno wątpię, Toddy.

- W towarzystwie Lizzie i Samantha czuję się niewygodnie i niepotrzebnie dorosła!

- Tak, wiem, co masz na myśli - przyznała z westchnieniem Ava.

- Jakoś nigdy nie myślałam, że będę taka stara. One mają jeszcze przed sobą całe życie, zaloty, narzeczeństwo, małżeństwo, dzieci. Wciąż mogą wybrać sobie mężczyznę! Mają wybór, rozumiesz? Robi mi się smutno na myśl, że ja już nigdy nie będę tak beztrosko flirtować, że nigdy nie będę kochać się pierwszy raz.

- Mamy inne rzeczy, na które możemy z nadzieją czekać - powiedziała Ava, niezbyt pewna, o jakie rzeczy jej chodzi.

- Na przykład romans i rozwód, co?

- Nie bądź taka cyniczna, Toddy!

- Nie poślubiłam Supermana i dość często nachodzi mnie ochota na jeszcze jedną rundkę, na powtórkę z małżeństwa. Ludzie nie powinni tak długo pozostawać w jednym związku. Dawniej prawie wszyscy umierali koło trzydziestki, więc nie było to takie skomplikowane, ale teraz żyjemy dużo dłużej. Moim zdaniem człowiek powinien mieć szansę wycofać się i nacieszyć drugim małżeństwem, kiedy bardzo się znudzi. Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Mniej więcej! - Ava roześmiała się serdecznie.

- Nie zostawię go, przecież wiesz, ale czasami lubię sobie o tym pomyśleć! Jeśli mam być zupełnie szczerą, to czasami nie miałabym nic przeciwko jakiemuś skokowi w bok, oczywiście pod warunkiem, że nikt by się o tym nie dowiedział. I naturalnie żeby nikt z tego powodu nie ucierpiał.

- Masz kogoś na oku?

- Nie. I to jest druga przeszkoda! W Hartington nie ma nikogo interesującego, i tyle! Brakuje mi jednak podniecenia tych pierwszych, uderzających do głowy spotkań. Moje małżeństwo jest trochę zbyt wygodne, powoli zaczyna przypominać stary kapeć, którego nie ma się już ochoty wkładać. Pożądanie i ekscytacja zniknęły... Czy ty i Phillip często się kochacie?

- Nie możesz zadawać mi takich pytań! - Ava nie kryła skrepowania.

- Daj spokój, powiedz! Chcę wiedzieć, czy ze wszystkimi jest tak samo, czy wszyscy po pewnym czasie czują głównie zniechęcenie.

Ava założyła ramiona na piersi.

- Przykro mi, ale ja i Phillip mamy bardzo zdrowe małżeństwo!

- Och - w głosie Toddy zabrzmiała nuta zawodu. - Więc wcale nie marzysz o romansie, tak?

- Tak.

- Cóż, we wszystkim można dopatrzeć się czegoś dobrego! Nie będziemy walczyły o tego samego mężczyznę, przynajmniej tyle!

- To prawda - przyznała Ava. - Z radością potwierdzam, że jestem szczęśliwa z mężczyzną, którego już mam!

Ava wróciła do domu, żeby sprawdzić, co robi pani Mar-ley, kucharka, drobna kobietka o siwiejących włosach zebranych w gładki koczek i łagodnym uśmiechu, którym hojnie obdarzała wszystkich domowników. Pani Marley stała przy zlewie i odcedzała groszek oraz dużą fasolkę szparagową, zebrane i zamrożone przez Avę.

- Mam przysłać Phillipe'a, żeby zabrał salaterki? - spytała Ava.

Pani Marley uśmiechnęła się do niej poprzez obłok pary.

- Tak, pani L., jeżeli można prosić. Ta fasolka jest po prostu pyszna, spróbowałam ze dwa strączki!

- Może chce pani wziąć sobie torebkę do domu, na kolację?
- Och, pani L., mogłabym? - pani Marley poróżwiała z radości.
- Oczywiście! Mam jej naprawdę dużo.
- Stanley okropnie się ucieszy! On tak uwielbia dobre jedzenie!
- Droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek, pani Marley.
- W taki sam sposób można go też zatrzymać przy sobie! -Kucharka uśmiechnęła się szeroko. - Szkoda, że z dziećmi sprawa wygląda już inaczej, prawda? Człowiek karmi te dzieciaki, dba o nie, a potem patrzy, jak odchodzą w świat. Mój Nigel ma już prawie piętnaście lat, pani L.! Nie przychodzi do domu na podwieczorek, bo woli zjeść rybę z frytkami razem ze swoją dziewczyną. Wcześniej nawet nie przyszłoby mi do głowy, że będzie wolał dziewczynę od dobrej domowej pieczeni z warzywami!
- Ależ Nigel jeszcze długo będzie w domu, a Susie jest zupełnie malutka!
- Moja Susie - pani Marley uśmiechnęła się z czułością na myśl o córeczce. - Tak, Susie to jeszcze małe dziecko. Dobrze, że ją mam!
- Czas szybko leci - Ava zawahała się nagle. - Czasami mam ochotę zamrozić moje dzieci, żeby nigdy nie dorosły. I chętnie zamroziłabym samą siebie! Ja też nie chcę dorosnąć.
- Pani Marley roześmiała się i podała Avie rękawice do gorących naczyń.
- Sęk w tym, pani L., że człowiek nigdy nie czuje się naprawdę dorosły w środku! Ja codziennie rano przeżywam s/ok, kiedy patrzę na siebie w lustrze, słowo daję! Kiedyś miałam włosy czarne jak węgiel, teraz jestem siwa jak gołąb.
- Kiedy Ava wychodziła z kuchni z półmiskiem pieczonych ziemniaków, w progu natknęła się na Jean-Paula.

- Mogę pomóc? - zapytał.

- Dziękuję! Wszystko jest pod kontrolą, idź i zabawiaj dziewczyny! - Rzuciła mu łobuzerski uśmiech.

- Chyba nie sądzisz, że jestem nimi zainteresowany?

- Dlaczego nie? Są całkiem ładne!

- Za młode i niedoświadczone, jak na mój gust! Podobają mi się kobiety, które coś już przeżyły. Te panienki są ogromnie miłe, ale niedojrzałe jak dwa zielone jabłka!

- Nie przesadzaj! - zaprotestowała, czując, jak jej policzki oblewa gorący rumieniec.

- Wolę jabłka, które już spadły z drzewa.

- Takie poobijane owoce, ponadgryzane przez pszczoły i osy? - Ava minęła go i poszła korytarzem do jadalni, lecz wyraz oczu, z jakim przed chwilą na nią patrzył, wciąż palił jej twarz.

- Tak, takie są najlepsze, dużo słodsze od zielonych, kwaśnych jak ocet!

Wkroczyła do jadalni lekko i sprężysto, z szerokim uśmiechem na twarzy. Jeszcze przed godziną czuła się stara i niezgrabna w porównaniu z Lizzie i Samantha, lecz nagle zyskała przekonanie, że jest całkiem atrakcyjna, choć już od dawna wcale o tym nie myślała. Wygląd zewnętrzny nigdy nie zajmował ważnego miejsca na liście jej priorytetów. Jean-Paul żartował, oczywiście. Była mężatką i absolutnie nic między nimi nie iskrzyło, co to, to nie, ale mały komplement jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził.

Jean-Paul został posadzony przy stole między Lizzie i Samantha. Toddy obserwowała ich z drugiego końca stołu, gdzie zajęła miejsce między Phillipem i Donaldem. Młodzi ludzie śmiali się wesoło i żartowali. Toddy była zadowolona. Lubiła swoje kuzynki i przepadała za Avą. Cieszyła się, że będzie mogła odwdzińczyć się jej za liczne uprzejmości, zdejmując jej z głowy troskę o Jean-Paula. Czuła, że jeśli Lizzie i Samantha przedstawią go swojej paczce, Ava będzie

zachwycona, bo ostatecznie co miała z nim robić, kiedy już skończyli pracę w ogrodzie? Biedak będzie miał osoby w swoim wieku, z którymi zabawi się i pośmieje. Ava nienawidziła przecież poczucia, że musi kimś się zająć, no, chyba że tym kimś był Phillip...

Ava patrzyła na dzieci. Przy drugim daniu żartowały i trącały się łokciami, ale teraz w milczeniu pochłaniały upieczone przez panią Marley ciasto z czarnymi jagodami i jabłkami, polane karmelowym sosem. Poppy próbowała wygrzebać z sosjerki jeszcze trochę pysznej, półpłynnej masy. Ava poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i pochwyciła pełne dziwnej tęsknoty spojrzenie Jean-Paula. Zmarszczyła brwi. Francuz otrząsnął się z zamyślenia i ruchem głowy wskazał Poppy. Ava zrobiła śmieszny minę, dając mu do zrozumienia, że Poppy musi jakoś sobie poradzić. Na chwilę ogarnęło ją uczucie niepewności, bo oczy Jean-Paula miały tak łagodny, czuły wyraz.

Jean-Paul przyszedł jednak Poppy z pomocą, w ostatniej chwili ratując sosjerkę przed katastrofą. Ava odwróciła się, aby porozmawiać z ojcem, świadomie unikając kontaktu wzrokowego z Jean-Paulem. Flirtował uroczo, to prawda, ale ona nie zamierzała padać mu do stóp jak te rozentuzjzmowane dziewczyny. Nie dość, że w żadnym razie nie powinna flirtować na oczach męża, to jeszcze Jean-Paul był przecież jej pracownikiem. Cała ta sytuacja była zupełnie niewłaściwa.

Po lunchu Verity oświadczyła, że czas jechać.

- Mamy niedzielne popołudnie i jeśli się nie pośpieszymy, będziemy godzinami stali w korkach na autostradzie - powiedziała.

Donald właśnie sadził się na sofie u boku Samantha, o czym marzył od chwili jej przyjazdu, ale Verity bez skrępów wysłała go na poszukiwanie Heinza.

- Podobno ostatnio bawił się w piratów w dziupli starego dębu - podpowiedziała mężowi.

- Nie, kochanie, niedawno dałem mu obiadek przy samochodzie, a potem puściłem go, żeby jeszcze trochę sobie pobiegał! Może sama pójdziesz i go zawołasz, przecież zawsze reaguje na twój głos.

- Jeżeli jest w drugim końcu ogrodu, to i tak mnie nie usłyszy! - Verity potrząsnęła głową, kpiącym uśmiechem kwitując bezowocne wysiłki męża, aby nawiązać rozmowę z dziewczyną, która mogłaby być jego córką. - Naprawdę, starsi faceci są tacy żałośni! - szepnęła Avie do ucha, wychodząc do holu. - Widziałas Heinza?

- Pomogę ci poszukać! - zaofiarowała się Ava. Jean-Paul został w salonie przy kominku, pogrążony

w rozmowie z Lizzie. Samantha usiłowała skoncentrować się na pytaniach Donalda, ale mimo woli raz po raz zerknęła na siostrę.

- Biedny tata - powiedziała Ava. - Samantha aż się pali, żeby porozmawiać z Jean-Paulem, lecz nic nie może zrobić!

- I dobrze jej tak! - prychnęła Verity. - Nie powinna nosić swetra z takim idiotycznym sloganem!

- Mylisz Samanthę z Lizzie, mamo!

- Dla mnie obie wyglądają tak samo! Za dużo tuszu do rzęs, cienia na powiekach, za mało na górze, i wcale nie chodzi mi o włosy! - Czułym gestem musnęła własny pękaty kok. - Szczęście, że w czasie lunchu zlizwały trochę tego ohydneho błyszczyka! Młode dziewczyny zdecydowanie za mocno malują się dziś błękitnym tuszem do powiek! Wygląda to po prostu okropnie! A przy okazji, to owocowe ciasto było pyszne. Czy to ty je upiekłaś?

- Nie, to dzieło pani Marley.

- Prawdziwy z niej skarb, co? Zawsze taka pogodna! Bardzo lubię takich pogodnych ludzi! I podała znakomite pieczone ziemniaki, bardzo kruche! Co ona takiego do nich dodaje?

- Oliwę z ziołami z naszego ogrodu.

- Ach, to wszystko tłumaczy! Nie dałabyś mi trochę tych ziemniaków, jeśli coś zostało? Chętnie wzięłabym parę, na jutrzejszy lunch dla ojca! Wiesz, jak uwielbia ziemniaki, zwłaszcza te z twojego ogrodu.

- Może przygotuję dla was koszyk z ziemniakami, marchewką i fasolką, co ty na to?

- Jesteś cudowna, skarbie! I pomyśleć, że mam taką wspaniałą córkę! Nigdy nie uwierzyłabym, że jesteś moja, gdybyś nie była do mnie tak podobna. - Verity rzuciła córce uważne spojrzenie. - Zanim się skrzywisz, powiem ci, że mam mocne kości i nieźle się starzeję! Wystarczy, że na mnie popatrzysz i już będziesz wiedziała, co czeka cię za ładnych parę lat, a nie jest to nic złego. Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego twój ojciec ślini się na widok tych młodych podfruwajek! To najzupełniej niewłaściwe i głupie! Śmieją się tylko z niego i nic więcej!

- Ale przynajmniej przez chwilę czuje się trochę młodszy - odparła łagodnie Ava. - One nie mają zresztą nic przeciwko temu. Myślę nawet, że im to pochlebia, kiedy inteligentny, miły dżentelmen zadaje sobie trud, żeby nawiązać z nimi rozmowę i czegoś się o nich dowiedzieć. Powinny być wdzięczne tacie, naprawdę tak uważam. Same nie mają przecież zbyt wiele do powiedzenia, prawda?

Ava i Verity obeszyły cały ogród, nawołując Heinza, ale psiak się nie pojawił. Donald słyszał ich głosy i odetchnął z ulgą. Czuł, że minie trochę czasu, zanim znajdą przekłętą zwierzaka. Na szczęście to nie on wpadł na pomysł, aby kupić psa tak małego, że z łatwością mógł zmieścić się w króliczej norze. Nie, on kupiłby dużego, porządnego psa, takiego jak Bernie. Wtedy nie musiałby bez przerwy umierać ze strachu, czy go nie rozdepcze!

Dziesięć minut później Ava stanęła w drzwiach, zaczerwieniona i zdyszana.

- Potrzebna nam pomoc! - zawołała. - Nie możemy znaleźć Heinza!

- Dobry Boże! - sarknął Donald, podnosząc się z kanapy. - Wybacz, Samantha. Teraz będziesz musiała biegać po trawie w tych swoich ślicznych pantofelkach!

- Nic nie szkodzi, chętnie zobaczę, co Jean-Paul zrobił w ogrodzie! - Samantha zachichotała. - Nie mam zielonego pojęcia o kwiatkach, więc może pan nas oprowadzi.

- Całkiem możliwe, że zaklinował się w jakiejś dziurze i już go więcej nie zobaczymy! - mamrotał Donald. - Nigdy nie lubiłem tego szczekacza!
- Odwrócił się do Jean-Paula. - Chodźmy, pomoże nam pan! Na pewno zna pan już każdy zakątek ogrodu!

Jean-Paul lekko wzruszył ramionami.

- Prawie każdy - odparł. - To duża posiadłość. Zaraz zawołam dzieci! Jeżeli przedstawimy im te poszukiwania jako zabawę, będą zachwycone!

- No i dobrze się składa, że są jeszcze dość małe, aby swobodnie zajrzeć do każdej króliczej nory! - dorzucił Phillip i zaśmiał się, rozbawiony obrazem, jaki podsunęła mu wyobraźnia.

- Doskonały pomysł! - pochwaliła Ava, idąc do drzwi.

Po chwili, w odpowiedzi na wołanie matki, dzieci wysypały się z dziupli niczym pszczoły z ula i zaczęły uganiać się po trawie, szukając Heinza.

Verity szalała z niepokoju - Heinz był jej ukochanym maleństwem.

- Jeżeli coś mu się stało, nigdy sobie tego nie wybaczę! - jęknęła, załamując ręce.

Jej kok się rozpadł i pasma włosów sterczały dookoła głowy jak rozmnożone w tajemniczy sposób wskazówki zegara. Pod siwą masą twarz Verity wydała się nagle chuda i pełna cieni.

- Jeśli zginął na dobre, otworzę butelkę szampana Dom Perignon - szepnął Donald do Phillipa.

Na dworze zaczynał powoli zapadać zmierzch.

Toddy przypomniała sobie nagle, że od lunchu nie widziała swojej tchórzofretki. Nie martwiła się jednak, bo Mr Frisby zawsze do niej wracał, świadomy, kto podsuwa mu smakowite kąski. Wyszła przed dom, żeby zajrzeć do bagażnika land-rovera i tam, wśród starych koców i swoich butów do konnej jazdy znalazła Heinza i Mr Frisby'ego, wyczerpanych po przedpołudniowych zabawach w dziupli.

- O, Boże! - westchnęła, pełna poczucia winy, że jej ulubieniec namówił psiaka do złego. - Jak ja jej to powiem?

Niepotrzebnie się niepokoiła. Verity tak się ucieszyła, że jej ukochany Heinz jest cały i zdrowy, że wylewnie podziękowała Toddy, tuląc ogłupiałego psa do piersi.

Donald nie krył rozczarowania, że już wyjeżdżają, chociaż Samantha skupiła całą uwagę na Jean-Paulu i nic nie było w stanie wyrwać jej spod jego uroku. Pożegnała się z Donaldem i natychmiast razem z Lizzie pobiegła do domku Jean-Paula, przez ramię informując Toddy, że Francuz odwiezie je później samochodem Avy.

Po podwieczorku Toddy zawołała dzieci i pożegnała się. Obaj chłopcy byli zmęczeni i umazani błotem od stóp do głów, ale szczęśliwi. Kiedy usadowili się na tylnym siedzeniu, szybko umilkli i zaczęli ziewać.

Ava wykąpała swoją trójkę i przeczytała im na dobranoc historyjkę krótszą niż zwykle, ponieważ zrobiło się późno i wszyscy byli wykończeni. Poppy zarzuciła matce ręce na szyję i przytuliła się do niej, sennie pocierając noskiem o jej szyję. Ava zamknęła oczy, ciesząc się dotykiem drobnego ciepłego ciała, świadoma, że córeczka z każdym dniem staje się coraz większa. Wiedziała, że przyjdzie czas, gdy Poppy wymknie się z jej ramion i podąży własną ścieżką w świat.

Trochę później leżała obok Phillipa i jak zwykle z przyjemnością rozmawiała z nim o dobiegającym końcu dnia.

- Toddy zapytała mnie, czy często się kochamy -uśmiechnęła się.

Mąż spojrzał na nią z przerażeniem.

- I co jej odpowiedziałas?

- Że o takich sprawach z nikim nie rozmawiam!

- Bardzo się cieszę! - odetchnął z ulgą.

- Powiedziałam jej jednak, że nasze małżeństwo jest bardzo zdrowe.

- Doskonale! - Phillip rzucił jej wciąż nieco chłopięcy uśmiech. - Bo tak jest, prawda, Krzaczk?

- Tak, kochany, nasze małżeństwo naprawdę jest bardzo zdrowe.

Przechylił się nad poduszką i pocałował ją w szyję.

- Pachniesz wilgotną trawą.

- Niempżliwe, przecież wzięłam prysznic!

- Zawsze tak pachniesz, masz ten zapach we krwi... Przecież wiesz, że w twoich żyłach nie płynie normalna, czerwona krew, tylko zielona.

- Zabawny jesteś!

Zastanawiała się, czy powtórzyć mu słowa Jean-Paula, brzmiały one jednak okropnie arogancko, oczywiście przy założeniu, że Francuz naprawdę z nią flirtował. Była od niego dużo starsza i wcale nie była ładna, więc może był to tylko żart... Miała ręce szorstkie jak papier ścierny i sztywne, źle układające się włosy, nie malowała się i nie nosiła modnych ubrań. Prawdopodobnie była bardzo daleka od wizerunku idealnej, godnej pożądania kobiety, jaki Jean-Paul nosił w sercu.

- Wydaje mi się, że dziewczyny spodobały się Jean-Paulowi - powiedziała zamiast tego.

- A mnie się wydaje, że Samantha spodobała się Donaldowi - odparł Phillip, śmiejąc się cicho na samo wspomnienie.

- Mama była wściekła! Naprawdę nie wiem, co w tym złego, że towarzystwo młodej dziewczyny sprawia tacie przyjemność. Na chwilę sam poczuł się młody, nie flirtował z nią przecież w oburzający, uwłaczający przyzwoitości sposób! - przerwała, bo jej myśli znowu wróciły do Jean-Pau-la. - Są teraz w jego domku - dodała. - Mam nadzieję, że dobrze się bawią.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym wyobrażać sobie, co się tam dzieje! Te dziewczyny z całą pewnością z niejednego pieca chleb jadły.

- Tak uważasz?

- O tak! - odparł bez wahania. - Zrobią, co w ich mocy, żeby sprawić mu przyjemność! - odwrócił się i objął żonę. -Więc nasze małżeństwo jest bardzo zdrowe, mówiłaś? -szepnął, przywierając wargami do jej szyi.

Jego zarost drażnił i łaskotał jej skórę. Otoczyła Phillipa ramionami i odwzajemniła pocałunek. Był ciepły, miękki i przyjemnie znajomy. Jak Toddy mogła porównać swego męża do starego kapcia? Gdyby ona, Ava, znudziła się Phil-lipem, oznaczałoby to, że ma dosyć życia.

- Mamusiu - rozległ się nagle cichy głosik od progu. Oboje rodzice podskoczyli, jakby ktoś oblał ich wrzątkiem.

- Nie mogę spać...

W drzwiach stał Angus w piżamie w niebieskie samolociki i tulił do piersi pluszowego królika. Phillip westchnął z rezygnacją, pocałował żonę i poszedł spać do garderoby. Ich małżeńskie łóżko było duże, ale nie aż tak duże, żeby wygodnie zmieściły się w nim trzy osoby. Ava chwilę patrzyła za nim z żalem, a potem poklepała materac obok siebie.

- Chodź, skarbie, mama się tobą zaopiekuje!

Angus wślizgnął się pod kołdrę, zamknął oczy i natychmiast zasnął. Ava leżała na boku, trzymając małego za rękę i kciukiem głaszcząc jego miękką skórę. Zanim sama zapadła w sen, jej serce wypełniła ogromna miłość.

ODWAŻNY RUDZIK NA PARAPECIE MOJEGO OKNA.

*PORANNE WYCIECZKI W CELU ROZBICIA LODU NA POWIERZCHNI WODY W
POJNIKU DLA PTAKÓW*

Listopad przyniósł krótsze dni i zimne wiatry. Nocami wichury zawodziły wokół domu niczym złośliwe duchy, które chcą przepędzić dzieci z ich łóżek do pokoju rodziców. Prawie nie padało. Powietrze było suche i zimne, a liście drzew gumowych codziennie stawały się bardziej czerwone. Jean-Paul i Ava zajęli się sadzeniem polnych kwiatów. Święta Bożego Narodzenia zbliżały się powoli, a oni zbliżali się do siebie, prawie nieświadomi, że ich przyjaźń rośnie i pogłębia się. Nauczyli się przewidywać, co zrobi to drugie i rozumieć się bez słów, i ciągle się śmiali. Wcześniej sądzili, że nie mają ze sobą nic wspólnego, teraz zdali sobie sprawę, jak wiele ich łączy. Przede wszystkim oboje byli zaurzeczni magiczną atmosferą ogrodu i tajemnym światem jego fauny i flory.

Kiedy dzieci wracały ze szkoły, Ava wołała już nie pracować, chyba że miała zrobić coś razem z nimi. Czas spędzany

z dziećmi był dla niej bezcenny. Wiedziała, że lubią przebywać w towarzystwie Jean-Paula, ponieważ wymyślał dla nich twórcze i oryginalne zabawy, i sam chętnie się z nimi bawił. Podglądali razem ptaki, a później dzieci szkicowały je w notesach, które dała im matka, zapisując także dużym, dziecinnym charakterem pisma ich zwyczaje. Poppy zbierała pióra i przyklejała je obok liści, które szczególnie jej się podobały. Chętnie wklejałaby do notesu nawet i małe zwierzątka, gdyby matka już dawno nie wyjaśniła jej, że należy traktować je z szacunkiem i uwagą.

- Są małe, ale to nie znaczy, że nie mają takich samych uczuć jak my! Gdybyś popatrzyła na nas z bardzo dużej wysokości, bylibyśmy nie więksi od nich, a przecież odczuwamy ból, prawda?

Poppy nosiła więc z sobą tekturowe pudełko po butach, do którego wkładała robaki i ślimaki, żeby przyjrzeć im się z bliska, a następnie wypuścić na wolność.

Jean-Paul pomagał dzieciom rysować, uczył je, jak obserwować zwierzęta, zapamiętywać detale i przenosić je na papier. Angus, który miał zaledwie sześć lat, posiadał wrodzony talent plastyczny; Ava oprawiała najlepsze z jego pokolorowanych szkiców i wieszała w swojej sypialni.

Pewnego popołudnia na początku grudnia wybrali się na wyprawę do lasu. Tego dnia krowy zostały wypuszczone na pastwisko za tymiankową ścieżką. Dzieci lubiły, kiedy duże zwierzęta lizały ich wyciągnięte dłonie szorstkimi językami, Ian Fitzherbert dokładnie wyjaśnił im, dlaczego krowy mają właśnie takie języki i że mają pięć żołądków, aby mogły wytwarzać mleko. Dzieci uważały za przyjaciół wszystkie zwierzęta, nawet włochate pająki, do których Ava w głębi serca czuła obrzydzenie. Za każdym razem, gdy Archie złapał takie monstrum do słoika, miała ochotę krzyknąć, wiedziała jednak, że w ten sposób nauczy dzieci bać się nieprzyjemnych stworzeń. Uśmiechała się więc

spokojnie i chwaliła synka, tłumacząc mu, jak smakowite i soczyste są dla innych zwierząt tłuste, okrągłe ciała pajaków, wyposażone w szybkie nogi. Pokazywała dzieciom pajęczyny, zwłaszcza po deszczu, kiedy lśniły w nich klejnoty drobnych kropli, albo zimą, gdy mróz powlekał je błyszczącą warstwą i uparcie powtarzała sobie, że pająki nie ponoszą winy za swój odrażający wygląd. Jak mogłaby kochać ogrody, gdyby nie kochała także wszystkich żyjących w nich istot.

Tego wieczoru zabrali ze sobą koszyki, które mieli napełnić „skarbami” z leśnego poszycia. Poppy rozglądała się za piórami bażantów i kuropatw, które hodował łan Fitzherbert, ale także gołębi i innych mniejszych ptaków. Chłopcy woleli solidniejsze rzeczy, na przykład kasztany, lecz te zbierali już w październiku, polerując je i nawlekając na sznurki. Teraz do zbierania pozostały już właściwie tylko grzyby. Ava nie była pewna, które są jadalne, a które trujące, zabroniła więc chłopcom ich dotykać, zachęcała natomiast synów do szukania nietypowych liści lub pustych łusek po nabojach myśliwych.

Kiedy dzieci zajęły się swoimi sprawami wśród drzew i krzewów, Jean-Paul i Ava powoli ruszyli przed siebie. Nie czuli potrzeby rozmowy. Obserwowali dzieci i chwalili je za osiągnięcia, kiedy przybiegały, aby pokazać znalezione rzeczy, ale głównie szli obok siebie w milczeniu, typowym dla przyjaciół, którzy zupełnie swobodnie czują się w swoim towarzystwie. Słońce wisiało nisko po zachodniej stronie nieba, malując czubki drzew na złocisty kolor. W cieniu było zimno, ale Ava jak zwykle miała na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawem, a jej policzki płonęły ciepłym rumieńcem. Przyglądali się, jak barwy zachodu słońca zmieniały się stopniowo, poruszeni melancholią umierającego dnia. W końcu dotarli na skraj lasu i Jean-Paul przystanął.

- Tragedia zachodu słońca posiada wyjątkową urodę - powiedział.
- To dlatego, że ten moment jest tak ulotny - odparła Ava, patrząc na łąkę. - Zachód słońca podziwiamy przez chwilę, potem już go nie ma. Tak samo jest z tęczą.
- Pragnienie tego, czego nie można mieć, leży w naturze człowieka. Udała, że nie rozumie znaczenia i wagi słów Jean-Paula.
- Uwielbiam tę porę roku - powiedziała, energicznie ruszając dalej. - Powietrze jest już bardzo chłodne, ale na drzewach wiszą jeszcze liście w najwspanialszych kolorach. Zima zawsze budzi we mnie smutek, bo wszystko przestaje rosnąć i umiera.
- Podziwiam cię! Roześmiała się.
- Za co? Nie wydaje mi się, abym miała cechy godne podziwu!
- Masz kochającą rodzinę, twoje dzieci są szczęśliwe, dom emanuje magicznym ciepłem. A ty posiadasz wewnętrzne piękno, które z każdym dniem coraz bardziej mnie zachwyca.
- To bardzo miłe z twojej strony, naprawdę! Nigdy nie przyszło mi do głowy, że posiadam wewnętrzne piękno!
- A jednak tak jest! Masz w sobie coś, czego brak innym. Jesteś pełna sprzeczności. Sprawiasz wrażenie bardzo pewnej siebie, ale ja czuję, że w gruncie rzeczy jesteś zupełnie inna. Wspaniale opowiadasz i umiesz zabawiać innych, lecz wolisz być sama. Udajesz, że lubisz pająki, chociaż widzę przecieź, że się ich boisz. Jesteś dobrą kobietą i za to podziwiam cię najmocniej.
- Dziękuję! - odparła sucho. - Powiem Phillipowi, będzie zadowolony, że ktoś mnie podziwia.
- Nie sądzę, aby był zadowolony, że inny mężczyzna powoli zakochuje się w jego żonie!

Ava milczała, zupełnie zaskoczona.

- Nie musisz odpowiadać. Wiem, że jesteś mężatką i że kochasz swojego męża.

- Więc po co mi to mówisz?! - spytała ze złością, świadoma, że ta deklaracja zepsuje świetnie zapowiadającą się przyjaźń.

- Bo któregoś dnia mogłabyś mnie zadziwić podobnym wyznaniem.

Ava wsadziła rękę do kieszeni.

- Jestem dla ciebie za stara - oświadczyła lekkim tonem, starając się nie patrzeć mu w oczy. - Jesteś moim pracownikiem. Nie wolno zakochiwać się w szefowej!

- Nic nie mogę na to poradzić!

- Jesteś Francuzem, a Francuzi we wszystkich się zakochują.

- Mylisz się, jeszcze nigdy nie byłem zakochany.

- Proszę cię, flirtuj z Lizzie i Samanthą! Obie są mniej więcej w twoim wieku i mogą odwzajemnić twoje uczucie!

- Nie rozumiesz, że te dziewczyny nie budzą żadnych uczuć w moim sercu? Są sympatyczne, to prawda, ale ty jesteś mądra, twórcza i oryginalna. Ich twarze mają blask młodości, lecz ja kocham każdą zmarszczkę na twojej twarzy, tak cudownie zmiennej. W porównaniu z twoją twarzą ich buzie są bardzo przeciętne i pozbawione wyrazu. Samanthą i Lizzie dopiero zaczynają żyć, a ty jesteś starą duszą. Żyłas już wiele razy, podobnie jak ja. Czuję się tak, jakbym szukał cię od samego początku. W moim sercu jest puste miejsce, do którego ty idealnie pasujesz. Nocami nie mogę spać, bo wciąż o tobie myślę.

Szli dalej, lecz panujące między nimi milczenie naznaczone teraz było zażenowaniem Avy.

- Przepraszam, jeśli cię zasmuciłem - odezwał się w końcu. - Nie miałem takiego zamiaru, naprawdę.

Spojrzała na niego. Twarz miał ściągniętą, oczy zdawały się pogrążone w głębokim cieniu. Nagle załała ją fala serdecznego współczucia.

- Mnie też jest przykro - powiedziała, zdając sobie sprawę, że nie jest to głupi żart.

Jean-Paul był jej przyjacielem i zasługiwał na to, aby jego uczucia traktować z szacunkiem.

- Przykro mi, że nie mogę odwzajemnić twojej miłości -dodała cicho.

- Chcesz, żebym wyjechał?

- Nie, chyba że sam tego chcesz.

- Wolę zostać. Teraz żałuję, że ci to wszystko powiedziałem. Boję się, że zniszczyłem naszą przyjaźń.

- Och, nie mów tak! - impulsywnie zarzuciła mu ramiona na szyję.

Gdy odwzajemnił jej uścisk, wstrzymała oddech. Przytulona do niego, czuła się tak, jakby to była najbardziej naturalna sytuacja na świecie. Cofnęła się szybko, zakłopotana i zbita z tropu.

- Nadal mamy mnóstwo do zrobienia w ogrodzie - powiedziała. - Jesteś mi potrzebny!

Poszli dalej brzegiem lasu. Słońce opadało coraz niżej i teraz było już tylko smugą pomarańczowego blasku na horyzoncie. Dzieci wybiegły spośród drzew z pełnymi koszykami. Archie niósł w złożonych dłoniach pajaka, a Poppy zatknęła za opaskę na głowie kilka piór. Angus miał kilka ślimaków i olbrzymiego grzyba, wbrew poleceniu matki.

- Pokażemy go pani Marley. - Ava wzięła od niego koszyk. - Ona będzie wiedziała, czy można go zjeść, a na razie nie wkładaj palców do buzi, skarbie, bo mógłby cię rozboleć brzuch!

Przez resztę drogi do domu dzieci trzymały się blisko dorosłych. Ava dużo mówiła o ogrodzie. Starła się wyrzucić

ze świadomości słowa Jean-Paula, wisiały one jednak między nimi jak neonowe znaki, niemożliwe do zignorowania. Pod domem Jean-Paul na chwilę przystanął.

- Masz ochotę wpaść na filiżankę herbaty? - spytała Ava, ściągając kalosze.

- Nie, dziękuję. Pójdę już do siebie, chyba spróbuję coś namalować.

Ava doskonale go rozumiała. Ona także, kiedy ogarniał ją smutek, lubiła posiedzieć sama w ogrodzie.

- W takim razie do zobaczenia jutro.

- Dobranoc - powiedział, patrząc na nią trochę dłużej niż wydawało się to naturalne.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy odchodził, skrzypiąc butami po żwirze, a po chwili zamknęła drzwi. Kiedy znalazła się w jasno oświetlonym holu, wydawało jej się, że świat zewnętrzny spowija smolista, nieprzenikniona ciemność.

Wieczorem siedziała w salonie z Phillipem i usiłowała czytać. W kominku płonął ogień, z głośników adaptera rozbrzmiewał głos Crystal Gale. Dopiero po paru minutach uświadomiła sobie, że drugi raz czyta tę samą stronę. Przebiegała wzrokiem po słowach, ale jej umysł wciąż na nowo odtwarzał rozmowę z Jean-Paulem. Głęboko wstrząsnęło ją odkrycie, że czuł do niej coś więcej niż przyjaźń. Pewnie przypisałaby jego wyznanie naturalnej dla Francuza nadmiernej uczuciowości, gdyby nie szczerość, którą dostrzegła w jego oczach. Jean-Paul nie udawał, nie grał przed nią żadnej roli, po prostu rzeczywiście się w niej zakochał. Odwróciła kartkę, mówiąc sobie, że jego uczucie jest jak gorączka, która szybko opadnie, a chory wróci do zdrowia. Zerknęła na Phillipa, który siedział w fotelu, z okularami do czytania na czubku nosa. Wyczuł jej spojrzenie i podniósł głowę.

- Na co patrzysz, Krzaczku?
- Na ciebie - odparła z uśmiechem.
- I widzisz coś, co ci się podoba?
- Widzę kogoś, kogo kocham.
- Bardzo się cieszę! Byłbym boleśnie rozczarowany, gdyby było inaczej!
- Głuptas! - prychnęła.

Phillip wrócił do swojej książki i Ava poszła za jego przykładem. Nie do końca zdawała sobie jeszcze sprawę, że wyznanie Jean-Paula uczyniło niewielki wyłom w zbroi jej serca, że wdarło się tam dzięki jej próżności. I że wyłom ten, chociaż maleńki, osłabił całość.

Przyznaję, że jego wyznanie bardzo mi pochlebilo i wprowadziło w stan lekkiej ekscytacji. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mężczyzna tak przystojny jak MF może uznać mnie za atrakcyjną. Tego, co do niego czułam, z całą pewnością nie można by nazwać miłością. Był dla mnie jak piękne zwierzę, które można podziwiać z daleka i z którym można się zaprzyjaźnić, ale nic więcej. Nasza rozmowa w lesie naprawdę mnie poruszyła, a nawet przestraszyła, ale zachowałam ją dla siebie. Nie powiedziałam o niej Phillipowi. Niewykluczone, że gdzieś w najgłębszym zakamarku serca sama także hodowałam gotowość do zakochania się w Jean-Paulu, tylko po prostu nie byłam tego świadoma. Powinnam była odesłać go do Francji i w ten sposób uniknąć cierpienia, które musiało nadejść, ale skąd mogłam wiedzieć... Nie przewidziałam niebezpieczeństwa, któremu szłam na spotkanie. Byłam jak łódka, która po spokojnych wodach niepostrzeżenie płynie w kierunku wodospadu, zdolnego zniszczyć wszystko, co znałam i kochałam. Tamtego wieczoru cieszyłam się uwagą Jean-Paula, pewna, że jestem całkowicie bezpieczna w moim małżeńskim łóżu.

Miranda zaczęła płakać. Sama w swoim gabinecie, zwinięta w fotelu przed kominkiem, pogładziła palcami czerwony liść gumowego drzewa, przyklejony na tej stronie notatnika. Była mężatką od ośmiu lat, ale nigdy nie zaznała miłości tak intensywnej jak uczucie Avy.

Hartington House, 2005

David nie sprawiał wrażenia choćby w najmniejszym stopniu zaciekawionego Jean-Paulem. Ogród był dziedziną Mirandy, podobnie jak dekoracja i umeblowanie domu oraz jego utrzymanie, oczywiście w ogólnym sensie; miał do niej zaufanie i nie zamierzał się wtrącać. Pani Underwood okazała się prawdziwym skarbem, a jej mąż, chociaż trochę ekscentryczny, dbał, by w kominkach zawsze płonął ogień, a ścieżki były oczyszczone z gnijących liści. Na temat Fatimy, która pracowała dwa dni w tygodniu, zawsze przed południem, David nie miał zdania. Nie czuł potrzeby, aby obserwować sprzątaczkę przy pracy.

W pierwszy weekend po wprowadzeniu się Jean-Paula do domku nad rzeką David nie dostrzegł żadnej szczególnej różnicy w porównaniu z poprzednim tygodniem. Obejrzał tylko domek na drzewie, w którym dzieci siedziały od rana do wieczornej kąpieli. Gus pokazał go ojcu z wielką

dumą, domagając się, *by* ten wszedł po drabinie i zajrzał do środka, gdzie stała plastikowa kuchenka, stolik i dwa krzesła. Storm pokazała mu drzwi, był jednak za duży, aby tam wejść. Davidowi przyszło jednak do głowy, że nowy ogrodnik musi być chyba raczej nietypowym pracownikiem, skoro zadał sobie tyle trudu, aby zbudować tak piękny domek dla dzieci. Storm i Gus ani razu nie zapytali go, czy mogą obejrzeć jakiś film na DVD, a Gus zostawił nawet w domu play station. Zauważył też, że dzieci bawią się zgodnie i w ogóle się nie kłócą, co samo w sobie zakrawało na prawdziwy cud. Poczul nawet chęć, aby zamienić parę słów z ogrodnikiem, ale ponieważ Jean-Paul nie przyszedł do domu, David uznał, że nie ma sensu, aby zakłócał Francuzowi wolny weekend.

Jednak pod koniec listopada zaczął dostrzegać wyraźne zmiany. Rabatki i grządki wyglądały na świeżo skopane, oczyszczona z chwastów ziemia miała głęboki, intensywnie brązowy kolor, obumarłe pędy klematisu, które oplatały fronton domu, ścięto, ściągnięto i wyrzucono. Wielkie pagórki gnijących liści czekały na spalenie w warzywniku. Kamienie, którymi dawno temu wyłożono tymiankową alejkę, starannie odchwaszczono, a duże tuje przycięto, nadając im kształt doskonałych kul. Ogród stanowił miły dla oka widok, nawet zimą. David zwykle nie miał ochoty na spacer po swojej posiadłości, częściowo z lenistwa, a częściowo z braku zainteresowania, teraz jednak zrezygnował z golfa, aby nacieszyć się urodą ogrodu.

Im więcej widział, tym bardziej podziwiał Jean-Paula. Miranda z entuzjazmem oprowadziła go po ogrodzie, wskazując rzeczy, które zrobił Francuz i czerpiąc przyjemność z rzadkich chwil spędzanych razem. Zaskoczenie męża obserwowała z uczuciem, że naprawdę udało jej się osiągnąć zamierzony cel i jej nastrój poprawiał się z każdą sekundą. Chciała wziąć go za rękę, co często robił na

początku małżeństwa, kiedy niedzielne poranki upływały im na wędrówkach po Serpentine, ale coś ją powstrzymywało.

- Dzieci bardzo pomagają - powiedziała. - Przybiegają do domu zaraz po szkole, plewią grządki i wywożą chwasty taczkami. Jean-Paul pokazał im, jak piec pianki nad ogniskiem. Nawet pan Underwood tańczył przy ogniu jak Indianin, było to bardzo zabawne.

Miranda uświadomiła sobie, że od dawna nie śmiała się tak razem z Davidem. Od bardzo dawna, a może nigdy... David poczuł się trochę nieswojo.

- Chyba powinienem poznać tego Jean-Paula - oświadczył niechętnie.

- Z tego, co mówisz, wynika, że to ktoś podobny do Mary Poppins.

- Masz rację! Dzieci po prostu nie mogą się nacieszyć jego towarzystwem! Storm zaprzyjaźniła się z krowami Jeremy'ego, a Gus zainteresował się sadzeniem cebulek, lubi też bawić się robakami, które wykopuje z ziemi.

- Najlepiej chodźmy od razu, może go zastaniemy!

- Ale chyba nie powinniśmy przeszkadzać mu w sobotę - zauważyła Miranda.

- Jestem jego szefem, więc mogę przeszkadzać mu, kiedy zechcę! - David powiedział to bardziej surowym tonem, niż zamierzał.

Miranda ruszyła za nim przez łąkę. Dzieci pomachały do nich ze swojego drzewa i szybko ukryły się w środku.

- To drzewo to prawdziwe błogosławieństwo! - zaśmiała się. - Przesiadują tam całymi godzinami i w ogóle się nie nudzą!

- Pewnie lepsze to niż telewizja - mruknął David. Miranda ściągnęła brwi. Jeszcze przed chwilą mąż był

przecież bardzo zadowolony. Pośpiesznie odtworzyła w pamięci ich rozmowę, zastanawiając się, czy może powiedziała coś, co sprawiło mu przykrość.

Z komina domku nad rzeką bił dym, co wskazywało, że Jean-Paul jest u siebie. David zapukał do drzwi i włożył ręce do kieszeni. W cieniu było naprawdę zimno.

Jean-Paul malował w gościnnym pokoju. Kiedy usłyszał pukanie, odłożył pędzel i zszedł na dół. David wyciągnął rękę i przedstawił się w bardzo oficjalny sposób, bez cienia uśmiechu. Jean-Paul okazał się zupełnie inny niż przypuszczał, ale wydał mu się wystarczająco stary.

- Proszę do środka - powiedział Jean-Paul, przepuszczając ich w drzwiach. - Jest raczej zimno.

- Ale pięknie! - uzupełniła Miranda, zrzucając kurtkę na kożusku. - Dzieci siedzą w domku na drzewie, nie udało nam się ich namówić, żeby zeszły!

David usłyszał nutę radosnego podniecenia w jej głosie i z irytacją odwrócił głowę.

- Widzę, że dużo zrobił pan w ogrodzie - odezwał się, wchodząc do salonu, gdzie w kominku wesoło trzaskał ogień, a z odtwarzacza CD rozlegał się głos Crystal Gale. - Naprawdę lubi pan tę muzykę?

- Naprawdę - Jean-Paul spokojnie wzruszył ramionami.

- Cóż, należy pan przecież do innego pokolenia - ciągnął David.

Miranda zaczęła czuć się trochę nieswojo. Bardzo jej zależało, aby David polubił Jean-Paula.

- Siadajcie, proszę. Napijcie się kawy czy herbaty?

- Nie, dziękuję, nie mamy czasu! Chciałem tylko pana poznać. Oczywiście całkowicie ufam opinii żony, ale lubię wiedzieć, kogo zatrudniam.

- Oczywiście - Jean-Paul patrzył na Davida jak wyrozumiały, troskliwy ojciec.

Doskonale rozumiał niepokój młodszego mężczyzny. Reakcje Davida były dla niego tak przejrzyste jak woda w rzece Hart.

- Mam nadzieję, że jeśli pan zadowolony z mojej

dotychczasowej pracy - dodał. - Ma pan piękny dom. Trudno byłoby znaleźć w Anglii równie urokliwą posiadłość.

David wyprostował się, mile połączony słowami Francuza.

- Domek na drzewie, który zbudował pan dla dzieci, to prawdziwy majstersztyk - odwzajemnił się komplementem.

Łatwość, z jaką Jean-Paul usunął w cień jego obawy, wydała mu się równie irytująca jak własna zazdrość.

- Miło patrzeć, że się tak dobrze bawią - dorzucił.

- Podjęliście słuszną decyzję, wyprowadzając się z miasta - powiedział Jean-Paul. - Dzieci powinny dorastać na wsi, bo tu jest dość miejsca, żeby się bawić i biegać. Gus i Storm mają mnóstwo energii, na pewno jesteście z nich bardzo dumni...

- Oczywiście! - David spojrzał na Mirandę i wziął ją za rękę.

Kontakt z jego skórą sprawił, że drgnęła nerwowo.

- Świetnie radzi pan sobie z ogrodem - dodał David, przenosząc wzrok na ogrodnika.

- Dziękuję! - Jean-Paul uśmiechnął się lekko.

Serce Mirandy podskoczyło z radości. David poczuł, jak kąciki jego ust unoszą się instynktownie.

- Proszę dać mi znać, gdyby czegoś pan potrzebował - rzekł. - Przed pana przyjazdem raczej nie zajmowałem się ogrodem, więc pewnie nie mamy narzędzi i takich tam rzeczy.

- Macie tu wszystko, poprzedni właściciele zostawili wam parę kompletów - w głosie Jean-Paula zabrzmiała poważna nuta.

- To dobrze! No, pójdziemy już sobie, żeby panu nie przeszkadzać, może zabierzemy dzieci na spacer.

Miranda rzuciła mu zdziwione spojrzenie. David nigdy nie zabierał dzieci na spacer, co więcej, sam też na ogół nie spacerował. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, puścił jej rękę.

- Bardzo miły człowiek - oświadczył, zmierzając w kierunku mostku. -
Widzę, że polubił dzieci!

- One też go polubiły.

- Jest inny niż się spodziewałem.

- Naprawdę? A czego się spodziewałeś?

- Kogoś w stylu pana Underwooda!

- O, nie! - roześmiała się Miranda. - Jean-Paul jest wykształconym człowiekiem!

- Jeżeli jest wykształcony, to dlaczego zajmuje się ogrodnictwem?

- Może to lubi.

- Nie zarobi na tym dużych pieniędzy!

- Nie wydaje mi się, żeby zależało mu na pieniądzach!

- Zostawił we Francji żonę?

- Nic o tym nie wiem. David zachichotał cynicznie.

- Szybko przeleci wszystkie kobiety w Hartington! To Francuz, a do nich trudno mieć zaufanie, oczywiście w tych sprawach!

- Ależ kochanie, Jean-Paul wcale taki nie jest!

- Mówisz tak tylko dlatego, że nie flirtuje z tobą! Miranda spuściła wzrok i wepchnęła rękę do kieszeni.

W głosie Davida usłyszała ostrą, nieprzyjemną nutę, jego słowa sprawiły jej przykrość.

- Nie, nie flirtuje ze mną - powiedziała cicho.

- Mam nadzieję! Facet zna swoje miejsce, i bardzo dobrze!

Kiedy dotarli do starego dębu, David oznajmił, że wszyscy razem idą na spacer.

- Chcę, żebyś pokazała mi swoje krowy, Storm - powiedział, patrząc, jak podekscytowana dziewczynka szybko wyłania się z otworu dziupli.

We włosach miała drobne gałązki i kawałki mchu, jej policzki płonęły zdrowym rumieńcem. Gus zeskoczył z połowy wysokości schodków, żałując, że nie ma nic, co mógłby pokazać ojcu.

Cofnęli się do mostku i brzegiem rzeki poszli w kierunku pastwiska. Jean-Paul usłyszał ich głosy i zbliżył się do okna. Stał tam chwilę, z przyjemnością obserwując podskakującą wśród trawy małą dziewczynkę. Poppy zwykle chodziła lekkim, tanecznym krokiem, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, i udawała, że jest motylem albo reniferem. Storm zaczynała poznawać magiczną stronę ogrodu, jego niezwykłą aurę, którą Poppy czuła od początku. Był to zaczarowany świat, świat, który zasługiwał na poznanie. Jean-Paul nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże dziewczynce budzącą się ziemię, która zawsze kwiatami nagradzała włożony w nią wysiłek. Wiedział, że prawdziwe czary zaczną się dopiero wiosną.

Gus szedł za ojcem, smagając trawy patykiem, przygarbiony, zupełnie jakby dźwigał na wątłych barkach ciężar całego świata. Miał w sobie dużo gniewu, agresja wrzała w jego sercu niczym lawa. Oczy miał zimne, jakby wolał chronić się przed rozczarowaniami i zawsze zerkał spod grzywki z mieszaniną oczekiwania i nieufności. Teraz, kiedy Jean-Paul poznał oboje jego rodziców, świetnie rozumiał frustrację chłopca. Wiedział, że z dziećmi trzeba rozmawiać, trzeba ich słuchać, dawać im miłość i czas. Nie wątpił, że Miranda i David kochają Gusa i Storm, widział jednak, że nie poświęcają im wystarczająco dużo czasu. Przypomniawszy sobie drobne gesty Avy, wciąż na nowo uświadamiające dzieciom, że matka kocha je całym sercem. Tak mocny fundament stanowił bezcenny dar dla każdego dziecka, był bezpiecznym miejscem, z którego można było wyruszyć na podbój życia.

Po chwili wrócił do malowania. Każde pociągnięcie pędzla odbudowywało jego więź z Avą.

Storm mówiła do krów w taki sposób, jakby były jej przyjaciółkami, głaszcząc krótką sierść między ich oczami.

- Poznają mnie, widzisz? - odezwała się z dumą. - Jean-Paul mówi, że krowy mają pięć żołądków.

- Szczęściary! - zaśmiał się David. - Chciałbym mieć pięć żołądków, bo wtedy mógłbym zmieścić pięć razy więcej pysznego ciasta pani Underwood!

Storm zachichotała. Miranda przyglądała się jej z pogodnym uśmiechem. Minęło już dużo czasu, odkąd robili coś wszyscy razem. Gdy Gus usadowił się na brzegu rzeki i zaczął z roztargnieniem skubać trawę, przykucnęła obok niego.

- Widzisz jakieś ryby?

- Nie.

- Muszę kupić ci wędkę. Jean-Paul na pewno umie łowić ryby.

- Obiecał, że da mi siatkę do łapania ryb! - Oczy chłopca rozbliły się. - I zbudujemy w lesie obóz, z którego będziemy obserwować jelenie! Jean-Paul mówi, że na wiosnę będą miały małe i może nawet zobaczymy borsuka! Zrobię sobie włócznię, żeby zabijać ryby.

- Tego na pewno nie wymyślił Jean-Paul!

- Mógłbym dostać scyzoryk na Gwiazdkę?

- Muszę porozmawiać z ojcem.

- Proszę, proszę!

- Zobaczymy...

Wizja Gusa ze scyzorykiem w ręku wydała się Mirandzie co najmniej niepokojąca.

Po lunchu David nie uciekł jak zwykle do gabinetu, ale zaproponował, aby rozpalili ognisko w warzywnym ogrodzie.

Gus poinformował ojca, że górę śmieci, która tam się znajduje Jean-Paul zamierza spalić w następnym tygodniu.

- Znowu będziemy bawić się w Indian! - oświadczył, wydając na potwierdzenie najprawdziwszy indiański okrzyk.

- To mój dom i moje śmieci - odparł David i poszedł włożyć kalosze.

Miranda szybko się zorientowała, że jej mąż jest zazdrosny o Jean-Paula. Właśnie dlatego wziął ją za rękę w jego domku i dlatego wybrał się na spacer z dziećmi. Jean-Paul okazał się lepszy dla dzieci niż ich własny ojciec. Zamiast cieszyć się zazdrością Davida, zawstydziła się. Ogarnął ją wstyd, że mąż musiał rywalizować z ogrodnikiem, aby dowieść swej wartości jako ojciec.

Tej nocy się kochali. Miranda powtarzała sobie, że powinna być zadowolona, bo przecież przez wiele tygodni prawie się nie dotykali, ale czuła tylko niechęć. Nie miała cienia wątpliwości, że motywacją wszystkich poczynań Davida stała się obecność Jean-Paula. David oznaczał swoje terytorium jak obsikujący drzewo pies. Zamknęła oczy i spróbowała wyrzucić Jean-Paula ze świadomości, lecz nagle wydało jej się, że na ustach czuje dotyk gorących warg Francuza, na ciele dotyk jego dłoni i w tej cudownej chwili uświadomiła sobie, że myśl o Jean-Paulu naprawdę ją podnieca. Z nieoczekiwaną gwałtownością objęła męża ramionami i nogami, usiłując skupić się na znajomym dotyku jego skóry, zupełnie jakby się bała, że te nielojalne myśli odsuną go od niej jeszcze dalej.

Następnego dnia rano pojechali do kościoła. Ponieważ była to ich pierwsza wspólna wizyta w Hartington, mieszkańcy przyglądali im się z taką ciekawością, jakby obserwowali świeżo przywiezione do zoo zwierzęta. Wielebna Freda

Beeley z entuzjazmem uwięziła dłoń Davida między swoimi pulchnymi palcami.

- Tak się cieszę, że was widzę! - oznajmiła. - Wiedziałam, że w końcu przyjedziecie!

Głos wielebnej był głęboki i soczysty. Storm i Gus zachichotali, widząc jak imponujący biust Fredy chwieje się i faluje pod szatą, nadając jej wygląd gigantycznej porcji migdałowej galarety.

Kiedy szli główną nawą, Miranda pochwyciła spojrzenia Troya i Henrietty, i uśmiechnęła się, nie kryjąc zaskoczenia. Wydawało jej się, że do kościoła chodzą tylko starzy ludzie. Oczy Troya rozszerzyły się z podziwu, gdy zobaczył jej płaszcz od Dolce & Gabbana, skórzane wysokie botki i futrzany kołnierz, a Henrietta pomachała dyskretnie, zazdroszcząc Mirandzie naturalnej elegancji i smukłej sylwetki. David podszedł do pierwszej ławki, pewny, że jako pierwsza rodzina Hartington właśnie tam powinni zająć miejsca, ale siedział tam już stary pułkownik Pike, wyraźnie niezadowolony ze wszystkiego, co złe we współczesnym świecie, na przykład duchownych płci żeńskiej oraz istot takich jak Joan Halesham i jej osiemdziesięcioletni ukochany.

W tej sytuacji David niechętnie usadowił się w drugiej ławce.

Storm i Gus na pewno wynudziliby się jak nigdy w życiu, gdyby nie organistka Dorothy Dipwood, która galopowała przez hymny albo niepotrzebnie zwalniała, nie zwracając najmniejszej uwagi na zgromadzonych wiernych, ci zaś w zgodzie z organami śpiewali tylko ostatni wers każdej pieśni. Wielebna Beeley skakała przed zgromadzeniem jak piłka, obficie gestykulując i przemawiając z taką emfazą, jakby mówiła do dzieci. David był szczerze rozbawiony, natomiast Miranda, która w dzieciństwie nabrała niechęci do nabożeństw, ponieważ zmuszano ją do częstego w nich uczestniczenia, z zainteresowaniem obserwowała dzieci.

Rozglądała się też po ładnym kościele o starych murach i wysokim sklepieniu, zastanawiając się, jak ludziom udało się zbudować go tyle wieków temu bez pomocy nowoczesnej technologii. Była zresztą gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie myśleć o Jean-Paulu. Kazanie wielebnej dotyczyło czerpania radości z drobnych rzeczy w coraz bardziej rozgorączkowanym świecie, ale ani Miranda, ani David nie słuchali zbyt uważnie.

Po nabożeństwie pułkownik Pike zaprosił Davida do siebie, aby pokazać mu zdobyte podczas wojny medale. Miranda odszukała Troya i Henriette, natomiast dzieci odkryły parafialny cmentarz i zajęły się przeskakiwaniem z jednego nagrobnego kamienia na drugi. Słońce świeciło jasno i nikomu z wiernych nie śpieszyło się do domu. Ciepłe promienie ogrzewały twarz Mirandy, która chyba po raz pierwszy w życiu czuła, że należy do jakiejś społeczności. Z przyjemnością stała na placyku przed kościołem z dziećmi i mężem i rozmawiała z mieszkańcami Hartington; uczucie to potęgowała świadomość, że w domu pani Underwood przygotowuje wołową pieczeń oraz pudding. Wszystko było tak, jak należy.

- Może wpadłabyś podciąć trochę włosy, skarbie? - zaproponował Troy. - Masz piękne, lśniące włosy, ale strzyżenie warstwowe dodałoby im objętości.

- Och, sama nie wiem. Nigdy nie strzygłam tak włosów - odparła Miranda, przekonana, że tylko Robert z salonu Richarda Warda potrafi zrobić jej odpowiednią fryzurę.

- Więc wpadnij napić się z nami herbatki w salonie! Będziemy tylko my troje, co ty na to?

- Bardzo chętnie... Jutro rano?

- Jak tylko odstawisz dzieci do szkoły, bo pierwszą klientkę mam dopiero o dziesiątej!

- A ja też otwieram dopiero o dziesiątej - dorzuciła Henrietta.

- Przyniosę gorące croissanty od Cate, ale będziemy musieli ukryć się w pokoiku z tyłu salonu - uprzedził Troy. - Jeżeli Cate nas zobaczy, zrobi piekło!

- Nie byłoby prościej spotkać się u niej w cukierni? - zapytała Miranda.

- Nie! - wykrzyknęli zgodnie.

- Nie - powtórzył kwaśno Troy. - Ostatnio mam już trochę dosyć Cate.

- Dlaczego spotykacie się z nią, jeśli jej nie lubicie? - Miranda uniosła brwi.

- Z przyzwyczajenia - odparł niedbale Troy. - To tak, jak z nadużywaniem alkoholu, wiesz, że ci szkodzi i że później będziesz się okropnie czuła, ale nie umiesz z tego zrezygnować, bo to część twojego życia.

Po tak miło spędzonym poranku David wpadł w znakomity nastrój i obiecał dzieciom, że pójdzie z nimi na farmę Jérémy'ego, żeby pojeździć na ciągnikach. Storm spotkała w kościele kilka koleżanek ze szkoły, a Gus dołączył do małej grupki, nikogo nie strasząc i nie terroryzując. Miranda musiała prawie siłą zawlec dzieci do samochodu, obiecując dziewczynkom liczne spotkania po szkole. Sama także miała doskonały humor. Pogoda była piękna, pani Underwood przygotowała prawdziwą ucztę, nie wątpiła więc, że ma przed sobą rozkoszne popołudnie.

I wtedy David pojawił się w holu z torbą, oświadczając, że musi złapać wcześniejszy pociąg do Londynu. Miranda nie kryła rozczarowania. Wszystko układało się tak doskonale... Czy David nie chciał spędzić z nimi jeszcze paru godzin? Dokąd tak mu się śpieszyło? Czy rzeczy naprawdę ważne w jego życiu nie rozgrywały się tutaj, w Hartington? Pocałowała go na pożegnanie, ale jego pocałunek był pośpieszny i pełen roztargnienia. Spędzane osobno tygodnie

powoli robiły z nich obcych sobie ludzi. Miranda wiedziała, że powinna ufać Davidowi, nie miała zresztą powodu, aby stracić do niego zaufanie, ale stopniowo zaczynała powątpiewać w uczucie męża, a wątpliwość ta była jak kamyk w bucie. Może David miał kogoś?

Gus z gniewnym smutkiem patrzył, jak taksówka, do której wsiadł ojciec, znika w oddali. Miał ochotę na zabawę na farmie pana Fitzherberta i był mocno zawiedziony. Storm wróciła do domu razem z matką. Gus podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w niepodejrzewającego go o złe intencje kosa, a potem pobiegł w stronę lasu. Kiedy znalazł się obok domku dla ptaków, przystanął. W wysokiej trawie odpoczywał jeź. Chłopiec przykucnął, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Zwierzątko patrzyło na niego lękliwie. Gus palcem dotknął jego mordki, a wtedy jeź zwinął się w kulkę. Gus uśmiechnął się szeroko - jeź świetnie nadawał się na piłkę do kopania.

- Co tam znalazłeś? - rozległ się nagle głos Jean-Paula. Gus podniósł się szybko, czując, jak jego policzki zalewa gorący rumieniec wstydu.

- Jeża? - Francuz ukląkł na ziemi. - Wiesz, dlaczego zwinął się w kulkę?

- Ze strachu.

- Właśnie! No, przyjrzyjmy mu się z bliska. Wydaje mi się, że coś mu dolega - powiedział Jean-Paul, świadomy, że ma okazję nauczyć chłopca czegoś ważnego. - Widzisz, jak drży?

Gus kiwnął głową.

- Wiesz, wszystkie zwierzęta mają wyostrzony szósty zmysł. Od razu wiedzą, komu mogą ufać, a kogo trzeba się bać.

- Naprawdę? - Gusa ogarnęło uczucie ulgi, że jeź nie potrafi powiedzieć Jean-Paulowi, co mu groziło.

- Popatrz - Jean-Paul wsunął obie dłonie pod jeża i podniósł go z ziemi.

Trzymał go delikatnie, tuż przy koszuli. Po paru chwilach zwierzę rozluźniło się i wilgotnym noskiem zaczęło obwąchiwać skórę ogrodnika.

- Zaniesiemy go do mnie i zrobimy mu posłanie -oświadczył Jean-Paul. - Chyba jest trochę chory, nie sądzisz?

Zawrócili nad rzekę tymiankową alejką. Jean-Paul zaczął opowiadać Gusowi o zwierzętach, o szacunku i opiece, jaką ludzie są winni innym istotom. Inspiracją był dla niego dobiegający poprzez barierę lat głos Avy, która dawno temu przekazywała tę samą lekcję swoim dzieciom. Kiedy dotarli do domku, Jean-Paul owinał jeża w ręcznik i dał Gusowi do potrzymania. Gus w pierwszej chwili przestraszył się, że zwierzątko go ugryzie, ponieważ wcześniej tak bezmyślnie jeździł mu palcem po pyszczku, ale Jean-Paul szybko go uspokoił.

- Ten jeż czyta w twoich myślach - powiedział. - Jeżeli są łagodne i pełne miłości, zwierzę wyczuje te emocje i przestanie się bać.

I rzeczywiście, po paru minutach jeż przestał drzeć i zaczął obwąchiwać dłonie chłopca. Gus zachichotał.

- Chce mnie zjeść!

- Nie, on tylko bada otoczenie - uśmiechnął się Jean-Paul. - Całkiem możliwe jednak, że jest głodny. Włożymy go do tego pudełka i damy mu trochę mleka.

- Wyzdrowieje?

- O, tak. Będziemy go karmić i trzymać w cieple, a jutro zwrócimy mu wolność. Najprawdopodobniej zjadł coś, co mu zaszkodziło.

- Ma taki śmieszny nosek! - Gus znowu zaśmiał się głośno.

- Ten jeż ma pewnie mamę i tatę, którzy teraz bardzo za nim tęsknią. Niewykluczone też, że ma braci i siostry. Jutro rozejrzemy się, czy nie kręcą się gdzieś w pobliżu.

- Dobry pomysł! - ucieszył się Gus.

- Gdyby ktoś cię skrzywdził, twoi rodzice bardzo by się przejęli, prawda?

Chłopiec przytaknął.

- A gdybyś ty zrobił coś złego temu jeżowi, jego rodzice także przeżyliby straszne chwile, nie sądzisz?

Gus wzruszył ramionami, chcąc jak najszybciej pozbyć się wyrzutów sumienia.

- To zwierzę wcale tak bardzo się od ciebie nie różni - zauważył spokojnie Jean-Paul. - Ma takie samo prawo do życia na ziemi jak ty. Wszyscy żyjemy tu razem i wszyscy pewnego dnia umrzemy. Musisz szanować stworzone przez Boga istoty, nawet te najmniejsze, na przykład mrówki. Zrobisz to dla mnie, prawda?

- Tak - obiecał Gus, głaszcząc palcem pyszczek jeża, który sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Jean-Paul nalał mleka do miseczki.

- Co robi twoja siostra? - spytał.

- Jest z mamą. Tata pojechał do Londynu - twarz chłopca spochmurniała.

- Jesteś zawiedziony?

- Wcześniej powiedział, że zabierze nas na farmę pana Fitzherberta i pojeździ z nami traktorem.

- Wasz tata jest bardzo zajęty, prawda?

- Zawsze jest zajęty! Nigdy nie ma czasu, żeby się z nami pobawić!

Zupełnie nieoczekiwanie Gus otworzył serce przed Jean--Paulem. Emocje, których nigdy nie potrafił ubrać w słowa, wylały się z niego niepowstrzymanym strumieniem.

- Chcą wysłać mnie do szkoły z internatem. Ale to nie moja wina. To nie ja zacząłem! Ugryzłem go tylko dlatego, że mnie wyzywał! Tata zawsze obiecuje, że się ze mną pobawi, a potem mówi, że nie ma czasu! On nigdy nie ma czasu! Inni tatusiowe bawią się ze swoimi dziećmi, dlaczego on nie może pobawić się ze mną?!

Chłopiec rozplakał się jak małe dziecko. Jean-Paul otoczył go ramieniem, uważnie słuchając ledwo zrozumiałej listy większych i mniejszych niesprawiedliwości. Po pewnym czasie Gus uspokoił się i tylko od czasu do czasu całe jego ciało drgało, wstrząsane niemożliwym do opanowania szlochem.

- Dorosłych czasem naprawdę trudno zrozumieć - odezwał się Francuz. - To niesprawiedliwe, że twój ojciec obiecuje pobawić się z tobą, a potem nie dotrzymuje słowa i sprawia ci zawód, ale mimo wszystko powinieneś brać pod uwagę jego dobre intencje. Chciał się z tobą pobawić i miał taki zamiar. Możliwe, że został pilnie wezwany do Londynu i teraz jest tak samo rozczarowany jak i ty.

Gus prychnął, dając wyraz swemu niedowierzaniu.

- Musisz powiedzieć rodzicom, że nie chcesz iść do szkoły z internatem.

- Nie będą chcieli mnie słuchać! Nigdy mnie nie słuchają!

- W takim razie musisz poprosić ich, żeby cię wysłuchali i nie ustępować. Zachowaj jednak spokój i nie złość się. Musisz dać im dobry przykład, dołożyć starań, żeby dostrzegli twoją determinację. Wtedy zachowają się tak jak ty.

Gus popatrzył na niego bez przekonania.

- Dalej masz ochotę pojeździć na traktorze? - zapytał Jean-Paul.

Oczy chłopca rozblęły.

- Więc chodźmy, do podwieczorku mamy jeszcze trochę czasu!

Miranda nie należała do osób, które grzebią w rzeczach swoich bliskich. Ona i David nie mieli dotąd przed sobą tajemnic, lecz kiedy dzieci poszły spać, zmęczone zabawą na farmie, zaczęła przeglądać jego biurko.

David miał tam idealny porządek. Miranda znalazła osobne teczki na listy, osobne na domowe rachunki, faktury firm

ubezpieczeniowych i tak dalej, i szybko uświadomiła sobie, że jeżeli mąż pragnie coś przed nią ukryć, na pewno nie trzyma tego w domu, ale raczej w Londynie.

Napełniła wannę wodą, dołała do niej trochę olejku lawendowego, zanurzyła się aż po szyję i zamknęła oczy, z przyjemnością wdychając pachnącą parę. Wyrzucała sobie, że ma podejrzliwy umysł. Powinni po prostu spędzać z sobą więcej czasu, to wszystko. Postanowiła, że w następny weekend porozmawia o tym z Davidem.

Po kąpieli zapaliła pachnącą świeczkę, zwinęła się w kłębek pod kołdrą i otworzyła znaleziony w domku nad rzeką notatnik. W tej czynności było coś czarodziejskiego, zupełnie jakby otwierała drzwi do świata dużo piękniejszego niż ten, w którym żyła. Nieznany świat całkowicie ją pochłaniał, wspomnienia oplatały serce srebrną nicią i wciągały w odmienną rzeczywistość. Czuła miłość gorącą jak słońce i ból równie dotkliwy jak ten, który ją dotykał. Czytając, uciekała od narastającego chłodu swego małżeństwa w ciepły świat tajemnic innej kobiety.

Nasza miłość od samego początku skazana była na klęskę. Była tak ulotna jak zachód słońca. Powiedziałeś kiedyś, że zachód słońca to tragedia, która budzi w tobie głęboki smutek. Może właśnie ta ulotność, ta nietrwałość stanowi o pięknie tego zjawiska, kto wie. Może nasza miłość jest tak słodka właśnie dlatego, że nie ma dla niej nadziei. Czy zachód słońca zachowałby swą magię, gdyby można go było zatrzymać i ciągle żyć w porze zmierzchu? I czy nasze uczucie byłoby tak gorące, gdyby nie oczekiwanie straty? Nigdy się tego nie dowiemy, bo strata, żal i wspomnienie szkarłatu i złota są wszystkim, co mamy.

*CHMURY O ZACHODZIE SŁOŃCA, RÓŻOWE JAK CUKROWA WATA. UTKANE
NA GAŁĄZKACH KRZEWÓW PAJĘCZYNY, PODOBNE DO KORONKI*

Jean-Paul stał na kamiennym mostku. Było ciemno i zimno, niebo przybrało barwę głębokiego granatu, na jego tle lśniły gwiazdy. Księżyc stał wysoko, otulony „lisią czapą”, szaro-białą aureolą z mgły. Oparł dłonie na balustradzie i przechylił się, żeby popatrzeć na wodę. Światło odbijało się od drobnych fal na powierzchni rzeki, powoli płynącej w kierunku morza. Wpatrywał się w nią tak długo, aż rozboleły go oczy, jednak zanim zamrugał, ujrzał jej twarz, odbitą w wodzie obok księżyca i patrzącą na niego z taką samą tęsknotą.

Nie mógł zasnąć. Trudno było znaleźć spokój w domku, który kiedyś należał do nich dwojga. W każdym pokoju odnajdywał echo jej obecności, każdy dźwięk przywoływał wspomnienia, a zapach kwiatu pomarańczy dręczył go słodkim bólem. Pobyt w domku przypominał dotykaniem językiem ruszającego się zęba, cierpienie łączyło się z dziwną przyjemnością. Mógłby wyjechać stąd choćby i dzisiaj, ale

myśl o pustym château budziła w jego sercu jeszcze większy niepokój. Skoro nie mógł spędzić z nią przyszłości, wołał szukać pociechy w przeszłości, wciąż jeszcze cieplej od wspomnień o niej.

Następnego dnia rano Miranda długo wybierała strój i w końcu zdecydowała się na jasnoszare dżinsy, szary kaszmirowy sweter polo i wysokie brązowe buty od Ralphi Laurena. To, że mieszkała teraz na wsi, nie oznaczało jeszcze, że musi obniżyć swoje standardy. Umalowała się, spryskała perfumami, napełniając łazienkę aromatem limetki, bazylii i mandarynki i lekkim krokiem zbiegła na dół, żeby zrobić dzieciom śniadanie.

Ponieważ miała być w salonie Troya o dziewiątej, postanowiła zawieźć dzieci do szkoły samochodem i zostawić ich rowery na końcu podjazdu, żeby mogły wrócić na nich do domu. Była już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Pomyślała, że pewnie Troy chce odwołać ich spotkanie, ponieważ w Londynie odwoływanie spotkań zdarzało się równie często jak niezapowiedziany w prognozie deszcz.

Ku jej zdziwieniu dzwoniła sprzedawczyni z londyńskiej firmy jubilerskiej Theo Fennell, której klientką była od wielu lat.

- Przepraszam, że niepokoję panią tak wcześnie rano, pani Claybourne - odezwała się dziewczyna miękkim głosem osoby z dobrej rodziny. - Zapodziałam gdzieś numer do biura pani męża, a bardzo zależało mu na wygrawerowaniu napisu przed Bożym Narodzeniem. Zapiisałam numer w notesie, ale nie mogę go znaleźć. Pracuję tu od niedawna I naprawdę bardzo mi wstyd, że przydarzyło mi się coś tak głupiego. Theo zabiłby mnie, gdyby wiedział!

Mirandę ogarnęło zaniepokojenie. Może David kupił jej coś drogiego na Gwiazdkę? Wiedział przecież, że Theo Fennell to jedna z jej ulubionych firm.

- Co mój mąż u pani kupił? - zapytała ze śmiechem, pragnąc wyciągnąć ze sprzedawczyni więcej informacji.

- Chyba nie powinnam pani tego mówić - odparła nerwowo.

- No, chyba rzeczywiście. Już podaję pani numer męża, ale proszę mu nie mówić, że rozmawiała pani ze mną, dobrze? Nie chciałabym zepsuć mu niespodzianki, wiem, że sprawiłabym mu dużą przykrość.

- Och, bardzo pani dziękuję! - zawołała dziewczyna z wyraźną ulgą.

Miranda podyktowała jej numer Davida i odłożyła słuchawkę. Jakiś piękny drobiazg od Theo Fennella byłby miłą rekompensatą za długie nieobecności męża w domu. Jak mogła wątpić w jego uczciwość.

Kiedy Miranda przyjechała do Troya, Henrietta już tam była i z rozkoszą pochłaniała gorącego croissanta. Powietrze w salonie słodko pachniało szamponem i lakierem do włosów, a kaloryfery przyjemnie grzały. Miranda zdjęła granatowy kaszmirowy płaszcz firmy Celinę (wyglądał w garderobie tak smutno, że postanowiła go włożyć, chociaż był zdecydowanie zbyt szykowny jak na Hartington) i schowała ciemne okulary do etui. Troy ponaglił ją, żeby przeszła do pokoiku na zapleczu, zanim Cate wyjrzy przez okno. Cała trójka usadowiła się przy biurku, na którym piętrzyły się stosy faktur oraz innych dokumentów. Powietrze wibrowało podnieceniem. W Hartington nieczęsto podejmowano walkę z Cate.

- Jeżeli się dowie, wdepniemy po kolana w gówno - oświadczył Troy, podając Mirandzie kubek z herbatą.

- Nigdy nam nie powie, kiedy znowu zjawi się u niej ten fascynujący Francuz - dodała Henrietta.

- Wszyscy jesteśmy w nim zakochani - dramatycznie westchnął Troy.

- W kim? - zapytała Miranda.

- W tajemniczym Francuzie! - wyjaśniła bez tchu Henrietta. - Pierwszy raz pojawił się tu w październiku. Pomyśleliśmy wtedy, że to turysta, lecz teraz wrócił, widzieliśmy go przez okno. Na śniadanie zamawia czarną kawę i croissanta. Cate zadaje mu najrozmaitsze pytania i próbuje go jakoś podpuścić, ale on się nie daje, chociaż ona i anioła namówiłaby do opowiedzenia pełnej historii życia!

- Nie mówicie chyba o moim Francuzie? - Miranda uniosła brwi.

Henrietta i Troy popatrzyli na nią ze zdumieniem.

- Nie wiedziałem, że masz jakiegoś Francuza, skarbie - odezwał się w końcu Troy.

- Nie mam żadnego Francuza, bo nie jestem jego właścicielką, ale zatrudniam pewnego Francuza. Jest po pięćdziesiątce, bardzo przystojny, ma głęboko osadzone orzechowe oczy, szpakowate włosy, niezbyt krótko przystrzyżone, i olśniewający uśmiech.

- O, mój BOŻE! - wykrzyknął Troy. - To rzeczywiście twój Francuz!
Co on u ciebie robi?

- Zajmuje się ogrodem.

- Zajmuje się ogrodem? - powtórzyli chórem.

- Tak, jest ogrodnikiem.

- Nie żartuj sobie! - powiedziała Henrietta. - To producent filmowy albo pisarz, na pewno nie ogrodnik!

- To ogrodnik - potwierdziła spokojnie Miranda.

- Gdzie ty go znalazłaś, na miłość boską? - spytał Troy.

- Nie ja go znalazłam, ale on mnie. To długa historia.

- Mamy do dyspozycji cały ranek!

Miranda opowiedziała więc o swoim spotkaniu z Jean-Paulem. Troy i Henrietta słuchali jej w całkowitym milczeniu.

- Przyprowadził Storm do domu i zaczęliśmy rozmawiać. Zapytałam go, czym się zajmuje, a on odparł, że jest

ogrodnikiem. Zapropnowałam, żeby zajął się naszym ogrodem i zgodził się bez wahania. Muszę przyznać, że było to trochę dziwne...

- Jest żonaty? - zagadnęła Henrietta.

- Nie.

- Och, to świetnie! - ucieszyła się Henrietta, gotowa rozpocząć nową dietę natychmiast po zjedzeniu croissanta.

- Gej? - chciał wiedzieć Troy.

- Trudno powiedzieć - Miranda zaczerwieniła się gwałtownie, przypomniawszy sobie swoje nieskromne myśli. - Ale bardzo wątpię. Intuicja mówi mi, że jest hetero.

- Jak udaje ci się zapanować nad sobą w ciągu tygodnia, kiedy twój mąż jest w Londynie? - Troy zmierzył ją baczny spojrzeniem.

- Nie mam na niego ochoty - skłamała Miranda, niedbale wzruszając ramionami.

- To tylko jeszcze jeden dowód, że jesteś naprawdę szczęśliwa w małżeństwie! - westchnęła z zawiścią Henrietta.

- Twój mąż jest jednak pewnie bardzo zazdrosny - zauważył Troy.

- Mąż Mirandy jest bardzo atrakcyjny, mój drogi!

- Ale nie tak atrakcyjny jak ten Francuz. Jak on ma na imię?

- Jean-Paul - odparła Miranda.

- Jean-Paul... O, Boże, jak seksownie! Czy to nie irytujące, że Cate rzeczywiście miała rację?

- Co masz na myśli? - Miranda pociągnęła łyk herbaty.

- Upierała się, że znalazłaś swojego ogrodnika dzięki jej tablicy ogłoszeniowej!

- Więc wcale nie miała racji! - zaprotestowała Miranda.

- Ależ miała - powiedziała powoli Henrietta. - W pałdzierniku widzieliśmy go w jej cukierni. Wypytywał Cate o wasz dom, o to, kto tam teraz mieszka. Dlatego uznaliśmy, że to turysta.

Miranda postawiła kubek na blacie biurka i zmarszczyła brwi.

- I co, czytał moje ogłoszenie?

- Nie mógł go przegapić, skarbie - uśmiechnął się Troy. -Wszyscy w Hartington widzieli twoje ogłoszenie!

Miranda poczuła się nagle dziwnie nieswojo.

- Ani słowem nie wspomniał o ogłoszeniu, kiedy z nim rozmawiałam.

- Może nie pozwoliłaś mu dojść do głosu - zasugerowała nieśmiało Henrietta.

- Tak, masz rację - przyznała Miranda. - Kiedy się denerwuję, potrafię być okropnie gadatliwa, zdarza mi się to.

Troy uśmiechnął się szeroko.

- A więc jednak miałaś na niego ochotę, tak? Miranda odwzajemniła uśmiech.

- Trochę, ale tylko z początku, teraz już nie - powiedziała pośpiesznie.

- Co za ulga! - zawołał Troy. - Więc mimo wszystko jesteś istotą ludzką!

Miranda pojechała do domu, opędzając się od wątpliwości co do Jean-Paula. Nie było przecież żadnego powodu, dla którego miałby wspominać o jej ogłoszeniu. Może w ogóle nie brał pod uwagę podjęcia pracy, dopóki nie wystąpiła z propozycją. Ostatecznie to Storm przyprowadziła go do domu, gdyby nie ona, na pewno nigdy nie przyszedłby do Hartington House...

Kiedy weszła do kuchni, Fatima sprzątała właśnie po śniadaniu.

- Dzień dobry, pani Claybourne! - zawołała śpiewnie, krzątając się wokół dużego blatu z energią dużo młodszej kobiety. - Proszę niczym się nie przejmować, niech pani idzie popracować, a ja postaram się, żeby cały dom po prostu błyszczał!

Miranda usiadła w swoim gabinecie i zabrała się do pisania artykułu dla magazynu „Telegraph”, usiłując zapanować nad lekkim roztargnieniem. Myślała o Jean-Paulu, o dzieciach, które potrzebowały nowych ubrań na zimę oraz

o swoim narastającym pragnieniu pożegnania się z tymi idiotycznymi tekstami do gazet i poświęcenia się pisaniu powieści. Nagle dotarło do niej, że święta zbliżają się wielkimi krokami, a ona nie kupiła jeszcze ani jednego prezentu. Postanowili przecież spędzić święta w nowym domu, goszcząc rodziców Mirandy i jej niezameżną ciotkę. Siostra Mirandy wyszła za mąż i przeprowadziła się do Australii, co nie stanowiło wielkiego zaskoczenia dla Mirandy, która także chętnie zamieszkałaby w jak największej odległości od swojej matki. Bała się nadchodzącej Gwiazdki jak bolesnego i niebezpiecznego dla zdrowia zabiegu.

Kończyła pierwszy akapit tekstu, kiedy do pokoju wszedł pan Underwood z naręczem szczap do kominka, które wrzucił do metalowego kosza. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, a następnie popełniła poważny błąd, pytając pana Underwooda, jak się czuje.

- Cóż, skoro pani pyta, to muszę przyznać, że od dłuższego czasu drapie mnie w gardle, ale tylko drapie, trochę tak, jakby biegała mi tam mrówka, albo może pająk z wieloma małymi nóżkami. Kłopot w tym, że to drapanie pobudza kaszel. Byłem już u lekarza. Nie doszukał się niczego złego ale mnie to przeszkadza...

I pan Underwood zakasłał, krzywiąc się i demonstrując poważny dyskomfort.

- Bardzo mi przykro-mruknęła Miranda, szczerze żałując, że w ogóle zadała uprzejme pytanie.

- Pani Underwood twierdzi, że powinienem jeść łyżkę miodu kilka razy dziennie, lecz ja nie przepadam za miodem. Jest za słodki, a ja lubię głównie słone rzeczy na przykład bekon. - Chwilę uważnie przyglądał się

Mirandzie, jakby się spodziewał, że będzie kontynuowała rozmowę.

- No, muszę wracać do pracy - zauważyła z nadzieją, że pan Underwood zrozumie jej sugestię.

- O, tak, proszę się mną nie przejmować! Nie powinienem zakłócać pani natchnienia! Rozmawiałem dziś rano z Jean-Paulem, bardzo wcześnie, bo on wstaje z kurami. Powiedział mi, że zrównamy z ziemią wiejską część ogrodu, wyrwiemy wszystko jak leci i zaczniemy od nowa...

Mirandę ogarnęło przerażenie. Od razu pomyślała o Avie i ogrodzie, który założyli razem z MF. Nie mogła pozwolić, aby Jean-Paul go zniszczył.

- Jak to, cały wiejski ogród? - zapytała.

- Tak, pani C, cały, pozbędziemy się wszystkiego! -Oczy pana Underwooda załśniły zapalem. - A potem spalimy te chwasty! Ułożymy wielkie ognisko i spalimy je!

- Muszę z nim porozmawiać! - przeraziła się Miranda. -Przecież coś chyba jednak da się ocalić!

- O, nie, wszystkie rośliny są martwe, wyschnięte albo gnijące!

- Może jednak ja to ocenię - odparła Miranda, chociaż nie czuła, aby ze swoim brakiem doświadczenia była w stanie cokolwiek ocenić.

Zamykała już za sobą drzwi, kiedy z gabinetu dobiegło ją ciche „ping!” komputera. Jeszcze jeden e-mail. Ach, do diabła z e-mailami, pomyślała i z triumfalnym uśmiechem wybiegła do holu.

Jean-Paula znalazła siedzącego na niebieskiej ławce, okalającej pień górskiego jesionu pośrodku wiejskiego ogrodu. Oparł łokcie na kolanach i powoli pocierał podbródek, głęboko zamyślony. Serce jej zadrżało, gdy wyczuła drążący go smutek.

- Dzień dobry - odezwała się spokojnie.

Odwrócił się i popatrzył na nią brązowymi oczami o tak skupionym wyrazie, że zarumieniła się nagle.

- Byłem daleko stąd - westchnął, prostując się.

- W jakimś przyjemnym miejscu? - zapytała z nieco sztuczną bez troską.

- Tak - odparł. - Przeszłość jest cudowna. Wypowiedział te słowa z tak wielką tęsknotą, że miała

ogromną ochotę zapytać, o czym myślał, zabrakło jej jednak śmiałości. Usiadła obok niego na ławce.

- Pan Underwood mówi, że chce pan wyrwać wszystko, co rośnie w tej części ogrodu.

- Nie, nie wszystko. Niektóre rośliny pewnie uda się uratować, inne trzeba będzie przesadzić. Jest już późno, mamy prawie grudzień, ale pogoda sprzyja i z pomocą odrobiny magii...

Miranda przygryzła wargę.

- Prosił mnie pan, żebym zostawiła ogród w pana rękach, żebym panu zaufała - zaczęła ostrożnie. - I ufam panu, oczywiście, sęk jednak w tym, że pani Lightly kochała to miejsce, miało ono dla niej wyjątkowe znaczenie. Nie wydaje mi się, aby wprowadzanie aż tak wielkich zmian było dobre.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd pani wie o pani Lightly?

- Och, dużo o niej słyszałam! Wszyscy w okolicy wiedzą o jej ogrodzie.

Miranda szczerze pragnęła podzielić się z kimś zawartością notatnika, ale zaangażowała się zbyt mocno, aby okazać się nielojalną wobec kobiety, do której należał.

- Proszę posłuchać, Mirando. Rozumiem, że nie chce pani zniszczyć tego, co stworzyła tu poprzednia właścicielka posiadłości i ja także tego nie chcę. Widzę nie tylko chwasty, ale i ogród, który kiedyś tu był. Postaram się odtworzyć go z jak największą dokładnością, proszę mi wierzyć.

Odetchnęła z ulgą.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- Och, bardzo dziękuję! Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ona wróciła tu któregoś dnia i zobaczyła, że wszystko zepsuliśmy!

- Myśli pani, że wróci?

- Nigdy nie wiadomo, prawda?

- Tak - niepewnie pokręcił głową. - Tak, rzeczywiście nigdy nie wiadomo...

Jean-Paul i pan Underwood przystąpili więc do odtwarzania wiejskiego ogrodu. Wyglądało to zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Jean-Paul pierwszy raz zakładał go z Avą, Hec-torem i dziećmi. Wtedy wszyscy gadali i śmiali się w słońcu, psy tarzały się w trawie, a gołębie gruchały na dachu. Właśnie w tamte dni Ava powoli wykradała serce Jean-Paula, kawałek po kawałku, niepostrzeżenie...

Miranda dała sobie spokój z ostatnim artykułem. Nie miała weny. Trudno było jej się skoncentrować, ciągle myślała o dzieciach i Jean-Paulu. Siedziała przy biurku i czuła coraz większe rozdrażnienie na widok e-maili, w których proponowano jej tematy następnych tekstów. Była niezadowolona z tego, co pisała i dlatego pisanie przychodziło jej coraz trudniej. Zamiast zmagać się z nowymi pomysłami, wygodnie układała się na poduszkach i sięgała po notatnik. Patrzyła na szkic przedstawiający wiejski ogród i uśmiechała się. Namalowano go zdecydowanymi pociągnięciami pędzla, intensywnymi kolorami. Z radością pokazałaby go Jean-Paulowi, żeby mógł dokładnie odtworzyć tę wizję, nie mogła się jednak na to zdobyć. Wiedziała, że nigdy nie pokaże szkicu ani jemu, ani nikomu innemu, ale jeżeli kiedyś spotka panią Lightly, odda go jej.

*ACH, TE PSOTNE WIEWIÓRKI NA PARAPECIE OKNA DOMKU NAD RZEKĄ.
CZUJĄ CIEPŁO NASZEJ MIŁOŚCI I PRAGNĄ OGRZAĆ SIĘ PRZY NIM TAK JAK MY...*

Dzieci zaczęły świąteczną przerwę w chwili, gdy Miranda przywykła już do tego, że codziennie rano odwozi je do szkoły, a potem spotyka się z Troyem i Henriettą w salonie albo w cukierni Cate. Powoli zaczęła integrować się z małą społecznością Harrington, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie miała takiego zamiaru. Stało się to niepostrzeżenie, powoli i stopniowo. Oboje z Davidem coraz chętniej zatrzymywali się w niedzielę po mszy na placyku, swobodnie gawędząc z miejscowymi. David odwiedził pułkownika Pike'a, który z dumą pokazał mu swoją kolekcję wojennych odznaczeń i zaprosił na sobotnie śniadania u Cate. Miranda prawie codziennie wdawała się w rozmowy z innymi matkami, czekającymi na dzieci pod szkolną bramą i przyjechała na przedświąteczne spotkanie z nauczycielami, oczywiście sama, ponieważ David był zajęty w Londynie. Przed spotkaniem żołądek rozboleł ją ze zdenerwowania, ale pan

Marlow przywitał ją przyjaznym uśmiechem i oświadczył, że Gus wreszcie zaczyna zżywać się z innymi dziećmi. Od października nikogo nie ugryzł, jednak nie ma jeszcze żadnych przyjaciół.

- Gus to samotnik - wyjaśniła pośpiesznie. Pan Marlow skrzywił się lekko.

- Nie samotnik, proszę pani, ale mały chłopiec, który czuje się osamotniony - sprostował. - To poważna różnica. Pani syn czułby się tu o wiele lepiej, gdyby miał kilku przyjaciół albo przynajmniej bliskich kolegów!

Miranda była bardzo zadowolona, kiedy semestr dobiegł końca i Gus mógł odpocząć w domu, gdzie nikt go nie oceniał. Widziała, że chłopiec spokojnie bawi się z siostrą w domku na drzewie. Sama niezbyt dobrze czuła się w szkole i teraz doszła do wniosku, że Gus lubi przebywać w domu. Obserwowała, jak syn chodzi wszędzie za Jean-Paulem i uznała, że towarzystwo ogrodnika sprawia mu największą przyjemność.

Aby Miranda mogła pojechać do Londynu na świąteczne zakupy, Henrietta zgodziła się popilnować Gusa i Storm. Clare radziła sobie w sklepie sama, a Henrietta z całego serca pragnęła wreszcie poznać tajemniczego Jean-Paula, który codziennie rano pił czarną kawę w cukierni Cate, w milczeniu przeglądając gazety.

Miranda wyruszyła do Londynu wczesnym pociągiem, zostawiając Henriettę z dziećmi przy śniadaniu.

Parę dni wcześniej Troy warstwowo skrócił niektóre pasma włosów Henrietty, co zdecydowanie poprawiło jej nastrój. Zmiany nie zauważył nikt poza Cate, która oświadczyła, że w nowej fryzurze twarz Henrietty sprawia wrażenie okrągłej szej.

- Ale to dobrze - dodała. - Wyglądasz bardzo przyjemnie! Wiedząc, że najprawdopodobniej wpadnie na Jean-Paula, Henrietta starannie pociągnęła rzęsy tuszem. Nie czuła

się swobodnie w makijażu, ale potrzebowała świeżego zastrzyku pewności siebie. Nie miała tylko dość odwagi, aby wyeksponować krągłą figurę i ukryła ją pod luźnym wełnianym swetrem.

Henrietta uwielbiała dzieci. Gus i Storm wyczuli to od początku i zaczęli się popisywać. Od przybycia Jean-Paula nie mieli tak uważnej widowni. Henrietta słuchała ich, śmiała się z żartów, z przyjemnością oglądała ich sypialnie i zabawki. Podziwiała różowy domek dla lalek Storm, przytulała jej poduszki i zachwycała się wiszącymi w szafie ślicznymi sukienkami. Gus pokazał jej domek na drzewie, śmigając po schodkach szybko jak wiewiórka.

- Jean-Paul zrobił go dla nas - oznajmił chłopiec. - Z góry widać doskonale nawet Hartington! Hej, Jean-Paul!

- Widzisz go? - zainteresowała się Henrietta.

- Tak! Jean-Paul nadał nam przydomki, ja jestem Gus-Siłacz, a Storm to Pogodne Niebo!

- Bardzo ładne! - pochwaliła Henrietta.

- Jean-Paul jest pewnie w wiejskim ogrodzie! - oznajmił Gus. - Zwykle można go tam znaleźć!

Henrietta chętnie zobaczyłaby Jean-Paula, ale się nie pojawił. Gus zbiegł po schodkach na dół i zniknął w dziupli.

O jedenastej zaniósł dzieciom gorącą czekoladę i owsiane ciasteczka. Na czworakach, nie dbając, że brudzi kolana i dłonie błotem, goniła Gusa i Storm dookoła dębu, udając Kapitana Haka, a kiedy schronili się w środku drzewa, wetknęła głowę w otwór dziupli.

- Oooh, moje skarbeczki! - krzyknęła, wypinając dużą pupę.

W takiej pozycji znalazły ją psy Jeremy'ego Fitzherberta. Radośnie merdając ogonami, obwąchały pupę Henrietty, która próbowała wydobyć na zewnątrz górną połowę ciała. Kiedy wreszcie jej się to udało, włosy miała w nieładzie,

twarz zaczerwienioną, a niebieskie oczy lśniły jak skąpane w rosie niezapominajki.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się Jeremy z szerokim uśmiechem.

- Ojej, strasznie przepraszam! - Henrietta pośpiesznie podniosła się z ziemi. - Jestem piratem i...

- Świetnie pasuje pani do tej roli - zauważył, mierząc ją pełnym zachwytem spojrzeniem.

Henrietta pośpiesznie przygładziła włosy.

- Chyba raczej do roli Kubusia Puchatka, który utknął w drzwiach nory Królika. Widział mnie pan od niewłaściwego końca.

- Dlaczego niewłaściwego? Moim zdaniem wyglądała pani znakomicie.

- Czy my się znamy?

- Tak jest. Nazywa się pani Henrietta Moon, prawda?

- Tak - niepewnie zmarszczyła brwi.

- Jestem Jeremy Fitzherbert, właściciel sąsiedniej farmy.

- Ach, oczywiście! - ucieszyła się Henrietta, wreszcie uświadomiwszy sobie, z kim rozmawia.

- Kilka razy zaglądałem do pani sklepu. Sprzedaje pani takie długie cukierki w wysokich słojach, moje ulubione.

- Moje także! - zawołała, trochę zawstydzona, że nie od razu go sobie przypomniała. - Szczególnie te śmietankowe...

- Właśnie! Kiedy zaczynam je jeść, nie mogę przestać!

- Ja też mam ten problem, niestety.

- Nie widać, żeby pani szkodziły.

Henrietta patrzyła na niego w milczeniu. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie była przyzwyczajona do komplementów i ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, że Jeremy mówi poważnie. Usiłowała wymyślić coś dowcipnego, a w tym czasie Jeremy bez reszty zatonął w jej akwamarynowych oczach. Pragnął jej powiedzieć, że mają najpiękniejszy odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widział, ale czuł się potwornie

zażenowany. Był głęboko przekonany, że Henrietta słyszała już setki takich zachwyków.

- *Bonjour*, Jeremy! - usłyszeli nagle.

Oboje odwrócili się i ujrzeli zmierzającego ku nim Jean-Paula. Henrietta wstrzymała oddech na widok uśmiechu Francuza i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, zupełnie jak w czasie przejażdżki na karuzeli.

- *Bonjour, madame* - przywitał ją Jean-Paul.

Ujął dłoń Henrietty i podniósł do ust, pochylając głowę w eleganckim ukłonie. Henrietta nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Ciemny rumieniec rozlał się po jej szyi i jak płomień ogarnął policzki. Nikt nigdy nie całował jej w rękę. To pewnie francuski zwyczaj, pomyślała, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Przyprowadziłem mały ciągnik z przyczepą, którego pan potrzebował - oświadczył Jeremy.

Wydawało się, że żaden z mężczyzn nie zauważył nagłego onieśmienia Henrietty. Storm i Gus wyslizgnęli się z otworu dziupli i zaczęli uganiać się po łące razem z psami.

- Dziękuję - uśmiechnął się Jean-Paul. - To dla mnie duża pomoc.

Rozmawiali o ogrodach, farmie i pogodzie, niezwykle łagodnej jak na tę porę roku, a Henrietta słuchała, nie odzywając się ani słowem. W końcu Jean-Paul odwrócił się do niej.

- Rozumiem, że dziś pani opiekuje się Gusem-Siłaczem oraz Pogodnym Niebem - rzekł z błyskiem w oku.

- Tak - wychrypiała.

- Jak podoba się pani domek na drzewie?

- Jest wspaniały, naprawdę!

- Widzę, że schodki są już skończone - zauważył Jeremy, poklepując drewniany szczebel. - Solidny dąb, to dobrze!

Henrietta natychmiast pozazdrościła mu swobody, z jaką rozmawiał z Jean-Paulem.

- Była pani na górze? - spytał Jeremy.

- Nie - odparła. - Jak pan widział, miałam problemy z wydostaniem się z dziupli. Jestem pewna, że jeszcze gorzej poszłoby mi schodzenie po schodkach.

- Skądże znowu! - Jeremy stanął na pierwszym stopniu. - Proszę bardzo, wcale się nie chwieją!

- Oczywiście! - odezwał się Jean-Paul. - Starąłem się wykonać je na tyle solidnie, aby wytrzymały wagę słońca!

- Więc i mnie powinny utrzymać - zaśmiała się nerwowo, modląc się w myśli, aby przewidywania Jean-Paula okazały się słuszne.

Żałowała teraz każdego croissanta, jakiego zjadła. Jeremy wszedł pierwszy, zachęcając ją, by poszła za nim. Ostrożnie postawiła stopę na pierwszym stopniu, potem na drugim, cały czas czekając na głośny trzask pękającego drewna.

- Proszę się nie obawiać - powiedział Jean-Paul. - Nic pani nie grozi, naprawdę. Cierpi pani na lęk wysokości?

Nie mogła przecież otwarcie wyznać, że boi się ciężaru swojego ciała...

- Trochę - skłamała pośpiesznie.

Spojrzała w górę i zobaczyła wyciągniętą do niej rękę Jeremy'ego. Kiedy wspięła się wyżej, przyjęła ją z wdzięcznością i weszła na platformę, na której zbudowano domek. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się dookoła. Gus miał rację, widok z tej wysokości był po prostu oszałamiający.

- Jak pięknie wygląda stąd kościelna wieża! - zachwyciła się.

- Gdyby nie drzewa, widzielibyśmy moją farmę - powiedział Jeremy.

- Chciałabym ją zobaczyć - odparła, wspominając, jak w dzieciństwie z podnieceniem przyglądała się pracującym w polu traktorom.

- Zapraszam, proszę wpaść, kiedy tylko pani zechce - rzekł cicho.

Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nigdy nie zwrócił na nią uwagi. Była cudowna, podobna do oblanego karmelowym sosem jabłka. Zerknął na jej lewą dłoń i zobaczył, że nie nosi obrączki.

Jean-Paul nie dołączył do nich. Stał pod drzewem i rozniwiał z dziećmi, które dosłownie pękały ze śmiechu. Nie ulegało wątpliwości, że szczerze go uwielbiają. Jeremy spoglądał na zapatrzoną w Jean-Paula Henriette i poczuł bolesne ukłucie rozczarowania. Nie był jednak zdziwiony, bo jak mężczyzna mógł równać się z Jean-Paulem.

Po pewnym czasie zostawił ich pod drzewem i wrócił na liście. W korytarzu przed jego łazienką przeciekał sufit, co wymagało pilnej naprawy. Jeremy przebrał się w niebieski kombinezon, zdecydowanym ruchem włożył na głowę iweedową czapkę i poszedł po drabinę do warzywniaka, gdzie siała oparta o ścianę niewielkiej szklarni. Mr Ben i Wolfgang pobiegły za nim. Życie z Jeremym było nigdy niekończącą się przygodą. Dom na farmie pochodził z szesnastego wieku i stale wymagał rozmaitych napraw oraz remontów. Jeremy wykonywał je sam, jak zwykle praktyczny i pomysłowy, choć przez wielu ludzi uważany za ekscentryka. Wymiana popękanych dachówek była niebezpieczną operacją, która nie miała szans powodzenia bez dwóch drabin i zimnej krwi naprawiającego. Praca pomogła Jerememu odsunąć na bok myśli o Henriette Moon i krwawym rumieńcu, jaki oblał jej policzki w chwili, gdy Jean-Paul pocałował ją w rękę. Francuz miał mnóstwo uroku osobistego, bez dwóch zdań. Gdyby to on, Jeremy, zaczął całować kobiety po rękach, ofiary takiego ataku galanterii skonałyby ze śmiechu, ale francuski akcent Jean-Paula i jego głęboko osadzone brązowe oczy czyniły go najbardziej romantycznym mężczyzną, jaki kiedykolwiek zawitał do Hartington. Cóż, Jeremy nie miał szans. Ostrożnie zdjął pękniętą dachówkę, usiłując myśleć o czymś innym.

Henriecie udało się w końcu pokonać onieśmienie, które ogarnęło ją w obecności Jean-Paula. Dzieci zaprowadziły ją do wiejskiego ogrodu, żeby pomogła sadzić rośliny. Pan Underwood już tam był, w koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami, czapką z daszkiem na głowie i oczyma lśnącymi entuzjazmem. Bardzo lubił, gdy dzieci kręciły się w pobliżu, ponieważ ich obecność przywoływała wspomnienia jego chłopców, którzy siadali z tyłu ciągnika, gdy orał pola starego Fitzherberta. Teraz chłopcy byli już dorośli i jeździli na traktorach z własnymi synami. Jeśli chodzi o dzieci, pan Underwood wiedział jedno -wszystkie uwielbiały brać udział w zajęciach dorosłych. Storm i Gus kopali dziury w ziemi i pod okiem Jean-Paula wsadzali w nie cebulki tak ostrożnie i uważnie, jakby trzymali w rękach zahibernowane zwierzątka. Było nietypowo ciepło, więc gleba pozostała miękka i nagrzana. Henrietta szybko zaraziła się entuzjazmem dzieci, z wielką przyjemnością słuchała, jak Jean-Paul opowiada o roślinach i cierpliwie udziela odpowiedzi na niezliczone pytania Gusa i Storm. Co jakiś czas wybuchał głośnym śmiechem, kiedy któreś z nich powiedziało coś zabawnego, i często wszyscy troje śmiali się razem, beztrąsko i radośnie. Henriecie przyszło do głowy, że może Jean-Paul lepiej czuje się w towarzystwie dzieci niż dorosłych i miała ochotę zapytać, dlaczego nie ma własnych.

Miranda przyjechała do Londynu dość wcześnie i była w salonie firmowym Petera Jonesa tuż po jego otwarciu o dziewiątej trzydzięci. Głęboko oddychała charakterystycznym dla wielkiego miasta zapachem tlenku węgla i była bardzo zadowolona z życia. Czowała, że wróciła tam, gdzie było jej miejsce. Ulice wypełniał warkot i szum silników, klaksony trąbiły, syreny wyły, ludzie pokrzykiwali, na

chodnikach tłoczno było od przepychających się ciał. Nikt nie patrzył nikomu w oczy, wszyscy w całkowitej anonimowości zajmowali się swoimi sprawami. I nikt się nie uśmiechał. Nikt poza Mirandą, która uśmiechała się szeroko, od ucha do ucha.

Cały poranek poświęciła na kupowanie prezentów. Poszła do sklepu z zabawkami Daisy & Tom, gdzie roześmiane maluchy kręciły się na karuzeli, a na piętrze z zapartym tchem oglądały przedstawienie teatru kukielkowego pod tytułem *Piotruś i wilk*. Kupiła Davidowi dwa swetry u Yve-sa Saint Laurenta na Sloane Street oraz buty u Todsa. W świątyni Harveya Nicholasa bez pośpiechu chodziła od jednego stoiska do drugiego, z rozkoszą wdychając znajomy aromat perfum i oglądając lady zastawione pięknie opakowanymi zestawami upominkowymi oraz błyszczącymi słoiczkami kremów, które jak zawsze obiecywały wieczną młodość. Nigdzie nie czuła się tak dobrze jak w tej krainie cudów i żeby uczcić swój powrót do cywilizacji, kupiła sobie kilka kosmetyków do makijażu od Trish McEvoy.

Do lunchu załatwiła prawie wszystko, co znajdowało się na jej liście, z wyjątkiem słodczy do świątecznych skarpet dla dzieci, które i tak zamierzała kupić w Hartington, i wjechała na piąte piętro, gdzie umówiła się z Blythe i Anoush-ką. Po drodze krytycznie przyjrzała się swojemu odbiciu w pokrywającym całą ścianę lustrze i z satysfakcją stwierdziła, że chociaż mieszka na wsi, to jednak wcale nie straciła wielkomiejskiego poloru. Była przekonana, że w wąskich dzinsach, wysokich skórzanych butach, złocistej, obszytej futrem narciarskiej kurtce od Prądy i z torbą od Anyi Hind-march zrobi na nich piorunujące wrażenie.

Znalazła je już przy stoliku, z głowami zbliżonymi do siebie, niewątpliwie zajęte plotkowaniem.

- Halo, dziewczyny! - odezwała się, stając przed nimi.

Odskoczyły od siebie jakby ukłuła je igłą i omiotły ją badawczymi spojrzeniami od stóp do głów.

- Wyglądasz cudownie, skarbie - zielone kocie oczy Blythe z uznaniem zatrzymały się na kurtce Mirandy. - Trzeba przyznać, że życie na wsi bardzo ci służy!

- Dziękuję - odparła, siadając.

Pocałowała obie dziewczyny, prawie czując na wargach smak ich perfum.

- Och, tak się cieszę, że cię widzę! - oświadczyła Anou-shka, po amerykańsku rozciągając sylaby. - Skąd masz te rajskie buty?

Odrzuciła do tyłu grzywę falujących jasnych włosów, świadoma pełnych zachwyty spojrzeń, jakimi obrzucał ją siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna.

- Od Todsa - odrzekła Miranda.

- To model z tego sezonu?

- Tak.

- Po prostu cudne! Ciekawe, czy jeszcze je mają. Pozwolicie, że szybko do nich zadzwonię? - wyjęła komórkę i wybrała numer palcami o krwiścieczerwonych długich paznokciach.

- No, opowiadaj, jak się wszystko układa! - poprosiła Blythe.

- Trochę to trwało, zanim przywykłam do życia w Hartington, ale teraz jest już całkiem nieźle. Musisz przyjechać do nas na któryś weekend po świętach.

- Z przyjemnością, jak tylko wrócę do Londynu, bo zaraz wyjeżdżamy na dziesięć dni na Mauritius. Wynajęłam willę w Saint Geran. Ten drań tak mnie udręczył, że bez żadnych skrupułów wydaję jego pieniądze. Wiesz przecież, że celowo przeciąga sprawę rozwodową, założę się, że każe mi czekać na rozwód jeszcze dwa lata! Stara się zwyczajnie mi dokuczyć, nawet gdyby na dłuższą metę miało go to więcej kosztować!

- Przykro mi, że masz z nim takie kłopoty - powiedziała Miranda. - Powinien dać ci rozwód i odczepić się na dobre, wtedy oboje moglibyście zacząć nowy etap życia. David mówił mi, że starał się służyć ci dobrą radą.

- Ach, David - powtórzyła Blythe z pełnym czułości uśmiechem. Twój mąż to prawdziwa opoka. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, zwłaszcza teraz, gdy ty siedzisz na wsi i nie miałam się do kogo odezwać. Na szczęście nagle zjawił się David, zupełnie jak rycerz w lśniącej zbroi! Jest taki cierpliwy i wyrozumiały.

- To świetnie! - odparła Miranda, żałując, że David nie jest tak ogromnie cierpliwy i wyrozumiały w stosunku do niej.

- Dał mi kilka rad na wagę złota, naprawdę! Dzięki niemu wydoję tego skurwysyna do sucha. Jeszcze pożałuje, że nie traktował mnie lepiej! David to moja tajna broń!

- Ale przecież twój mąż błaga, żebyś wróciła do domu.

- Wyłącznie dlatego, że nie chce rozstać się z piętnastoma milionami!

- Trudno mu się dziwić, ostatecznie to niemała suma.

- Nie popuszczę mu! To ja przez ostatnie dziesięć lat znosiłam jego zdrady! Teraz przyszedł chyba czas, żebym sama pozwoliła sobie na parę aktów małżeńskiej niewierności.

- Masz kogoś? - spytała Miranda.

- Może tak, może nie...

- Więc jednak! Znam go?

- Nie! - odparła szybko Blythe. - Nikt go nie zna. I nie jest to żadna wielka miłość, ale za to cudowny seks. Facet jest niesamowity, za każdym razem mam z nim orgazm!

- Żonaty?

Blythe się skrzywiła.

- Och, Blythe! Uważaj, przypomnij sobie, jak sama się czułaś! Nie rań jego biednej żony tak, jak sama zostałaś zraniona!

- To nie jest trwały romans - rzuciła niedbale Blythe. - Obojgu nam chodzi o dobrą zabawę, to wszystko. Daję ci słowo, że nikt na tym nie ucierpi! Nie jestem jego kochanką, nic z tych rzeczy!

- Więc kim dla niego jesteś?

- Przyjaciółką, która się z nim pieprzy - wyjaśniła z zadowoleniem Blythe. - Zamówmy szampana, co ty na to? Chciałyśmy przecież uczcić twój powrót do cywilizacji!

Krótkim gestem przywołała kelnera. Anoushka wreszcie zakończyła rozmowę, dokonawszy rezerwacji pary butów w rozmiarze siedem.

- Co za ulga! - zawołała. - Umarłabym chyba, gdyby ich już nie mieli! No, dobrze, teraz opowiemy ci wszystkie plotki, bo masz straszne braki, bidulko! Jest ich tyle, że sama nie wiem, od czego zacząć!

Miranda wysłuchiwała długiej litanii skandali i nieszczęśliwych wypadków, którymi pod jej nieobecność zajmowało się londyńskie towarzystwo. Wszystkie trzy popijały szampana, skubały rybę z grilla z sałatą i nie powiedziały o nikim ani jednego dobrego słowa. Miranda czuła się dziwnie oderwana od dawnej rzeczywistości, trochę tak, jakby od dwóch przyjaciółek oddzielała ją szklana tafla. Kiedyś miała coś do powiedzenia, teraz brakowało jej interesujących dla nich nowin. Chętnie opowiedziałyby o notatniku Avy Lightly i Jean-Paulu, ale Hartington znajdowało się w odległości wielu lat świetlnych od londyńskiego Knightsbridge.

W Londynie wrzało wiele romansów i spraw rozwodowych, dzięki którym dwie przyjaciółki Mirandy niczym wygłodniałe sępy szarpały wystawione na widok publiczny mięso bólu, zdrady i rozstania. Miranda przysłuchiwała im się z mieszanką zaciekawienia i niesmaku. Kilkumiesięczna nieobecność pozwoliła jej patrzeć na Blythe i Anoushkę z obiektywizmem, którego wcześniej nie znała. Obserwowała je uważnie i powoli dochodziła do wniosku, że wydają jej

się dziwnie groteskowe. Ich wypełnione sztucznym kolagenem wargi nabrzmiały pod wpływem szampana, wygładzone botoksem czoła były nieludzko doskonałe. Im głębiej zanurzały się w błocie życiowych nieszczęść innych ludzi z eleganckiego świata, tym mniej miały współczucia i zrozumienia. Miranda rozstała się z nimi z kwaśnym posmakiem w ustach i poszła dokończyć świąteczne zakupy. Londyn stracił nagle część swego fascynującego uroku. Na zbyt zatłoczonych ulicach panował zbyt wielki hałas, ludzie byli nieprzyjaźni i nawet zapach perfum na parterze domu mody Harveya Nicholasa stał się po prostu nieznośnie duszący. Całym sercem zapragnęła wrócić do spokojnego, cichego Hartington.

W domu z pewnym zdumieniem odkryła, że Henrietta położyła już dzieci spać i usiadła w kuchni do kolacji razem z Jean-Paulem.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko - powiedziała Henrietta. - Cały dzień spędziliśmy w ogrodzie, sadząc rośliny. Dzieciaki były ledwo żywe ze zmęczenia, zasnęły, kiedy Jean-Paul skończył opowiadać im bajkę o aksamitnym króliczku, pomyśleliśmy więc, że kolacją uczymy koniec pracowitego dnia.

- Świetny pomysł! - Miranda przysunęła sobie krzesło. - Nie wiem, jak mam wam dziękować, że zajęliście się Gusem i Storm.

- Wyglądasz na kompletnie wykończoną - zauważył Jean-Paul, niepostrzeżenie rezygnując z oficjalnego sposobu zwracania się do swojej pracodawczyni. - Pozwól, że naleję ci kieliszek wina. Kiedyś uważałem, że nie da się żyć poza wielkim miastem, ale szybko zrozumiałem, jak płytka i pusta jest ta wielkomięjska egzystencja. Przypomina warstwę lukru na przeżartym pleśnią torcie.

- Mam podobne wrażenie! Byłam okropnie podekscytowana, że znowu mogę przejść się znajomymi ulicami i zajrzeć do ulubionych sklepów, lecz pod koniec dnia chciałam już tylko jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Nigdy nie przepadałam za wielkimi miastami - wyznała Henrietta. - Są takie zimne i nieprzyjazne. Tutaj, w Hartington, łączy nas poczucie wspólnoty, a ja lubię należeć do grupy.

- I co, skończyliście pracę w moim małym ogródku? -Miranda dzięki ich towarzystwu już czuła się trochę lepiej.

Uśmiech Jean-Paula był jak miód, który zatarł kwaśny smak, prześladowający ją od lunchu z dawnymi przyjaciółkami.

- Skończyliśmy sadzić rośliny - rzekł. - Teraz wystarczy już tylko szczypta magii i wiosną wszystko rozkwitnie.

- Dlaczego zawsze mówisz o magii? - spytała Miranda. -Masz na myśli przyrodę?

- Magia to miłość, moja droga. Gdy kogoś kochasz, obdarzona uczuciem osoba staje się coraz piękniejsza i pewniejsza siebie, dosłownie rozkwita na twoich oczach. Kobieta o zupełnie przeciętnej urodzie staje się piękna w ciepłe miłości, z ogrodem jest tak samo. Miłość pozwala mu wzrastać, rozwijać się i rozmnażać. Miłość i magia są proste i nieskomplikowane, ich potęgę ogranicza tylko nasz brak odwagi i wiary w siebie.

- Nie rozumiem!

- Miłość wymaga wysiłku, pracy i siły woli. Nie zbudujemy prawdziwej miłości, jeśli nie kochamy samych siebie. Miłość to nie tylko uczucie, ale i akt woli. Przesiadujący w barze mężczyzna, który stale zaniedbuje rodzinę, potrafi ze łzami w oczach opowiadać, jak bardzo kocha żonę i dzieci. O miłości świadczą czyny, nie słowa, nauczyła mnie tego wyjątkowa kobieta, dawno, dawno temu...

Henrietta i Miranda siedziały w milczeniu. Im więcej mówił Jean-Paul, tym mniej wydawał im się znajomy i tym

obfitsze było źródło jego doświadczenia i mądrości. Obie widziały wielki smutek w oczach mężczyzny, lecz żadna nie miała śmiałości zapytać o jego przyczynę. Henrietta marzyła, aby Jean-Paul ją pokochał; Miranda wiedziała, że uczucie do niego jest tylko marzeniem. Serca obu były mocniej dla mężczyzny, który kochał tylko tę jedną jedyną. Powoli przywracał swoją ukochaną do życia, ożywiając ogród, który kiedyś wspólnie założyli.

MGLISTE ŚWIATŁO ZMIERZCHU, W KTÓRYM DOMEK DLA PTAKÓW TYLKO NA CHWILĘ WYDAJE SIĘ RÓŻOWY, ALE TAK SUBTELNIE RÓŻOWY, JAK DELIKATNE JEST TCHNIENIE NIEBIOS

Jean-Paul wrócił do château Les Lucioles na Boże Narodzenie. Przejechał przez wielką żelazną bramę, objechał zwirowaną drogą stary cedr i zaparkował przed zamkiem o imponującej fasadzie. Jasnoniebieskie okiennice były otwarte, a na parapetach lśnił szron. Jean-Paul spojrział na wysoki dach, spod którego wyzierały małe okrągłe okienka, i na duże kominy, ostro rysujące się na tle bezchmurnego nieba. Françoise otworzyła drzwi, pobrzękując kluczami i narzekając na zimno.

- Proszę szybko do środka, *monsieur*, bo zaziębi się pan na śmierć! Gerard napalił w holu i salonie. Jest pan głodny? Armandine zostawiła zapiekanekę w piecyku, mamy też świeżuteńki chleb. Nie była pewna, czy zje pan coś w drodze. Wieczorem wróci, żeby podać panu kolację. Proszę nie stać tak na tym zimnie, niechże pan wchodzi - gospodyni pośpiesznie zatrzaskała za nim drzwi. - Trudno

ogrzać te wielkie domy, naprawdę - wymamrotała, wchodząc do holu.

- Hubert w domu? - zapytał Jean-Paul, myśląc tylko o ogrodzie.

- Tak, ale może jednak najpierw pan zje. Hubert jest gdzieś na dworze.

- Był mróz?

- Dopiero w zeszłym tygodniu. Jesień była bardzo łagodna, ale parę dni temu nagle się ochłodziło.

Jean-Paul rozejrzył się dookoła i z jego piersi wyrwało się westchnienie ulgi. W wielkim kominku wesoło trzaskał ogień, wypastowana posadzka błyszczała, wyblakłe perskie dywany zachwycaly delikatnymi barwami. Dobrze jest wrócić do domu, pomyślał.

Zdjął kurtkę i podał ją Françoise.

- Wolałbym zobaczyć się z nim od razu - powiedział. - Proszę przynieść mi tam zapiekankę, dobrze?

- Wpuścić psy? - spytała Françoise. - Całe przedpołudnie były niespokojne, widać wyczuły, że pan wraca.

- Tak, bardzo proszę. Stęskniłem się za nimi.

- Zostanie pan z nami na dłużej?

- Nie, za dziesięć dni wyjeżdżam. Gospodyni wysunęła do przodu dolną wargę.

- Przyjechał pan na tak krótko?

- Tak.

- Gdyby pańska matka żyła...

- Ale nie żyje - dokończył krótko.

- Dlaczego ciągle zostawia nas pan samych? Zwierzęta naprawdę za panem tęsknią - spuściła wzrok. - I my też...

Popatrzył na nią z czułością.

- Ach, Françoise, pod maską chłodu ukrywa pani sentymentalną kobietę!

- A pan, *monsieur*? Dlaczego nie znajdzie pan sobie jakiejś miłej młodej kobiety i nie założy tu rodziny? To duży

zamek i niedobrze, żeby cały rok świecił pustkami! Słysząc w nim tylko głosy duchów, to źle. Potrząsnął głową.

- Życie nie zawsze układa się zgodnie z planem.

- Więc jakie miał pan plany? Pochwycił spojrzenie Françoise, pełne prawdziwie mat-¹czynej troski.

- Z nikim nie rozmawiam o planach, których nie udało mi się zrealizować - odparł ponuro. - Proszę przynieść mi zapiekankę, umieram z głodu! I proszę zawiadomić Huberta, że chcę się z nim zobaczyć...

Dwa olbrzymie dogi wpadły do salonu i podbiegły do przybysza. Jean-Paul ukląkł i objął psy, pozwalając im lizać się po twarzy.

- Ja też za wami tęskniłem! - powiedział, delikatnie ciągnąc je za uszy i poklepując po grzbietach.

W Les Lucioles zawsze mieszkali dogi - dom takiej wielkości wymagał naprawdę dużych zwierząt. Jean-Paul przysiadł na kracie kominka, żeby ogień rozgrzał mu plecy. Przez duże francuskie okno widział ogród, teraz ukryty pod warstwą szronu. Przed wyjazdem miał nadzieję, że wróci tu z Avą i pokaże jej ogród, który dla niej stworzył. Że razem dożyją tu do końca swoich dni. Złożyli sobie obietnice, obietnice przypieczętowane miłością. On dotrzymał słowa, a ona?

Françoise wniosła na tacy lunch.

- Sam spędzi pan święta? - zapytała.

- Nie mam wyboru.

- Jaka szkoda! Taki przystojny młody człowiek!

- Nie lituj się nade mną, kobieto - mruknął.

- Gdyby pańska matka żyła...

- Ale nie żyje - powtórzył. - Gdyby żyła, spędziłaby ze mną święta, ale jej nie ma, więc spędzę je sam!

- Ze wszystkich ludzi, których znam, pan najbardziej zasługuje na miłość, *monsieur* Znam pana przecież od dziecka

i cierpię, patrząc na pana samotność. Oczywiście można mieć kochanki, ale panu trzeba czegoś więcej. Tak bym chciała, żeby miał pan przy sobie dobrą, uczciwą dziewczynę! gromadkę zdrowych dzieci. To już nie dla mnie!

— Jak najbardziej dla pana, wystarczyłoby się ożenić z młodą kobietą, która mogłaby urodzić panu dzieci!

- To tylko twoje marzenia, Françoise - zaśmiał się niewesoło.

W progu pokoju stanął Hubert, ściskając w ręku czapkę.

- *Bonjour, monsieur!* - ukłonił się. - Cieszę się, że bezpiecznie wrócił pan do domu.

-Trafiłeś na przesłuchanie, któremu poddaje mnie ta skądinąd miła pani! Françoise, proszę podać Hubertowi kieliszek koniaku! No, jak tam ogród?

Françoise wyszła do holu. Stawy miała zeszywniałe, plecy ciągle ją bolały. Już dawno powinna była odejść na emeryturę, ale wciąż nie mogła się na to zdobyć, wierna pamięci zmarłej matki Jean-Paula, a także wierna jemu, bo kochała go jak własnego syna. Dwadzieścia sześć lat wcześniej była ffwiadkiem, jak wrócił z Anglii, załamany i boleśnie zraniony, lecz zdeterminowany nie zapomnieć o kobiecie, którą kochał, i której nie mógł zdobyć. Françoise sama poznała kiedyś miłość i straciła ją, dlatego doskonale rozumiała jego ból. Wiedziała, że czas goi tego rodzaju rany, po jej własnej ranie została tylko niewielka blizna na sercu, lecz Jean-Paul nigdy nie odzyskał równowagi. Jego serce było wciąż otwarte i wciąż krwawiło. Podobny do psa czuwającego przy zwłokach pana, Jean-Paul pozwolił, aby ta miłość powoli zagłodziła go na śmierć. Jego matka nigdy nie zaznała radości z posiadania wnuków, marzenia jego ojca nigdy się nie spełniły. Żadne z nich nie wiedziało, dlaczego tak się stało, lecz Françoise znała wszystkie tajemnice, ponieważ jak cień wślizgiwała się we wszystkie

zakamarki zamku, niewidoczna i wszytkowiedząca. Tylko ona widziała ustawione pod ścianą obrazy, napisane, i niewysłane listy, i kwiaty sadzone z nadzieją, że pewnego dnia będzie mógł pokazać ukochanej, iż poświęcił jej całe swoje życie z takim samym zapałem, jakby przez cały czas była obok niego.

Z niezadowoleniem cmoknęła wargami i powoli ruszyła w kierunku kuchennego skrzydła oraz swojego przytulnego saloniku. O niektórych sprawach lepiej zapomnieć, bo życie jest zbyt krótkie. Po co ciągle rozpaczać, po co czekać na to, co nieosiągalne? Przecież sama zamknęła bolesny rozdział, odłożyła książkę i zaczęła od nowa. Nie było to łatwe, ale i nie niemożliwe. Ostrożnie opadła na fotel i sięgnęła po haft. Dobrze chociaż,..że Jean-Paul wrócił do domu. Była za to szczerze wdzięczna Bogu i losowi.

Mirandzie bardzo brakowało obecności Jean-Paula. Jej rodzice i siostra ojca, Constance, przyjechali srebrzystym roverem, wyładowanym prezentami i walizkami. Była to ich pierwsza wizyta w Hartington House Diana, Stanley-Kline miała wiele do powiedzenia na temat nowego domu córki i bezustannie wygłaszała rozmaite uwagi, przechadzając się po pokojach w kremowych spodniach, takim, samym kaszmirowym swetrze, zamszowych pantoflach oraz perłach wielkości winogron.

- Ojej - jęknęła, patrząc na kuchenne taborety. - Takie surowe drewno może i jest szalenie modne, ale trudno siadać na czymś takim w przyzwoitych rajstopach.

Przeniosła wzrok na duże szklane wazony w holu i znacząco uniosła brwi.

- Macie w domu małe dzieci, dziwię się, że trzymacie tu tak łatwo tłukące się przedmioty.

Kiedy Miranda powiedziała matce, że ogród wokół domu cieszył się kiedyś opinią najpiękniejszego w całym hrabstwie Dorset, ta lekko zmarszczyła nos.

- Cóż, wszystko jest względne - rzuciła z powątpiewaniem.

Miranda doszła do wniosku, że Dianie jak zwykle nic się nie podoba. Niczego nie pragnęła bardziej, jak tego, by święta wreszcie się skończyły i by goście wrócili do domu.

Constance miała irytujący zwyczaj przerywania innym. Zadawała pytanie, ale nie słuchała odpowiedzi, przerywała rozmówcy w połowie zdania, wołąc zakomunikować mu, co sama myśli na jakiś temat. Miranda szybko się poddała i ograniczyła do wydawania właściwych odgłosów w odpowiednich miejscach, co sugerowało, że uważnie słucha ciotki. David lubił ojca Mirandy Roberta. Godzinami palili razem cygara i dyskutowali o polityce; mieli takie same ppoglądy, obaj byli zwolennikami prawego skrzydła i obaj wydawali się jednakowo pompatyczni.

Dzieci bawiły się na dworze w kurtkach i kaloszach, śmiejąc się wesoło, lecz Gus sprawiał wrażenie trochę zagubionego bez Jean-Paula. Próbował namówić ojca do wspólnej zabawy, ale David był zajęty dotrzymywaniem towarzystwa Robertowi. Chłopiec często przystawał na mostku i z tęsknotą wpatrywał się w domek nad rzeką, pusty i zimny. Storm bawiła się kolorowymi koralikami przy kuchennym stole, a pani Underwood przygotowywała lunch, Gus był więc zdany na własne siły i musiał sam poszukać sobie rozrywki. Bez Jean-Paula, który wynajdywał dla niego rozmaite zajęcia, chłopiec szybko wrócił do tego, co znał najlepiej, czyli do dręczenia małych, bezbronnych istot.

Cel ataku znalazł tuż obok tymiankowej alejki. Był to duży pajak o czarnych włochatych nogach i okrągłym, pękatym kadłubie. Dźgnięty patykiem, błyskawicznie ukrył się pod liściem, ale Gus dobrze go widział. Pajak czekał,

sparaliżowany strachem. Miał spore doświadczenie, jeśli chodzi o ptaki i węże, nie potrafił jednak przewidzieć, co zrobi z nim ten drapieżca.

Gus ułożył się na kamieniach wciąż jeszcze wilgotnych po nocnej mżawce. Teraz już nie padało, ale niebo zasnuły chmury, a lodowaty wiatr wciskał się pod ubranie. Powoli, żeby nie spłoszyć pająka, Gus przesunął dłoń. Pająk nadal się nie ruszał, może z nadzieją, że prześladowca przestanie zwracać na niego uwagę, lecz Gus był prawdziwym specem. W przeciwieństwie do siostry i jej koleżanek, nigdy nie bał się pajaków. Z szybkością wytrenowaną w ciągu dobrych paru lat eksperymentów, wepchnął palce pod liść i złapał pająka za jedną wątłą nogę.

- Mam cię! - szepnął triumfalnie.

Pająk próbował uciec, ale Gus wyciągnął go na światło i bardzo powoli, wciąż trzymając go za nogę, oderwał od okrągłego kadłuba drugą. Nie mógł usłyszeć jęków pająka ani zobaczyć wyrazu bólu w jego oczach. Nie wiedział, czy pająki w ogóle odczuwają ból, zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Wyrwał ofierze wszystkie nogi zostawił kadłub na kamieniu, pewny, że wcześniej czy później stanie się łatwym żerem dla jakiegoś ptaka. Porzucone obok nogi przypominały drobniutkie źdźbła trawy, poruszane lekkim wiatrem.

Uczucie satysfakcji nie trwało jednak długo. Gus pomyślał o Jean-Paulu, o tym, jak Francuz kochał wszystkie Boże stworzenia i nagle ogarnął go straszny wstyd. Pośpiesznie zgniółł małe ciało butem, licząc, że w ten sposób ukryje swój czyn i będzie mógł udawać, że w ogóle go nie popełnił. Uciekł do warzywnego ogrodu, zamknął za sobą furtkę i znalazł ciepłe miejsce w jednej ze szklarni. Ze zdziwieniem zobaczył wokół siebie mnóstwo ustawionych w rzędach doniczek. Każda wypełniona była ziemią. Było ich koło pięćdziesięciu. Gus patrzył na nie z zaciekawieniem i podziwem.

Instynktownie odgadł, że Jean-Paul zasadził w nich coś szczególnego, coś, co wypuści listki na wiosnę. Prawie czuł oddech śpiących pod warstwą ziemi cebulek. Więc to jest ogrodowa magia, pomyślał z podnieceniem, pragnąc, aby Jean-Paul jak najszybciej wrócił i wszystko mu wyjaśnił. Kątem oka dostrzegł na betonowej podłodze żuka, który wyrócił się na grzbiet i gorączkowo wymachiwał nogami, próbując odzyskać właściwą pozycję. Ostrożnie, aby nie zrobić mu krzywdy, przewrócił zuka listkiem i patrzył, jak ten pośpiesznie wbiega pod doniczkę. Teraz, kiedy spełnił dobry uczynek, wreszcie poczuł się trochę lepiej.

Miranda wprowadziła matkę i, ciotkę po ogrodzie. Ze zdumieniem odkryła, że zjadliwe komentarze Diany łatwiej znosi tarń, gdzie Jean-Paul zasiał swoją magię. W tych miejscach czuła, jak jego obecność ogrzewa otaczające ją powietrze i napełnia serce spokojem. Constance z entuzjazmem gadała jak najęta, a Diana co jakiś czas prychała wzgardliwie.

- Po co wam taka duża posiadłość? Strasznie trudno jest utrzymać tak duży teren!

- Mamy dwóch ogrodników - oznajmiła Miranda, uśmiechając się na myśl o Jean-Paulu.

- Ja w twoim wieku wszystko robiłam sama! Zatrudnianie licznej służby to zupełnie niepotrzebna ekstrawagancja.

- Co za bzdury, Diano! - przerwała jej Constance. - Sama powiedziałaś, że to duża posiadłość! Ty zatrudniłabyś pewnie więcej niż dwie osoby! Mam nadzieję, że twoi ogrodnicy potrafią poradzić sobie z takim ogrodem, Mirando!

- Jak ciocia widzi,

- Oczywiście, że widzę, moja droga! Nie ma tu ani jednego chwastu! Chętnie zobaczyłabym twój ogród wiosną, kiedy wybuchnie kwiatami!

- O, tak, wiosną będzie tu prześlicznie - przyznała

Diana. - Jednak już latem roślinność wymknie się spod kontroli i wtedy zrozumiesz, że taka rozbuchana dżungla jest po prostu przytłaczająca!

Miranda odetchnęła z ulgą, Rledy pani Underwood oznajmiła, że lunch jest już gotowy.

- Muszę przyznać, że naprawdę odwaliałaś kawał dobrej roboty, kochanie - odezwała się Constance, kiedy Diana poszła się przebrać. - Trzeba być okropną starą zrzędą, żeby tego nie docenić. Nie zwracaj na nią uwagi! Cały problem polega na tym, że twoja matka zwyczajnie ci zazdrości!

Starsza pani mrugnęła porozumiewawczo, Miranda uśmiechnęła się w odpowiedzi i weszła za ciofką .do garderoby, aby powiesić kurtkę.

Diana czekała już na nie przy stole w jadalni

- Zabawny pomysł, żeby pomalować ściany na tak jasne kolory - zwróciła się do córki. - Byłyby odpowiednie w Londynie, ale nie na wsi, gdzie powinno się używać raczej cieplejszych barw.

- Nie wydaje mi się - zaczęła Miranda, ale nie dokończyła, ponieważ Constance natychmiast jej przerwała.

- Ten pokój pięknie się prezentuje, kochanie - oznajmiła. - Miranda doskonale urządziła dom, prawda, Robercie?

- Tak jest! - zgodził się ojciec Mirandy, a brat Constance, który ani przez sekundę nie zastanawiał się nad dekoracją Hartington House. - Bardzo gustownie!

- Dzieci, chodźcie tu i usiądźcie koło babci! - zawołała Diana. - Tak rzadko was widuję. Mama nigdy was do mnie nie przywozi, a przecież powinna pozwolić mi choć trochę nacieszyć się wami. Biedna babcia!

Miranda przewróciła oczami, patrząc, jak Gus i Storm bez entuzjazmu spełniają prośbę jej matki.

- Bardzo się cieszę, że masz kucharkę, moja droga! - ciągnęła Diana. - Gdybyśmy mieli polegać na twoich wysiłkach, chyba lepiej by było zostać w domu.

Zaśmiała się, dając do zrozumienia, że był to żart, lecz Miranda odwróciła się, próbując ukryć urazę. Naprawdę nie należało się dziwić, że jej siostra postanowiła zamieszkać na drugim końcu świata.

Pani Underwood wniosła jagnięcy udziec i w jadalni od razu zapachniało rozmarynem i oliwą. Diana poruszyła nosem, ale nic nie powiedziała. Miranda była ciekawa, czy matka ośmieli się skrytykować panią Underwood. Chętnie zobaczyłaby starcie między tymi dwiema kobietami. Obserwowała spod oka, jak Diana bierze do ust kęs mięsa, podczas gdy pani Underwood obchodzi stół z półmiskiem z pieczonymi ziemniakami. Diana chwilę przeżuwała w milczeniu, z wyraźną przyjemnością.

- Bardzo dobre - odezwała się w końcu, nadziewając na widelec następny kawałek jagnięciny.

- Oczywiście - odparła pani Underwood, patrząc jak David bierze na talerz dwa duże ziemniaki. - To organiczna jagnięcina z Dorset, nigdzie nie ma lepszej!

Diana doskonale wiedziała, kiedy należy zrezygnować.

W Wigilię Gus i Storm powiesili długie skarpety na łózkach i bez narzekania poszli spać. Gus oświadczył, że zaczeka na Świętego Mikołaja, natomiast Storm zauważyła, że wtedy Święty w ogóle nie przyjdzie i żadne z nich nie dostanie prezentów. Miranda otuliła dzieci kołdrami i wróciła do salonu, aby dorzucić do ognia i zapalić światełka na choince. Zaciągnęła zasłony, włączyła CD i przysiadła na kracie kominka. Tęskniła za Jean-Paulem, brakowało jej jego kojącej, dodającej pewności siebie obecności. Zastanawiała się, jak poradziłby jej zachowywać się w stosunku do matki. Jean-Paul miał przecież odpowiedzi na wszystkie pytania, był trochę jak Stary Ojciec Czas... Nagle zapragnęła wrócić do znajomego w domku notatnika. Nie mogła się już doczekać, kiedy rodzice i Constance odjadą, a ona zwinie się w kłębek na łóżku i zniknie w tajemniczym świetle Avy Lightly.

W tej chwili David wszedł do pokoju w bordowej bonzurce i takich samych aksamitnych kapciach. Na widok żony uśmiechnął się szeroko.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Jakoś sobie radzę.

- Skarpety gotowe? Chętnie zabawię się w Świętego Mikołaja!

- Mam nadzieję, że Gus już zasnął, bo twój widok bardzo by go rozczarował - powiedziała Miranda.

- Cały dzień spędził na dworze, więc na pewno zasnął, nim minęło pięć minut...

- Mama jest naprawdę trudna - zauważyła Miranda, zmieniając temat.

- Tylko dlatego, że jej na to pozwalasz! - David otworzył butelkę szampana.

- Zachowuje się tak, odkąd pamiętam, a ja dalej nie mam pojęcia, jak ją traktować.

- Jesteś dorosłą kobietą i powinnaś po prostu powiedzieć jej, żeby się zamknęła!

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić!

- Odkąd to taki z ciebie wąty kwiatuszek?

- Davidzie!

- Kochanie, ludzie zawsze traktują cię tak, jak im na to pozwalasz.

Musisz tylko powiedzieć „dosyć”, to wszystko.

Zmarszczyła brwi.

- Rozumiem już, dlaczego Blythe tak się tobą zachwyca.

- A zachwyca się mną?

- I to bardzo! Mówi, że udzielasz jej samych dobrych rad i widzę, że chyba ma rację!

David nalał jej kieliszek szampana.

- Twoje zdrowie, skarbie! - pocałował ją w policzek.

- Czym zasłużyłam na tego całusa?

- Chciałem tylko powiedzieć ci, jak bardzo cię cenię. Kupiłem ci wspaniały prezent.

Miranda uśmiechnęła się na myśl o salonie jubilerskim Theo Fennella.

- Naprawdę? - zapytała skromnie. - Kiedy mi go dasz? Choćby i teraz!

- znowu ją pocałował. - Bardzo smakowicie pachniesz. Może poszlibyśmy na chwilę na górę, co? Słyszałem, jak twoja matka puszczała wodę do wanny, więc minie parę minut, zanim tu wrócą.

- Sama jeszcze się nie kąpałam.

- Tym lepiej, bo wolę cię przed kąpielą, zanim posmarujesz skórę jednym z tych twoich olejków! No, chodźmy już!

Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę. Oboje chichotali jak małe dzieci, które boją się, że zaraz przyłapie ich ktoś dorosły. W sypialni David lekko popchnął Mirandę na łóżko i sam wyciągnął się obok niej. Gdy zaczął ją całować, zupełnie zapomniała o prezencie. Wyciągnął jej bluzkę koszulową ze spodni i delikatnie pogłaskał brzuch. Potem rozpiął biustonosz i ujął jej pierś całą dłonią, pocierając stwardniały czubek kciukiem. Wtulił twarz w jej szyję i całował wrażliwą skórę tak długo, aż jęknęła z rozkoszy. Wiedzieli, że ktoś może im przeszkodzić, więc kochali się szybko i gwałtownie. Miranda nie myślała o Jean-Paulu. David już tak dawno nie patrzył na nią takim wzrokiem, oczami sennymi od pożądania, z pełnym podziwu uśmiechem. Miała ochotę spędzić te chwile tylko z nim.

Chwilę jeszcze leżeli obok siebie, połączeni intymnymi więzami namiętności.

Byłaś cudowna, kochanie! - oświadczył. - Teraz dam ci nagrodę, którą dla ciebie przygotowałem!

Nago podniósł się z łóżka i przeszedł do swojej garderoby. Przykryła się i zachichotała z podniecenia.

Mam nadzieję, że nie popełniłeś jakiegoś szaleństwa! - powiedziała.

W salonie Theo Fennella trudno było nie popełnić szaleństwa, ale przecież słowa nic nie kosztują.

- Zaslugujesz na to, aby dla ciebie zaszaleć, skarbie! Tkwisz tu sama przez cały tydzień i w ogóle nie narzekasz. Oto dowód mojej miłości i podziwu, najdroższa.

David wyłonił się z garderoby z czerwonym pudełkiem w ręku. Miranda natychmiast się zorientowała, że nie kupił dla niej prezentu u Fennella, ponieważ opakowania Theo były dwubarwne, różowo-czarne. Poczula ostre ukłucie zawodu, ale postanowiła zrobić dobrą minę do złej gry.

- Wesołych świąt, kochanie! - powiedział David.

- Dziękuję - zawahała się na moment. - Co mi kupiłeś?

- Rozpakuj! - zachęcił z uśmiechem.

W pudełku znajdował się wysadzany brylantami wisiołek w kształcie serca. Wiedziała, że gdyby nie telefon ze sklepu Theo Fennella, byłaby szczerze zachwycona. Jaka kobieta nie byłaby zadowolona z brylantów? Teraz jednak nie mogła przestać myśleć o ozdobie, którą David kazał oddać do wygrawerowania. Skoro nie był to prezent dla niej, to dla kogo przeznaczył go jej mąż?

WIOSNA

*WIDOK OBLEPIONYCH KOTKAMI GAŁĄZEK WIERZBY NAPEŁNIA RADOŚCIĄ.
PIERWSZY ŻONKIL PRZEBIJA SIĘ PRZEZ GLEBĘ*

Hartington, 1980

Nowa pora roku odmieniła mnie, rozkwitłam jak kwiat, którego pojawienia się nikt nie oczekiwał, a który jednak przebił się ponad śnieg. Zewnętrznie nadal zachowuję się tak, jakby nic nie zostało powiedziane, nie mogę jednak zapomnieć o złożonym przez MF wyznaniu miłości. Nagle w moim umyśle zaistniało coś, czego nigdy nie brałam pod uwagę, coś jak marchewka, którą ktoś pokazał przyzwyczajonemu wyłącznie do trawy osiołkowi. Powinnam była wysłać go do domu, bo to pozwoliłoby nam obojgu uniknąć strasznego niepokoju i bólu serca, jak jednak mogłam przewidzieć, co się stanie, skoro w tamtym momencie naprawdę czułam do niego tylko ogromną sympatię... Z końcem zimy zaczęłam myśleć o nim coraz częściej. Chwile, kiedy mój umysł był po prostu pusty, wypełniły teraz obrazy jego uśmiechu, tak zaraźliwego i pięknego, że żołądek kurczył mi się z podniecenia na samą myśl o nim. Noce stały się niespokojne, iskrzące

siłą wzajemnego przyciągania, która narastała między nami niczym wilgoć w powietrzu tuż przed burzą. Może gdyby Phillip więcej czasu spędzał w domu, mimo wszystko do niczego by nie doszło, ale jego często nie było i czułam się samotna. Jego nieobecności sprawiły, że MF i ja staliśmy się sobie bardzo bliscy. I w końcu ja, spragniona towarzystwa i bliskości drugiego człowieka, pozwoliłam, aby to się stało... Walczyłam z poczuciem winy. Ogarniały mnie zmienne nastroje, to radość, to znowu rozpacz. Siadywałam na ławce w wiejskim ogrodzie i zastanawiałam się nad beznadziejnością tej zakazanej miłości. Kiedy tylko ulegałam pokusie i zaczynałam snuć niemożliwe marzenia, przed oczami pojawiały mi się twarze moich dzieci i nie pozwalały mi dalej śnić. Kochałam MF, lecz większą miłością darzyłam dzieci.

Phillip dalej żył beztrosko i wesoło jak zwykle, wyjeżdżał na długie tygodnie do Francji i Hiszpanii, a nawet do Argentyny i Chile, gdzie także docierał w poszukiwaniu nowych win. Nie dostrzegał ziarenka, które zapuściło korzonki w moim sercu. Z początku ja również udawałam, że go nie widzę, potem ukrywałam świadomość jego istnienia, wreszcie przyszedł jednak czas, gdy nie mogłam dłużej ignorować tego cudownego nasionka miłości, które MF umieścił tamtego dnia w lesie w moim sercu.

Ava była kompletnie zagubiona. Czy to możliwe, aby kochała dwóch mężczyzn jednocześnie? Jej miłość do Phil-lipa wcale nie zmalała, ani odrobinę, a jednak z każdym dniem czuła się coraz mocniej związana z Jean-Paulem. Wcześniej wydawało jej się, że ludzie wdają się w poza-mażeńskie związki tylko wtedy, gdy są skłóceni ze swymi stałymi partnerami, a przecież w jej małżeństwie nie było żadnego rozdźwięku czy nawet nudy. Dlaczego miałyby pragnąć Jean-Paula, przecież w jej życiu wszystko układało się jak należy.

Początkowo starała się trzymać od niego z daleka. Zlecała mu prace w odległych zakątkach ogrodu, ale chociaż nie był obecny przy niej fizycznie, nie potrafiła przestać o nim myśleć. Później próbowała wmówić sobie, że czuje do niego wyłącznie siostrzaną miłość; pracowali przecież razem w ogrodzie przez całe sześć miesięcy, więc chyba nic dziwnego, że zaczęła odnosić się do niego jak starsza siostra. Kiedy jednak zima dobiegła końca i przebiśniegi oraz żonkile przebiły się przez zmarzniętą glebę, zrozumiała, że nie może się dłużej okłamywać. Jej uczucia zabarwione były seksualnym pożądaniem i nic nie mogło tego zmienić.

Jean-Paul nie był już tym samym aroganckim, zbuntowanym młodym człowiekiem, który jesienią przyjechał do Hartington. Ogród odmienił go, powoli i stopniowo. Ava nie zdawała sobie sprawy, jak wielki wpływ wywarła na młodego Francuza. Nie przypuszczała nawet, że Jean-Paul od początku obserwował, jak opiekowała się roślinami i zwierzętami, jaka była wobec ludzi, dzieci, męża i innych. Ava nie miała pojęcia, że ma w sobie magię, która nie pozwoliła Jean-Paulowi pozostać tym samym człowiekiem. Stał się bardziej wrażliwy i wyrozumiały, a korzeniem tych przemian była, rzecz jasna, miłość. Uczucie, które zamieszkało w jego sercu narastało, czyniąc z niego coraz lepszą istotę.

Pewnego marcowego dnia Jean-Paul zaproponował, żeby wybrali się rano na plażę.

- Moglibyśmy zjeść lunch w pubie - powiedział. - Chętnie zobaczyłbym także i inne miejsca w Dorset. - Wyciągnął przed siebie ręce i rozłożył je bezradnie. - Ciągłe mży, więc i tak nie napracujemy się dziś w ogrodzie.

Ava nie umiała oprzeć się urokowi jego szerokiego uśmiechu.

- Doskonały pomysł! - odparła, starając się ukryć niepokój. Przywykła już do tego, że spędza z Jean-Paulem dużo

czasu w ogrodzie, lecz myśl o wspólnym dniu na plaży wydała jej się dziwnie niewłaściwa.

- Powiem Phillipowi - dorzuciła: - Może miałby ochotę z nami pojechać.

Jean-Paul nie potrafił ukryć rozczarowania, które odmalowało się na jego twarzy.

- Pewnie uzna, że nie ma czasu, ale będzie mu miło, jeśli go zapytam - powiedziała pośpiesznie Ava, zwracając w kierunku domu.

Psy leżały na dywanie przed kominkiem, a z ustawionego na półce magnetofonu dobiegały dźwięki muzyki klasycznej. Phillip siedział w starym skórzanym fotelu, tak pochłonięty lekturą, że w ogóle nie usłyszał wchodzącej do pokoju żony.

- Kochanie - odezwała się Ava.

Phillip podniósł głowę, wyraźnie zaskoczony, zaraz jednak uśmiechnął się na jej widok.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam...

- Ty mi nigdy nie przeszkadzasz, Krzaczku! - Położył sobie książkę na kolanie.

- Jean-Paul zaproponował, żebyśmy poszli na spacer po plaży, bo pogoda i tak jest marna. Zjedlibyśmy lunch w pubie, ponieważ chciałby rozejrzeć się trochę w najbliższej okolicy. Pójdiesz z nami? Byłoby miło.

- Pomysł spaceru z moją żoną w mżawce bardzo mi się podoba, ale chyba jednak odmówię.

Awę przeraziło uczucie ulgi, jakie nagle ją ogarnęło. Próbując uspokoić wyrzuty sumienia, zrobiła pełną zawodu minę i pocałowała męża w policzek.

- Łatwo odgadnąć, co ci chodzi po głowie, Krzaczku! - zaśmiał się cicho.

- Łatwo? - zaczerwieniła się.

- Tak... - uważnie wpatrywał się w jej twarz. - Myślisz, że Jean-Paul zanudzi cię na śmierć, prawda?

- Nie, skądże znowu!

- Zbyt dobrze cię znam, Krzaczk, czytam w tobie jak w otwartej książce! Zajmujesz pierwsze miejsce na liście moich bestsellerów. Niestety, tym razem będziesz musiała pójść z nim sama, ale chyba jakoś to przeżyjesz.

- Jesteś podły! - zawołała. - Ciągłe mi go podrzucasz, coś mi się za to należy! Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę! .

- Dam ci wszystko, o co poprosisz - odparł.

- Trzymam cię za słowo!

Pociągnął ją na swoje kolana i pocałował w czoło.

- Mam nadzieję - szepnął.

Ava poderwała się sprężystym ruchem i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Jean-Paul i Ava jechali w stronę wybrzeża wąskimi, krętymi drogami. Ava była niezwykle zdenerwowana, zupełnie jak nastolatka na pierwszej randce, natomiast Jean-Paul sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego, zadowolonego z jej towarzystwa oraz widoku budzącej się do życia przyrody. Wycieraczki zmywały krople deszczu z przedniej szyby z regularnością rytmicznie tykającego zegara. Awę dręczyło bardziej dojmujące niż kiedykolwiek poczucie szybko przemijającego czasu. Wiedziała, że z końcem lata Jean-Paul wróci do Francji i wtedy obydwójce otrząsną się z zauroczenia i odzyskają równowagę. Ona będzie się zastanawiać nad tym, co by się mogło wydarzyć, pewna, że jako mężatka nie miała innego wyboru, jak tylko odrzucić go bez wahania.

Zaparkowała w małej zatoczce wśród skał i wąziutką ścieżką poprowadziła Jean-Paula na pustą plażę.

- Nikt tu nie przychodzi - wyjaśniła. - Pewnie dlatego, że nie ma piasku, tylko kamienie, ale ja bardzo lubię ten surowy chrząst, kamyków pod stopami...

Mżawka nie ustawała, lecz Ava była zupełnie sucha pod kowbojskim kapeluszem, przywiezionym przez Toddy z Teksasu, szorstkim poncho, które sama jako nastolatka kulila sobie w Chile, w dżinsach i kaloszach. Włosy upchnęła . pod kapeluszem i tylko kilka wijących się pasemek uciekło jej ha szyję. Nigdy nie uważała się za atrakcyjną fizycznie, lecz Jean-Paul patrzył na nią tak, jakby była najpiękniejszą kobietą świata.

Szedł tuż obok niej. Był niższy od Phillipa, lecz przy Avie, która miała metr'sześćdziesiąt wzrostu, wydawał się wysoki. Spokojne mofze.rytmicznie lizało kamienie, polerując je wodorostami, a potem cofało się w zalotnym tańcu. Wiatr niósł posmak soli, w, jednej chwili ostry, to znów łagodny. Rozmowa-między Avą i Jean-Paulem wyraźnie się nie kleiła. Młody mężczyzna pragnął wziąć ją w ramiona, uwolnić zamknięte w jego sercu słowa i wyjawić, jak bardzo ją kocha, wsunął jednak tylko ręce do kieszeni i szedł przed siebie, co jakiś czas komentując nierówny lot mewy albo widok wyrzuconych pr«ez fale szczątków kraba. Ava chciała przytulić się do niego, choćby tylko na moment, na zakazaną sekundę, którą mogłaby wspominać w wypełnione tęsknotą noc. Spojrzała na zachodzące słońce, symbol końca dnia, i rozplakała się, zupełnie niespodziewanie i bez ostrzeżenia.

Jean-Paul przystanął i położył ręce na jej ramionach, zaniepokojonym wzrokiem wpatrując się w jej twarz.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Za co? - zapytał tak łagodnym głosem, że łzy jeszcze obficie popłynęły po jej policzkach.

Potrząsnęła głową.

- To bez sensu... - powiedziała.

- Nie rozumiem.

- To, co jest między nami przypomina zachód słońca. Jest tak piękne, że chciałoby się to schwycić, ale zaraz znika.

- Avo...

- Albo tęczę! - wyszlochała. - Tęczę, którą można podziwiać z daleka, lecz nie da się...

Jean-Paul nie czekał dłużej. Chwycił ją w ramiona i zaczął namiętnie całować. Ava nie miała siły bronić się, przywarła do jego piersi i zamknęła oczy, rezygnując z walki. Pocałunek Jean-Paula był gorący lecz czuły i delikatny, Ava otoczyła jego szyję ramionami, pozwalając, aby objął ją mocno i pragnąc, by ta chwila trwała w nieskonczoność, ale świadomość bliskiego końca uczyniła pocałunek jeszcze słodszy. Po chwili uniesienia poczuła dojmujące przygnębienie; to było niczym upadek z najwyższego punktu tęczowego łuku w objęcia szarych chmur. Pomyślała o dzieciach i Phillipie, i natychmiast ogarnęło ją poczucie winy. Odsunęła się od Jean-Paula.

- Nie mogę - szepnęła, lekko dotykając, warg, wciąż jeszcze ciepłych od pocałunku.

Patrzył na nią z przerażeniem, zupełnie jakby nagle wyszarpnęła mu ziemię spod stóp.

- Nie patrz tak na mnie, nie mogę tego znieść! - musnęła palcami jego policzek, wyziębiony wiatrem i mżawką. - Nie powinniśmy byli tu przychodzić! W ogrodzie wszystko jest tak, jak powinno być, każde z nas ma tam swoje miejsce, a tu nie ma granic, które odgradzają nas od siebie.

- Nie możemy teraz wrócić do punktu wyjścia - odezwał się cicho. - Zbyt wiele się zmieniło.

- Więc co możemy zrobić?

- Nie wiem, Avo. Wiem tylko, co dzieje się w moim sercu. Im więcej czasu z tobą spędzam, tym więcej miejsca w nim zajmujesz.

Ava oparła czoło o jego pierś i utkwiała wzrok w zamglonym horyzoncie. Zasłuchała się w szum fal i smutne pokrzykiwania mew i jej serce zalała fala głębokiego smutku.

- Nie było nam to przeznaczone - powiedziała w końcu. - Nie mogę zdradzić Phillipa. Jego też kocham. I dzieci... - głos

załamai jej się nagle. - Nie ma takiej rzeczy, która skłoniłaby mnie do odejścia od nich.

- W takim razie muszę wrócić do Francji.

- Nie! - wykrzyknęła gwałtownie.

- Nie mam wyboru, Avo.

- Ale przecież ja chcę spędzić z tobą wiosnę i lato, cieszyć się z tobą ogrodem! Nikt nie rozumie przyrody tak jak ty. -Przełknęła ślinę i zajrzała mu w oczy, porażona rozpaczą, malującą się na jego twarzy. -I nikt nie rozumie mnie.

- Nikt nie kocha cię tak jak ja! - odparł gwałtownie, ściskając jej ramiona tak mocno, że skrzywiła się z bólu. - Ale masz rację... - rozluźnił uścisk. - Nie mogę bez ciebie żyć, więc mam tylko jedno wyjście. I nadzieję...

- Nadzieję?

- Nadzieję, że deszcz będzie dalej padał, a później przez chmury przebije się słońce i na niebie pokaże się najpiękniejsza tęcza.

Starali się zachowywać tak, jakby pocałunek, który na chwilę ich połączył, nigdy nie miał miejsca, lecz chociaż rozmawiali na inne tematy, tamto wspomnienie pozostało. Jean-Paul poznał smak rajy i pragnął czegoś więcej, natomiast Ava zrozumiała, że zawiniła beztroską i z ulgą myślała o tym, że położyła kres niebezpiecznej sytuacji, zanim za daleko w nią zabrnęła.

Oboje nie mieli apetytu. Wrócili do domu w milczeniu. Mgła posuwała się w głąb łądy, więc Ava włączyła długie światła, ale nawet z nimi trudno się było zorientować, gdzie się znajdują. Jechała powoli, chcąc bezpiecznie wrócić do Phillipa i normalności. Jean-Paul włączył radio i z głośnika popłynął piękny, niski głos Mamma Cass. Gdy wreszcie znaleźli się na podjeździe, mieli wrażenie, że właśnie obudzili się ze snu. Milczeli. Nie można mieć wszystkiego, czego się zapragnie, pomyślała Ava. Muszę cenić to, co mam i nie ryzykować, bo przecież mam dzieci. I Phillipa...

Jean-Paul nie miał nic do stracenia. Przyjechał z niczym i czuł, że wyjedzie z niczym. Tylko jego serce miało pozostać odmienione na zawsze. Wrócił do swojego domku, rozpałił ogień w kominku i zaczął wyrażać smutek gwałtowny-; mi pociągnięciami pędzla.

Ava wróciła do męża. Podkradła się pd tyłu do Phillipa, który stał przed regałem z książkami i objęła go w pasie.

- Ach, więc wróciłaś - odezwał się wespło.

- Jadłeś coś?

- Znalazłem jakieś okruchy w lodówce.

- Założę się, że były to pyszne okruchy.

- Tak, bo wyszły spod ręki najprawdziwszego specja. -Phillip odwrócił się twarzą do Avy. - Widać, że spacerowałaś na wietrze - zauważył, patrząc na jej zaczerwienione policzki i oczy.

- Na plaży mocno wieje!

- Właśnie widzę - objął ją mocno. - Wszystko w porządku, Krzaczk?

- Tak, tylko trochę boli mnie głowa.

- Chcesz, żebym pojechał po dzieci?

- A pojechałbyś?

- Jasne! Chyba powinnaś się położyć.

- Zrobię to.

- Dobrze się bawiłaś?

- Nie najgorzej - odparła, kryjąc twarz w jego swetrze. -Jean-Paul jest bardzo miły.

Zamknęła oczy. Jak mało brakowało, aby naraziła na niebezpieczeństwo wszystko, co miało dla niej tak ogromną wartość. Phillip przygarnął ją bliżej.

- Och, jak dobrze - zamruczała.

Phillip nawet nie przypuszczał, jak bardzo było jej dobrze,

*PRZEBIŚNIEGI WYGLĄDAJĄ SPOD OSZRONIONEJ TRAWY. PIERWSZE
OZNAKI WIOSNY*

Ava obudziła się wcześniej. Od czasu pocałunku na plaży nie sypiała zbyt dobrze. Serce waliło jej jak szalone, mieszanka podniecenia i lęku sprawiała, że krew szybciej krążyła w żyłach. Leżała nieruchomo, słuchając świergotu ptaków i myśląc o ogrodzie, który teraz, przy cieplejszej pogodzie i dłuższych dniach, powoli budził się do życia. Blask świtu wdarł się do pokoju, zalewając światłem fragment dywanu i napełniając ją samą strachem. Nadejście świtu oznaczało, że czeka ją kolejny dzień walki z Jean-Paulem i jej własnymi, nieokiełznanymi pragnieniami. Ostatnio ich wspólna praca przypominała wzajemne oddziaływanie na siebie magnesów, które jakimś cudem stawiają opór sile przyciągania. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o swoich prawdziwych uczuciach; oboje doświadczali tej samej frustracji i wciąż od nowa zmagali się z pokusami.

Phillip leżał na plecach, z jedną ręką odrzuconą w bok. Ava ułożyła się na boku i obserwowała rytmiczne wznoszenie się i opadanie jego piersi, poruszanej spokojnym oddechem zadowolonego z życia człowieka. Nie zrobił nic, aby zasłużyć na jej zdradę. Mimo jego długich i częstych wyjazdów ich małżeństwo oparte było na solidnych podstawach. Phillip otwarcie okazywał jej miłość, a ona darzyła go najwyższym szacunkiem; szanowała jego opinie i podziwiała błyskotliwą inteligencję. Wysoko ceniła bezstronność, odpowiedzialność, hierarchię wartości moralnych oraz głęboką mądrość. Dlaczego więc naraziła to wszystko na szwank, obdarzając miłością człowieka, którego nie mogła mieć? Czy dla krótkiej przejażdżki na tęczowym łuku warto ryzykować tak wspaniałe życie?

Pomyślała o dzieciach, trzech ufnych istotach, których egzystencja bez reszty uzależniona była od solidności fundamentów, jakie stworzyła dla nich razem z Phillipem. Na jaką przyszłość mogłyby liczyć, gdyby ona zatrzęsała podstawą ich życia? Miała pełną świadomość, że ich przyszłość znajduje się w jej rękach, a jednak nie potrafiła oprzeć się sile, która ciągnęła ją do Jean-Paula. Cóż, mogła zrobić tylko jedno.

Nie czekając, aż Phillip sam się obudzi, położyła się na nim i wtuliła twarz w jego szyję. Poruszył się, czując ciepło jej ciała i powoli, jeszcze przez sen, otoczył ją ramionami.

- Chcę mieć jeszcze jedno dziecko - szepnęła mu do ucha.

Ocknął się gwałtownie.

- Co takiego? - wymamrotał, wypływając na powierzchnię przytomności.

- Chcę mieć jeszcze jedno dziecko - powtórzyła.

- Krzaczku, skarbie. Jeszcze jedno dziecko? Teraz, natychmiast?

Objęła go mocno, przerażona, że mogłaby go stracić.

- Tak!

- Moim zdaniem powinniśmy to spokojnie przemyśleć.

- Wszystko już przemyślałam, nie mam ochoty dłużej się zastanawiać!

Mc innego nie przywiąże mnie do domu tak mocno, żebym nie mogła uciec. Nie mam już do siebie zaufania.

- Nie wydaje mi się, abym mógł dać ci dziecko już teraz, nawet gdybym bardzo tego chciał - odparł Phillip, łagodnie spychając ją z siebie. - Nie jest to najbardziej podniecający sposób budzenia mężczyzny.

- Przepraszam... - przewróciła się na plecy i zasłoniła twarz ramieniem. - Wiesz przecież, jaka jestem. Kiedy coś wymyślę, muszę to od razu zrealizować.

- Zazwyczaj uważam to za jedną z twoich najmilszych cech. - Phillip podniósł się i wszedł do łazienki.

- Niedługo będę miała czterdzieści lat. Jeżeli nie urodzę dziecka teraz, stracę szansę.

- Trójka ci nie wystarczy?

Odpowiedź Avy zagłuszył szum wody z kranu. Phillip starannie umył zęby i opłukał twarz.

- Moglibyśmy wyjechać na parę dni - zasugerowała, gdy wrócił do pokoju. - Tylko we dwoje.

Popatrzył na nią uważnie, spod lekko zmarszczonych brwi.

- Dobrze się czujesz, Krzaczku?

- Bardzo dobrze!

- Sądziłem, że nic nie potrafi oderwać cię od dzieci i ogrodu.

- Dawno nie byliśmy nigdzie razem, tak rzadko cię widuję. Przesiadujesz w gabinecie albo jesteś za granicą, a ja potrzebuję twojej obecności.

W jej głosie zabrzmiała zupełnie nowa, ostra nuta. Phillip usiadł na łóżku obok niej.

- Jeżeli tego chcesz. Przepraszam cię, kochanie, nie zdawałem sobie sprawy.

- Chcę spędzić z tobą trochę czasu, tylko z tobą, bez dzieci! Chcę, żebyś znowu dostrzegł we mnie kobietę, nie tylko matkę!

- Zawsze widzę w tobie kobietę, Krzaczk - Phillip próbował się uśmiechnąć.

Nieoczekiwany, nietypowy wybuch Avy mocno go zaniepokoił.

- Nad małżeństwem trzeba pracować! Jeśli fundamenty związku zaczynają pękać, do środka mogą przedostać się różne rzeczy. Nie chcę żadnych rys ani pęknięć, rozumiesz?

- Bardzo się staram, chociaż jest jeszcze bardzo wcześnie i mam pewne trudności...

- Pojedźmy zagranicę, w jakieś ciepłe, przyjemne miejsce! Moglibyśmy wylegiwać się w słońcu, czytać i spacerować po plaży, trzymając się za ręce. Pamiętasz, jak miło spędzaliśmy czas przed urodzeniem Archiego?

- Tak, w Toskanii... Jak mógłbym zapomnieć! - zaśmiał się Phillip. - Byliśmy młodzi i zakochani.

- Kochaliśmy się całymi popołudniami, po wielkich porcjach spaghetti, które popijaliśmy mnóstwem różowego wina. Powietrze było ciepłe i cudownie łagodne. Pamiętam zapach eukaliptusa... Wiezorami spacerowaliśmy ulicami Sieny i Florencji, radośni i beztroscy. Powtórzmy to!

W oczach Avy lśnił entuzjazm, który przepędził obawy Phillipa.

- Pamiętam cię w tej czarnej sukience w białe kropki. - Pocałował ją w czoło. - Byłaś najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem. I nadal taka jesteś, wiesz?

- Moglibyśmy zrobić dziecko w Toskanii, uczyć w ten sposób nasze małżeństwo i naszą miłość. Och, to byłoby takie romantyczne!

- Nie jestem przekonany, czy nieprzespane noce i pieluchy są bardzo romantyczne. Przemyśl to jeszcze, Krzaczk. Mówisz o istocie ludzkiej, o nowym członku naszej rodziny,

dziecku zbyt małym, aby bawić się z rodzeństwem. I nie zapominaj, że ja jestem stary i z całą pewnością nie będę już młodszy. Jeżeli naprawdę chcesz mieć jeszcze jedno dziecko, nie pozbawię cię tej radości, ale zależy mi, żebyś dokładnie zastanowiła się nad naszą sytuacją i wzięła pod uwagę związane z pojawieniem się noworodka poświęcenia. Jesteś na nie gotowa?

Z takimi przemyśleniami Ava poszła na spotkanie z Jean-Paulem. Rano poczucie winy dręczyło ją w ramionach męża, teraz znowu cierpiała. Chciała wydać na świat ludzką istotę tylko po to, aby uniemożliwić sobie związek z mężczyzną, którego pokochała. Nagle to także wydało jej się równie naganne jak zdrada. Powinnam odesłać cię do Francji, pomyślała, ale nie potrafię znieść świadomości, że mogłabym cię już więcej nie zobaczyć.

Weszła do dzikiego ogrodu i przystanęła pośrodku morza żonkili. Niebo było czyste i odświeżone, powietrze pachniało żyzną ziemią. Wszędzie dookoła ogrody budziły się do życia, a na gałęziach drzew setki ptaków zakładały gniazda. Ta myśl ją zasmuciła, zamiast dodać odwagi. Zrozumiała, że jakaś część jej samej nie rozkwitnie, lecz pozostanie zdławiona i uschnięta jak zwarzony przymrozkiem pączek. Zawsze będzie się zastanawiała, jak wyglądałoby jej życie u boku Jean-Paula. W głębi serca nosiła pewność, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie, że nie podejmie ryzyka ze względu na Phillipa i dzieci. Moje życie nie należy tylko do mnie, powiedziała sobie. Więzy miłości łączą mnie z moimi najbliższymi i hic tego nigdy nie zmieni. Wybrałam swoją drogę życia i życie czterech innych osób zależy ode mnie. Muszę zadowolić się przyjaźnią Jean-Paula, to lepsze niż nic...

Podniosła wzrok i zobaczyła zmierzającego ku niej Jean-Paula. W oddali za zakrętem zniknął właśnie samochód Phillipa. Jean-Paul miał na sobie błękitną koszulę z podwiniętymi rękawami, jego ramiona były opalone i silne, barki

szerokie, nawet krok zmienił iriu się w czasie spędzonych w Hartington miesięcy. Nie był już wydelikacjonowanym chłopcem z miasta, przyzwyczajonym do drugich lunchów w eleganckich restauracjach przy rue Saint Germain, lecz człowiekiem, który kochał ziemię i przyrodę tak mocno jak ona. Na jego widok od razu poczuła się lepiej. Jej postanowienia osłabły i przybladły. Pomyślała, że kiedyś tak idzie do niej, przemienia otaczający ich ogród w czarodziejską krainę. Intensywna barwa żonkili i prawie fluorescencyjna zieleń świeżych liści na drzewach sprawiły, że nagle ogarnęło ją uczucie radości. .

Twarz Jean-Paula była napięta i blada. Zanim Ava zdążyła się odezwać, wziął ją za rękę i pociągnął za pień spróchniałego drzewa, zanurzył palce w jej włosach i pocałował w usta.

- Nie mogę tak dalej żyć - powiedziała kiedy w końcu oderwali się od siebie. - Z każdym dniem kocham cię mocniej i mocniej. Nie widzisz, jak mnie dręczysz? Przebywanie z tobą miało być przyjemnością, a stało się przekleństwem. Wolno mi patrzeć, ale nie dotykać i to, moja piękna Ayo, powoli mnie zabija. Dlatego postanowiłem wracać do Francji.

Ava poczuła się tak, jakby ją uderzył.

- Wyjeżdżasz?! - zapytała bez tchu.

- Nie patrz na mnie z takim smutkiem, bo będzie mi jeszcze ciężiej. -

- Nie chcę, żebyś wyjechał.

- Więc bądź ze mną! - zawołał gwałtownie, chwytając ją za ramiona. -

Bądź ze mną!

- Nie mogę - odparła zachrypniętym głosem. - Pragnę tego, ale nie mogę.

- W takim razie po co mam tu zostawać?

- Nie wiem... Przynajmniej jesteśmy razem.

- Za jaką cenę?

- Nie mogę bez ciebie żyć, Jean-Paul, proszę, nie rób mi tego!

- A ja nie mogę żyć obok ciebie, jeśli nie wolno mi wziąć cię w ramiona! - rzucił szorstko. - Jestem mężczyzną. *Un homme qui t'aime...*

- *Et je suis une femme qui t'aime!* Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Mówisz po francusku? Boże, a ja sądziłem, że wszystko o tobie wiem. - Przesunął palcem po policzku i podbródku Avy, jakby chciał nauczyć się na pamięć konturów jej twarzy.

- I nigdy cię już nie zobaczę? Otarł jej łzy kciukami.

- Nie wiem.

- Jean-Paul, nie możesz mnie tak zostawić, właśnie teraz, kiedy ogród zaczynał rozkwitać! Wszystko, co wspólnie stworzyliśmy...

- Będzie ci o mnie przypominać - dokończył z cynicznym śmiechem. - Może właśnie to przekona cię, żebyś ze mną była.

Przyciągnął ją do siebie. Słyszała szybkie, gorączkowe uderzenia jego serca, wdychała korzenny zapach ciała, zapach, który pragnęła na zawsze zapamiętać. Zamknęła oczy, ale łzy uciekły jej spod powiek, mocząc mu koszulę.

- Co mam powiedzieć Phillipowi? - spytała.

- Powiedz mu, że miałem dosyć.

- Nie chcę, żeby źle o tobie myślał.

- Więc powiedz, że musiałem wyjechać z powodu kobiety! Zawsze łatwiej jest doprawić kłamstwo szczyptą prawdy!

- Och, Jean-Paul, zostań, błagam cię! - Doskonale wiedziała, że jej prośba nie przyniesie żadnego pozytywnego rezultatu. - Co powie twój ojciec?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A co z twoim dziedzictwem?

- Zabiorę się do pracy nad ogrodami wokół chateau i pokażę mu, co potrafię.

- Ale przecież dopiero zaczęliśmy pracę tutaj! Jest jeszcze wiele rzeczy, których powinieneś się nauczyć.

- Wobec tego będę musiał nauczyć się ich sam.

- Nie zobaczysz wiejskiego ogrodu w pełnym rozkwicie! - Nie dbam o wiejski ogród, chodzi mi tylko o ciebie! Nigdy nie zobaczę cię w pełnym rozkwicie i dlatego serce mi pęka.

Pochylił głowę i znowu pocałował jej usta.

Tym razem zamknęła oczy, rozchyliła wargi i pozwoliła, aby pocałował ją głęboko i namiętnie. Nie myślała o dzieciach i Phillipie. Jean-Paul na zawsze opuszczał jej życie i teraz, gdy ją całował, nic nie było w stanie rozproszyć jej skupionej na nim uwagi.

Parę chwil później wpadła do domu, rzuciła się na łóżko i rozplakała jak dziecko. Nie mogła przestać myśleć o tym pożegnalnym pocałunku pod drzewem i ze wszystkich sił starała się zatrzymać na wargach i ciele jego dotyk. Nie potrafiła uwierzyć, że więcej go nie zobaczy. Stał się częścią Hartington w tak wielkim stopniu, że to miejsce musiało wydać się bez niego puste i opuszczone. Ava wyobraziła sobie, jak wiejski ogród wybucha kwiatami i rozplakała się jeszcze żałośniej. Wiejski ogród był jego marzeniem, jego podarunkiem dla niej. Nie powinna sama cieszyć się jego pięknem.

Co miała powiedzieć dzieciom? One także kochały Jean-Paula. Należał do rodziny. Ava z coraz większą determinacją myślała o następnym dziecku, które mogłoby zatrzymać ją w Hartington i skoncentrować na sobie uwagę, o dziecku, które mogłoby zagrozić drogę do wyjścia i przypomnieć, gdzie jest jej miejsce. Archie, Angus i Poppy cały dzień przebywali w szkole. Czym mogła wypełnić puste godziny? Miała tylko ogród, który razem uprawiali. Wiedziała, że każda roślina będzie przypominała Jean-Paula. Co się stanie, jeśli tęsknota pozbawi ją zdrowego rozsądku? Jeśli doprowadzi

ją do szaleństwa, tak jak stało się to z Daisy Hopeton? Jeśli nie, będzie w stanie się powstrzymać? Nowe dziecko przywiąże ją do domu mocniej niż cokolwiek innego. Nie miała pojęcia, jak przekazać rodzinie wiadomość

o wyjeździe Jean-Paula. Postanowiła powiedzieć im, że pojechał do domu, aby zobaczyć się z matką. Uznała, że jeżeli ujmie to w taki sposób, zawsze będzie mógł do nich wrócić. Tak bardzo pragnęła, aby zmienić zdanie. Powiedziała dzieciom w czasie podwieczorku, starannie odwracając twarz

i udając, że całkowicie pochłania ją przygotowanie pomidorowego sosu z bazylią do makaronu. Poświęciły jej chwilę uwagi, a później znowu zajęły się ważniejszymi rzeczami, takimi jak budowa namiotu pod wielkim stołem w holu. Ava utkwiała wzrok w rondlu, z trudem powstrzymując łzy. Dzieci nigdy się nie dowiedzą, co poświęciła, aby ich nie opuścić.

Zrobiła suflet serowy i upiekła bażanta, byle tylko oderwać myśli od wyjazdu Jean-Paula. Dzieci bawiły się w holu i psami, co chwilę wskakując pod stół i wyskakując spod niego, zrzucając na ziemię książki. Gotowała, słuchając radia, ale ulubione piosenki w stylu country pobudzały ją do płaczu, włączyła więc inną stację i przez parę chwil z uwagą śledziła wątek jakiegoś krótkiego słuchowiska. Kiedy Phillip wrócił na kojację, dzieci były już w łóżkach. Ava podała mu kieliszek czerwonego wina i pocałowała go. Widok jego uśmiechniętej twarzy utwierdził ją w przekonaniu, że warto było zdobyć się na bolesne poświęcenie. Okazałaby się straszną kobietą, gdyby zostawiła Phillipa oraz dzieci i uciekła do Francji.

Jednak pewność, że podjęła słuszną decyzję, wcale nie poprawiła jej nastroju. Starła się wybrać właściwy moment, aby powiedzieć mężowi o wyjeździe Jean-Paula, świadoma, że nie wolno jej okazać żadnego uczucia. Łzy, rumieniec czy drżąca dolna warga i podbródek mogły ją zdradzić. A ona

nigdy nie była szczególnie dobrą aktorką. W szkole zwykle dostawała najmniej wymagające role dozorca, kucharki, albo „osoby z tłumu”, tymczasem teraz musiała zdobyć się na występ godny Oscara, chociaż brakowało jej po temu umiejętności. Dlatego zamiast przekazać Phillipowi wiadomość przy stole, zdecydowała się rzucić mu ją mimochodem znad zmywarki, do której właśnie wkładała talerze po suflecie.

- Kochanie, Jean-Paul wyjechał do domu, żeby zobaczyć się z matką.

Przymknęła oczy, słysząc własny głos, wypowiadający jego imię i siłą powstrzymała łzy. Gardło ścisnęło jej się z bólu, a policzki zalał ciemny rumieniec. Szybko odwróciła się do okna i spojrzała na odbicie swojej smutnej twarzy.

- W porządku - odparł Phillip. - Wiesz, zastanawiałem się nad tym naszym wspólnym wyjazdem.

- Tak?

- Tak. Wydaje mi się, że oboje zasługujemy na krótką przerwę w codzienności. Myślisz, że twój matka mogłaby przyjechać i zająć się dziećmi?

- Myślałam raczej o Toddy...

- Nie, ona ma za dużo zajęć, żeby wziąć do siebie jeszcze naszą trójkę!

Ava uznała, że może się już bezpiecznie odwrócić. Wyjęła bażanta z piekarnika i zdjęła pokrywki z półmisek z warzywami.

- Mama na pewno byłaby zachwycona, a, dzieci uwielbiają Heinza - powiedziała, zadowolona, że jej twarz nie płonie już intensywną czerwienią. - Moglibyśmy poprosić panią Underwood, żeby dla nich gotowała, wtedy mama nie musiałaby się martwić jedzeniem. Toddy będzie do nich regularnie zaglądać, może nawet zabrałaby chłopców na jakieś dwa popołudnia.

- Doskonale!

- Kiedy chciałbyś pojechać?

Nałożyli jedzenie na talerze i usiedli.

- Pod koniec maja. Dzieci będą cały dzień w szkole, więc Verity musiałyby tylko przygotować ich rano do wyjścia, odebrać po południu i położyć spać. Myślę, że tydzień nam wystarczy.

Ava ściągnęła brwi. Nie bardzo wyobrażała sobie, aby mogła zostawić dzieci na tyle dni.

- Nie sądzisz, że to za długo?

- Siedem dni? Nie, moim zdaniem porządny odpoczynek dobrze ci zrobi!

- Pięć, kochany. Później i tak będę się tylko denerwować, a dzieci będą za nami tęsknić. Najlepiej wyjedźmy w poniedziałek i wróćmy w piątek, w ten sposób weekend spędzimy już w domu.

- Jak chcesz...

- Tak, to dobre rozwiązanie. Pięć dni! Dokąd się wybierzemy?

- Sam się tym zajmę, dobrze? Może pojedziemy do Toskanii albo do Hiszpanii... Jeszcze się zastanowię.

- Dziękuję! - Z piersi Avy wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Czy aby na pewno dobrze się czujesz, Krzaczk? Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą. - Phillip ujął jej rękę i utkwiał uważne spojrzenie w twarzy. - Szczerze mówiąc, chyba w ogóle nie jesteś szczęśliwa.

- Och, nic mi nie jest! - uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ciągle myślisz o czwartym dziecku, prawda?

- Tak, jakoś nie mogę przestać.

- Ta sprawa leży ci na sercu.

- Cóż, to bardzo poważna decyzja!

- Bardzo poważna, słusznie... Masz mnóstwo czasu na zastanowienie, nie musisz się śpieszyć ani niepokoić. Jeżeli naprawdę chcesz mieć jeszcze jedno dziecko, Krzaczk, zrobię, co w mojej mocy, żeby cię zadowolić. Wiesz przecież, że

niczego nie umiem ci odmówić. Powinnaś się cieszyć, nie smucić...

- Wiem. Po prostu nie jestem pewna, czy powodują mną właściwe motywacje.

- Mamy troje cudownych dzieci, które dają nam dużo radości!

- Wiem.

- Przemyśl sobie wszystko w czasie tych krótkich wakacji. Słońce i odpoczynek dodadzą ci energii i pozwolą spojrzeć na życie ze świeżej perspektywy. A teraz uśmiechnij się, skarbie! Przygotowałaś prawdziwą ucztę, chcę wznieść toast na twoją cześć! Jesteś wspaniałą kobietą. - Phillip uniósł dłoń żony do ust i pocałował ją. -1 moim Krzaczkiem...

Ava nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Takie zachowanie było w stylu Jean-Paula, Phillip nigdy dotąd nie całował ją w rękę. Znowu zarumieniła się gwałtownie i przełknęła ślinę, aby się nie rozplakać.

- Kochanie, masz łzy w oczach.

- Jesteś taki dobry dla mnie - odparła drżącym głosem. Phillip zaśmiał się cicho, przekonany, że powodem jej wzruszenia były czułe słowa.

- Zaslugujesz na o wiele więcej - powiedział. Ava otarła oczy wierzchem dłoni.

- Kiedy się pobraliśmy, byłaś dziewczyną - ciągnął. -Z czasem wyrosłaś na kobietę, z której jestem ogromnie dumny. Jesteś piękna, inteligentna, zainteresowana światem, ale przede wszystkim jedyna w swoim rodzaju. Nie ma na świecie nikogo, kto byłby do ciebie choć odrobinę podobny. Jestem największym szczęściarzem, udało mi się znaleźć ciebie.

- Zaraz będę płakać - wykrztusiła Ava, wdzięczna za tę wymówkę.

- Płacz, ile chcesz, Krzaczku - rzekł łagodnie i znowu pocałował ją w rękę.

*PIERWSZE PSZCZOŁY I INSEKTY NA KWIATACH PNĄCEGO SIĘ PO MURACH
POWOJU. FIOLETOWE KROKUSY WŚRÓD TRAWY*

Ava spodziewała się, że Jean-Paul jednak wróci. Hartington było tak puste bez niego, że nie potrafiła sobie wyobrazić, aby ponownie nie wypełnił tej pustki swoją obecnością. Należał do tego miejsca tak samo jak wieżyczka, w której mieszkały ptaki i wydrażone drzewo, jego wyjazd zakłócił panującą w ogrodzie harmonię. Niczym wracający do domu gołąb codziennie biegła nad strumień, pełna nadziei, że ujrzy światło w oknach i poczuje zapach ulatującego z komina dymu, lecz dom wciąż był zimny, pusty i odstręczający. Stawała na kamiennym mostku i przechylała się przez poręcz, wpatrzona w płynącą niżej wodę. Wiatr był ciepły i łagodny, pieścił jej skórę delikatnie jak palce ukochanego. Wśród krzewów i drzew rozbrzmiewał świergot ptaków. Najgłośniejszym śpiewał skowronek, jego głos był wyraźny, czysty i dominujący. Drobne fiołki otwierały fioletowe twarzyczki pod wpływem słońca, biały barwinek kwitł wzdłuż brzegu rzeczki.

Ava chodziła po ogrodzie jak we śnie, pozwalając, aby smutek opanował ją niczym choroba. Przystawała wśród słodko pachnących roślin i wdychała ich aromat; czekała na radosne uniesienie, ale nie czuła nawet zwykłego zadowolenia. Rozpacz przygniatała ją jak ciężki głaz.

W końcu wsiadła do samochodu i pojechała do Toddy, do dużego starego domu w dolinie, osiem kilometrów od Hartington. Przemknęła przez podjazd, nie zauważając różowo kwitnących wiśni, których płatki trzepotały w słońcu jak skrzydełka motyli. Zaparkowała przed domem i obeszła go, pewna, że zastanie Toddy w stajni, wśród koni. Nie pomyliła się. Na widok Avy Toddy podniosła rękę i pomachała. . - Co za miła niespodzianka, i to z samego rana! - zawołała, wychodząc z boksu w spodniach i butach do konnej jazdy, które leżały na niej jak druga skóra. - Dobrze się czujesz, skarbie? Jesteś strasznie blada.

- Nic mi nie dolega, jestem tylko trochę przygnębiona. Wiedziała, że udawanie przed Toddy nie ma większego sensu.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

Ava wzruszyła ramionami i wzięła głęboki oddech.

- Po prostu zmęczenie - odparła, wsuwając ręce do kieszeni długiego płaszcza, który nosiła do dzinsów. - Phillip pojechał do Londynu. Ostatnio prawie go nie widuję, jest całkowicie pochłonięty swoją książką.

- Ach, ci mężczyźni! Dobrze chociaż, że ma ciekawą pracę, w przeciwieństwie do Bena, któremu oczy same się zamykają, gdy zaczyna opowiadać, czym się zajmuje. Że też musiałam wyjść akurat za księgowego!

- Przynajmniej pilnuje, żebyś nie wydawała pieniędzy na głupstwa!

- W ciągu tych lat nauczyłam się przebiegłości, wierz mi! No, chodźmy do środka! Chętnie napiję się kawy, a tobie chyba przyda się kropelka czegoś mocniejszego.

Na poduszce na środku stołu leżał Frisby.

- Marnie się czuje. - Toddy pieszczotliwie przesunęła dłoń po grzbiecie śpiącego zwierzątka. - Nic poważnego, tylko przeziębienie, pewnie złapał je od bliźniaków. Pijesz earl greya czy zwykłą czarną?

- Earl greya - Ava wygodnie usadowiła się w fotelu. Kuchnia pachniała kawą i bułeczkami z porzeczkowym

dżemem. Toddy wyjęła filiżanki z kredensu i wyłowila dwie łyżeczki ze zmywarki, której najwyraźniej nie chciało jej się rozładowywać.

- Jak tam diabelnie przystojny Jean-Paul? - zagadnęła, sięgając po puszkę z herbatą.

Ava, która nie spodziewała się tego pytania, pobladła.

- Pojechał odwiedzić matkę - odparła.

- Szkoda - zaśmiała się Toddy. - Dziewczyny będą niepokieszone!

- Dziewczyny?

- Samantha i Lizzie. Niestety, nie zanosi się na żaden wielki romans. Wydaje mi się, że one po prostu nie są w jego typie. Pewnie Angielki są dla niego za mało seksowne.

- Może tak...

- Ale i tak długo tu wytrzymał, prawda? Byłam pewna, że umrze u was z nudów! Powiedz mu, żeby znowu wybrał się ze mną na konną przejażdżkę, kiedy wróci, bo chyba był zadowolony z pierwszej.

- Och, tak! - zapewniła ją Ava zachrypniętym głosem. Bała się odezwać, przekonana, że zaraz się rozpłacze.

- I pomyśleć, że ty dawałaś mu tylko tydzień. - Toddy pokręciła głową i nalala wrzątku do jednej z filiżanek. - Pamiętasz Daisy Hopeton?

- Oczywiście! - Ava z ulgą przyjęła zmianę tematu. - Mama ciągle o niej mówi!

- Daisy wróciła.

- Wróciła?

- Tak. Zatrzymała się u matki. Powinnaś do niej zadzwonić, kiedyś chyba się przyjaźniłyście, prawda?

- Tak...

- Przyjechała po dzieci, chce zabrać je do Południowej Afryki. Strasznie skomplikowała sobie życie.

- To prawda, okropnie! Biedny Michael...

- Najpierw stracił żonę, teraz straci dzieci - Toddy podała Avie filiżankę z herbatą. - Może i jest z niego potworny nudziarz, ale zawsze był dobrym ojcem. Na pewno nie chcesz, żebym dołała ci do herbaty trochę brandy?

Ava potrząsnęła głową. Alkohol nie mógł uleczyć rozdzierającego jej serce bólu.

- Szczerze mówiąc, z pewną ulgą myślę o jej powrocie - powiedziała, myśląc o sobie samej. - Nie mogłabym zrozumieć kobiety, która zostawia czworo dzieci, choćby nie wiem jak była zakochana!

- Miłość potrafi być niszczącą siłą, która odbiera człowiekowi zdolność dostrzegania cierpienia innych! Gdy kobieta wpada w sidła namiętności, pewnie bez trudu zapomina o dzieciach.

Wcale nie, pomyślała Ava. Nawet pocałunki Jean-Paula nie były w stanie przyćmić w jej sercu miłości do Archiego, Angusa i Poppy.

- Nie winię jej za to, że uciekła z oszałamiająco przystojnym facetem z Południowej Afryki - ciągnęła Toddy. - Michael to stary nudziarz, chociaż bardzo miły, rzecz jasna. Wystarczy raz na niego spojrzeć i już wiadomo, że nigdy w życiu nie zachował się w nieprzewidywalny sposób.

- Daisy sama go wybrała!

- Popelniła błąd.

- Ale takiego dokonała wyboru i nie powinna od niego uciekać!

Toddy obrzuciła przyjaciółkę pełnym zdumienia spojrzeniem.

- Nie wierzysz w to, co mówisz, prawda?
- Wierzę! - potwierdziła z naciskiem Ava. - Nie powinna rozbijać rodziny dla własnego szczęścia, to samolubne! W życiu trzeba liczyć się z kompromisami! Powinna była zostać z Michaeliem dla dobra dzieci!
- Mówisz zupełnie jak twoja matka!
- Naprawdę?
- Tak! Wydawanie sądów nie jest w twoim stylu! Moim zdaniem biedna Daisy dokonała dobrego wyboru - jeśli była nieszczęśliwa, to tak jest dużo lepiej dla nich wszystkich.
- Powinna myśleć o rodzinie, o dzieciach!
- Dzieci jakoś to przeżyją.
- I tu się mylisz, nigdy nie dojdą do siebie po czymś takim! To nie zbieg okoliczności, że każdy psychoterapeuta na początek pyta pacjenta o jego dzieciństwo! Fundament życia jest najważniejszy, kiedy pęka, cała przeszłość staje się niepewna.
- Chyba za dużo czasu spędzasz w towarzystwie Verity!
- Nie zawsze zgadzam się z moją matką, ale w tym wypadku przyznaję jej rację. - Ava zmrużyła oczy i uważnie popatrzyła na Toddy. - Mogłabyś zostawić swoje dzieci dla mężczyzny?
- Musiałby być naprawdę niezły.
- Pytam poważnie!
- Nie wiem. Moim zdaniem nie sposób przewidzieć, jakiego wyboru dokonasz w takiej sytuacji. Gdybym kiedyś musiała zmierzyć się z takim dylematem, zadzwonię do ciebie i przedyskutujemy wszystkie opcje. Może mnie potraktowałabyś trochę łagodniej.
- Nie, bo miałabym na względzie dobro bliźniaków! Powiem ci jedno - ja nigdy nie mogłabym zostawić moich dzieci, jestem o tym absolutnie przekonana. Naprawdę nie mogłabym tego zrobić, nawet dla faceta nie z tej ziemi. - Ava spuściła głowę i utkwiała wzrok w filiżance. - I nie

mogłabym znieść myśli, że ranię Phillipa. On jest dla mnie taki dobry.

- Rzeczywiście, nie jesteś dziś sobą! - Toddy przysunęła się z krzesłem do przyjaciółki. - Chcesz mi może coś powiedzieć?

- Nie - Ava szybko pokręciła głową. - Chce mi się płakać, zupełnie bez powodu. Mamy najpiękniejszą porę roku, a ja jestem przygnębiona. To zupełnie bez sensu, zupełnie do mnie niepodobne.

- Wszystko przez te hormony - westchnęła ze zrozumieniem Toddy.

- Tak, pewnie właśnie dlatego tak dziwnie się czuję. - Napięcie przed miesiączką, i tyle!

- Biedna Daisy Hopeton i te dzieciaki, serce mi pęka, kiedy o nich myślę. Daisy nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwa, to wykluczone, narobiła tyle zamieszania w życiu swoim i innych ludzi. Nie chciałabym mieć na sumieniu tego, co ona.

- Chodźmy pojeździć - zaproponowała Toddy, dopijając kawę. - Dobrze nam to robi! Wiatr we włosach, zapach wiosny w powietrzu, galop wśród wzgórz... No, chodź!

Ava włożyła parę długich butów oraz kapelusz i wybrała się na konną przejażdżkę z Toddy. Jej przyjaciółka miała rację - z grzbietu wzgórza widziała całą okolicę i przygniatający jej serce ciężar powoli zelżał. Potępiała postępowanie Daisy Hopeton, zazdrościła jej jednak, że zrobiła to, na co jej samej nigdy nie starczyłoby odwagi. Daisy zamierzała wrócić do swego kochanka z Południowej Afryki i niewątpliwie planowała zabrać ze sobą dzieci, miała nacieszyć się wszystkimi pozytywnymi stronami sytuacji, w jakiej się znalazła. Ava nigdy nie zdobyłaby się na taką decyzję.

W czasie następnego weekendu spadł śnieg i mróz prawie całkowicie uciszył ptaki. Ava wyrzuciła pokrojony w kostkę chleb na trawnik i rozbiła lód na poidle. Szpaki i zięby, które szybko zleciały się do jedzenia, ślicznie wyglądały w nowym

wiosennym upierzeniu. Do południa słońce stopiło większość śniegu, cieniutka warstwa bieli pozostała tylko pod krzewami i w cieniu drzew. Psy tarzały się w resztkach śniegu, a dzieci próbowały ulepić bałwana, ale ten jeszcze przed lunchem przeistoczył się w bezkształtny wzgórek szarawej mazi, z której tu i ówdzie sterczały patyki.

Wraz z upływem dni robiło się coraz cieplej. Ogród eksplodował burzą kwiatów i pszczoły obudziły się z zimowego snu. Któregoś ranka Ava zadzwoniła do Daisy Hopeton, która, ku jej zaskoczeniu, bardzo się ucieszyła i zaprosiła ją na kawę. Głos Daisy brzmiał radośnie, nie było w nim cienia przygnębienia czy smutku. Ava zastanawiała się, jak Daisy może patrzeć na siebie w lustrze, kiedy boleśnie zraniła tyle osób. Powinna przywdziać włosiennicę i zasłonić twarz. To przecież niesprawiedliwe, że była szczęśliwa, skoro unieszczęśliwiła męża i dzieci. Niesprawiedliwe, że liczyła na radosną przyszłość u boku kochanka, czyli na to, czego Ava świadomie sobie odmówiła.

Matka Daisy, Romie, mieszkała po drugiej stronie Blanford, mniej więcej pół godziny drogi od Hartington, w ładnym małym domu obrośniętym powojem.

Ava weszła za Romie do holu z posadzką z kamiennych płyt. Sufit był tu niski, belkowany, ściany białe, pokoje niewielkie, ale bardzo przytulne. Ava przypomniała sobie, jak jako nastolatka przyjeżdżała do Daisy na wieczorki z tańcami i na przyjęcia. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie sukienki z różowej satyny i w tym momencie na jej powitanie z kuchni wyszła Daisy.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, Avo! - zawołała. - Większość przyjaciół wyrzekło się mnie.

Ucałowały się serdecznie. Daisy pachniała perfumami Paris Yvesa Saint Laurenta.

- Chodź, napijemy się kawy! - powiedziała. - Otworzyłam właśnie paczkę herbatników!

- Zdażyłaś dosłownie w ostatniej chwili - odezwała się znad stołu Romie. - W piątek Daisy wyjeżdża do Południowej Afryki.

- Na dobre? - zapytała Ava.

- Na zawsze - odparła Daisy, nalewając kawę do filiżanek.

- Och, Daisy. Musiałaś przejść przez piekło...

- Było mi strasznie trudno, ale doszłam do wniosku, że czas skończyć ze szlochaniem i zawodzeniem. Trzeba patrzeć na życie z pozytywnej strony, inaczej można oszaleć.

- Jak to się stało?

Daisy uśmiechnęła się z rezygnacją i potrząsnęła głową.

- Dziwię się, że przyjechałaś zobaczyć się ze mną, naprawdę. Wiem, że twoja matka zdecydowanie potępiła moje postępowanie.

- Ze względu na poczucie obowiązku i tak dalej - wyjaśniła Ava, zażenowana, że słowa Verity dotarły do Daisy. - To inne pokolenie, sama rozumiesz.

- Zapewniam cię, że nie jest to odosobniona opinia! To, co zrobiłam, jest niewybaczalne. Zakochałam się, chociaż mam męża. Ale byłam tak okropnie nieszczęśliwa, Avo, czułam się jak cień osoby, którą kiedyś dobrze znałam. Marnowałam życie u boku mężczyzny, którego przestałam kochać, zakochana w mężczyźnie, którego nie mogłam mieć. Miłość pochłaniała mnie bez reszty. Byłam złą matką i złą żoną, do niczego się nie nadawałam i nikt nie miał ze mnie żadnej korzyści. - Daisy odgarnęła kasztanowe loki z twarzy i Ava dostrzegła w jej oczach znużenie. - Michael i ja nie byliśmy tak zgraną parą jak ty i Phillip. Gdyby nasze małżeństwo było udane, nigdy bym nie odeszła. Nieszczęśliwe życie to doskonały grunt dla niewierności!

Podobnie jak samotność, chciała dodać Ava, ale szybko ugryzła się w język.

- Jak go poznałaś?

- Pojechaliśmy do Cape Town na ślub i wesele, i tam go spotkałam. To Była miłość od pierwszego wejrzenia. Zastanawiałam się bez końca, ale ostatecznie uznałam, że dzieciom lepiej będzie w domu pełnym radości niż pełnym smutku. - Daisy w zamyśleniu ugryzła kawałek herbatnika. -Widzisz, Avo, my nigdy nie mieliśmy takiej pięknej posiadłości jak ty i Phillip. Teraz moje dzieci przeprowadzą się ze zwyczajnego podmiejskiego domku do cudownego domu na wsi, wśród gór, w sielankowej okolicy. Będą zachwycone, bo Południowa Afryka jest przepiękna.

- Ale co z Michaëlem? Dáisy spuściła wzrok.

- Nie mówmy o tym - westchnęła. - Będzie spędzał z nimi wakacje, w ten sposób dostaną to, co najlepsze z obu światów.

Ale doskonale wiedziała, że nie jest to prawda. Nic nie mogło zastąpić jej dzieciom ojca. Nagle wydała się Avie stara i przygnębiona. Po raz pierwszy odsłoniła prawdziwą twarz, ukrytą za radośnie uśmiechniętą maską.

- Rpbj^z wszystko, co w twojej mocy - zauważyła łagodnie Ava. - Nie da się posklejać rozbitych jajek, można tylko usmażyć z nich najlepszy na świecie omlet.

Daisy parsknęła śmiechem.

- Nikt poza tobą nie wymyśliłby czegoś takiego! - powiedziała. — Tak, robię wszystko, co w mojej mocy, to fakt. Bóże, słyszałam już tyle oskarżeń pod moim adresem. Niektórzy twierdzą, że beztróska porzuciłam dzieci, inni, że

usiłuję wydusić z Michaela setki tysięcy funtów. Tymczasem ja wcale nie zostawiłam dzieci, od początku zamierzałam po nie wrócić i Michael dobrze o tym wiedział! Po drugie, Michael nie ma złamanego grosza przy duszy, więc jak mogłabym oskubać go z tego nieistniejącego majątku.

Ava delikatnie pogłaskała, ją po dłoni.

- Opowiedz mi, jaki jest ten twój ukochany z Południowej Afryki - poprosiła.

Ava i Daisy wzięły filiżanki z kawą i wyszły na spacer po ogrodzie. Ranek był piękny, bezchmurny i ciepły, świeże listki drzew i krzewów lśniły od rosy.

- Jak przyjęła to wszystko twoja mama? - zagadnęła Ava.

- Robi dobrą minę do złej gry, chociaż oczywiście bardzo się wstydzi. Ale co może zrobić? Jest moją matką, musi mnie wspierać. Ja wyjeżdżam do Afryki, a ona zostanie tutaj; przyjdzie jej spojrzeć w oczy swoim znajomym i przyjaciółom. Nie uwierzyłabyś, ile osób odwróciło się do nas plecami. - Daisy lekko wzruszyła ramionami. - Cóż, teraz nie mam przynajmniej żadnych wątpliwości, na czyją przyjaźń mogę liczyć. Między innymi na twoją, prawda?

Ava się uśmiechnęła.

- Oczywiście - odparła zdecydowanym tonem. - Rozumiem cię, miłość nigdy nie jest prosta i nieskomplikowana. Zdarza się, że pragnienie przebywania z ukochanym doprowadza do szaleństwa najrozważniejszych ludzi i zniekształca obraz całego świata. Kiedy burza ucichnie, będziesz bardzo szczęśliwa ze swoim Rupertem, gdzieś tam na drugim końcu świata, zobaczysz. Masz odwagę, ja chyba nigdy nie zdobyłabym się na taki krok, W takiej' sy tuacji pewnie trzeba dokładnie rozważyć wszystkie za i przeciw, i zadać sobie pytanie, czy żyję dla siebie, czy dla innych.

- Można długo się zastanawiać, co należy zrobić, ale i tak nigdy nie wiesz, jak postąpisz, dopóki coś takiego nie przydarzy ci się naprawdę - powiedziała Daisy.

Ava odjechała, szczerze zazdroszcząc dawnej przyjaciółce. Daisy zdobyła to, czego pragnęła, lecz jaką cenę zapłacił za jej decyzję Michael. Ona sama zbyt mocno kochała Phillipa, aby móc zranić go w taki sposób.

* * *

Kiedy Ava zaczęła powoli przyzwyczajać się do życia bez Jean-Paula, Phillip oznajmił, że telefonował do niego ojciec młodego Francuza, Henri. Ava była właśnie w ogrodzie warzywnym i razem z Hectorem wtykała w ziemię świeże nasiona. Gdy usłyszała tę wiadomość, podniosła się z rękami wymazanymi błotem.

- Miałaś wiadomości od Henriego? - zapytała z ożywieniem. - Co mówił?

Chciała wiedzieć tylko jedno - czy Jean-Paul wraca, nie zdobyła się jednak na zadanie tego pytania. Kąciki ust Phillipa uniosły się w uśmiechu. Był pewny, że jego żonę ucieszy nowina, jaką miał jej przekazać.

- Zaprosił nas do siebie na początek maja!

- Zaprosił nas do siebie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak. Sądziłem, że będziesz zadowolona. Moglibyśmy spędzić we Francji nasze wymarzone wakacje. Henri to niezwykle człowiek i na pewno go polubisz, a Antoinette, jego żona, jest entuzjastką ogrodów, tak jak ty.

- A co z Jean-Paulem?

- Jak to, co z Jean-Paulem?

- Kiedy wraca?

- Nie wiem. Nie powiedział ci, jak długo go nie będzie?

- Nie - odparła szybko, ocierając czoło wierzchem dłoni. -Więc on tam będzie, tak?

- Naturalnie! Powiedziałem Henriemu, że jesteśmy bardzo zadowoleni z pracy Jean-Paula i że dużo zdążył się u nas nauczyć, po prostu nie potrafimy się bez niego obyć. Pomyślałem sobie, że trochę pozytywnej przesady nie zaszkodzi.

- Więc twój przyjaciel nie jest zdziwiony, że Jean-Paul wrócił do domu?

- Najwyraźniej nie. A co właściwie jest w tym dziwnego?

- Nie ma go już całe trzy tygodnie.

- Chyba za nim nie tęsknisz, Krzaczku? Ty, kobieta, która oświadczyła mi wyraźnie, że nie wytrzyma w jego towarzystwie dłużej niż tydzień?

Ava odwróciła się, udając, że obserwuje Hectora.

- No, jego pomoc z pewnością by się nam teraz przydała - zauważyła spokojnie. - Mamy mnóstwo roboty, jak to na wiosnę.

- Więc co mam odpowiedzieć Henriemu? - zapytał Phillip. Ava utkwiała wzrok w szklarniach, świadoma, że znalazła

się na rozdrożu i że los jej samej, i pewnie całej rodziny zależy od wyboru, jakiego teraz dokona. Pomyślała o Daisy Hopeton. Jeszcze niedawno ostro potępiała przyjaciółkę, ale czy w gruncie rzeczy była od niej pod jakimkolwiek względem lepsza? Nagle drgnęła. Czuła się tak, jakby wokół serca zacisnęła się niewidzialna nić i pociągnęła je mocno, pomagając pokonać tajemniczy próg.

- Podziękuj mu serdecznie - odparła powoli, nie mając cienia wątpliwości, że powinna pójść inną ścieżką. - I powiedz, że z radością przyjedziemy.

- Świetnie! Czułem, że będziesz zadowolona. Zawsze staram się sprawić ci przyjemność, prawda? - Phillip zaśmiał się i zawrócił ścieżką do furtki w murze.

Awę ogarnęło cudowne podniecenie, jej serce uniosło się' ponad gęstą mgłą przygnębienia. Nagle dostrzegła jasne promienie słońca i poczuła ich ciepły dotyk na policzkach. Popatrzyła na pokryte lepкими pączkami drzewa i krzewy, i głęboko odetchnęła zapachem rozkwitających kwiatów i traw, pozwalając, aby wiosna jak zwykle nappełniła ją radością.

Uklękła i zajęła się obsiewaniem należącej do Poppy grządki nasionami kabaczków. Czuła się tak, jakby przed chwilą wypła parę kieliszków szampana. Dopiero po

paru chwilach pojawiły się wyrzuty sumienia i zdeptały jej szczęście. Powtarzała sobie, że jej pragnienie zobaczenia Jean-Paula jest całkowicie niewinne, że chce tylko spędzić trochę czasu w jego towarzystwie i przekonać go, aby wrócił z nimi do Hartington. Wmawiała sobie, że pozostaną tylko serdecznymi przyjaciółmi, że nic między nimi nie zajdzie.

Tej nocy Phillip zaczął ją pieścić, a ona, oszołomiona radością, przyjęła go z entuzjazmem. Otoczyła go ramionami i namiętnie odpowiadała na pocałunki, ciesząc się jego uczuciem i mówiąc mu, że bardzo go kocha. Starannie maskowała miłość, którą rozbudził w niej Jean-Paul.

- Wróciłaś do mnie, Krzaczk! - odezwał się Phillip, kiedy później leżeli spokojnie, objęci, a on rozczesywał palcami jej splątane włosy. - Ostatnio nie byłaś sobą.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, kochanie! Nie lubię, kiedy jesteś niezadowolona z życia, to wszystko.

- Jesteś najlepszym mężem na świecie, że wytrzymujesz z wiecznie czymś rozczarowaną kobietą!

- Nie byłaś rozczarowana, Krzaczk, kojarzyłaś mi się raczej z płaczącą wierzbą, a ja chciałbym, żebyś przez okrągły rok była promienna jak słońce.

- Ja też chciałabym taka być!

Chwilę milczeli. Phillip zamyślił się nad czymś, natomiast Ava zaczęła planować, co zabierze ze sobą w podróż do Francji.

- Nie jesteś chyba nieszczęśliwa z powodu Jean-Paula? -zagadnął nagle.

- Co masz na myśli?

- Zdaję sobie sprawę, że nie jesteście bratnimi duszami -uśmiechnął się. - Czy jego obecność zepsuje ci wakacje?

- Nie, w żadnym razie!

- Możliwe zresztą, że on będzie już wtedy tutaj.

- No, właśnie! Tak czy inaczej, na pewno nie będzie mi przeszkadzał. Lubię go, naprawdę! Jest całkiem sympatyczny, od przyjazdu do nas bardzo się zmienił. Miło mi będzie, jeśli sam oprowadzi nas po ogrodach wokół chateau.

- To dobrze. Zależy mi, żebyś miała miły wypoczynek, Krzaczku. Nie musimy przecież spędzać z nimi całych dni, możemy zwiedzać okolicę tylko we dwoje. Wiem, że wolałabyś, aby tak było.

- Antoinette i Henri z pewnością są czarujący.

- Tak, ale obiecałem ci, że będziemy sami. Wiesz przecież, że zawsze dotrzymuję obietnic.

Ava pomyślała, że tym razem nie będzie miała mu za złe, jeśli nie dotrzyma słowa.

*KROPLE DESZCZU NA PŁATKACH DZWONKÓW. DZIWNE NAWOŁYWANIE
KUKUŁKI. MIŁY WIDOK FLIRTUJĄCYCH W LOCIE DZIKICH KACZEK*

Na lotnisku w Bordeaux czekał na nich szofer Henriego, który trzymał w ręku tabliczkę z napisem: „Witamy pana Phillipa Lightly!”. Nie mówił ani słowa po angielsku i Ava z wielką przyjemnością zaczęła rozmawiać z nim po francusku. Phillip z dumą słuchał, jak żona bez trudu gawędzi w języku, który zawsze wydawał mu się niemożliwy do opanowania. Miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Rozpuszczone włosy w lśniących lokach opadały jej na ramiona, rumieńce na policzkach uwydatniały zieleń oczu, a lekko opalona cera zachwycała odcieniem miodu. Ava miała na sobie odrobinę staroświecką czarną sukienkę w różowe kwiatki, krótki oliwkowy rozpinany sweterek i połyskliwe pantofelki z różowego aksamitu. Phillip zauważył, że poruszała się tańczonym, elastycznym krokiem. Cieszył się, że zorganizował ten wspólny wyjazd; nie ulegało wątpliwości, że Ava bardzo potrzebowała wakacji, choćby nawet tak krótkich.

Ava była wewnętrznie napięta niczym mocno naciągnięta struna. Udawała, że cieszy ją podróż i odmiana, ale w głębi serca drżała ze zdenerwowania. Co pomyśli Jean-Paul, kiedy zobaczy ją w swoim domu? A jeśli zdecydował się spędzić najbliższy tydzień w Paryżu, aby uniknąć spotkania? Albo jeżeli, co byłoby jeszcze gorsze, weźmie jej przyjazd za deklarację gotowości oddania mu się duszą i ciałem? Siedziała ze wzrokiem utkwionym w oknie i niespokojnie zastanawiała się, czy aby na pewno podjęła właściwą decyzję.

We Francji wiosna była już w pełnym rozkwicie. Drzewa obsypane liśćmi, na gałęziach kasztanów wysokie białe kwiaty, a krzewy winorośli w winnicach pokryte świeżą zielenią. Wszędzie pieniały się wielkie kiście róż. Szofer powiedział Avie, że różane krzewy sadi się na krańcach rzędów winorośli, aby przy zaorywaniu woły nie skubały zawiązujących się owoców. Młoda kobieta z radością dostrzegła parę jaskółek nad winnicą i pięknego brązowego drozda.

W końcu samochód wjechał w długą, wijącą się aleję, wysadzaną wysokimi, zapewniającymi chłodny cień drzewami. Na końcu podjazdu stał skąpany w słońcu dom, majestatyczny, imponujący budynek w neoklasycystycznym stylu. Wzniesiony z jasnego piaskowca, symetryczny, z wysokimi oknami, niebieskimi okiennicami i ozdobnymi czarnymi balkonami, szczerze zachwycił Avę. Mury chateau pokryte były wistarią, kapryfolium oraz powojem. Kiedy się zbliżali, Ava widziała stromy dach w ceglastym kolorze i urocze łukowate okienka na poddaszu. Smukłe kamienne kominy zwieńczone były stożkowatymi wieżyczkami, na których siedziały całe stada małych ptaków.

Samochód zatrzymał się na zwirowanym podejździe przed domem. Przez otwarte drzwi wybiegły dwa wielkie dogi, ich niskie, basowe naszczekiwanie odbijało się echem od ścian chateau. Ava wysiadła z sercem mbcno bijącym z podniecenia i ujrzała elegancką, smukłą kobietę o oliwkowej

cerze, która czekała na nich na schodach. Czarne włosy upięte miała w kok; prosta fryzura podkreślała piękne rysy i głęboko osadzone brązowe oczy. Nie ulegało wątpliwości, że jest to Antoinette, matka Jean-Paula. Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Witajcie - odezwała się, schodząc na podjazd. - Mam nadzieję, że podróż była przyjemna.

- Bardzo! - odparł Phillip.

Antoinette podała mu rękę, a on schylił się, aby ją ucałować. Matka Jean-Paula miała na sobie szerokie białe spodnie, z brązowym pasem z krokodylowej skóry, męską koszulę w prążki i kremową kamizelkę obszytą czarnym jedwabnym sznurem. Ava uznała, że nigdy nie widziała równie eleganckiej kobiety.

- To moja żona, Ava - przedstawił ją Phillip. - Tyle o pani słyszałam! - zawołała serdecznie Antoinette, - Jean-Paul darzy panią ogromną sympatią.

Ava uścisnęła rękę pani domu, szczupłą i zaskakująco chłodną, i zaczęła się zastanawiać, co dokładnie powiedział o niej Jean-Paul.

- Zapraszam do środka! Czy psy nie będą wam przeszkadzać? Są duże, ale bardzo przyjaźnie nastawione do ludzi.

- Oboje uwielbiamy psy - powiedziała Ava, starając się ukryć zdenerwowanie pod maską entuzjazmu. - Sami mamy dwa.

- Tak, słyszałam. W takim razie szybko poczujecie się u nas jak w domu.

Przeszli przez hol, którego dominującymi elementami były szerokie schody i olbrzymi kominek, wypełniony starannie poukładanymi szczapami. Na parapecie stały stare butelki wina, najwyraźniej celowo tu wyeksponowane. Posadzkę ułożono z wielkich kamiennych płyt, lśniących od wosku, a na środku wyraźnie wytartych stopami stąpających po nich od wieków gospodarzy i gości. Antoinette

zaprowadziła ich do dużego czerwonego salonu z wysokim sklepieniem i długimi szkarłatnymi zasłonami po obu stronach francuskich okien, wychodzących na szeroki, otoczony kamienną balustradą taras. Spłowiąte tkaniny na ścianach przedstawiały sceny z polowań, nad nimi wisały portrety przodków w złotonych ramach. Ava przebiegła wzrokiem po uwiecznionych na płótnach twarzach, wypatrując podobieństw z Jean-Paulem. Kiedy do pokoju zajrzała pokojówka, Antoinette poprosiła ją, aby przyniosła tacę z drinkami na taras.

- Gdzie jest mój syn, Françoise? - spytała.

- Wyszedł - odparła kobieta. Antoinette westchnęła.

- A Henri? Françoise wymownie wzruszyła ramionami.

- Poszukaj go i powiedz, że nasi goście już są. Mówiłam : mężowi, że przyjadą przed południem.

- Tak, madame - odparła posłusznie Françoise.

- Chodźcie, usiądziemy na tarasie, słońce tak przyjemnie grzeje! Françoise zaraz przyniesie wino.

Antoinette otworzyła oszklone drzwi i wyszła na zewnątrz. Psy wybiegły za nią, obwąchując z zacieka wieniem rośliny w donicach i obsikując balustradę. Nieco niżej ogród rozciągał się aż do starego muru, porośniętego, pnącymi różami i różową bugenwillą. Olbrzymie drzewa przy murze górowały nad całym terenem, a nieco dalej kopulasty dach wieżyczki wyraźnie rysował się na tle nieba, Ava od razu zrozumiała, dlaczego château jest miejscem tak drogim sercu Jean-Paula i dlaczego młody mężczyzna gotów był spełnić wszystkie życzenia ojca, byle tylko go nie stracić.

- Ach, moi przyjaciele, wreszcie przyjechaliście! - wykrzyknął Henri, zbliżając się do tarasu z boku domu. Jego głos był donośny i potężny. - Trzeba było posłać po mnie hranaçoise... - zwrócił się do żony.

- Zrobiłam to - odparła chłodno.

Henri uściskał Phillipa jak stary przyjaciel i ucałował dłoń Avy z tą samą uprzedzającą grzecznością, która cechowała jego syna. Uśmiechnął się szeroko, a jego ciemne oczy omiotły ją szacującym spojrzeniem spod grzywy kręconych kasztanowych włosów. Ava przypomniała sobie, że Jean-Paul mówił jej, że jego ojciec ma kochankę w Paryżu. Nie była tym zaskoczona. Henri był bardzo przystojny, podobnie jak jego syn.

- Gdzie wino? Françoise! - huknął gospodarz. Françoise zjawiała się prawie natychmiast, uginając się

pod ciężarem ogromnej tacy, zastawionej butelkami i kieliszkami. Henri nawet nie drgnął, aby jej pomóc.

- No, całe szczęście, bo groziła nam śmierć z pragnienia! - powiedział po angielsku, żeby służąca nie zrozumiała, siadając i wyciągając cygaro. - Phillipie, mój przyjacielu, jak tam twoja książka?

Antoinette odwróciła się do Avy.

- Chciałaby pani może przejść się po ogrodzie? - zagadnęła. - Jean-Paul mówił mi, że też macie starą wieżyczkę obok domu.

- Z przyjemnością się przejdę - uśmiechnęła się Ava. - Czy to tam?

- Tak.

- Jest o wiele większa od naszej!

- Jean-Paul mówi, że macie bardzo piękną posiadłość.

- Żałuję, że akurat teraz wyjechał - powiedziała Ava. - Wszystko zaczyna właśnie kwitnąć i ogród tak cudownie pachnie.

- Chodźmy, chciałabym z panią chwilę porozmawiać - przerwała jej gospodyni.

Ava zeszła za nią po szerokich stopniach do ogrodu, zostawiając na tarasie zajętych rozmową mężczyzn. Serce znowu waliło jej jak szalone z przerażenia. Czyżby Jean-Paul

zwierzył się matce, że jest w niej zakochany? Czy Antoinette zamierzała ją ostrzec? Może chciała powiedzieć, że syn powinien poślubić młodą Francuzkę i spłodzić spadkobiercę. Zrobiło jej się niedobrze ze zdenerwowania, niespokojnie potarła czoło. Mimo lekkiego, chłodnego wietrzyku słońce mocno grzało, a świergot ptaków zagłuszył szum krwi, tętniącej w uszach Avy.

- Czy mogę porozmawiać z panią zupełnie szczerze? -zagadnęła Antoinette, kiedy szły przez trawnik w stronę metalowej furtki w murze.

- Oczywiście...

- Chodzi mi o Jean-Paula. - Antoinette zerknęła na gościa. - Jest moim jedynym dzieckiem, jak pani wie, i bardzo go kocham.

- Tak. Jean-Paul dużo mi o pani opowiadał.

- Nie wątpię. Problem polega na tym, że Jean-Paul jest w bardzo marnych stosunkach z ojcem. Henri pozostaje całkowicie niewrażliwy na potrzeby naszego syna. Jean-Paul jest uzdolnionym artystą, ale Henri nie życzy sobie, aby malował. Syn pisze piękne wiersze, lecz Henri ma poezję za nic. Mąż miał wuja, który zmarnował sobie życie, malując przeciętniutkie obrazy, i dlatego boi się o Jean-Paula. Nie chodzi zresztą wyłącznie o malowanie. Jean-Paul spędził parę miesięcy w Paryżu, nie robiąc dosłownie nic, poza umawianiem się na randki z najzupełniej nieodpowiednimi dziewczynami. Z jednej strony było to nawet dobre, ponieważ Henri obawiał się już, że Jean-Paul jest homoseksualistą, ale z drugiej, to przecież żadne życie dla młodego człowieka, który kiedyś odziedziczy taki majątek jak nasz. Henri chce, żeby syn pomógł mu prowadzić winnicę, lecz Jean-Paul nigdy nie zdradzał zainteresowania takimi sprawami, no, w każdym razie do tej pory.

- Do tej pory? - Ava cały czas zastanawiała się, do czego prowadzi ta rozmowa.

- Tak. Teraz Jean-Paul chce zostać tutaj i poznać sposób zarządzania winnicą, ale... Cóż, moja droga, moim zdaniem powinien wrócić z wami do Anglii.

Ava nie mogła odpowiedzieć, gardło ścisnęło jej wzruszenie.

- Uważam, że Jean-Paul postanowił zostać tu ze względu na mnie - ciągnęła Antoinette. - Widzi pani, ciągle jestem sama, bo Henri mieszka w Paryżu, syn na pewno wspominał pani o tym. Jean-Paul mówi o pani z tak ogromną sympatią, moja droga. Cieszę się, że czuje się zrozumiany. Mówił mi, że namalował dla pani ogród.

- To przepiękny obraz! - uśmiechnęła się Ava. - Rozplanowaliśmy ogród według obrazu, bardzo dokładnie Jean - Paul ma niesamowitą wyobraźnię i talent.

- Wiem - Antoinette lekko wzruszyła ramionami. - Dobrze go rozumiem, oczywiście...

Otworzyła furtkę, której zawiasy wydały z siebie żalosne skrzypienie i wprowadziła Avę na piękną łąkę z okrągłą kamienną wieżyczką pośrodku.

- Jean-Paul nie jest jeszcze gotowy, aby na dobre wrócić do domu, Avo - podjęła. - Widzę, że nie jest szczęśliwy. Jeśli teraz wróci, nigdy nie uwolni się spod wpływu ojca, nigdy. Przy pani jest w stanie cieszyć się wolnością twórczą.

Nie zniosłabym myśli, że poświęcił się dla mnie. Teraz ma przed sobą wielką szansę i powinien ją wykorzystać. Jesienią nadal będę tutaj, nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Proszę jakoś wyjaśnić mu, że powinien jeszcze wrócić do Anglii! Wiem, że pani na pewno się to uda! Henri uważa, że Jean-Paul przyjechał do domu tylko na krótkie wakacje. Gdyby doszedł do wniosku, że Jean-Paul zawiódł panią i pani męża, nigdy by mu tego nie wybaczył. Mój syn naprawdę musi wrócić z państwem do Anglii, nie ma innego wyjścia.

Proszę zrobić to dla mnie, bardzo proszę.

- Spróbuję - odparła Ava zachrypniętym głosem.

Nagle zza wieżyczki wyłonił się Jean-Paul. Przystanął na środku trawnika, z rękami w kieszeniach, patrząc na nie spod opadającej na oczy grzywki. Obserwował je uważnie.

- Jean-Paul, pokaż Avie wieżyczkę, bo ja muszę sprawdzić, jak wygląda sytuacja z lunchem. - Antoinette spojrzała na zegarek. - Boże, zrobiło się strasznie późno! Nie siedźcie tu zbyt długo!

Odwróciła się i szybkim krokiem przeszła przez furtkę, zostawiając ich samych.

- Dlaczego przyjechałaś? - zapytał agresywnym tonem Jean-Paul.

Patrzył na Avę obojętnie, czekając na jej odpowiedź, przekonany, że znowu dozna odrzucenia. Ava odgarnęła włosy do tyłu. Czowała się nieswojo, miała wrażenie, że popełniła okropny błąd. Jean-Paul spuścił wzrok, jego twarz przybrała wyraz niepewności. Serce Avy ścisnęło się ze współczucia. Wyglądał tak smutno.

- Przepraszam - wyszeptała, powoli podchodząc do niego. - Ja też jestem zupełnie zagubiona.

Spojrzał na nią przychylniej.

- Wyglądasz cudownie. - Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- To dlatego, że liczyłam na spotkanie z tobą.

- Ty też tęskniłaś?

- Tak...

Położył dłoń na jej karku, tuż pod włosami, przyciągnął ją do siebie i przywarł do jej warg. Nie odepchnęła go. Nie myślała ani o dzieciach, ani o Phillipie, żyła chwilą, na samym szczycie tęczowego łuku, chociaż dobrze wiedziała, że nie potrwa to długo. Usta Jean-Paula były miętkie, pocałunek gorący. Rozchyliła wargi i wpuściła jego język do środka, objęła go w pasie, czując, jak pod wpływem jej dotyku jego mięśnie napinają się pod koszulą. Oddychał ciężko; ciało miał naprężone i rozgrzane. Pociągnął ją za wieżyczkę,

żeby nikt nie mógł zobaczyć ich od furtki. Awę ogarnęło dziwne uczucie beztroski. Znajdowała się daleko od domu, była inną osobą. Oszołomiona jego pieścotami i aromatami Francji, zapomniała o mężu, który rozmawiał na tarasie z Henrim oraz o lunchu. Przekroczyła próg świata fantazji, gdzie nie było miejsca dla nikogo poza nią i Jean-Paulem, zawieszanej w próżni krainy, w której wszystko było możliwe.

Jean-Paul wziął ją za rękę i wprowadził do wieżyczki. W małym pomieszczeniu było ciepło, powietrze słodko pachniało. Zamknął drzwi i delikatnie popchnął Awę na siano. Wstrzymała oddech, gdy przykrył ją swoim ciałem, rozsuwając jej nogi kolanami. Wtulił twarz w szyję, wciągając w nozdrza znajomy, zakazany zapach. Jęknęła z rozkoszy, gdy zaczął pieścić skórę językiem. Całował ją i niecierpliwie rozpinął guziki z przodu sukienki. Wsunął rękę pod materiał, pocierając ciepłą pierś kciukiem. Ava odrzuciła głowę do tyłu, gdy wziął gorący pąk w usta. Jego zarost drażnił wrażliwą skórę, mokry język przesunął się po sutku, a całe ciało Awy drżało z rozkoszy, którą wcześniej mogła przeżywać tylko w naj mroczniej szych zakamarkach wyobraźni.

Jęknęła, gdy wysoko podwinął jej sukienkę i pomógł wyswobodzić się z majtek. Była rozgrzana i bezwstydna jak nastolatka, i uśmiechnęła się, rozbawiona swoim bezwstydem. Kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że Jean-Paul patrzy na nią z takim wyrazem twarzy, jakby była najpiękniejszą kobietą świata. Uśmiechnął się do niej z zachwytem. Odpowiedziała uśmiechem i rozsunała uda, aby mógł się w niej zanurzyć. Gdy się kochali, chwycił jej dłoń i splótł palce z jej palcami. Nie żałowała niewierności, jakiej się dopuściła, ani przez chwilę. Gdyby była wtedy w stanie pomyśleć o Daisy Hopeton, szybko by zrozumiała, że mimo wszystko nie było między nimi wielkiej różnicy.

- Wrócisz do Hartington? - spytała, kiedy leżeli obok siebie w plamie światła, przedostającego się do środka przez małe, wysoko umieszczone okienko.

- Tak - odparł. - Wiesz, że dla ciebie mogę przenosić góry.

- Nie musisz, kochany! - Z czułością pogładziła go po policzku. - Jestem teraz tutaj, przy tobie!

Pośpiesznie doprowadzili ubranie do porządku. Ava zapięła sukienkę i wygładziła ją, strzepując na ziemię żdźbła słomy, których obecność mogłaby ją wydać. Jean-Paul podszedł do drzwi, odwrócił się i znowu ją pocałował. Roześmiała się cicho.

. - Wyglądasz przepięknie - powiedział, pieszcząc jej twarz rozkochanym wzrokiem. - Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę cię w sukience.

- Włożyłam ją dla ciebie!

- Jest ci w niej doskonale. I rozpuściłaś włosy... Podoba mi się to! Gdzie podział się ołówek?

Parsknęła śmiechem, rozbawiona jego słowami.

- Powiedz mi, jak wyglądam, ale poważnie! - otarła usta wierzchem dłoni.

- Masz cudowne rumieńce - odparł, biorąc ją za rękę. - Chodź, pójdziemy dłuższą drogą, żeby wiatr miał szansę ochłodzić policzki.

Kiedy znaleźli się pod tarasem, Antoinette, Henri i Phillip wstawali właśnie z krzeseł, aby udać się na lunch.

- Może chciałaby pani odświeżyć się w swoim pokoju - zaproponowała Antoinette. - Przepraszam, że od razu o tym nie pomyślałam. Françoise panią zaprowadzi!

Ava poszła za służącą po schodach na piętro, a potem korytarzem aż do drzwi ostatniego pokoju. Françoise otworzyła je i wprowadziła Avę do dużej sypialni z szerokim małżeńskim łóżem, zasłanym białą pościelą. Przez otwarte okno widać było kamienną wieżyczkę w ogrodzie i rozpościerające się

dalej zagony winorośli. Biała firanka powiewała, poruszana lekkim wiatrem, wpadającym tu wprost z ogrodu.

Françoise była zdumiona, kiedy Ava odezwała się do niej po francusku.

- Czy mogę coś dla pani zrobić? - zapytała z pełnym uznaniem i wdzięczności uśmiechem.

- Nie, dziękuję. Za chwilę zejdę do jadalni.

Ava zauważyła, że jej walizka stoi na niewielkim stoliku pod ścianą, otwarta i gotowa do rozpakowania. Szybko wyjęła kosmetyczkę, a z niej gąbkę i poszła do łazienki, aby zmyć z siebie dowody małżeńskiej zdrady. Zerknęła w lustro i zatrzymała się na moment. Policzki miała zaróżowione, oczy błyszczące, włosy nieco wzburzone. Wyjęła z nich źdźbło trawy, którego wcześniej nie zauważyła, lecz zamiast wyrzucić je do kosza na śmieci, włożyła do wewnętrznej kieszonki w kosmetyczce. Czowała, że powinna je zachować, jako pamiątkę pierwszego razu, kiedy kochała się z Jean-Paulem.

Wychyliła się przez okno i popatrzyła na ogród. Niebo było kryształowo błękitne, wiatr niósł aromat świeżo skoszonej trawy i kwitnących krzewów. Dalej stała kamienna wieżyczka, ich tajemne miejsce, częściowo ukryte za murem. Ava uśmiechnęła się do siebie i pomyślała o Jean-Paulu, przypominając sobie jego pocałunki i pieszczoty. Zamknęła oczy i szeptem wypowiedziała życzenie, aby ten tydzień trwał wiecznie.

*SŁODKI ZAPACH ROZWIJAJĄCYCH SIĘ LIŚCI. MOJE DZIECINNE
PODNIECENIE NA WIDOK WIOSNY*

Ava przez cały lunch promieniała radością, która wywierała wpływ na wszystkich obecnych. Phillip cieszył się doskonałym nastrojem żony i szczerze gratulował sobie zorganizowania tego krótkiego odpoczynku. Najwyraźniej Ava bardzo tego potrzebowała, bo oto znowu była w świetnej formie, piękniejsza niż kiedykolwiek. Henri wyczuł seksualną atrakcyjność Avy podobnie jak pies wyczuwa okres rui u suki i flirtował z nią w typowy dla siebie nieco prymitywny i nadęty sposób. Jean-Paul patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem, przykuwając jej spojrzenie na trochę dłużej niż należało. Śmiał się głośno i serdecznie, odrzucając głowę do tyłu, tak jak nie śmiał się już od wielu tygodni, a z pewnością nigdy jeszcze w obecności ojca. Antoinette z wielkim zadowoleniem przyglądała się synowi, wiedząc, że Ava spełniła jej prośbę i namówiła Jean-Paula na powrót do Anglii. Ava znowu była sobą - zabawiała

wszystkich interesującymi historiami, które puentowała z niepowtarzalnym poczuciem humoru, pobudzona do życia obecnością Jean-Paula, zupełnie jakby jej ukochany był wcieleniem wiosny, wiosny, która zachęca zmrożone zimą gałęzie do rozkwitu.

Po lunchu Henri postanowił oprowadzić ich po winnicy. Antoinette wymówiła się z wdziękiem i oświadczyła, że pójdzie do siebie na sjęstę. Pocałowała syna i obrzuciła go pełnym czułości spojrzeniem, a potem posłała Avie porozumiewawczy uśmiech. Ava wpadła w panikę. Może Antoinette podpowiedział coś instynkt macierzyński? Zaraz jednak otrząsnęła się z zaniepokojenia. Antoinette nie mogła przecież wiedzieć, co zaszło między Avą i jej synem. Konspiracyjny uśmiech był pewnie wyrazem wdzięczności za to, że Avie udało się nakłonić Jean-Paula do zmiany decyzji i powrotu do Anglii.

Ava szła za Phillipem oraz Henrim lekkim, sprężystym krokiem, prawie dotykając ramieniem ręki Jean-Paula. Nie potrafiła ukryć uniesienia, cieszyła się każdą skradzioną chwilą. Henri poprowadził ich przez ogród do kamiennej wieżyczki.

- Dzięki Bogu, że ptaki nie potrafią mówić! - odezwał się półgłosem Jean-Paul, kiedy przechodzili przez furtkę.

- Les Lucióles należy do mojej rodziny od pięciuset lat -oznajmił Henri, dumnie wypinając pierś. - Tę wieżyczkę zbudowano w czasach Ludwika XIII... - Poklepał Jean-Paula po plecach, udając ojcowską serdeczność. - Kiedyś mój syn odziedziczy po mnie Les Lucióles, wystarczy, że znajdzie sobie żonę i spłodzi spadkobiercę, prawda? - Pokiwał głową z powagą, przyglądając się synowi z miną starego władcy. - Tak, pewnego dnia odziedziczysz wszystko, co dziś należy do mnie... Ten majątek zachował się w niezmiennym kształcie przez pięćset lat i nie ma żadnego powodu, dlaczego nie miałyby przetrwać kolejnych pięciuset!

Ava skrzywiła się, gdy Henri otworzył drzwi z takim rozmachem, że łupnęły o ścianę, budząc przerażenie wśród stadka synogarlic, które nagle poderwały się ku niebu.

- Piękne miejsce - powiedziała, wchodząc do środka.

- Zajmuje wyjątkowe miejsce w moim sercu - rzekł Jean-Paul, kładąc dłoń na piersi. - Absolutnie wyjątkowe.

Phillip spojrział na żonę.

- Jest trochę ładniejsza od naszej wieżyczki, nie wydaje ci się, Krzaczk?

- Och, moim zdaniem nasza ma wiele plusów!

- Ale nie ma ptaków - uzupełnił Phillip.

- Może powinniśmy kupić kilka gołębi. . . - I odmalować ją - dodał Phillip.

- Nie, nie! - zaprotestował Jean-Paul. - Nie malujcie jej, w żadnym razie, bo to tylko zepsuje charakter wieżyczki! Mnie podoba się taka, jaka jest, pełna tajemniczego uroku!

Ava udała, że rozgląda się po ogrodzie, żeby nie musieć na niego patrzeć.

- Kiedy planujesz wrócić do Hartington? - zapytał Phillip Jean-Paula.

- W przyszłym tygodniu - odparł spokojnie młody człowiek. - Chciałem spędzić trochę czasu z mamą.

- Nie moglibyście znaleźć mu odpowiedniej angielskiej dziewczyny? - wtrącił się Henri. - Czy już nie robią takich kobiet jak pani? - mrugnął do Avy.

Ava uśmiechnęła się spokojnie, aby ukryć skrepowanie.

- Pochlebia mi pan! - rzuciła lekko, zbywając uwagę wzruszeniem ramion.

- Chodźcie, pokażę wam ogród Antoinette! - Henri położył dłoń między łopatkami Avy i wyprowadził ją z wieżyczki.

Jean-Paul szedł za nimi z Phillipem i Ava cały czas czuła na sobie jego spojrzenie, co bardzo ją podniecało.

- Musimy znaleźć mu jakąś dziewczynę - odezwał się Henri, zniżając głos.

- Jest jeszcze młody! - zauważyła Ava.

- Ale czas już, żeby się ustabilizował! Między nami mówiąc, musiałem prawie siłą wywieźć go z Paryża, bo żył tam jak playboy, spotykając się z najzupełniej nieodpowiednimi dziewczynami! Nie przekażę majątku kobiecie, która przehula wszystko i kupi sobie garść błyskotek!

- Nie uważa pan, że Jean-Paul bardzo się zmienił? - Ava nagle uświadomiła sobie, że może pomóc ukochanemu. -Będę z panem szczerą, kiedy przyjechał do Anglii, byłam prawie pewna, że nie wytrwa do końca tygodnia. Widać było, że nie przepracował ani jednego dnia w życiu. Nie miał zielonego pojęcia o pracy w ogrodzie, a zachowywał się jak arogant i ignorant. Jednak ostatnio naprawdę się zmienił, nie widzi pan tego?

- Gdy wrócił do domu, wyglądał jak zbity pies! - rzekł Henri bez cienia współczucia. - Od razu powiedziałem Antoinette, że chłopak jest zakochany!

- Zakochany w ogrodzie - odparła spokojnie Ava. - Zakochał się w moim ogrodzie. Nigdy by pan w to nie uwierzył, ale on naprawdę zaangażował się w pracę sercem i duszą. Pracował bardzo ciężko, pragnąc stworzyć coś wyjątkowo pięknego i chętnie się uczył. Kiedy wróci tu na stałe, będzie pan mógł nacieszyć się owocami jego pracy.

- I bardzo dobrze! - Henri wzruszył ramionami. - Rzeczywiście nie dałbym temu wiary, gdybym usłyszał o jego przemianie od kogoś innego!

- Wydaje mi się, że Jean-Paul martwi się o Antoinette -dodała ostrożnie Ava.

- Antoinette jest silniejsza, niż mogłoby się wydawać.

- Na pewno, ale Jean-Paul jest dobrym synem.

- Jej jedynym synem, co nie jest bez znaczenia! Pewnie rozumie pani, o czym mówię, bo też jest pani matką. Antoinette za bardzo stara się chronić Jean-Paula i za bardzo mu pobłaża. Gdyby przywiózł z Paryża jedną z tych swoich

dziewuch, przyjęłaby ją bez wahania. Zrobiłaby wszystko, byle tylko go uszczęśliwić!

- Natomiast pan jest surowy, ponieważ chce pan zrównoważyć tę pobłażliwość, tak?

- Może... - spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Spostrzegawcza z pani kobieta, Avo Lightly.

- Łatwiej jest dostrzec różne rzeczy, kiedy patrzy się z zewnątrz.

- Ja tam zawsze widzę szerszy obraz rzeczywistości! Życie to nie bajka. Potrzebny mi syn, który jest mężczyzną! Przyjmuję w domu ważnych gości, są wśród nich najbardziej wpływowi ludzie w tym kraju. Nie mogę przekazać majątku komuś, kto nie zachowuje się w odpowiedzialny sposób i na dodatek ma za żonę wulgarną dziwkę.

- Chce pan, żeby syn był taki jak pan.

Szczerze współczuła Jean-Paulowi, jego całe życie zostało szczegółowo zaplanowane przez ojca. Miał przed sobą wspaniałą przyszłość, ale musiał radzić sobie z różnymi napięciami. Dopóki żył ojciec, nie mógł liczyć na wolność, chyba tylko w Anglii.

- Mój syn powinien być równie silny jak ja - rzucił Henri. - I mieć dobrą głowę do interesów! Musi znaleźć sobie porządną dziewczynę i założyć rodzinę. Zależy mi, żeby ożenił się z osobą, która zna swoje miejsce, nie z lekkomyślną kobietą, realizującą własne ambicje.

- Krótko mówiąc, powinien poślubić kobietę taką jak Antoinette!

- Jean-Paul powinien wrócić do Anglii i trzymać się z dala od matki, przynajmniej na razie! Czasami miłość potrafi zadławić człowieka. To piękne uczucie, lecz wszyscy potrzebujemy odrobiny przestrzeni. Związki między ludźmi funkcjonują znacznie lepiej, kiedy można odetchnąć pełną piersią. Antoinette chciała mieć więcej dzieci i dla Jean-Paula byłoby lepiej, gdyby jej pragnienie się spełniło... Cóż, szkoda!

- Jean-Paul świetnie poradzi sobie z prowadzeniem winnicy - powiedziała dyplomatycznie Ava.

- Obserwuje sprężyny tego biznesu od wczesnego dzieciństwa, ale w pewnym momencie stracił całe zainteresowanie winnicą, a ja straciłem jego.

- Przecież wszystkie dzieci przechodzą przez taki etap! Buntują się przeciwko rodzicom, kiedy starają się znaleźć własny styl i tempo życia, i wywalczą sobie odrobinę niezależności... Jean-Paul wróci do pana, jestem tego pewna.

- Brak mi tej pewności. A wiązałem z nim tak wielkie nadzieje.

- Niech pan nie będzie zbyt wymagający wobec siebie i Jean-Paula. Kiedy trzyma się konia na długiej lonży, zwierzę nigdy nie ucieknie, ale gdy się go ściąga, staje dęba.

- Jest pani bardzo mądra jak na tak młodą osobę!

- To dlatego, że jem tyle szpinaku! - zażartowała Ava. - Szpinak doskonale wpływa na mózg.

- W takim razie powinienem jeść go dużo więcej niż do tej pory!

Ogród Antoinette rozkwitał. Pąki różowych róż rozwijały się pod murem, gdzie stały olbrzymie kamienne donice, pełne białych tulipanów oraz żółtych i fioletowych bratków. Rabatki obramowane były pienistą zielenią, a dzikie żółte żonkile rozpychały się wśród stokrotek i kapryfolium. Powietrze przesycił upajający aromat wiosny, ptaki wesoło świergotały w gałęziach cedrów i figowców. Pośrodku starannie zaprojektowanego ogrodu znajdowała się ozdobna sadzawka i rzeźba przedstawiająca małego chłopca, który stał z wyciągniętą ręką, dotykając skrzydła przelatującego ptaka. Ava z zaciekawieniem podeszła bliżej. Stała pod statuetką i pełnym podziwu wzrokiem przyglądała się palcom chłopca, które ledwo dotykały ptaka.

Jean-Paul stanął tuż za nią.

- Niewiarygodne, prawda? - odezwał się. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Przypomina mi małego chłopca z delfinem, rzeźbę, która stoi na brzegu Tamizy w Londynie...

- Ta została zamówiona specjalnie dla mnie, przez moją matkę.

- Naprawdę?

- Tak. Ten chłopiec to ja, a ptak symbolizuje wolność. Jak widzisz, prawie jej dotykam.

- W Hartington możesz być wolny!

- Wiem - odparł tak cicho, że z trudem go słyszała. Lekki wiatr wzburzył włosy Ayy.

- Mam ochotę pocałować cię w szyję... - szepnął Jean-Paul.

- Uważaj!

- Jestem Francuzem, mówię to, co czuję!

- Proszę cię o ostrożność, panie Francuzie. Ludzie na nas patrzą.

- Wcale się nami nie interesują, *ma pechel* Popatrz tylko, z jakim zapalem dyskutują o historii winnicy i wielkim mrozie, który zmarnował zbiory w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. *Papa* nigdy nie przestanie obawiać się przymrozku. - Jean-Paul ciężko westchnął. - Ale mnie wszystko to razem obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg! Chcę położyć się obok ciebie i kochać się z tobą w moim ciepłym domku nad strumieniem, na przytulnym pieterku. Chcę całować cię od stóp do głów, powoli, centymetr po centymetrze, ciesząc się smakiem twojego ciała.

- Przestań! - poprosiła cicho. - Phillip...

- Twój Phillip słucha mojego ojca jak zaczarowany! Posłuchaj, rozmawiają właśnie o jakości winogron!

- Dla Phillipa nie ma bardziej interesującego tematu.

- Więc zostaw go w spokoju, bo najwyraźniej jest w siódmym niebie! Chodźmy stąd.

- Nie możemy! - zaprotestowała.

- Chcę pokazać ci szklarnie. Są imponujące.

- To zbyt oczywiste!

- Tylko twoim zdaniem! Oni na pewno niczego się nie domyślą! Co w tym dziwnego, że chcę pokazać ci wszystko, co ciekawe w moim domu? - Jean-Paul ruszył w stronę iglastego żywopłotu.

Ava się odwróciła. Phillip uniósł głowę. Pomachała mu, a on odpowiedział tym samym gestem. Jean-Paul wziął ją za rękę i poprowadził zwirowaną ścieżką.

Kiedy weszli do szklarni, zamknął drzwi i pocałował ją. Powietrze było nagrzane i wilgotne, pachnące mokrą ziemią i frezjami. Gdy przyciągnął do siebie jej biodra, natychmiast wyczuła jego podniecenie.

- Nie możemy...

Jednak równie dobrze mogła się nie odzywać. Uciszył ją pocałunkiem, jego ramiona otoczyły ją w namiętym uścisku.

- Szkoda, że nie możemy być sami. Doprowadzasz mnie do szaleństwa! - westchnął. - Chciałbym zdjąć z ciebie sukienkę i dotykać ciała. Przytulić cię do siebie, całkiem naga, tak aby nie dzieliło nas nic poza skórą.

- Tutaj to niemożliwe, kochany! W każdej chwili mogą wejść Phillip i twój ojciec.

- Do diabła z nimi! - Zmarszczył brwi. - Postaram się, żebyśmy jednak mogli być sami.

- W jaki sposób?

- Zobaczysz. Mam pewien plan, zaufaj mi.

Oswobodziła się z jego ramion i zaczęła oglądać szklarnię. Były tu doniczki z intensywnie pachnącymi tuberoza-mi, storczykami w tysiącach kolorów oraz ślicznymi liliami, które dopiero rozkwitały. Jean-Paul szedł za nią, trzymając ją za rękę i co jakiś czas odwracając ją ku sobie, aby skraść pocałunek. Mieli szczęście, bo gdy do szklarni weszli Henri i Phillip, oni stali po przeciwnych stronach blatu,

zastawionego doniczkami z niezwykle rzadkimi fioletowymi storczykami.

- Spójrz na nie, Phillipie! - zawołała Ava do męża. - Te są zupełnie niezwykle, niektóre sprawiają wrażenie, jakby były w kropki.

Phillip podszedł do niej.

- Rzeczywiście są niesamowite! - przyznał.

- O, tak, Antoinette jest wyjątkowo utalentowaną amatorką! - przyznał Henri.

Jean-Paul stał z boku, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Avy.

- Może powinieneś objechać z nimi ciężarówką całą winnicę - zasugerował ojcu, który zawsze uwielbiał popisywać się przed gośćmi.

- Właśnie zaczęliśmy spryskiwanie winogron - powiedział Henri. - Chcielibyście obejrzeć świeże plony?

- Z wielką chęcią! - ucieszył się Phillip.

Jean-Paul spokojnie czekał, aby Ava uprzejmie odrzuciła propozycję zwiedzania winnicy i żeby wreszcie mogli zostać sami.

- Chyba pozwolę wam samym cieszyć się tą przyjemnością - oznajmiła Ava pogodnie.

Jean-Paul rzucił jej porozumiewawczy uśmiech. Phillip zmarszczył brwi, wyraźnie zaniepokojony.

- Może wybralibyśmy się na spacer? - zwrócił się do żony.

Jean-Paul popatrzył na niego z przerażeniem.

- Na spacer? - powtórzyła Ava.

- Jak daleko jest stąd do miasta? - zapytał Phillip Henriego.

- Piętnaście minut wolnym krokiem, bardzo przyjemny spacer. W mieście jest sporo sympatycznych sklepów z artykułami dla kobiet, mydłami, kosmetykami i takimi tam. Może się pani spodobać, Avo.

- Chętnie się przejdę - odparła.

Żałowała, że nie może od razu wyjaśnić Jean-Paulowi swego postępowania. Musieli przecież zachować ostrożność, w żadnym razie nie chciała zranić Phillipa. Jej pragnienie spędzenia paru chwil sam na sam z kochankiem musiało poczekać.

- Winnicę możecie zwiedzić jutro - oznajmił Henri. - Teraz pokażę wam, którądy idzie się do miasta.

Ava była pewna, że Jean-Paul będzie mocno niezadowolony. Przygotowała się już na pochmurną minę, lecz, ku jej zaskoczeniu, on tylko wzruszył ramionami. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, a jego oczy powiedziały jej, że wszystko w porządku, bo mają przecież dużo czasu. Niechętnie zostawiła go w ogrodzie przy fontannie i ujęła wyciągniętą rękę Phillipa.

- To piękne miejsce, prawda? - zagadnęła, kiedy szli podjazdem w cieniu rozkołysanych wiatrem kasztanowców.

- Piękne! - przytaknął. - Teraz rozumiesz, dlaczego Henriemu tak zależy, aby jego syn zdobył pewne doświadczenie w zarządzaniu majątkiem!

- Tak, dobrze go rozumiem... I wydaje mi się, że w czasie pobytu u nas Jean-Paul bardzo dojrzał.

- Jest teraz innym człowiekiem, to prawda.

- Mówiłam o tym Henriemu! Chciałam, żeby dowiedział się, jak bardzo utalentowanego ma syna, bo, moim zdaniem, traktuje go zbyt surowo.

Phillip pokiwał głową.

- Matka stara się zrekompensować to Jean-Paulowi, ale chyba trochę przesadza - dorzuciła Ava.

- Jean-Paul najlepiej zrobi, trzymając się od nich obojga z daleka, na tyle, na ile jest to możliwe.

- Myślisz, że kiedyś ktoś powie to samo o Archiem i Angusie? - zaśmiała się cicho.

- Nigdy, Krzaczk! - zapewnił ją. - Oboje jesteśmy nie najgorszymi i rozsądnymi rodzicami!

- Mam nadzieję. Zimno mi się robi na samą myśl, że musieliby uciekać przed nami do innego kraju!

- Dzieci przechodzą przez rozmaite etapy, w końcu muszą rozłożyć skrzydła, żeby odlecieć z gniazda. I trzeba im na to pozwolić. Za jakiś czas Jean-Paul wróci i poprowadzi majątek, tak jak robił to jego ojciec. Widać, że bardzo kocha Les Lucioles i nietrudno zrozumieć, dlaczego.

- Nie przypuszczałam, że to tak wyjątkowe miejsce. Phillip lekko ścisnął jej rękę.

- Nie tęsknisz jeszcze za dziećmi?

- Nie, jeszcze nie.

- I jesteś zadowolona, że cię tu przywiozłem? .- Bardzo!

- A co z twoimi refleksjami na temat macierzyństwa?

- Zmieniłam zdanie - odparła krótko.

- To dobrze.

- Doszłam do wniosku, że nie chcę kolejnego dziecka. Nie chcę być znowu przykuta do dzieciennego pokoju.

- No, właśnie!

- Ostatecznie dopiero zaczynam cieszyć się wolnością. Przeszli się po miasteczku, na które składała się grupka

ładnych ceglanych budynków skupionych wokół rynku ze starym kościołem i ratuszem. Na środku placu stała fontanna ocieniona przyszyżonymi drzewami. Kilku staruszków w czapkach paliło fajki na ławkach, babcia i wnuczek karmili gołębnie okruszkami. Z boku ustawiono rząd straganów, gdzie starzy rolnicy sprzedawali owoce, warzywa oraz oliwę w wysokich butelkach. Chudy pies bawił się puszką po coca-coli.

Wypili kawę w małej kafejce, przy stoliku na trotuarze. W kącie ciasnej sali grupka mężczyzn w kamizelkach rzucała strzałkami do tarczy, a dwie dziewczyny za ladą paliły papierosy i plotkowały. Uliczki były wąskie, brukowane, więc mieszkańcy i turyści musieli zostawiać samochody na

parkingu i chodzić pieszo. W sklepikach z pamiątkami sprzedawano wzorzyste obrusy i serwety oraz mydła. Ava kupiła lawendowy olejek do kąpieli dla matki i spryskała się perfumami o zapachu kwiatu pomarańczy, które po chwili zdecydowała się wziąć dla siebie. Nie należała do rozrzutnych osób i nie pamiętała już nawet, kiedy ostatni raz coś sobie kupiła, oczywiście, nie licząc roślin.

- Ten zapach zawsze będzie przypominał mi Francję - powiedziała, wachając przegub dłoni.

Lekkim krokiem wyszła na ulicę, gdzie Phillip stał przed wystawą antykwariatu.

- Szkoda, że wszystkie te książki są po francusku! - westchnął.

- Daj spokój, masz chyba wystarczająco dużo książek!

- Och, dla nowych książek zawsze znajdę miejsce.

Wrócili ze spaceru w wyśmienitych nastrojach. Antoinette wyszła do holu z salonu, aby ich powitać.

- Na pewno chętnie się czegoś napijecie - powiedziała. - Herbata czy lemoniada?

- Z przyjemnością napijemy się herbaty! - uśmiechnęła się Ava.

Phillip poszedł za Antoinette do salonu, gdzie przed kominkiem leżały dwa wielkie dogi.

- Idę na górę odłożyć zakupy! - zawołała do męża Ava.

- Dobrze, kochanie.

Pobiegła po schodach na piętro, bardzo zadowolona z dokonanych zakupów. Kiedy szła korytarzem, jedne z drzwi otworzyły się i czyjeś ramię wciągnęło ją do mrocznego, przyjemnie chłodnego wnętrza.

- Ani słowa - syknął Jean-Paul.

* * *

Zaskoczona, rozejrzała się po niewielkim, cienistym pomieszczeniu. Jean-Paul zamknął okiennice i przez szpary między deszczułkami wpadały tylko cieniutkie pasma światła.

- Oszalałeś!

- Oszalałem dla ciebie! - odparł, pociągając ją na łóżko.

- A jeśli ktoś...

- Nikt tu nie wejdzie, uspokój się, *ma pechel* Obiecałem ci, że coś wymyślę i wymyśliłem!

- Jak długo czekałeś?

Roześmiał się i ogarnął ją spojrzeniem tak poważnym i pełnym czułości, że serce zadrżało jej ze wzruszenia.

- Na ciebie czekałbym choćby przez całą wieczność...

*RADOŚĆ, JAKĄ DAJĄ ŚWIEŻE ZIOŁA I WARZYWA WYHODOWANE WE
WŁASNYM OGRODZIE, ZASIANE PRZY UDZIALE NASZEJ WŁASNEJ TAJEMNEJ
MAGII*

Hartington, 2006

Miranda siedziała przy biurku, w tym samym miejscu, co zwykle i słuchała tej samej co zwykle muzyki, ale choć jej palce wisały w powietrzu nad klawiaturą laptopa, natchnienie nie chciało przyjść. Dział Femail gazety „Daily Mail” poprosił ją o opisanie doświadczeń związanych z przeprowadzką z Londynu na wieś, z rzeczywistością, która okazała się trochę mniej cudowna niż wyobrażenia. Jakies dwa miesiące wcześniej napisałyby to szybko i sprawnie/bez chwili wahania, lecz teraz odbierała wszystko inaczej. Zza muru ogrodu dobiegały ją głosy dzieci i Miranda pragnęła z nimi być. Kiedy były w domu, ich życie, dzięki Jean-Paulowi, przypominało niekończącą się przygodę. Późnym wieczorem zabierał je na wyprawy, w czasie których podglądali bobry, w dzień łowili ryby nad rzeką, rozbijali obozy w lesie, rozpalali ogniska, obserwowali bażanty i króliki. Dzieci, które z początku tylko tęskniły za

miastem, teraz były częścią natury w tym samym stopniu co zwierzęta.

Ona sama przyzwyczała się do chodzenia z rozpuszczonymi włosami i nakładania minimalnego makijażu. W Hartington nie czuła potrzeby, aby cały czas wyglądać jak gwiazda i była z tego zadowolona. Chętnie wkładała kalosze i, chociaż nadal miała skłonność do pięknych ciuchów, wypełniających jej garderobę, bynajmniej nie pragnęła powrotu do gorączkowego i męczącego życia towarzyskiego w Londynie.

Napisała krótkiego e-maila do szefowej działu z sugestią, aby artykuł utrzymany był w pozytywnym tonie. Po chwili dostała odmowną odpowiedź - redakcja zamówiła już tekst o pozytywnym wydźwięku u innej dziennikarki. Miranda machnęła ręką i uznała, że będą musieli znaleźć sobie kogoś innego.

- No, dobrze - westchnęła, podnosząc się z krzesła. Pewnie ostatni raz poprosiła mnie, żebym coś dla niej napisała. Trudno, to kolejne drzwi, które zamykają się za mną.

Jednak kiedy wkładała kalosze, uświadomiła sobie, że jest jak najdalsza od przygnębienia. Powinnam zabrać się do pisania powieści, a nie skrobać nic niewarte, pozbawione znaczenia artykuły, pomyślała.

Wyszła do ogrodu warzywnego, gdzie Jean-Paul siał rośliny razem ze Storm i Gusem. Dzieci klęczały, ich małe dłonie zanurzone były w ziemi. Pan Underwood stał na skraju grządki, oparty na widłach; nie ulegało wątpliwości, że przez cały ranek zajęty był głównie utrzymywaniem takiej właśnie pozycji oraz wygłaszaniem komentarzy w rodzaju: „Patrzcie, patrzcie, to gąsienica, słowo daję!” albo: „Tak jest, to robak!”. Mirandzie wcale to nie przeszkadzało. Miała doskonały nastrój. Jean-Paul był bardziej optymistyczny niż słońce, już samo przebywanie w jego towarzystwie dawało ogromny zastrzyk energii. Dzięki niemu Miranda zyskała

większe poczucie własnej wartości. On nie wypytywał, jak wyglądało jej dotychczasowe życie - rozmawiali głównie

o ogrodzie - ale interesował się tym, co mówiła. Zachęcał ją, aby poznawała rośliny, cieszyła się widokiem wyłaniających się z ziemi cebulek i mieszkających między nimi małych stworzeń. Lubił proste rzeczy i jego entuzjazm był zaraźliwy. Mirandę szybko pochłonęło sadzenie ziemniaków

i przerzucanie książek kucharskich w poszukiwaniu przepisów, w których mogłaby te warzywa wykorzystać. Była dumna z siebie i swojego domu, ale przede wszystkim zaczęła znajdować radość w przebywaniu z dziećmi. Wszyscy troje razem cieszyli się ogrodem, a zawdzięczali to Jean-Paulowi.

Ogród wyglądał wspaniale. Kwiaty zachwycaly kolorami, jasnozielone listki na drzewach rozwijały się, balsamiczne powietrze rozbrzmiewało ptasim śpiewem. Pękate pszczoły unosiły się nad kwitnącymi grządkami. Dziki ogród pełen był jaskrów, fioletowych irysów, pierwiosnków i pierzastych mleczy. W kuchennym ogrodzie między zielonymi krzewami zakwitły tulipany, narcyzy i prymulki. Na środku trawnika pysznił się ogromny górski jesion, podobny do statku na morzu zieleni. Pod koroną białych kwiatów stała okrągła ławka, na której Jean-Paul przysiadł czasami, popadając w głębokie zamyślenie. Miranda często go tam widywała, była jednak zbyt uprzejma, aby zapytać, co go niepokoi.

- Mamo, popatrz na tego! - Gus przywołał matkę ruchem ręki, z której zwisał długi robak. - Jest ogromny!

- Chciałabym zaprzyjaźnić się z którymś - oznajmiła Storm, uśmiechając się do Jean-Paula. - Mogę?

- Oczywiście! Włożymy go do słoika i nadamy mu imię!

- Może nazwiemy go Robaczek Worzel, co? - odpowiedziała Miranda.

Zaraz potem, zainspirowana własnym pomysłem, oświadczyła, że pójdzie poszukać odpowiedniego słoika.

- Tłścioch z niego! - zachichotał z zadowoleniem pan Underwood. - O, tam jest jeszcze kilka!

- Proszę przynieść coś do picia! - zawołał Jean-Paul za Mirandą. - Przy pracy na dworze człowiekowi ciągle chce się pić.

- Jestem głodna - powiedziała Storm. - *Je suis faim!*

- *J'ai faim* - poprawił ją Jean-Paul. - *J'ai aussi soif* - dorzucił.

- Jestem spragniony! - przetłumaczył Gus. - Prawda?

- Szybko się uczycie, moi drodzy!

- To po francusku - odezwał się pan Underwood, z podziwem kiwając głową.

. - Tak jest! - Jean-Paul posłał mu szeroki uśmiech. - Pan, panie Underwood, jest mądry i przebiegły jak stary lis!

Kiedy Miranda weszła do kuchni, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała głos Blythe.

- Witaj, nieznajoma! - roześmiała się.

Blythe sprawiła jej przyjemną niespodziankę. Telefonowała pierwszy raz od lunchu, który zjadły razem przed Bożym Narodzeniem.

- Co u ciebie? - zapytała.

- W porządku. W poniedziałek muszę stawić się w sądzie w sprawie ugody finansowej.

- Nie pozwól mu wykręcić się sianem! Pamiętaj, co radził ci David.

- A co u niego słychać? Dawno go nie widziałam. -W głosie Blythe brzmiała nuta przygnębienia.

- Sęk w tym, moja droga, że ja też mało go widuję! - odparła Miranda.

- Mój mąż bardzo ciężko pracuje, przyjeżdża do nas w piątek wieczorem i wyjeżdża w niedzielę zaraz po południu.

- Powinnaś wziąć sobie kochanka - zauważyła pogodnie Blythe. - Gdybym ja siedziała cały czas na wsi, na pewno bym tak zrobiła! I sędzę, że nie byłabym wyjątkiem.

- Nie kuś mnie - Miranda uśmiechnęła się na myśl o Jean-Paulu.
- Chcę mieć już całą tę sprawę za sobą i spokojnie zająć się własnym życiem - westchnęła Blythe.
- Może przyjechałabyś do nas na weekend? David bardzo by się ucieszył! Ogród wygląda przepięknie i z przyjemnością pokazałabym ci dom.
- Więc powoli zaczynasz się przyzwyczajać?
- Tak. W tej chwili nie wyobrażam sobie lepszego miejsca. Rano budzi mnie śpiew ptaków w koronach drzew i zapach kwiatów, wpadający przez otwarte okno! To prawdziwy raj. Przyjedź, bardzo chciałabym cię zobaczyć!
- A myślałam, że jesteś typową dziewczyną z miasta.
- Byłam nią, ale teraz zupełnie wypadłam z obowiązującego w Londynie rytmu! W pełni odpowiada mi tułejsze wolniejsze tempo.
- Ostatnio nie widziałam jakoś zbyt wielu twoich artykułów. Przestałaś nawet pracować?
- Po prostu staranniej wybieram zlecenia.
- Życie na wsi przytłumiło twoje ambicje?
- Jest tu tyle do roboty, że nie bardzo mam kiedy usiąść do komputera!
- Brzmi wspaniale. Kiedy miałabym przyjechać?
- Kiedy chcesz. Na wsi ludzie żyją na większym luzie. Nie mam żadnych planów.
- W najbliższy weekend jestem zajęta, ale może w następny...
- Świetnie! Powiem Davidowi, będzie zachwycony! Uważaj, bo na pewno uraczy cię kolejnymi radami, cennymi klejnotami mądrości! - zaśmiała się Miranda.
- Może trudno ci w to uwierzyć, ale parę tych klejnotów naprawdę by mi się przydało. Wiesz, większość naszych przyjaciół wzięło stronę tego drania. Mnie traktują teraz jak rozwiązłą kobietę.

- Nie zwracaj na nich uwagi! Twój były mąż ma po prostu lepsze gadane niż ty.

- Och, bardzo mi cię brakuje, Mirando! Nikt nie potrafi tak słuchać - westchnęła Blythe. - Chwilę z tobą porozmawiałam i już czuję się lepiej!

- Przyjedź do nas, mój ogród jeszcze bardziej poprawi ci samopoczucie! Ja czuję się absolutnie odrodzona!

- Właśnie słyszę! Zastanawiam się tylko, jak długo to potrwa, zanim pędem wrócisz do miasta - w głosie Blythe zabrzmiał cyniczny ton. - Pomyśl o jesiennych kolekcjach mody, moja droga. Nie wierzę, żebyś aż tak bardzo się zmieniła.

- Zobaczymy! - rzuciła nonszalancko Miranda.

W ogóle nie zazdrościła przyjaciółce. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na dzbanuszek pełen natki pietruszki na kuchennym stole oraz trzy koszyki z liliowymi hiacyntami, które Jean-Paul postawił na oknie. Dom pachniał wiosną.

Zrobiła dzbanek wody z sokiem z czarnego bzu i znalazła pusty słoik w spiżarni. Przechodząc przez hol, zajrzała do swojego gabinetu, gdzie czekał na nią laptop. Nie miała wyrzutów sumienia i nie czuła się sfrustrowana. Wyszła na taras przez francuskie okno, prawie podskakując z radości. Słońce świeciło, powietrze było ciepłe, Jean-Paul pracował w ogrodzie, przeistaczając wszystko dzięki swojej własnej, niepowtarzalnej magii. Magii, którą Miranda powoli zaczynała rozumieć.

Dzieci zdążyły już zgromadzić sporą kolekcję robaków i żuków, które wrzuciły do przyniesionego przez matkę słoika razem z kilkoma liśćmi i źdźbłami trawy.

- Czy one umrą? - spytał Gus Jean-Paula.

- Nie umrą, jeśli pod koniec dnia wypuścicie je na wolność. Ich miejsce jest tutaj, w ogrodzie.

Gus i Storm wyruszyli na poszukiwanie nowych stworzeń, z którymi mogliby się zaprzyjaźnić. Pan Underwood dopił szklanekę soku i niechętnie wrócił do pracy, którą

przerwał, kiedy śmiech dzieci zwabił go do ogrodu warzywnego. W lutym wichura powaliła kilka drzew i teraz trzeba było je uprzętać.

Miranda usiadła na trawie. Powoli popijała sok i przyglądała się, jak Jean-Paul ustawia drucianą ramę, po której będzie piął się groszek. Palce miał szorstkie, paznokcie krótkie - były to dłonie człowieka, który całe życie pracował w ogrodzie. Wzruszył ją widok tych cierpliwie poruszających się rąk i naznaczonej smutkiem twarzy.

- Zawsze byłeś ogrodnikiem? - zapytała.

- Odkąd pamiętam. - Na chwilę przerwał pracę. - Wcześniej moje życie było pozbawione znaczenia, marnowałem je na bzdury.

- Kto cię zainspirował?

- Moja matka. Wychowywałem się w winnicy pod Bordeaux. Mama z zapalem uprawiała ogród.

- Czy ona jeszcze żyje?

- Nie. Umarła w zeszłym roku w lecie.

- Przykro mi. Byliście sobie bliscy?

Otwierała go powoli, niczym rzadko spotykaną, tajemniczą muszlę. Była przekonana, że jeżeli w końcu zdoła dostać się do środka, znajdzie tam coś pięknego.

- Miała tylko mnie. Tak, byliśmy sobie bardzo bliscy.

- Jaka była?

Chwilę patrzył na nią uważnie, jakby się zastanawiał, ile może jej powiedzieć. Jego oczy przybrały łagodniejszy odcień brązu.

- Dystygowana i opanowana - odparł wreszcie. - Otaczała ją aura spokoju. Była bardzo silna.

- Piękna? - spytała, choć dobrze znała odpowiedź.

- Miała czarne włosy, które upinała w kok. Rzadko widywałem ją z rozpuszczonymi włosami, chyba tylko wieczorem, kiedy kładła się spać. Gdy byłem mały, całowała mnie na dobranoc. Patrzyłem na nią wtedy i myślałem sobie, że

chyba jest aniołem, taka była piękna. Włosy opadały na plecy lśniąca falą, zupełnie jak płaszcz z jedwabiu. Kiedy posiwała, pokazywała się już tylko w starannie upiętym koku. Nigdy nie straciła godności ani spokoju, aż do ostatniej chwili.

- Nie weźmiesz mi za złe, jeśli zapytam, jak umarła? Nie mogła być bardzo stara.

- Miała siedemdziesiąt trzy lata. Umarła we śnie, spokojnie. Nic jej nie dolegało, po prostu pewnego ranka już się nie obudziła. - Jean-Paul wzruszył ramionami i potrząsnął głową. - Jej serce przestało bić, zatrzymało się jak zegar.

- Ojciec nadal żyje?

. - Tak, mieszka w Paryżu. Nie byli sobie bliscy. Wtedy Miranda zdobyła się na odwagę i zadała pytanie, które pragnęła zadać od pierwszego dnia znajomości z Jean-Paulem.

- Byłeś kiedyś zakochany?

Przez sekundę bała się, że posunęła się za daleko. Twarz Jean-Paula wydała się jej twarzą zamkniętego w sobie obcego człowieka, ściągniętą i poszarzałą ze smutku. Zamierzała już pośpiesznie zmienić temat, zapytać go o winnicę, zachęcić do wspomnień, lecz on odezwał się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Raz - odrzekł spokojnie. - Tylko jeden jedyny raz. I więcej się już nie zakocham.

Mirandę ogarnęła fala rozczarowania, zupełnie jakby ta odpowiedź zmiażdżyła jej serce. Utkwiła wzrok w pustej szklance.

- Dolać ci soku? - spytała, starając się przerwać niewygodne milczenie i wrócić do dawnego stylu rozmowy.

Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że skorupa zatrzasnęła się na dobre.

- Więc teraz przelewasz całą swoją miłość na ogrody - zauważyła ochryple.

Nie odpowiedział, lecz jego twarz złagodniała, a kąciaki ust uniosły się lekko.

- Posiadasz niezwykły dar - podjęła, trochę ośmielona - który sprzyja nie tylko wzrostowi ogrodu, ale także rozwojowi moich dzieci. One też rozkwitły, nie tylko te wiśniowe drzewa. Dzięki tobie się nie kłóca, przestały nawet oglądać telewizję. Pokazałeś im cuda przyrody i radość, jaką można znaleźć wśród drzew i kwiatów. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Jean-Paul wziął do ręki doniczkę z kwitnącym groszkiem, który chciał przesadzić do ziemi pod metalową ramą.

- Twoje dzieci chcą być z tobą i Davidem - rzekł.

- Wcześniej nie miałam pojęcia, co z nimi robić. W Londynie mieli nianię. Dopiero niedawno uświadomiłam sobie, że prawie wcale ich nie widywałam. Rano wychodzili do szkoły, potem Jayne odbierała ich i zajmowała czymś do szóstej. Ja tylko pomagałam im się wykapać i położyć spać. Bałam się, że się rozszuszcza, więc pozwalałam im oglądać filmy na wideo w czasie, kiedy powinnam im czytać i słuchać ich opowieści o tym, co robili w ciągu dnia. Z Gusem zawsze były problemy - wdawał się w bójki z innymi dziećmi w szkole, przeszkadzał nauczycielom w prowadzeniu lekcji. Teraz się uspokoił i zaczął zupełnie inaczej się zachowywać, a wszystko to dzięki tobie, Jean-Paul. Dzięki tobie i ogrodu.

- Gus chce czuć się ważny i doceniony, to wszystko. Zauważyłaś, jak na ciebie patrzy?

- Na mnie?

- Tak. Zabiega o twoją aprobatę i podziw. Dzieci łatwo jest zadowolić, pragną tylko, żeby poświęcić im trochę uwagi i je kochać.

- Kocham Gusa i Strom, naprawdę!

- Nie wystarczy mówić im, że ich kochasz, musisz to okazać. Słowa nic nie znaczą, jeśli nie stoją za nimi czyny.

- Skąd tyle wiesz o dzieciach, skoro sam ich nie masz?

- Wiele lat temu dużo nauczyłem się od zupełnie wyjątkowej kobiety, która stawiała swoje dzieci ponad wszystkim, nawet ponad tym, czego pragnęło jej serce. To one liczyły się dla niej najbardziej.

- Czy to źle, kiedy matka pracuje?

- W żadnym razie! Ty także musisz być zadowolona z życia, w przeciwnym razie dzieci szybko wyczują, że coś jest nie w porządku. Dzieci potrzebują matki i ojca. Gus potrzebuje ojca.

- Wiem.

Ale przecież ma ciebie, pomyślała. Jesteś lepszy od najlepszego ojca, jakiego mogłabym sobie wyobrazić. Dopuszczasz go do swoich spraw, pracujesz z nim, dostarczasz mu inspiracji, bawisz się z nim, podbudowujesz go, sprawiasz, że czuje się wyjątkowy i ważny. To ty jesteś dla niego wzorcem i wzorem. To ciebie kocha. David myśli wyłącznie o sobie.

Nagle serce skurczyło jej się z bólu, dotknięte zawodem i zniechęceniem.

- Ja też potrzebuję męża - wyznała cicho.

- Więc powiedz mu to!

Miranda podniosła się, pozbierała puste szklanki i westchnęła.

- Życie jest takie skomplikowane. Miłość jest skomplikowana.

- A jednak bez niej życie byłoby nie do zniesienia!

- W takim razie, jak ty je znosisz? - rzuciła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Zdawała sobie sprawę, że David przestał być głównym ośrodkiem jej świata. Jego miejsce w jej sercu zajął Jean-Paul. Pokochała go, nic nie mogła na to poradzić.

- Znoszę je, bo nie mam wyboru - odparł.

Miranda powoli ruszyła w stronę domu. Była już przy furtce, kiedy odwróciła się z nadzieją, że Jean-Paul ją obserwuje,

ale on stał pochylony nad groszkiem, zagubiony w myślach. W tym momencie przyszło jej do głowy, że jej życie w pewnym stopniu przypomina życie Avy. Podobieństwa były wręcz zaskakujące. Obie zakochały się w ogrodnikach. Przelotnie pomyślała o Davidzie, wyobrażając go sobie jako małą łódkę, unoszoną prądem potężnej rzeki. Czy usłyszałby ją, gdyby zawołała? Czy zareagowałby na jej wołanie? Czy zadałby sobie trud, żeby zawrócić do niej?

Natchnienie pojawiło się w jednej chwili. Z bijącym sercem uświadomiła sobie, że wreszcie znalazła historię, którą chciała opowiedzieć, wielką miłosną historię w stylu *Anny Kareniny* czy *Przeminęło z wiatrem*. Miała ją przed sobą, na wyciągnięcie ręki, żyła nią. Może i nie mogła mieć Jean-Paula, lecz z całą pewnością mogła zaspokoić swoje pragnienia, oddając się pracy.

Podczas gdy dzieci bawiły się w ogrodzie, ona szeroko otworzyła okna w swoim gabinecie, wpuszczając do środka zapach świeżych kwiatów z sadu. Wybrała płytę z lekką klasyczną muzyką i wygodnie usadowiła się przy biurku, przed monitorem komputera. Muzyka poniosła ją w głąb wyobraźni, gdzie jej pragnienia spoczywały uśpione, zupełnie jak nasiona w żyznej glebie. Klawisze stukały pod palcami, coraz szybciej i szybciej, a nasiona pragnień zaczęły budzić się do życia. Młoda kobieta wciągnęła powietrze głęboko do płuc, pewna, że czuje rzeński aromat kwiatu pomarańczy.

Kiedy wieczorem czytała dzieciom na dobranoc, Gus przytulił się do niej i oparł głowę na jej ramieniu. Miranda była głęboko poruszona zmianą, jaka zaszła w jej małym synku - Gus nie był już tym kłopotliwym dzieckiem, które w Londynie często doprowadzało ją do szału. Zajrzała mu w oczy i natychmiast zorientowała się, że coś go niepokoi.

- Mamo, dlaczego tatuś nigdy się z nami nie bawi?
- Jest bardzo zajęty, kochanie!

- A ty się z nami bawisz.
- To dlatego, że jestem tu przez cały tydzień, natomiast on ma pracę w Londynie.
- A w weekendy?
- Jest zmęczony.
- Szkoda, że Jean-Paul nie jest naszym tatą! Poczowała, jak jej serce ściska zimna obręcz.
- Wcale tak nie myślisz, skarbie! - powiedziała szybko. Gus skrzywił się lekko.
- Jean-Paul kocha nas tak, jak powinien nas kochać tata - oświadczył.
- Tata bardzo was kocha!
- Chłopiec popatrzył na nią bez przekonania.
- Naprawdę chciałby spędzać z wami całe dni, tak jak Jean-Paul, ale musi pracować w Londynie i zarabiać, żebyśmy mogli mieszkać w tym pięknym domu, i żebyście wy oboje mogli chodzić do szkoły.
- Przecież on chce wysłać mnie do szkoły z internatem! Miranda wzięła głęboki oddech. Nie mogła zaprzeczyć, że i Gus, i Storm w pewnym momencie mają podjąć naukę w szkole z internatem.
- Szkoła z internatem bardzo ci się spodoba, zobaczysz, kochanie - powiedziała. - Będziesz uprawiał mnóstwo różnych sportów, będziesz miał wielu przyjaciół.
- Gus odwrócił wzrok.
- A na weekendy będziesz przyjeżdżał do domu! Tylko duzi chłopcy uczą się w szkole z internatem!
- Wcale nie chcę być dużym chłopcem - wyszeptał.

*SADZIMY KWITNĄCY GROSZEK, OBSERWOWANI PRZEZ SŁODKO
GRUCHAJĄCE SYNOGARLICE. JESTEŚMY SAMI W ROZPROSZONYM ŚWIETLE
WCZESNEGO WIECZORU*

David przyjechał na weekend zmęczony i rozdrażniony. Miranda była w znakomitym nastroju. Kiedy już wyznała sobie samej, że kocha Jean-Paula, ułożyła dzieci do snu, przeczytawszy im wcześniej teatralnym głosem *Trzy małe wilczki*, a potem wróciła do pracy i pisała do czwartej nad ranem, robiąc sobie tylko krótką przerwę na kawę. Słowa wylewały się z jakiegoś tajemniczego źródła w jej sercu. Zainspirowana miłością oraz pamiętnikiem Avy, tworzyła prozę tak liryczną, jakby to ktoś inny pisał, posługując się nią jak narzędziem.

David wkroczył do holu spowity obłokiem złości, lecz Miranda po raz pierwszy nie zwróciła uwagi na jego humor. Ucałowała go pogodnie, roztaczając wokół aromat limetki, bazylii oraz mandarynek i oznajmiła, że na kolację przygotowała danie według nowego przepisu.

- Łososiowe naleśniki! Może napijesz się wina, kochanie, co? Wyglądasz na kompletnie wykończonego.

David był zaskoczony zmianą, jaka dokonana się w jego żonie. Miranda sprawiała wrażenie zupełnie szczęśliwej w swoim własnym świecie i najwyraźniej nie przywiązywała najmniejszej wagi do jego nastroju, chyba nawet nie zauważyła, że coś było z nim nie w porządku. Wyczuł tę zmianę, nie wiedział jednak, w jaki sposób do niej doszło. Podążył za Mirandą do kuchni. Jego żona wyglądała wspaniale, oczy miała błyszczące, skórę promienną, krok lekki i sprężysty. Jej pogoda ducha sprawiła, że sam jeszcze mocniej się zirytował.

- Jak tam dzieci? - spytał, biorąc podany przez Mirandę kieliszek z winem.

- W bardzo dobrej formie. Gus zaprosił kilku kolegów ze szkoły, przyjdą jutro na podwieczorek. To duży krok naprzód, jeśli o niego chodzi, bo przecież nigdy nie miał przyjaciół. Storm zaprosiła Madeleine. Po podwieczorku wszyscy pójdą na ryby z Jean-Paulem. Zrobił dla nich sieci. Na pewno nic nie złapią, ale nie szkodzi, przygotuję im coś na piknik. Jeśli masz ochotę, możesz się przyłączyć.

- Może - odparł niezobowiązująco.

- Niezłe wino, prawda? - Uniosła swój kieliszek do światła. - Polecił mi je syn Fatimy, który prowadzi sklep w miasteczku. Powiedział, że wcale nie jest gorsze od château latour.

- Mam nadzieję, że jest tańsze!

- Dwanaście funtów za butelkę. David pociągnął łyk wina i uniósł brwi.

- Rzeczywiście niezłe.

- Kolacja będzie o dwudziestej trzydzięci. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia w gabinecie. Weź teraz kąpiel, co ty na to? A, żebym nie zapomniała, zaprosiłam Blythe na następny weekend!

David skrzywił się ze złością.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie widziałam jej od Gwiazdki i już od dawna zamierzałam ją zaprosić. Chcę pokazać jej dom. O co ci chodzi, nie chcesz, żeby przyjechała?

- Och, dlaczego nie! - odparł pośpiesznie.

- To dobrze.

Zniknęła w głębi korytarza, a David został w kuchni, zastanawiając się, dlaczego wszystko układa się nie tak, jak powinno.

Miranda wydrukowała część powieści. W pierwszym rozdziale Jean-Paul zjawiał się na progu domu razem ze Storm, chociaż naturalnie Miranda zmieniła imiona wszystkich bohaterów i dodała wiele detali, aby akcja jak najmniej przypominała jej życie. Szczególnie podobała jej się główna postać, Angelica. Widziała ją dokładnie - Angelica była niska, drobna, z długim prostym nosem, wiecznie wzburzonymi włosami koloru wysuszonego siana, zebranymi w luźny kok, spięty na czubku głowy ołówkiem; oczy miała jasnozielone, barwy młodych liści, uśmiech szeroki i zaraźliwy. Miranda zrobiła z niej zabawną, towarzyską i otwartą ekscen-tryczkę, która w głębi serca ukrywała potrzebę samotności. Angelica ożyła na kartach powieści tak szybko, jakby już wcześniej istniała i teraz nagle znalazła medium, przez które mogła wyrazić swoją osobowość.

Kiedy Miranda pisała, nic innego nie miało dla niej znaczenia. Całkowicie opanowało ją pragnienie przelania historii na papier i jej palce poruszały się prawie automatycznie. Gdy przeczytała pierwsze dwa rozdziały, poczuła zadowolenie i podziw. Nie miała pojęcia, że potrafi tak pisać.

Tej nocy, kiedy David kochał się z nią, myślami była w ogrodzie, z Angelicą i Jean-Paulem, z Avą i tajemniczym młodym mężczyzną, który odgrywał główną rolę w jej zapiskach. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że David jest

Jean-Paulem. Poruszona siłą wyobraźni, bardziej wrażliwa i namiętna niż kiedykolwiek przedtem, cieszyła się jego pieszczotami. Później David sprawiał wrażenie zadowolonego i uspokojonego, że ona nadal należy do niego, że z jego światem wszystko jest jednak w porządku. Odwrócił się na bok i zasnął, natomiast Miranda długo leżała nieruchomo, wpatrzona w ciemny sufit, usiłując ukoić swój rozedrgany umysł.

Rano wstała wcześniej, zostawiając *Da vida* śpiącego. Gus i Storm byli bardzo podekscytowani spotkaniem z zaproszonymi na popołudnie przyjaciółmi. Miranda szybko włożyła dżinsy i koszulową bluzkę, związała włosy w koński ogon i nawet nie pomyślała o makijażu. Zeszła do kuchni i zabrała się za przygotowywanie śniadania dla dzieci, nucąc pogodnie pod nosem.

Właśnie naląła sobie filiżankę kawy, kiedy za oknem pojawił się Jean-Paul.

- Masz ochotę wpaść na kawę? - spytała, unosząc filiżankę na wypadek, gdyby jej nie usłyszał.

Uśmiechnął się i skinął głową. Od rozmowy w ogrodzie warzywnym Miranda miała wrażenie, że z rozdzielającego ich muru wypadło kilka środkowych cegieł. Mogła teraz czasem zajrzeć do środka i odnosiła wrażenie, że Jean-Paul jest zadowolony z ich nowej bliskości.

Parę minut później wszedł do kuchni w skarpetkach, zostawiwszy buty przy frontowych drzwiach.

- *Bonjour!* - odezwał się.

Dzieci odpowiedziały mu po francusku, uśmiechnięte od ucha do ucha.

- Fred i Joe przyjadą się dziś pobawić - przypomniał mu Gus.

- I Madeleine - dorzuciła Storm.

- Więc pójdziemy na ryby, tak? - zapytał Jean-Paul, biorąc kubek z kawą i siadając na stołku. - A później rozpalimy ognisko i upieczemy to, co uda nam się złapać!

- Myślisz, że coś złapiecie? - uśmiechnęła się Miranda. Wzruszył ramionami.

- Jeżeli nic nie złapiemy, to mam w lodówce świeżego łososa.

- Ach, tak - mruknęła konspiracyjnie.

Chwilę przyglądał się jej uważnie. Było w niej coś nieznanego, coś, czego wcześniej nie widział; cała była rozogniona, promienna, jakby jej serce było płonącym węgielkiem. Nie wyglądała już na zaszuszoną i sztywną. Od razu rozpoznał, że to miłość. Ava też tak promieniała, zanim tęcza zbladła i zniknęła. Wyglądało więc na to, że sytuacja między Mirandą i Davidem wreszcie się poprawiła. To go ucieszyło.

Po śniadaniu zabrał dzieci do ogrodu warzywnego. Miranda zatelefonowała do Henrietty, swojej nowej przyjaciółki, i zaprosiła ją do siebie. Ostatnio często się spotykały i ich przyjaźń rozkwitała niczym pąki na gałęziach jabłoni. Cate próbowała przyłączyć się do nich i wciąż zapraszała je na kawę, ale Mirandzie nie podobał się jej pobłażliwy, wyniosły stosunek do Henrietty i dlatego ostatnio umawiały się u Troya albo w Hartington House.

Henrietta zjawiała się szybko, zarumieniona i nieco zdyszana. Miranda naląła jej kawy i usadowiły się przy stole, żeby trochę poplotkować.

- Jak dieta? - zapytała Miranda, chociaż zdążyła już zauważyć, że w wyglądzie Henrietty nie zaszła absolutnie żadna zmiana.

W oczach Henrietty zabłyśły łzy.

- Nie mogę przeprowadzić jej do końca - wyznała, rumieniąc się jeszcze mocniej. - Mam dosyć! Powstrzymywanie się od jedzenia wszystkich pysznych rzeczy wpędza

mnie tylko w zły humor. Za każdym razem, gdy zjadam croissanta, mam przed oczami pełną dezaprobaty, chudą twarz Cate.

- Och, Etto, co my z tobą zrobimy? Nie masz pojęcia, jaka jesteś śliczna!

- Wcale nie czuję się śliczna! Kocham mężczyznę, który nigdy nie odwzajemni mojego uczucia - przerwała nagle, świadoma, że powiedziała za dużo.

- Jesteś zakochana? - zapytała Miranda. - W kim? Henrietta przygryzła dolną wargę.

- Nie mogę powiedzieć, to mnie krępuje. Och, co za idiotyzm.

- W Jean-Paulu? - Miranda zrobiła współczującą minę. Henrietta potrząsnęła głową.

- Nie jestem aż tak oderwana od rzeczywistości, to dla mnie za wysokie progi i świetnie o tym wiem! Przyznaję, że on bardzo mi się podoba, ale to chyba nic dziwnego. Równie dobrze mogłabym się zaturzyć w Robercie Redfordzie. Nie, kocham Troya!

Miranda patrzyła na nią chwilę w milczeniu. Miłość Henrietty do Troya była najbardziej beznadziejną rzeczą, jaką mogła sobie wyobrazić.

- Kochasz Troya - powtórzyła.

- Wiem, że to nierealne, ale naprawdę go kocham.

- Z wzajemnością?

- On także mnie kocha, ale nie chce się ze mną kochać! Ma ochotę na Tony'ego, tego listonosza.

Miranda westchnęła, porażona skalą problemu.

- Chciałabym ci jakoś pomóc, ale to po prostu niemożliwe. Troy jest homoseksualistą, nie będziesz miała z nim dzieci i nie przytulisz się do niego w nocy. Kobięce ciało budzi w nim pewnie odrazę, nie masz szans.

- Wiem. - Oczy Henrietty znowu wezbrały łzami. Miranda zmarszczyła brwi.

- Musimy coś z tobą zrobić! Jest wiosna, najpiękniejsza pora roku. Powinnaś czuć się szczęśliwa!

Henrietta wyjęła z kieszeni kartkę.

- Znalazłam to na tablicy w kawiarni Cate.

Było to ogłoszenie o rozpoczęciu ćwiczeń metodą Pilates w sali gimnastycznej za kościołem.

- Pomyślałam sobie, że może - zająknęła się Henrietta. - Pewnie jestem za mało sprawna, ale...

- Doskonały pomysł! - zawołała Miranda. - Chodziłam na takie zajęcia w Londynie! Kładziesz się na specjalnym łóżku z pętlami zakładanymi na przeguby dłoni i stóp. To trudne ćwiczenia, naprawdę ciężka harówka, ale efekty są szybkie i trwałe. Świetna rzecz, dla ciebie po prostu wymarzona!

Henrietta uśmiechnęła się, wyraźnie zachęcona.

- Naprawdę?

- Słowo! Będę z tobą chodziła! Mogłybyśmy ćwiczyć rano, kiedy dzieci są w szkole. Spróbujemy od przyszłego tygodnia!

- Chcesz chodzić ze mną, naprawdę? Przecież jesteś taka szczupła, ćwiczenia nie są ci potrzebne.

- W metodzie Pilates nie chodzi o utratę wagi, ćwiczenia mają poprawić nastrój i utrzymać ciało w dobrej formie. A przy okazji... - popatrzyła na przyjaciółkę spod zmrużonych powiek. - Musisz zmienić styl ubierania się, skarbie! Nie możesz ciągle ukrywać się pod wielkimi swetrzyskami i szerokimi koszulowymi bluzkami! Powinnaś cieszyć się swoim ciałem i dumnie pokazać je światu!

- Jak Dawn French?

- To wcale nie taki zły przykład, chociaż sporo brakuje ci do jej rozmiaru. Widziałaś kiedyś program prowadzony przez Trinny i Susannah?

- Oczywiście! Dużo bym dała, żeby pomogły mi wybrać ubrania w lepszym stylu!

- Przesłanie ich programu jest naprawdę genialne. Rzecz nie w tym, żeby katować się dietami, ale ubrać się w taki sposób, by dobrze wyglądać! To zdecydowanie najszybsza metoda poprawy wyglądu! Kupię ci ich książkę, a potem pojedziemy na zakupy do Londynu!

- Och, Mirando! - Henrietta nie mogła uwierzyć, że ktoś poza Troyem jest gotów poświęcić jej tyle czasu i wysiłku.

- Pomogę ci zmienić styl, uznaj to za prezent! I zrobię to nie po to, żebyś znalazła sobie faceta, tylko żebyś dobrze poczuła się we własnej skórze!

- Nigdy nie miałam takiej przyjaciółki - Henrietta pociągnęła nosem.

- Więc dobrze, że się poznałyśmy! Cate ma na ciebie zły wpływ, poprawia sobie humor, prawiąc ci złośliwości i wpędzając w marny nastrój! Zgorzkniałe stare krówsko! Etto, masz ładną twarz, przepiękną delikatną skórę, gęste włosy i słodki, rozbrajający uśmiech. Wcale mnie nie dziwi, że Troy cię kocha, ale Bóg uczynił go homoseksualistą, i tyle! Znajdziesz kogoś, kto pokocha cię całym sercem, ożeni się z tobą i obdarzy dziećmi, zobaczysz! Chcę, żeby ten facet padł przed tobą na kolana z zachwyty! Umówię kogoś do dzieci, żebyśmy mogły pojechać do Londynu. Z samego rana pojedziemy do salonu Richarda Warda i tam Shaun zrobi ci najlepszy balejaż, a popołudnie spędzimy w Selfridges! Zostaw to mnie, kochanie! Napijemy się dobrego szampana i wydamy obrzydliwą górę pieniędzy!

- Och, jestem ci taka wdzięczna - westchnęła Henrietta.

- Niepotrzebnie, to nie moje pieniądze! - mrugnęła do niej Miranda.

Jeremy Fitzherbert siedział przy stole w kuchni nad talerzem z jajkami na bekonie i filiżanką herbaty. Mr Ben leżał u jego stóp i obserwował go czujnie, mając nadzieję, że

trafi mu się jeszcze jeden kawałek chleba z masłem, a Wolfgang gonił we śnie króliki. W ogrodzie czekało na Jeremy'ego mnóstwo pracy, na dobry początek musiał przyciąć krzewy i drzewa oraz zasiać warzywa, ale jakoś nie mógł się zmobilizować. Od dnia, kiedy w Harrington House spotkał Henriettę Moon, nie bardzo był w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

Jeremy nigdy dotąd nie był zakochany. Jako młody człowiek umawiał się na randki, ale większość dziewczyn, kiedy początkowa fascynacja bogatym farmerem z pięknym domem przygasła, wycofywała się, zrażona perspektywą życia na farmie. Była wprawdzie jedna, której myśl o zamieszkaniu na farmie bardzo się podobała, ale ta o mało nie doprowadziła Jeremy'ego do szału pomysłami, których realizacja zdecydowanie przekraczała jego możliwości. Jeremy był prostym farmerem, który kochał ziemię, i tyle. W Henriecie zobaczył kobietę o upodobaniach prostych jak jego własne, o ciele zmysłowym i soczystym niczym przepyszny owoc i uśmiechu, który odsłaniał łagodną naturę i czułe serce. W oczach Jeremy'ego Henrietta była kobietą idealną, ale cóż z tego, skoro była kompletnie poza jego zasięgiem. Tamtego dnia w Harrington oddał jej swoje serce, chociaż ona nie widziała świata poza tym przystojnym Francuzem.

Jeremy przyjął porażkę bez słowa skargi. Bo czy prosty, przeciętny człowiek mógł rywalizować z fascynującą urodą oraz niezwykłym urokiem obcokrajowca? Jean-Paul był egzotyczny, jego akcent przywoływał obrazy winnic i drzew eukaliptusowych, *foie gras* i słońca. Jeremy ugiął się wobec siły wyższej i z godnością wykonał odwrót. Ale uświadomił sobie, że i tak stosunkowo często zagląda do miasta bez żadnego konkretnego powodu i wpada do sklepu Henrietty pod pozorem dokonania zakupu a to urodzinowej kartki, a to olejku do kąpieli dla matki. W chwilach szczerości

przyznawał się przed samym sobą, że w ostatnich miesiącach wydał na rozmaite drobiazgi więcej niż przez cały rok. Jego łazienka pełna była nieotwartych paczuszek mydła oraz bajecznie kolorowych, również nieotwartych butelek z olejkami i szamponami. Henrietta zawsze uśmiechała się do Jeremy'ego i wtedy serce łomotało mu i dygotało jak stary, od lat niewłączany silnik. Gawędzili o pogodzie, Henrietta zawsze pytała o jego krowy. Miał ochotę przywieźć jej butelkę ciepłego mleka, prosto od krowy, ale za każdym razem, gdy już chciał się odważyć, przypominał sobie Jean-Paula i jego determinacja słabła.

Teraz bez przekonania grzebał widelcem w jajkach na be. konie i zastanawiał się nad przyszłością, która malowała się ponuro, podobna do mrocznego, zimnego dnia w środku stycznia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że starzeje się i szybko łysieje. Jeszcze trochę, a będzie starym, łysym jak kolano farmerem, na którego żadna kobieta nie zechce nawet spojrzeć. Z ciężkim westchnieniem popatrzył na psy.

- Dobrze, że mam was - powiedział.

Mr Ben przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

- Chcecie jeszcze po kawałku chleba?

Mr Ben kilka razy łupnął ogonem o podłogę. Jeremy wstał i posmarował masłem kromkę razowca.

- Proszę bardzo!

Jeremy rzucił połówkę kromki Mr Benowi, a drugą połówkę Wolfgangowi, który otworzył oczy, kiedy poczuł chleb pod samym nosem i pożarł go jednym chapnięciem.

Jeremy był zmęczony czekaniem. Czy Henrietta przypadkiem nie wspomniała, że chętnie obejrzałaby jego farmę? Poczul przyływ odwagi i szybko dokończył śniadanie. Postanowił, że jednak zawiezie jej mleko i powtórzy zaproszenie. W najgorszym razie spotka go odmowa, i tyle.

* * *

David obudził się i przeciągnął. Miejsce w łóżku obok niego było puste i wyziębione, więc wstał i wziął prysznic. Przypomniawszy sobie, że na następny weekend Miranda zaprosiła Blythe i natychmiast ogarnęło go niezadowolenie. Ostatnio starał się trzymać kochankę na dystans. Przez pewien czas nieźle się z nią bawił, ale stopniowo Blythe stała się zaborcza i wymagająca, wydzwaniała do niego całymi dniami i koniecznie chciała umówić się na spotkanie. Próbował odsunąć ją łagodnie, lecz któregoś dnia zjawiała się u niego w pracy w futrze i rozpięła je lekko, pokazując mu, że pod spodem ma tylko koronkowe pończochy i króciuteńką, ledwo sięgającą do brzucha koszulkę. Niezdolny oprzeć się pokusie, kochał się z nią wtedy w damskiej toalecie, czego szczerze żałował, ponieważ to tylko umocniło ją w przekonaniu, że nadal jest przedmiotem jego pożądania. A teraz Miranda zaprosiła Blythe na weekend... Postanowił zorganizować sobie jakąś podróż służbową i w ogóle nie przyjeżdżać wtedy do domu.

Kuchnia była pusta, brudne kubki stały w zlewozmywaku, a na kuchence czekał ronderek z jeszcze ciepłym mlekiem. Z piersi Davida wyrwało się pełne rozczarowania westchnienie. Pamiętał czasy, kiedy Miranda codziennie przygotowywała mu śniadanie, skacząc wokół niego jak gejsza. Teraz nie chciało jej się nawet na niego zaczekać. Nalał sobie kawy, zrobił dwie grzanki z marmoladą i usiadł przy stole, żeby przeczytać gazetę.

Po śniadaniu wyszedł do ogrodu. Radosny świergot ptaków stanowił doskonałe tło dla pokrzykiwań dzieci, bawiących się za murem ogrodu warzywnego. Zaciekawiony, pchnął furtkę i zobaczył Storm, goniącą Gusa po wysypanych żwirem ścieżkach między grządkami. Oboje trzymali w palcach długie robaki, pewnie dżdżownice. Jean-Paul klęczał na ziemi i sadił jakieś roślinki. Najdziwniejsze było jednak to, że zarumieniona Miranda także klęczała na ziemi, podczas

gdy jej gruba przyjaciółka Henrietta stała obok z rękami opartymi na szerokich niczym mały kontynent biodrach i śmiała się razem z nimi. David poczuł się wyrzucony poza nawias tej wesołej gromadki. Wyglądali jak szczęśliwa rodzina w sobotni ranek. Żal i niechęć boleśnie ścisnęły mu żołądek.

Musiał jednak przyznać, że w ogrodzie było przepięknie. Białe kwiaty jabłoni, równiutkie granice warzywnych grządek, łukowate metalowe ramy, które Jean-Paul ustawił dla pnącego groszku i fasolki. Stary mur porastała biała wistaria, tu i ówdzie przeplatająca się z niebieskim powojem. Na grzbiecie muru łagodnie gruchały synogarlice, a dwie wiewiórki wrywały coś sobie nawzajem, przeskakując z jednego drzewa na drugie.

Miranda podniosła głowę i pomachała do niego.

- Chodź do nas! - zawołała.

David zmusił się do uśmiechu. Nie miał ochoty im pomagać. Skręcała go zazdrość, czuł się wyrzutkiem we własnym domu. Uzurpator klęczał na mokrej ziemi, tak jest, to był ten, który pod nieobecność pana domu próbował zająć jego miejsce. Odwrócił się z ciężkim sercem, kiedy nagle zatrzymał go wysoki, nieco piskliwy okrzyk.

- Tatusiu! - Storm podbiegła do niego i chwyciła go za rękę. - Tatusiu, chodź zobaczyć, co robimy w ogrodzie!

Spojrzał na jej rozradowaną buzię i zrozumiał, że musi z nią pójść, nie ma innego wyjścia. Gus stał z boku, obserwując go czujnie spod ciemnej grzywki. Popatrzył na syna, który wydał mu się zaskakująco wysoki i przystojny, i zadał sobie pytanie, jak to możliwe, że chłopiec tak bardzo urósł, a on w ogóle tego nie zauważył.

- Co robisz, Gus? - zagadnął.

Gus z dumą uniósł do góry słoik pełen ohydneho robactwa.

- Poznaj naszych przyjaciół! - powiedział. Jean-Paul przerwał pracę i przez długą chwilę przyglądał im się uważnie.

Jeremy zawahał się przed wejściem do należącego do Henrietty sklepu z pamiątkami. Kilka razy przestąpił z nogi na nogę, trzymając w ręku butelkę ciepłego mleka prosto od krowy. W końcu podjął decyzję, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Zawieszony u góry dzwoneczek zasygnalizował jego wejście, ale z zaplecza wyłoniła się nie Henrietta, tylko jej siostra, Clare.

- Dzień dobry! - przywitała go pogodnie. - Co słyhać w ten piękny dzień, panie Fitzherbert?

Clare była smukła i bardzo ładna, miała brązowe włosy i okulary na nosie. Na intensywnie czerwonym swetrze z napisem „Odczep się!” nosiła korale, które zrobiła dla niej w szkole jej sześćioletnia córeczka. Powietrze w sklepie przesycone było zapachem kadzidełek i mydła.

- Wszystko w porządku, dziękuję - odparł nieco nerwowo. - Czy zastałem Henriette?

- Nie, pojechała do Mirandy. Mogę panu w czymś pomóc?

Clare zdążyła już przywyknąć do częstych wizyt Jeremy'ego w sklepie, ale miała wrażenie, że tego dnia miły klient wygląda bardzo blado i mizernie.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała troskliwie. - W okolicy krąży paskudny wirus, dopadł już dwoje moich dzieciaków.

- Nic mi nie jest, dziękuję - zapewnił ją pośpiesznie. Clare przeniosła spojrzenie na butelkę z mlekiem, którą trzymał w ręce.

- Co to jest?

- To? Mleko...

- Mleko?

- Tak, chciałem... Chciało mi się pić - wyjaśnił, szybko zmieniając zdanie.

Pomyślał, że pewnie Henrietta świetnie bawi się u Mirandy z Jean-Paulem i poczuł się jak ostatni głupiec. Jak mógł sobie wyobrazić, że ma szansę u Henrietty.

Clare popatrzyła na niego trochę podejrzliwie.

- Mam powiedzieć jej, że pan był?

- Nie, wpadnę innym razem.

Wyszedł ze sklepu, powtarzając sobie, że zachowuje się jak zadurzony nastolatek. Dobry Boże, mam przecież czterdzieści pięć lat, pomyślał. Jestem już za stary na takie rzeczy! Wrócił do domu do swoich psów i do kolejnego dnia, podczas którego ze wszystkich sił starał się nie myśleć o Henriecie Moon.

*FIOLETOWE CIENIE PRZYCIĘTYCH IGLASTYCH KRZEWÓW NA TRAWIE
WIECZOREM*

Blythe przyjechała z synem Rafaelem w piątek po południu. Wsiadła z taksówki i omiotła piękny dom Davida i Mirandy spojrzeniem pełnym niechętnego podziwu oraz zazdrości. Popołudnie było ciepłe i po ciemnoniebieskim niebie wędrowały podobne do owieczek kłębiaste białe chmurki. Ptaki głośno poświstywały w gałęziach drzew, a para tłuściutkich synogarlic siedziała na dachu domu, kontemplując mijające godziny. Słońce powlokło dziki ogród warstwą złocistego blasku, a lekki wiatr rozczesywał trawy i kwiaty. Na środku łąki stał stary dąb, pod którym bawiła się gromadka dzieci, wypełniając powietrze wesołymi okrzykami. Była to idylliczna scena, w niczym niepodobna do tej, jaką wyobrażała sobie Blythe. Kiedy myślała o życiu na wsi, widziała deszcz, błoto, kalosze, wyziębione domy i nudne zajęcia.

Gus zawołał do Rafaela z domku na drzewie, lecz Blythe przytrzymała syna za rękę. Gus był niebezpieczny. Kiedy

ostatnim razem bawili się razem, uderzył Rafaela w głowę ciężkim drewnianym wagonikiem i nabił mu guza, który zniknął dopiero po tygodniu.

- Gus to okropny chłopak - ostrzegła wcześniej Rafaela. -Nie chcesz chyba, żeby znowu nabił ci guza, co?

Teraz Rafael stał pod dębem i tęsknie wpatrywał się w domek.

Gus był kapitanem Hookiem i z bocianiego gniazda uważnie obserwował morze, szukając wrogów. W dolnej części domku Joe i Madeleine odgrywali role uwięzionych Zaginionych Chłopców, natomiast na zewnątrz Storm (jako Dzwoneczek) i Fred (w roli Piotrusia) skradali się wśród traw, aby ich uratować. Zabawę na chwilę przerwano i Storm oraz Gus zaprosili Rafaela, żeby się do nich przyłączył. Rafael nadal trzymał się matki, bojąc się Gusa, który na gałęzi drzewa wydawał się znacznie większy i groźniejszy niż w rzeczywistości. Pociągnął Blythe za rękę i razem z nią zbliżył się do dębu.

- Chcesz się z nami bawić? - Gus lekko zeskoczył z drabinki, uśmiechając się szeroko.

Blythe była bardzo zaskoczona. Gus bynajmniej nie wyglądał jak wiecznie nadąsany dzieciak, którego dobrze знаła.

- Rafael może zostać jeszcze jednym Zaginionym Chłopcem, jeśli chce - zaproponował Gus.

Jego uprzejme zachowanie nie spodobało się Blythe. Chyba wolała kapryśnego i niekomunikatywnego Gusa... Teraz wydawało jej się, że Miranda ma wszystko. No, prawie wszystko, pomyślała, której wyobraźnia natychmiast podsunęła widok twarzy Davida.

Kiedy Rafael został wpakowany do domku razem z Joe i Madeleine, w drzwiach domu stanęła Miranda i pomachała do Blythe.

- Nie słyszałam taksówki, którą przyjechaliście! - powiedziała.

Blythe przyjrzała jej się uważnie. W dzinsach i koszulowej bluzce Miranda wyglądała po prostu promiennie. Nie wiedziałam, że ma takie długie nogi, pomyślała Blythe z niechęcią. Nawet w tenisówkach widać, że są naprawdę długie.

- Świetnie wyglądasz, Mirando! - zawołała. - Zaraz pochoruję się z zazdrości!

- Nie żartuj sobie!

- Naprawdę! I na dodatek masz przepiękny dom, olśniewający! Mieszkasz w najprawdziwszym raju, szczęściara z ciebie! Też chciałabym tyle dostać od losu, i to najlepiej od razu! - Blythe zaśmiała się ochryple i sięgnęła do torebki po papierosa. - Chcesz jednego?

- Rzuciłam palenie.

- Stąd ta jaśniejąca cera! - Blythe z westchnieniem wetknęła marlboro lite do ust i błysnęła zapalniczką. - Ja też rzucę, kiedy już dostanę ten cholerny rozwód!

- Jak było w sądzie?

- Okropnie! Czuję się jak przepuszczona przez wyżymaczkę!

- Ale wyglądasz całkiem nieźle.

- Bo mam kochanka! - szepnęła z zadowoleniem Blythe. Nie mogła oprzeć się pokusie. Idealne życie Mirandy było po prostu nie do zniesienia.

- Nadal tego samego?

- Nadal tego samego.

- Chodźmy do środka, zrobię ci herbaty - zaproponowała Miranda.

Blythe niespokojnie zerknęła na syna.

- Możesz zostawić tu Rafaela - powiedziała Miranda. -Gus się nim zaopiekuje.

- Właśnie Gusa obawiam się najbardziej - zauważyła sucho Blythe. - Przecież to Kapitan Hook!

Miranda parsknęła śmiechem.

- Nie bój się, jego okrzyk wojenny jest groźniejszy niż hak!

- Co za cudowny domek na drzewie! - zachwyciła się Blythe. - Czy to David go zbudował?

- Nie, to Jean-Paul, ogrodnik.

- Coś takiego! To mi dopiero ogrodnik! Wspaniała robota!

- Jean-Paul to niezwykle człowiek. Później oprowadzę cię po ogrodzie. Kiedyś należał do fascynującej starszej pani, niejakiej Avy Lightly. Kiedy tu przyjechałam, wszyscy ciągle mówili mi o jej zachwycającym ogrodzie. Z początku nie mogłam się dopatrzeć w nim niczego zachwycającego, bo był zarośnięty i zaniedbany. I nic dziwnego - dom stał pusty przez dwa lata. Dopiero później Jean-Paul zajął się wszystkim i zgodził się doprowadzić ogród do poprzedniego stanu. Bardzo się tu napracował, możesz mi wierzyć! Chętnie zaprosiłabym Avę Lightly, żeby obejrzała swój ogród. Myślę, że byłaby zachwycona.

- Albo natychmiast zaczęłyby narzekać i wybrzydzać! Starzy ludzie bywają potwornie niewdzięczni!

- Nie wydaje mi się. Wszyscy opisują ją jako bardzo miłą osobę.

- Masz tu jakichś przyjaciół? - spytała Blythe.

- Tak. To rozmaici ludzie, niektórzy uroczy, inni mocno ekscentryczni, taka mieszanka. Na pewno spodobałby ci się Troy, homoseksualista, który prowadzi salon fryzjerski przy głównej ulicy. Bardzo zaprzyjaźniłam się z Henriettą Moon, właścicielką sklepu z pamiątkami. Właśnie zaczęłyśmy chodzić na zajęcia pilâtes, to bardzo zabawne doświadczenie. Inne dziewczyny z naszej grupy też są miłe. Po zajęciach zawsze idziemy razem na kawę. To ciężka praca, ale i świetna zabawa, a trener jest całkiem przystojny. Gdyby był paskudny, na pewno nie robiłabym dodatkowych dziesięciu ćwiczeń!

Weszły do holu.

- Jutro wieczorem proboszcz organizuje przyjęcie w ratuszu - dodała Miranda. - Bilet kosztuje dwadzieścia pięć

funtów. Jeśli chcesz poczuć lokalną atmosferę, możemy się wybrać. Może być zabawnie.

- Albo koszmarne!

- David na pewno pójdzie. Uwielbia odgrywać rolę pana na włościach. Ze dwa razy zaciągnął mnie nawet do kościoła, żeby móc usiąść w pierwszej ławce, lecz ta, ku mojemu rozbawieniu, była już zajęta przez jakichś staruszków, którzy nie mieli najmniejszego zamiaru się przesunąć. Możesz sobie wyobrazić, jaki David był rozczarowany. Kiedy usłyszał, że państwo Lightly co niedzielę jeździli na nabożeństwo, nie było takiej siły, która mogłaby go powstrzymać. Po nabożeństwie gawędził ze wszystkim, rozdając na prawo i lewo te swoje klejnoty mądrości, taki jest hojny...

- Niepoprawny - Blythe uśmiechnęła się na myśl o kochanku. - O której zwykle przyjeżdża?

- Na kolację.

Blythe rozejrzała się po owalnym holu. Na przeciwległej ścianie wielkie francuskie okno wychodziło na zielony taras, ozdobiony olbrzymimi donicami z tulipanami, a dalej w głąb ogrodu biegła ścieżka wysadzana pękatymi iglastymi kulami i wyłożona kamiennymi płytami. Na środku holu stał okrągły stół, zarzucony książkami w błyszczących okładkach. Centralny punkt stołu stanowił wazon z różowymi liliami, które napępniały całe pomieszczenie zapachem wiosny. Miranda pomalowała ściany na ciepły kremowy odcień i powiesiła na nich duże czarno-białe fotografie w srebrzystych ramach. Wyglądało to bardzo efektownie.

- Zatrudniłaś jakiegoś dekoratora wnętrz? - zapytała Blythe.

- Nie - odparła Miranda. - Chciałam zrobić wszystko sama.

- Efekt jest przepiękny! Też chcę przemalować dom, co to za farba? - Blythe przysunęła twarz do ściany, aby lepiej się przyjrzeć.

- Firmy Sanderson.

- Jasne, tak myślałam. Bardzo subtelny odcień!

- Uwielbiam światło.

- I masz go tu mnóstwo! Co jest na zewnątrz?

- Napijmy się herbaty, a potem wszystko ci pokażę.

- To odpowiednia pora na kieliszek wina. - Blythe poczuła, że przyda jej się coś na wzmocnienie.

Zzerała ją zazdrość; nikt nie zasługiwał na to, aby żyć w takim raju.

Wzięła z ręki Mirandy kieliszek chardonnay i razem z gospodynią obeszła cały dom, wtykając nos do każdego pokoju, komentując jakoś tapet i mebli, jakby była potencjalnym kupcem. Kiedy obejrzała dom od środka, poprosiła, żeby Miranda pokazała jej ogród. Przeszły tymiankową alejką wśród długich cieni, rzucanych przez starannie przystrzyżone w kule iglaki, obserwując krwawoczerwony zachód słońca. Z drugiej strony domu dobiegały głosy dzieci, wzbijając się w powietrze jak donośny świergot ptaków.

Miranda pokazała przyjaciółce ogród warzywny i z dumą opowiedziała, jak sama siała warzywa.

- Kiedyś potrafiłam nosić wyłącznie buty na wysokich obcasach - uśmiechnęła się lekko. - Kto by pomyślał, że nauczę się chodzić w kaloszach.

- Myślałam, że dalej jesteś tu nieszczęśliwa! - powiedziała Blythe, która wolała poprzedni stan rzeczy.

- Rzeczywiście, byłam niezadowolona z przeprowadzki, ale pokochałam to miejsce. To zasługa Jean-Paula.

Szły teraz krętą ścieżką, przecinającą wiejski ogród. Miranda wskazywała krzewy i rośliny, które właśnie zaczynały kwitnąć. Blythe nie kryła zdziwienia, że przyjaciółka zna nazwy ich wszystkich. Miranda zmieniła się, a Blythe wcale nie była pewna, czy jej się to podoba. Równowaga sił uległa zmianie i teraz Blythe znajdowała się na gorszej pozycji. Tylko jej sekret był dla niej pewną pociechą. Szły dalej, aż

w końcu przystanąły pod starą wieżyczką, ocienioną strzelistymi modrzewiami.

- Chcę kupić parę synogarlic - powiedziała Miranda. - To miejsce wydaje mi się dziwnie samotne i w jakiś sposób smutne. Synogarlice trochę je ożywią, nie sądzisz?

W tym momencie spomiędzy drzew wyszedł Jean-Paul, pchając przed sobą taczki pełne uschniętych i połamanych gałęzi. Blythe wstrzymała oddech.

- Dobry wieczór, Mirando! - odezwał się, zbijając Blythe z tropu swoim szerokim uśmiechem.

- Czy to nie pan Underwood miał uprzątnąć resztki tego drzewa?

- Tak, ale pan Underwood jest już stary - Jean-Paul lekko wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w nieznajomej.

- To jest Blythe - przedstawiła przyjaciółkę Miranda. - Przyjechała na weekend. Oprawdżam ją po ogrodzie.

- Dużo o panu słyżałam - powiedziała Blythe po francusku, rzucając mężczyźnie zalotne spojrzenie. - Dokonał pan tu cudownych rzeczy.

- Dziękuję - odparł z uśmiechem. - Świetnie mówi pani po francusku, moje gratulacje.

- Trochę się odzwyczaiłam.

- Ma pani doskonały akcent!

- Bardzo mi miło... Rzadko mam okazję używać pana rodzimego języka. - Blythe odwróciła się do Mirandy. - Powinnaś rozmawiać z Jean-Paulem po francusku!

- Nie znam francuskiego.

- Och, oczywiście, jaka ja jestem głupia! - Blythe omiotła Jean-Paula swoimi kocimi oczami i rozłożyła ręce. - *Tant pis!* Szkoda!

- Chyba pójdę do dzieci i na jakiś czas przeistoczę się w krokodyla - powiedział Jean-Paul do Mirandy.

- Bardzo się ucieszają! - uśmiechnęła się, bo Jean-Paul mrugnął do niej, odchodząc.

Blythe patrzyła za nim długą chwilę, wyraźnie zafascynowana jego smukłymi biodrami, opiętymi spranymi dzinsami o niskim stanie.

- No, no, Mirando! - zawołała, gdy zniknął. - Nic dziwnego, że tak ci się tutaj podoba! Co za ciacho!

- Wiem, wszystkim się podoba. - Miranda odwróciła się, żeby Blythe nie dostrzegła rumieńca, który oblał jej policzki.

- Pieprzysz się z nim?

Miranda spojrzała na przyjaciółkę z nieudawanym oburzeniem.

- Oczywiście że nie! Jestem mężatką!

- I co z tego? Sama mówisz, że Davida nigdy tu nie ma!

- Przecież to niczego nie zmienia! Kocham Davida, więc dlaczego miałabym szukać okazji do zdrady? Życie to coś więcej niż tylko seks!

- Naprawdę? Bez seksu życie byłoby potwornie nudne! Szły w kierunku łąki, na której pasł się osioł Charlie.

- Miałabyś na niego ochotę, gdybyś nie była mężatką - Blythe uśmiechnęła się chytrze.

- To nieistotne!

- Ja nie jestem mężatką i mam na niego ochotę! Skąd go wytrzasnęłaś?

- Pewnego dnia przyszedł do domu razem ze Storm. Znalazł ją samą na polu i przyprowadził.

- Co robił na polu?

- Szedł do nas, ponieważ zobaczył moje ogłoszenie w miasteczku. Tak czy inaczej, jakie to ma znaczenie? Jest dobrym ogrodnikiem i tylko to się liczy.

- Najwyraźniej nie jest żonaty. Rozwodnik?

- Nie wydaje mi się.

- Nie wiesz? Nie zapytałaś go? Ma dzieci?

- Nie.

- Jakie miał referencje? U kogo pracował, zanim tu przyjechał? Na pewno dla jakiejś bardzo bogatej angielskiej rodziny.

- Nie mam pojęcia.

- Nie sprawdziłaś go?

- Nie musiałam tego robić. Od razu wyczułam, że to porządny człowiek.

Blythe uniosła brwi.

- Zatrudniłaś go, bo jest przystojny! Równie dobrze może być zbiegłym z więzienia przestępcą!

- Mocno w to wątpię! - Miranda się zirytowała. - Posłuchaj, nie obchodzi mnie, czy jest zbiegłym z więzienia przestępcą, czy może ma trzy żony na trzech różnych kontynentach! Jest świetnym specjalistą i doskonale się z nim rozmawia! Odpowiada mi jego towarzystwo i nie zadaję mu osobistych pytań, bo go szanuję! Nie chcę być wścibska!

- Czyli nie chcesz okazać mu, że jesteś nim zainteresowana!

- Nie jestem nim zainteresowana, Blythe!

- Naturalnie! - prychnęła Blythe. - Ale ja jestem!

- Ty jesteś zajęta.

- Nie mam wcale takiej pewności. Mój kochanek lada chwila mnie rzuci! Kiedyś zasypywał mnie prezentami, teraz rzadko ma dla mnie czas. Niedawno zjawiałam się u niego w pracy tylko w futrze i pasie do pończoch pod spodem. Wtedy nie zdołał mi się oprzeć!

- Masz zimną krew!

- To było całkiem zabawne! Lubię ryzyko!

- Sądzisz, że zostawi dla ciebie żonę?

- Nie wiem. - Blythe potoczyła wzrokiem dookoła i wyobraziła sobie, że Hartington staje się jej własnością. Była to bardzo przyjemna wizja. - Z początku nie mogliśmy się sobą nasycić, ale teraz nie jestem już pewna, co z tego wyniknie. Nie wydaje mi się, żebym była dobrym materiałem na żonę.

- Poznałaś jego żonę?

- Tak! - Blythe spod oka zerknęła na Mirandę, delektując się swoją tajemnicą.

- I jaka ona jest?

Blythe przygryzła policzek, zastanawiając się, jak najlepiej odpowiedzieć na to pytanie, nie zdradzając sekretu. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje, poruszając ten temat w rozmowie z Mirandą, ale widok idealnego życia przyjaciółki - i oczywiście idealnego Francuza! - skłonił ją do przekłucia paru baloników tego szczęścia.

- Miła - odparła ostrożnie. - A ja jestem podłą suką! - zaśmiała się ochryple i lekko podciągnęła rękaw. - Popatrz, dostałam to od niego na Gwiazdkę!

Miranda spojrzała na wysadzany brylancikami zegarek od Theo Fennella i przypomniała sobie dziwny telefon, który odebrała w grudniu. Żołądek skulił jej się z nagłego niepokoju.

- Od Theo - zauważyła.

- Tak. Zachwycający, co? Strasznie podoba mi się ten różowy pasek!

- Wygrawerowany?

- Tak. Na spodzie koperty ma dedykację: „Dla Wielkiej Kocicy”, to taki prywatny żart. Ale to był prezent gwiazdkowy, od tamtej pory nic mi nie подарował. - Blythe wyduła wargi.

Miranda wstrzymała oddech. Nie, to niemożliwe, pomyślała i nagle ogarnęły ją mdłości. Zbieg okoliczności, i tyle. Nie jesteśmy jedynymi klientami Theo, ten zegarek mogła dostać od kogokolwiek.

A jednak w jej głowie zakotłowało się od najróżniejszych możliwości. Czy David był kochankiem Blythe? Czy to dlatego spędzał tyle czasu w Londynie? Czy Blythe, najbliższa przyjaciółka od czasów szkolnych, była na tyle zła, aby ukraść jej męża? Miranda spojrzała na nią uważnie. Blythe nadal podziwiała lśniące w blasku zachodzącego słońca brylanty. Nie, to naprawdę niemożliwe! Gdyby David był kochankiem Blythe, to na pewno zachowałyby romans w najgłębszej tajemnicy.

Dawniej Miranda dzieliła się wszystkim z Blythe. Mieszkały w jednym pokoju w szkolnym internacie, wymieniły się historyjkami o chłopakach oraz opowieściami o problemach w rodzinie, kłóciły się i godziły, jak to przyjaciółki. Tamten etap życia miały już jednak za sobą i czas stopniowo wznosił niewidoczny mur, który je rozdzielił. Miranda nie znała już Blythe tak dobrze jak kiedyś, brakowało im wspólnych przeżyć i doświadczeń. Obie miały dzieci, lecz poza tym niewiele je łączyło, dlatego teraz Miranda zachowała budzące się obawy dla siebie. Nie ufała już przyjaciółce.

Kiedy wracały do domu, starała się ukryć niepokój, wypytyując Blythe o jej kłopoty i pozwalając gadać bez końca. Nie potrafiła pozbyć się lęku, że David spotyka się z inną kobietą. Ona sama głęboko zaangażowała się w tworzenie ogrodu, pochłaniało ją też skrywane uczucie do Jean-Paula, lecz im więcej myślała o mężu i jego życiu w Londynie, tym bardziej stawała się podejrzliwa.

Dotarły do wydrążonego drzewa, gdzie Jean-Paul bawił się z dziećmi, udając krokodyla. Gus usiłował wyrwać się z mocnego uścisku „drapieznika” i dosłownie zarykiwał się ze śmiechu. Miranda poczuła nagle wzbierające łzy. Jean-Paul byłby idealnym ojcem, dzieci go uwielbiały. Miał mnóstwo pomysłów na urozmaicenie zabawy i ogromny zapał... Dlaczego musiała wyjść za Da vida, a nie za kogoś takiego?

Rafael na widok matki pośpiesznie zbiegł po drabince z drzewa.

- Mamo, Jean-Paul jest krokodylem! Uciekaj na drzewo, szybko, bo cię zje!

Blythe, która z przyjemnością pozwoliłaby się zjeść przystojnemu Francuzowi, chwilę stała pod drzewem z nadzieją, że Jean-Paul i ją wciągnie do zabawy. Oczami wyobraźni widziała już, jak chwyta ją w ramiona, ale czekało ją rozczarowanie. Jean-Paul postawił Gusa na ziemi i parsknął śmiechem, gdy chłopiec znowu zaczął wspinać się po

drabince na górę, chichocząc z radości, że udało mu się przechytrzyć strasznego krokodyla.

Miranda poszła do domu przygotować podwieczorek dla dzieci, zostawiając Blythe z Jean-Paulem. Miała ochotę pobyć trochę sama. Co będzie, jeżeli David rzeczywiście ma romans z Blythe? Czy oznaczałoby to koniec jej małżeństwa? Czy warto by było ratować ten związek? Czy nadal kochała męża? Nie była tego pewna. Czy były jakiegokolwiek szanse na to, aby Jean-Paul obdarzył ją uczuciem?

David zamierzał zorganizować sobie jakiś wyjazd służbowy na ten weekend, lecz pragnienie spędzenia czasu z Mirandą i dziećmi przewyciężyło chęć odsunięcia się od kochanki. Gdy przyjechał, dzieci, już w piżamach, oglądały film na wideo. Rodzice Madeleine, Joe'ego i Freda zabrali swoje pociechy do domów. Cała gromadka spędziła wspólnie dzień. Gus bawił się z kolegami i ani razu nie wszczął kłótni. Był dumny z Hartington House i chciał pokazać posiadłość kolegom. Nowy dom dał mu poczucie bezpieczeństwa i przynależności, stał się też źródłem zabaw i rozrywki. Od przyjazdu Jean-Paula chłopiec stał się pewniejszy siebie i znacznie spokojniejszy. Pan Marlow kilkakrotnie chwalił go za dobre zachowanie. Przyjaciółki Storm przestały się obawiać, że w Hartington spotka je coś niemiłego i w rezultacie córeczka Mirandy wreszcie znalazła towarzystwo. Miranda codziennie czytała dzieciom na dobranoc i pomagała im w odrabianiu lekcji. Bardzo cieszyły ją te spędzane wspólnie chwile. Życie w Hartington było teraz pełne radości, lecz David nie był jego częścią.

Miranda przyglądała się przywitaniu męża z Blythe z trzeźwą uwagą naukowca, obserwującego interesujący organizm pod mikroskopem. Nic nie umknęło jej uwadze.

*STARAMY SIĘ WYGONIĆ TE NIEZNOŚNE KRÓLIKI Z OGRODU.
PRZEGRYWAMY WALKĘ Z MR BADGEREM, ZUPEŁNIE NIEZWYKŁĄ POSTACIĄ.*

David serdecznie przywitał się z żoną, obejmując ją w pasie i z czułością całując w policzek. Miranda zarumieniła się z radości i zaskoczenia. Blythe zareagowała na Davida podobnie jak wcześniej na Jean-Paula. Z języka jej ciała Miranda nie wyczytała żadnych oznak intymności. Poza tym Blythe była urodzoną flirtiarą. David, który wcześniej z irytacją przyjął wiadomość o zaproszeniu Blythe, teraz sprawiał wrażenie zadowolonego z jej przyjazdu. Jego twarz nosiła ślady zmęczenia i napięcia. Był wykończony po tygodniu ciężkiej pracy i podróży pociągiem z Londynu. Wypił kieliszek wina, który naląła mu Miranda, przywitał się z dziećmi i poszedł na górę, żeby wziąć kąpiel.

Blythe siedziała w kuchni, przyglądając się, jak Miranda przygotowuje pieczonego kurczaka na kolację. Powoli sączyła wino i od niechcienia pogryzała marchewkę.

- David wygląda na bardzo znużonego - odezwała się. -Zawsze tak jest, w każdy piątek?

- Tak - odparła Miranda. - Zanim złapie oddech, musi już pędzić do pociągu, i tak dalej, i tak dalej. Życie bankiera to nie bajka, pieniądze pochłaniają całą jego uwagę. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby David mniej przejmował się pracą, a bardziej rodziną i domem.

- Nie wiedziałam, że macie jakieś problemy - Blythe sprawiała wrażenie szczerze zatroskanej.

Jej współczucie sprawiło, że Miranda szybko odrzuciła podejrzenia, uznając je za zupełnie nieracjonalne. Posmarowała kurczaka oliwą z ziołami i usiadła obok Blythe, sięgając po kieliszek.

- Rzadko go widuję, oto cały problem - wyjaśniła. -Trudno jest utrzymać małżeństwo, kiedy ludzie spędzają ze sobą tak mało czasu.

- Może przeprowadzka na wieś nie była jednak takim dobrym pomysłem. Oczywiście Gusowi i Storm wyszło to na dobre, od razu widać, a już zwłaszcza jeśli chodzi o Gusa. Chłopak zmienił się nie do poznania, dawniej był ciągle nadąsany i wściekły, teraz zrobił się z niego uroczy dzieciak.

Miranda natychmiast poczuła się lepiej.

- To prawda! - uśmiechnęła się. - Gus lepiej rozumie się z Jean-Paulem niż z własnym ojcem.

- Czy to nie martwi Davida?

- Pewnie nawet tego nie zauważył! - Miranda zaśmiała się gorzko. - Ja też lepiej czuję się w towarzystwie Jean-Paula niż Davida, chociaż z nim nie sypiam, powtarzam! Po prostu spędzam z nim więcej czasu i mam z nim więcej wspólnych tematów!

- Czy David nie mógłby pracować w domu, przynajmniej jeden czy dwa dni w tygodniu?

- Przecież wiesz, że nie.

- Czy on zdaje sobie sprawę, co czujesz?

- Nigdy nie mamy czasu, żeby porozmawiać. Ja też się zmieniałam! Wiesz, czasami wydaje mi się, że on mnie teraz wcale nie zna.

- To takie smutne, kochanie! Ty i David jesteście moimi najbliższymi przyjaciółmi! Myślałam, że wasze małżeństwo jest najtrwalsze z tych, które znam.

Reakcja Blythe na wiadomość o małżeńskich kłopotach Mirandy wydawała się najzupełniej szczerą i spontaniczną. Jeżeli tak nie jest, to Blythe gra rolę swojego życia, pomyślała Miranda.

- Co powinnam zrobić? - zapytała.

- Porozmawiać z nim, wypracować jakiś kompromis! Za nic nie chciałabym, żebyście przeszli przez piekło, które ja teraz przeżywam! Na początek straciłabyś ten piękny dom, a przecież jesteś tutaj szczęśliwa, i dzieci także! Nie mogę myśleć o tym, że najprawdopodobniej musielibyście sprzedać Hartington, żeby opłacić koszty postępowania sądowego.

Miranda i Blythe położyły dzieci spać. Gus podzielił się swoim pokojem z Rafaelem, ale obaj błyskawicznie zasnęli, zmęczeni zabawą na świeżym powietrzu. David wyszedł z sypialni ubrany w sportowe spodnie i świeżą koszulę. Zobaczył obie kobiety, stojące pod drzwiami pokoju Gusa i uśmiechnął się do nich.

- Już śpią? - zapytał.

- Może pocałujesz dzieci na dobranoc - powiedziała Miranda. - Nawet jeśli zasypiają, będzie im miło.

David skinął głową i otworzył drzwi pokoju syna. Blythe rzuciła przyjaciółce współczujące spojrzenie. Miranda odwróciła się i szybkim krokiem zeszła na dół po schodach.

* * *

Gus poczuł drapiący zarost ojca, gdy David pocałował go w policzek. Chłopiec otworzył oczy.

- Tak naprawdę wcale nie spałem! - szepnął.

- Tylko udawałeś?

- Tak.

- Więc teraz bądź grzeczny i postaraj się zasnąć.

- Rafael już śpi!

- Co robiliście dzisiaj?

- Bawiliśmy się w piratów, Jean-Paul był krokodylem - zachichotał Gus.

- Naprawdę? - Davida natychmiast ogarnęła zazdrość. - Ale Kapitan Hook chyba zabił krokodyla, prawda?

- Nie! Ja byłem Kapitanem i krokodyl mnie pożarł...

- Wyglądasz nie najgorzej, jak na kogoś, kto spędził trochę czasu w brzuchu krokodyla!

- Bo uciekłem!

- Spryciarz z ciebie...

- Pobawisz się z nami jutro?

- Co, może mam być krokodylem?

- Możesz być kimś innym!

David zastanowił się nad propozycją syna.

- Spróbuję wymyślić jakąś bardziej interesującą zabawę - powiedział.

- Dobrze - zgodził się Gus.

Wiedział, że następnego dnia ojciec zapomni o obietnicy i znajdzie sobie coś lepszego do roboty. Przewrócił się na bok i zamknął oczy. W gruncie rzeczy to, czy ojciec zechce się z nim pobawić, czy zapomni o jego istnieniu, nie miało wielkiego znaczenia. Gus miał przecież Jean-Paula.

Miranda kroїła kurczaka, gdy do kuchni wszedł David. Miał dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby ktoś wepchnął mu rękę do brzucha i z całej siły ścisnął wnętrzności.

- Dobrze się czujesz? - spytała Miranda.

- Tak... Chętnie napiję się wina, miałem fatalny tydzień w pracy.

Miranda podała mu kieliszek.

- Gus już spał?

David pociągnął łyk wina i uśmiechnął się.

- Nie, tylko udawał! Mały spryciarz z niego!

- Jak jego ojciec - rzuciła Blythe. - Chodzi mi o to, że jest sprytny.

David nie zareagował.

- Pozwól, że ci pomogę - odezwał się do Mirandy, która ze zdziwieniem oddała mu nóż do krojenia mięsa i widelec. - Wygląda przepysznie! - dodał z entuzjazmem.

- To kurczak z miejscowego targu, powinien być niezły.

- Spróbujmy... - oderwał kawałek mięsa i wrzucił go sobie do ust. Jego policzki odzyskały już normalny kolor. - Faktycznie nie najgorszy! - zażartował. - Blythe, powiedz, co u ciebie słychać.

- Radzę sobie, jak zwykle. Sprawa rozwodowa powinna się wkrótce zakończyć i wtedy będę mogła wreszcie zająć się sobą, znaleźć nowego faceta, zacząć wszystko od początku. Sęk w tym, że nie mam na to siły...

- Przez pewien czas będziesz się tak czuła - Miranda pokiwała głową. - Żyj z dnia na dzień, bo chyba inaczej się nie da. Rafael cię potrzebuje, nie zapominaj o tym. Jestem przekonana, że w tej chwili nie najlepiej zniósłby pojawienie się w domu nieznanego faceta! Na razie to Rafael jest twoim mężczyzną.

- Też tak uważam! - przytaknęła Blythe. - Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, abym sprawdziła się w następnym małżeństwie!

- Nie wykluczaj takiej możliwości, jesteś przecież młoda i atrakcyjna. Na pewno spotkasz na swojej drodze kogoś, kto skłoni cię do zmiany zdania - powiedziała Miranda.

- Może... - Blythe lekko pociągnęła nosem.

- Chodź ukroić sobie kawałek kurczaka. - David podał Blythe talerz.

Potem podszedł do żony, objął ją w pasie i musnął wargami jej skroń. Miranda zajrzała mu w twarz. Może jednak nasze małżeństwo nie utknęło na mieliźnie, pomyślała, czując na sobie ciepłe, pełne czułości spojrzenie Davida. Dawno już tak na nią nie patrzył. Sprawa tajemniczego zlecenia, którą otrzymał salon biżuterii Theo Fennella była pewnie jakąś idiotyczną pomyłką. W tej chwili Miranda nie miała cienia wątpliwości, że to nie David zamówił grawerowanie dedykacji. Powinni tylko spędzać ze sobą więcej czasu, . niczego ponadto im nie potrzeba. David ciężko pracował, aby wszyscy czworo mogli cieszyć się urokami życia, była niesprawiedliwa, wątpiąc w jego wierność.

- A co u ciebie, kochanie? - zagadnął.

- Ogród wygląda wspaniale, jutro z przyjemnością ci go pokażę. Posialiśmy mnóstwo warzyw. Dzieci zaprosiły przyjaciół ze szkoły na podwieczorek. Sześć miesięcy temu wydawałoby nam się to zupełnie niemożliwe, prawda?

W przyływie entuzjazmu miała już powiedzieć mu, że zaczęła pisać powieść, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Coś kazało jej zachować tę wiadomość dla siebie. Jej powieść miała bezpośredni związek z notatnikiem Avy Lightly oraz jej własnymi, skrywanymi fantazjami z Jean-Pa-ulem w roli głównej. Nagle przyszło jej do głowy, że może powinna wydać książkę pod pseudonimem.

- Czyli wszystko jest w porządku - zakończyła. David zjadł kurczaka, wypił pół butelki wina i wreszcie

trochę się rozluźnił. Obecność Blythe w Hartington była dla niego powodem nie lada stresu. Ostatnio zaczął się czuć obco we własnym domu, a widok żony i dzieci w ogrodzie z Jean-Paulem wstrząsnął nim boleśnie. Wyglądali jak normalna, szczęśliwa rodzina, śmiali się i bawili w słońcu,

natomiast jego Miranda potraktowała tak, jakby nie miał większego znaczenia w jej życiu. I nie uśmiechała się do niego tak jak do Jean-Paula. Zauważył też, że kiedy Francuz patrzył na Mirandę, jej oczy zyskiwały nowy blask. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że tamtych dwoje łączy sekretne porozumienie. Szczerze żałował swego romansu z Blythe. Był to przelotny związek, który miał dostarczyć mu trochę rozrywki, tymczasem teraz Gus i Storm oddalali się od niego niczym barwne, wypełnione helem balony. Dzieci doskonale czuły się w Hartington, podobnie jak Miranda. Wszyscy odnaleźli się tu wśród drzew i kwiatów, ale dla niego chyba zabrakło miejsca.

Gawędził z Blythe jak przyjaciel i miał nadzieję, że niczym się nie zdradzi. Postąpiła nierozważnie, przyjmując zaproszenie Mirandy. Postanowił, że jakoś przebrnie przez ten weekend, a potem powie Blythe, że między nimi wszystko skończone. Próbował rozstać się z nią łagodnie i niepostrzeżenie, spotykając się z nią coraz rzadziej i nie odbierając jej telefonów, ale ona była zdeterminowana i uparta, a on popełnił poważny błąd, pozwalając sobie na słabość na widok jej nagości pod futrem. Cóż, teraz będzie musiał powiedzieć prosto z mostu, że ich romans dobiegł końca. Patrząc na jej twarz w migotliwym blasku świateł doszedł do wniosku, że nie docenił siły jej woli. Blythe nie należała do kobiet, które łatwo rezygnują i przyjmują porażkę do wiadomości. Zrozumiał, że jeżeli nie rozegra całej sprawy we właściwy sposób, może mieć spore kłopoty.

Po kolacji zostali przy stole, rozmawiając o rozwodzie Blythe. Kochanka Davida uwielbiała mówić o sobie i angażować wszystkich w swoje dramaty. Im więcej piła, tym mniej stawała się atrakcyjna. W przeciwieństwie do niej, Miranda wydawała się uosobieniem spokoju i opanowania.

Później, w łóżku, Miranda ułożyła się na boku, tyłem do Davida. Oddychała tak cicho, że prawie jej nie słyszał.

- Mirando - szepnął. - Śpisz?

- Nie...

- Przysuń się bliżej.

- Jestem zmęczona - odparła.

Nie miała ochoty się kochać. David objął ją i przytulił się do jej pleców.

- Chcę jutro pobawić się z dziećmi - powiedział.

- Bardzo dobrze - wymamrotała sennie.

- W co bawią się najchętniej?

- W piratów.

- To nie moja zabawa - odparł ostro.

- Więc wymyśl coś innego. Zabierz je do zamku, nigdy -tam z nimi nie byłam.

- Byłyby zadowolone?

- Na pewno, jeśli uda ci się zrobić z tej wycieczki dobrą zabawę!

David się zamyślił. Miał ochotę przyznać się, że zapomniał już, jak nawet najzwyklejsze zdarzenia i rzeczy można przekształcić w dobrą zabawę.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Zaśmiał się niepewnie.

- Strasznie mi gorąco, grzejesz mi plecy.

Wrócił na swoją połowę łóżka. Pościel wydała mu się bardzo zimna.

- Co się z nami dzieje? - odezwał się nagle. - Dawniej ciągle się śmialiśmy, o wszystkim sobie opowiadaliśmy. Teraz żyjemy w tym samym świecie, ale osobno. Czy to moja wina?

Miranda odwróciła się do niego. Mimo panującej w sypialni ciemności wyraźnie widziała pełną niepokoju twarz męża.

- Straciłam poczucie, że jestem ci bliska - powiedziała.

- Czy to znaczy, że zakochałaś się w kimś innym?

- Oczywiście że nie! - odparła i roześmiała się cicho. - Kocham dzieci, ogród i ten dom, i zależy mi, żebyś był

częścią tego wszystkiego. Gus i Storm chcą mieć ojca i bawić się z nim, ale prawie nigdy cię nie widują. Nie narzekam, bo przecież przez cały tydzień harujesz dla nas jak wół, więc świadczyłoby to o mojej niewdzięczności.

- Chcę, żeby znowu wszystko było między nami jak dawniej! - Wyciągnął rękę i oparł ją na biodrze Mirandy. - Kocham cię! Nie ma nikogo na świecie, kto mógłby się z tobą równać. Problem polega na tym, że tak bardzo pochłania mnie praca i dojazdy do Londynu, że często zapominam ci o tym powiedzieć. Nie chcę, żebyśmy stali się chłodnymi, dalekimi znajomymi, a czuję, że oddalasz się ode mnie. Nie chcę cię stracić!

Miranda delikatnie pogłaskała czubkami palców jego policzek.

- Nie stracisz mnie, kochany, musimy tylko znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Więc go szukajmy! Rodzina jest dla mnie ważniejsza niż praca! Gdyby miała spowodować rozdźwięk między nami, rzuciłbym ją bez chwili wahania!

- Nie musisz posuwać się aż do takich rozwiązań. Na początek może oglądać mniej rozgrywek golfa w weekendy. Gus i Storm są tacy zabawni, cudownie jest spędzać z nimi czas, zwłaszcza że właśnie tego najbardziej potrzebują! Chcą czuć się docenieni.

- Masz absolutną rację! Szkoda, że Blythe przyjechała akurat teraz, wolałbym, żebyśmy byli sami, tylko we czworo.

Wziął Mirandę w ramiona i pocałował ją w czoło. Żałuję, że w ogóle wdałem się w ten idiotyczny romans, pomyślał. Powiem Blythe, że z nami koniec i zostawię cały ten bałagan za sobą.

Blythe nie mogła zasnąć. Miała wrażenie, że sufit kręci jej się nad głową, więc wysunęła nogę spod przykrycia

i opuściła ją na podłogę, żeby zyskać poczucie równowagi, ale to nie pomogło. Dosłownie gotowała się ze złości. David nie zwracał na nią uwagi! Na jej oczach pocałował żonę (co za obelga!) i nawet nie rzucił jej porozumiewawczego spojrzenia. Nie wsunął do ręki kartki z wiadomością, nie umówił się z nią w pawilonie nad basenem o czwartej rano albo w którymś z gościnnych pokoi. Zachowywał się tak, jakby była zwyczajnym gościem. Miała stanowczo dosyć tej ostrożności. Małżeństwo Mirandy wcale nie było zagrożone, obydwójce wyglądali na zupełnie szczęśliwych i zadowolonych z życia.

Kiedy sufit wreszcie przestał wirować, Blythe postanowiła, że następnego dnia dopadnie Da vida, niezależnie od okoliczności. Jeżeli będzie musiała, siłą zawlecze go w krzaki!

Henrietta siedziała na kanapie w salonie Troya i pogryzała owsiane ciasteczko, popijając je ciepłym mlekiem.

- Wiesz, Miranda zamierza zabrać mnie do Londynu i pomóc mi zmienić wygląd - zwierzyła się. - Wybieramy się do Selfridges, do tego działu, gdzie wizażystki dobierają klientce stroje w najbardziej odpowiednich fasonach i kolorach.

- Szczęściara z ciebie! - zawołał z zazdrością Troy. - Całkiem możliwe, że będzie ci doradzać sama Pandora!

- Miranda opowiadała mi o niej.

- To wielka sława! Piękna blondynka, po prostu upajająca, zupełnie jak wielka butelka najlepszego szampana!

- Skąd o niej wiesz, na miłość boską?

- Staram się wiedzieć o wszystkim, co naprawdę ważne! - roześmiał się. - Czytałem o niej w magazynie „Grazia” albo może w „In Style”, wywiad i artykuł. Pandora zajmuje się bogatymi i znanymi klientami, z każdego kopciuszka zrobi księżniczkę.

- Nie żartuj sobie! - uśmiechnęła się Henrietta. - Cała jestem w skowronkach, Miranda jest taka dobra dla mnie.

- Ma serce tak duże jak jej portfel i bardzo ją za to kochamy!

- Dostałam od niej książkę Trinny i Susannah. - Henrietta wyjęła książkę z torby.

- Świetnie! Możemy przejrzeć ją razem!

- Teraz? Już po północy!

- Nie jesteś przecież małym dzieckiem, prawda?

- No, nie...

- I nikt nie czeka na ciebie w domu?

- Niestety...

- Więc możesz zostać na noc u mnie!

- Ale nie wzięłam szczoteczki do zębów.

- Za to ja mam szczotczek pod dostatkiem! Zaraz pozwolę ci zajrzeć do mojego sekretnego magazynu z kosmetykami. Powiem ci, że dział kosmetyczny w Selfridges wygląda przy nim jak kiosk!

- Jesteś pewny?

- Jasne! Na dziewiątą umówiła się na czesanie ta wiedźma, która zawsze dzwoni w ostatniej chwili, że jednak nie może przyjść, więc rano nie muszę się nigdzie śpieszyć. Jeżeli masz rozmawiać z cudowną Pandorą, powinnaś przynajmniej z grubsza wiedzieć, w czym jest ci najlepiej! No, dalej, dawaj tę książkę!

Osiem kilometrów od miasta Jeremy Fitzherbert leżał w dużym drewnianym łóżku, na którego ramie wisiały ubrania z całego tygodnia. Jeremy z zasady nigdy nie odkładał niczego do szafy ani do schowka z brudnymi rzeczami, zostawiając to zajęcie sprzątacze, która przychodziła raz na tydzień, żeby wyprać i uprasować jego rzeczy. Prawie nie zauważał całego tego bałaganu, dopóki nie został uprzątnięty;

wtedy zwykle solennie postanawiał, że będzie dbał o porządek, ale mniej więcej dzień później znowu wracał do złych nawyków. Sypiał przy rozsuniętych zasłonach i otwartym oknie. Uwielbiał zapach wilgotnej ziemi, poranny śpiew ptaków i blady, rozproszony blask świtu. Teraz słuchał szeleszczącego wśród liści wiatru. Noc była pogodna, gwiazdy mrugały w ciemności, a księżyc w nowiu wisiał nisko na niebie. Jeremy westchnął, myśląc o Henriecie i swojej nieudanej wyprawie do jej sklepu. Wspominał chwilę, kiedy się poznali. Uśmiechnął się z rozczuleniem, przywołując obraz Henrietty, wydobywającej się z dziupli w drzewie z twarzą zarumienioną z zażenowania, błyszczącymi pięknymi oczami i uśmiechem tak rozbijającym, że miał ochotę ją pocałować. Lubił pulchne kobiety. Jego zdaniem tusza u kobiety była oznaką entuzjastycznego stosunku do życia.

Nie wybierał się na imprezę w ratuszu, która miała odbyć się następnego dnia wieczorem. Z upływem lat stawał się coraz większym samotnikiem. Istniała jednak pewna szansa, że Henrietta zjawi się na przyjęciu, a Jeremy nie chciał przegapić możliwości spotkania. Odpływając w sen, zastanawiał się nad swoim życiem. Najwyższy czas, żeby zaczął je z kimś dzielić, pomyślał. Towarzystwo Wolfganga i Mr Bena było jakąś pociechą i urozmaiceniem, ale tylko do pewnego stopnia.

XXX

KASZTANY PIĘKNIE KWITNĄ, A ICH PŁATKI NA DACHU WYGLĄDAJĄ JAK ŚNIEG

David wstał o 7.30 rano, razem z Mirandą i dziećmi. Usłyszał kroki na żwirowanej ścieżce i cały spał się w sobie na myśl o Jean-Paulu, zakradającym się do rodzinnego gniazda, aby odebrać mu miłość jego najbliższych. Wyrzwał przez okno. Ogród skąpany był w świeżym, kryształowym świetle poranka. W oddali widać było kościelną wieżę, do połowy zasloniętą koronami drzew. Ten widok ukoił irytację Da-vida. Ogród cieszył jego oko dzięki Jean-Paulowi. David był wystarczająco inteligentny i samokrytyczny, aby zdawać sobie sprawę, że jeśli Storm i Gus wolą spędzać czas z ogrodnikiem, to tylko on sam temu zawinił.

- Urządzimy sobie piknik w zamku - oznajmił przy śniadaniu.

Storm i Rafael popatrzyli na niego z radosnym zaciekawieniem, lecz w spojrzeniu Gusa David wyczytał niedowierzenie.

- Co można robić w zamku? - spytał chłopiec, nie spuszczając z ojca badawczego wzroku.

- Zwiedzać - odparł David, nalewając sobie kawy. Gus skrzywił się znacząco.

- To ruiny - zachęcająco dorzucił David. - Możliwe, że mieszkają tam duchy.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Storm.

- Głuptas z ciebie! - prychnął Gus. - Duchy nie istnieją!

- Zobaczymy - powiedział David. - Mamo, włóż do torby butelkę schłodzonego wina, dobrze?

- Świetny pomysł! - Miranda starała się ukryć zaskoczenie. Właśnie tak powinno wyglądać rodzinne życie, pomyśla-

ła z zadowoleniem, układając na grillu plastry bekonu.

- Czy naprawdę słyszałam, jak ktoś tu mówił o butelce schłodzonego wina? - Do kuchni weszła Blythe w czerwonym kaszmirowym swetrze, obcisłych czarnych dżinsach i wysokich skórzanych butach.

Była nienagannie umalowana, a jej świeżo umyte włosy opadały ciężką falą na plecy. Miranda spojrzała na nią z zazdrością. Sama z trudem znalazła wolną chwilę, żeby nałożyć na twarz krem nawilżający. Blythe usiadła na krześle obok Davida, ogarniając go obłokiem zapachu tuberozy.

- Dzień dobry, skarbie! - uśmiechnęła się do syna.

Nie patrzyła na Davida, ale czuła na sobie jego spojrzenie i delectowała się nim jak kot ciepłymi promieniami słońca. Odgarnęła włosy do tyłu palcami zakończonymi długimi czerwonymi paznokciami.

- Wiejskie powietrze dobrze ci robi, mały - powiedziała do Rafaela. - Masz pięknie zaróżowione policzki!

- Te buty bardziej nadają się na przechadzki po Knights-bridge niż na wędrowkę po zamczysku - zauważył David, mierząc nogi Blythe pełnym uznania wzrokiem.

- A mamy w planie wędrowkę po zamczysku?

- Jak najbardziej! Wybieramy się na piknik do zamku.

- Ciekawy pomysł. Ale ja się raczej usadowię wygodnie na kocu i zajmę popijaniem tego schłodzonego wina, o którym wspominaliście, kiedy wy zafundujecie sobie wędrowkę po zamczysku.

Zamek Hartington wznosił się na wzgórzu nad miastem. Centralna część budowli, teraz już w ruinie, pochodziła z trzynastego wieku. Niestety, zamek spłonął w osiemnastym wieku razem z jego ówczesnymi mieszkańcami i nigdy nie został odbudowany. Ruiny przyciągały jednak wielu ciekawskich. Mury i wieże nadal stały, choć bez dachu, a imponujące kamienne schody kończyły się podestem, na którym być może kiedyś przystanęła jakaś królowa. Puste okna nadawały ruinom niesamowity wygląd, wiatr przelatywał przez nie ze świstem, który niejednemu turyście kojarzył się z jękami duchów.

Zaparkowali samochód u stóp wzgórza i ruszyli do zamku prowadzącą pod górę wydeptaną ścieżką. Dzieci pobiegły przodem, pokrzykując wesoło. Blythe postarała się, aby iść przed Davidem, który dzięki temu mógł do woli podziwiać jej pupę, natomiast Miranda szła z tyłu, niosąc torbę z jedzeniem. Kilka innych rodzin rozkładało już koce na trawie pod murami, w najbardziej zacisznych miejscach. Dwoje starszych ludzi spacerowało z podobnym do dużego szczura psem, który mknął przed nimi z nosem tuż przy ziemi.

Wybrali zakątek pod wielkim starym drzewem, które zgodnie z miejscową legendą udzieliło kiedyś schronienia samej królowej Elżbiecie I. Blythe, która niosła koce, rzuciła je na ziemię i natychmiast upozowała się pięknie, otulając się płaszczem. Miranda napełniła kieliszki winem i dała każdemu z dzieci po kartoniku jabłkowego soku. Gus wziął ojca za rękę. Miranda zauważyła to, ale nic nie powiedziała, nie chcąc zakłócać tego rzadkiego momentu.

- Tato, pójdiesz obejrzeć ruiny razem z nami? - zapytał chłopiec.

Ku jego zdziwieniu, ojciec zgodził się bez wahania. Ruiny zamków zawsze fascynowały Davida. Miranda poruszona widokiem męża i dzieci, pochłoniętych wspólną rozrywką, patrzyła, jak cała trójka znika za potężnymi głazami.

W południe w zamku zaroilo się od ludzi. Był gorący majowy dzień, niezwykle optymistyczne preludium lata. Blythe zdjęła płaszcz, ale i tak pocila się w swoim kaszmirze. Miranda siedziała tylko w koszulce z krótkim rękawem, czując, jak słońce opala jej skórę. Obie kobiety miały duże okulary przeciwsłoneczne i poświęciły sporo czasu na ich po-równywanie. Otworzyły drugą butelkę wina i ze śmiechem wspominały szkolne czasy oraz londyńskie plotki. Kiedy dzieci wróciły, z apetytem zjadły kanapki, wygłodniałe po gonitwie na zamkowych schodach. Po lunchu Gus i Storm zauważyli siedzących w pobliżu kolegów i cała gromada zajęła się bieganiem wśród ruin. Rafael dawno już zapomniał, że kiedyś bał się Gusa i teraz wszędzie za nim chodził. David wyciągnął się na trawie, wystawiając twarz na słońce, zamknął oczy i się zdrzemnął.

Blythe obserwowała go spod oka. Zastanawiała się, kiedy wreszcie uda im się znaleźć chwilę tylko dla siebie. Tu, w Hartington, David grał rolę szczęśliwego męża i ojca; gdzie było jej miejsce w tym świecie. Odkąd przyjechała, prawie nie zwracał na nią uwagi. Nie było jej zbyt wygodnie w kaszmirowym swetrze, twarz miała zaczerwienioną od słońca. Nawet w cieniu było gorąco jak w piekle, tymczasem Miranda nawet się nie spocila w białym bawełnianym T-shircie, bez cienia makijażu na twarzy i z włosami ściągniętymi w zwyczajny koński ogon. Blythe naprawdę jej zazdrościła. Sama może i wyglądała zachwycająco, ale jej dzinsy i wysokie buty były zbyt obcisłe, a starannie nałożony podkład topił się jak wosk.

Miranda dostrzegła parę w kostiumach z epoki elżbietańskiej. Przypomniała sobie, jak Troy pokazał jej Jacka i Mary Tintonów w kawiarni u Cate i powiedział, że w weekendy paradują po zamku w strojach z szesnastego wieku. Teraz widok tych dwojga tak ją rozbawił, że natychmiast pożałowała, że nie ma tu z nią Henrietty i Troya, aby mogła pośmiać się razem z nimi. Nie liczyła przecież na to, że Blythe zrozumie takie miejscowe ciekawostki...

- Muszę iść po dzieci - odezwała się, wstając z koca. - Powinni zobaczyć tę parę w historycznych kostiumach! Poszukasz ich ze mną?

Blythe odmówiła.

- I tak jest mi już za gorąco.

- Zdejmij buty! - poradziła Miranda.

- Chyba tak właśnie zrobię. Szkoda, że pod swetrem mam tylko biustonosz.

- David śpi!

- Ale w każdej chwili może się obudzić!

- Mocno wątpię. Za dużo wypił, może nawet będziemy musiały odnieść go do domu! - Miranda parsknęła śmiechem i wyruszyła na poszukiwanie dzieci.

Blythe zaczęła, aż przyjaciółka zniknie z pola widzenia i delikatnie pogłaskała Davida po policzku. Poruszył się lekko, ale spał dalej. Przesunęła palcem po jego wargach, a potem, zupełnie zapominając o ostrożności, pochyliła się i pocałowała go. Otworzył oczy, zobaczył nad sobą Blythe i usiadł gwałtownie, czujnie rozglądając się dookoła.

- Oszalałaś?! - warknął, wierzchem dłoni ścierając z ust jej szminkę.

- Nie mogłam się oprzeć - odparła gładko. - Wyglądałeś tak cudownie, pogrążony we śnie.

- Nie wygłupiaj się! Większość tych ludzi to pewnie dobrzy znajomi Mirandy. Chcesz, żeby ktoś przyłapał nas na gorącym uczynku?

- Chcę być z tobą sama!

- Nie tutaj!

- Więc gdzie?

- Posłuchaj, to szaleństwo.

- W porządku, nie tutaj. Wobec tego może spotkamy się w Londynie?

Przecież świetnie się bawiliśmy, prawda?

- Tak - przyznał niechętnie. - Ale teraz, Blythe...

Spojrzał na nią i nagle ogarnął go lęk. Jeżeli teraz zakończy romans, Blythe może wpaść w niebezpieczną furję. Musiał zachować ostrożność.

- Nie spodziewam się, że zostanę drugą panią Claybourne - odezwała się Blythe. - Chociaż nie wzgardziłabym tym pięknym domem, a twoje dzieci są bardzo miłe.

Roześmiała się i sięgnęła do torby po papierosy i zapalniczkę. Postukała w denko paczki, żeby wydobyć papierosa, wetknęła go między wargi, osłoniła dłonią przed wiatrem, zapaliła i zaciągnęła się z nieukrywaną rozkoszą. Był to dobrze znany Davidowi rytuał, którego widok sprawił, że nagle odczuł pożądanie. Blythe miała piękne wargi. Wypuściła dym z ust, potrząsnęła głową, aż włosy opadły jej na policzki niczym błyszczące zasłony, i utkwiała w Davidzie spokojne zielone oczy.

- Chodzi mi tylko o to, żeby się z tobą pieprzyć - wyjaśniła szczerze. - Jesteś dobrym kochankiem, wiesz? Przecież nie ma w tym nic złego.

Miranda przestała podejrzewać Davida o romans, a już na pewno nie z Blythe. Wstydziła się nawet, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy. Ten weekend był najprzyjemniejszym, jaki spędzili razem od czasu przeprowadzki z Londynu. David bawił się dziećmi, a radosny wyraz twarzy Gusa był dla Mirandy więcej wart niż jakikolwiek prezent od Theo Fennella. Znowu byli rodziną.

Wieczorem postanowili darować sobie przyjęcie w ratuszu i zjeść kolację w domu. Dzieci bawiły się do późna, a kiedy wreszcie się położyły, David czytał im *Piotrusia i wilka* z podziałem na role, co bardzo je śmieszyło. Miał problem z uspokojeniem całej trójki, która z zapalem skakała po łóżkach, wczołgiwała się pod kołdry i przebiegała z jednego pokoju do drugiego. Miranda nie interweniowała, spokojnie popijając wino z Blythe przy kuchennym stole. Zapaliła dwie świece, nakryła stół obrusem i przygotowała ładne serwetki. Wcześniej wzięła długą kąpiel, gawędząc z Davidem o dobiegającym końca dniu oraz o dzieciach i trochę śmiejąc się z przyjaciółki, która wybrała tak nieodpowiednie ubrania na weekend na wsi.

Przy kolacji była w znakomitym, pogodnym nastroju, chociaż Blythe zrobiła coś, co przykuło jej uwagę. Był to drobny gest i gdyby Miranda nie nosiła już w sobie kiełkujących podejrzeń, najprawdopodobniej w ogóle by się nad nim nie zastanawiała. Ale w tej sytuacji gardło natychmiast ścisnęło jej się ze zdenerwowania, a zadowolenie z życia rozwiało się jak mgła. Kiedy stała przy kuchence i wyjmowała zapiekankę z piekarnika, coś skłoniło ją do spojrzenia przez ramię na stół. Z uczuciem bolesnego lęku zobaczyła, jak Blythe wyciąga rękę, bierze kieliszek Davida i spokojnie podnosi go do ust, a potem bez mrugnięcia okiem pociąga łyk wina. Przyjaciółka Mirandy zachowywała się przy tym tak nonszalancko, jakby prawie nie zauważyła, co robi. Miranda nie wątpiła, że gdyby ona siedziała przy stole, Blythe nie ważyłaby się na coś podobnego. Zamarła, porażona intymnością tego gestu. David dalej słuchał opowiedanej przez Blythe historii, zupełnie jakby fakt, że młoda kobieta, która nie jest jego żoną, pije z jego kieliszka, był czymś najnaturalniejszym na świecie. Po chwili upił łyk z tego samego kieliszka. Kiedy Miranda wróciła do stołu, zauważyła, że kieliszek Blythe był pełny.

Nie potraktowała tego lekko. Gdy David ujął jej dłoń i pochwalił talent kulinarny, uśmiechnęła się do niego, maskując

raniący jej serce strach. Gdyby gest Blythe był czymś jednorazowym, Miranda nie uznałaby go za istotny, ale była to jedna z wielu drobnych rzeczy, które razem tworzyły niemożliwą do zlekceważenia całość.

Jeremy zjawił się w ratuszu dość późno. Kiedy wszedł, ubrany w brązowe spodnie i błękitną, rozpiętą pod szyją koszulę, impreza już trwała. Przed wyjściem z domu ogolił się, wykapał, zamknął psy w kuchni i wyruszył w drogę, zamierzając przybyć punktualnie, ale jakiś kilometr przed miastem samochód zaczął zataczać się z jednego pasa na drugi, aż wreszcie Jeremy musiał zjechać na pobocze. Zaklął i ze złością uderzył pięścią w kierownicę, ale niewiele to pomogło. Złapał gumę. Zamiast paść na kolana w błocie i zabrać się za zmienianie koła, postanowił zostawić wóz przy drodze i dotrzeć na miejsce pieszo. Za żadne skarby świata nie chciał zrujnować swoich szans u Henrietty, stając przed nią w ubraniu sztywnym od błota i potu.

Henrietta przyszła w szerokich czarnych spodniach i długim kremowym żakiecie z wyraźnie zaznaczonymi ramionami i talią. Dokładnie przejrzała książkę od Mirandy, zatytułowaną *Czego nie należy nosić* i razem z Troyem wybrała się na zakupy do Blanford. Po długim namyśle zdecydowali się na ten komplet.

- Rzeczy w jednym kolorze, zupełnie bez wzorów, są teraz bardzo modne, skarbie - powiedział Troy, pomagając jej włożyć żakiet. - To rozmiar 42.

Henrietta była zachwycona, ponieważ jeszcze niedawno nosiła rozmiar 44. Teraz rozglądała się po sali w poszukiwaniu Troya, gotowa zademonstrować mu swój nowy wizerunek, kiedy nagle za łokieć złapała ją Cate, dopytując się, dlaczego ostatnio w ogóle nie wpada do kawiarni.

- Byłam okropnie zajęta - skłamała Henrietta.

- Bzdury! - rzuciła Cate. - Nigdy nie jesteś okropnie zajęta w tym swoim sklepie! Czym byłaś taka zajęta? Widzę przecież, że coś ze sobą zrobiłaś. - Zmierzyła Henriettę baczny spojrzeniem spod zmrużonych powiek. - Schudłaś?

Henrietta uśmiechnęła się tajemniczo.

- Chyba nie.

- Ależ tak! Dobra robota. - Cate wygłosiła pochwałę takim tonem, jakby była to ostra nagana.

- Widziałaś Troya? - spytała Henrietta.

- Nie! - Cate skrzywiła się kwaśno. - Jego też ostatnio prawie nie widuję, to jakiś spisek!

- Skądże znowu.

- Jeżeli martwisz się, że znowu przytyjesz, nie musisz opychać się ciastkami! Możesz wpaść na czarną kawę, i już!

- Dobrze - skapitulowała Henrietta, żałując, że nie ma przy sobie Troya, który mógłby udzielić jej wsparcia.

- Masz nowy żakiet - zauważyła Cate. - Całkiem ładny, nie upaprz go tylko jedzeniem!

- Postaram się.

- Gdybym miała na sobie coś takiego, nie odważyłabym się sięgnąć po tort czekoladowy! - prychnęła Cate.

Henrietta westchnęła. Krytyczne spojrzenie Cate zawsze podważało jej poczucie własnej wartości.

Potoczyła wzrokiem po sali w poszukiwaniu ratunku. Wielebna Beeley podniesionym z oburzenia głosem dyskutowała z pułkownikiem Pike'em, który najwyraźniej powiedział coś niegrzecznego pod jej adresem. Mary i Jack Tinto-nowie, tym razem we współczesnych strojach, popijali grzane wino, wyraźnie zadowoleni z siebie i pieniędzy, które zdarli z naiwnych turystów, pobierając po pięć funtów od zdjęcia. Pani Underwood, ubrana w swoją najlepszą suknię w kwiaty i w białe, o rozmiar za małe pantofle, z wargami umalowanymi szkarłatną szminką, rozmawiała z Derekiem Heathem oraz jego żoną Lesley. Nick i Steve stali w pobliżu,

otoczeni wianuszkami rozentuzjasmowanych dziewcząt, rywalizujących o ich uwagę. Obaj byli przystojnymi blondynami i zajmowali świetną pozycję na rynku matrymonialnym. Nick zerknął na panią Underwood i trącił brata łokciem. Z rozchyłonymi ustami wpatrywała się w ich ojca, zbyt skromnego, aby podejrzewać, że stał się przedmiotem jej skupionej uwagi. Pan Underwood pogrążony był w rozmowie o grzybach jadalnych z wujem Nica i Steve'a, Arthurem. Także Clare, siostra Henrietty, zajęta była konwersacją z Williamem van den Bosem... Henrietta poczuła się nieswojo.

Nagle usłyszała za sobą znajomy głos, który był niczym koło ratunkowe, rzucone tonącej. Odwróciła się i zobaczyła szczupłą, przystojną i nieśmiało uśmiechniętą twarz Jeremy'ego. Intensywny rumieniec na jego policzkach podkreślał błękit oczu i nieprzyzwoitą wręcz długość gęstych jasnych rzęs. Henrietta nie miała pojęcia, dlaczego wcześniej nie zwróciła na niego uwagi.

- Jeremy! - przywitała go z taką radością, jakby był jej najdawniejszym, najdroższym przyjacielem. - Tak się cieszę, że cię widzę!

Jeremy uznał, że Henrietta jest jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał.

- Świetnie wyglądasz - powiedział, krzywiąc się wewnątrz na myśl, jak niewystarczające jest to określenie.

Zaczerwieniła się.

- Dziękuję.

- Strasznie tu gorąco! - wtrąciła się Cate. - Powinnaś wyjść na świeże powietrze!

- Masz całkowitą rację! - odparła Henrietta, podbudowana obecnością Jeremy'ego. - Wyjdiesz ze mną na dwór, Jeremy? Nigdy nie wiadomo, kto może się kręcić po skwerze o tej porze.

Jeremy był zachwycony jej bezpośredniością.

- Z przyjemnością! - ucieszył się.

Henrietta wsunęła rękę pod jego ramię i odwróciła się do Cate.

- Wiesz, moja droga, powinnaś jeść więcej ciastek! - powiedziała z uśmiechem. - Mało brakuje, a rozplyniesz się w powietrzu, taka jesteś szczupła.

Cate nie przywykła, aby Henrietta odzywała się do niej w taki sposób. Rozejrzała się po sali w poszukiwaniu męża, lecz nawet on dołożył wszelkich starań, aby zniknąć z pola jej widzenia.

- Samochód zepsuł mi się tuż pod miastem, więc musiałem iść pieszo - rzekł Jeremy, schodząc po kamiennych stopniach na chodnik. - Taki piękny wieczór.

- Ostatnie dni były bardzo ciepłe, prawda? Sądzisz, że to zapowiada ładne lato?

- Zwykle trafia się jeden ciepły tydzień w maju. Czerwiec może być ciepły, ale w lipcu na pewno przyjdą upały.

- Mówisz to jako doświadczony rolnik?

- Nie, jako optymista!

Henrietta zachichotała, nie kryjąc rozbawienia i Jeremy natychmiast poczuł się królem życia.

- Ja też jestem optymistką - oświadczyła.

- Optymizm bardzo do ciebie pasuje.

- Czy chcesz przejść się kawałek, mimo że masz już za sobą długi spacer? - zapytała.

- Nie znam nikogo, z kim chętniej wybrałbym się nawet na bardzo długą przechadzkę!

Henrietta uśmiechnęła się, czując, jak jej serce podskakuje z radości. Głos Jeremy'ego brzmiał tak szczerze, że ani przez chwilę nie zwątpiła w jego deklarację.

KWITNĄCE W MAJU NA BIAŁO DRZEWA I TARNINA W ŻYWOPŁOTACH

W nocy Miranda nie mogła zasnąć. Była przekonana, że David naprawdę ma romans z Blythe. Mdlilo ją z wściekłości i bólu, nie miała jednak żadnych konkretnych dowodów, które uzasadniałyby podejrzenia. Zastanawiała się, jak David może się z nią kochać, bawić się z całkowitą swobodą z dziećmi i patrzeć na nią z czułością, skoro przez cały czas zdradza ich troje.

Na dodatek spał spokojnym snem człowieka, któremu sumienie absolutnie nic nie wyrzuca. Leżąc w ciemności, Miranda rozważała rozmaite rozwiązania. Czy powinna wprost zapytać go o romans z Blythe? A może spytać Blythe, czy jest kochanką Davida? Albo zatelefonować do salonu jubilerskiego Theo Fennella i dowiedzieć się, jaką ozdobę David kupił w grudniu i jaki napis kazał na niej wygrawować? Usiłowała wyobrazić sobie ostateczną konfrontację, kłótnię, straszne rzeczy, jakie powiedzieliby sobie nawzajem.

Niemożliwe do uleczenia rany, jakie taka sytuacja zadałaby ich rodzinie.

Rano dzieci zaraz po śniadaniu wybiegły do ogrodu, żeby bawić się w domku na drzewie, a Miranda została w kuchni i zajęła się zmywaniem. Blythe z szerokim uśmiechem wsunęła rękę pod ramię Davida.

- No, dobrze, mój panie, teraz proszę oprowadzić mnie po swoich włościach! - powiedziała.

- Kochanie, pokażę Blythe ogród, dobrze? Zajrzymy do dzieci, bo może chciałby się do nas przyłączyć. Masz ochotę pójść z nami?

- Nie, dziękuję! Skończę sprzątać, a potem chciałabym umyć włosy.

Skrzywiła się, pełna obrzydzenia dla ich manipulacji, aby zostać sam na sam. Instynkt podpowiadał jej, żeby pójść z nimi, ale postanowiła działać ostrożnie. Niewykluczone, że miała teraz jedyną szansę, żeby przyłapać ich na gorącym uczynku.

Blythe i David zbliżyli się do wydrążonego drzewa, gdzie dzieci podjęły przerwana dwa dni wcześniej zabawę. Jean-Paula nie było, więc Gus, Storm i Rafael musieli poradzić sobie bez krokodyla. Przez chwilę przyglądali się, jak cała trójka wdrapuje się na drzewo niczym wiewiórki, a potem powoli ruszyli w kierunku ogrodu warzywnego.

- Uwielbiam szklarnie - odezwała się Blythe niskim głosem. - Są gorące i wilgotne, i zawsze robię się w nich przyjemnie napalona.

- To marny pomysł! - zaprotestował słabo David.

- Wręcz przeciwnie! Jesteśmy zupełnie sami, a ja się strasznie za tobą stęskniłam!

- Musimy z tym skończyć - powiedział David, myśląc o dzieciach, do których najchętniej by teraz wrócił. - Musimy skończyć ten romans, nie mamy innego wyjścia. Było mi

z tobą bardzo dobrze, ale zasługujesz przecież na coś więcej dodał taktownie.

- Ty jesteś dla mnie najlepszy, kochanie! Zawsze, gdy się rozstajemy, myślę sobie, że to już ostatni raz. Kocham Mirandę i twoje dzieci, i wcale nie chcę, żebyś narażał na szwank życie rodzinne, bo mimo wszystko nie jestem tego rodzaju dziewczyną, ale potem, kiedy znowu się spotykamy, moja siła woli słabnie. Chyba nie potrafię ci się oprzeć. Nie przyjechałam tutaj, żeby krzywdzić Mirandę, to moja najdawniejsza przyjaciółka, na miłość boską! Gdybyś nie przyjechał na ten weekend, wcale nie miałabym ci tego za złe, wierz mi. Nie chcę uwodzić cię w twoim własnym domu, ale po prostu nie mogę się opanować!

- Na razie nie zrobiliśmy jeszcze nic złego.

- I nie zrobimy! - obiecała gorąco Blythe. - Przecież uprawiamy tylko nieszkodliwy flirt, prawda?

- Więc też jesteś zdania, że musimy zakończyć romans?

- Zdecydowanie!

- Nie chodzi o to, że cię nie pożądam, ale szanuję moją żonę i...

Rozumiem cię, naprawdę! Ja też ją szanuję! W ogóle nie powinniśmy byli tego zaczynać.

Dotarli do szklarni i wśliznęli się do środka.

- Ojej! - zawołała Blythe, ogarniając wzrokiem równe rzędy storczyków i upojnie pachnących tuberoz. - To niesamowite! Wasz ogrodnik jest prawdziwym cudotwórcą!

- Nieźle sobie radzi, co?

- Na dodatek jest bardzo przystojny - zauważyła Blythe, mając nadzieję, że zdoła obudzić zazdrość w sercu Davida. - Ale ty jesteś o wiele bardziej atrakcyjny, a przede wszystkim młodszy. - Położyła dłoń na jego rozporoku. - Cóż, teraz czuję się odrobinę rozczarowana. Mam go zachęcić do działania?

- Nie, w żadnym razie! - David cofnął się gwałtownie.

Blythe uknęła i rozpięła mu spodnie. Podniósł ją drżącymi ze zdenerwowania rękami.

- Blythe, nie, mówiłem przecież! - Spojrzał jej w oczy i wyczytał w nich płomienne pożądanie. - Nie tutaj - dodał szeptem.

Jakiś ruch w szklarni zwrócił uwagę Jean-Paula, który szedł do ogrodu warzywnego. Bardzo szybko się zorientował, co się dzieje. Sam wiele lat temu przychodził do szklarni w tym samym celu. Znieruchomiał obok metalowej ramy, pod którą niedawno posiał zioła. Bez trudu odgadł, że są to Blythe i David. Serce zabiło mu niespokojnie na myśl o Mirandzie i dzieciach. Porównania nasuwały się same. Stał po stronie Mirandy, dlatego wreszcie naprawdę mógł wczuć się w sytuację Phillipa. Nie było to przyjemne doznanie.

Trzask furtki wyrwał go z zamyślenia. Ścieżką nadchodziła Miranda. Zajrzała w poszarzałą twarz Jean-Paula i natychmiast zrozumiała, że stało się coś złego. Jean-Paul w jednej chwili wrócił do rzeczywistości i ruszył ku niej.

- Chodź ze mną! - odezwał się zdecydowanym tonem, biorąc ją za rękę i prowadząc w przeciwnym kierunku.

- Co się dzieje?

- Po prostu chodź ze mną, nie zadawaj pytań!

- Nie! Czuję, że są tam Blythe i David! Muszę wiedzieć na pewno!

Jean-Paul przystanął i popatrzył na nią uważnie.

- Już wiesz? Miranda się rozpląkała.

- Podejrzywałam ich. Nie mogłam jednak w to uwierzyć. - Oparła czoło o pierś Jean-Paula.

- Przykro mi - rzekł cicho.

Miranda nie mogła dalej mówić, przytulił ją więc i pozwolił płakać.

- Chodźmy stąd - powiedział po chwili. Potrząsnęła głową.

- Nie! - Policzki miała zaczerwienione ze złości. - Chcę ich przyłapać, a potem każę im się wynieść stąd raz na zawsze! Nie chcę ich więcej widzieć!

- Nie powinnaś rozmawiać z nim teraz, kiedy jesteś taka wzburzona. Powiesz mu tylko mnóstwo rzeczy, których później będziesz żałowała.

- Nie czas na rozsądek! Wolę od razu wyrzucić ich oboje z mojego życia! I tak już nigdy nie potrafiłabym mu zaufać!

Wyrwała się z jego ramion i szybkim krokiem poszła ścieżką do szklarni. Jean-Paul pozwolił jej odejść. Nie miał wyboru, mógł tylko obserwować rozgrywający się na jego oczach dramat.

Miranda obiema pięściami załomotała w drzwi szklarni.

- Wychodźcie! - krzyknęła. - Wychodźcie, już!

Wewnątrz Blythe szybko przeczesła włosy palcami. David czuł, jak jego uporządkowany świat rozpada się na kawałki niczym piękna mozaika i wali mu się na głowę. To on wyszedł pierwszy.

- Nie jest tak, jak myślisz - zaczął. Popatrzyła na niego z pogardą.

- Doprawdy? Pewnie podziwialiście kwiaty, tak? Ciekawe tylko, dlaczego masz rozpięty rozporek!

Zerknął w dół, przewrócił oczami, zdumiony własną głupotą, i pośpiesznie zapiął spodnie.

- Pozwól, że ci wyjaśnię...

- Proszę bardzo!

W drzwiach szklarni stanęła Blythe. Miała przynajmniej tyle uczciwości, aby spuścić głowę.

- Kupiłeś jej zegarek! - ciągnęła Miranda. - Nie wiedziałeś, że ktoś z salonu Fennella zadzwonił do mnie, z prośbą o twój numer do pracy, tak? Myślałam, że zamówiłeś dla mnie jakiś prezent i chciałeś coś na nim wygrawerować, ale przecież ja nigdy nie byłam twoją „Wielką Kocicą”, prawda?

- Kochanie...

- Daj spokój! Twoja dziwka nie ma nic do powiedzenia, czy może ty połknąłeś jej język?!

- Nie można zostawiać męża samego na całe tygodnie i oczekiwać od niego absolutnej wierności - wtrąciła Blythe.

- Nie mojego męża, najwyraźniej! Miałam o tobie lepsze wyobrażenie, Davidzie! Postawiłam cię na piedestale, byłeś moim bohaterem! Teraz wiem, że niczym się nie różnisz od innych niewiernych mężów! Kochasz ją?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął David. Twarz Blythe oblał rumieniec złości.

- W takim razie naprawdę żal mi ciebie, bo straciłeś rodzinę dla szybkiego numerku! Gdybyś ją kochał, może gra byłaby warta świeczki! Macie wynieść się z domu w ciągu dziesięciu minut, nie chcę was więcej widzieć! Jeżeli uważasz, że spotkała cię przykrość, Blythe, to powinnaś wiedzieć, że Davida spotkało coś znacznie gorszego! Mam nadzieję, że go nie opuścisz!

Jean-Paul poszedł za Mirandą do furtki, gdzie oparła się o mur i wybuchnęła płaczem.

- Idź do mojego domku i zostań tam, dopóki nie wyjadą - powiedział. - Zajmę się dziećmi. Musisz być silna ze względu na Gusa i Storm, byłoby bardzo niedobrze, gdyby dowiedzieli się, co się stało!

Patrzył, jak szła przed siebie, przygarbiona, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przez chwilę przypominała mu Avę i jego serce zalała fala współczucia.

David chodził po domu i ogrodzie, wołając żonę, ale nie pojawiła się. Blythe spakowała rzeczy, zawołała Rafaela

i niecierpliwie czekała na taksówkę. W końcu David musiał jechać, nie miał innego wyjścia. Ucałował dzieci ze świadomością, że rzucił na szalę dosłownie wszystko i przegrał. Dopiero teraz, obejmując Gusa i Storm, w pełni zdał sobie sprawę, ile dla niego znaczyli.

- Dlaczego tak się śpieszysz? - zapytał Gus.

- Bo dostałem pilne wezwanie z pracy. Wiecie, jak to jest z pracą tatusia.

- Nawet nie zjadłeś lunchu! - zauważyła Storm.

- To prawda, ale zjem kanapkę w pociągu.

- Gdzie mama?

- W domu - skłamał David.

- Płacze przez ciebie? - Gus ściągnął brwi. Wcześniej widział Mirandę, biegnącą ścieżką w stronę strumienia.

- Mamie nic nie jest.

Dzieci patrzyły na ojca niepewnie, kompletnie zagubione.

Jean-Paul widział z daleka, jak Blythe i Rafael wsiadają do taksówki. Storm i Gus stali pod drzewem, przyglądając się w milczeniu. Po chwili David wybiegł z domu i podszedł do Jean-Paula.

- Niech pan posłucha, wiem, że Miranda pana lubi. Czy mógłby pan z nią porozmawiać? To wszystko koszmarna pomyłka! Nie kocham Blythe, kocham moją żonę, wydawało mi się tylko, że mogę mieć wszystko, popełniłem błąd. - Gorączkowo potarł czoło. - Nie chcę ich stracić.

Jean-Paul wzruszył ramionami w wymowny, typowo francuski sposób.

- Oczywiście, że nie chce pan ich stracić!

- Jestem idiotą! Przeklętym, cholernym głupcem!

- Więc może pan przestać zachowywać się jak głupiec i zacząć żyć jak mężczyzna.

- To wcale nie było tak, jak pan myśli! Miałem z nią romans, ale postanowiłem go zakończyć i właśnie jej o tym powiedziałem!

Jean-Paul milczał. David odwrócił się na pięcie i ruszył do czekającej taksówki. Po chwili samochód odjechał. Dzieci nadal stały w tym samym miejscu, wpatrzone w pustkę, którą zostawił po sobie ojciec.

* * *

Jean-Paul postanowił zająć się dziećmi, które po kłótni Mirandy i Davida wydawały się oszołomione.

- Widziałem w lesie norę pełną malutkich królików - powiedział. - Pójdziemy zanieść im trochę marchewek?

Gus stał nieruchomo, przygryzając policzek od wewnątrz, lecz Storm bez wahania wzięła Jean-Paula za rękę.

- Mama ma sałatę w lodówce - oświadczyła. - Czy króliki lubią sałatę?

- Uwielbiają sałatę, ale mama pewnie przeznaczyła ją dla was.

- Mama płakała przez tatę - odezwał się cicho Gus, wkładając ręce do kieszeni spodni.

- Pozwól, że powiem ci coś o dorosłych - zaczął Jean-Paul poważnym tonem, jakby mówił do dorosłego. - Kłócą się i spierają jak dzieci, lecz to nie znaczy, że się nie kochają! Wasi rodzice pokłócili się, tak samo jak wy kłóćcie się, jaką grę wybrać, ale pogodzą się, możecie mi wierzyć! A wiecie dlaczego?

Dzieci potrząsnęły głowami.

- Ponieważ łączy ich pewna wyjątkowo ważna sprawa.

- Ogród? - zapytał niewinnie Gus.

- Nie! - Jean-Paul się uśmiechnął. - Miłość do ciebie i Storm!

Gus ujął drugą rękę Francuza i wszyscy troje ruszyli w kierunku lasu.

Miranda siedziała na kanapie w domku i płakała. Jej instynkt okazał się nieomylny. Zastanawiała się, jak długo trwał romans Davida i Blythe. Żałowała, że nie ma przy niej Jean-Paula, który mógłby ją pocieszyć, ponieważ zawsze znajdował odpowiednie słowa. Minęło sporo czasu, nim sobie

uświadomiła, że dzieci pewnie zjadłyby już lunch. Było południe, poranek zniknął za mgłą zdrady i gniewu. Nie miała pojęcia, co dalej robić. Jak zareagować, jak teraz żyć...

Osuszyła oczy, wstała i rozejrzała się dookoła. Nie była w domku sama, odkąd wprowadził się tu Jean-Paul, i teraz ogarnęła ją ciekawość, którą czuła od początku znajomości z Jean-Paulem. Ma szczęście, że na półkach jest mnóstwo francuskich książek, pomyślała, przesuwając palcem po grzbietach. Poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Na półkach leżały warzywa i ryby. Wzięła jedną marchewkę i zaczęła ją pogryzać. W kuchni było bardzo czysto, ale wszędzie widać było książki, gazety, tekturowe teczki, nieotwarte paczki. Na oparciu krzesła wisiała marynarka, na drugim leżał sweter. Całe pomieszczenie sprawiało wrażenie pełnego życia, zamieszkanego, lecz widok teczek podsunął Mirandzie myśl, że ich właściciel ma na głowie nie tylko jej ogród, ale także inne, istniejące w jakimś obcym świecie sprawy. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz, sprawdzając, czy Jean-Paul nie pojawi się niespodziewanie, i zajrzała do jednej teczki. W środku znajdowały się pisma z pieczętkami i dokumenty, wszystkie po francusku. Miranda nie władała tym językiem zbyt sprawnie, zwróciła jednak uwagę na często powtarzającą się nazwę „Chateau Les Lucioles”.

Z mocno bijącym sercem przerzucała listy zaadresowane do Monsieur de la Grandiere w Chateau les Lucioles. Czy to możliwe, że Jean-Paul mieszkał w zamku? Przypomniała sobie, jak mówił, że wychował się w winnicy, nie przyszło jej jednak do głowy, że może być jej właścicielem. Z zaciekawieniem przeglądała dokumenty. Były tu wyciągi bankowe i bilansowe, z zestawieniem liczb, których i tak nie rozumiała, zauważyła jednak zapisane lata i nazwy win. Szybko utwierdziła się w przekonaniu, że Jean-Paul de la Grandiere jest właścicielem winnicy w Bordeaux, że pracuje u niej jako ogrodnik, ale jest także biznesmenem. Nie ma w tym

nic złego, pomyślała. Przecież nigdy nie udawał, że mieszka w Anglii. Fakt, że nie opowiedział jej o swoim życiu, nie miał żadnego znaczenia, bo ona nie zadawała pytań. Zatrudniła go jako ogrodnika, a on doskonale wykonywał tę pracę.

Kiedy wychodziła z domku, znowu poczuła leciutki zapach kwiatu pomarańczy. Zdziwiło ją to, ponieważ w ogrodzie nie było ani jednego drzewka pomarańczowego. Powoli weszła na mostek, wciąż zadając sobie różne pytania. Jean-Paul wcale nie był zwyczajnym ogrodnikiem, ale o tym wiedziała przecież od początku. Fakt, że był właścicielem winnicy i zamku tłumaczył jego brak zainteresowania pieniędzmi, których najwyraźniej nigdy mu nie brakowało. Dlaczego więc, skoro z powodzeniem prowadził interesy we Francji, podjął fizyczną pracę w Hartington? Co kazało mu przyjechać do tego zakątka Dorset i tak długo tu pozostać?

LATO

*SAD PEŁEN KWITNĄCYCH MLECZY. JASNONIEBIESKIE TYCZKI KAMASJI,
WZNOŚĄCE SIĘ NAD TRAWĄ NICZYM ŚWIECE*

Hartington, 1980

Jean-Paul wrócił do Anglii, w spragnione jego bliskości objęcia Avy, która pachniała Francją, kwiatem pomarańczy i winogronami, świeżo skoszoną trawą i sianem. Leżeli objęci na pieterku domku, a promienie słońca padały na łóżko, nadając skórze Avy złocisty odcień brązu. Jean-Paul sunął palcami po jej ramieniu, w dół łagodnie rysującej się klatki żeber, aż do miękkich linii talii i bioder. Jej ciało było drobne, kobiece, zaokrąglone wszędzie tam, gdzie należy. Wyciągnął ołówek z upiętych na czubku głowy włosów i patrzył, jak rozsypują się dookoła jej twarzy, tworząc ramę godną Wenus na obrazie Botticellego. Nauczył się już jej twarzy na pamięć, znał ją lepiej niż własną. Znał wrażliwe zielone oczy, długi, kształtny nos, zabawnie skróconą górną wargę i duże, zmysłowe usta, które uśmiechały się tak łatwo i urokliwie. Kiedy się kochali, wyglądała jak dwudziestolatka - policzki miała zarumienione, oczy błyszczące, wargi nabrzmiące pożądaniem, świetlistą skórę.

Delikatnie popchnął ją na plecy i zaczął całować jej brzuch tam, gdzie skórę znaczyły srebrzyste ciążowe rozstępy.

- Twój brzuch jest bardzo seksowny - rzekł, przytulając do niego twarz.

Roześmiała się.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że blizny są atrakcyjne?

- Nie rozumiesz. Powinnaś nosić je jak medale za odwagę.

- Są brzydkie!

- Nie dla mnie, *ma pechë*. To symbole kobiecości, macierzyństwa, cudu rodzenia. Dzięki nim jesteś jeszcze piękniejsza!

- Teraz już wiem, dlaczego cię kocham - powiedziała, gładząc go po włosach.

Oparł głowę na jej brzuchu.

- Chciałbym, żebyś nosiła moje dziecko. Palce Avy znieruchomiały na chwilę.

- Ciekawe, jak wyglądałoby nasze dziecko - ciągnął.

- Nigdy się tego nie dowiemy.

- Chciałbym zobaczyć twój brzuch, wezbrany miłością, częścią ciebie i mnie. - Zamknął oczy. - Może urodziłby nam się syn, który pracowałby ze mną w winnicy. Albo córka, którą mógłbym psuć i rozpieszczać tak, jak chciałbym psuć i rozpieszczać ciebie. Gdybym tylko mógł zabrać cię ze sobą do Francji. Chcę mieć więcej ciebie, kochanie, więcej niż możesz mi dać.

Położył głowę na poduszce obok niej, łagodnie przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Przeklinam Boga, który pozwolił ci spotkać Phillipa, zanim spotkałaś mnie!

- Nie przeklinaj! Powinniśmy dziękować Bogu, że w ogóle pozwolił nam się spotkać, nawet jeżeli...

Jean-Paul położył palec na jej wargach.

- Nie mów tego! Te słowa są dla mnie jak nóż wbity prosto w serce. - Uśmiechnął się z rezygnacją. - Cóż, widać Bóg postanowił dać nam tylko tę piękną tęczę.

Ava nie przeklinała Boga, który dał jej Phillipa. Nie potrafiła i nie mogła wyjaśnić Jean-Paulowi, że kocha męża. Rodzajów miłości było tyle, ile odcieni barw tęczy, a ona kochała ich obu, oczywiście każdego inaczej. Jean-Paul nigdy by tego nie zrozumiał i miała nadzieję, że nie zapyta ją o to. Dziękowała Bogu za Archiego, Angusa i Poppy, chociaż to właśnie oni byli przeszkodą na drodze do jej szczęścia z Jean-Paulem. Gdyby miała wypowiedzieć jakieś samosprawdzające się życzenie, poprosiłaby o drugie życie, w którym mogłaby kochać Jean-Paula otwarcie, nikogo nie krzywdząc.

Zdawała sobie sprawę, że wdając się w romans, ryzykuje małżeństwo, ale nie wyobrażała sobie, aby Phillip mógł się

o nich dowiedzieć. Byli bardzo ostrożni, a on tak często wyjeżdżał. Poza tym praca z Jean-Paulem w ogrodzie i miłość łączyły się w najzupełniej naturalną całość, wydawały się nierozdzielne, miłość do mężczyzny i do ogrodu. Los chciał, że zbliżyli się do siebie i teraz tworzyli jedno, podobnie jak ptaki i jagody, króliki i rzodkiewki.

Ich miłość rozkwitała razem z ogrodem, teraz pełnym kolorów i brzęczących pszczół. Lekki wiatr poruszał kwiatami jabłoni, a obok po łuku nad małą czerwoną furtką do ogrodu pięła się różowa róża. Kalina i bzy stanowiły cudownie pachnące tło dla różowych naparstnic i lilii, czerwonych róż

i rozkrzewiających się przywrotników. Godzinami przesiadywali na otaczającej górski jesion ławce, rozmawiając o niczym, ciesząc się wzajemną bliskością i ulotnym szczęściem.

Lato mijało powoli i warzywa, które posiali razem z dziećmi, rosły i dojrzewały. Kwadratowe grządki porastały rzędy sałaty, brukselki, marchwi, porów, cebuli, kapusty, cukinii

i rabarbaru. Dzieci zbierały maliny i truskawki, co jakiś czas ratując ptaki, które więzły w siatkach. Groszek piał się po łukowatych ramach, które postawił Jean-Paul. Ava zrywała pachnące kwiaty i ustawiała bukiety w całym domu. Za każdym razem, gdy pochylała nad nimi głowę, myślała o Jean-Paulu. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Stary mur okalający ogród porośnięty był różami, białą wistarią, klematisem i kapryfolium. Wiewiórki biegały po drzewach, a synogarlice gruchały cicho i słodko. Jaskrawożółte kwiaty starca wylewały się spod muru na zwirowaną ścieżkę. Ava napawała się pięknem swego ogrodu, zachwycona magią, którą wspólnie rozbudzili.

Długie czerwcowe dni należały tylko do nich. Dzieci były w szkole, Phillip pracował nad książką, zamknięty w gabinecie albo w ogóle nieobecny. Plewili grządki i trawniki razem z Hectorem, ciesząc się skradzionymi pocałunkami i często wymykali się na piętro domku, gdzie tylko wiewiórki mogły zakłócić im wypełnione miłością intymne chwile. Dzielili się żartami, porozumiewali językiem, który sami stworzyli i sycili się rosnącą miłością do siebie nawzajem oraz otaczającej ich przyrody.

W lipcu dzieci miały już wakacje, więc Jean-Paul i Ava musieli zachować większą ostrożność. Jednak dopóki mogli być razem, byli szczęśliwi i zadowoleni. Uśmiechy, które sobie rzucali, mówiły więcej niż jakiegokolwiek słowa, a każdy pozornie przypadkowy dotyk był równie elektryzujący, jak tamte chwile w czerwcowe popołudnia, kiedy leżeli objęci na szerokim łóżku i się kochali. Ich radość była zaraźliwa. * Dzieci lubiły bawić się w pobliżu, ciągnąc do nich jak pszczoły do miodu. Kiedy Phillip wracał do domu z zagranicznych wyjazdów, widział blask miłości na policzkach żony i pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ava wyglądała teraz jak dziewczyna, którą zabrał do Toskanii przed narodzinami Archiego. W nocy przyjmowała jego pieszczoty, wstydząc się swojej dwulicowości i wiedząc, że jej małżeństwo to temat, którego nigdy nie zdecydowałyby się poruszyć w rozmowie z Jean-Paulem.

Pewnego popołudnia, kiedy Archie, Angus i Poppy bawili się z bliźniakami Toddy w Bucksley Farm, Jean-Paul i Ava wybrali się na konną przejażdżkę wśród wzgórz. Fioletowe chmury gromadziły się nad ich głowami, rzucając na ziemię mroczne cienie. Od morza wiał wiatr, zachęcając konie do szybszego biegu. Pędzili galopem po trawie, ich śmiech wzbijał się w powietrze razem z odległymi krzykami mew. W takich chwilach wyobrażali sobie, że są zupełnie sami na świecie, tylko we dwoje. Zapominali o komplikacjach, które czekały na nich w dolinie. Ze wzgórz roztaczał się przepiękny widok na falujące pola, srebrzystą rzekę, wijącą się ku morzu i już zamglony deszczem horyzont. Widzieli przyszłość, o której mogli tylko marzyć.

Jean-Paul pierwszy ściągnął konia. Policzki miał ogorzałe od wiatru, brązowe oczy błyszczały radością.

- Przemokniemy do kości! - zawołał, wyciągając rękę do Avy.

- Przywiążmy konie gdzieś pod drzewem - zaproponowała. - I tak nie zdążymy uciec przed ulewą!

Lekko ścisnął jej rękę.

- Kocham cię! - powiedział z szerokim uśmiechem. - Chyba nigdy nie kochałem cię tak, jak w tej chwili.

- *Et moi aussi je t'aime!* - wyznała radośnie.

Dotarli do niewielkiej kępy drzew, zeskoczyli z siodeł i uwiązali konie. Ledwo schronili się pod parasolem liści, gdy zaczęła się ulewa. Jean-Paul oparł się o gruby pień i przytulił do siebie Avę.

- Jestem wdzięczny temu deszczowi! - zaśmiał się cicho. - Dzięki niemu mamy idealną wymówkę, aby zostać tu na całe popołudnie.

- Toddy da dzieciom podwieczorek.

- A my skradniemy tę godzinę albo dwie!

- Deszcz wspaniale odświeży ogród.

- Ostatnio było już bardzo sucho, Ian Fitzherbert też się ucieszy.

- Rolnicy to zabawni ludzie! Nigdy nie są w pełni zadowoleni z pogody, zawsze skarżą się, że jest za sucho albo za mokro, za gorąco albo za zimno. Pewnie gdyby dostali pilota do włączania i wyłączania deszczu, i tak nie byłiby szczęśliwi.

- To samo dzieje się w winnicy! Wszyscy ciągle się martwią, że przymrozek zwarzy owoce. *Oh, la la!* Nie uwierzyłybyś, do czego się posuwają, aby zabezpieczyć winne krzewy!

- A można je zabezpieczyć?

- O, tak! Rozpalają węgiel w metalowych koszach, żeby ogrzać powietrze, słyszałem nawet o bogatych właścicielach winnic, którzy latają helikopterami nad winnicą, aby ciepłe powietrze szybciej cyrkulowało.

- Co za ekstrawagancja!

- Trudno nazwać to rozrzutnością, jeżeli dzięki temu można uratować winogrona!

- Kochasz winnice i wszystko, co z nimi związane, prawda?

- Winnica jest moim domem, ale bez ciebie będzie pozbawiona duszy.

- Nie mówmy o tym teraz.

- Jestem egoistą, Avo, chcę cię mieć dla siebie! Na wyłączność. Chcę wziąć z tobą ślub i mieć mnóstwo dzieci, które będą biegały między winnymi krzewami tak samo, jak dawno temu robiłem to ja. Pomyśl tylko, co moglibyśmy

zrobić dla ogrodów Les Lucioles. Nasza magia mogłaby przeistoczyć dom w najpiękniejszy zamek we Francji!

- Twoja matka już to zrobiła.

- Ale my moglibyśmy sięgnąć jeszcze wyżej! Nie widzisz, jak niezrównany tworzymy zespół?

- Widzę. Wiem też, że jestem mężatką i już mam dzieci, które biegają po ogrodzie w Hartington. Nie możemy zmienić przeszłości, kochany. Możemy tylko żyć tą chwilą, bo to wszystko, co mamy!

- Nadal sypiasz z Phillipem?

Pytanie Jean-Paula zbiło ją z tropu. Zesztywniała. Nie zamierzała go okłamywać, ale nie chciała też go zranić.

- Nie pytaj mnie o to, proszę.

- Nie mam prawa wiedzieć?

- Czy to coś zmieni? Co ci da taka informacja?

- Spokój ducha.

- Przecież między nami wszystko pozostaje takie samo!

- Ale ja chcę, żebyś należała do mnie.

- To niemożliwe, najdroższy. Zawsze będę żoną Phillipa.

- Byłbym to w stanie znieść, gdybyś była jego żoną tylko formalnie!

- Czy miłość nie jest ważniejsza niż prawo własności i posiadania?

Czy to nie dosyć, że kocham cię duszą i ciałem?

Pocałował ją w czoło.

- To powinno mi wystarczyć, ale...

- To musi ci wystarczyć, bo więcej nie mogę ci dać!

W tym momencie chmury się rozstały i słońce zajaśniało na niebie niczym pochodnia. Trzymając się za ręce, wyszli spod drzewa prosto w deszcz, aby patrzeć, jak tęcza żywych barw rozpina łuk nad doliną. Kolory były wspaniałe, intensywne, od głębokiej czerwieni po jasny fiolet.

- To wszystko, co mamy - odezwał się Jean-Paul.

- I popatrz tylko, jakie to piękne. Chwycił ją w ramiona i pocałował.

- Nie chcę cię stracić i tak bardzo się tego boję!
 - Nie bój się.
 - Obiecasz mi, że będziesz moja, kiedy dzieci dorosną i nie będą cię już potrzebowały?
 - Nie mogę składać takich obietnic.
 - Ależ możesz! Jeśli mnie kochasz, będziesz na mnie czekała, kiedy po ciebie przyjadę! Twoje dzieci dorosną, Phillip będzie starym człowiekiem. Będziesz wolna!
 - Myślę, że sam ożenisz się i będziesz miał dzieci.
 - Nigdy nie pokocham innej kobiety!
 - Nie możesz przeze mnie zawieszać życia na kołku! Kocham cię, ale jestem realistką i zdaję sobie sprawę, że rzeczywistość nas rozdzieli.
 - Nic nie zniszczy naszej miłości! Nigdy nie przestanę cię kochać!
- Ava ujęła w dłonie jego wilgotną twarz i utkwiała w niej pełne miłości spojrzenie.
- Nie będziesz mnie chciał, kiedy będę starą kobietą, zwłaszcza że ty będziesz wtedy jeszcze młody i przystojny.
 - Moje serce zawsze będzie twoje!
 - Jesteś zbyt wielkim idealistą. Życie jest inne.
 - Obiecay mi, że kiedyś będziesz moja!
 - Dobrze, obiecuję! Gdy przestanę być potrzebna dzieciom, gdy Phillip będzie stary. Możesz przyjechać i zabrać mnie, kiedy będę wolna.
- Uściskał ją gorąco.
- Teraz znowu mogę swobodnie oddychać, bo niezależnie od tego, co się zdarzy, mam na co czekać.
- Ava oparła się o niego, przekonana, że jej ukochany któregoś dnia odda serce innej kobiecie, zajmie się wychowywaniem dzieci w Les Lucioles i zapomni o obietnicy, jaką sobie złożyli. Obserwowała tęczę, pragnąc, aby nigdy nie zbladła.
- Widzisz cień różu między zielenią i błękitem? - zagadnęła.

- Żartujesz sobie! Nie ma tam żadnego rózu, dalej jest czerwień, przecież widzę...

- Przyjrzyj się uważnie.

- Przyglądam się najuważniej jak tylko mogę!

- Widać nie dosyć uważnie.

- Nie wierzę, że widzisz tam różowy kolor!

- Oczywiście, że widzę! Moje oczy nie kłamią!

- W takim razie masz zdolność obserwacji, której mnie brakuje.

- Spójrz, deszcz przestał już padać.

- Zaraz stracimy tęczę!

- Mamy przecież własną tęczę, tutaj, w nas samych. -Przyłożyła dłoń do serca. - I zachowamy ją tak długo, jak długo będziemy chcieli.

Sierpień był upalny i suchy. Dzieci spędzały czas na zabawie z bliźniętami Toddy oraz przyjaciółmi ze szkoły, którzy przyłączyli się do ich paczki. Cała gromada biegała po ogrodzie jak stado podekscytowanych szczeniaków. Toddy zauważyła bijący od Avey blask, ale ani przez chwilę nie sądziła, że jego przyczyną może być Jean-Paul. Ava nie należała do kobiet, które wdawały się w romanse, jej małżeństwo było najsilniejszym, najbardziej stabilnym związkiem, jaki Toddy widziała. Obserwowała lekki krok przyjaciółki, uśmiech, który prawie nie znikał z jej twarzy i słuchała cudownego śmiechu, wydobywającego się z jej wnętrza niczym z ukrytego źródła. Zazdrościła Avey radości życia, która była niczym łagodny letni wiatr.

Phillip gratulował sobie, że zabrał żonę do Francji, bo od powrotu z tych krótkich wakacji Ava sprawiała wrażenie odrodzonej, i przeklinał swoją nową książkę, która teraz oddalała go od niej. Jej śpiew, dobiegający spośród krzewów pod oknem, z holu, gdzie układała kwiaty albo z ogrodu, gdzie

bawiła się z dziećmi, nappełniał go radością. W czasie weekendów urządzali przyjęcia, na które przyjeżdżali z Londynu ich liczni przyjaciele - pisarze, historycy, dziennikarze i malarze. Pani Marley wytrzeszczała oczy, słysząc nazwiska, które widywała w gazetach i magazynach. Wszyscy przesiadywali w Hartington do późna; mężczyźni palili cygara i popijali porto, kobiety gawędziły w salonie, obgadując mężów. W większości byli to dawni przyjaciele Phillipa, lecz Ava lubiła ich towarzystwo i dobrze się wśród nich czuła. Phillip wiedział jednak, że czasami wymykała się z domu, aby uciec od ludzi. Kochał tę jej cechę - w jednej chwili była ożywiona i roześmiana, w następnej spragniona samotności. Nie podejrzewał, że Ava biegła do małego domku, aby kochać się z Jean-Paulem. Był absolutnie pewny jej miłości.

Pod koniec sierpnia Jean-Paul odebrał telefon od matki. Nadszedł czas jego powrotu do domu.

- Ojciec chce, żebyś przejął winnicę - powiedziała. - Starzeje się i nie ma już takiego zdrowia jak dawniej.

- Jest chory?

- Nie, jest zmęczony i chce przekazać ci interesy. Prawda jest taka, kochanie, że ojciec spędza wiele czasu w Paryżu. - Głos Antoinette zamarł.

- Rozumiem...

- Chce, żebyś wrócił do domu na początku września. Nalega.

Jean-Paul przez chwilę nie mógł złapać tchu z przerażenia. Nie był w stanie przyjąć do wiadomości, że jego romans dobiegł końca, na samą myśl o tym serce pękało mu z bólu. Musiał komuś o tym powiedzieć.

- *Maman*, zakochałem się - wyznał.

Ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że nie jest to szczęśliwe uczucie.

- Bardzo się cieszę, kochanie! Kim ona jest?

- Znasz ją.

Antoinette zawahała się, trochę zbita z tropu.

- Naprawdę?

- Była z wizytą w Les Lucioles. To Ava.

W słuchawce zapanowało długie milczenie. Antoinette usiłowała przetrwać straszne wyznanie syna.

- Chyba nie Ava Lightly?

- Tak, to ona, *maman*. Zakochaliśmy się w sobie.

- Przecież jest mężatką!

- Wiem.

Głos Jean-Paula załamał się, natomiast w głosie jego matki zabrzmiał twardy ton.

- Czy Phillip wie?

- Nie.

- Ktoś inny?

- Nie, tylko my.

- Musisz z tym skończyć! - poleciła krótko. - I to natychmiast!

- Nie mogę!

- Musisz! Ava Lightly nie jest dla ciebie, ona ma męża i dzieci! Nie wspomnę już o tym, że Phillip jest bliskim przyjacielem ojca. Nie masz pojęcia, w co się pakujesz! Taki związek może przynieść wyłącznie nieszczęście, tobie również! Musisz natychmiast wracać do domu!

- Myślałem, że mnie zrozumiesz.

- Że zrozumiem? Tak, rozumiem! Wiele lat cierpiałam z powodu ciągłej niewierności twojego ojca! Nie mówmy o tym więcej. I nie chcę już o niej słyszeć, nigdy!

- *Maman!*

Głos Antoinette trochę złagodniał.

- Mówię to wszystko, bo cię kocham! Jesteś moim jedynym synem. Wiążę z tobą ogromne nadzieje, chciałabym, żebyś ożenił się z odpowiednią kobietą, miał dzieci, dobre

życie tu, w Les Lucióles. Ava Lightly to koniec moich nadziei i smutna przyszłość dla ciebie.

- Ava Lightly to moje życie!

- Jesteś jeszcze dość młody, aby zacząć wszystko od nowa! Wkrótce odzyskasz równowagę, zobaczysz. To jej wina, jest zupełnie nieodpowiedzialna, skoro sprowadziła cię na tę drogę.

- Nie chcę słyszeć ani jednego słowa przeciwko Avie! To ja wykazałem się brakiem odpowiedzialności, to ja jestem winny! Ava nigdy by nie uległa, gdybym nie był taki uparty! I możesz być pewna jednego, *maman*, jeżeli ją opuszczę, nigdy nie zacznę życia od nowa.

Antoinette cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- Co za bzdury! Cóż, jeśli o mnie chodzi, cała ta sprawa należy już do przeszłości! Masz wrócić do domu w pierwszym tygodniu września, nie ma o czym mówić!

Jean-Paul długo nie mógł się uspokoić. Matka miała rację, oczywiście - Ava Lightly nie należała do niego. Nie potrafił jej przekonać, aby zostawiła dzieci; miłość i lojalność były tymi cechami, które najbardziej w niej podziwiał. Czy byłaby Avą, którą kochał całym sercem, gdyby okazała się zdolna do porzucenia rodziny? Czy zasługiwałaby na jego miłość, gdyby umiała wykazać się tak wielkim egoizmem?

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz płakał, na pewno w odległym dzieciństwie, lecz teraz myśl o rozstaniu z Avą sprawiła, że nie mógł powstrzymać łez. Ukrył twarz w poduszce. Patrzył w tęczę, miał jednak świadomość, że w końcu zapłaci za szczęście własną krwią. Cierpiał jak potępieniec, ale był pewny, że gdyby miał możliwość ponownego wyboru, znowu wybrałby to przesyczone radością lato, nie zważając, że po nim przyjedzie pełne bólu codzienne życie.

*BURSZTYNOWE ŚWIATŁO ZMIERZCHU, ZAPACH WYPALANYCH PÓL,
CORAZ KRÓTSZE WRZEŚNIOWE DNI*

Jakby w odruchu współczucia dla ich rozpaczy, niebo poszarzało, ulewne deszcze nieustępliwie bębniły w dach domku, a o tęczach nie można już było nawet marzyć.

Ava zaparzyła herbatę w małej kuchni Jean-Paula, usiłując zachowywać się normalnie, chociaż jej świat obracał się w gruzy. Nakryła do stołu. Dwie filiżanki, dwa spodki, talerz z ciastem i dzbanuszek z mlekiem. Usiedli naprzeciwko siebie i prawie bali się odzywać, świadomi, że przy pożegnaniu słowa są zbędne.

Trzymali się za ręce nad stołem niczym więźniowie przez kraty i patrzyli na siebie z głębokim smutkiem. Oboje nosili w sercach ten sam ból, ich nerwy i ciała były tak samo napięte, a dusze nieodwracalnie zranione. Ava naląła herbatę i ukroiła dwa kawałki ciasta, lecz jego znakomity smak był dla nich niewielkim pocieszeniem.

- Jest już wrzesień, muszę wracać do Francji. Bez wahania

wyrzekłbym się dla ciebie winnicy i zamku, ale to podwójne życie nie sprzyja żadnemu z nas.

- Nigdy bym cię o to nie prosiła, kochany! Zawsze wiedzieliśmy, że lato kiedyś się skończy.

- Nie płacz, proszę! - powiedział, gdy jej oczy wypełniły się łzami. - Jeżeli zaczniesz płakać, nie będę mógł wyjechać.

- Miłość do ciebie jest moją największą radością i najstraszniejszym smutkiem. Na zawsze zachowam cię tutaj, w moim sercu! Codziennie będę myślała o tobie, chodząc po naszym ogrodzie i nasza miłość z każdym rokiem będzie coraz silniejsza i głębsza.

- Będę na ciebie czekał, *ma peche!*

Całym sercem pragnęła, aby jego słowa były szczerze. Z wdzięcznością chwyciła linę, którą jej rzucił.

- Obiecujesz? Kiedy tylko dzieci dorosną, a Phillip przestanie mnie potrzebować, będę wolna! I będę czekała, żebyś zabrał mnie do Francji... Może uda nam się zestarzeć razem i kochać się bez poczucia winy, ze świadomością, że jednak ich nie opuściłam, że nie zapomniałam o swoich zobowiązaniach.

- Dałbym wszystko, żebyś mogła wyjechać ze mną już teraz, ale ty nie jesteś tego typu kobietą i za to cię kocham. Na szczęście nikogo nie zraniliśmy, tylko siebie samych.

Ava otarła policzek wierzchem dłoni.

- Po twoim wyjeździe wszystko stanie się puste. Puste i pozbawione sensu. Zniknie magia, zostanie tylko zwyczajna ziemia i zwyczajne rośliny, jak w każdym innym ogrodzie.

Popatrzył na nią z ogniem w oczach.

- Magia tkwi głęboko w ziemi, kochanie! Zawsze tam będzie, bo sami ją posialiśmy, pamiętaj o tym!

Kochali się ostatni raz, słuchając uderzającego o szyby deszczu.

- Pewnego dnia wrócę do tego domku i odzyskam cię. Jean-Paul pocałował Awę w skroń. - Znajdę cię tutaj, bo będziesz na mnie czekała i wszystko będzie jak dawniej. Filiżanki na stole, czajnik z wrzątkiem na kuchence, świeże ciasto do kawy, najlepsze, jakie robisz. A ty przywitasz mnie w drzwiach. To nasze specjalne miejsce, nic tu nie zmieniaj, żeby po moim powrocie wszystko było jak wczoraj. Wejdę do środka, tak jakby nie było mnie najwyżej godzinę i zaczniemy żyć od nowa. Będziemy starsi, trochę zmęczeni życiem, trochę mądrzejsi, ale nasza miłość nie zmieni się ani odrobinę. Zabiorę cię do Francji, posiejemy naszą magię w ogrodzie Les Lucioles i już nigdy się nie rozstaniemy, nawet na chwilę.

- Jaki piękny sen! - westchnęła, wtulając twarz w jego szyję.

- Może się spełni, jeżeli będziemy śnić i marzyć ze wszystkich sił. To tak jak z twoim cieniem rózu między zielenią i błękitem. Jeśli dość mocno wyteżymy wzrok, może go zobaczymy.

- Stworzymy tęczę, która nigdy nie zniknie - szepnęła i rozplakała się, niezdolna udawać, że wszystko jest w porządku.

Potem stała w drzwiach i patrzyła za nim, gdy odchodził. Miał tylko niewielką torbę, jakby rzeczywiście wybierał się gdzieś najwyżej na parę godzin. Zaczekała aż zniknął. Poszedł brzegiem rzeki do miasteczka, gdzie miał wziąć taksówkę i pojechać na stację. Nie chciał żegnać się z Phillipem ani z dziećmi; czuł, że tego nie zniesie. Pocałował więc tylko ukochaną kobietę i zabrał ze sobą jej miłość.

Wyjazd Jean-Paula nikogo specjalnie nie zdziwił, chociaż Phillip był trochę urażony, że młody Francuz nawet się nie pożegnał. Lato dobiegło końca, a Jean-Paul od

początku mówił, że spędzi w Hartington tylko rok. Hector i Ava dalej pracowali w ogrodzie, lecz Hectorowi także wyraźnie brakowało towarzystwa Jean-Paula. Ava zastanawiała się czasami, czy Hector wiedział o ich romansie, bo patrzył na nią z takim współczuciem, jakby doskonale rozumiał jej ból. Dzieci wróciły do szkoły, Phillip skończył książkę. Toddy zabrała Avę na konną przejażdżkę po wzgórzach i bez trudu dostrzegła, że urzekająca lekkość ruchów jej przyjaciółki zniknęła bez śladu, podobnie jak promienny blask jej cery i oczu. Podejrzewała, że ma to coś wspólnego z Jean-Paulem, ale wyjątkowo zachowała te przemyślenia dla siebie. Gdy Ava mówiła jej o wyjeździe Jean-Paula, ze wszystkich sił usiłowała zamaskować cierpienie, lecz Toddy dostrzegła go w wyrazie jej oczu. Wiedziała, że gdyby zaczęła się dopytywać, sprawiłaby przyjaciółce ogromny ból, miała też świadomość, że Ava sama powie jej o wszystkim, gdy będzie gotowa. Na razie starała się więc tylko trzymać w pobliżu, jako stara i zaufana przyjaciółka, i nieść pociechę swoją obecnością.

Ava błąkała się po ogrodzie niczym duch. W nocy siadywała na ławce pod górskim jesionem, szczegółowo wspominając znajomość z Jean-Paulem od dnia, gdy się poznali po dzień ostatecznego rozstania. Po pewnym czasie nabrała zwyczaju spędzania paru godzin dziennie w małym domku; zaczęła pisać tam wspomnienia w notatniku, wklejać płatki kwiatów, które razem zasadzili oraz liście z drzew i krzewów, które miały dla nich szczególne znaczenie. Zapisywała wiersze, opisy ogrodu, listy swoich ulubionych rzeczy, od światła poranku na trawie po wychylające się spomiędzy oszronionych liści przebiśniegi. Pisała, ponieważ działało to na nią kojąco i oczyszczająco, i ponieważ wspomnienia zmniejszały jej cierpienie.

* * *

Jean-Paul wrócił do Francji z nieodwracalnie zranionym sercem. Życie rozciągało się przed nim jak niezmiernie morze, po którym miał dryfować, samotny i opuszczony niczym Latający Holender. Nie miał ochoty rozmawiać o swoich uczuciach, ale ojciec czekał na niego na lotnisku i odwiózł do domu. W drodze do Les Lucioles Jean-Paul, ku własnemu zdziwieniu, zwierzył się Henriemu ze swoich przeżyć. W przeciwieństwie do matki, Henri go nie skrytykował, uśmiechnął się tylko wyrozumiale.

- Posłuchaj - zaczął, gdy znaleźli się na autostradzie. - Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną.

Jean-Paul skrzywił się lekko, pewny, że będzie zmuszony wysłuchać jednego z wykładów ojca.

- Nie robię żadnej tajemnicy z tego, że prowadzę podwójne życie i tę drugą połowę spędzam w Paryżu z Yvette - ciągnął Henri. - Wielu mężczyzn ma kochanki, to nic złego. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy mężczyzna chce poślubić swoją kochankę, zwłaszcza jeżeli w grę wchodzi taka kobieta jak Ava Lightly.

- Nie zamierzałem się w niej zakochać, *papa*.

- Nie kwestionuję twojego gustu, synu, więcej, podziwiam go, bo to fascynująca kobieta. Jednak ty masz określone obowiązki wobec Les Lucioles. Jesteś moim jedynym synem i musisz spłodzić następcę, który przejmie po tobie majątek. Ava ma własną rodzinę. Nic dobrego nie wynikłoby ze związku z kobietą w jej wieku, bezpłodną jak pustynia. Tobie potrzebna jest płodna młoda klaczka.

- Nie chcę nikogo innego - przerwał ojcu Jean-Paul.

- Nie namawiam cię, żebyś zakochał się w innej kobiecie! Ja wcale nie zakochałem się w twojej matce. Czuję podziw i szacunek, wiedziałem, że będzie dobra dla mnie i dla Les Lucioles, i miałem rację! Popatrz tylko, co zrobiła z ogrodami! Stworzyła je z niczego i teraz wszyscy zielenieją z zazdrości na ich widok! Jest doskonałą panią domu, która

wspaniale przyjmuje moich klientów, dobrą żoną i matką. Szkoda, że nie urodziła mi więcej dzieci. *Tant pisl Ożeń* się z prawdziwą damą, taką jak twoja matka i weź sobie kochankę. Nie zapominaj jednak, że Ava jest żoną przyjaciela, a tym samym kobietą nietykalną. Zrób bilans strat i zysków, i podziękuj losowi, że Phillip o niczym się nie dowiedział!

- Nie chcę się żenić z kobietą, której nie kocham - zaczął Jean-Paul, lecz zaraz pojał, że ojciec go nie zrozumie.

- Miłość! - rzucił lekceważąco Henri. - Kochaj głową, nie sercem, oto moja rada! - Poklepał syna po kolanie. - Mimo wszystko podziwiam cię za to, że odszedłeś - dodał łagodniejszym tonem. - Ze odszedłeś i nie wywołałeś skandalu. Gdyby Ava nie miała męża, stanowiłaby idealną kandydatkę na żonę dla spadkobiercy Les Lucioles! Trafiłeś prawie w dziesiątkę, synu, bez dwóch zdań! Poszukaj sobie drugiej Avy, mówię ci.

- Ava jest tylko jedna.

Henri pokręcił głową i zaśmiał się cicho.

- Jesteś jeszcze młody, ale z czasem zrozumiesz, że żadna kobieta nie jest jedyna i wyjątkowa! I pamiętaj, że kiedy mężczyzna bierze ślub ze swoją kochanką, ta zwalnia posadę, na którą i tak z czasem trzeba zatrudnić kogoś innego.

Gdy samochód zatrzymał się na podjeździe przed château, Jean-Paul poczuł się bardziej osamotniony niż kiedykolwiek. Bez Avy u boku uroda Les Lucioles wydawała mu się ciężkim afrontem. Wolałby, aby niebo było zawleczone chmurami, a winnica mniej żyzna. Wydawało mu się nieuczciwe, że majątek tętni życiem, gdy tymczasem jego serce wypełnia rozpacz. Psy wybiegły, aby go przywitać, a on poklepał je po głowach i przytulił policzek do ich karków.

- Idź, poszukać matki - poradził Henri. - Jest bardzo zdenerwowana! Uważa, że to wszystko jej wina.

Jean-Paul znalazł matkę obok wieżyczki w ogrodzie, gdzie na kolanach plewiła rabatkę z kwiatami. Kiedy odwróciła się ku niemu, zobaczył, że płakała.

- *Maman?* - odezwał się niespokojnie, śpiesząc do niej z wyciągniętymi ramionami. - Przepraszam, że sprawiłem ci tyle bólu.

- To wszystko przeze mnie! - szepnęła, biorąc go za rękę. - Zachęcałam ją, żeby namówiła cię na powrót do Anglii! Pomyślała pewnie, że sprzyjam waszemu romansowi, ale przecież ja nic o tym nie wiedziałam! Myślałam tylko o tobie, nie o niej, nawet przez moment...

- To nie twoja wina! Wtedy byłem już w niej zakochany. Gdyby tu nie przyjechała, i tak w końcu wróciłbym do niej!

Głos Antoinette stwardniał, jej oczy rozbłysły determinacją.

- Ale teraz nigdy już tam nie wrócisz, prawda? Jean-Paul milczał.

- Twój ojciec przekształcił moje życie w ponurą farsę z powodu Yvette - podjęła matka. - Nie niszczyć życia Philli-powi! Pomyśl o ich dzieciach.

- Przez cały czas myśleliśmy o dzieciach! - przerwał jej. - Dlatego jestem tutaj.

Ramiona Antoinette opadły.

- Dzięki Bogu - wyszeptała.

Powoli dźwignęła się na nogi. Jean-Paul poszedł za nią przez wiodącą do château furtkę.

- Jesteś jeszcze młody - powiedziała. - Za jakiś czas znowu się zakochasz. Teraz nie potrafisz sobie tego wyobrazić, ale tak będzie. Rany serca goją się w zupełnie cudowny sposób! Wydaje ci się, że twoje serce nie jest w stanie znieść tyle bólu, a jednak ono się odradza i znowu kocha. Poszukaj sobie dziewczyny, która uczyni cię szczęśliwym i obdarzy dziećmi. Napelnij Les Lucioles miłością i śmiechem, nie bądź taki jak twój ojciec! Daj twojej żonie szczęście i bądź jej wierny, tak jak twój ojciec powinien był dochować wierności

mnie! Zapomnij o przeszłości. Popatrz na ten przepiękny zakątek Bordeaux. Les Lucióles czeka na nową rodzinę i nowy początek. Synu, obiecaj mi, że postarasz się spełnić te oczekiwania.

- Postaram się.

Antoinette przystanęła i odwróciła się twarzą do niego, zdecydowana zamknąć sprawę raz na zawsze.

- Nie, nie mów, że się postarasz, tylko obiecaj, że poszukasz sobie żony! Jestem twoją matką i kocham cię. Jesteś wszystkim, co mam, całym moim światem. I wiem, co jest dla ciebie najlepsze! Nie kontaktuj się z nią więcej, zostaw ją w spokoju, nie niszczyć rodziny, proszę cię! Jeśli chcesz być szczęśliwy, zostaw przeszłość za sobą, pozwól jej odejść.

- Zaczekam, aż jej dzieci dorosną. Kiedy nie będzie im już potrzebna, wróci do mnie.

- *Eh bien*, dobrze, na razie niech tak będzie - zgodziła się Antoinette, przekonana, że z czasem Jean-Paul zapomni

o Avie i poślubi kogoś innego. - A teraz chodź, chcę ci pokazać, co zasadziłam w sadzie.

Wzięła go pod rękę i razem zawrócili do ogrodu.

Jean-Paul poczuł, jak w głębi jego skamieniałego serca rozbłysła mała iskierka. Po raz pierwszy od wyjazdu z Harrington ogarnął go lepszy nastrój. Postanowił dbać o ogród

i winnicę, zasadzić więcej drzew i krzewów, dokupić więcej ziemi, przelać swoją miłość na Les Lucióles, aby Ava kiedyś zobaczyła, jaki raj dla niej stworzył. Aby zrozumiała, że nigdy nie przestał ją kochać.

Ava zaczęła odczuwać mdłości właśnie w małym domku. Były nieustępliwe i męczące, uznała jednak, że ich powodem musi być smutek. Nie chciało jej się jeść, a rozhuśtany żołądek uspokajała tylko coca-cola, którą piła z puszki, leżąc na łóżku w sypialni na piętorku i zapisując notatnik

pięknym charakterem pisma. Dni mijały. Gdyby nie zbliżająca się jesień, którą dostrzegła w zimniejszym wietrze, coraz krótszych dniach i stopniowym blaknięciu barw w ogrodzie, wszystkie dni połączyłyby się w jeden, długi i ponury. Chciała napisać do Jean-Paula albo zadzwonić do niego tylko po to, aby przez chwilę słyszeć jego głos, wiedziała jednak, że jej nie wolno. Tylko czas mógł ukoić ból ich rozstania, musiała więc dać sobie ten czas. Pisała wspomnienia z myślą, że pewnego dnia podaruje je ukochanemu, aby wiedział, jak bardzo za nim tęskniła. I że nigdy o nim nie zapomniła.

- Wyglądasz okropnie blado, Krzaczk - zauważył Phillip któregoś dnia przy kolacji. -1 nic nie jesz! Jesteś chora?

- Nie wydaje mi się. Czuję się tylko zmęczona i osłabiona, pewnie przez tę pogodę.

- Nonsens! Moim zdaniem jesteś w ciąży! Ava zamrugła ze zdziwienia.

- W ciąży? - powtórzyła. - Tak myślisz?

- Oczywiście! Masz mdłości, ciągle jesteś zmęczona, nie masz apetytu, a przy tym fizycznie nic ci nie dolega. Kup jeden z tych testów ciążowych, które teraz ciągle reklamują, i sprawdź!

- Mam nadzieję, że się mylisz!

- Dlaczego? Przecież jeszcze niedawno pragnęłaś mieć czwarte dziecko! - Phillip ujął Awę za rękę. - Może twoje życzenie się spełniło? Dlaczego nagle zmieniłaś zdanie? Wydajemy na świat takie urocze dzieciaki...

Ava zbladła na myśl o dziecku, lecz po chwili w jej sercu zapłonęła iskierka nadziei. Jeżeli rzeczywiście była w ciąży, nie mogła wykluczyć, że nosi dziecko Jean-Paula... Zakryła usta dłonią, aby ukryć uśmiech. Dziecko Jean-Paula. Prawie nie śmiała o tym marzyć.

Następnego dnia pojechała do drogerii i kupiła test ciążowy. Zaciskając w drżących palcach tekturowy pasek,

zanurzyła go w moczu i zaczęła odliczać sekundy. Zamknęła oczy. Hoże, jeśli istniejesz, pobłogosław mi i daj mi dziecko Jean-Paula, abym mogła zatrzymać przy sobie cząstkę człowieka, którego kocham, pomyślała. Nikogo nie skrzywdziłam. Poświęciłam moją miłość dla męża i dzieci. Dziecko byłoby nagrodą, jeśli na nią zasłużyłam.

Podniosła powieki i zobaczyła jaskrawoniebieski pasek, oznaczający pozytywny wynik. Była w ciąży.

Pędem rzuciła się do telefonu, żeby powiedzieć Jean-Paulowi, że dziecko, którego tak pragnął, rośnie pod jej sercem. Cząstka jego i cząstka jej, połączone miłością. Otworzyła notes z telefonami, aby znaleźć numer Les Lucioles, ale go nie wybrała. Długo stała, wpatrzona w kartkę, a jej entuzjazm kurczył się w ostrym świetle rzeczywistości. Co by w ten sposób osiągnęła? Ich sytuacja skomplikowałaby się jeszcze bardziej. Jean-Paul miałby wszelkie podstawy, aby domagać się prawa do swojego dziecka. Nie miał nic do stracenia, podczas gdy ona mogła stracić wszystko. Gdyby wyznała prawdę Phillipowi, zaryzykowałaby stratę dzieci i unieszczęśliwiła wszystkich swoich bliskich. Powoli zamknęła notatnik. Zrozumiała, że musi zachować cudowną wiadomość dla siebie. Nikt nie może jej poznać. Phillipowi nawet nie przyjdzie do głowy, że to nie jego dziecko, a dzieci bez pytania przyjmą nowego brata lub siostrę. Zrozumiała, że musi zabrać swoją tajemnicę do grobu.

Wiosną, kiedy narcyzy unosiły piękne główki, a płatki kwiatów owocowych drzew wirowały w powietrzu niczym konfetti, Ava urodziła córeczkę. Uparła się, aby nadać jej imię Peach, Brzoskwinia, bo tak nazywał ją Jean-Paul. *Ma pechë*, moja brzoskwinko - tak właśnie do niej mówił.

Verity podawała w wątpliwość stan umysłu córki, która wybrała dla dziecka tak idiotyczne imię, lecz Phillip zgodził

się bez wahania. Od pierwszej chwili patrzył na malutką dziewczynkę z ogromną dumą. Jego zdaniem Peach była bardzo podobna do matki. Ava odetchnęła z ulgą, widząc jasne włosy i skórę dziecka, widziała jednak Jean-Paula w rozbrajającym uśmiechu maleństwa. Każdy uśmiech małej był dla Avy najwspanialszym podarunkiem.

*MELANCHOLIJNY BLASK KOŃCZĄCEGO SIĘ LATA NAPEŁNIA MOJĄ DUSZĘ
TĘSKNOTĄ*

Londyn, 2006

David nigdy nie czuł się bardziej samotny niż teraz. Stracił wszystko. Miranda nie odbierała jego telefonów. Napisał do niej z nadzieją, że poświęci parę chwil na przeczytanie długich przeprosin i wyznania głupoty oraz arogancji. Najbardziej doskwierała mu tęsknota za dziećmi. Usiłował skoncentrować się na pracy, lecz umysł wciąż podsuwał mu obrazy twarzątek Gusa i Storm. Szczerze wstydził się swojej bezmyślności. Nie rozmawiał z Blythe od rozstania na Waterloo Station. Patrzył wtedy, jak szła przez tłum, trzymając Rafaela za rękę i czuł nienawiść do samego siebie. W takich sytuacjach zawsze najwięcej traciły dzieci. Rafael już nigdy nie miał cieszyć się weekendem w domku na drzewie, a Gus i Storm nigdy więcej nie będą biegać po zrujnowanym zamku razem z ojcem. I wszystko to stało się w chwili, gdy zaczął naprawdę cieszyć się ich bliskością.

Żałował swojej arogancji. Uważał przecież, że ma prawo do wszystkiego, ponieważ ciężko pracuje i zarabia dużo pieniędzy. Jednak Miranda, w przeciwieństwie do pięknego domu i szybkiego samochodu, nie była jedną z jego zabawek, nie mógł „dodać” jej do listy, na której znajdowała się kochanka i kawalerka w Londynie. Kochał Mirandę. Była matką jego dzieci. Kochał swoją rodzinę i zrobiłby wszystko, byle cofnąć zegar. Wszystko.

Miał wielu znajomych, lecz tylko jednego przyjaciela, z którym mógł porozmawiać zupełnie szczerze. Somerled Macdonald, czyli Mac, był człowiekiem, którego David znał od bardzo dawna, człowiekiem, któremu mógł powierzyć najbardziej wstydlive tajemnice bez obawy, że ten spojrzy na niego z pogardą. Mac miał szczerze orzechowe oczy, silne, umięśnione ciało utalentowanego sportowca, był odpowiedzialny i godny zaufania, z poczuciem humoru, dzięki któremu zawsze widział dobre strony nawet najgorszej sytuacji. Żona Maca, Lottie, zaprzyjaźniła się z Mirandą. Jeździli na polowania do rodzinnej posiadłości Maca w Yorkshire, a David dzielił obsesję przyjaciela na punkcie rugby oraz krykieta i do rana oglądał z nim transmisje rozgrywek w telewizji. Mac był ojcem chrzestnym Gusa, natomiast David trzymał do chrztu Alexandra, syna Maca i Lottie. Teraz David potrzebował mądrej rady ojca chrzestnego swojego syna.

Podczas gdy Lottie układała na górze do snu Alexandra, David kompletnie załamał się przed starym przyjacielem.

- Zachowałem się jak totalny drań! - oświadczył, siadając na kanapie i pocierając twarz palcami. - Straciłem wszystko, a z jakiego powodu? Dla romansu, który nie miał dla mnie żadnego znaczenia!

Mac cierpliwie słuchał żalosalnej samokrytyki Davida.

- Miranda zawsze była idealną żoną, a ja potraktowałem ją w najgorszy sposób! Moja matka powiedziałaby, że

wszystko wraca do człowieka, i dobre, i złe, i że dostałem to, co mi się słuszenie należało. - Popatrzył błagalnie na Maca zaczerwienionymi oczami. - Co mam robić? Powiedz mi, stary! Jak mam ją odzyskać?

Mac siedział ze skrzyżowanymi nogami i szklanką piwa w ręce. Podniesiona nogawka odsłaniała skarpetki do gry w rugby.

- Odzyskasz ją, ale będziesz musiał czołgać się w błocie, uprzedzam - rzekł. - Nie ma sensu wracać do tego, co było, przeszłości nie da się zmienić. Przede wszystkim musisz do niej napisać!

- Już napisałem, ale dam głowę, że wrzuciła list do kosza na śmieci - David pociągnął łyk whisky.

- Wątpię! Jeżeli nadal cię kocha, a zakładam, że tak, będzie chciała wysłuchać twoich przeprosin, usłyszeć, że bardzo żałujesz, że ją kochasz i pragniesz, żeby do ciebie wróciła. Ze jest dla ciebie najważniejsza na świecie, ona i dzieci. Bardzo biłeś się w piersi?

- Bardzo...

- Tak bardzo, żeby nie miała cienia wątpliwości, że właśnie zaczynasz czołgać się do niej przez morze błota?

- Tak mi się wydaje.

Mac uśmiechnął się szeroko i łyknął piwa.

- Świetnie, to dobry początek. Teraz wyślij jej kwiaty z liścikiem. Napisz, że jest jedyną kobietą w twoim życiu. Tylko kup mnóstwo kwiatów, nie skromny bukiet! Nappełnij jej kuchnię różami. Dopiero kiedy kogoś tracisz, w pełni uświadamiasz sobie, ile ta osoba dla ciebie znaczy! Wykorzystaj to, bo przecież w tej chwili właśnie to czujesz, daj się ponieść fali żalu i wstydu! Jeśli naprawdę ci zależy, żeby ją odzyskać, będziesz musiał ostro walczyć! Miranda jest zraniona i upokorzona. Boże, dlaczego nie wybrałeś kogoś spoza naszego towarzystwa, jak mogłeś być taki głupi! Tak czy inaczej, jesteś ojcem dzieci Mirandy i ona także nie chce cię stracić,

wierz mi. Będzie natomiast chciała, żebyś cierpiał tak jak ona, przygotuj się więc, że przez następne dziesięć lat musisz cierpliwie posypywać głowę popiołem.

- Nie chcę, żeby moje dzieci widziały we mnie potwora! - David znowu ukrył twarz w dłoniach. - Nie mogę znieść myśli, że...

Po whisky myśli zaczęły mu się trochę plątać.

- Miranda jest rozsądną osobą, na pewno nie będzie podjudzać dzieci przeciwko tobie!

- Ludzie robią głupie rzeczy, kiedy znajdują się w sytuacji bez wyjścia. - David westchnął ciężko i oparł się o poduszki. - Wiesz, byłem takim kretynek, myślałem wyłącznie o sobie i swojej pracy. Marny ze mnie ojciec! Weekendy wolałem spędzać, oglądając sport w telewizji, zamiast rozbijać z dziećmi namioty i łowić ryby. I nagle zobaczyłem, jak ten ogrodnik, Jean-Paul, powoli zajmuje moje miejsce! - Zaśmiał się gorzko. - Widziałem go z dziećmi i Mirandą w ogrodzie warzywnym. Słońce świeciło, ptaki śpiewały, brakowało tylko jakiegoś cholernego kundla i już miałbym przed sobą portret rodziny doskonałej! Zorientowałem się, że ktoś inny zaczyna być ważny dla moich dzieci, a wszystko to z mojej winy, nie z winy Jean-Paula! On tylko wykonywał swoją pracę, na miłość boską, i robił to wspaniale. Przestałem kontaktować się z Blythe, wytrzymałem do dnia, kiedy zjawiała się u mnie w pracy, tylko w futrze. Potem postanowiłem, że skończę ten romans i zacznę spędzać więcej czasu z rodziną, i właśnie zacząłem łapać lepszy kontakt z dziećmi, gdy Miranda zaprosiła Blythe na weekend. Próbowałem zakończyć sprawę z Blythe w jak najbardziej taktowny sposób, ponieważ wiedziałem, że jeśli wpadnie w furję, wsypie mnie i będzie po wszystkim. Miranda myślała, że pieprzyłem się z Blythe w szklarni i trzeba przyznać, że tak to wyglądało, ale to nieprawda! Boże, jaki ja byłem głupi!

- Och, nie ty pierwszy i nie ostatni, stary! Nie jesteś wyjątkiem, nie pochlebiaj sobie!

- Za to ty jesteś inny, Mac - David dopił whisky i obrzucił przyjaciela pełnym podziwu spojrzeniem. - Ty i Lottie stworzyliście wspaniałą, mocny związek. Nie jesteś taki jak ja. Zawsze byłeś pewny siebie, zadowolony z tego, co masz, od czasów szkolnych, kiedy wygrywałeś dla drużyny mecze rugby. Zazdroszczę ci! Ty nigdy nie zachowałbyś się tak głupio!

Mac lekko wzruszył ramionami.

- Każdy popełnia błędy - powiedział. - Miranda ci wybaczy, zobaczysz. O, nadchodzi moja piękna żona!

Lottie zeszła po schodach z pełnym satysfakcji uśmiechem matki, której dziecko w końcu zasnęło.

- Nalać ci jeszcze jedną whisky? - zapytała Davida, patrząc na niego ze współczuciem.

Słyszała całą rozmowę z pokoju Alexandra.

- Jesteś blisko z Mirandą, Lottie. Mogłabyś z nią porozmawiać? Namówić ją, żeby przynajmniej zechciała się ze mną zobaczyć.

Lottie nie wiedziała, czy ma udawać, że nie wie, o co chodzi, czy przyznać, że podsłuchiwała. Spojrzała pytająco na Maca, który zachęcająco skinął głową.

- Słyszałam, co mówiłeś, bo drzwi sypialni Alexa były otwarte - powiedziała, biorąc szklaneczkę Davida i napełniając ją whisky. - Zadzwoń do Mirandy.

David odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, Lottie! Jesteś aniołem!

- Nic nie mogę obiecać, chyba rozumiesz.

- Wiem, ale skoro Miranda nie chce ze mną rozmawiać, jedynie przez ciebie mogę przekazać jej wiadomość!

- Co mam powiedzieć?

- Ze ją kocham. Że przepraszam z całego serca i chcę, żeby do mnie wróciła. - David oparł łokcie na kolanach i ze

zmęczeniem potarł zaczerwienione powieki. - Że tęsknię za nią i za dziećmi, i że jestem w piekle.

Mac uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie wątpił, że Lottie będzie doskonale wiedziała, co przekazać Mirandzie.

W Hartington House Miranda siedziała przy biurku i szybko stukwała w klawisze laptopa. Zaabsorbowana powieścią, przynajmniej na pewien czas wyrzuciła ze świadomości własną tragedię. Czerpiąc inspirację z notatnika Avy Lightly, postaci Jean-Paula oraz własnej rozpacz, z trudem panowała nad potokiem słów, za których wartkim prądem jej palce ledwo mogły nadażyć. Napisała sto dziesięć tysięcy słów i ze zdziwieniem odkryła, że jest to proza liryczna i pełna pasji, inteligentna i wciągająca. Mimo załamania małżeństwa z pewnym optymizmem myślała o tym, że z jej nieszczęścia wyniknie jednak coś pozytywnego. Nie zwracała uwagi, co dzieje się dookoła niej, a jednak znowu poczuła mocny zapach kwiatów pomarańczy.

Znalazła pociechę w obecności Jean-Paula, który słuchał uważnie, gdy w jego saloniku ze łzami opowiadała mu, jak ona i David poznali się, zakochali w sobie i wzięli ślub. Zachęcał ją, aby starała się myśleć o tych cechach Davida, które kochała, o wspaniałych chwilach spędzonych razem i o wszystkim, czym kierowali się, decydując się na małżeństwo. Miranda przyznała, że pęknięcia w fundamentach ich związku pojawiły się już w Londynie; dystans narzucony przez przeprowadzkę na wieś tylko je pogłębił. W Londynie Miranda była jednak tak zajęta własnym życiem, że prawie nie zauważyła, iż między nią i mężem dzieje się coś złego. W Hartington, gdy razem z dziećmi musiała zacząć nowe życie bez niego, przyzwyczała się do samotności i niezależności, i pęknięcia w fundamentach wypełnił chłód. Pragnęła powiedzieć Jean-Paulowi, że zakochała się w nim,

lecz za bardzo się wstydziła. Był tak poważny i dystyngowany, że nie miała śmiałości wprawić go w zażenowanie.

Miranda pisała jak zaczarowana. Pisała nocami, gdy dzieci były już w łóżkach, do wczesnych godzin rannych, kiedy odgłosy budzących się ptaków i wodnisty blask świtu wlewały się do gabinetu, uświadamiając jej, jak jest późno. Pisała, dopóki oczy nie zaczynały ją piec, a powieki robiły się nieznośnie ciężkie. W ciągu dnia także mogła pracować, ponieważ dzieci spędzały czas w ogrodzie z Jean-Paulem. W ich życiu nic się nie zmieniło. Przyjęły do wiadomości, że ojciec nie może przyjechać, ponieważ ma za dużo pracy. Gus patrzył na nią ciemnymi, podejrzliwymi oczami, potrafiła go jednak przekonać, że mimo nieporozumienia mama i tatuś nadal są przyjaciółmi. Jean-Paul pożyczył konie od Jeremy'ego i zabrał ich na przejażdżkę na wzgórze, z którego roztaczał się widok na morze. Patrząc na gładką, szaronie-bieską powierzchnię, wspominał ten cudowny dzień, kiedy podczas ulewy razem z Avą szukali schronienia pod drzewami.

Jean-Paul był dumny z ogrodu. Razem z panem Under-woodem i Mirandą przywrócił mu poprzednią świetność. Tu i ówdzie były jeszcze miejsca, gdzie można było zasadzić lub zasiać nowe rośliny, a niektóre krzewy potrzebowały paru następnych sezonów, aby osiągnąć pełną urodę, lecz ogród odzyskał już magiczną aurę, przestał sprawiać wrażenie miejsca pozbawionego duszy. Gdy Jean-Paul przechodził ścieżką przez wiejski ogród w kierunku starej wieżyczki, czuł obecność Avy wśród róż i lilii. Czasami, kiedy siadał na ławce pod górskim jesionem, wydawało mu się, że w powietrzu unosi się zapach kwiatów pomarańczy. Zamykał oczy i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Ava siedzi obok niego, gratuluje mu pięknego ogrodu i z przejęciem podziwia

kwiaty, tak jak kiedyś podziwiała namalowany przez niego obraz. Te chwile miały gorzko-słodki smak. Jean-Paul z trudem powstrzymywał łzy i zastanawiał się, czy zmarnował życie, czekając na nią, przecież mógł zacząć normalne życie, ożenić się i mieć dzieci. Patrzył na bawiących się w ogrodzie Gusa i Storm, wspominał Archiego, Angusa i Poppy, którzy bawili się tu przed dwudziestu sześciu laty i tęsknił za tym, czego nie udało mu się zdobyć.

List Davida był długi na pięć stron, pełen przeprosin i zapewnień o tęsknocie za nią i dziećmi. Tydzień później pod dom podjechała półciężarówka z ogromnymi bukietami czerwonych róż i krótkim liścikiem: „Dopiero gdy cię straciłem, zrozumiałem, jak bardzo cię kocham. Byłem idiotą, który traktował uczucie kogoś tak wyjątkowego jak coś, co mu się należy”.

Następnego dnia zadzwoniła do niej Lottie.

- Wczoraj wieczorem był u nas David - powiedziała. - Jest zrozpaczony, nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- Zasłużył na to, i to z nawiązką! Sypiał z moją przyjaciółką, pieprzył się z nią nawet w naszej szklarni!

- Mówi, że to tylko tak wyglądało.

- Więc dlaczego miał rozpięty rozporek?

- Tego nie wiem - przyznała Lottie. - Słuchaj, popełnił potworny błąd i zdaje sobie z tego sprawę. Szczerze żałuje, że nie może cofnąć czasu.

- Tak, napisał do mnie list na pięć stron.

- Prosił Maca o radę. Jest gotowy zrobić wszystko, żeby cię odzyskać. Tęskni za dziećmi.

- Jean-Paul jest dla nich lepszym ojcem niż David, który nigdy nie poświęcał im dużo czasu!

- Wspominał o Jean-Paulu.

- No, jasne! Wstyd mu, że nie jest taki jak Jean-Paul!

- David się wstydzi, że jest taki, jaki jest - zauważyła mądrze Lottie. -
Może przynajmniej z nim porozmawiasz, co?

- Jeszcze nie teraz. To za wcześnie, muszę mieć trochę czasu, żeby spokojnie wszystko przemyśleć. Cała ta ohydna sytuacja powstała z jego winy, a ja na razie ledwo radzę sobie z życiem!

- W takim razie pozwól mu spotkać się z dziećmi - zaproponowała dyplomatycznie Lottie, zdeterminowana, aby wywalczyć coś dla Davida. Miranda zastanawiała się chwilę.

- Masz rację - przyznała. - Konflikt powstał między mną i Davidem, to nie ma nic wspólnego z dziećmi.

Lottie odetchnęła z ulgą. To już jakiś początek.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, naprawdę! - powiedziała.

- Przekaż mu, że może przyjechać do Hartington w ten weekend. Wybiorę się do Londynu i zatrzymam w hotelu. Obiecałam przyjaciółce wspólne zakupy i nie chcę jej zawieść, zresztą taki dwudniowy wyjazd dobrze mi zrobi. Wyjadę w piątek wieczorem i wrócę w niedzielę po południu.

- Możesz zatrzymać się u nas, będzie nam bardzo miło.

- Dziękuję, Lottie, ale będę z przyjaciółką Henriettą, zresztą niech David zapłaci za hotel, przynajmniej tyle może zrobić. Zatrzymałabym się w mieszkaniu w Kensington, gdyby nie to, że pewnie pieprzył się tam z Blythe.

- Dobrze, kochanie. Przekażę mu wszystko, poza twoją ostatnią uwagą, i oczywiście oddzwonię.

- Dziękuję.

- Nie ma za co! Kochamy was oboje, Mirando, i mamy nadzieję, że jakoś sobie poradzicie z tym kryzysem.

- Ja również...

Jednak wcale nie była przekonana, czy rzeczywiście pragnie powrotu Davida. Ciągle wracała myślami do Jean-Paula.

Wiedziała, że dopóki z nim szczerze nie porozmawia, nie będzie miała pewności, czego naprawdę chce.

Jean-Paul siedział na ławce pod górkim jesionem i przyglądał się, jak dzieci kopią dołek w ziemi między modrzewiami obok wieżyczki.

- Nie przeszkadzam? - zapytała, otwierając małą czerwoną furtkę i schylając się lekko, żeby przejść pod łukiem z różowych róż.

- Nie, skądże znowu... Jak się czujesz?

Usiadła obok niego i westchnęła, niepewna, od czego zacząć.

- Napisał do mnie długi miłosny list. Przeprasza, mówi, że wszystkiego żałuje i chce mnie odzyskać. I przysłał mnóstwo róż, cała kuchnia zastawiona jest wazonami.

- To dobry początek!

- Postanowiłam, że w ten weekend pozwolę mu zobaczyć się z dziećmi. Pojadę do Londynu z Henriettą, zatrzymamy się w jakimś przyjemnym hotelu. Ostatecznie rozdźwięk między nami to nie sprawa dzieci, więc dlaczego mają cierpieć.

- Jesteś bardzo mądra.

- Chciałabym, żeby tak było! To ty jesteś mądry. Jesteś lepszym ojcem niż David. Gus potrzebował ojca, który razem z nim zmierzyłby się z różnymi dziecięcymi problemami, ale David zawiódł go, nie sprawdził się w tej roli, w przeciwieństwie do ciebie. - Spuściła wzrok. - Dzięki tobie zaczęłam się cieszyć bliskością dzieci i nie martwić się, kiedy trochę pobrudzę sobie ręce. Pokochałam ten ogród, chociaż wydawało mi się to niemożliwe. Byłam dziewczyną z Londynu i sama myśl o kaloszach napełniała mnie obrzydzeniem. Dziś rzadko wkładam buty na wysokich obcasach i wcale mi to nie przeszkadza. Zmieniłam się! Ty mnie zmieniłeś.

- Nie ja - odparł łagodnie Jean-Paul. - Chętnie przypisałbym sobie tę zasługę, ale byłoby to nieuczciwe! Zmieniła cię magia, obecna w ogrodzie.

- Magia nie wzięła się znikąd, prawda? - Poczwała, że się rumieni. - To ty ją tu sprowadziłeś!

- Zawsze tu była, ja ją tylko obudziłem. Miranda wzięła głęboki oddech.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem - powiedziała. - Jesteś mądry, dobry, wyrozumiały, cudownie radzisz sobie z dziećmi. Ja też zawsze mogę na ciebie liczyć, zdążyłam już do tego przywyknąć. Sęk w tym, Jean-Paul, że chyba się w tobie zakochałam.

Objął ją i lekko przytulił.

- Nie jesteś we mnie zakochana - rzekł po chwili. - Czujesz się zagubiona, to wszystko.

- Nieprawda! Wydaje mi się, że zakochałam się w tobie już pierwszego dnia, kiedy Storm przyprowadziła cię do domu...

Jean-Paul szukał odpowiednich słów, nie chcąc jej zranić.

- Wiesz, że nie mogę odwzajemnić twojej miłości, w każdym razie nie w taki sposób, jak byś chciała.

Do oczu Mirandy napłynęły łzy. Szybko przełknęła ślinę, aby je powstrzymać.

- Nie możesz? - powtórzyła słabo.

- Kocham cię jak bliską przyjaciółkę, ale moje serce zawsze będzie należało do innej. Nikt nie może zająć jej miejsca.

- Kim ona jest?

- Kimś, kogo znałem dawno temu. Była mężatką i miała troje dzieci. Nasza miłość okazała się zbyt trudna, abyśmy mogli cieszyć się nią w codziennym życiu.

- Została z mężem?

- Nie chciała zostawić dla mnie dzieci, jej miłość do nich była głębsza. Musiała podjąć taką decyzję, postąpiła słusznie. Wszystko to było dawno temu, w innym życiu. Byłem wtedy młody, dziś jestem stary. - Zaśmiał się cicho, rozbawiony własną nierozważnością. - Rozstaliśmy się prawie trzydzieści lat temu, a ja oddałem jej te wszystkie lata.

- Nigdy nie próbowałeś zacząć od nowa? - Miranda nie mogła uwierzyć w tak niezłomną wierność i poświęcenie. -Nie sądziłam, że dziś ludzie potrafią jeszcze kochać w taki sposób!

- Kiedy miłość jest tak mocna, człowiek nie może zacząć nowego życia. Nie znam nikogo, kto mógłby się z nią równać, sprawiła, że inne kobiety przestały mi się podobać. Przeżyłem wielką miłość i nie chciałem żyć mniejszym, słabszym uczuciem.

Miranda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś słyszała tę historię. Nagle dotarło do niej, że być może tajemniczy notatnik, który znalazła w domku, przeznaczony był właśnie dla Jean-Paula i aż zakręciło jej się w głowie. Czy Ava Lightly kochała Jean-Paula?

- Jak długo trwał wasz romans? - zapytała ostrożnie.

- Rok.

Teraz była już pewna, że jej podejrzenia są słuszne. Postanowiła jak najszybciej przeczytać notatki Avy jeszcze raz.

- Jaka ona była?

- Wyjątkowa, ekscentryczna, zabawna i cudowna. Kochała ogród i przyrodę, miała ogrodniczy talent. Nauczyła mnie wszystkiego, co dziś wiem.

Miranda pobiegła do domu. Notatnik był gruby, miał wiele stron. Jeżeli Jean-Paul był ukochanym Avy Lightly, to nie za sprawą zbiegu okoliczności ożywił założony przez nią ogród. Doskonale znał całą posiadłość Hartington, bo wiele lat temu pracował tu u boku Avy. Namalował wtedy wiejski ogród właśnie dla niej. Przyjechał do Avy, lecz zamiast niej znalazł w Hartington Mirandę i jej rodzinę. To dlatego był taki smutny. Ava nie czekała na niego, chociaż obiecała, że będzie czekać. Ale dlaczego zostawiła w domku notatnik? Dlaczego po prostu nie wysłała go na adres Jean-Paula we Francji?

Przebiegła wzrokiem kilka stron, szukając odniesień do mężczyzny, którego Ava czasami nazywała inicjałami „MF”. Teraz, kiedy domyśliła się prawdy, kawałki układanki stworzyły wyraźny, jasny obraz. Wreszcie znalazła fragment, który wszystko wyjaśniał:

Och, Mr Frenchman, zabrałeś ze sobą dużą część mojego serca! Ta otwarta rana nigdy się nie zagoi, będzie krwawić i krwawić, aż nic ze mnie nie zostanie... Dzieci są dla mnie wielką pociechą, gdyby nie one, moje serce wyschłoby, zupełnie pozbawione miłości.

KOJĄCA CISZA O PÓLNOCY. ZAWSZE WIEDZIAŁAM, ŻE NIEBO JEST TAM, W GÓRZE, ZA ZASŁONĄ CIEMNOŚCI

Tej nocy Miranda nie pisała książki. Z kubkiem zupy w ręku wygodnie usadowiła się na łóżku, aby przeczytać notatnik Avy. Chciała poznać zakończenie jej historii. Niecierpliwie przewracała kartki, szukając miejsca, w którym przerwała lekturę.

Jean-Paul siedział w swoim saloniku, zastanawiając się z przygnębieniem, co robić. Zamek Les Lucioles był pusty, a on nie mógł przecież w nieskończoność zajmować się ogrodem w Hartington. Zrobił to, co zamierzał zrobić - odbudował ogród, ożywił go, wiedząc, że właśnie tego pragnęłaby Ava. Nie miał pojęcia, gdzie była i jakaś część jego serca bała się odpowiedzi na to pytanie. Wyjechała bez słowa, i tyle. Minęło prawie trzydzieści lat i przez cały ten czas Ava nie dała znaku życia. Zajął się swoimi sprawami, natomiast on wrócił do Francji, żeby przejąć winnicę, ponieważ nie miał innego wyjścia.

Przyjechał do domu lizać bolesne rany i rzucił się w wir nowej rzeczywistości. Matka z zapałem przedstawiała go wszystkim godnym szacunku, pięknym Francuzkom, jakie udało jej się znaleźć, ale żadna z nich nie zrobiła wrażenia na Jean-Paulu. Serce miał odrętwiałe i nie było nikogo, kto mógłby pobudzić je go życia. Antoinette pragnęła mieć wnuki, lecz Jean-Paul był absolutnie zdecydowany dotrzymać wierności Avie, chociaż jego ukochana nie mogła dochować wierności jemu. Matka błagała go, aby ożenił się z rozsądku i pozostawił chateau swojemu dziecku, ale on odmawiał. W jego oczach małżeństwo byłoby równoznaczne ze zdradą. Ava była już mężatką, gdy się poznali i pozostała nią, ponieważ nie miała wyboru, natomiast on miał wybór i postanowił nie zawierać trwałego związku. Oczywiście nie żył w celibacie - był mężczyzną i miał określone potrzeby, ale ich spełnienie wiązało się wyłącznie z przelotnymi kontaktami.

Dopiero śmierć matki skłoniła go do powrotu do Hartington. Wcześniej opiekował się nią z całym poświęceniem, lecz gdy odzyskał wolność, zrobił to, na co czekał całe dwadzieścia sześć lat. Za wszelką cenę chciał odnaleźć Avę i zabrać ją ze sobą do Francji. Jednak życie to nie bajka ze szczęśliwym zakończeniem... Jeśli Jean-Paul spodziewał się, że znajdzie Avę czekającą na niego w małym domku za mostkiem, to spotkał go zawód. Co dobrego mogło teraz wyniknąć z dalszych poszukiwań? Wciąż zadawał sobie to pytanie i wciąż od nowa dochodził do wniosku, że powinien zrezygnować. Ten rozdział był już zamknięty.

Miranda zaczęła płakać. Zakończenie notatnika było bardziej tragiczne niż sobie wyobrażała. Ava urządziła w domku świątynię miłości. To dlatego stół był nakryty dla dwojga; jedynym sposobem, by dowieść lojalności wobec Jean-Paula było dla niej zachowanie tego miejsca dokładnie w takim kształcie, jak w dniach ich szczęścia. Została z mężem,

wychowała dzieci i żyła jak dawniej, ale domek był symbolem jej miłości do Jean-Paula.

Miranda ze zdziwieniem przeczytała, że Ava urodziła jeszcze jedno dziecko, spełniła marzenie, które miała przed rozpoczęciem romansu. Była to jeszcze jedna więź, łącząca ją z Hartington i rodziną. Narodziny Peach powstrzymały ją przed ucieczką.

Peach jest moją pociechą i radością. Codziennie napęlnia mnie zdumieniem i szczęściem. Dostałam błogosławieństwa. Z popiołów powstała ta mała duszyczka, która osusza moje łzy i koi zranione serce łagodnym spojrzeniem i urokliwym uśmiechem. Sądziłam, że pewna część mnie samej umarła w dniu jego wyjazdu, ale myliłam się. Właśnie ta cząstka rosła we mnie, radosna i piękna jak człowiek, od którego pochodziła. Peach przyniosła ze sobą dość miłości, aby związać popękane cząstki mojego ducha i naprawić mój rozbity świat. Gdyby nie ona, umarłabym jak zbyt wczesnie rozwinięty kwiat, zabity mrozem. Peach jest całym moim światem i w ogóle o tym nie wie. Kiedyś powiem jej, ile dla mnie znaczy. Oby Bóg dał mi odwagę. Boże, daj mi czas...

Miranda była oszołomiona. Jeszcze raz przeczytała ostatni fragment i zrozumiała, że Peach była dzieckiem Jean-Paula. Dzieckiem, którego pragnął i o którego istnieniu nie miał pojęcia. Poraziła ją waga tajemnicy, którą trzymała w dłoni. Zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Bała się przyznać Jean-Paulowi, że przez cały ten czas miała notatnik Avy. Może przekląłby ją za to, że zabrała z domku zapiski jego ukochanej. A może by zrozumiał, że przecież nie mogła wiedzieć, iż Ava zostawiła je tam dla niego. Jak zareagowałby, gdyby powiedziała mu o nakrytym dla dwóch osób stole, utrzymanym w tym samym stanie przez dwadzieścia sześć lat? Czy wybaczyłby jej, że zniszczyła ślady miłości i tęsknoty Avy?

myśl, że wreszcie zbliży się do kobiety, której miłosna historia tak ją zafascynowała.

- Już mam - odezwał się Jamal. - Państwo Lightly mieszkają teraz w Kornwalii, w Pendrift. Zapisać adres?

- Bardzo proszę.

- Mam też numer ich telefonu. To tacy uroczy ludzie. Odkąd pan Lightly zaczął chorować, nie widywaliśmy go zbyt często, ale pani Lightly regularnie zaglądała do nas, żeby nadać list albo kupić jakiś drobiazg.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ją poznam! - powiedziała Miranda, biorąc kartkę.

- Będzie pani zachwycona, to bardzo zabawna osoba! Miranda uświadomiła sobie, że notatnik Avy nagle ożył;

jego główni bohaterowie zmaterializowali się przed nią niczym przywołane z zaświatów duchy, a historia ich uczucia rozwinęła się jak najpiękniejszy kilim. W domu odsłuchiwała nagrane na automatycznej sekretarce wiadomości. Lottie potwierdziła, że David przyjedzie spędzić weekend z dziećmi. Miranda wcale nie była przekonana, czy mąż da sobie radę przez całe dwa dni, postanowiła więc umówić panią Underwood i poprosić Jean-Paula, żeby uważał na dzieci na wypadek, gdyby David ugrzązł na kanapie przed telewizorem. Fatima froterowała podłogę w holu, a pan Underwood stał w drzwiach, korzystając z długiej przerwy na kawę, i opowiadał o pladze kretów, które niszczyły trawnik przed domem. Słońce rozświetlało taras i tymiankową alejkę i Miranda w drodze do gabinetu przystanąła na chwilę, żeby nacieszyć się pięknym widokiem.

Zamknęła drzwi, usiadła przy biurku, i zaczęła się zastanawiać, co powiedzieć. Postanowiła przedstawić się i zaprosić Avę do Hartington, żeby obejrzała ogród. Oczami wyobraźni już widziała, jak pani Lightly spotyka Jean-Paula. Zdecydowała, że wręczy mu notatnik i przyzna się, że zabrała go, oczywiście nie wiedząc, z jakiego powodu pozostawiono go

w domku. Spokojnie wybrała numer. Czekwała dość długo i już miała z rozczarowaniem odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała kobiecy głos.

- Halo?

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Lightly?

W słuchawce zapadła cisza. Miranda spojrzała na leżącą przed nią kartkę; przyszło jej do głowy, że w podnieceniu mogła wybrać zły numer.

- Kto mówi? - zapytała po chwili kobieta.

- Nazywam się Miranda Claybourne, mieszkam w Hartington House.

Głos jej rozmówczynie złagodniał.

- Moja matka umarła rok temu, niestety. Miranda zupełnie się tego nie spodziewała.

- Ava Lightly nie żyje?

- Tak.

- A pan Lightly?

- Ojciec nieco się posunął, ale czuje się dobrze, dziękuję...

- Czy rozmawiam z Poppy?

- Nie, jestem jej siostrą. Mam na imię Peach. Mirandzie zaschło w ustach ze zdenerwowania, gorączkowo szukała słów, które powinna powiedzieć.

- Bardzo pani współczuję z powodu śmierci matki. Tyle o niej słyszałam, że czuję się, jakbym ją dobrze znała! Cieszyła się wielką sympatią w Hartington. Kiedy się tu sprowadziliśmy, wszyscy opowiadali nam o jej niesamowitym ogrodzie.

- Ogród był jej pasją, dlatego tak ciężko było jej wyjeżdżać z Hartington.

- Przepraszam za ciekawość, ale... Cóż, ciągle się zastanawiam, dlaczego wyjechała.

- Mój tata miał wylew i nie mógł chodzić po schodach, a mama sama się nim opiekowała. Nie miała wyboru. Czasami myślę, że konieczność wyjazdu złamała jej serce.

- Pewnie tak. Pomyślałam, że zadzwonię, ponieważ udało mi się uporządkować ogród. Chciałam zrobić to dla niej. Kiedy się tu sprowadziliśmy, był mocno zaniedbany, wymagał sporo pracy. Zależało mi, żeby go ożywić, czułam, że jest to moim obowiązkiem, głównie ze względu na pani mamę.

- To bardzo miło z pani strony! Mama byłaby szczęśliwa.

- Nie zrobiłam tego sama, rzecz jasna! Poprosiłam o pomoc niezwykłego człowieka, Francuza, Jean-Paula de la Grandiere.

W słuchawce znowu zapanowała długa cisza, tak jak Miranda się spodziewała.

- Rozumiał, co chcę zrobić, można powiedzieć, że odgadywał moje myśli - podjęła. - Dokonał czegoś naprawdę niezwykłego. Tak czy inaczej, ogród wygląda teraz wspaniale. Cieszyłabym się, gdyby zechciała go pani obejrzeć. Może pani w każdej chwili przyjechać i zatrzymać się tu, przecież był to pani dom. Serdecznie zapraszam!

- Tak, Hartington było moim domem przez dwadzieścia trzy lata - powiedziała z wahaniem Peach. - Ja też kochałam nasz ogród.

- Więc proszę przyjechać!

- Sama nie wiem...

Miranda usłyszała gdzieś w tle męski głos.

- To mój tata - wyjaśniła Peach. - Powiem mu, że pani dzwoniła! Będzie wdzięczny. Wszyscy kochaliśmy Hartington!

Miranda pożegnała się i odłożyła słuchawkę. A więc Ava Lightly nie żyła. Było jej tak smutno, jakby naprawdę ją znała. Przeżyła rozczarowanie - przez prawie rok żyła historią Avy, Ava dodawała jej siłę, a teraz został tylko popiół. Serce ścisnęło jej się na myśl o Jean-Paulu, który z pewnością nie wiedział o śmierci Avy. Wrócił przecież do Hartington, aby odnaleźć ją zgodnie z obietnicą, którą sobie złożyli. Może Ava zostawiła notatnik w domku, ponieważ zdawała sobie

sprawę, że umiera? Chciała, żeby wiedział, że dotrzymała słowa. Miranda westchnęła ze zniecierpliwieniem. Wszystko to razem nie miało sensu. Dlaczego Ava nie wysłała notatnika Jean-Paulowi? Dlaczego nie zadzwoniła i nie powiedziała mu o swojej chorobie? Dlaczego nie zrobiła nic, aby zobaczyć się z nim przed śmiercią? Po co właściwie zostawiła notatnik w domku, na łasce nowej rodziny, która miała zamieszkać w Hartington?

Miranda ze smutkiem pomyślała, że Ava nigdy nie zobaczy, jak wygląda teraz jej ogród. Został po niej tylko notatnik i straszna prawda, którą Miranda będzie musiała przekazać Jean-Paulowi. Podniosła się zza biurka i wyszła do ogrodu, aby usiąść pod górkim jesionem i spokojnie zastanowić się nad sytuacją. Nie musiała od razu mówić Jean-Paulowi o śmierci Avy, mogła z tym poczekać. Póki życia, poty nadziei. Postanowiła, że rozważnie wybierze moment, w którym powie mu, czego się dowiedziała.

*KOJĄCY CHARAKTER MOJEGO OGRODU POMAGA ZAGOIĆ SIĘ NAWET
NAJGŁĘBSZYM RANOM SERCA*

David przyjechał parę godzin po wyjeździe Mirandy i Henrietty, która zostawiła swojego fiata na podjeździe. Pani Underwood w kuchni przygotowywała z dziećmi kolację dla trzech osób. Nie było przecież sensu zapędzać dzieci do łóżek w chwili, gdy ojciec przekroczył próg domu, zresztą następnego dnia była sobota i wszyscy mogli wyspać się do woli.

Pani Underwood usłyszała, jak David otwiera drzwi. Gus i Storm zeskoczyli z taboretów przy szerokim blacie, gdzie czyścili fasolkę szparagową na sobotni lunch i wybiegli do holu, skąd dobiegły piski Storm i śmiech Davida, który pewnie chwycił małą w ramiona i uniósł wysoko w powietrze. Nie ulegało wątpliwości, że cała trójka bardzo cieszyła się ze spotkania. W okolicy krążyły plotki o romansie Davida i o tym, że Miranda przyłapała go z kochanką w szklarni, ale pani Underwood nie miała zwyczaju wtrącać się w sprawy innych ludzi.

- Jak się masz, synku? - usłyszała radosny głos Davida. -Urosłeś, słowo daję!

- Wcale nie! - odparł Gus. - Powinieneś sprawić sobie okulary, tato!

- Masz rację. Można jednak powiedzieć, że w pewnym sensie już je sobie sprawiłem i teraz widzę cię lepiej niż kiedykolwiek!

Gus zmarszczył nos. Ojciec sprawiał wrażenie zupełnie odmienionego.

- Chodźmy sprawdzić, kiedy będzie kolacja! Wszyscy troje wkroczyli do kuchni, gdzie pani Underwood właśnie wycierała ręce w fartuch.

- Dobry wieczór, panie Calybourne! - uśmiechnęła się.

Zawsze uważała, że pan Claybourne jest bardzo przystojny. Teraz zauważyła, że mocno schudł i natychmiast postanowiła trochę go podkarmić.

- Przygotowałam piezzonego kurczaka z ziemniakami - poinformowała go, żałując, że nie włożyła do brytfanki kilku ziemniaków więcej.

- Cudownie pachnie! Kiedy chce pani, żebyśmy usiedli do stołu?

Pani Underwood spojrzała na zegarek, którego pasek ciasno opinał jej pulchny przegub.

- Za jakąś godzinę. Koło ósmej trzydzieści.

- Doskonale! Chodźcie, dzieci, wyjdziemy na dwór, szkoda siedzieć w domu w taki piękny wieczór!

Gus zerknął na siostrę i wzruszył ramionami. Ojciec naprawdę zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Ruszyli w stronę lasu tymiankową alejką.

- Co będziemy robić, tato? - spytała Storm.

- Nie wiem, zobaczymy, co przyjdzie nam do głowy.

- Razem z Jean-Paulem rozbiliśmy obóz w wieżyczce! -Gus pobiegł przodem, prowadząc ojca na miejsce.

David skrzywił się, słysząc imię Francuza.

- Jasne - mruknął, patrząc, jak Storm biegnie za bratem.

Rozejrzał się po ogrodzie, skąpanym w łagodnym świetle wieczoru, pełnym cudownych zapachów. Zachwyciło go jego piękno, chociaż teraz widać było głównie rozmaite odcienie zieleni i bieli. W braku intensywnych barw było coś kojącego i David poczuł, jak napięcie, które dręczyło go od chwili, gdy Miranda przyłapała go z Blythe, odpływa powoli, podobne do fali, zabierającej ze sobą rozmaite śmieci i odpadki.

Dzieci zatrzymały się przy wieżyczce. Pokazały ojcu palenisko, które same zbudowały, i dół w ziemi, gdzie zamierzały zakopać „skarb”. David zauważył fioletowe cienie, które rzucały drzewa, biel przemieszana z różem oraz, ku swojemu zaskoczeniu, parę synogarlic, wlatujących do wieżyczki przez jedno z małych okienek tuż pod dachem. Ogarnęła go fala optymizmu, przyjemne podniecenie, zupełnie jakby lada chwila miało wydarzyć się coś niezwykłego.

- Chodźmy dalej! - zawołał, idąc w kierunku pola.

Dzieci pobiegły za nim. David poczuł, jak czyjaś ciepła ręka chwyta jego dłoń. Spodziewał się zobaczyć podskakującą u jego boku Storm, ale ujrzał Gusa. Uśmiechnął się do syna, a chłopiec odpowiedział nieśmiałym uśmiechem. David miał głębokie przekonanie, że nie zasługuje na zaufanie Gusa. Nie zrobił jeszcze nic, aby je sobie zaskarbić.

Dotarli do łąki, na której Jeremy Fitzherbert trzymał swoje krowy i wspięli się na płot. Osioł Charlie podniósł głowę i na widok chłopca przerwał przeżuwanie trawy.

- Szkoda, że nie wzięliśmy marchewki dla Charliego - powiedział David.

Gus się zawstydził. Wolałby zapomnieć, jak męczył Charliego.

- Chodź, Charlie! - Storm wyciągnęła rękę w kierunku osiołka.

Charlie obserwował ich czujnie, zeszywniały ze strachu i gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

- Nie bój się! - ciągnęła Storm. - Tato, dlaczego Charlie nie chce podejść? Zwykle podchodzi.

- Nie zna mnie - odparł David. - No, chodź, Charlie. Wyciągnął rękę i uśmiechnął się zachęcająco. Zeskoczyli

z płotu na trawę i powoli podeszli do osła. Charlie nie wiedział, czego się spodziewać. Cała trójka sprawiała całkiem miłe wrażenie. Gus sięgnął do kieszeni spodni po miętówkę, położył ją na dłoni i podsunął Charliemu.

- Proszę bardzo! - rzekł. - Nie zamierzam zrobić ci nic złego.

Patrzył na zwierzę, próbując spojrzeniem przekazać mu swoje dobre intencje. Wiedział, że Charlie się go boi i wcale go to nie dziwiło. Zachowywał się wstrętne, goniąc osła po całej łące i wygrażając mu kijem. Teraz szczerze się tego wstydził. Pomyślał, że był wtedy mały i głupi, i tylko to mogło go usprawiedliwić, zdążył już jednak trochę dorosnąć i zrozumiał, że nie wolno krzywdzić żywych istot, bo niezależnie od wielkości, wszystkie zasługiwały na szacunek. Nauczył go tego Jean-Paul.

- Nie bój się, Charlie - szepnął cichutko, żeby ojciec i siostra go nie usłyszeli. - Nie skrzywdzę cię już nigdy więcej.

Osiół ostrożnie wyciągnął szyję i obwąchał palce Gusa dużymi, aksamitnymi chrapami. Zapach był zbyt kuszący, aby zdołał mu się oprzeć. Wysunął wargi i wziął miętówkę. Storm podskoczyła z radości. David oparł ręce na biodrach i przyglądał się, jak Gus wyjmuje jeszcze dwie miętówki i daje jedną siostrze, żeby ona również mogła nakarmić Charliego. Chłopiec stopniowo oblaskawił cel swoich wcześniejszych ataków. Charlie pozwolił pogłaskać się po pysku i potrzeć twarde czoło brudnymi palcami. Storm poklepała go po szyi i zdjęła kilka zmatowiałych pasemek sierści, które zwisały zwierzęciu z grzbietu niczym dredy.

- Przydałoby się porządnie go wyszczotkować - zauważyła. - Zapytani Jeremy'ego, czy moglibyśmy to zrobić.

- Dobry pomysł - zgodził się Gus. - Możemy też zabierać go na spacer!

- Tak, i karmić go! Charlie może być naszym zwierzątkiem!

- Pewnie mu się to spodoba - uśmiechnął się David. - Mięto w ki bardzo mu smakowały!

Gus oparł czoło o czoło Charliego i jeszcze raz przeprosił go szeptem. Wydawało mu się, że osioł go rozumie, bo parsknął kilka razy i zastrzygł długimi uszami. Kiedy szli dalej przez łąkę w stronę lasu, truchtał za nimi aż do furtki, a potem przystanął i długo patrzył. Gus był naprawdę szczęśliwy - jego błędy zostały wreszcie wymazane. Z nową energią pobiegł ścieżką między drzewami, przeskakując zeschłe gałęzie i krzaki jagód. Storm szła z ojcem, nieco lękliwie wypatrując wróżek, które podobno mieszkały wśród liści. David zastanawiał się, dlaczego zawsze brakowało mu czasu na te proste przyjemności. Przyglądał się, jak światło dnia znika powoli, pogrążając drzewa w gęstniejącym cieniu. Nagle uświadomił sobie, że tu jest jego miejsce. Powinien być tu, razem ze swoją rodziną. I był gotów walczyć o jej ocalenie.

Miranda i Henrietta rozpakowały rzeczy w apartamencie hotelu Berkeley, dużym i jasnym, z oknami wychodzącymi na ruchliwe londyńskie ulice. Firmowy sklep Harveya Nicholasa znajdował się za rogiem, Harrods trochę dalej. Miranda powinna czuć radosne podniecenie, była jednak dziwnie przygnębiona. Nie mogła przestać myśleć o Avie Lightly, Jean-Paulu i beznadziejności ich historii. Żyła ich miłością tak intensywnie, jakby chodziło o jej własny związek.

Henrietta była pod wrażeniem eleganckiego wystroju hotelu. Biegała po apartamencie, podziwiając wyłożoną

marmurowymi płytami łazienkę, gdzie małe buteleczki z olejkami do kąpieli najlepszych firm stały obok mydełek oraz miniaturowego zestawu igieł i nici. Narzuciła na ramiona puchaty biały płaszcz kąpielowy i zawirowała w nim, jakby to była balowa suknia.

- Dostałyśmy nawet kapcie! - pisnęła radośnie.

- Na górze jest basen, gdybyś miała ochotę popływać, i salon odnowy biologicznej. Koniecznie powinnaś wziąć masaż!

- Nigdy dotąd nie byłam na masażu - przyznała zaczerwieniona Henrietta. - Chyba nie chciałabym rozbierać się do naga przy kimś obcym. Poza tym jestem taka gruba.

- Nie żartuj, Etto! Na masaże chodzą ludzie dziesięć razy grubszy od ciebie! Dobrze ci to zrobi, na przykład jutro koło szóstej po południu, kiedy będziemy wykończone zakupami! Ja zaraz zarezerwuję sobie wizytę.

Henrietta uważnie popatrzyła na przyjaciółkę. Miranda uśmiechała się, ale nie potrafiła ukryć głębokiego smutku. Nawet jej piękna skóra poszarzała. Henrietta nie chciała wtykać nosa w nieswoje sprawy, pragnęła jednak, aby Miranda zwierzyła jej się ze swoich przeżyć, bo wtedy mogłaby jej pomóc jak prawdziwa przyjaciółka. Henrietta uważała, że prawdziwy przyjaciel okazuje wsparcie i miłość niezależnie od wszystkiego i marzyła, aby Miranda dała jej szansę.

Kolację zjadły w apartamencie, w szlafrokach. Kelner przyniósł na tacy dania nakryte dużymi srebrzystymi półkulami. Henrietta była tak zachwycona, że wypila zdecydowanie za dużo wina i zjadła wszystko, co znajdowało się na jej talerzu, nawet małe czerwone papryczki, których nie znosiła.

- Przepraszam, że taka ze mnie marna przyjaciółka - Miranda wzmocniła się kieliszkiem wina. - Pewnie słyszałaś plotki o moim rozstaniu z Davidem. Sypiał z moją dawną przyjaciółką, przyłapałam go na gorącym uczynku!

Z dziewczyną, którą znałam od szkoły. Romansował z nią od paru miesięcy.

- Słyszałam coś, owszem... Nie chciałam cię pytać.

- Nie widziałam jej od lat i pewnego dnia nagle wpadłam na nią w Londynie. Jej syn jest w wieku Gusa.

- Nikt nie spodziewa się zdrady po przyjaciółach - westchnęła Henrietta.

- Tyle tylko, że ona nie była moją prawdziwą przyjaciółką. Chodziłyśmy razem do szkoły, to wszystko. Upłynęło dużo czasu, odkąd widziałyśmy się ostatni raz, teraz jesteśmy zupełnie inne niż dawniej. Szkoła stworzyła więź, która nas łączyła, ale poza Gusem i Rafaelem nie mamy ze sobą nic wspólnego, nie licząc Davida, rzecz jasna.

- Tak mi przykro.

- Dziękuję. Życie jest okropne! Powiedziałabym ci o tym wcześniej, ale musiałam poukładać sobie to wszystko w głowie. Tak czy inaczej, David przeprosił mnie za to, co zrobił.

- Kochasz go jeszcze?

Miranda pociągnęła łyk wina i zmrużyła oczy.

- Tak mi się wydaje.

- Tak ci się wydaje? - powtórzyła Henrietta, zdumiona, że można nie wiedzieć na pewno, czy się kogoś kocha, czy nie.

- Ostatnio miałam dużo rzeczy na głowie.

Miranda zastanawiała się, czy zwierzyć się Henriecie ze swoich skomplikowanych uczuć. Musiała komuś o tym powiedzieć, tajemnica Avy i Jean-Paula powoli wypalała dziurę w jej sercu.

- Miałaś tyle na głowie, że nie myślałaś o swoim małżeństwie?

Miranda się roześmiała.

- Brzmi to idiotycznie, wiem! Sama nie do końca to rozumiem. Szczerze mówiąc, cieszę się, że mam ciekawszy temat do rozmyślań. Chodzi mi o Jean-Paula!

- Chyba nie jesteś w nim zakochana, co?

- Nie, podobnie jak ty! - Miranda uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Bo ty także się w nim nie kochasz, prawda?

Henrietta potrząsnęła głową.

- Więc w kim? Bo w twoim życiu ktoś się pojawił, widzę to!

Miranda miała wielką ochotę posłuchać o czymś szczęściu. Byłoby to jak promień słońca, przedzierający się przez ciemności, które teraz ją otaczały.

- Najpierw chcę posłuchać twojej historii - powiedziała Henrietta.

- Opowiem ci ją, jeśli ty powiesz mi, w kim jesteś zakochana!

- W Jeremym Fitzherbercie. No, jednak wydusiłam to z siebie!

Miranda była zaskoczona. Wyprostowała się i popatrzyła na Henriette, nagle widząc ją w kompletnie nowym świetle.

- W Jeremym Fitzherbercie. Wcześniej nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może być z was para, lecz teraz, kiedy mi powiedziałaś, nie mogę uwierzyć, że na to nie wpadłam. Jak daleko się posunęliście?

- Och, niezbyt daleko - wymamrotała Henrietta, spuszczać oczy i czując, że jej policzki przybierają kolor papryki, którą nierozważnie zjadła. - Nawet się nie pocałowaliśmy. Może on nie chce, nie wiem.

- Nie wygłupiaj się! Skoro się nie całujecie, to co robicie?

- Spędzamy razem czas. Jeremy przychodzi do mnie do sklepu.

- Więc pewnie sam mógłby już otworzyć konkurencyjny sklep! - zaśmiała się Miranda.

- Jest taki miły.

- I całkiem przystojny! Pamiętam, że kiedy go poznałam, od razu zwróciłam uwagę na jego oczy, są intensywnie błękitne.

- Bardzo niebieskie, prawda?

- Tak... Musisz coś zrobić, Etto! Dlaczego nie wykonasz pierwszego ruchu?

- Och, nie mogłabym.

- Więc powinnaś go jakoś ośmielić!

- Jestem pewna, że on wie.

- I nic nie robi?

- Jest nieśmiały.

- Raczej nie. Po prostu nie ma pewności, czy odwzajemniasz jego uczucie!

- Może chodzi mu tylko o przyjaźń. Miranda o mało nie zakrztusiła się winem.

- Żaden mężczyzna nie zadaje sobie tyle trudu dla przyjaźni, chyba że jest gejem!

- Jak Troy - uśmiechnęła się lekko Henrietta. - A jaka jest twoja tajemnica?

Miranda dopiła wino i ponownie napełniła kieliszek.

- Zacznę od początku.

- To zwykle najlepsze rozwiązanie! - zachichotała Henrietta, ulegając cudownemu uczuciu bez troski.

- Czyli od notatnika, który znalazłam w małym domku w naszym ogrodzie - dorzuciła Miranda.

Henrietta z zapartym tchem wysłuchiwała opowieści o Avie Lightly, jej romansie z tajemniczym mężczyzną o inicjałach „MF” oraz ogrodzie, który razem zaprojektowali i stworzyli.

- Ten MF to Jean-Paul - zakończyła.

- O, mój Boże! - zawołała Henrietta. - Jesteś pewna?!

- Mr Frenchman, tak! Sądziłam, że to zbieg okoliczności, kiedy niespodziewanie pojawił się w naszym domu i zaproponował swoje usługi jako ogrodnik. Wiesz, teraz, kiedy

o tym myślę, przypominam sobie, że w odpowiedzi na moje pytanie, czym się zajmuje, odparł, że ogrodem. Wcale nie przedstawił się jako ogrodnik. Uprawiam ogród, powiedział. Jest właścicielem wspaniałej winnicy we Francji, nic dziwnego, że nawet nie zapytał o pieniądze, to bogaty człowiek.

Tylko miłość może skłonić człowieka z takim majątkiem i pozycją społeczną do ciężkiej fizycznej pracy i mieszkania w małym, niezbyt wygodnym domku! Powiedział, że przywróci ogród do życia i zrobił to, nie zdoła jednak ożywić swojej ukochanej. Ava nie żyje.

- Nie żyje? - Henrietta zbladła.

- Rozmawiałam przez telefon z jej córką.

- Mówiłaś Jean-Paulowi?

- Jeszcze nie, za bardzo się boję.

- Musisz mu powiedzieć! I oddaj mu notatnik, przecież to jego własność!

- Dzięki niemu przynajmniej się dowie, jak bardzo go kochała - westchnęła Miranda.

- Nie zapomnij mu też powiedzieć, że kiedy pierwszy raz weszłaś do domu, był on świątynią ich miłości. Stół nakryty dla dwojga, imbryczek i filiżanki. I że wszystko wyglądało tak, jakby wyszli na spacer i z jakiegoś powodu nie wrócili. Naprawdę, to najbardziej romantyczna historia, jaką słyszałam!

- Ale to nie wszystko, Etto.

- No, mów, mów, błagam cię!

- Peach, córka Avy, z którą rozmawiałam, jest jego dzieckiem.

- Na pewno?

- Na pewno. Ava jasno pisze o tym w notatniku. Kiedy Jean-Paul wrócił do Francji, Ava zorientowała się, że jest w ciąży. Pisze, że Phillip uznał, że dziecko jest do niej bardzo podobne, lecz ona w uśmiechu małej widziała uśmiech Jean-Paula. Dała dziewczynce na imię Peach, bo tak nazywał ją Jean-Paul - *ma pechë*. - Miranda zaczęła płakać¹. - Wiesz, co jeszcze napisała? Że każdy uśmiech jej córeczki, był jak cudowny podarunek.

Obie kobiety siedziały przy stole, z policzkami mokrymi od łez. Kelner przyszedł po tacę, obrzucił je ostrożnym spojrzeniem, przeprosił i pośpiesznie się wycofał.

- Wyobrażasz sobie, jak my wyglądamy? - zaśmiała się przez łzy Henrietta.

- Tylko jedno wydaje mi się absolutnie niezrozumiałe - powiedziała Miranda. - Skoro Ava zdawała sobie sprawę, że umiera i chciała, żeby Jean-Paul dostał notatnik, to dlaczego mu go po prostu nie wysłała?

Henrietta niepewnie pokręciła głową.

- Może chciała, żeby go dostał, ale tylko wtedy, jeżeli dotrzyma słowa? Nie mogła wysłać mu notatnika tak ni stąd, ni z owąd, bo przecież mógł się ożenić i dawno o niej zapomnieć! Od ich rozstania minęło ponad dwadzieścia lat! Pewnie dlatego zaaranżowała to tak, żeby znalazł notatnik, jeżeli zgodnie z obietnicą przyjedzie po nią. Wtedy na pewno byłby godny wyznań miłości, które tam zapisała, rozumiesz?

- To całkiem możliwe. Dziwne, że potrafisz logicznie myśleć po tej ilości wina, jaką wypiliśmy.

- Wino rozjaśniło mi w głowie! - zaśmiała się Henrietta. - Myślisz, że Jean-Paula zrani to, że Ava nie powiedziała mu o Peach?

- Tak, ale MF z zapisków Avy powinien to zrozumieć. Nie mogła mu powiedzieć, wyobrażasz sobie, jakie by to spowodowało komplikacje? Jedynym sposobem ochrony jej rodziny było utrzymanie wszystkiego w tajemnicy.

- Sądzisz, że Phillip czegoś się domyślał?

- Nie wiem, ale nie sądzę.

- To świetny materiał na powieść - zauważyła Henrietta.

- Wiem!

- Mogłabyś ją napisać.

- Mogłabym, ale czy byłoby to fair? - Nie śmiała powiedzieć przyjaciółce, że już napisała powieść, o której mówiły.

Nagle doszła do wniosku, że nie powinna jej publikować, bo przypominałoby to deptanie grobu Avy.

- Cóż, mogłabyś oprzeć główny wątek na faktach, ale rozbudować go i zmienić.

Miranda nachyliła się ku niej przez stół.

- Wiesz, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Ava by chciała, żebym napisała tę powieść! - Uśmiechnęła się, przypominając sobie zapach kwiatów pomarańczy, który rozchodził się w jej gabinecie za każdym razem, gdy zabierała się do pracy. - Nie pytaj mnie, skąd biorę to przekonanie, ale naprawdę w to wierzę.

Następnego dnia Miranda i Henrietta wyruszyły na zakupy. Poszły do Harveya Nicholasa, przemierzyły wzdłuż i wszerz Sloane Street, a potem po lunchu w restauracji Le Caprice, wreszcie wylądowały w Selfridges. Sławna Pandora czekała na nie z szampanem w wysokich kieliszkach oraz ze swoim własnym wyczuciem stylu. Miranda siedziała w wygodnym fotelu w prywatnym pokoju, podczas gdy Pandora zdejmowała z wieszaków przygotowane wcześniej sukienki i płaszcze, spodnie i żakiety, które Henrietta posłusznie przymierzała.

- Wiem, że nie wyobrażała pani sobie, aby mogła pani nosić niektóre z tych fasonów i wzorów - powiedziała Pandora, błyskając bielą zębów na tle letniej opalenizny. - Ale Miranda uprzedziła mnie, że zależy pani na kompletnej zmianie stylu, takiej spod znaku Trinny i Susannah! - Wzięła do ręki biustonosz i roześmiała się. - Tajemnicą ich sukcesów są biustonosze, a teraz będzie to także sekret pani powodzenia.

Miały za dużo toreb, aby same mogły zanieść je do hotelu, więc Pandora zamówiła kuriera, który dostarczy im wszystko wieczorem. Henrietta była oszołomiona hojnością Mirandy.

- Czerpię z tego więcej przyjemności niż ty - wyznała Miranda, biorąc przyjaciółkę pod rękę. - Kiedyś żyłam zakupami, teraz nie budzą już we mnie tak wielkiego entuzjazmu. Z radością pójdę jednak na masaż!

- Czuje się dziś bardzo pewna siebie. - Henrietta głęboko wciągnęła powietrze, pełna energii i radości życia. - Ja też chyba zafunduję sobie tę frajdę!

Kiedy wróciły do Hartington, Davida już nie było. Miranda poczuła lekkie ukłucie zawodu. Spędzony z Henriettą weekend sprawił jej mnóstwo przyjemności, chętnie wyjechała na krótko z domu, dystansując się od codziennych spraw i dając sobie czas na oszacowanie strat i zysków, ale mimo wszystko chętnie zobaczyłaby Davida. Zachował się z perfidną podłością, lecz tęskniła za nim. Dom bez niego nie był do końca domem. Zanim jednak zdążyła się zastanowić nad jego wyjazdem, w ogrodzie zjawili się Jeremy i dzieci z prowadzonym na sznurku Charliem. Henrietta odgarnęła do tyłu świeżo uczesane włosy z przepięknym bależajem i pomachała do nich. Jeremy uchylił czapki i odmachał, a dzieci rzuciły się biegiem do domu, prosto w ramiona matki.

- Kupiłaś mi prezent? - spytała Storm.

- Charlie chodzi za nami jak piesek! - oświadczył Gus. - Je nam z ręki, on uwielbia miętówki!

Miranda odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach panią Underwood.

- Henrietto, muszę zamienić parę słów z panią Underwood - powiedziała. - Bawiłam się jak chyba jeszcze nigdy w życiu, naprawdę! Bardzo ci dziękuję!

Objęły się serdecznie.

- To ja ci dziękuję, za wszystko! Jestem odmienioną kobietą! - Henrietta roześmiała się, obracając tkwiące na palcu kółka z kluczykami do samochodu. - I tak też wyglądam!

- Wyglądasz olśniewająco - szepnęła jej do ucha Miranda. - Ruszaj na podbój, no, już!

Henrietta zarumieniła się gwałtownie.

- A ty zrób, co należy zrobić - powiedziała.

- Oczywiście. Załatwię to od razu, korzystając z tego, że pani Underwood może jeszcze chwilę zająć się dziećmi.

Patrzyła, jak Henrietta przechodzi przez ogrodową furtkę razem z Jeremym, aby odprowadzić Charliego na łąkę, a gdy zniknęli, poszła porozmawiać z panią Underwood.

- Jak było? - spytała.

Pani Underwood skrzyżowała ramiona na piersi.

- Świetnie się razem bawili, a najlepiej chyba pan Claybourne - powiedziała. - Kocha te dzieciaki. Pewnie wszystko same ci opowiedzą. Wiem, że to nie moja sprawa, ale jednak dam ci pewną radę, Mirando. Przebaczenie to główna zasada chrześcijaństwa! Mężczyźni robią różne głupie rzeczy, które nie mają najmniejszego znaczenia. Pan Claybourne zasłużył sobie na to, co dostał, ale to dobry człowiek i ojciec. No, powiedziałam ci, co miałam do powiedzenia! - Lekko wydeła wargi.

- Dziękuję. - Miranda pokornie pochyliła głowę. - Jestem pani wdzięczna, naprawdę! A przy okazji chciałabym panią o coś poprosić. Muszę wieczorem zobaczyć się z Jean-Paulem, to ważna sprawa. Czy byłaby pani tak dobra i posiedziała z dziećmi? Nie zajmie mi to dużo czasu.

Pani Underwood uniosła brwi.

- Jeżeli to ważne, nie mogę odmówić, naturalnie! Wiesz, co zrobimy? Wpadnę teraz na moment do domu, dam panu Underwoodowi podwieczorek, ty wykąpiesz dzieci i zaraz wrócę, dobrze?

- Doskonale - Miranda się uśmiechnęła. - Bardzo dziękuję!

Jeremy zmierzył Henriette pełnym podziwu spojrzeniem.

- Promieniejesz! - powiedział.

- Dziękuję. - Zarumieniła się. - To był fantastyczny weekend!

- Właśnie widzę.

Jego oczy spoczęły na jej twarzy dłużej niż zwykle. Henrietta odwróciła wzrok. Bez pośpiechu szli przez trawnik w kierunku łąki. Słońce zachodziło, zalewając niebo złocistym syropem. Na trawie osiadała już rosa, ptaki ćwierkały wśród drzew, układając się do snu. Wiatr był ciepły i pachnący. Henrietta rozejrzała się po ogrodzie, wyczuwając magię, którą posiali tu Ava i Jean-Paul, i nagle ogarnął ją smutek. Podlewali ten ogród własnymi łzami.

- J eremy - odezwała się nagle. - Chcę ci coś powiedzieć. Pobladła, kiedy uświadomiła sobie siłę swojego uczucia i wewnętrzną potrzebę, aby mu je wyznać. Jeremy przystanął i spojrzał na nią.

- Tak? - Jego twarz miała poważny wyraz.

- Już od dłuższego czasu chciałam z tobą porozmawiać. - Z trudem przełknęła ślinę, bo wątpliwości niespodziewanie powróciły, i przestąpiła z nogi na nogę. - Czy masz w domu tyle kosmetyków i pamiątek, że mógłbyś założyć taki sam sklep jak mój? - wyjąkała, czując się potwornie głupio.

Kąciki ust Jeremy'ego uniosły się w uśmiechu i Henrietta w jednej chwili odzyskała świeżo nabytą pewność siebie.

- Jeżeli tak, to muszę połączyć nasze dwa sklepy w jeden duży, ponieważ nie poradzę sobie z konkurencją - ciągnęła. - To małe miasto.

Jeremy zdjął czapkę i położył rękę na jej ramieniu.

- Mnie też niepokoi ta sprawa - oświadczył. - Jesteś naprawdę bardzo bystra, skoro znalazłaś wyjście z tej sytuacji.

Henrietta wstrzymała oddech, a raczej kompletnie zapomniała, że powinna oddychać. Jeremy pochylił się i pocałował ją. Zaskoczona, otoczyła go ramionami w pasie i pozwoliła, aby mocno przytulił ją do siebie. Dopiero po paru sekundach przypomniała sobie, że musi wciągnąć powietrze i parsknęła śmiechem.

- Myślę, że powinnaś jak najszybciej zamieszkać ze mną i pobierać należne procenty od naszego związku - powiedział Jeremy. - Musimy tylko rozważyć aspekt prawny tego biznesu.

Ściągnęła brwi, niepewna, co Jeremy ma na myśli.

- Aspekt prawny?

- Małżeństwo, kochanie! Gdybyś wiedziała, jak długo czekałem na ciebie, bez trudu byś zrozumiała, dlaczego nie chcę tracić ani chwili więcej! Kocham cię, teraz mogę to wreszcie wyznać. Kocham cię i chcę dzielić z tobą życie! Mam ci do zaoferowania dwa kudłate psy i trochę zaniedbany dom, stado mlecznych krów i duży czerwony ciągnik. Proszę, zgódź się, bo naprawdę nie wiem, co zrobić z tymi kilogramami mydła!

Nic NIE POZOSTAJE WCIĄŻ TAKIE SAMO. WSZYSTKO W KOŃCU SIĘ ZMIENIA. NAWET MY.

ŚMIERĆ TO NIC INNEGO JAK TYLKO JESZCZE JEDNA ZMIANA

Miranda znalazła Jean-Paula w kuchni, gdzie przygotowywał sobie kolację.

- Apetycznie to wygląda - zauważyła, przyglądając się, jak wstawia do piekarnika zapiekankę z cebulą i pomidorami.

- Następnym razem zrobię podwójną porcję!

Spojrzał na nią z zaciekawieniem i nagle jego wzrok zatrzymał się na notatniku, który trzymała w ręku. Jego twarz w jednej chwili spoważniała, zupełnie jakby wyczuł ukryte wśród stron prochy Avy.

- Musimy porozmawiać - powiedziała cicho Miranda, me wiedząc, od czego zacząć. - Mogę usiąść?

- Oczywiście. Co to jest?

Zadał pytanie, chociaż niemal natychmiast się zorientował, co widzi przed sobą. Nieomylnie rozpoznał charakter pisma.

- Wydaje mi się, że to było przeznaczone dla ciebie -wyjaśniła Miranda. - Kiedy kupiliśmy dom, notatnik był tutaj. Ten domek miał być świątynią przeszłości - stół był nakryty dla dwojga, zupełnie jakby ci ludzie wstali od niego przed chwilą i wyszli. Przeczytałam te notatki, przyznaję się. Serce o mało nie pękło mi ze smutku. Teraz wiem, że ty jesteś człowiekiem, którego kochała Ava Lightly, ale wcześniej nie mogłam się tego domyślić. Ty jesteś jej wielką, nieszczęśliwą miłością, tym mężczyzną, któremu nadała inicjały „MF”.

- Mr Frenchman - powiedział ledwo dosłyszalnie.

- Już to odgadłam. Wstydzę się, że przeczytałam te notatki i zniszczyłam świątynię, którą tu urządziła. Chyba życzyła sobie, żebyś wszedł tu i poczuł się tak, jakbyś nigdy nie wychodził, chciała dać ci do zrozumienia, że ani na chwilę nie zapomniała o tobie i nie zrezygnowała z ciebie.

Jean-Paul sięgnął po notatnik i ostrożnie przesunął dłonią po okładce, jakby papier był delikatną skórą Avy. Miranda nie mogła na to patrzeć, odwróciła wzrok i utkwiała go w oknie, za którym powoli robiło się ciemno.

- Zadzwoiłam do jej nowego domu, ale nie zastałam jej. - Z trudem przełknęła ślinę. - Umarła w zeszłym roku -zakończyła szeptem.

Jean-Paul przygarbił się gwałtownie, jak pod wpływem mocnego uderzenia. Miranda wstała. Czowała, że musi jak najszybciej opuścić domek. Nie miała prawa tu teraz przebywać, nie powinna przekraczać granic ich miłości.

- Tak mi przykro - wykrztusiła. - Tak mi przykro, że musiałam przekazać ci tę wiadomość.

Gdy zamykała za sobą drzwi, łzy płynęły jej po policzkach. Przystanęła na kamiennym mostku, czując, jak serce tłucze się w piersi. Chciała powiedzieć Jean-Paulowi o Peach, ale teraz zrozumiała, że nie powinna tego robić. Jean-Paul przeczytał notatnik i sam wszystkiego się dowiedział. I tak czuła się.

nieswojo i dziwnie nie na miejscu jako osoba, która zawiadomiła go o śmierci Avey. Nic na świecie nie jest tak ważne jak miłość, pomyślała i pobiegła do domu, pragnąc przytulić do siebie dzieci i odetchnąć ciepłym, żywym uczuciem.

Kiedy wpadła do holu, telefon dzwonił jak szalony. Popędziła do gabinetu, ale zanim chwyciła słuchawkę, dzwonek ucichł.

- Cholera! - zaklęła.

Do pokoju zajrzała pani Underwood.

- Zostawiłam ci kolację na piecyku - powiedziała. - Nie odebrałam telefonu, bo przecież masz włączoną sekretarkę automatyczną, prawda?

Miranda kiwnęła głową i szybko wstukała cyfrowy kod. Ten, kto dzwonił, nie zostawił żadnej wiadomości.

- Dobrze się czujesz, Mirando? - W głosie pani Underwood zabrzmiała nuta niepokoju.

- Tak. Mam nadzieję, że to nie był David. Starsza kobieta popatrzyła na nią poważnie.

- Zawsze możesz do niego zadzwonić. Miranda przytaknęła z roztargnieniem.

- Bardzo dziękuję, że gotowała pani dla nich przez ten weekend - powiedziała.

- Jedli, aż im się uszy trzęsły! David bardzo schudł w ostatnim czasie, trzeba by go podkarmić. Pewnie zbyt ciężko pracuje.

Miranda czuła się potwornie wyczerpana. Z trudem powstrzymała się, aby nie oprzeć głowy na biurku.

- Chyba zjem coś i od razu się położę - mruknęła.

- Będę się już zbierać - pani Underwood rozwiązała taśmy fartucha, zdjęła go i porządnie złożyła.

- Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Nie mam pojęcia, co bym bez pani zrobiła.

- Na pewno poradziłabyś sobie lepiej niż myślisz! - Gospodyni uśmiechnęła się wyrozumiale i zostawiła Mirandę samą.

Miranda pobiegła na górę, żeby ucałować dzieci na dobranoc, lecz Gus i Storm spali już w swoich przytulnych pokojach, z głowami wtulonymi w poduszki. Głęboko odetchnęła zapachem uśpionych ciał, z rozkoszą powąchała ich włosy i bez słów podziękowała Bogu za dar, jakim były dzieci.

Zrobiła sobie gorącą kąpiel z sosnowym olejkiem i zjadła kolację w sypialni. Pani Underwood zostawiła jej przepyszną zupę jarzynową z masłem orzechowym i słodkimi ziemniakami. Potem położyła się i obejrzała powtórkę odcinka serialu *Seinfeld*, który już widziała. Musiała przynajmniej na chwilę zapomnieć o notatniku i Jean-Paulu, i skupić myśli na jakimś neutralnym temacie. Wreszcie wyłączyła telewizor i już miała zgasić lampę, gdy zadzwonił telefon.

- Kocham cię, Mirando - powiedział David. Odetchnęła z ulgą.

- Ja też cię kocham - odparła zachrypniętym głosem. David był zaskoczony. Spodziewał się znacznie cięższej walki.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytał. - Nie zasługuję na to.

- Zaczniemy wszystko od początku. Zapomnimy o tym, co było i zaczniemy od dziś, co ty na to?

- Nigdy sobie nie wybaczę, że cię zraniłem.

- Ale ja mogę ci wybaczyć i zrobię to! Chcę iść dalej i nie oglądać się za siebie!

- Teraz już wiem, że w moim życiu liczysz się tylko ty i dzieci. Nie wolno ryzykować szczęścia naszej rodziny, bo to wszystko, co mamy.

- Musimy spędzać ze sobą więcej czasu - powiedziała Miranda.

- Tak, zastanawiałem się już nad tym. Zamierzam rzucić pracę w Londynie.

- Mówisz poważnie? - zapytała ze zdziwieniem. Usiadła na łóżku, bo nagle zupełnie odechciało jej się spać. - Więc co będziesz robił?

- Nie wiem! Może zajmę się opisywaniem cyklu życia pchły? W City można zarobić mnóstwo pieniędzy, ale nie da się tu żyć! Ciężko pracowałem, a teraz nadszedł czas, abym cieszył się nagrodą, czyli tobą, Gusem i Storm. W ciągu ostatnich tygodni wszystko sobie przemyślałem. Powinniśmy zafundować sobie długie rodzinne wakacje! Nie chcę wysyłać dzieci do szkoły z internatem, chcę, żeby były z nami w domu, żebym mógł cieszyć się ich obecnością! Po co w ogóle mieć dzieci, skoro po paru latach życia wysyła się je gdzieś z domu?

- Rzeczywiście wszystko przemyślałeś! - Miranda była pod wrażeniem. - Gus bardzo się ucieszy!

— Już się ucieszył, bo powiedziałem mu, że nigdzie nie pojedzie! Odbiliśmy poważną, męską rozmowę!

- Tak? - Miranda zaśmiała się cicho.

Jej mąż mówił jak dawny David, ten, w którym zakochała się bez pamięci.

- Teraz dobrze się rozumiemy.

- Wracaj do domu, kochany - powiedziała. - Tęsknię za tobą.

Z piersi Davida wyrwało się ciężkie westchnienie. Milczał długą chwilę, starając się opanować wzruszenie.

- To najcudowniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałem - rzekł w końcu.

Następnego ranka Miranda obudziła się z uczuciem dziwnego napięcia. Wyrzała przez okno. Niebo było szare, chmury opasłe i ocieźałe, nad ogrodem wisiała smuga melancholijnego światła, drzewa były kompletnie nieruchome. Coś było nie w porządku.

Ubrała się pośpiesznie, wciągając džinsy i bawełniany sweter. W kuchni dzieci sypały płatki kukurydziane do misek z mlekiem i snuły plany na cały dzień.

- Zaraz wracam! - zawołała Miranda.

Gus zmarszczył brwi i pytająco spojrzął na siostrę, która bezradnie wzruszyła ramionami. Ich rodzice byli naprawdę dziwni.

Miranda przebiegła przez podjazd i rozkwitającą kwiatami łąkę. Z nieba zaczął się sączyć lekki deszczyk, drobne krople delikatnie osiadały na jej twarzy. Odetchnęła z ulgą na widok stojącego na mostku i zapatrzonego w wodę Jean-Paula. Kiedy ją zobaczył, nie uśmiechnął się, popatrzył tylko zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami. Twarz miał poszarzałą z rozpacz i rezygnacji.

- Jak się czujesz? - Miranda przystanęła obok niego, z trudem chwytając oddech.

- Przeczytałem notatnik...

- Cały? - zapytała ze zdumieniem. Jej zabrało to wiele tygodni.

- Tak, cały... Nie spałem. - Potrząsnął głową i spracowaną ręką odgarnął do tyłu długie włosy. Miranda zauważyła siwy zarost na jego policzkach. - Musiałem doczytać do końca... Wydaje mi się, że od pewnego czasu w głębi serca wiedziałem, że Ava nie żyje. Dlatego jej nie szukałem. Bałem się.

- Co teraz zrobisz? - zapytała z lękiem, chociaż znała odpowiedź na to pytanie.

- Wrócę do Francji.

- A co z Peach? Niepewnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem... Ava zawsze stawiała swoje dzieci na pierwszym miejscu i ja muszę zrobić to samo.

- Czy to znaczy, że nie skontaktujesz się z nią?

- Nie mogę. Niewykluczone, że ona o niczym nie wie.

- Ale jesteś jej ojcem! Sam mówiłeś, że tak bardzo pragnąłbyś mieć cząstkę Avy, złączoną z cząstką samego siebie!

Odkąd poznała Jean-Paula, pierwszy raz sprawiał wrażenie zupełnie zagubionego.

Nagle oboje zorientowali się, że na brzegu rzeczki ktoś stoi. Młoda kobieta podeszła bliżej. Ubrana była w dżinsowe ogrodniczki i biały T-shirt, długie kręcone włosy miały barwę wysuszonego siana. Jean-Paul wstrzymał oddech.

- Ava! - wyszeptał. - To niemożliwe. Dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała do nich.

- Jean-Paul - odezwała się cicho Miranda, z zachwytem przyglądając się, jak pięknie wygląda jego uśmiech na kobiecej twarzy - to jest Peach.

Kiedy dziewczyna przystanęła obok nich, na jej twarzy malowało się pełne szacunku wzruszenie.

- Jean-Paul, nie zna mnie pan, ale...

- Znam cię - odparł. - Poznaję w tobie twoją matkę.

- I siebie, prawda? - dorzuciła ze skrzepowanym uśmiechem.

- Odziedziczyłaś bezpośredniość po matce - zauważył, zachłannie ogarniając wzrokiem jej twarz, jakby chciał jak najszybciej poznać ją całą.

- Miałam trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli. -Peach odwróciła się do Mirandy. - Miranda, prawda?

- Tak... Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że przyjechałaś!

Uściskały się serdecznie, jak dobre przyjaciółki.

- Próbowałam dodzwonić się do ciebie w czasie weekendu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że cię nie uprzedziłam. - Peach rozejrzała się dookoła. - Nic się tu nie zmieniło. Ogród wygląda cudownie.

- Wejdźmy do domu - odezwał się Jean-Paul. - Zaraz lunie!

- Powinnam już wrócić do dzieci - Miranda cofnęła się na drugą stronę mostku.

- Na pewno nie chcesz pójść z nami? - zapytał.

Zauważyła, że jego twarz odzyskała normalną barwę. Znowu był przystojny, a w jego oczach płonęły fascynujące iskierki.

- Bardzo bym chciała, bo naturalnie umieram z ciekawości, ale lepiej będzie, jeżeli zostawię was teraz samych. Musicie spokojnie porozmawiać. Może kiedy już skończycie, oprowadzę Peach po ogrodzie. Oczywiście wszystko zrobił w nim Jean-Paul, ale chętnie wybiorę się z Peach na mały spacer.

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała Peach. - Moja mama byłaby przeszczęśliwa, że ogród znowu żyje! To przecież dzieło jej życia. Chciałabym ci podziękować, Mirando!

- Za co, na miłość boską?

- Za to, że umożliwiłaś mi spotkanie z Jean-Paulem.

- Uważasz, że to naprawdę moja zasługa? - Miranda uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście! Nigdy nie myślałam, że uda mi się odnaleźć MF, a dzięki tobie stało się to możliwe!

Spojrzała na Jean-Paula i uśmiechnęła się. Nie potrafił znaleźć słów, które mogłyby wyrazić jego uczucia. Była tak podobna do matki. Tak bezpośrednia, tak otwarta, zupełnie jakby znała go przez całe życie.

- Nie bój się - odezwała się, wyczuwając jego zaskoczenie. - Miałam rok, żeby przywyknąć do tej nowiny.

Miranda poszła przez ogród do domu. Wokół niej kwiaty, drzewa i krzewy emanowały magią, a ona czuła, że tu jest jej miejsce. Miała ochotę spędzić cały dzień z dziećmi. Może pojedą do zamku i urządzią sobie piknik. Może zaproszą przyjaciół na podwieczorek. Była już na schodach, gdy Storm i Gus wybiegli na ganek. Na podjeździe zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej David z walizką, ubrany nie w garnitur, lecz w dżinsy i zieloną koszulę, bardzo szczupły, ale przystojny. Miranda odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, musiała jednak poczekać na swoją kolej, ponieważ

w otwarte ramiona Davida skoczyły dzieci. Hartington House to także ich miejsce na ziemi, pomyślała z zadowoleniem. Wreszcie była szczęśliwa.

W małym domku Jean-Paul nastawił wodę na herbatę. Usiedli przy kuchennym stole, tak jak przed dwudziestu sześciu laty on i Ava, ale teraz tych dwoje czekało nie rozstanie, ale początek nowego, wspólnego życia.

- Mam ci tyle do powiedzenia. - Zielone oczy Peach błyszczały ze wzruszenia. - Nie wiem tylko, od czego zacząć.

- Opowiedz mi o twojej matce! W jaki sposób umarła?

- Musimy cofnąć się trochę dalej, bo kompletnie zgubię wątek! Kochany tata - Phillip - miał wylew cztery lata temu i chociaż bardzo powoli wracał do zdrowia, przez pewien czas mieszkaliśmy tutaj. Mama opiekowała się nim jak najlepsza pielęgniarka, nie chciała zatrudnić nikogo do pomocy. Wiesz, jaka ona jest. Pracowała bardzo ciężko, ale stan ojca nie poprawiał się. Największym problemem były schody. Wszyscy mówili mamie, że powinniśmy się przeprowadzić. Ale ona była rozdarta pomiędzy tym, co miało być dobre dla Phil-lipa, a tym, co było dobre dla niej. Kochała Hartington House i ten ogród. Teraz wiem także, że za wszelką cenę chciała tu zostać ze względu na ciebie. Na pewno miała nadzieję, że któregoś dnia wrócisz po nią. Wszyscy już dorośliśmy. Poppy mieszka w Londynie, wyszła za mąż i ma dzieci, Archie ożenił się z Chilijką i wyjechał na stałe do Valparaiso. Angus nie ożenił się, odnosi sukcesy jako historyk. Nie do wiary co?

- A ty?

- Ja jedna nie wyfrunęłam z gniazda. Jestem ogrodniczką - uśmiechnęła się z dumą.

- Nie dziwi mnie to.

Patrzył na nią z pełnym zachwytem uśmiechem, jak na cudowne zjawisko. Peach miała krótkie, połamane paznokcie,

jej ręce były szorstkie jak kora drzewa. Był pewny, że jego córka pachnie wilgotną trawą i sianem.

- Mów dalej! - ponaglił.

- Tak więc mama rozpaczliwie trzymała się tego domu, ale w końcu los odebrał jej możliwość wyboru. Wyczuła jakieś stwardnienie w brzuchu i okazało się, że był to złośliwy nowotwór. Przeprowadziliśmy się do Kornwalii, ponieważ mama zawsze kochała morze. Wystawiła dom na sprzedaż, ale zażądała za niego takiej ceny, że nikt nie chciał go kupić. Bała się z nim rozstać, może marzyła, że kiedyś tu wróci. W Kornwalii tata powoli odzyskiwał siły, natomiast stan mamy zaczął się szybko pogarszać. Nie miała dużo czasu. Teraz, kiedy przeczytałam jej zapiski, sądzę, że guz był fizycznym symptomem rozpacz, jaką przeżyła po twoim wyjeździe. Jej smutek był tak głęboki, że po prostu nie mogła o nim mówić. Zamknęła go w sobie na wszystkie te lata. Nawet ja nie wiedziałam o niczym, a przecież jako najmłodsza byłam jej bliższa niż starsze rodzeństwo. - Zawahała się chwilę. - Jako najmłodsza i jako twoja córka - dodała nieśmiało.

Patrzyli na siebie, słuchając bijącego w szyby deszczu. Oboje czuli, że chociaż nic o sobie nie wiedzieli, więź krwi i miłości do Avy natychmiast połączyła ich poczuciem jedności.

- Kiedy umarła? - zapytał Jean-Paul.

- Na wiosnę zeszłego roku. Piątego maja.

- Żyłem nadzieją, że jeszcze ją zobaczę.

- Pochowaliśmy ją w małym kościółku, z którego okien widać morze. Powinna spocząć na tutejszym cmentarzu, ale nie chciała tego. Pewnie uważała, że byłoby to w jakiś sposób niewłaściwe, nietaktowne, ze względu na tatę.

- Zawsze na pierwszym miejscu stawiała rodzinę!

- Tak... Zostawiła mi jednak swoje notatki, nie w testamencie, ale wcześniej. Ukryła je w domu, pod obluzowaną deską w podłodze.

- Więc to ty zostawiłaś notatnik w domku?

- Tak. Najpierw przeczytałam go i zrozumiałam, dlaczego nigdy mi o tobie nie powiedziała. Co dobrego mogło z tego wyniknąć? Kocham Phillipa jak ojca i nic tego nie zmieni. Pomyśl tylko, jaka ze mnie szczęściara - mam dwóch ojców.

- Nigdy ci nie powiedziała?

- Nie. Może męczyły ją wyrzuty sumienia, że zachowała to w tajemnicy przed tobą i przede mną, a może zwyczajnie nie mogła się zdobyć, aby komukolwiek powiedzieć. Jednak umierający ludzie zawsze chcą zamknąć swoje ziemskie sprawy i pewnie uznała, że mam prawo wiedzieć kto jest moim ojcem. Postanowiłam zostawić notatnik tutaj, żebyś mógł go znaleźć, gdybyś wrócił, i żebyś wiedział, że ani na chwilę nie przestała cię kochać. Nie miałam pojęcia, gdzie cę szukać, a nie chciałam pytać ojca. Nie byłam zresztą do końca pewna, czy naprawdę chcę cię odnaleźć. Niełatwo jest przyjąć do wiadomości, że człowiek, którego całe życie uważało się za ojca, wcale nim nie jest.

- Czy Phillip wie?

- Nie, skądże! I nigdy się nie dowie. Nie mogę mu tego powiedzieć. Moja matka poświęciła dla niego życie. Może zostawiłaby go, gdyby się nie rozchorował, ale była mu potrzebna więc nie odeszła. Kto wie, co jeszcze mogło się zdarzyć.

- Dlaczego przyjechałaś?

- Bo uznałam, że przyszedł na to czas. Wiem, że mama by tego chciała. Oboje bardzo pragnęliście mieć dziecko więc powinieneś wiedzieć.

Uśmiechnęła się znowu i Jean-Paul ujrzał własną twarz w twarzy swojej córki. Peach się zarumieniła.

- Poza tym urzekła mnie ta niezwykle romantyczna historia - przyznała. - Mama nigdy nie przestała cię kochać nie straciła też nadziei, że kiedyś będziecie razem. Kiedy Miranda zadzwoniła, zrozumiałam, że los daje mi szansę

- Dlaczego nie dała mi znać, że jest umierająca?

- Też się nad tym zastanawiałam. Znajac matkę, mogę sobie wyobrazić, że nie chciała, żebyś widział ją w takim stanie. Straciła włosy, wyglądała jak stara kobieta, była bardzo chora. Pewnie wolała, żebyś pamiętał ją taką, jaką była tamtego lata.

- Wiedziała przecież, że ją kocham.

Oczy Peach napęłniły się łzami. Poczwała zapach kwiatów pomarańczy. Otoczył ją gęstym obłokiem, domagając się, by zwróciła na niego uwagę. Zerknęła na Jean-Paula. Lekko unióśł głowę - on także czuł ten aromat.

- Tak, wiedziała - szepnęła dziewczyna. - Czujesz jej zapach? To ona.

Jean-Paul zamknął oczy. Tak często powtarzał sobie, że znajomy aromat jest tylko wytworem jego wyobraźni.

Kuchnię wypełniło słońce. W pasmach jasnego światła migotały drobinki kurzu, lśniące jak robaczki świętojańskie. Ojciec i córka otworzyli oczy i ujrzeli, że chmury rozstały się, przepuszczając słońce. Jean-Paul podniósł się szybko.

- Chodźmy! - powiedział, chwytając córkę za rękę. Wyszli przed domek, prosto w deszcz. Na niebie tuż przed nimi błyszczał wspaniały tęczowy łuk.

- Jaka piękna - odezwała się Peach. - *Un arc-en-ciel*, tęcza.

- *Un arc-en-ciel* - powtórzył Jean-Paul, wiedząc, że Ava jest blisko, wśród połączonych w tęczy barw.

I nagle się roześmiał, bo między zielenią i błękitem dojrzał najcudowniejszy kolor.

- Widzisz ten różowy pas? - wskazał wibrujące pasmo o odcieniu pięknej letniej róży.

- Widzę! - Po twarzy Peach płynęły łzy. - To tęczowy róż, o którym mi mówiła!

- Ona tam jest. - Jean-Paul mocno ścisnął jej rękę. - Jest tam, na pewno!

Trudno byłoby wyobrazić sobie piękniejszy dzień niż dzień ślubu Henrietty i Jeremy'ego. Z nieba promiennie świeciło słońce, od morza ciągnął chłodny wiatr, podrywając wysoko chmury czerwonych i złocistych liści, lecz powietrze było dość łagodne i pachniało jeszcze odchodzącym latem. W koronach drzew śpiewały ptaki, a wiewiórki na chwilę przerwały operację zbierania orzechów, aby popatrzeć na rozciągający się niżej zdumiewający ludzki świat. Jednak miłość to instynkt zrozumiały dla wszystkich bez wyjątku stworzeń i wydawało się, że cała przyroda dokłada wszelkich starań, by ten szczególny dzień wypadł jak najwspanialej.

Troy siedział w pierwszej ławce, razem z matką i siostrą Henrietty. To on uczesał pannę młodą, tworząc z jej włosów lśniący koczek otoczony ciemnoczerwonymi różyczkami i to on ocierał łzy wzruszenia, które zabłyśły w jej

oczach, gdy zobaczyła, jak pięknie wygląda. Po drugiej stronie nawy, tuż przed ołtarzem, czekał zdenerwowany Jeremy. Jego duże dłonie dygotały jak w febrze, gdy przeglądał książeczkę z przygotowanymi na tę okazję tekstami liturgicznymi i wymieniał spojrzenia z Davidem, którego poprosił na drużbę. W pewnej chwili wziął głęboki oddech, prawie nie mogąc uwierzyć w niezwykle szczęście, które go spotkało. Bał się o nim myśleć, żeby nie zapeszyć, bo przecież Henrietta mogłaby się po prostu nie pojawić.

Miranda siedziała za Davidem z Cate i Nigelem. Myślała o Jean-Paulu i Peach - jej przyjaciel stracił wprawdzie ukochaną, ale zyskał córkę. Ava powiedziała kiedyś, że miłość jest wszystkim, co może mu dać, okazało się jednak, że stało się inaczej. Dała mu Peach. Teraz Jean-Paul i jego córka byli we Francji, w Les Lucioles. Jean-Paul chciał pokazać jej ogród, który urządził dla jej matki, i podzielić się z nią wspomnieniami, budując most ponad spędzonymi z dala od siebie latami.

David pochwycił spojrzenie żony i uśmiechnął się. Wyciągnęła do niego rękę nad ławką, a on chwycił ją i lekko ścisnął. Ten gest mówił wszystko. W jej oczach wezbrały łzy.

- Nie płacz, kochanie! - szepnął David. - Henrietta jeszcze nie weszła.

Miranda kiwnęła głową i otarła oczy chusteczką, którą na szczęście zabrała z domu. W tej chwili wielkie drewniane drzwi otworzyły się ze zgrzytem i Dorothy Dipwood zaczęła grać na organach. Zgromadzeni podnieśli się z miejsc. Miranda wychyliła się z ławki, aby spojrzeć na Henriette w eleganckiej kremowej sukni, wyszywanej drobnymi perełkami, którą sama pomogła jej wybrać w salonie Catherine Walker. Twarz panny młodej zasłaniała woalka, lecz jasny uśmiech błyskał spod niego jak słońce. Szła wsparta na ramieniu ojca, którego policzki były zarumienione z dumy. Przez łzy

wzruszenia Miranda ledwo widziała Gusa i Storm, kroczących za Henriettą razem z dwojgiem dzieci Clare. Storm niosła okrągły bukietik purpurowych róż, zawieszony na wstążce, a Gus trzymał ją za rękę. Syn Mirandy był poważny i ogromnie skupiony, ponieważ starał się nie nadebrać na tren sukni panny młodej.

Henrietta patrzyła na Jeremy'ego, który czekał na nią przed ołtarzem i uśmiechał się z wyrazem najwyższego szczęścia na twarzy. Był bardzo zadowolony, że nie musi przemawiać, ponieważ gardło miał ściśnięte ze wzruszenia. Ojciec Henrietty położył jej dłoń na dłoni Jeremy'ego i państwo młodzi wpatrywali się w siebie przez chwilę, pełni podziwu dla magii, która doprowadziła ich do tego momentu.

Miranda wyczuła jakiś ruch tuż obok siebie i odwróciła się. Nigel wziął za rękę Cate, która w pierwszej chwili zeszywniała, zbyt dumna, aby się poddać, szybko jednak uległa działaniu wszechobecnej miłości i rozluźniła się, wreszcie pozwalając sobie na kapitulację. Zgromadzeni usiedli i Miranda kątem oka zerknęła na fioletowe pantofelki od Lo-uboutina, które ostatnio kupiła w Londynie. Bardzo jej się podobał ich fason, kolor i wysokie obcasy o modnym kształcie. Cóż, niektóre przyjemności nigdy nie tracą właściwego im smaku.

Po zakończonej ceremonii wszyscy wysypali się z kościoła na zalany słońcem dziedziniec. Dzieci biegały wśród grobów na przykościelnym cmentarzu, przeskakując z jednego na drugi jak wystrojone w jedwab żabki. Jeremy i Henrietta wspięli się na czerwony traktor Jeremy'ego i ruszyli w stronę Harrington House, gdzie Miranda przygotowała przyjęcie weselne pod rozpiętym na trawniku wielkim namiotem. Pani Underwood czuwała w kuchni, natomiast pan Underwood miał pomagać Toby'emu, nowemu ogrodnikowi, w parkowaniu samochodów.

David otoczył Mirandę ramieniem w pasie i przytulił.

Henrietta pięknie wygląda - powiedział. - Twoje starania przyniosły wspaniały efekt.

To nie moja zasługa! - odparła Miranda. - Henrietta jest po prostu piękna, i tyle!

- Czy teraz, kiedy opowiedziałas mi historię Jean-Paula i Avy, pozwolisz, bym przeczytał twoją książkę?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz, że napisałam książkę?

- Gus mi powiedział.

- A on skąd o tym wiedział?

- Dzieci wiedzą wszystko!

- Może pozwolę ci ją przeczytać.

- Może?

- No, dobrze, dam ci ją do przeczytania! Ale nie zamierzam jej wydawać.

- Nawet jeśli jest świetna?

- Jest świetna, ale byłoby to niewłaściwe, poza tym mam nieodparte wrażenie, że nie napisałam jej całkiem sama. David pytająco uniósł brwi.

- Otrzymałam pewną pomoc - odparła enigmatycznie. Nie widziała większego sensu w wyjaśnianiu tego mężowi. Spojrzała w niebo i przypomniała sobie wyraźny zapach kwiatów pomarańczy, który wypełniał pokój, ilekroć siadała do pisania. Odkąd skończyła książkę, to niezwykle zjawisko przestało się powtarzać. Duch Avy odszedł.

- Więc co zrobisz z tą powieścią?

- Dam ją Peach.

- Peach? Dlaczego?

- Ponieważ teraz już wiem, że napisałam ją dla mej. - Ujęła dłoń Davida. - Chodźmy już, kochany! Musimy wracać do domu razem z pazurem i druhną, bo przecież w domu czeka przyjęcie.

- Gus! Storm! - zawołał David.

Dzieci podbiegły do nich z policzkami zaczerwienionymi od słońca i wiatru.

- Czas wracać do domu - powiedział, lekko targając włosy syna.

Miranda westchnęła z zadowoleniem. Do domu. Jak cudownie brzmiały te dwa słowa!

Epilog

*SŁYSZYSZ ŚPIEW PTAKA,
SIEDZĄCEGO NA SZCZYCIE KASZTANA?
A JESTEM JEGO PIOSENKĄ
JAK SŁODKA JEST TA MELODIA.
SŁYSZYSZ SZMER STRUMIENIA,
KTÓRY ZAWSZE JEST WOLNY?
MÓJ ŚMIECH BRZMI W JEGO SZMERZE
I NIGDY BRZMIĆ NIE PRZESTANIE.
CZUJESZ CIEPŁY DOTYK SŁOŃCA
NA SWOJEJ SKÓRZE?
JA JESTEM TYM SŁOŃCEM
I MIŁOSCIA, KTORA CIE PRZEPELNIA*